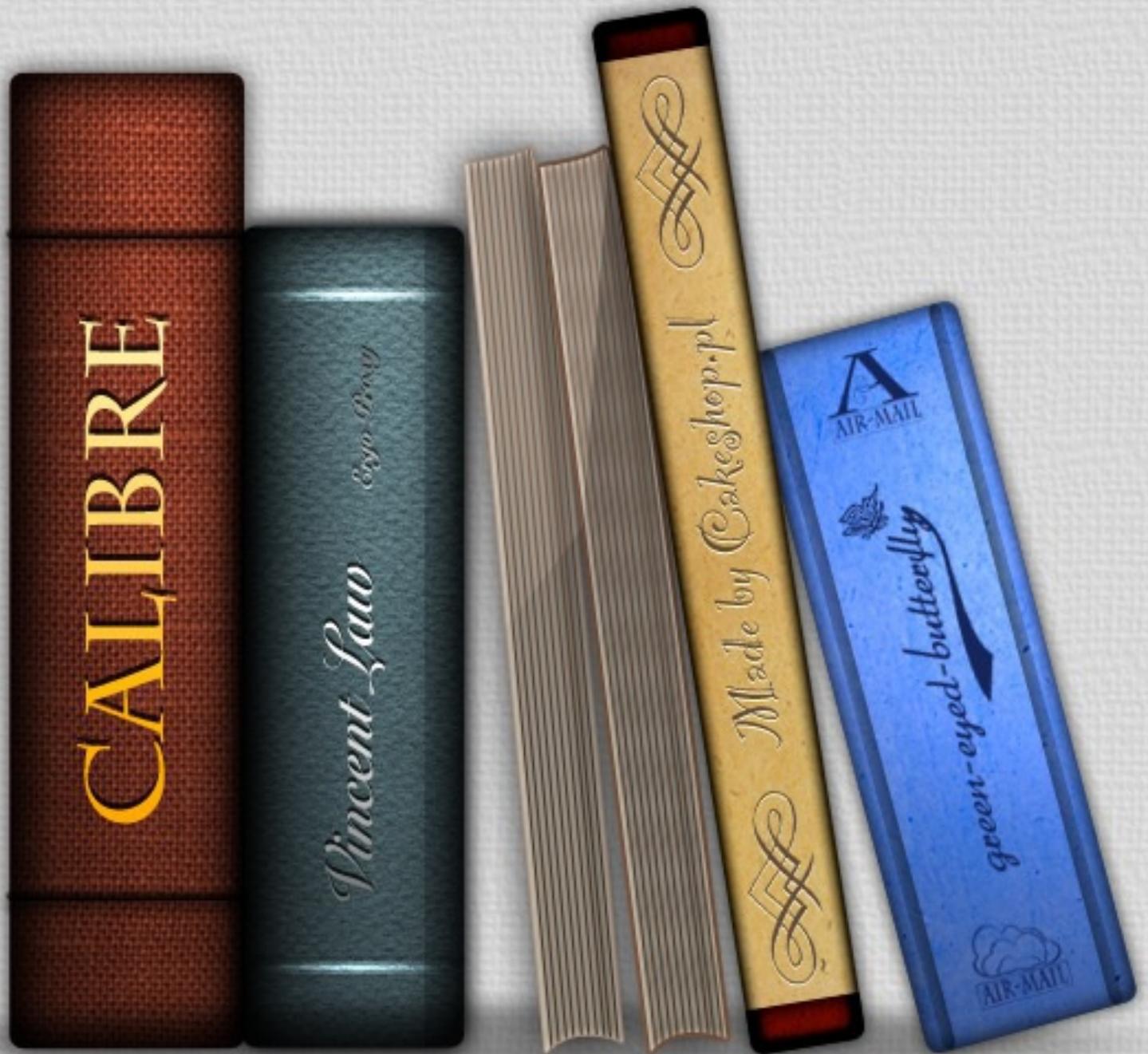


Boży gniew

Józef Ignacy Kraszewski



calibre 0.9.27

Józef Ignacy Kraszewski

BOŻY GNIEW

Czasy Jana Kazimierza

Spis treści

TOM PIERWSZY

Rozdział I

Rozdział II

Rozdział III

Rozdział IV

Rozdział V

Rozdział VI

Rozdział VII

Rozdział VIII

Rozdział IX

TOM DRUGI

Rozdział I

Rozdział II

Rozdział III

Rozdział IV

Rozdział V

Rozdział VI

Rozdział VII

Rozdział VIII

Rozdział IX

TOM TRZECI

Rozdział I

Rozdział II

Rozdział III

Rozdział IV

Rozdział V

Rozdział VI

Rozdział VII

Rozdział VIII

Rozdział IX

TOM PIERWSZY

Rozdział I

Za panowania Władysława IV brat przyrodni króla jego mości książę Karol Ferdynand, biskup wrocławski, zajmował na murach zamkowych świeżo wzniesione skrzydło, które wraz z częścią ogrodu aż po Wisłę, ustąpione mu zostało. Tu on wraz ze szczupłym dworem swoim

mieścił się, zamykając jak w klasztorze, w gmachu tym i ogródku, który pielęgnować lubił. Była to jedyna część zamku, w której nigdy prawie stopa kobieca nie powstała. Surowe życie wiodł książę Karol, od reszty świata dosyć oderwane, modlitwom, rachunkom i uprawie ulubionych kwiatków poświęcone.

Zdawało się, że ten tryb życia, do którego nawykł książę, nigdy się już nie powinien był

zmienić, gdy nagła wiadomość o zgonie króla w Mereczu na Litwie w chwili, gdy straszliwa pożoga szerokim płomieniem rozpościerała spustoszenie krwawe na Rusi, przez zbuntowane

kozactwo zniszczonej — i w ten spokojny kątek wniosła niepokój z troską o przyszłość.

Kraj stał bezbronny, niemal otworem, a ojca i głowę postradał. Można też wystawić sobie, jaką klęski, jedne po drugich przychodząc, trwożę niewysłowioną Wzniecały. Wojska reszty rozproszone, hetmanowie w kozacko-tatarskiej niewoli, zewsząd gromy lub nadciągające burze.

Zbiegi z pobojuwisk i obozów szerzyły popłoch. Dzień sądu ostatecznego nadchodzić się zdawał.

Jedni drugich obwiniali, a wszyscy winni byli w istocie. Przychodziło do tego, że nie

pogrzebionego jeszcze króla oskarżano o podbudzenie rebeliantów przeciwko szlachcie, która go słuchać nie chciała.

— *Dies irae!* — rozlegało się wszędzie. Tłumy rozpasanego motłochu, który krwi

zakosztował, posuwały się już w same wnętrzości Rzeczypospolitej, która przeciwko nim bronić się czym nie miała.

Jednego Jeremiego Wiśniowieckiego imię stało jeszcze jak tarcza ostatnia. Ratunkiem od

tego pogromu jedynym był jak najprędszy wybór panującego, który by władzę ujął w dłoń silną i ludzi pkoło siebie skupił ku obronie!. Godziny czasu nie było (do stracenia.

Najbliższymi tronu byli, naturalnie, dwaj bracia zmarłego: eks- - kardynał Jan Kazimierz i Karol Ferdynand, biskup wrocławski. Ten ostatni jednakże zdawał się tak mało zdradzać ambicji a tak wielkie do stanu duchownego powołanie, iż nikt go w początkach posądzać nie mógł nawet, żeby się starał o koronę. Przeciwnie, Jan Kazimierz, który w życiu rzucał się już na wszystko i wszystko, co ujął, porzucał z niesmakiem, na pierwszą Wieść o zgonie brata, przybrawszy po nim spadły na siebie tytuł króla szwedzkiego, musiał, naturalnie, rozgorzeć natychmiast niezmierną żądzą otrzymania korony.

Jest to zagadka, kto pierwszy poddał biskupowi wrocławskie-mu myśl starania się o tron, której on by sam może nie powziął. Miał bardzo mało pomiędzy senatorami duchownymi i

świeckimi przyjaciół, nie żył prawie z nikim; milczący, mało przystępny, skąpy, nie przyciągał ku sobie. Prawdopodobnie korespondencja, jaka się między nim w tym czasie zawiązała z rodziną w Szwecji, była pierwszą pobudką. Zachęta wychodziła stamtąd może. Pozostanie to zapewne

tajemnicą, jak się zrodziła myśl, lecz nagle i niespodzianie dla wszystkich puszczono w świat, że książę biskup będzie się też starać o koronę. Współcześnie z tą pogłoską na samym brzegu Wisły należącym do księcia Karola, tym samym prawym, co skrzydło, jakie w zamku zajmował, z

rozkazu jego zaczęto śpiesznie budować. Było to tym dziwniejszym, że po śmierci króla bracia mieli do podziału między siebie pałace na Krakowskim i w Ujazdowie, a Karol pieniędzy wydawać nie lubił. W miejscu na tę budowę przeznaczonym stała niegdyś szopa, która dworowi do kąpieli w Wiśle służyła i do spoczynku po nich. Była w niej kręgielnia dla dworu, a później przemysłny mieszczanin wprosił się tu z rodzajem gospody pod wiechą, gdzie wino, miód i piwo sprzedawał. Z

rozmaitej czeladzi dworskiej i panów, którzy na dworze bywali, wielu zwawszych i młodszych zbiegało tu dla swobodniejszej zabawy. Na zamku musieli się trzymać cicho, spokojnie i oglądać na marszałkowskie sługi, tu byli poza murem i za okiem.

Nagle po śmierci króla, wśród tego rozgorączkowania, które umysły opanowało, ujrzano z

wielkim pośpiechem cieśli, murarzy, budowniczego Włocha i całą gromadę robotników

krzątających się około szopy. Przerabiano ją na gwałt, powiększano i przyozdabiano; nikt nie

wiedział na co i dlaczego? Nikt też ani budowniczy sam, nie umiał powiedzieć, do czego

przeznaczano nową szopę, nie wie- dzieć bowiem, jak to inaczej nazwać było. Ciekawi, którzy tam zaglądali, widzieli w pośrodku ogromną, długą izbę, słupami popodpieraną, a po rogach kilka pomniejszych. Z boku ogromne kuchenne miało się znajdować ognisko, a pod jedną z izb

murowano dosyć obszerną piwnicę.

Nie było tajemnicą, że się to czyniło kosztem księcia biskupa wrocławskiego, który sam

parę razy z ogrodu swego chodził budowę oglądać i pracującym pośpiech zalecać. W części z muru, resztą z drzewa ogromna gospoda stanęła wkrótce tak jak gotowa; ściany jej pobielono i

pomalowano, natychmiast wewnątrz wyporządkując. W wielkiej izbie, jak była długa, ustawiono dwa rzędy stołów i ław przy nich. Do ścian poprzybijano świeczniki niewykwintne, ale gęsto, w bocznych izbach pomniejszych trochę pokaźniejsze ustawiono stołki, stoliki i szafy. Można się więc było spodziewać, że ktoś wkrótce obejmie gospodę. W istocie ze dworu księcia Szlązak, niejaki Nietopa, przeniósł się tu na mieszkanie, a z miasta wzięty z kuchni kanclerza Ossolińskiego młody i zdolny kucharz Czernuszka począł spiżarnią zaopatrywać.

Łatwo się było wtedy domyślać, że zbliżająca się elekcja miała gospodę zużytkować,

choć była ona tak od pola i szopy oddaloną, iż nie na wiele szlachcie się przydać mogła. Do sejmku elekcyjnego jeszcze dosyć zostawało czasu, gdy w gospodzie tej obudziło się życie i już aż do końca wyborów nie ustawało. Szli Mazurowie szczególnie tutaj jak w dym, ale i inni za nimi, bo drzwi wszystkim stały otworem; Nietopa przyjmował nader gościnnie, karmił, poił, a nikomu płacić nie kazał. Oprócz niego kilku szlachty z waszecia, Wysocki jeden, Czyrski, Niszczycki zasiadali tu, przyprowadzali z sobą panów braci i jawnie ich na stronę księcia biskupa jednali.

Czy się kto chciał i miał nawrócić ku niemu, czy nie, gdy tu pieczeń zawieszista co dzień pachniała, a piwo i miód było doskonale — ludzie ochoczo płynęli. Że tak skąpy pan nie żałował na to, dziwiono się powszechnie, a Nietopa powtarzał swoim łamanym językiem:

— Dla Rzeczypospolitej ten pan nic nie pożałuje.

W początkach nie było gości tak wiele w gospodzie, choć pustką ona nigdy nie stała, ale im bliżej sejmku elekcyjnego, gdy się zaczęto ściągać i zjeżdżać, z rana, od pierwszej mszy świętej izba bywała nabitą i przy dobrej myśli zabawiano się niemal przez noc całą.

Kto sobie podochocił, na ławie się przesyiał — nie mówiono mu nic.

Nietopa pilnował właściwie tylko gospodarstwa i porządku; Wysocki zaś, Czyrski i

Niszczycki oratorami byli i rej wodzili. Nie można było przeciw ich wyborowi powiedzieć nic.

Każdy z tych ichmościów miał swój przymiot, a wszyscy gęby wyprawne co się zowie. Na

skinienie wzajem sobie pomagali.

Wysocki głową ich mógł się nazwać; bystry, zręczny, i choć chudy pacholek, miał prezencją taką i tak umiał zgrzebne płótno za atlas sprzedawać, iżby go z dala każdy wziął za potomka wielkiej rodziny i za majątnego panka, gdy w istocie ani zagona nie miał. Ale głowę nosił, piersi nastawiał, ręce zakładał za pas, nogami tak umiał robić, że czy siadł, czy stał, czy chodził, pańsko zawsze. Na ludzi patrzył z wysoka i spoufaleć się z sobą zbytnio nie dawał. Szanować go musiano, choć nikt nie umiałby być powiedzieć: za co? Wysocki Wymowę miał nieszczególną, ale i z tą tak się umiał obchodzić, że go za oratora miano. Chrzakał, rękami machał, oczyma łupał, mruczał, pokrzykiwał — i tak to czynił odważnie, iż wszystkich konwinkował. Ponieważ wzrost miał

nadzwyczajny, tak że mało kto go dorósł, w ciżbie zatem oczyma panował nad tłumem i gdzie go było potrzeba, zjawiał się natychmiast. Wymowie postawa w pomoc przychodziła.

Czyrski mały, zwinny, jowialista, jakich wówczas pełno było, tak że go z najcelniejszymi ówczesnymi, z Samuelem Łaszczem i Zaliczewskim porównywano, nieustannie w ruchu, w

łamańcach, w wybrykach, z czupryną najeżoną jak szczecina, z gębą ogromną, z brzuszkiem okrągłym, miał to posłannictwo, aby wszystkich rozweselać, a kogo potrzeba było, — ośmieszać.

Dowcip jego nie silił się na subtelność, rąbał jak siekierą, ale znał swych słuchaczy doskonale i nigdy nie chybił; zrozumieli go oni zawsze. Czasem znanego co powtórzył, ale tak przyłatał w miejscu, że uszło za jego własne.

Najrozumniejszym i najwymowniejszym statystą był Niszczycki. Mówiono o nim, że się

sposobił był do stanu duchownego i wyszedł potem z jezuickiego seminarium na prawnika. Trochę teologa, trochę jurysty czuć też w nim było. Mówił łatwo, dużo i nigdy go nikt nie skonwinkował.

Gdy począł mówić, miał ten dar, że go słuchano, rozgniewał się, niczym dla niego było godzinę i pół-torej wodę warzyć, przelewać jedno a jedno. Słuchacze, w końcu zmęczeni, mówili przy konkluzji:

— Ma słusność, ma słusność.

Ci trzej ichmoście byli tu w gospodzie co dnia. Zjawił się ktoś nowy, otaczali go

troskliwością szczególną: pojono, karmiono, zabawiano i nie puszczano stąd, aż przyrzekł i sam powrócić, i drugich z sobą przyprowadzić. Czyrski szczycił się, że kasztelana chełmińskiego był

powinowatym; Niszczycki sam miał tytuł chorążego bełskiego. Zresztą dostojniejszych tu napotkać było trudno, ale musiała gospoda ks. Karola być i potrzebną, i pożyteczną, gdy ją utrzymywał, pomimo że go niezmiernie wiele kosztowała.

Nietopa człek był po swojemu uczciwy, ale nie byłby swego wieku dziecięciem, żeby się nie starał korzystać z położenia dla własnej kieszeni. Kucharza i spiżarni mimo dozoru bardzo trudno dopilnować. Ćwierci mięsa szły okrutnie pośpiesznie, a piwnica się opróżniała w cudowny sposób.

Bywały takie dni, że pod noc na miasto posyłać musiano, aby wstydu nie mieć.

Wysocki zaś szczególnie nalegał na to, iż tu skąpstwo było nie w miejscu i perorował

Szlązakowi na swój sposób:

— Waszmość to powinienes rozumieć, że tu albo tego... albo tego... albo starosta, albo

kapucyn. Zbłąźnić się nie godzi. Mnie samemu księcia żal i jego talarów, ale kiedy chce królem być, to darmo!

Jednego jesiennego wieczora tłumniej było w gospodzie niż zwykle i tak gwarno, że w nie opodał stojącym pałacu księcia Karola, który od gospody kawał placu tylko i mur gruby oddzielał, pewnie szum ten słyszeć musiano.

Nie było prawie dnia, aby z tych pogromów kozackich, z tych pobjowisk sromotnych, z

tych krajów zalanych przez motłoch pijany, nie zjawił się bi,edny zbieg jakiś, ranny, wyzwoliwszy się z niewoli lub t.p. Włosy wstawaly na głowie słuchaczom, gdy ci nieszczęśliwi opowiadać zaczęli; ale tego dnia szlachcic Podlasiak, niejaki Szmerdowski, szczególnie wszystkich mocno zajmował; takie straszliwe dzieje, których wszystkich świadkiem był, opowiadał, nieznużony, od rana. Posądzali go wprawdzie niedowiarkowie niektórzy, iż srodze musiał fantazją nadrabiać, ale kłął się i w piersi bił, i powtarzał ciągle: „Bodajem się tak z miejsca tego nie ruszył, jeżeli to wszystko świętą prawdą nie jest, którą na oczy oto te oglą- dałem”. Okrucieństwa szczególnie zbuntowanego chłopstwa przerażały. Pomiedzy innymi Szmerdowski też przyniósł jeden z

pierwszych tę pogadankę, iż Kozacy się chlubili rozkazem nieboszczyka króla, który im krzywd się mścić na panach i szlachcie dozwolił. W niewoli będąc u Kozaków, z której cudem miał się wysliznąć, na swe uszy słyszał to od starszyny kozackiej i dodawał, że pana, bądź co bądź, co rychlej obierać było potrzeba, bo Kozacy tylko na imię króla i z nim układać się zechcą, a z panami

— nigdy.

Wszyscy też tu jednego byli zdania, iż król a wódz koniecznie , był potrzebnym. Rakoczy, choć się i stręczył, i napraszał, nikt do niego smaku nie miał; o, innych kandydatach nie czas było rozmyślać, pozostawał więc tylko wybór między Janem Kaźmierzem. a Karolem.

Trudne zadanie mieli ci, co ostatniego zalecać chcieli. Nikt go nie znał. Kazimierza zaś znano aż nadto. Tu w gospodzie nie oszczędzano go wcale i Czyrski, gdy ktoś o nim napomknął, parsknął śmiechem.

— A toż nam drapnie jak Walezy — zawołał — jeśli, uchowaj Boże, wybór padnie na

niego! Gdzież on kiedy wytrzymał? Mnichem był — zbrzydł mu kaptur rychło, okrył go papież purpurą — i tę mu odesłał. Znowu tedy świecką suknię wdział i ta go prędko parzyć będzie. Dacie mu koronę, niedługo ją ponosi. Któż go tu nie zna? Polaków me lubi; Niemcy i Włochy to jego najmilsze towarzystwo, a papugi, małpy też i karły, bo z nimi po całych dniach siedzi, chętniej niż z

panami senatorami! Pożytku z niego Rzeczpospolita mieć nie będzie. Całemu światu wiadomo, że książę nasz Karol oszczędnością i rozumem grosza sobie zebrał sporo, z tego już teraz nie czekając kilkuset ludzi uzbrojonych swoim kosztem posłał na obronę granic Rzeczypospolitej od kozackiej powodzi. Kazimierz grosza przy duszy nie ma, wprzód zawsze zje, niż dostanie, bo u niego ładu nie pytać. Ani ich porównać można z sobą — ciągnął dalej Czyrski z zapałem wielkim — książę biskup człowiek poważny i stateczny, ten za dziewczkami biega jak młokos, tak że królowa od swego fraucymeru drzwi przed nim zamykać musiała.

Słuchali wszyscy w milczeniu, aż jeden szlachcic z kąta, siedzący nad szklanicą piwa z grzankami, powoli począł:

— Panie Boże odpuść! Nie szczęściło się nam z panami naszymi od czasu, jak Jagiellonów nie stało. Francuzaśmy wybrali ze strachu, aby Rakuszaninowi się nie dostać, a ten nam srom uczynił, uciekwszy precz. Przyszedł po nim z wilczymi zębami Szczepanek i począł cisnąć, a może by i ład zaprowadził, gdyby go śmierć nie zaskoczyła. Ale co i po nim było? Z Francuzem się żaden z nas rozmówić nie mógł, bo naszego języka nie znał ani się go uczyć chciał; z Batorym też kto po łacinie nie umiał, musiał przez Zamoyskiego konwersować. Bóg ci jeden wie zresztą, kto panował

naówczas, Batory czy Zamoyski? Aż wybraliśmy sobie z kroplą krwi jagiellońskiej Zygmunta, co go nam zalecili, że się pacierza naprzód po polsku nauczył. Biliśmy się aż za niego, aby znowu Rakuszanina nie puścić! Co potem? Rakuszanin mu żonkę dał i jedne i drugą, a z żonami weszła niemczyzna i dzieci się pochowały na Niemiaszków.

Byłby tak dłużej się rozwodził szlachcic, ale Niszczycki nie dopuścił, zważywszy, że koniec końcem nie szło to na korzyść księcia Karola.

— Hej, hej! — zawołał żywo — co tu przeciwko Opatrzności bożej i losom przeszłym

rekryminować nadaremnie! Co się stało, odstać się nie może. Dziś *periculum in mora*, pana potrzeba co najrychlej. Dwu ich tylko do wyboru mamy, księcia eks-kardynała, który się dziś już szwedzkim królem nazywać, każe, znamy! To dosyć, aby go nie chcieć! Przepomnieliśmy też jedno, że dla tego tytułu króla szwedzkiego, o który się spierać będą, wojnę nam może

naprowadzić. Niechajże sobie panuje w Szwecji, a my księcia Karola jednogłośnie na tron wezwijmy. Wszystko mówi za nim.

Milczano dokoła, nikt jakoś nie przeczył, głuchy gwar tylko izbę napelniał. Część gości obstała szlachcica, który o okrucieństwach Kozaków i Tatarów opowiadał i z gorączkową ciekawością, coraz nowymi pytaniami, coraz też straszniejsze i krwawsze wywoływał obrazy.

Wtem od jednych drzwi ściśnięty tłum rozstąpiwać się zaczął ze szmerem jakimś dziwnym i ponad głowami jego ukazał się wierzch tylko czaszki okrytej rozczochranymi jak krzak włosami siwymi, a zarazem z ust do ust podawać sobie poczęto:

— Bojanowski! Bojanowski!

Imię to miało jakby własność nakazywania milczenia, gdyż wszystkie usta się zamknęły, a oczy skierowały się w tę stronę, gdzie przez rozdzielające się dobrowolnie fale tłumy z wolną przedzierał się ów Bojanowski. Wysocki, Czyrski, Niszczycki zasłyszawszy o nim, wszyscy się znaleźli kupą razem, jakby czuli obowiązek zgromadzenia się ku obronie.

Przez rozstępujące się ściany gości wyszedł na ostatek Bojanowski ów, którego długo tylko siwą, najeżoną włosami głowę widać było. Już z niej o wzroście jego wnosić było można;

olbrzymim w istocie ukazał się, a wychudzenie czyniło go jeszcze na pozór rosiejszym. Skóra to była tylko i kości, ale kości grube, potężne, na których pooplatane ścięgna i żyły jakby podskórną siatkę tworzyły. Ogromna, blada, przeciągła twarz z długą brodą siwą, tak rozczochraną jak włosy, spadała mu na piersi, na wpół obnażone. Mało kto mógł bez niepokoju i prawie że trwogi wejrzenie tego człowieka wytrzymać. Głęboko pod kośćmi czołowymi ukryte oczy, w tym cieniu sklepień obrosłych brwiami najeżonymi, świeciły, jakby w istocie ogień jakiś w nich gorzał. Rysy twarzy regularne, ostre, suche, miały wyraz pogardy i odwagi niewypowiedzianej. Wargi bledsze niż skóra, prawie białe, jakby spalone, na wpół tylko miał przymknięte. Pomimo że suknia, która go okrywała, prawie łańchmanem się nazwać mogła, Bojanowski miał majestatyczną postać. Brunatnego koloru rodzaj opończy, przypominający zakonnym krojem mnicha, bez kołnierza u góry, w grubych, gęstych fałdach opadał mu na nogi okryte skórzanymi cholewami, które sznurkami były

przytwierdzone. W pasie obwiązany był prostym sznurem, powrozem raczej, od którego zwieszony różniane drewniany z gałkami ogromnymi i nieforemnymi za każdym poruszeniem wydawał jakiś grzechot niemiły. Pacierze te drewniane stukały jakby kości trupie. W jednej ręce niósł ogromny, gruby kosztur, którym się podpierał, a trzeba się było przypatrzeć tej ręce, aby zrozumieć, czym ten człowiek za młodu być musiał. Dziś jeszcze zdawało się, że gdyby kosztur chciał pocisnąć, woda by z niego pociekła.

Szedł powoli Bojanowski, ale nie sam; z lewej strony pod łokciem jego sunął się mały

człek, zdyszany, niespokojnymi oczyma patrzący dokoła: był to jego, nie wiadomo, sługa, towarzysz, uczeń, dość że nieodstępny cień. Podeszedłszy ku środkowi izby, w której coraz ciszej na widok jego być zaczynało, Bojanowski stanął i oczyma swymi z głębi jam, spod cienia brwi, potoqzył dokoła.

Dla wszystkich niemal, co się tu znajdowali, Bojanowski przynajmniej z nazwiska i

rozgłosu był znanym. Chociaż dziś ledwie się o nim pamięć uchowała, w owe czasy cała niemal Polska, a przynajmniej znaczniejsza część jej, znała Bojanowskiego lub słyszała o nim. Głucho i różnie rozpowiadano o jego przeszłości. Wiadomo tylko było na pewno, że od lat wielu odprawiał

pokutę, odbył pielgrzymkę do Ziemi Świętej, był w Rzymie, a teraz od jednego do drugiego cudownego obrazu pieszo chodził, po kościółkach się wiejskich zatrzymując, a zagadnięty — do pokuty pobudzał ludzi. Wymownym był, a śmiałym, że nikogo nie szczędził. Ciekawi go często byli ludzie, lecz się zarazem obawiali, osobliwie panowie i szlachta, których bez miłosierdzia chłostał i smażał. Łagodniejsi duchowni częstokroć próbowali go powstrzymywać od wybuchów i skłonić do większego pomiarkowania, ale Bojanowski, nie sprzecząc się z nimi, wysłuchawszy co mówili, bynajmniej postępowania swojego nie zmieniał. Rozpowiadano o nim, że tam, gdzie publiczne

zgorzenie widział albo słyszał o nim, wędrował nieproszony i nawoływał do pokuty.

Udało mu się niejedną raz tak nawrócić grzesznika i skrucę w nim obudzić, ale też i psami go czasem ze dworów wyszczuwano i kamieniami ciskano za nim. Chociaż wyglądał jak żebrak,

Bojanowski nigdy od nikogo nic nie przyjmował, chyba że go głodnego nakarmić kto się ofiarował, ale i to jego jadło nikomu być nie mogło ciężarem, bo mięsa nigdy nie brał w usta, a lada polewką, chlebem, wodą, mlekiem głód zaspokajał. Towarzysz jego, którego znano pod nazwiskiem Warsza, pilnował, powiedziec było można, aby postów zbyt nie przeciągał i czasem gwałtem niemal go karmił. Miano go za tak świątobliwego, iż po drodze, gdzie się ukazał, matki przyprowadzały mu dzieci, aby je błogosławił. Bronił się on tej czci i niekiedy oburzał.

— Jam taki grzesznik nędzny, jako i wy — wołał zniecierpliwiony — widzicie, że pokutę za grzechy moje odprawuję. Nie pomoże wam błogosławieństwo skalanych rąk ani spalonych warg moich, módlcie się sami, a Bóg was wysłucha.

Wtargnięcie Bojanowskiego do gospody było rzeczą zupełnie dla gości tutejszych i gospodarzy niepojętą, gdyż stary pątnik w takich tłumnych zgromadzeniach nie bywał nigdy, unikał ich, uciekał od nich. Wysocki i jego towarzysze wcale mu też radzi nie byli. Nie rozumiano, kto go tu wprowadził.

Wtem zza stoła ów Podlasiak, który się mienił zbiegiem od pogromu i cuda owe rozpowiadał, ruszył się, ujrzawszy Bojanowskiego, jakby przelęknął. Stary go szukał wejrzeniem, a raz znalazłszy, wlepił oczy w niego z takim natężeniem i siłą, że Szmerdowski jak skamieniały stanął. Milczenie coraz głębsze objęło izbę, jak była wielką i aż do końców jej z wolna się rozpostarło. Bojanowski stał i kijem uderzył w podłogę.

— Mów — rzekł z wolna głosem silnym i głębokim — mów! Niechże i ja słyszę, jako Bóg nas karze. Mów!

Tymczasem wymowny do zbytku przed chwilą Szmerdowski, języka zapomniawszy w gębie, bełkotał tylko coś niewyraźnie. Ci, co go wprzód tak ogniście opowiadającego słuchali, poczęli rękami potrącać i szeptać. — Ano, mówże!

Wysocki rad może, iż o nic więcej nie szło Bojanowskiemu, nakazującym ruchem

Podlasiakowi dał znak, aby był posłusznym. Ale Szmerdowskiego cała odwaga i pewność siebie opuściła.

— Już mi sił nie staje — odezwał się słabym głosem — a co oczy moje oglądały, to mi się samemu wydaje jako sen, nie do wiary. Cóż drugim, którzy o tym słuchają!? Krew się lała i leje potokami, studnie trupów stoją pełne. Lasy całe na pale powbijanych dokoła miasteczek stoją.

Żaden zwierz dziki tak się nie pastwi nad swą ofiarą.

Gdy to mówił głosem drżącym Podlasiak, słuchał go starzec milczący.

— Ani ty potrafisz wymyśleć — rzekł po przestanku — czego by sroga pomsta boża nie

spełniła. Tak jest, niestety! Czyś oglądał, czy słyszał, czy śniło ci się tylko, wszystko to prawdą jest, było, stało się lub stanie! Wielkie były grzechy nasze, więc nadszedł dzień sądu i kary. Lat temu nie mało proroczym głosem z kazalnicy Skarga, mąż święty, wszystko to przepowiedział. Niewolę u obcych, znęcanie się sług nad nami, rzeznie, pożogi i sromotne zbiegi z placu boju i męczarnie, i rzeki krwi, i chóry jęków do głuchych niebios, bo je grzechy nasze dla nas zamknęły. Więc dopuścił Bóg i chłosta się poczęła, a trwać będzie nie jeden dzień — *dies irae*, ale wieki gniewu Pańskiego, tak jak wiekami ciągnęły się rosnące grzechy nasze!

Bojanowski jęknął.

Cały ten tłum, przed chwilą prawie rozweselony napojem i płochymi rozmowy, uczył się

przerażony. Głos starca jakby z grobu wychodzący, poważny, potężny siłą tajemniczą, do głębi wszystkich przejmował. Ciężkie westchnienia i jęki nawet zaczęły się dobywać z piersi niektórym, innym łzy się toczyły.

Starzec stał z oczyma wpatrzonymi jakby w dal, milcząc chwilę.

— Pana myślicie wybierać — ciągnął dalej z wolna — i potrzeba go nam, zaprawdę... lecz

któż z was słuchać zechce wybranego? Wysadzicie go, abyście mu się urągali, aby wam zapłacił, aby każdy z was z niego skorzystał, bo prywata u nas jedna w sercach. Urzędów pragniecie nie dla służby Rzeczypospolitej, - ale dla jurgieltów, dostojeństw żądacie jako arendy, z której wam dochód

' płynąć będzie. Żołnierz nie słucha wodza, hetmani się kłócą z sobą. Po domach niezgoda, na sejmach rozerwanie, przed wrogiem i bitwą nieposłuszeństwo. Na wojnę ciągnęliście namioty złote i pierzyny, i kredensy srebrne wioząc z sobą, otóż je macie w kozaczych dziś rękach łupem!

Męstwo nawet stare z piersi wygnała zgnilizna rozpusty. A przykład szedł z góry — i jedna ona łaźnia krwi nie obmyje ani uleczy. Kary bożej świt to dopiero i początek, pokolenia ją znosić będą, wieki ona trwać musi...

Głos cichszy coraz zmienił się w niewyraźne mruczenie. Wszyscy stali pomieszani i

strwożeni. Niszczycki, który jeden pochlebiał sobie, iż temu straszemu prorokowi placu dotrzymać potrafi, zbliżył się nieco.

— Nie należy nam męstwa odejmować — odezwał się — gdy go właśnie najwięcej

potrzebujemy! Bóg da, nie pójdzie napomnienie jego na próżno. Poprawa już jest znaczna, wszyscy dziś czują, jakiego nam pana potrzeba i zgodni są, aby go obrać głosami jednymi.

Bojanowski spojrział nań długo, topiąc w nim wejrzenie.

— Módlcie się, a czyńcie pokutę — rzekł. — Nie wiecie nic, ślepi jesteście, ani

pochlebiajcie sobie, abyście moc mieli jaką. Ta siła dana jest tylko narodom zdrowym i

niezepsutym. My już nie władamy sobą, będziemy losów, wiatrów albo raczej twardych owoców naszego grzechu ofiarą. Ani wybieriecie, kogo chcecie, ani pójść będzie mógł, jak zażąda. Zerwały się wodze i woźniki pędzą bez nich na przepaście. Módlcie się a kajajcie! Módlcie się a czyńcie pokutę!

Podniesionym głosem, wymówisz wyrazy te, Bojanowski jeszcze raz powiódł oczyma po

tłumie, w którym już szlachcica Podlasiaka nie dostrzegł. Zniknął on gdzieś i skrył się. Starzec, postawszy chwilę, otoczony trwożliwym milczeniem, poruszył się, zawrócił z wolna i pokręciwszy wąsa, począł posuwać się ku drzwiom. Nikt go też wstrzymywać nie śmiał; kilku tylko bliżej stojących pochyliło się do ucałowania ręki świątobliwego męża, ale starzec ją żywo uchylił, nie dopuszczając tej oznaki poszanowania.

Poza nim zamykał się już tłum gęsty i z kątów ogromnej izby z wolna szmer głuchy

najpierw, potem coraz głośniejszy gwar, aż hałaśliwa wrzawa na nowo rosnać zaczęła. Wszyscy jakoś swobodniej odetchnęli, gdy się Bojanowski oddalił. Szmerdowski, który był się gdzieś w kąt wcisnął, wynurzył się znowu z tłumu.

— Świątobliwy mąż — odezwał się półgłosem Niszczycki., który nie bardzo był rad

zjawieniu się jego i wrażeniu, jakie zostawił po sobie. — Świątobliwy mąż, ale pokutnik też za grzechy wielki.

Niszczycki ręką wskazał na czoło.

— Dziś mu już tu wszystko się zmieszało, bodaj własne jego grzechy z naszymi. Bóg

sprawiedliwy jest, ale miłosierny. To, cośmy wycierpieli, starczy za karę. Wybierzemy pana, skupimy się około niego, pójdziemy na to chłopstwo ze starym duchem rycerskim.

Gdy to mówił, szlachcic z tłumu się wyrwał:

— U nas to według zwyczaju król zarazem najwyższym hetmanem bywał, a gdzież tu

biskupowi, co się od dzieciństwa błogosławić tylko uczył, za oręż porywać, którego nigdy w rękę nie miał!

Zahukali go zaraz Czyrski i Wysocki.

— Na wodzów, hetmanów mamy ludzi — zawołał Czyrski — a królowi dosyć męstwa,

które książkę Karol ma. Rycerstwo u niego we krwi, niech pancerz wdzije a hełm, zobaczycie, co z niego będzie!

Śmiechem jakoś przyjęto oświadczenie Czyrskiego, ale gwar wielki stłumił spór dalszy.

Wysocki kazał misy podawać i kubki napełniać.

Rozdział II

W sypialni swej, przy klęczniku czarnym suknem obitym, otoczona żałobnymi kiry, sama w grubej żałobie, zadumana głęboko przed na wpół otwartą księgą, na której rzucony różaniec leżał, ze łzami w oczach dumiała królowa Maria Ludwika.

Lata przeżyte w Polsce, walki i nieustannego czuwania, znużeniem się wypiętnowały na

pięknej jeszcze jej twarzy, której wyraz pełen był energii i siły. Znużona była, ale się nie wyczerpało męstwo, zdawała się tym dumanie gotować do nowych zapasów. Myśl jej przebiegać musiała i przeszłość ową różową spędzoną we Francji, straconą dziś i zatartą, i ciężkie zdobycze w Polsce dokonane. Niezaprzeczone one były i choć się królowa nie chlubiła nimi, a raczej ukrywać wolała, aby nie obudzić obawy, wpływ jej zdawał się czuć wszędzie. Pobożna, miała znaczniejszą część duchowieństwa za sobą, wychowaniem, ogładą, obejściem się zyskała sobie przedniejszą część panów, którzy jak ona, obyczaj cudzoziemski nad polską, rubaszną prostotę starą przekładali.

Na północy przedstawiała ona i skupiała około siebie wszystko, co interesom Francji służyło, i miała silne jej poparcie, a że każdy z tych panów senatorów, który jej sprzyjał i umiał cenić, był

wodzem znacznego obozu szlachty uboższej, przez nich królowa też na nią rachować mogła.

W tej chwili właśnie ważyło się w jej umyśle, jaką rolę w tym czasie elekcji przybrać miała, jaką czynność przedsiębrać. Do porady nie mogła wezwać nikogo, zwierzyć się nawet nie śmiała nikomu. Przyjmowała kondolencyjne odwiedziny wszystkich, od starego prymasa począwszy, jako wdowa przygnębiona żalem, sieroctwem swym, smutkiem po nienagrodzonej stracie.

Nikomu to obcym nie było, iż pożycie nieboszczyka króla z żoną wcale serdecznymi nie

połączyło go z nią węzłami. Obojętny aż do końca, płochymi miłostkami się rozrywający, z musu tylko szanował żonę, dla oka ludzkiego zabierał ją z sobą w podróżach, ulegał jej wymaganiom, obawiał się często ostrych wymówek, ale nie pokochał wcale. Ona też okazywała mu poszanowanie należne królowi i panu, ale się nie kryła z odrazą dla jego trybu życia i obyczajów. Zawiadamiana o każdej nowej płochości ulegającego towarzyszący, którzy jego słabość wyzyskiwali, męża, królowa wiele musiała nie widzieć. Posądzona sama o płochotę, nie mogła zapomnieć tego nigdy i

postępowanie jej, surowość dla dworu, były Ciągłym kłamem zadawanym potwarzy. Zakładała klasztory, zwiedzała kościoły, otaczała się pobożnymi, karciała najmniejszy pozór lekkomyślności we dworze ją otaczającym. Z tego powodu niemal' ciągle musiała jawniej lub mniej widocznie opierać się napaściom Jana Kazimierza, który najpierw nieznośnie się naprzykrzał pannie Duret, potem

pannie Luce, z kolei wreszcie innym pięknościom fraucymeru, starając się sobie ująć na próżno to pannę Langéron, to panią des Essarts. Wszędzie dręczony swymi zachciankami

romansów, Jan Kazimierz odchodził odparty i zniechęcony.

Wiedział bardzo dobrze, iż w znacznej części to niepowodzenie swe zawdzięczał królowej, miał do niej o to żal, ale nigdy nie wyszła na jaw, ani z jednej, ani z drugiej strony ta walka potajemna, czasem śmiech obudzająca w Marii Ludwice. Eks-kardynał musiał szukać

wynagrodzenia za te klęski w kołach na przemian arystokratycznych, szlacheckich, a na ostatku mieszczańskich nawet.

Nad smutnym tym charakterem Jana Kazimierza, który od jego powrotu z Włoch czas miała

badać królowa, nigdy się nie zastanawiała baczniej, nie poddawała go surowszemu ocenieniu niż dzisiaj. Bystre jej oko nie potrzebowało głęboko sięgać, aby przewidzieć, że król szwedzki zostanie polskim zarazem, chociaż w bracie Karolu miał niebezpiecznego współzawodnika.

Niebezpiecznym szczególnie był biskup wrocławski pieniędzmi, jakimi rozporządzał. Król szwedzki oprócz długów mało co więcej posiadał. Najszcześliwiej prowadzona elekcja wymagała wielkich wydatków, nieuniknionych prawie. Wyrobiły się już pewne formy i tradycje, pewne obyczaje wyborcze. Musiano się posługiwać wielu pośrednikami, ludźmi ubogimi, których opłacać było potrzeba. Na to wszystko Jan Kazimierz nie miał prawie zasobu, gdy Karol już przeszło milion złotych, jak mówiono, na zaciąg ośmiuset ludzi, których ofiarował Rzeczypospolitej i na rozliczne inne przedelekcyjne zabiegi wyłożył. A mógł dać więcej jeszcze. Z księciem Karolem królowa nigdy bliższych stosunków nie miała. Unikał on kobiet w ogóle, a zmuszony bywać u Marii Ludwiki, swą suknią duchowną i charakterem stawał na stronie, nie spoufalając się wcale. Oprócz tego temperamentem, charakterem, całym sobą nie podobał się królowej i jej nawzajem nie lubił.

Nie mógł też miłszym się stać Jan Kazimierz, którego powierzchowność była wstrętliwą,

obejście, się naprzykrzone, rozmowa cczą i nieznośną, ale Maria Ludwika czuła w nim człowieka, nad którym łatwo perswazją zapanować było. Nie miał on wytrwania w niczym, prowadzić się dawał tym, co jak Butler i inni faworyci, przypodobać mu się umieli.

Krótką chwilę po zgonie męża królowa pomyślała o powrocie do Francji, ale natychmiast

uczwała, iż on by był błędem i abdykacją przeszłości, której się jeszcze wyrzekać nie chciała. Cały jej majątek, wyposażenie, mnóstwo rozpoczętych fundacji ją powstrzymywało. Musiała pozostać i mogła jeszcze przeważną odegrać rolę. Wzrok jej przebiegał cały szereg tych ludzi, którzy stali lub mogli stanąć u steru, a wśród nich ani jeden się jej nie wydał wyposażonym tak, aby mógł

zapanować nad wypadkami. Czuła się do pewnego stopnia silniejszą niż oni lub co najmniej zdolną stanąć i do walki, i do rudla. Ale w tej chwili były to jeszcze raczej przecucia, marzenia, rojenia, niż powzięte zamiary- i myśli. Czuła tylko, że powinna była zachować swą niezależność, stać na uboczu i nie mieszać się do niczego, dopóki nie była zapewnioną własnych korzyści i pozyskania

godnego siebie stanowiska. Domyślać się mogła łatwo, iż biskup wrocławski równie jak król szwedzki (tak się on nazywać kazał), starać się będą o pozyskanie jej sojuszu i pomocy, lecz właśnie w interesie przyszłości było nie wiązać się niczym. Rozmyślanie to przerwało jej modlitwę, klęczała jeszcze, ale sparta na rękę przestała się modlić, gdy lekko uchyliły się drzwi i królowa postrzegła zaglądnącą ostrożnie Langeronównę. Zwróciła ku niej pytające oczy.

Na palcach podeszła Francuzka i przyklękła przed panią szepcząc:

— Król szwedzki.

Brwi Marii Ludwiki z lekka się ściągnęły, pomyślała chwilę.

— Powiedz, że kończę modlitwę, a ksiądz Fleury niech wyjdzie na jego przyjęcie, ja zaraz tam będę. Ksiądz Fleury, szepnij, aby się nie oddalał w ciągu bytności króla.

Posłuszna Langeron wysliznęła się z pokoju, a królowa jeszcze po febrze osłabiona, z

ciężkością się podniosła od klęcznika i siadła na chwilę na krześle. Spojrzała w bok na zwierciadło w srebrnych ramach, które jej twarz bladą i smutną, ale nie bez pewnego wdzięku, odbijało.

Obrachowawszy czas tak, aby ksiądz Fleury mógł wprowadzić króla na pokoje, Maria Ludwika podniosła się z wolna, przybrała majestatyczny wyraz twarzy i krokiem wolnym postąpiła ku salce, w której już głosy króla i doktora Sorbony słyszeć było. Paż, który na nią u drzwi oczekiwał, otworzył je, weszła.

Jan Kazimierz stał ze zwykłą sobie twarzą kwaśną a dumną, która się zdawała wyrażać

wiecznie jakby wrażenie świeżo doznanego zawodu i przykrości. Niezmiernie rzadko widział kto króla wesołym oprócz jego karłów, poufałej służby i nielicznych przyjaciół. Narzekanie, sarkazm, szyderstwo przychodziły mu najłatwiej, a wszelki jakikolwiek bądź przedmiot rozmowy w jego ustach zmieniał się w opowiadania o sobie. Zwrot ten do siebie był nałogowym. Było to

charakterystycznym. Zwykle żółty i ciemnej płci, na której tylko ślady ospy jaśniej się zarysowywały, ust dumnie wykrzywionych, nadąsany, tym razem był może chmurniejszym, troską jakąś przesyconym mocniej nóż kiedykolwiek. Królowa dała mu, naturalnie, miejsce pierwsze, usiadła sama, ale spojrzeniem powstrzymała księdza de Fleury, który na prostym krześle bez poręczy przysiadł w pewnym oddaleniu. Obejrzenie się niespokojne Jana Kazimierza miało bardzo jasne znaczenie, że rad był pozbyć się świadka i pozostać sam na sam z królową, ale właśnie temu chciała saporobiec Maria Ludwika. Nie poskutkował więc wzrok ów i król, usta zadawszy, ręce zacisnąwszy, w których rękawiczki trzymał, cicho mówić zaczął:

— Chciałem się dowiedzieć o zdrowie Waszej Królewskiej Mości; ja sam jestem tak

skołatany, czuję się niedobrze! Stan kraju prawdziwie rozpaczliwy. Przyśpieszają z elekcją, ale moim zdaniem, jeszcze ona za późno przychodzi, gdy kozactwo tymczasem niszczy, a sejmu ono i panów słyszeć nie zechce. Chłopstwu zbuntowanemu jeden majestat królewski może powagą swą być groźnym.

Westchnął król, a po chwili dodał, oglądając się:

— Stanowczo, jam temu wierzyć nie chciałem, brat mój Karol stara się o koronę.

Królowa potwierdziła głowy ruchem.

— Ale to dawno wiadomo — szepnęła.

— Z wielu względów wydawało mi się to prawie niemożliwym — żywiej począł król. —

Nie ma skąpszego pod słońcem człowieka nad Karola ani mniej stworzonego na panującego. Lubi samotność mniszą, zamyka się od ludzi, kto myśl tę mógł mu poddać?

Spojrzał na królową, która lekko poruszyła ramionami.

— Zdaje mi się, że ją sam powziął — odezwała się — bo wszyscy z początku utrzymywali, że Wasza Królewska Mość nie będziesz pożądał tej korony.

— A! Ja jej też wcale żadny nie jestem — odparł król — ale odziedziczona szwedzka

zmusza mnie do szukania dla niej jakiejś podpory, siły, którą bym mógł może użyć dla upomnienia się o prawa moje.

Nie odpowiedziała nic królowa, ale wzrok jej musiał zapewne być wyrazistym, bo Jan

Kazimierz dodał, odpowiadając na to wejrzenie :

— Ja sam niewiele mam nadziei odzyskania tronu szwedzkiego, prawda, lecz niemniej obowiązkiem moim jest starać się o to. Mnie to jedno stawia pomiędzy kandydatami.

Nie dokończył Jan Kazimierz i przerwał, wstydząc się może dysymulacji.

— Cierniowa to korona — rzekł — ale zawsze korona, a z najstraszniejszej konflagracji, przy pomocy bożej może najpomyślniejszy wyrosnąć skutek. Wojna daje dyktaturę.

Zamilkł nagle i po krótkim przestanku zniżonym głosem ciągnął dalej.

— Przyszedłem, rady i pociechy szukać u Waszej Królewskiej Mości.

Maria Ludwika smutnie potrząsnęła głową, spuściła oczy.

— A, Najjaśniejszy Panie — rzekła sucho i zimno — biedna wdowa, cała jeszcze zboląła, przerażona, nie tylko nikomu, ale samej sobie radzić nie umiem. Wasza Królewska Mość jesteś

pobożnym i masz ufność w Opatrzności. Ona go pewno nie opuści.

Z wielką gorącością przerwał Jan Kazimierz:

— Cała też nadzieja moja w pośrednictwie Najświętszej Marii Panny, której cudowny obraz w Czerwieńsku wlewa w moje duszę pociechę. Uczyniłem też ślub do Częstochowy. Tak — dodał

z gorącością wielką i szczerą — w czasach jak nasze, gdy rozum nie starczy, na opiekę Bożą, na pomoc świętych patronów zdać się potrzeba.

— Szczęśliwy, kto sobie powiedzieć może — przerwała królowa sucho — że na nią zasłużyć potrafił.

Nastąpiło milczenie jakieś przykre, a Jan Kazimierz ze właściwą sobie płocnością zwrócił rozmowę.

— Mówią, że Karol więcej miliona już między ludzi puścił, ośmset zbrojnych dał

Rzeczypospolitej. Tak, ale oprócz małej garstki ludzi, którzy prawie żadnego nie mają znaczenia w Rzeczypospolitej, nie będzie miał za sobą nikogo.

— Ja zupełnie jestem tych spraw nieświadomą — obojętnie dorzuciła królowa.

— Wyliczyć mogę jego przyjaciół — począł żywo Jan Kazimierz — biskup kijowski

Zaręba? Któż go tu zna? Co on znaczy? Być może, iż wojewodę wołyńskiego, księcia Sanguszkę sobie pozyszcze i księcia Izzydora Zasławskiego, ale to są imiona, nie ludzie, w senacie żaden z nich odezwać się nie potrafi, a gdyby mówił, nikt go słuchać nie będzie. Czyrski, kasztelan chełmiński, świeża kreacja, *homo novus*, a Ruszkowski, inowrocławski, nie lepszy. A Teodoryk Potocki, podkomorzy halicki, otóż wszyscy... tak...

Pośpiech i dokładność, z jaką wyliczał król szwedzki adherentów swojego współzawodnika, dowodziły, że go sprawa ta więcej obchodziła, niżeli się chciał przyznać.

— Ja — dodał — ja, chętnie bym mu ustąpił, ale mnie gwałtem ciągną najprzedniejsi z

senatorów. Opieram się im, nie mógłbym nawet tych nędznych ośmiuset ludzi, których dał Karol, wystawić, a on, słysząc, obiecuje na swym koszcie trzymać dziesięć tysięcy.

Gorzko się rozśmiał król, mówiąc to.

— Ani nawet dochody wrocławskiego biskupstwa na to starczą! — rzekł. — A jeśli tak

gościnnie ciągle szlachtę karmić i pić będzie, to do elekcji długi mu tylko pozostaną.

I znowu zwrócił płochy rozmowę Jan Kazimierz.

— Pałac na Krakowskim ja chcę zatrzymać dla siebie — rzekł spoglądając na królową.

Maria Ludwika, pomilczawszy, szepnęła cicho, nie podnosząc oczów:

— W takim razie Ujazdów by się dostał księciu Karolowi.

— Ze zwierzyńcem! — podchwycił król. — Ale on nie myśliwy. Ujazdów się nadaje do podziału.

Maria Ludwika przerwała zimno.

— Raczej nie zapominać o tym, że i mnie się jeden z pałaców po moim mężu należeć będzie. Ja na zamku nie mogę ani chcę pozostać. Nadto tu wspomnień bolesnych, a potem — dodała — zamek królewski królowi cały przynależy.

Dziwnym jakimś myśli związkiem król szwedzki przypomniał sobie nagle ulubieńca zmarłego brata, jego doradcę i posła, grafa Magnusa i dodał:

— Magnus dopomina się o sto tysięcy złotych, które pożyczył Rzeczypospolitej — i ten nam ciążyć będzie, dopóki go nie zaspokoimy.

Uśmiechnęła się królowa i wtrąciła:

— Jak ja, bo i mnie dłużną jest Rzeczpospolita.

Jan Kazimierz postrzegł, że potracił strunę, której był nie powinien poruszać, zagryzł usta, nie umiejąc wyjść inaczej z zakłopotania, zwrócił się do milczącego księdza de Fleury. Zapytanie, jakie mu zadał, tyczyło się nabożeństwa jutrzejszego w jednym z miejskich kościołów. Ksiądz Fleury i królowa razem odpowiedziały, że się właśnie na uroczystość tę wybiera. Wszystkie przedmioty zdawały się już wyczerpane. Jan Kazimierz siedział jednakże.

— Brat mój Karol odwiedzał Waszą Królewską Mość? — zapytał.

— Raz był tylko u mnie, gdym tu powróciła — zimno odezwała się królowa. — Nie widuję go.

— Wasza Królewska Mość — rzekł po małym namyśle Jan Kazimierz — mogłabyś mu

oszczędzić wiele próżnych trosk, starań i wydatków, odradzając te śmieszne zabiegi o koronę. Ja ani mu jej zazdroścę, anibym przeszkadzał do niej, ale jestem zmuszony. Ciągną mnie. Jego uwodzą

pochlebcy, żal mi go. Może z ust Waszej Królewskiej Mości...

Maria Ludwika poruszyła się bardzo żywo.

— Najjaśniejszy Panie — rzekła — proszę was, pozostawcie mnie zupełnie na stronie, ja się do niczego mieszać nie chcę. nie mogę i nie powinnam. Świeża boleść odejmuje mi wszelką ochotę udziału w tym życiu, rada bym moje zakonnice Francuzki osadzić jak najwygodniej i wyposażyć, aby może kiedyś sama u nich znaleźć schronienie, zresztą od śmierci męża sprawy

Rzeczypospolitej są mi obce. Wdowa, upomnę się o moje wyposażenie, nic więcej.

— Ale Wasza Królewska Mość — zapominając się rzekł Jan Kazimierz — możesz przez

Francją, na którą masz wpływ wielki, dopomóc potężnie, komu byś chciała.

— Francja będzie iść za własną polityką i interesem — sucho odrzekła Maria Ludwika — a

ja właśnie pragnę wyrzec się wszelkiego udziału w jej polityce. Król zachmurzony zamilkł.

— Wasza Królewska Mość — dodał po chwili — możesz zmienić zdanie, tak się

spodziewam, sądzę.

Potrząsnęła głową królowa, nic nie odpowiadając. Król wstał powoli i Maria też podniosła się z siedzenia. Nastąpiło bardzo chłodne pożegnanie, po którym kilka kroków ku drzwiom przeprowadziwszy gościa, królowa wróciła do swych pokojów. Ksiądz de Fleury wiódł dalej króla.

— Cierpiącą jest? — zapytał go.

— Jak widzieliście — rzekł doktor. — Położenie jej smutne, przyszłość niepewna. Sam

widok kraju i wiadomości, jakie co dzień przychodzą, nie przyczyniają się do uspokojenia. Jedyna jej pociecha w modlitwie.

Jan Kazimierz przerwał mu gorąco.

— Moja także! Ale miejmy w Bogu otuchę i nadzieję.

To mówiąc pochylił się jakby do ucałowania ręki prałata, który skromnie się cofnął i

głębokim pożegnał go ukłonem.

W antykamerze dwóch dworzan oczekiwało na króla. Tu, jakby czarodziejską różdżką,

posępne oblicze Jana Kazimierza rozpogodziło się.

— Butler czeka na Waszą Królewską Mość — rzekł jeden.. Żywym krokiem pośpieszył król

szwedzki do zajmowanego przez siebie mieszkania. Było to jeszcze to samo, które zamieszkiwał

przed wyjazdem do Rzymu i o które później, powróciwszy, upominał się, tak że z niego graf a Magnusa wygnać musiano. Ale teraz, gdy owa mityczna korona szwedzka spoczęła na jego skroni, gdy był kandydatem do drugiej, skromny apartament ten wydawał mu się nieznośnym. Napierał się gwałtownie wspaniałego pałacu przy Krakowskim Przedmieściu, przeciwko czemu równie

stanowczo książę Karol zakładał protest. W testamencie króla Władysława nie było oznaczenia wyraźnego, jak się pałacami bracia podzielić mieli. Jan Kazimierz musiał czekać, ażeby z pomocą pośredników jakichś porozumienie nastąpiło.

W przedpokoju dwa karły, Baba i Lump, Polak i Niemiec, dwie małpy na łańcuszkach,

papuga pstra w klatce, naprzód go powitały. Gwałtowny spór wiecznie się z sobą kłócących i mordujących złośliwych karłów zmusił króla do uderzenia Baby po plecach i nakazania milczenia.

W progu pokoju oczekiwał starosta Butler, ze wszystkich przyjaciół, których król brał i rzucał bardzo łatwo, najmiłszy mu i najwytrwalej upodobany. Butler miał powierzchowność dworaka, strój cudzoziemski i tę giętkość ruchów, a wyraz twarzy posłuszny, które mu dozwalały się akomodować do humoru i myśli pana. Nikt nad niego lepiej nie znał Jana Kazimierza, który brał

za powiernika i rzucał Butlera po kilkakroć, ale zawsze zatęskniwszy do niego powracał. Był to jedyny człowiek, przed którym się mógł wypowiedzieć ze wszystkich swych słabości, nie lękając się wyśmiania ni zdrady. Butler nigdy za próg stąd nie wyniósł nic, a wielokroć ostrzegł i zapobiegł

skutkom nieopatrzności króla. Z widoczną radością przywitał go Jan Kazimierz, prowadząc za sobą w głąb swojego pomieszkania. Cały charakter człowieka się w nim malował. Nie było tu tego przepychu, tego artystycznego blasku, do którego Władysław taką przywiązywał wagę. Niestalość umysłu, zmienność gustów dobitnie się wyrażały w tym, co otaczało króla. Obok wielkiej ilości obrazów i obrazków pobożnych, krucyfiksów i relikwiarzy, widać było portrety kobiet i razem z pobożnymi porzrucane najpłochsze, najswawolniejsze francuskie książki. Nie było porządku ani wdzięku w pokojach, dosyć kosztownie przyozdobionych, ale bez smaku. Psy, małpy i karły pozostawiały wszędzie ślady swawoli. W sypialni przed wielkim obrazem, zapożyczonym z

kościółka w Czerwieńsku, wystawiającym Matkę Boską z Dzieciątkiem Jezus, paliła się lampa, i król, poszedłszy naprzód tu, pokłękł na krótką modlitwę, ale zaraz z niej powstawszy i drzwi

zamknawszy, usiadł w sąsiednim pokoju, odzywając się do Butlera:

— Wracam od królowej! — poruszył ramionami. — Sfinksem dla mnie ta kobieta. Okryta

grubą żałobą, nieutulona w żalu po mężu, który jej nigdy nie kochał, a ona go nie cierpiała, tak, ale była królową, panowała, panowała tak dobrze nad nim, że pod koniec żywota żaden wakans bez jej wiadomości nie był dany, a każdy opłacić jej musiano. Jestem pewny, że ma ogromne sumy.

Butler potwierdził to żywo.

— Ale chce, jak powiada — ciągnął dalej Kazimierz — wszystko poświęcać na pobożne fundacje i daje do zrozumienia, że sajna może schronić się do jednego z tych klasztorów.

Posądzano Karola, gdyby, co być nie może...

— Nie może! — powtórzył Butler.

— Gdyby go obrano, gotów się z nią ożenić — dokończył król.

— Ale on nienawidzi kobiet — przerwał starosta.

— Tak wszyscy świadczą — zamruczał Jan Kazimierz — ale jak to może być? To nie jest w męskiej naturze.

Westchnął i rozśmiał się razem.

— Co do mnie — rzekł — to rzecz szczególna, ja w każdej niewieście widzę coś żądę obudzającego, w każdej. Jedna ma twarz, oko, druga kibić, nóżkę, uśmiech, popiersie.

Strzepnął rękami.

— Stworzone są na to, aby nas wiodły na pokuszenie. Śmiejąc się Butler potakiwał.

— Z tych wszystkich, które ja tu spotykam i widuję — mówił ulegając potrzebie zwierzenia się przed przyjacielem — wie Butler, dwie mnie szczególnie nęcą. Oto ta, ta Francuzka Duret, no i...

Tu zniżył głos, obejrzał się i szepnął:

— I marszałkowa.

Rękę przyłożył do ust, pocałował ją i zamilkł.

— Ale z dworu królowej mądry będzie — dorzucił — kto co dostanie! Ta już stara i zwiędła Langéron, koczkodan, jak smok stoi na straży. Mówiono, że ją za męża wydać miała królowa, ale teraz wszystko poszło w odwłokę.

Pomilczawszy nieco zadumany król zwrócił się do Butlera.

— No, jakże twoje starania o pieniądze?

— Nic jeszcze pewnego powiedzieć nie umiem — rzekł faworyt — lecz bądź co bądź, musimy ich dostać.

— Karol oszalał — mówił dalej Kazimierz — sypie nimi. On! On, co dotychczas tak skąpił.

Skąd mu ta fantazja korony na przekór ze mną?

— Nie wiem — odparł Butler — może właśnie przez zazdrość!

— On królem! — poruszając ramionami mówił dalej Kazimierz. — Śmieszno pomyśleć o tym.

Butler się w istocie rozśmiał.

— Cóżś słyszał? Ma on jakie nadzieje? Groźny jest? — zapytał.

— Najjaśniejszy Panie — począł starosta — czasu elekcji każdy kompetytor straszny. Nie ma za sobą ludzi, a mogą się zrodzić jak grzyby na polu samym. Powieje wiatr. To pewna, że przeszkodą nam będzie.

— I właśnie dlatego nie ustąpię — burknął Kazimierz — ale go to drogo kosztować może.

Nikogo nie posłucha.

— Szlachtę mazowiecką, którą z dawna karmi i poi, i różnych wysłańców, co pośpieszyli tu przed elekcją — mówił Butler — jego dworzanie, Wysocki, Czyrski i inni zjednali jadłem i napojem. Porozsyłali ich po powiatach. Któż wie, gdy przyjdzie do głosowania? Wyrwie się jeden, zahuczy wrzaskliwie i pociągnie za sobą.

— Cóż tu począć? — zamruczał Kazimierz. Butler przeszedł się nieco zamyślony po pokoju.

— Najjaśniejszy Panie, gdy się senatorowie zjadą, przez nich chyba można coś będzie przedsięwziąć, aby się upamiętał.

— A to, co wyłożył? — szepnął frasobliwie król. — Wszak to już o milionie mówią.

Przyjdzież mu wracać?

— A chociażby — przerwał starosta. — Strachu nie ma. Król może parę opactw sobie do rozporządzenia wyjednać i nimi zamknąć usta.

— Jesteś mężem dobrej rady — uśmiechnął się weselej Jan Kazimierz i uderzył go przyjacielsko po ramieniu.

Rozmowa poważniejsza już płochy umysł jego znużyła. Umiał tylko dwoje: modlić się lub

śmiać i baraszkować.

— Hej! Butler, słyszysz? — zawołał. — Ty, co wszystko wiesz! Mówiono ci też już o tym, że Giżanka za męża za szlachcica wychodzi. Wiesz, ta ładniuchna Giżanka, burmistrza córka, za którą tu wszyscy latali. Nieboszczykowi Władysławowi mocno się jej zachciewało, snadź

Zygmunta Augusta chciał jeszcze lepiej naśladować, bo ten pierwszy zbałamucił Giżankę, ale jemu nie było ko- mu dopomóc tak skutecznie. Pac i Platenberg oszukiwali go, a pieniądze do kieszeni chowali i — nie dostał Giżanki.

— No i panna Langéron — wtrącił Butler, który wiedział, jak ona zawadzała Kazimierzowi

— panna Langéron ma też na pewno szlachcica konkurenta.

— Co mówisz? — wykrzyknął król. — Ja bym sam gawota gotów pójść na jej weselu.

— Ba — odezwał się Butler — zastąpi ją des Essarts lub inna!

— To prawda — smutnie potwierdził Kazimierz. — Dwór królowej to drugi klasztor. Za najmniejszą płochość wysyła do Francji, a ma tak dobrych szpiegów!

— Królowa? — podchwycił, zbliżając się ku siedzącemu panu, Butler. — Królowa? Ale ja właśnie wrócić chciałem do niej. Wasza Królewska Mość powinieneś się starać pozyskać ją dla siebie. Może ona mówić, że się do niczego nie miesza, ale ma stosunki, ludzi i umie tak pokierować nimi, że bez niej, a uchowaj Boże, przeciwko niej, my sobie rady nie damy, gdy z nią byłoby nam tysiąc razy łatwiej.

— Ba! — odparł zadumany Kazimierz. — Myślisz, że ja nie wiem o tym? Kobieta rozumna

i przebiegła, za nieboszczyka nigdy się nie dobijała o to, aby wydawała się silną, owszem, pokorną na pozór wydawała się, a w istocie ona wszystkim kierowała, robiła, co chciała, i król bez niej obawiał się zrobić kroku.

— Tak jest — dodał cicho Butler — rozum rozumem, ale i to coś znaczyło, że ona jedna zawsze miała pieniądze.

— I teraz je ma, choć klasztor funduje — dodał król.

— A nie mogłaby nas nimi sokurować? — spytał faworyt.

— Niepodobna jej o to prosić! — westchnął Jan Kazimierz. — Jeżeli mi pożyczysz, bądź co bądź, to i mną gotowa zawładnąć. Ja się jej po prostu boję, ja się jej boję! — powtórzył, głos

zniżając.

— A jeżeli weźmie stronę księcia Karola? — wtrącił Butler.

— To nie może być — rzekł Kazimierz.

— Wasza Królewska Mość sądzisz — dodał faworyt — że ona może pozostać, jak mówiła,

obojętną, nie mieszając się do niczego? — Butler się rozśmiał. — To wprost jest

niepodobieństwem, gdyby nawet chciała. Zmuszona zostanie odezwać się, odgadną z jej twarzy, dla kogo ma sympatią.

— Ale ona dla mnie jej nigdy nie miała — zamruczał król.

— Bo interesu też w tym nie mogła mieć dawniej, ale teraz...

— Ale teraz? — podchwycił Kazimierz, rzucając wejrzenie nieśmiałe na Butlera. — Cóż ty myślisz?

— Nic nadto, że królem zostawszy, Najjaśniejszy Pan będzie mógł i fundację klasztoru, i wyposażenie wdowie, i wszystko to mieć w opiece, co królową obchodzi, a nawzajem królowa teraz...

— A ja ci powiadam, Butler — żywo przerwał król — ja się lękam, ona mnie zawojuje. To kobieta przebiegła, śmiała i rozumna.

— Właśnie dlatego my jej potrzebujemy — dokończył Butler. — Słowem jednym powiem:

jeżeli ją sobie książę Karol pozyszcze, nam wszyscy razem panowie senatorowie nie pomogą.

— Mam za sobą Ossolińskiego — wtrącił żywo król — nie wątpię bynajmniej o

Kazanowskim.

— Który dziś żadnego znaczenia nie ma — przerwał Butler. Kazimierz opuścił głowę na piersi. Czas jakiś trwało milczenie, a starosta badał dobrze mu znane rysy twarzy króla, który przy nim wcale się nie taił z wrażeniami. Rada, jaką mu dał Butler, utkwić w nim musiała, gdyż po chwili podniósł oczy i szepnął, jakby zamykając rozpoczętą rozmowę.

— Powiadam ci, Butler — ja się jej boję. Niech tylko cieniutką niteczką zwiąże się z nią, pociągnie mnie i stanę się w jej rękach narzędziem. Władysław silniejszym był niż ja, no a w końcu ona nim rzuciła, jak chciała.

— Ja przy moim obstaję — dodał starosta — albo Wasza Królewska Mość mieć ją będziesz

za sobą, natenczas dobra nasza, albo przeciwko sobie — i ja za nic nie ręcę. Żeby zaś Maria Ludwika miała pozostać z założonymi rękami... — Butler głową począł mocno kręcić i rzucać.

Rozmowa się skończyła.

Rozdział III

Nazajutrz ranę po mszy u Świętego Jana, zaledwie do mieszkania powrócił kwaśny i

chmurny król szwedzki, któremu doniesiono, że brat Karol ze Sztokholmu miał listy i stamtąd się spodziewał poparcia, gdy w antykamerze usłyszał spór głośny i łatwy do rozeznania głos kobiecy piskliwy, zuchwały, bardzo sobie dobrze znajomy. Nie musiał on miłego na nim uczynić wrażenia, bo natychmiast klasnął w ręce na dworzanina u drzwi i gdy ten wszedł, rzucił mu żywo pytanie:

— To Bertoni? Pokojowiec głową potwierdził.

— Powiedźże jej — niecierpliwie zawołał król — raz na zawsze, że ja jej o tej godzinie

przyjąć nie mogę. Niech z listem przyjdzie wieczorem. Ja się teraz spodziewam u siebie kilku ważnych osób. Jeszcze by tego brakło, aby tego koczkodana widziano u mnie! Odprawić mi ją, odprawić!

— Jakby to tak łatwo było! — zamruczał pokojowiec. — Wrzawy narobi, że w całym zamku słyhać ją będzie.

Tłumaczenia tego nie chcąc słuchać, król własnoręcznie popchnął pokojowca za drzwi i

zatrzasnął je za nim, ale pozostał w progu nasłuchując, czy rozkazom jego zadosyć się stało.

Po wyjściu pokojowca naprzód powstała wrzawa i wymiana głosów, którym śmiechy służby

towarzyszyły, potem uciszać się zaczęło stopniowo, drzwi antykamery zatrzasnęły się z hukiem i król wyjrzał. W przedpokoju nie było już owej natrętnej kobiety, która, kazał odprawić.

Kto była owa Bertoni? Wiedzieli prawie wszyscy, co z dawnych czasów dwór znali. Dziś

ona liczyła już lat pewnie pięćdziesiąt, ale gdy królewicze dorastali, panna Salomea, córka muzyka królewskiej kapeli, była bardzo wesołym i trzpiotowatym podlotkiem, a że Jan Kazimierz zawsze od najmłodszych lat temperamentu był wielce ku kobietom ciągnącego, choć Salomea wcale piękną nie była, tylko świeżą, śmiałą, napastliwą i zalotną, zawróciła mu głowę szalenie i skorzystała z tego, aby nim zupełnie zawładnąć. O tych amorach z Salusią wiedział cały dwór, starano się je to rozerwać, to pokrywać, a w końcu nikt na nie już nie zważał. Była to pierwsza miłość królewicza, który później takich bałamutnych stosunków miał bez liku, ale Salusia nie dała się odpędzić ani zapomnieć całkowicie, czuła, że miała jakieś prawa i nie odstępowała od nich. Wyszła potem za męża za Włocha, także klarncistę w królewskiej kapeli i owdowiała wychowując córeczkę. Nie mogła w podróży ani w więzieniu wprawdzie towarzyszyć Janowi Kazimierzowi, lecz nigdy go z oczów nie

spuszczała, a ile razy powracał, ten grzech młodości stawał znowu żywy przed nim i żadna moc ludzka nie mogła go precz odegnąć. Potrzeba było znać Włoszkę, aby zrozumieć tę siłę, z jaką ona wciskała się i umiała utrzymać wszędzie. Nie lękała się niczego i nikogo, gębę miała niewyparzoną, której się lękali wszyscy; wychowana na dworze, znała i wiedziała wszystkie tajemnice, wszystkie strony słabe, umiała zażyć, kogo chciała. Zuchwalstwo jej nie miało równego sobie. Tam, gdzie wiedziała, że sama jej przytomność zawadzać będzie, szła umyślnie, aby sobie kazać za usunięcie się opłacić. Z Jana Kazimierza, jak mówiono, znaczne bardzo porafiła zdobyć ofiary, zostało jej coś po mężu, potem frymarczyła kobiecymi strojami i klejnotami, a w końcu doszło do tego, że miała piękną kamienicę na Rynku Starego Miasta i szacowano ją prócz tego jako zamożną w grosz gotowy, do czego się nie przyznawała. Nie przeszkodziło jej to za każdym przybyciem Jana Kazimierza zebrać u niego dla córeczki nowych ofiar. W tej córeczce właśnie dorastającej, ładnej dziewczynce, którą ona głosiła za ósmy cud świata, matka teraz żyła cała. Dla tego dziecka znacznie się ustatkowała, gdyż dawniej życie prowadziła bardzo swobodnie i wesołe. O

swych latach pięćdziesiątych wcale dotąd Bertoni, wiedzieć nie chciała i czyniła się śmieszną strojami, które przywdziewała w przekonaniu, że się nimi odmłodzi. Ciemnej płci, chuda, twarzy już dobrze pofałdowanej, ale ułożonej jakby młodziuchną była, oczy tylko miała jeszcze piękne i ogniste. Zresztą niezmiernie szerokie i z wargami odstępującymi usta, policzki obwisłe, włosy rzadkie i pofarbowane, malowane także brwi, usta, policzki czasem ją poezwarnie czyniły brzydką, gdy się roznamiętniła. Zapominała się wówczas a nie umiała ukryć resztek żółtych zębów, a marszczki twarzy krajały ją nielitościwie. Na chudej szyi, skóra, żyły, kości, wszystko naówczas występowało jak w anatomicznym preparacie.

Brzydota, gdyby ją nosić umiała z rezygnacją, niczym by może była, ale Salomea chciała uparcie wydawać się niby piękną i niestarą. Stroiła się więc wytwornie i jaskrawo, a nade wszystko okrywała się klejnotami, lubując się w nich, jak w ogóle Włoszki. Całe jej chude z nabrzmiętymi stawami ręce okryte były od rana pierścieniami, szyja sznurami pereł i łańcuszkami. Na piersiach spinki, pas kosztowny, nawet trzewiki i pończochy złotem szyte wkładała na dzień, i włos jak najstارانnej trefić, smarować i dopełniać musiała co rano. Obok tego wykwintu raziło, że rąk nie umywała często po dni kilka, a twarz i szyja malowaniami starymi i nowymi jak skorupą były okryte. Gdy szła przez ulicę, palcami ją sobie pokazywano, tak była śmieszną, ale w zwierciadle ona sama tak się z tą swoją fizjognomią oswoiła, iż ją znajdowała wcale wdzięczną, a do mężczyzn uśmiechała się (gdy córki nie było), z cynizmem, który rumieńce na ich twarze wywoływał.

Córka jej, imieniem Bianka, miała typ włoski twarzy jak matka, ale w istocie była piękną, chociaż niby ją przypominała. Rysy wyszlachetnione, regularne, a przy tym wdzięk i świeżość młodości czyniły dziewczkę zachwycającą. Matka wychowywała ją ze staraniem nadzwyczajnym, od dziecka ucząc muzyki, tańca, języków, gdyż przyszłość dla niej obiecywała świetną.

— Senatorowi wstydu nie robi — mówiła — ani twarzą, ani główką. Drugiej takiej mi nie

pokaże ani Warszawa, ani Kraków. Jeżeli Gizanka się może swatać za szlachcica, to cóż mówić o mojej? A bez posagu też nie będzie, bo i kamienica coś warta, i pod poduszkę znajdę co wetknąć!

Tymczasem z własnego doświadczenia wiedząc, jak w młodości łatwo się głowa zawraca,

pilnowała dziecka jak oka w głowie. Rzadko nawet pozwalała wychodzić na miasto, i to nie inaczej, jeno z sobą. Z domu się oddalając Bertoni pozostawiała na straży istnego cerbera, starą Włoszkę. Ta z obawy, aby tu kawałka chleba nie utraciła, nie odstępowała na krok pięknej Bianki, której wdzięków sława szerpko się już rozchodziła.

Po powrocie eks-kardynała z Rzymu, jeszcze był sekularyzowany królewicz w Tarcynie, gdy Bertoni, nająwszy wózek, pobiegnęła go tam odwiedzić. Czy mu ten gość bardzo był miłym?

Trudno odgadnąć, ale przyjąć go musiał i Salomea przez cały dzień tu pozostała, wysypując ogromny zapas plotek, jakie z sobą przywiozła. Spodziewała się zapewne po wdzięcznym

królewiczu więcej, niż on mógł i chciał dla niej uczynić, bo wcale potem z niego nie okazywała się zadowolona. Jan Kazimierz próżno podobno się tym tłumaczył, że nie miał nic, że musiał od księcia Karola, od Denhoffa, od Butlera odbierać porozdawane im przez króla dobra; Salomea nie chciała słuchać i narzekała na niego. Jakie sobie prawa rościła do jego wdzięczności, nie tłumaczyła się, lecz w jej przekonaniu Jan Kazimierz powinien był jej i dziecku służyć przez całe życie.

Stosunki z nim aż do zgonu Władysława IV, choć nie zerwane, były dosyć naprężone, Jan

Kazimierz często jej drzwi kazał zamykać i nie dopuszczał, choć wrzawę na kurytarzach robiła nieznośną. Gdy królewicz Zygmunt zmarł naprzód, a potem i Władysław, Bertoni z niesłychaną gwałtownością poczęła się napierać do króla szwedzkiego, który starał się jej pozbywać. W końcu jednak ulec musiał, kazać ją wpuścić, zmiarkował bowiem, że i taka Bertoni szkodzić mu mogła lub dopomóc, gdy do elekcji przyjdzie.

Tego dnia wieczorem; mimo wstrętu i obawy, nakazał pokojowcom wpuścić nieznośną

babę, ale dopóki by ona była, nie przyjmować już nikogo prócz Butlera, któremu wchodzić zawsze wolno było. O naznaczonej godzinie nie chybiła Bertoni. Wpadła z gorączkowym pośpiechem, wystrojona w sposób przerażający, świecąca od klejnotów cała, zdyszana, niespokojna. Pokojowiec na drzwi jej wskazał. Jan Kazimierz przechodził się już niespokojnie, oczekując na to utrapienie.

Wiedział dobrze, co go czeka, bo Bertoni wcale w nim nie szanowała ani krwi, ani dostojęstwa.

Znała go od dziecka.

— Aha! — poczęła od progu z niezmiernym pośpiechem po włosku, gdyż znała wstręt króla

do polskiego języka. — Aha! Otóż nareszcie Salusia się dobiła honoru pozdrowienia Waszej Królewskiej Mości! Długo na to czekała.

Król chciał się począć tłumaczyć, zamknęła mu usta.

— Dajżeż pokój, daj, czy to my się nie znamy! Dygnęła przed nim bardzo nisko.

— Już król szwedzki? Nieprawdaż — poczęła śmiejąc się. — No, tej korony to ja się dla

Waszej Miłości nie obawiam, ale słyszę, że się wybieracie na polską, ej? Mnichem nie mogliście być, kardynałem nie chcieli, a tu nagle do korony sięgacie? Myślicie, że to ją będzie lżej dźwigać niż purpurę? Panie mój, aż mię strach po kościach mrozem przeszedł, gdym się o tym dowiedziała, a wam to po co? Wiecież wy, co się dzieje? Kupujecie dom, który w płomieniach stoi, nie mając kropli wody na ugaszenie pożaru. Bójcie się Boga!

Załamano ręce. — Nie ja, ale — począł król onieśmiałony.

— Wiem, co powiecie — przerwała Bertond — że was na kolanach o to prosić będą!

Pewnie! Radzi by na wasze ramiona zrzucić brzemień błyskotliwe, złoczone, ale nie dla was to, nie dla was. Puśćcie księcia Karola, każcie się wyposażyć dostatnio, pobudujcie sobie pałac pański, w którym by i dla Bertoni z jej aniołkiem znalazło się pomieszczenie, używajcie swobodnie reszty życia, ale wam, wam, wam — królem być?

Parsknęła śmiechem. Ciemna twarz Jana Kazimierza stanęła w płomieniach. Rozgniewał się, zabełkotał coś, z pasji mówić prawie nie mógł.

— Wam królem być — powtórzyła Bertoni, rzucając się i wyginając, a rękami po włosku gestykulując w powietrzu. — Wam królem być! Rok, dwa, z biedą wielką wytrzymacie może, ale potem tak złożycie koronę, jak purpurę i kapelusz kardynalski.

Jan Kazimierz rzucił się aż w przeciwną stronę pokoju, jakby chciał uciec od niej. Pogoniła za nim.

— Nie gniewajcie się — zawołała — mówię z dobrego serca, wam to się na nic nie zdało, zamęczycie się.

Uderzyła się w chude piersi, oczyma ognistymi śmiało patrząc na zmieszanego coraz bardziej króla.

Jan Kazimierz zbierał się coś odpowiedzieć, gdy Włoszka nie wytrzymała i język rozpuściła.

— Chcecie, bym wam przepowiedziała przyszłość! To bardzo łatwo. Wybiorą was, bo wiedzą, że będą z wami robić co zechcą — oni i królowa.

— Jaka królowa? — przerwał Jan Kazimierz.

— Wdowa dziś, a jutro może, kto wie? — Rozśmiała się. — Bez jej pieniędzy i rozumu wy się nie obejdziecie — dodała.

— Ona o niczym wiedzieć nie chce — wtrącił król.

— Abyście ją prosili, naturalnie — mówiła Bertoni. — Ej, żal mi was, Panie mój! Żal mi was! Puśćcie księcia Karola, jeśli mu się to uśmiecha. Wy nie do tego stworzeni, a moglibyście sobie tak ślicznie, spokojnie życie pędzić! — Klasnęła w ręce. — Ale co tu darmo nawracać, nie pomoże! Sądzono wam wszystkiego kosztować, aby sobie wszystko obrzydzić.

Uspokoiwszy się nieco, zadumany, słuchał tego wylewu słów król, otarł czoło, usiadł.

Bertoni stanęła przed nim.

— Więc to już nieuniknione! — westchnęła. Zmilczał Jan Kazimierz chwilę.

— Mówić dziś z tobą nie można — zamruczał.

Twarz Włoszki wykrzywiła się jakby wyrazem politowania.

— Ale to ja bym chyba tak powiedzieć powinna — przerwała łagodząc głos. — Dla siebie, mój Boże, cieszyć bym się przecież powinna z tego, gdy was królem obiorą. Tak i mnie się z tego coś okroi.

Jan Kazimierz, jak gdyby chciał niemiłą inaczej zwrócić rozmowę, z uśmiechem wymuszonym szepnął po cichu:

— Żeby też była choć Biankę z sobą przyprowadziła! Bertoni wstrząsnęła się oburzona.

— Jeszcze czego! — zawołała. — Niby ja nie wiem, że tobie, stary bałamucie, najmłodsze dziewczęta jeszcze w głowie. Wszakże to moja córka, więc byś ją powinien poszanować.

— Mówią, że bardzo ładna! — odezwał się król.

— Jak anioł! — przerwała matka z zapałem. — Ale to senatorski kasek i ja jej nie wydam, chyba za senatora.

Jan Kazimierz śmiał się rozweselony, co Bertoniową rozgniewało.

— Gizanka idzie przecie za szlachcica i urzędnika, jakiegoś tam starostę, a czemuż by moja nie miała jeszcze wyżej sięgnąć! Wychowałam ją tak, że tu żadna wasza wielka pani jej nie sprostą.

Król zadumany nie zdawał się już jej słuchać, inne myśli go uciskały. Po chwili szepnął roztargniony:

— Poproś królowej wdowy, aby ją na dwór swój przyjęła. Panny u niej trzymane w wielkim

rygorze, a nauczyć się siła będzie mogła.

— Tak, nauczyć tego, co nie potrzeba — przerwała Bertoni, głową potrząsając. — Nie, nie, ja od siebie jej ani na krok nie puszcę.

Włoszka z poufałością dawnej domownicy poczęła się po pokoju przechadzać.

— Co to za karty są? — zapytała. — Ja ich nie znam. Małpy też bodaj nie te?

— Wszystko mi powymierało — westchnął król. — Wystaw sobie, ten „Znosek”, którego

tak lubiłem, co koziołki przewracał zręcznie i śpiewał, pamiętasz?... Zmarł biedaczysko. Mikrosz także. Mam ci dwa. Lubomirski mi darował jednego, zowie się Babą, policzki ma takie napęczniałe, ale chorowity, płaksa i smutny, a Lump, którego mam z Niemiec, złośnik taki, że się z małpami albo z Babą nieustannie bije. Pociechy z nich żadnej. Po królu dwa karty zostały, ale królowa ich sobie pewnie przywłaszczy — smutnie dokończył król tej spowiedzi. Bertoni ramionami poruszyła.

— Dwór mój w ogóle — rzekł po chwili — szczupły jest i niedobrany. Musiałem,

powróciwszy, brać pierwszych lepszych, a pieniędzy też nie mam. Tu, com miał znaleźć je, to mi jeszcze za, wykup moich tenut płacić kazali. Z Karolem o Żywiec męka, z Denhoffem, z Butlerem

— skończył westchnieniem. — A teraz, gdy na elekcję tyle potrzeba...

Rozłożył ręce. Bertoni się zżymała i zaczęła znowu biegać po pokoju, poruszając co się jej nawinęło pod rękę, książki, obrazki, różańce, papiery nawet, o których pozwolenie czytania hie pytała. Z natrętną ciekawością niewieścią szturkowała po kątach, zaglądała i choć król okazywał

pewne zniecierpliwienie, wcale jej to nie obchodziło.

— Mnie tu ciasno — rzekł po przestanku. — Chciałem się wynieść do pałacu na

Krakowskie, Karol mnie nie puszcza; w Ujazdowie byłbym za daleko.

— A na co to wszystko, gdy czasu elekcji wam to nie dadzą siedzieć — przerwała Bertoni

— a po niej na zamek się wniesiecie.

— Królowa połowę zajmuje! — zamruczał Jan Kazimierz.

— Z nią się pogodzicie — zaśmiała się Włoszka, zbliżając się do siedzącego. — Mnie się widzi, gdy wam koronę na głowę włożą, królową wam senatorowie narają.

Zerwał się Jan Kazimierz z siedzenia.

— Ale ja jej nie chcę! — zawołał gwałtownie. — Mało to ojcu naszemu nawypowiadano, że

siostrę wziął po siostrze, a cóż by było, żebym ja po bracie żony pożądał? Dopiero by mnie Sodomą i Gomorą chłostali!

— A papieżu od czego? — odezwała się Bertoni.

— Ja jej nie chcę! — powtórzył stanowczo król i zamilkł nagle.

Wtem zegar stojący na stole godzinę wygrywać zaczął, był bowiem tak urządzony

misternie, iż gdy wybić miała, na wieżyczkę występowali trębacze i muzyka słyszeć dawała bardzo wdzięcznego kuranta.

— Masz co do mnie? — zapytał król.

— Miałabym wiele — odparła Włoszka — bo to się przecie nie godzi, ażebyś o mnie i

moim dziecku zapominał, ale litość mam nad królem bez kraju. Obrachujemy się później. Widzę, że ja starania się o tę koronę drugą nie potrafię odradzić, ale że ją potem sam składać będziesz, dam gardło!

Nic nie odpowiedział król. Bertoni skłoniła się nisko i miała już odchodzić, gdy jej coś przyszło do głowy.

— Mój królu — zawołała — nie każcie przede mną jak przed jaką żebraczką drzwi

zamykać. Ja się też wam pod czas przydać mogę, bo wiele rzeczy wiem i wiele bezpieczniej zniosę, gdzie trzeba, niż kto inny. Masz już królem być, a zachciewa ci się tego, ja powinnam posłużyć, nie kto inny!

Tak ledwie się jej na koniec król pozbył. Odprowadził ją za próg oczyma zasromanymi,

zdając się mówić do siebie: „Oto są grzechy twojego żywota! Mszczą się one do dni końca, a pozbyć się ich nie można”.

W smutnym usposobieniu, przeszedłszy się parę razy po pustych pokojach, Jan Kazimierz

rzucił okiem na płonącą lampę przed cudownym obrazem i wolnym krokiem zbliżył się ku niemu, aby na modlitwę uklęknąć. Wrzawa jednak między karłami i małpami taka jeszcze panowała w przedpokoju, że wprzód musiał, pokojowca przywoławszy, nakazać, aby natychmiast wszystko się uciszyło.

Już wreszcie klęknąć miał, gdy pośpieszne kroki i bez oznajmienia otwierające się drzwi zmusiły go powstać. Butler, którego się już nie spodziewał i młody Tyzenhauz, komornik jego, wbiegli razem, z twarzami przerażonymi.

Pobladł, zobaczywszy ich, Jan Kazimierz.

— Najjaśniejszy Panie — wołał od progu starosta — jedno po drugich wieści,

najokrutniejsze od Lwowa, Zamościa... zewsząd... Hiobowi posłańcy... w mieście popłoch... wojska nasze rozproszony, szlachta w sromotnej rozsypce. Chmiel się odgraża iść na Kraków... naszych posłów więzi, a trzech pono ściąć kazał... o pokoju i układach ani chce słuchać.

Król naprzód oczy sobie zakrył, potem załamał rękę.

— Na kolana naprzód! — zawołał. — Na kolana, litanią do Najświętszej Panny odmówić, opieki Jej wezwać — potem reszta.

Sam tedy pierwszy padł przed obrazem i jęcząc prawie począł po łacinie litanią, do której Butler i Tyzenhauz odpowiadali; ucałował potem ziemię i wstał z oczyma łez pełnymi.

— Mówcie — rzekł, padając na krzesło.

— Klęska byłaby niczym — począł starosta — ale srom... Szlachta, nie bijąc się, samym

postrachem z pola zegnana przez chłopstwo, rozbiegła się, a że szli na tę wyprawę z butą wielką i nabrali wozów, sprzętów, sreber, kosztowności bez miary — wszystko się to stało łupem Kozaków i pospólstwa. Jeńców też Tatarom, człowieka za konia dają. Motłoch się uzuchwalił i już pomiarkowania mieć nie będzie. Stał pod Zamościem. Lwów się cudem mu okupił. Co dalej

będzie? Odgrażają się całą Rzeczpospolitą zalać...

Król się porwał.

— Gdzież więc siły nasze? Gdzie mężowie, hetmani, senat, wojsko!? Przecież jeden

pogrom taki nie może potężnego zniszczyć państwa od razu. Jest ratunek... Mamy może gdzieś sojuszników i sprzymierzeńców.

Wtem Butler przerwał:

— Kogo? Najjaśniejszy Panie? Na cesarza pewnie teraz rachować nie można. Francja za górami, choćby chciała, Pruski nasz hołdownik będzie rychlej z nieszczęścia korzystał, a Szwedzi...

Chwycił się król za głowę.

— O, losy nieszczęsne kraju tego! — zawołał. — Przywiedzeni jesteśmy do tej

ostateczności, że na podłych Tatarów jednych jeszcze cokolwiek liczyć możemy, jeżeli ich od kozactwa potrafimy odciągnąć.

— To sprzymierzeniec gorszy od wroga, bo i sromotny wreszcie — rzekł smutnie Butler.

Gdy to mówili, a Tyzenhauz powtarzać zaczął dopiero co słyszane wieści o klęskach, zapukano do drzwi, choć godzina była niezwykła. Tyzenhauz pobiegł i oznajmił księdza de Fleury, kapelana królowej. Wchodził blady i przerażony.

— Prawdaż to? — począł zwracając się do króla. — Prawda? Królowej doniesiono, że nawet Krakowowi i Warszawie zagraża niebezpieczeństwo. Pani moja przelękną przysłała mnie do Waszej Królewskiej Mości.

Butler wystąpił, nim się król zebrał na odpowiedź.

— Uspokójcie królową jejmość — rzekł. — Przynajmniej Warszawie nic nie zagraża.

Senatorowie i szlachta gromadzą się na elekcją, nieprzyjaciel ważyć się nie będzie na stolicę wiedząc, że tu siła jest znaczna. Klęska musi być wielka, bo zewsząd się ona potwierdza, ale w takich razach, któż nie wie, że ją strach powiększa, bo jak u nas mówią, ma wielkie oczy. Chmiel przecie nie ważył się na Lwów, jakżeby miał grozić Krakowowi lub Warszawie?

Król przystąpił też do księdza de Fleury.

— Uspokójcie królową — rzekł.

— Gdyby w istocie najmniejsze groziło niebezpieczeństwo, królowa by wodą chciała ze swym dworem i zakonnicami udać się do Gdańska, gdzie najpewniejszą być może — mówił spowiednik.

— Niech Bóg uchowa, abyśmy już do tej doszli ostateczności — przerwał Kazimierz.

Niedługo się zatrzymawszy, odszedł spowiednik Marii Ludwiki, ale na całym zamku przez noc tę chwili prawie spoczynku nie było.

W gospodzie księcia Karola nad Wisłą, pomimo słoty i nieprzyjemnej pory, tłum nieustannie napływał, mieniając się, a każdy tu coś ze sobą coraz straszniejszego przynosił. To, co opowiadano o okrucieństwach i zuchwalstwie Kozaków i z nimi połączonego motłochu przechodziło pojęcie wszelkie. Na szlachtę zbiegłą spod Piławiec piorunowano.

— Dawniej kądziel takim posyłano i skórkę zajęczą — wołali niektórzy — a tchórze się sami potem ze sromu wieszali, bo kobiety z nimi żyć i do domów ich przyjmować nie chciały, a dziś zajęcy by i kądzieli dla nich zabrakło.

Drudzy mitygowali i łagodzili.

— Dobrze tu nam z daleka sądzić i skazywać — mówili — ale gdy się raz popłoch weźmie, trzeba tam na miejscu być i widzieć, że człowiek, gdyby jak chciał, prądowi się nie oprze.

— Ostatnia na nas przyszła godzina — jęczeli strwożeni.

— Nie pozostało nam nic, tylko się kozactwu okupić, pokój zawrzeć, a pracować nad tym, aby wojsko nowe i lepsze zaciągnąć.

— Pierwsza rzecz, aby się hetmani i panowie nie kłócili z sobą — radzili inni — wszystko z tego poszło, iż Jeremiego nie słuchano, bo on im solą w oku, a jego jednego się Kozacy boją.

W gwarze tym i rozstroju w końcu nic już rozwiedzieć się, do niczego dojść już nie było można, przeklinano i narzekano tylko, a tym więcej do białego dnia zapijano, im straszniejsza rozpacz ogarniała.

Nie lepiej było na mieście, dokąd z zamku przynoszono wiadomości, po drodze je

powiększając. Przybywali też senatorowie z różnych stron, wyprzedzając termin elekcji,

niespokojni, ale i ci pocieszającego nic nie przynosili z sobą. Skupiano się tu około Ossolińskiego, pozdrawiano królową, niektórzy odwiedzali Kazimierza, bardzo niewiele zbliżało się do księcia Karola, któremu teraz trudno było zawiązywać stosunki, gdyż przez tak długi czas zupełnie je zaniedbywał. Wszyscy jednym głosem, zgodnie wołali o przyśpieszenie elekcji, która zdawała się warunkiem niezbędnym do zawarcia jakiegokolwiek umowy z Kozakami. Z każdym dniem liczba

senatorów szczególnie zwiększała się i rosła, i duchowni tymczasowo zbierali się u przybyłych biskupów, w klasztorach jezuitów, bernardynów i reformatów, na codzienne narady. Przewidywało to zawczasu duchowieństwo, iż z klęsk i osłabienia nie omieszkają dysydenci z jednej, a Rusini dyzunicy z drugiej strony korzystać. Dawały się już słyszeć głosy, że Chmiel zniszczenia unii brzeskiej się domagał i w senacie chciał metropolitę swego posadzić. Dawało to miarę innym wymaganiom. Pomiędzy senatorami, jak Adam Kisiel i inni grecy, którzy do unii nie przystąpili, słyszeć się dawały głosy: „Czemuż nie mamy tych praw pozyskać, co dysydenci, co katolicy, jeżeli wiernie tej Rzeczypospolitej służyć będziemy?”

Chociaż na pozór zupełnie od wszelkiego udziału w sprawach kraju usuwająca się królowa

nigdy z nikim o nich nie zagała rozmowy, polecając tylko siebie i sieroctwo swe opiece Rzeczypospolitej, czuli to wszyscy, iż wielki wpływ wyrzeć mogła na elekcję samą. Za jej wskazówką niewątpliwie musiałby pójść dwór francuski i Stolica Apostolska. Nie tajnym było, że od śmierci króla gońce i listy szły nieustannie do Francji, a nawet spomiędzy tych osób, które królowej najpotrzebniejszymi były, wiele się z jej polecenia wybrało do Francji. Pomimo to Maria Ludwika pozornie się obojętną całkiem zdawała i zrezygnowaną, nie zdradzając się ani słowem.

Ponieważ książe Karol rzadkim tu bywał gościem, więc i częściej się dobijającemu do drzwi królowi szwedzkiemu nie zawsze je otwierano. Strzegła się królowa tego, aby mu nie okazać faworu

szczególnego.

Jan Kazimierz wiedział przez swoich o wszystkim tym, co się u królowej działo, a dla oczu dworu było przystępnym, niepokoił się, wnioskował, trwożył. Szczególniej go obchodziło to, iż senatorowie wszyscy tak wielkie Marii Ludwice okazywali uszanowanie i garnęli się do niej.

Najpoważniejsi z nich godzinami tam na rozmowach siedzieli, a niekiedy, niby przypadkowo, po dwóch i trzech schodziło się ich tu razem.

— Są to widocznie *conciliabula* — mówił król Butlerowi — ale z nich nic nie wychodzi na świat. Ja zaś, jeżeli mi się do królowej uda dostać, nic się też od niej dowiedzieć nie mogę. Zbywa mnie tym, że się do niczego mieszać nie chce.

— Najjaśniejszy Panie — mówił starosta — *ciosa pacta* to najlepsza rzecz; potrzeba, ażebyś Wasza Królewska Mość otwarcie się rozmówił z nią.

— Sto razy rozpoczynałem, zbywa mnie, iż o niczym nie myśli krom zabezpieczenia

własnego losu. — Poruszał ramionami. — Jeżeli ją Karol jakimi obietnicami na swoją stronę przeciągnąć potrafi, a ona mu potajemnie pomagać zechce, jego pieniądze, jej wpływ zapewnią mu koronę, a mnie pozostanie tylko wstyd, że się porwałem nadaremnie.

Po naradzie z panem starostą, który miał całe zaufanie Kazimierza, nazajutrz Butler, w

godzinie, gdy dla wszystkich otwarte były pokoje księcia Karola, udał się do jego pałacyku tuż pod zamkiem.

Nie była to budowa nawet za oddzielną od niego uważać się mogąca i ściśle się z nim

łączyła, bo na części okólnego muru od Wisły wzniesioną została. Sam biskup wrocławski ją kosztem swoim budował, a że oszczędnym był, nie widać też było najmniejszej wystawności i onych galerii, posągów, malowań, którymi pałace Kazanowskich i Ossolińskich ówczesne się odznaczały. Ład, czystość i porządek tylko pańską nadawały gmachowi powierzchowność.

Butler, chociaż księcia Karola znał, nigdy u niego nie bywał. Tym razem odwiedziny

wypadły tak, że dosyć gości zastawszy, starosta się nawet do biskupa przybliżyć nie mógł. Jednakże z wejrzenia, które nań rzucił, dorozumiał się Butler, iż zjawienie się jego zrozumianym zostało.

Rozmowa toczyła się, naturalnie, o groźnych wieściach, które kraj cały trwożyły. Po

kilkakroć wśród niej książę Karol napomykał o żołnierzu, którego zaciągnął dla obrony i o daleko większej liczbie jego, jaką wystawić zamierzał. Z wielką zręcznością wiodąc rozmowę, w końcu biskup przystąpił do Butlera i szepnął mu, iż zapewne nie bez jakiegoś polecenia przybywał.

— Zlecenia żadnego nie mam — rzekł starosta — ale Wasza Książęca Mość znacie mnie, że

jestem sługą króla szwedzkiego i całym sercem mu oddanym, nie dziwnego, że tu przybył, aby się przekonać, czy istotnie Wasza Książęca Mość trwasz w zamiarze starania się o koronę?

— Rzecz to powszechnie wiadoma — zimno i krótko odparł książę Karol. — Nie łudzę się, że mi króla współzawodnictwo trudnym będzie do zwalczenia, lecz mam część senatorów za sobą. Zamilkł.

— Smutne to będzie współzawodnictwo — dodał Butler.

— Kazimierz to sobie powiedzieć powinien — przerwał gospodarz. — Długo się wahałem, pociągnęli mnie ludzie tym, iż dla niestałego umysłu na Kazimierza rachować nie mogą. Dałem się nakłonić i nie cofnę.

Wpatrzył się wyraziście w starostę, powtarzając raz jeszcze:

— Tak, nie cofnę...

— Król szwedzki też, gdy raz się między kandydatów dał wpisać, nie ulęknie się już nikogo.

Małomówny biskup nie zdawał się nawet chcieć przeciągać rozmowy. Stał, jakby czekał, czy mu Butler czego więcej nie powie.

— Jeżeli król chciał przez was — dodał po napróżnym oczekiwaniu biskup — dowiedzieć się o tym, azali się nie waham, możecie go zapewnić, iż we wszystkim, co czynię, myślę zawsze długo, nim co postanowię, a obrawszy drogę, trzymam się jej wytrwale.

— Wasza Książęca Mość pozwolisz mi jednak powiedzieć, że w tym wypadku zachodzą szczególne okoliczności — ośmielił się po namyśle Butler. — Nie mieliśmy jeszcze pono nigdy współubiegających się o koronę rodzonych braci. Czasu pokoju i pomyślności niczym by to było jeszcze, acz w rodzinie spór zawsze pożałowania godzien; ale dziś, gdy takie klęski zagrażają, gdy nieprzyjaciel wnętrzości szarpie, gdy przede wszystkim zgody i jedności potrzeba.

Biskup z lekka ramionami poruszył.

— Ośmielam się i to dodać, bo co prawda, to nie grzech — dorzucił Butler — że Wasza

Książęca Mość nigdy rycerskiego rzemiosła aniś zakosztował, a nam hetmana potrzeba i wódza.

Z gniewem odparł biskup, znany z wybuchów gwałtownych:

— Mości starosto! Wierzajcie mi, że ja też na koń się potrafię, a król szwedzki wielkim bohaterem dotąd się nie okazał.

To rzekłszy księżę Karol, jakby się lękał siebie i większego roznamiętnienia, skinął tylko głową Butlerowi i prędko odszedł od niego.

Nie miał już tu co więcej robić starosta i z wolna się ku drzwiom zawrócił, pozostawiając biskupa z garstką jego adherentów, która po większej części składała się z ludzi mało znanych i w kraju żadnego wpływu nie mających.

— Najjaśniejszy Panie — rzekł od progu, wchodząc do mieszkania Kazimierza — nie ma co rachować na to, aby biskup rozmyślił się i ustąpił. Mówiłem z nim. Uparcie trwa przy swoim.

— A zatem wojna! — mruknął król. — Boli mnie to, ale od dzieciństwa tak było. O ileśmy się kochali z Aleksandrem — westchnął — niech mu Bóg da odpoczynek wieczny w chwale swej, o tyle Karol był mi zawsze wrogiem

Rozdział IV

Jednym z mężów potężnego wpływu i znaczenia, którymi panowanie Zygmunta III i dwu jego następców poszczycić się może, był Stanisław Albrecht Radziwiłł, który już za Władysława IV i dostojeństwem, i stanowiskiem wśród narodu i senatu zajmował pierwszorzędne miejsce.

Wpatrując się w skład ówczesnego społeczeństwa, łatwo jest dojrzeć w górnych jego

warstwach dwa całkiem różne żywioły, które się na nie składały. Już od Kazimierza Jagiellończyka, a może dawniej jeszcze, szlachecko-pański świat polski dzielił się na te dwa obozy, jeżeli je tak nazwać można. Jeden z nich winien był wychowanie swe i wykształcenie ziemi rodzinnej i nosił na sobie piętno tradycji przeszłości, obyczajów starego, wszystkich cnót i wad, jakie się z niego wyrodziły. Drugi, po pierwiastkowym przygotowaniu w domu, kończył nauki i wychowanie za granicą. Dopelnieniem jego były podróże, pobyt na dworach monarchów obcych, obeznanie się z językami i stosunkami europejskimi. Wszystkie znaczniejsze rodziny wyprawiały tak swe dzieci do Włoch, Francji, Niemiec, na dwór cesarski i z tych wychowawców Zachodu składał się w większej części senat i grono ludzi monarchów otaczające. Wielu z tych kosmopolitycznie wykształconych panów przywdziewało strój obcy i nabierało charakteru cudzoziemskiego, niezbyt się już do starych przywiązując obyczajów, lecz w ogóle podróże i doświadczenie nie odejmowało potomkom

wielkich rodzin ich znaczenia polskiego. Z powrotem do kraju, ognisko domowe, matrony polskie, co go strzegły, atmosfera przesiąknięta tradycjami, wszystko co otaczało młodzieńca, szczególnie szlachta, wśród której obracać się musiał, odżywiały w nim wspomnienia młodości i kosmopolita, zachowując nabytek za granicą uczyniony, stawał się prawym dzieckiem swojej ziemi. Z takich to ludzi, którzy zarówno z posłami zagranicznymi, jak ze szlachtą szaraczkową obcować i zrozumieć się mogli, składała się za Zygmunta III i synów jego izba senatorska, z małymi wyjątkami domorosłych a

poważnych statystów.

Albrecht Stanisław Radziwiłł, można powiedzieć, był jednym z najznakomitszych

reprezentantów zarazem europejskiej i polskiej cywilizacji. Nie tak świetnie i jaskrawo występujący na widownię, jak Jerzy Ossoliński, nie ustępował mu ani znaczeniem ani powagą, a w wielu razach zaufany ów Władysława minister, który zdawał się na politykę jego wywierać wpływ przeważny, Albrechtowi Radziwiłłowi ustępować i ulegać musiał. W tej chwili przesilenia krytycznego, gdy szło o wywołanie wojny z Turcją, może Albrechtowi Radziwiłłowi winną była Rzeczpospolita, że nie dopuścił do wybuchu. Powstrzymał on Ossolińskiego naprzód, potem króla samego. Władysław IV mógł do niego mieć żal, ale nie okazał go nigdy, a samo znaczenie kanclerza litewskiego w chwili zgonu króla wskazywało mu drogę jaką zmuszonym był iść w czasie bezkrólewia. Rozległe posiadłości jego i starostwa, jakie trzymał na Wołyniu i na Rusi, w początku wojny domowej z Kozakami ogromne spowodowały straty. Dotknięty nimi kanclerz ze stoickim spokojem patrzył na nie, gotów jak powiedział, do ostatniej koszuli wszystko na obronę Rzeczypospolitej poświęcić.

Żaden może z ówczesnych senatorów z taką otwartością nie określał położenia, nie oznaczał obowiązków, jakie ono wkładało, nie wyznawał przyczyn, które spowodowały to chłopskie powstanie na Rusi.

Po sromotnej piławieckiej katastrofie Radziwiłł mówił otwarcie, jego są własne słowa: „Bóg zaprzedał ich, Pan ich pohańbił; pycha bowiem, wszeteczeństwo, ucisk i uciemienie ubogich — te to są, które na nich nacierały”. Nikt się nie przyczynił dzielniej nad niego do zebrania na nowo sił ku obronie, dla wiania ducha we strwożonych, nikt do większych dla ojczyzny ofiar nie był

gotowym. Przykład jego działał dzielnie na drugich. W podróży do Warszawy na sejm elekcyjny o piławieckim pogromie otrzymawszy wiadomość, kanclerz przybył do Warszawy z jedną,

najgorętszą myślą przyspieszenia wyboru, rozumiejąc to bardzo dobrze, iż Kozacy z królem łącniej niż z samą Rzeczpospolitą znieawidzoną układać się będą. Pamięć Zygmunta III, któremu był

winien wszystko, bo ten pierwszym się stał opiekunem młodzieńca i najlepiej ocenić go umiał, nie dozwalała Radziwiłłowi ani pomyśleć o innym panu, krom o jednym z dwu synów jego. Miał do wyboru pomiędzy Kazimierzem i Karolem. Nie można wątpić, że mimo miłości dla królewskiej rodziny Radziwiłł znał dobrze charakter, skłonności, wady króla szwedzkiego zarówno, jak księcia Karola. Z wielu względów ostatni może byłby miał pierwszeństwo u niego, lecz w tej chwili, jeżeli nie wodza i hetmana, to przynajmniej człowieka, który by na koń mógł sięść, potrzebowała Polska.

Tym księżę Karol nie był; znano go jako wielce pobożnego kapłana tylko. Sam nadzwyczaj

pobożny i gorliwy w spełnianiu religijnych obowiązków Kościoła, musiał wysoko cenić biskupa, lecz Kazimierz był nie mniej nabożnym, a z wielu względów na króla zdawał się lepiej niż on usposobionym.

Radziwiłł więc przybywał już do Warszawy z wyrobionym przekonaniem, iż jego popierać należało, a biskupa ubłagać, aby zrzekł się kandydatury, głosów nie rozdawał i szybkiego nie utrudniał wyboru. Pozostawało tylko widzenie się i narada z królową, którą księżę Albrecht nauczył się cenić i o której znaczeniu i wpływie wiedział lepiej od innych. Od pierwszego powitania na ziemi polskiej, pod Gdańskiem, Marii Ludwiki Radziwiłł, który ją tu przyjmował i towarzyszył do Warszawy, miał zręczność zbliżenia się, pozyskania jej zaufania i zawiązania bliższych stosunków.

I on, i druga żona jego, Lubomirska z domu, stali najbliżej Marii Ludwiki, Natychmiast też po swym przybyciu do Warszawy, wprzód nawet nim pośpieszył do Jana Kazimierza, kanclerz pojechał do królowej, która na niego z niecierpliwością oczekiwała. Jemu jednemu może zwierzyć się całkiem mogła.

Gdy jej oznajmiono z rana o przybyciu kanclerza, królowa natychmiast pośpieszyła na pokoje, nie wzywając z sobą nikogo, ani księdza de Fleury, ani żadnej z pań swoich. Łzy, się jej polały przy powitaniu milczącym. Radziwiłł był też wzruszony. Położenie wdowy zarazem i straszliwy zamęt, jaki panował w Rzeczypospolitej, zarówno go usposabiały rzewnie.

— Najjaśniejsza Pani — odezwał się, całując podaną rękę — jesteśmy wszyscy boleśnie dotknięci z woli bożej, lecz o miłosierdziu Jego wątpić nie powinniśmy. Próbuje On i zsyła krzyże. Nie mogła wytrzymać Maria Ludwika i puściła wodze żalom swoim.

— Sierotą pozostałam — rzekła — osamotniona, bez opieki. Mamli tu pozostać, czy wracać tam, gdzie o mnie zapomniano, zerwać co z Polską łączyło... łączy... Sama nie wiem... Czekałam na was, radźcie mi...

— Przede wszystkim — odezwał się Radziwiłł — nie czas jest cós stanowić, czekać potrzeba; a nie widzę, dlaczego byś Wasza Królewska Mość kraj ten, który ją przybrał za panią, miała opuszczać?

Pomimo najstraszniejszego położenia, w jakim się znajduje Rzeczpospolita, musi ona wszystkim swym zadość uczynić obowiązkom.

Tak rozpoczęła się rozmowa. Królowa unikała w niej wspomnienia o kandydatach do korony, a bardziej jeszcze o swoim usposobieniu względem nich, ale Radziwiłł nie miał powodu tajenia się z przekonaniem.

— Pierwszą dziś rzeczą — odezwał się — zebrać siły do skutecznej obrony i wzięcia za

srom doznany odwetu, ale nie mniej pilną — wybór króla.

Królowa słuchała z natężoną uwagą.

— Mamy, niestety, aż dwu kandydatów — ciągnął dalej kanclerz — gdy nam by jednego mieć i natychmiast go okrzykiwać było najpożądanym. Szanuję wielce księcia Karola — dodał — lecz nie zdaje mi się, aby mi szczególnie na króla w zawichrzonym zdał się kraju.

Na twarzy Marii Ludwiki, umiejącej panować nad sobą, nie dostrzegł kanclerz ani przyzwolenia, ni oporu. Słuchała go, na pozór obojętna.

Kanclerz zawahał się nieco.

— Króla szwedzkiego znam wszystkie przymioty i słabości — mówił dalej — ale ostatnie przypisuję więcej położeniu jego niż charakterowi. Zarzucają mu niestałość, ale dotąd nie znalazł się może we właściwym sobie i powołaniu położeniu. Zresztą religijny, szlachetny, gdyby nawet był słabym, sądzę, że w wyborze doradców potrafi okazać swą cnotę.

Zamilkł nieco.

— Mości książę — odezwała się cichym głosem królowa — jeżeli wasz głos jest za królem szwedzkim, nie wątpię, iż on za sobą większość pociągnie, będziecie jednak mieli niemałą trudność z księciem Karolem, który, jak słyszę, mocne ma postanowienie nie wyrzec się kandydatury. Ludzą go może powodzeniem, ja nie wiem, jak ocenić położenie i siły.

— Ja też czasu nie miałem jeszcze do lepszego zbadania go — mówił kanclerz. — Zdaje mi się wszakże, iż król szwedzki więcej mieć będzie za sobą niż biskup, którego mało kto zna, bo nigdy dać poznać się nie starał.

Nastąpiło milczenie. Radziwiłł widocznie chciał jakiejś skazówki o usposobieniu królowej, która unikała zdradzania się z myślą swoją. Przy pierwszym tym spotkaniu Radziwiłł nie śmiał być ani nazbyt otwartym, ni nadto natarczywym w badaniu; nie wyjawiał całej swej myśli. W jego przekonaniu wybór Jana Kazimierza miał być wsparty małżeństwem jego z Marią Ludwiką.

Energia jej, charakter, wytrwałość, przymioty, które w najniepomyślniejszych warunkach kanclerz widział ujawniające się w Marii Ludwice, miały teraz przyjść w pomoc słabości, chwiejnemu usposobieniu króla. Radziwiłł był pewien, że ona potrafi ovladnąć mężem i poprowadzić go drogą najlepszą. Pomysł ten mógł spotkać opór ze strony Jana Kazimierza, może nawet królowej, lecz kanclerz nie uznawał go niemożliwym i rachował na tę kombinację, która mu się zdawała najwięcej dla Rzeczypospolitej obiecującą.

Przeciągnęły się nieco opowiadania Radziwiłła, żale Marii Ludwiki i wzajemne

wyrozumiewanie, które do niczego nie doprowadziło oprócz tej pewności tylko, że księżę Albrecht króla szwedzkiego popierać będzie. Wprost też od królowej udał się Radziwiłł do Jana Kazimierza, który wraz ze dworem wybierał się już '3.0 Nieporętu, gdzie przez czas sejmu elekcyjnego, stosując się do prawa, musiał pozostać. Księżę Karol tak samo wybierał się do Jabłonnej. Pokoje króla pełne były pomimo rannej jeszcze godziny. Przybywający senatorowie, a szczególnie duchowni, napływali Ożywiony, roztargniony, w dosyć dobrym usposobieniu król szwedzki obracał się wśród tych gości, usiłując okazać się uprzejmym, co nie zawsze mu się powodziło. Ujrzawszy kanclerza, którego znaczenie umiał dobrze ocenić Kazimierz, ruszył się przeciwko niemu z widomie rozjaśnionym obliczem.

— Nareszcieśmy się was doczekali — zawołał. — Bardzośmy wam radzi! Witajcie. Brakło nie wiem jak komu, ale mnie przynajmniej rady waszej i otuchy.

Załamął ręce.

— Giniemy! — zawołał z boleścią. — Kozacy pod Brześciem plądrują, mówią, że sam Brześć wzięty, spustoszony, klasztory, zakonnicy...

Nie dokończył król, milczeli wszyscy. Radziwiłł, który już wieść tę miał, ale wiary jej nie dawał, przerwał cicho:

— Są to tylko pogłoski, a że pogrom nasz i tak już nieprawdopodobny, wszystko dziś możliwym czyni w oczach naszych, nie'śpieszmy wierzyć. Kłamstw jest wiele, a trwoga wszystko zwiększa.

— Daj Boże, aby się to fałszem okazało — przerwał król uprowadzając Radziwiłła za sobą, nieco dalej od tłumu gości.

— Mości księżę — szepnął żywo — na rany Pańskie, ja z wami na osobności mówić muszę.

— Kiedy? — zapytał kanclerz, który zarówno życzył sobie tej rozmowy.

— Natychmiast, gdyby można — przerwał Kazimierz — wieczorem najpóźniej. Zamknę drzwi wszystkim.

Radziwiłł odparł tylko ukłonem i zwrócili się obaj ku biskupom, którzy świeżo z diecezji swych przybyli, o stanie kraju przywozili najświeższe wieści. Wszystkie one zgodne były i wywoływały z ust kanclerza wymowne zakończenie.'

— Nasze grzechy stanowią ich siłę, nasza słabość jest ich potęgą! Uderzmy się więc w

piersi! Nie Kozacy i Tatarowie chłószczą nas, ale Bóg, który poprawy żąda lub zgubą grozi.

Wszyscyśmy winni i wszyscy pokutować musimy. Ofiar wymaga położenie: nie szczędźmy skruchy, żąda Bóg, kajajmy się, a zlituje się on nad nami.

Cichym szmerem wszyscy potakiwali kanclerzowi, lecz na ten ton kaznodziejski nastrojona rozmowa trwać nie mogła. Z wolna też goście jeden po drugim kłaniać się, żegnać i rozchodzić poczęli. Sam nawet królewicz, któremu Tyzenhauz przyniósł kapelusz, rękawiczki, szpadę i płaszczyk, wybierał się także mimo słoty w odwiedzinie przed odjazdem do Nieporętu.

Od śmierci Władysława IV, dotknięty nią, najboleśniej marszałek koronny Adam

Kazanowski, który w nim utracił przyjaciela i brata, nie ukazywał się prawie między ludźmi.

Głoszono go chorym i był nim w istocie. Węzeł, jaki od dzieciństwa łączył z sobą króla

nieboszczyka i Adama Kazanowskiego, nie mógł się zerwać nagle, nie pozostawiając po sobie krwawej i bolesnej rany. Zgoić się ona nigdy już nie miała. Dla Kazanowskiego Władysław był

wszystkim, był jego życiem, tchnieniem, całą siłą; śmierć ta osierociła go najokrutniej. Żonaty i przywiązany do młodej, pięknej, jakby stworzonej dla siebie żony, bezdietny, chociaż w niej miał

pocieszyciela jedyne, nie czuł się jednak ani na chwilę pocieszonym i zobojętniałym. Na próżno starała się go rozerwać, ożywić, przywrócić mu ochotę do życia. Kazanowski wpadł w apatię jakąś, w odrętwienie, które wprędce stało się groźną chorobą. Nie wychodził prawie z domu, niechętnie przyjmował u siebie, nic nie zdawało się go obchodzić, a te straszliwe klęski, o których co dzień nadbiegały wieści, tak mu się stawały obojętnymi, jakby kraj i jego losy wcale go nie obchodziły.

Wszystkie starania żony, i rodziny na ten stan poradzić nie mogły. Usiłowano go czymś rozerwać, wywieść z tego zamknięcia w domu. Słuchał czasem nalegań żony, dał się prowadzić, ale w liczniejszym towarzystwie słowo za ledwie z niego dobyć było można. Prawda, że w tym królewsko wspaniałym pałacu swym marszałek miał nieustannie na oczach same przeszłości wspomnienia.

Wszystko, co miał, było darem nieboszczyka; jemu Kazanowski zawdzięczał bogactwa, znaczenie, urząd, stanowisko. Ściany też sal i pokojów okryte były obrazami tryumfów Władysława IV, jego wizerunkami i przypomnieniami. Na każdym kroku marszałek spotykał się z tym nieboszczykiem, zdawał się go widzieć przed sobą, a rano budząc się potrzebował oprzytomnieć, aby oswoić się z tą myślą, że go już na świecie nie było. Szeptał cicho:

— Pójdę zanim...

Żona łudziła się może jeszcze, ale rodzina, której lekarze nie obiecywali łatwego

uzdrowienia marszałka, największym niepokojem była przejęta. Kazanowski nie miał potomstwa, a zostawiał po sobie fortunę ogromną, ruchomości, których szacunek wynosił miliony. Brat i wszyscy pokrewni trwożyli się o przyszłe losy tego spadku, którym marszałek, pomimo zręcznych

napomknięć, wcale rozporządzać nie myślał. Ile razy mowa jakaś była o tym, poruszał ramionami obojętnie i spoglądał tylko na żonę. Dorozumiewano się, że nieuniknionym było przekazanie jej wszystkiego.

Słuszczańska z domu, Elżbieta Kazanowska, pieśczone dziecięcego domu, zdawała się

stworzoną na to, aby w złotym gnieździe ulubieńca królewskiego panować; piękna, wychowana starannie, żywego temperamentu, nawykła do panowania nad tymi, co ją otaczali, ubóstwiana Elżunia opanowała z łatwością starszym od siebie mężem, który całkiem jej był oddany. Zalotna, potrzebująca do życia nieustannej intrygi, ruchu, zajęcia gorączkowego, hołdów, umiała tak szczęśliwie wzbudzić w mężu zaufanie, iż marszałek nigdy nie okazał cienia nieufności względem niej, zostawując nieograniczoną w postępowaniu swobodę. Była to jedna z młodych pań swojego czasu, które około siebie gromadziły największe koło wiel- bicielów i przyjaciół. Jakkolwiek takie nadskakiwanie kobiecie zamężnej nie było w polskim obyczaju i wiele poważniejszych niewiast raziło, Kazanowska nie zważała na to, a że mężowi hołdy jej składane raczej pochlebiały, niż mu się przykrzyły, mogła się zabawiać pani marszałkowska, jak chciała.

Pałac też ów wspaniały, cały tryb życia Kazanowskich za życia Władysława IV sprzyjały

zabawianiu się pani i pana. Adam Kazanowski, wyżyty i znudzony tak dobrze jak ona, pragnął

ciągle czegoś, co by w nim sztucznie gasnące życie rozbudzić mogło. Nigdzie więc może w Warszawie więcej ruchu, muzyki, śpiewu i tańca niż tu nie było. Cudzoziemcy szczególnie tłumami napływali i nie mogli się odchwalić pańskiego a pełnego czarów przyjęcia. W pierwszych czasach po przybyciu Marii Ludwicy do kraju położenie jej smutne, zniechęcenie króla

przedwczesne, zbliżyły panią marszałkowską do królowej, której ona sama i przez męża starała się być pomocną. Stosunek ten jednak z królową zamiast się stać coraz ściślejszym, z czasem odmienił

się zupełnie.

Spotwarzona na wstępie do Polski, królowa musiała być surową dla siebie, dworu i tego, co z nim było w jakimkolwiek związku; Kazanowska dla Marii Ludwicy, surowej i poważnej, była za płochą. Chłód pewien, potem coraz mniej częste zetknięcia, których unikano, doprowadziły do tego, że między marszałkowską a królową tylko urzędowe, zimne przymusowe pozostały stosunki.

Marszałkowi było to może na rękę, bo choć mu żal było królowej, nie potrzebował tłumaczyć się z przyjaźni jej dla swej żony.

Od zgonu Władysława, Kazanowski zamknięty w domu, zobojętniał, równie jak żona raz

tylko urzędownie powitawszy powracającą do Warszawy z ciałem nieboszczyka wdowę, więcej się do niej nie zbliżali. Do spraw ogólnych kraju jak dawniej, tak teraz marszałek wcale się mieszać nie miał ochoty. Słuchał opowiadań, poziewał, czasem ramionami poruszał, ale żywego udziału nie brał w niczym.

Jan Kazimierz zaraz po powrocie z Włoch zbliżył się do Kazanowskiego, który go z

poszanowaniem, ale dosyć obojętnie przyjmował. Wielbiciel płci białej, eks-kardynał nie mógł pani marszałkowej Kazanowskiej nie widzieć i pozostać obojętnym tak samo, jak piękna Elżunia wcale niepięknego królewicza nie mogła puścić, nie postarawszy się, aby na nim wywarła toż samo wrażenie, jakie czyniła na innych. Nie było nic łatwiejszego nad obalamucenie Jana Kazimierza, który miał słabość do wszystkich kobiet w ogóle i w każdej z nich umiał jakiś szczególny wdzięk upatrzeć. Królewicz został zachwycony. Płomyczek ten zrazu maleńki piękna Elżusia, która na stronie wyśmiewała Jana Kazimierza, starała się rozdmuchać i utrzymać tak dobrze, iż król szwedzki liczył się teraz do najgorętszych jej wielbicieli i mógł nawet gorącością uczuć walczyć z panem starostą łomżyńskim Radziejowskim, który z dawna słynął ze swego rozkochania się

rozpaczliwego w pięknej marszałkowej.

Śmierć Władysława, ogłoszenie kandydatury Jana Kazimierza, przepowiadana mu korona,

naturalnie ze strony marszałkowej zwiększyły uprzejmości dla króla, a rozkochanego pana przyciągnęły na nowo i przykuły do wozu pięknej Elżusi. Im marszałek Kazanowski więcej

zaniedbywał swą przyszłość, wcale się nie mieszając do niczego, a króla szwedzkiego przyjmując z dawną obojętnością i chłodem, tym sama marszałkowa więcej się czuła w obowiązku przyszłego pana pozyskać. Dla jej bowiem bystrego oka i niewieściego przeczucia nie ulegało wątpliwości najmniejszej, że nie kto inny tylko Jan Kazimierz wybranym zostanie. Chciała go wcześniej po *zyskać* dla męża i dla siebie.

Jan Kazimierz przed swym wyjazdem przymuszonym do Nieporętu stał się niemal

codziennym gościem w pałacu Kazanowskich. Krzywił się może na to marszałek, który nie lubił go, ale nie sprzeciwiał się żonie, dowodzącej mu, że na wszelki wypadek króla sobie należało pozyskać.

Jan Kazimierz więc, wybierając się z Warszawy, jechał z pożegnaniem do pałacu

Kazanowskich. Nie spodziewano się go zapewne dnia tego, bo deszcz jesienny lał jak z wiadra i powietrze było najnieprzyjemniejsze, ale gdy oznajmiono przybycie, i marszałek, i żona jego znaleźli się w antykamerze na przyjęcie. Z galanterią podał Jan Kazimierz rękę pięknej Elżusi, uśmiechającej mu się wdzięcznie.

— Wypędzają mnie z Warszawy — rzekł dosyć wesoło. — Chciałem więc pożegnać moich przyjaciół, a do tych państwa zaliczam.

Skłonił się zimno pan Adam.

— Kto wie, z czym powrócę — dodał — na pewno z grocho- wym wiankiem.

Rzeczpospolita mnie nie zechce, będzie wołała młodszego, kobieta jest...

— Wasza Królewska Mość sądzisz — wtrąciła Kazanowska — że kobiety tak bardzo młokosów cenią? My między nami wcale inaczej trzymamy, a młodych gaszków zostawiamy starym babom. Rozśmiał się Jan Kazimierz.

— Spodziewam się — rzekł, zwracając do milczącego marszałka — że przez pamięć dla brata mego i życzliwość waszą dla rodziny naszej i dla mnie w szczególności, marszałek zechcesz wpływem swym...

Kazanowski szydersko trochę się uśmiechnął.

— Najjaśniejszy Panie — rzekł cicho — ja najmniejszego nie mam wpływu, niestety, bom się nigdy o niego nie starał, lecz gdybym mógł mieć jaki...

Nowy ukłon zakończył urwany frazes.

— Gdybym ja miała prawo wyjechać na Wolę i pod szopę — wesoło wtrąciła pani

Kazanowska — pierwsza bym okrzyknęła nowego króla.

— Karola? — zapytał żartobliwie Kazimierz.

— A nie! — rozśmiała się piękna Elżbieta. — Nie godzi się przecie Panu Bogu go odbierać, gdy mu się raz poświęcił.

Z tego tonu żartobliwego Jan Kazimierz zeszedł na poważniejszy.

— Czynią mi nadzieję, że brat mój w ostatniej godzinie rozważy, iż się niepotrzebnie naraża na zawód — rzekł głosem zniżonym — ale nie wierzę w to jeszcze. Nie miałem nigdy szczęścia w niczym, a dziś, przypuściwszy nawet, że to brzemień korony spadnie na mnie, w jakich czasach i w jakich Warunkach! Słyszycie, panie marszałku?

— A, Najjaśniejszy Panie — odparł smutnie Kazanowski — przez cały dzień nie słyszemy o niczym innym.

— Rozśmiać się człowiek boi teraz — wtrąciła piękna pani — aby nie być posądzonym o obojętność. A! Co za czasy! Co za czasy!

— Umarł w samą porę — dodał ponuro marszałek — aby na to nie patrzył.

— Ten niegodziwy chłop, Chmiel — począł Jan Kazimierz — zuchwalstwo swe posuwa do

tego stopnia, że nieboszczyka króla obwinia o podżegnięcie do tej wojny!

Kazanowski ruszył ramionami.

— Najjaśniejszy Panie — odparł — na trumnę kamieniami i błotem rzucać bezkarnie można. Nie potrzebuje król Władysław obrońców.

Przeprowadzony tak przez oboje gospodarstwo nie do wielkiej sali paradnej, ale do małej, w której sama pani poufalszych przyjmowała gości, znalazł już tu Jan Kazimierz u komina

marmurowego, ha którym płonął ogień suchych drewek, opartych na dwu smokach złoconych,

wielkie krzesło z poręczami dla siebie, a małe dwa dla gospodarzy. Pokój ten, jak cały ów pałac Kazanowskich był prawdziwym cackiem, godnym królowej. Flamandzkie obrazki i portrety na ścianach w ramach wytwornie rzeźbionych, na tle adamaszku purpurowego ze złotem, brązy i marmury, na stołach owe skrzynki rzeźbione z szylkretu, hebanu, z drzewa różowego, sadzone kością słoniową, złotem, bursztynem, brązowe klatki pełne ptasząt, flamandzkie portiery z herbami Kazanowskich, posadzka w najpiękniejsze wzory różnobarwnym drzewem wysadzana, kobierce

perskie, tysiące fraszek kosztownych czyniły wesoły ten gabinet zachwycającym.

Dosyć obojętny na podobne zbytki król szwedzki nie mógł jednak nie uczuć piękności tego gniazdka i po prostu zawołał siadając.

— Jakże tu pięknie u pani! Uśmiechnęła się marszałkowa.

— Myśmy jak dzieci, Najjaśniejszy Panie — rzekła — bawimy się cackami tymi, ale też to całe nasze mienie i uciecha na świecie.

— Zjeżdżają się liczni już panowie senatorowie — począł Kazimierz, któremu dolegała ciągle troska o elekcję. — Widzieliście pewnie z nich wielu?

— Niektórych — rzekł marszałek — unikam mieszania się do spraw publicznych, bo ani zdrowie, ani żałoba po królu, którą mam w sercu, nie dopuszczają mi niczym się zająć.

— Ja, o ile mogę, zastępuję męża mojego — dodała marszałkowa żartobliwie — bobym nie chciała, aby się tak usunął od ludzi, od świata i w tym smutku pograżał cały, ale zniewolona jestem go przymuszać, tak zubożył na wszystko.

— Szczęśliwy brat mój, iż umiał sobie takiego przyjaciela pozyskać — dodał król — zazdroszczę mu.

W tej chwili oznajmiono o przybyciu kanclerza Ossolińskiego, a Kazanowski grzecznie

zwrócił się do gościa, zapytując, czy mu go przyjąć dozwoli?

Jan Kazimierz skłonił głowę.

W chwilę potem równie chmurnego niemal oblicza, jak sam gospodarz, wszedł z powagą

pańską, która go nigdy nie opuszczała, Ossoliński. Przybycie jego było bardzo pożądanym królowi, ale może niekoniecznie na rękę pięknej Elżusi, która chciała sama przy podanej zręczności zawładnąć przyszłym panem. Ciekawą też była, czy się nie zdradzi ze stosunkiem swym do

królowej wdowy, której nie lubiła i obawiała się, a przewidywała, że ona wpływ swój wywrze na Jana Kazimierza.

Ossoliński wszedł z tą troską, z którą się naówczas nosili wszyscy. I on, i inni senatorowie, i dygnitarze pragnęli co najprędzej część odpowiedzialności, która teraz cała ciążyła na nich, zrzucić na wybranego króla.

Chociaż termin elekcji wyznaczony był na sejmie konwokacyjnym, znaczniejsza część

senatu dla nadzwyczajnych wypadków przyspieszyć go pragnęła. Inni razem z kanclerzem

litewskim Radziwiłłem naprzód chcieli skłonić jednego z kandydatów, aby się orzekł na brata, i w tej mierze zgodni byli wszyscy. Nikt sobie nie życzył biskupa wrocławskiego. Jako główną pobudkę do oświadczenia się przeciwko niemu stawiono jego powołanie duchowne, obyczaj

mniszy niemal. Było to w istocie doskonałym pozorem, chociaż przyczyna, dla której wołano Jana Kazimierza, głębiej leżała może. Znano go lepiej i wiedziano, że nim łatwiej będzie pokierować. Z

tego zamkniętego w sobie, skąpego, surowy ład lubiącego biskupa, który brzydził się kobietami i nie miał faworytów ani zauszników, któż wie, jaki się mógł król rozwinąć? Przeszłe życie króla szwedzkiego nie pozostawiało wątpliwości, jakim będzie na tronie.

Od pierwszych wyrazów rozmowa z Ossolińskim weszła na publiczne sprawy, ale

Kazanowski zamilkł i żona jego tylko szczebiotaniem się swym do dyskursu mieszała. Kanclerz oznajmywał królowi, że się umówili z Albrechtem Radziwiłłem i kilku innymi panami w tych dniach jechać do Jabłonny, do księcia Karola i nastawać na niego o. zrzeczenie się kandydatury.

Uradowało to widocznie, szwedzkiego króla.

— Możecie go upewnić — rzekł żywo — iż ja straty, jakie poniósł, będę się starał

wynagrodzić. Mówią o milionie przeszło na zaciągi i kaptowanie szlachty wyrzuconym. Dla Karola, który tak grosz lubi i zbierał skrzętnie, dotkliwą by to było stratą, ale sądzę, że Rzeczpospolita, ja sam, potrafiemy go indemnizować.

— Skończy się to nieochybnie na rezygnacji — dodał Ossoliński — bo stronników księżę

Karol, z wyjątkiem Mazowsza, nie będzie miał wielu.

Kanclerz potwierdził zresztą w dalszej rozmowie wszystkie wiadomości, jakie doszły z

Zamościa, Brześcia i z Rusi. Kozactwo było do najwyższego uzuchwalone stopnia. Hetmani w niewoli, wojska rozbite, łup ogromny zabrany, bezkarne najazdy na strzeżone grody wprawiały je w rodzaj upojenia. Powtarzano plugawe wyrażenia pijanego Chmielą i obelgi rzucane na szlachtę, ale razem Ossoliński świadczył, że hetman kozacki o przyszłym królu jak o przeszłym wyrażał się z pokorą i respektem: Króla więc co rychlej jako chorągwi było potrzeba, około której naród się miał gromadzić.

Jan Kazimierz czuł się dumnym z wielkiego posłannictwa, jakie na niego spadało, miał być zbawcą ojczyzny!

Rozdział V

Pożegnanie z Marią Ludwiką było zimne i ceremonialne na pozór przynajmniej, lecz

staraniem obojga kanclerstwa litewskich, a szczególnie księcia Albrechta, pomiędzy królową wdową a Janem Kazimierzem stanął już pakt niemy, który ich interesa łączył i wiązał w przyszłości.

Zręczny dyplomata Radziwiłł, zawsze we własnym tylko imieniu działając, przyjeżdżał

tylko do Marii Ludwicy, do króla szwedzkiego, tak powoli działał na oboje, że królową skłonił

do zgodzenia się na swe wtórne wyjście za mąż za nowego króla, a Jana Kazimierza do obietnicy, iż jeśli królową sobie pozyskać potrafi, żenić się z nią jest gotów.

Wszystkie korzyści tego połączenia umiał kanclerz wyłożyć bardzo zręcznie.

— W tej chwili zyskujesz sobie Wasza Królewska Mość we Francji i w Rzymie

sprzymierzeńca, królowa gotowa jest sukursować pieniędzmi. Wszystko to warunkowo tylko wiąże Waszą Królewską Mość, ale ożenienia łatwiejszego, mniej kosztownego w tych czasach, gdy o pieniądź trudno, na ostatek osoby godniejszej korony, którą nosiła z taką powagą, nie znajdziesz Wasza Królewska Mość drugiej. Wszystko mówi za nią.

— Mam największą cześć dla Marii Ludwicy — zapewniał Kazimierz.

Tak ułożywszy preliminaria, kanclerz był pewnym prawie, że mimo niestałości umysłu

króla wszystko się według programu spełnić musi.

Jan Kazimierz w pierwszym momencie zgodził się, dawało mu to pewność wyboru, poparcia, oswobodziło od troski, lecz zaledwie Radziwiłł odszedł, a on pozostał sam na sam z Butlerem, przed którym z gadatliwością dziecinną ze wszystkiego się zwierzał, zawołał, ręce łamiąc:

— Wiesz, Butler, co mnie ta korona kosztować będzie? Ja to przewidywałem. Radziwiłł mi swata królową wdowę i każe mi się z nią żenić. Ale to znaczy się dać okuć — i ta kobieta mnie zawojuje! Ja to czuję, ona mnie na pasku prowadzi zechce, będzie każdy mój krok szpiegować.

Nagle urwał i zamyślił się.

— Nie jest brzydka — zamruczał — tego nie powiem, ale młodości ani znaku, a dla mnie młodość...

I jakby się sam zawstydził tej słabości swej, dodał prędko:

— Te ożenienia urzędowe, to do niczego nie obowiązuje. Władysław z nią nie żył prawie, tak, ale czyniła z nim, co chciała. Zobaczysz, i mnie to czeka!

— Najjaśniejszy Panie — przerwał Butler — położenie nieboszczyka cale było inne.

— Tak, ale ona, królowa, dziś stokroć silniejsza, niż była w początku — mówił Jan Kazimierz. — Ma stosunki, przyjaciół, adherentów.

Starosta zbliżył się do króla.

— Najjaśniejszy Panie — szepnął. — Polityka ma swe prawa. Przecież Wasza Królewska

Mość nie dajesz zobowiązania żadnego do tego ożenienia się. Są to tylko przypuszczenia, życzenia, ewentualności. Raz osiągnąwszy koronę, zawsze się cofnąć można.

Zacisnął usta Jan Kazimierz.

— Ja też — zawołał, ręce kładąc poufale na ramieniu Butlera — ja też z królową samą nic o tym mówić, nic przyrzekać nie myślę, nie, nie... Mówiliśmy z kanclerzem, są to supozycje, że się tak może złożyć w przyszłości, nic więcej z mej strony, nic więcej!

Pożegnanie z królową z obu stron było jakby badaniem potajemnym. Wiedzieli, że układy

zostały zawiązane i że o nich mówić nie była pora. Królowa wyszła nieco więcej ożywiona niż zwykle, król zbliżył się z wyraźniejszą galanterią jakąś, która go przy rysach twarzy niemiłych i wymuszeniu, do jakiego się czuł obowiązany, wielce śmiesznym czyniła. Rozpoczął od

podziękowania królowej za przyrzeczone mu poparcie. Maria Ludwika złąka się może zbytnej

otwartości i natychmiast przerwała.

— Rada bym tej Rzeczypospolitej, która mnie przyjęła i przyswoiła, dać dowód

przywiązania, a lepiej jej usłużyć nie mogę, - jak przyczyniając się, o ile słabe siły moje zdołają, do prędkiej elekcji Waszej Królewskiej Mości. Pisałam już do króla, kuzyna mego i spodziewam się rychłej odpowiedzi, listu do Stanów Rzeczypospolitej .

Jan Kazimierz ucałował podaną sobie rękę.

— Nieskończoną wdzięczność winien będę Waszej Królewskiej Mości.

Królowa ciągle, jakby się obawiała niezręcznego i niewczesnego wygadania się ze strony

Kazimierza, przerywała mu żywymi zaręczeniami, iż wszelkimi siłami popierać go będzie.

Rozmowa, w ciągu której, zapewne wskutek wczesnego polecenia, nadszedł ksiądz de

Fleury, skończyła się ogólnikami. Znać jednak było w obejściu się swobodniejszym obojga, iż lody pierwsze skruszone zostały, że oboje pewniejsi spoglądali w przyszłość. Maria Ludwika znała już dosyć króla szwedzkiego, aby pewną być, iż zapanuje nad nim i o to najmniejszej nie miała obawy.

Strwożony król pocieszał się potajemnie tym, że później z tego zawikłania i obietnic

wyśliznąć się potrafi. Wyszedł więc tak wesół, jak nie był od dawna, ale stary grzech, z całą swą wstrętną fizjognomią mściciela czekał go na progu antykamery.

Stała tu inaczej teraz, ale niemniej cudacznie wystrojona Bertoni, której pokój owcy króla, karły, dworzanie, komornicy nie mogli zmusić do odwrotu, choć ją zapewniali, że króla nie było i że z nim dziś widzieć się jest niepodobieństwem.

— Juźci przecież na noc powróci! — wołała zuchwała Włoszka — a ja stąd nie ustąpię

krokiem, póki się z nim nie rozmówię.

Na żywy ten spór ze strażą drzwi swoich nadszedł król i zbladł, zobaczywszy tego upióra przeszłości.

— A, nieznośna ty...! — zawołał. — Dajże mi tchnąć! Czego mnie prześladujesz?

Włoszką skłoniła mu się.

— Mam ważną sprawę — rzekła. — Wasza Królewska Mość jutro do Nieporętu, a ja po

bezdrożach gonić za nim nie mogę.

I przedzierając się za królem, choć nic nie odpowiadał, Bertoni wtargnęła do drzwi sypialni.

— Czegóż chcesz? — krzyknął niecierpliwie, odwracając się, Jan Kazimierz.

— Sprawiedliwości! — patetycznie głos podnosząc, odrzekła Włoszka. — Jedną córkę mam, oko w głowie, skarb.

Na wspomnienie to córki król stanął.

— Aha, z córką więc... katastrofa! — zawołał. — Ciekawym.

— Katastrofy żadnej nie ma, bo ja jej nie dopuszczę — zawołała Bertoni — oczy bym mu wydarła!

— Komu? — spytał zaciekawiony widocznie król.

W drugich drzwiach pokoju, na progu, z tą swobodą dworów, w których nie ma porządku i karności, cała gawiedź antykamery zbiła się do kupy i, słuchała. Bertoni wskazała na nią. Tupnął nogą król i rękami dał znak, aby wszyscy precz szli.

— Drzwi zamknąć.

Z chwili tej korzystała Włoszka, aby włosy i manele przed zwierciadłem poprawić.

Wyglądała jak istna głowa Meduzy, okryta błyskotkami.

— Cóż się z twoją córką stało? — zagadnął król, widocznie zaintrygowany.

— Nie stało się nic, ale jako matka ja muszę zapobiegać, aby się stać mogło — poczęła

Włoszka, — Otóż doszłam tego, że dworzanin Waszej Królewskiej Mości, szlachetka biedny, bez domu i łomu, pokój owiec, podkrada mi się do Bianki, bałamuci, próbuje korumpować ludzi, pod oknami się włóczy, liściki pisze.

Śmiał się król.

— A to zuch! — zawołał. — Któryż? Mów, jak się zowie! Nie odpowiadając na pytanie,

Bertoni ciągnęła dalej:

— Przychodzę po to, abys mu Wasza Królewska Mość zakazał, zagroził, zapowiedział, że

jeśli się waży i będzie mi dalej podstępnie się wkradać, dostanie na kobiercu i won ze dworu!

— Nic więcej? — zapytał król rozweselony. — Nie powiesić by go za to?

— Nie drwij Wasza Królewska Mość — przerwała gniewnie Włoszka — tu o niewinne dziecię chodzi.

— Powiedzcież mi, jak się ten szczęśliwiec zowie! — zapytał Kazimierz.

Skrzywiła się Włoszka i plunęła.

— Nawet nazwiska jego paskudnego wymówić trudno! — krzyknęła. — Nazywa się jak jaki stróż, gbur, chłopisko. Imię i nazwisko dobrane.

Krztusiła się Bertoni i z przyciskiem wyrwało się jej z ust nareszcie:

— Dyżma Strzębosz! Król podniósł ręce i plasnął.

— Oho! — zaśmiał się. — Ma więc gust kawaler.

Włoszka, nawykła z królem wcale nie czynić ceremonii, mruknęła: — Aha, nie dla psa kiełbasa!

Tymczasem już król w ręce uderzył. Wpadł pierwszy dworzanin Tyzenhauz.

— Strzębosza mi tu wołać.

— W antykamerze go nie ma — odparł śmiało Tyzenhauz — ale na zamku jest, bom go widział niedawno.

— Posłać po niego.

Wtem jakby na zawołanie wśród ścisku przedpokoju powstał szmer i przedzierając się przez dworzan, wszedł, śmiało i raźnie stąpając, kuso a elegancko, według ówczesnej mody wystrojony po polsku, młodzieniec bardzo przystojny, z czubem w pukle mu zwijających się włosów na głowie, przy szabelce, w krótkiej delijce choć malować! Ciemny wąsik do góry podkręcony młodej twarzyczce nadawał butę większą jeszcze, choć i tak jej dosyć miała.

— Strzębosz — zagadnął, niby się groźno marszcząc, król — co to znowu za skarga na ciebie?

Bertoni cofnęła się kilka kroków, tyłem ku obwinionemu się. obracając.

— O niczym nie wiem — burknął dworzanin.

— Jak to o niczym! — wybuchnęła Włoszka. — Waćpan ml chcesz córkę bałamucić.

— Uchowaj Boże! — rzekł zimno Strzębosz.

— Nie możesz się zapierać — przerwała kobieta — ja mam dowody w ręku.

— Ja się też nie myślę zapierać — począł dworzanin — że panna Bianka mi się bardzo

podobała, żem się nawet w niej rozmiłował. Toć nie grzech. Jestem szlachcic, a kiedy się rozmiłuję, to, i ożenić mogę.

Bertoni pochwyciła się za głowę.

— To mi dopiero łaska! — krzyknęła. — Waćpan żenić się z moją córką, waćpan, co masz

całego majątku nędzną szkapę i sio dełko z rzemiennym rzedzikiem! Cha! cha! cha!

Strzębosz słuchał wcale nie zmieszany:

— I tego się nie wypieram, żem ubogi — odparł. — Albo to, się jako drudzy dorobić nie

mogę? A moje też szlachectwo nie zauważy na szali?

Król spoglądał to na zuchwałego sługę swojego, to na rozplomienioną tą śmiałością jego

Bertoni.

— Miejże rozum — odezwał się do Strzębosza zwrócony. — Widzisz, że matka ciebie znać

nie chce, gwałtem przecie jej nie weźmiesz, a szlachectwo twoje mało sobie cenią. Dajże ty mi pokój tym amorom i żebym ja o nich więcej nie słyszał!

Strzębosz wąsa podkręcił.

— Wasza Królewska Mość — rzekł — możesz mi rozkazywać, co zechcesz, ale co się

tyczy serca, wiadoma rzecz, jeden Bóg ma w swych rękach serca nasze. Ja sam panem jego nie jestem. Rad bym posłusznym być, ale za to ręczyć trudno.

Uśmiechnął się król, ruszył ramionami.

Włoszka palce sobie z gniewu wyłamywała i słychać było, jak w stawach trzaskały.

— Słyszałeś waszmość rozkaz króla?! — zawołała gniewnie. — A ja mu zapowiadam, że

przystępu do mojego dziecka zakazuję i wszelkich użyję środków, choćby ją przyszło do klasztoru zamknąć, abyś końca jej nosa nawet nie zobaczył. Ruszaj sobie ze swym szlachectwem, gdzie chcesz, złakomi się może na nie inna mieszcza, moje dziecko za wysoko.

Strzębosz słuchał z ukosa, patrząc na rozjątrzoną jejmość. Nie odpowiedział nic.

— No, masz odprawę — rzekł król — wiesz, czego się spodziewać, pamiętaj że, abym ja więcej tych skarg na ciebie nie słuchał, *bo* będę musiał ze służby cię odprawić.

Wszystko to razem na młodzieńcu bardzo małe zdawało się czynić wrażenie. Posądzić go było można, iż się pod wąsem uśmiechał. Pokłonił się potem w milczeniu królowi, trochę szydersko niżył głowę przed jejmością i wyszedł, ale jakby tryumfował.

Strzębosz ten, którego Bertoni tak sobie lekceważyła, od powrotu Jana Kazimierza na nowo do dworzan jego zaliczony, był wszystkich, nie wyjmując króla, ulubieńcem. Chłopak ubogi, syn wdowy kędyś z Krakowskiego, dziecię znanego z męstwa żołnierza, który w regimencie biskupa krakowskiego do śmierci służył, wychował się w Krakowie, potem wszedł w czasie, gdy

Władysław IV nowe zaciągi rozpoczął, do pułków cudzoziemskich, a z nich na dwór Kazimierza.

Na swoje lata miał on już dosyć doświadczeń, a na wpół sierota, zmuszony zawczasu sam sobie rady dawać i matce pomagać jeszcze, bardzo szczęśliwie, śmiało i zręcznie walczył z losem. Piękna powierzchowność, czymś bardzo szlachetnym się odznaczająca, uprzedzała o nim dobrze, a

wrażenie to nie zawodziło. Umiał sobie pozyskać miłość tych wszystkich, do których go wypadki zbliżały; ani nazbyt zuchwały, ani zbyt trwożliwy, co jeszcze bywa szkodliwszym, Dyzma miał

wielką przytomność umysłu i odwagę, niczego się nie zląkł, a ludzie mu nie imponowali. Na dworze, co bardzo rzadko, łaska pańska nie robiła mu nieprzyjaciół, bo jej nigdy nie użył przeciw nikomu; kochali go towarzysze, którym pomagał chętnie, a że pilnym był i wiodło mu się w spełnianiu rozkazów, król się nim bardzo chętnie posługiwał. Gdziekolwiek trudniejsze jakie przychodziło do rozwiązania zadanie, powoływał Strzębosza, który się nie wymawiał.

Gdy Dyzma się cofnął do przedpokoju, wszyscy towarzysze przywitali go tam wesołym

śmiechem. Dla wielu z nich owe amory jego były rzeczą nową, mało kto się ich domyślał, mało też kto i Biankę widywał, bo ją matka szczególnie przed oczyma dworskiej młodzieży ukrywała.

Zaczęto i prześladować, i wieszować. Strzębosz w milczeniu wąsika pokręcał, stojąc zadumany.

Wtem Bertoni też zamaszysto wybiegła z pokoju króla, drzwi zatrzasnęła za sobą i ani

patrząc na dwór, który szyderskim prychaniem ją witał, wybiegła na kurytarz.

Strzębosz zrazu chciał pójść za nią, rozmyślił się potem i pozostał, a tuż i król go już wołał

do siebie. Łatwo się było domyśleć, że ta indagacja nastąpić musi, gdyż nawet w najważniejszych stanowczych chwilach życia swojego, Jan Kazimierz się nie mógł powstrzymać od chętki słuchania skandalicznych powiastek, których bez względu na godność swoje od najpośledniejszych ze sług wymagał. Bawiło go to, ale zarazem zbytecznie spoufalalo ze służbą i nigdy też karności najmniejszej wśród dworu jego nie było. Niekiedy król uciekać się musiał do najostateczniejszych środków, do

własnoręcznego karcenia zuchwałych, ale i to nie na wiele pomagało. Stawiano mu się zuchwale, lekceważono jego powagę. Nigdzie usługa nie była gorszą niż u niego. Przywołany Dyzma wszedł śmiało i stanął przed oczekującym nań Kazimierzem, który ciekawymi mierzył go oczyma.

— Cóżes to ty nabroił? — uśmiechając się, zapytał król. —

Mów mi wszystko, Bertoni przecie córki jak oka w głowie pilnuje. Jakżeś się ty tam potrafił dostać, zbliżyć?

Strzębosz dumiał i widać było, że ten egzamin nie był mu miły.

— Najjaśniejszy Panie — rzekł — widywałem ją na ulicy, w kościele, w oknie. Zresztą

wszystko się na tym kończy, zem patrzył i wzdychał, a ona mi oczyma odpowiadała. Próbowałem list pisać, ale ten złapała matka i stąd burza powstała.

— No, a dziewczę? Jakże ono dysponowane dla ciebie? — badał ze zwykłą ciekawością Jan

Kazimierz. — Co myślisz?

— Myślę, że mi dosyć sprzyja — rzekł Strzębosz — ale to jeszcze dziecko jest, bawi ją to, a Bóg wie jeden, czy serce się w niej rozbudziło.

— Porzucisz więc ją? — szepnął król.

Namyślał się nieco dworzanin.

— Najjaśniejszy Panie — odparł — nic nie wiem i za nic nie ręczę, co los zdarzy. Bertoni z komara zrobiła wołu. Nie mogłem _ się nawet przybliżyć do dziewczęcia ani z nią rozmówić, a ta już takiej narobiła wrzawy, jakbym do domu jej wtargnął.

— Powinieneś to wiedzieć — szepnął król poufale — że Włoszka wysoko patrzy i dla córki

wiele pretenduje, a ma poniekąd słusność. Dziewczę, mówią, bardzo piękne?

Tu król się zatrzymał i spojrział, a Strzębosz potwierdził:

— Jak anioł.

— No i wychowane starannie, a ta przemyślna, skąpa, drapieżna matka piękne jej wiano zbierze. Będzie niewątpliwie bogatą. Widzisz więc...

Dworzanin się pokłonił

— Widzę, Najjaśniejszy Panie — odparł — że sprawa trudna, - ale nie zrozpaczona. Na

okazji odznaczenia się w wojnie zbywać nam nie będzie, ja się zaciągnę, a chyba Bóg niełaskaw, żebym się czego nie dosłużył.

I Strzębosz z głębokim pokłonem odszedł ku drzwiom, okazując wstręt do zwierzeń, których król był tak łakomym.

Nazajutrz wybierano się do Nieporętu, a słotna pora jesienna wszystkim, począwszy od pana do ostatniego pacholika, lice zasępiła. Nikomu się nie chciało opuszczać Warszawy, właśnie gdy ona zjazdem na elekcję ożywić się miała. Pozostawał na zamku tylko dwór królowej wdowy, której pobytu nie można było wzbronić, gdyż urzędownie w elekcji żadnego ona udziału nie brała i nie miała interesu. Dwór króla szwedzkiego pierwszy wyciągnął z zamku, tuż za nim miał księżę Karol wyruszać do Jabłonny, lecz w ostatniej chwili wstrzymać się kazał swoim ludziom, dopóki brat nie wyjechał.

Księżę biskup walczył jeszcze z sobą: czy na odjeźdźnym miał się pokłonić królowej Marii Ludwice, jak wypadało może, lub pominąć to wymaganie formy etykiety. Przyboczna rada jego nie umiała mu nic powiedzieć oprócz, że Jan Kazimierz zadość uczynił temu obowiązкови. Dla księcia Karola od dawna było jawnym, że królowa stronę starszego brata trzymać będzie; zdawało mu się jednak, że zrywać głośno z tego powodu, okazywać żal było niepolitycznym. W chwili więc już, gdy prawie wsiadać miał do kolebki, wysłał biskup do księdza Fleury, z którym był dosyć dobrze, pytając, czy może pożegnać królową. Zapytanie to, wysłane przez dworzanina, dość długo

pozostawało bez odpowiedzi, lecz w ostatku przyniesiono księciu Karolowi wiadomość, iż królowa oczekuje na niego. Wolałby był stokroć, aby mu się wymówiła czymkolwiek od przyjęcia, lecz cofnąć się już było za późno. Spotkanie to przykre, nie mogło mieć żadnych następstw, było ofiarą dla przyzwoitości, której biskup uchybić nie chciał ze swej strony. Królową w towarzystwie księdza de Fleury i pani des Essarts zastał już w salce posłuchalnej, oczekującą jego przybycia.

Z uprzejmym tym, wyuczonym uśmiechem dni powszednich, jakim zawsze i wszędzie

zmuszoną była witać gości swych królowa, z powagą, która ją nigdy nie opuszczała, przyjęła królewicza Karola. Czuła się swobodną, gdy on wchodził widocznie zmieszany i przygnębiony.

Wymównym nie będąc nigdy, teraz mniej niż kiedy mógł się zebrać na słów kilka.

Zamruczał zbliżając się o pożegnaniu, o niemiłym wyjeździe z Warszawy.

— Wasza Księżęca Mość łatwo mogliście uniknąć przymusu do tej podróży — śmiało odezwała się królowa.

Księżę Karol zaciął usta i odparł prawie gniewnym wejrzeniem.

— Tak — rzekł, zaczynając się już burzyć — ale raz wciągnięty i namówiony na to, abym

stał pomiędzy kandydatami, nie i mogę i nie chcę się już cofnąć. Korona ta — dodał — tak dziś jest

niepełną i ciężką będzie do dźwignia, że pożądanie jej jak męczeństwa, nikomu być za złe wziętym nie może. Z mej strony, mogę zaręczyć Waszej Królewskiej Mości, że to ofiara dla tej Rzeczypospolitej, na której łonie urodzony, czuję się jej dziecięciem. Wszyscy wiedzą, jak ukochałem życie ciche i odosobnione, ale dziś nie o sobie myśleć musimy.

— Nikt lepiej tej ofiary ocenić nie potrafi nade mnie — ceremonialnie poczęła królowa —

patrzyłam na to, jak nieboszczyk król miał wiele do zniesienia, a dziś w grobie mu nawet pokoju nie dają. Potwarz go ściga, zmarłego.

Ze spuszczonej oczyma słuchał księżę Karol.

— Najsmutniejszym jest dla mnie — dodał cicho — że zmuszony będę występować

przeciwko bratu, który po tylu próbach jeszcze nie jest zrażony.

Maria Ludwika odpowiedziała wejrzeniem tylko znaczącym; ażeby zmienić tok rozmowy,

spytała o mieszkanie w Jabłonie, uzaliła się nad niewygodami. Obojętnych kilka pytań i odpowiedzi zamknęły na ostatek obojgu ciężką rozmowę. Kilka kroków ku drzwiom odprowadziła gościa królowa i księżę Karol za progiem odetchnął swobodniej.

Gdy się to działo na zamku, a senatorowie bardzo jakoś opieszale się ściągali, księżę

Albrecht, kanclerz litewski i znaczniejsi panowie zawczasu starali się obmyśleć, jak przysły sejm i narady prowadzić miano, aby uniknąć rozterki gorszej, wymówek późnych i próżnych, straty czasu niepowetowanej. Wiele było nie do uniknięcia, inne sprawy jedne drugimi musiały być równoważone i spychane. Tworzyły się już powoli gromadki, które pewne wnioski popierać miały, innym zapobiegać, niemal wszyscy się godzili na to, że wybór spieszny panującego był

najpilniejszym zadaniem. Znaczna większość trzymała za królem szwedzkim, niewielu zalecało biskupa, tylko z jego ładu i gospodarności, chwalać go za wysłanych kilkuset ludzi do Baru.

Zaledwie dwaj wygnani kandydaci mieli czas się rozgospodarować w Jabłonie i

Nieporęcie, gdy goście do nich zaczęli napływać z Warszawy. Księżę Karol, zazwyczaj oszczędny, musiał się dla nich okazywać szczodrym i gościnnym, a Jan Kazimierz, któremu na środkach zbywało, nie mógł się też dać mu wyprzedzić. Z wielką troską o to, pomimo starań Butlera, przybył do czasowej rezydencji, ale tu po raz pierwszy dała mu się uczuć niewidoma pomoc ręki, którą łatwo było odgadnąć.

Nie pochodziło to wprost i jawnie od królowej, lecz nie mogło od nikogo innego. Królowi zbywało na wszystkim, na kredensach, naczyniu i zapasach, a wszystko to cudownie się jakoś nastęrczało i przychodziło z łatwością drogami różnymi, prawdziwą opieką Opatrzności.

Starosta dziwił się i cieszył. Król nabierał otuchy i winszował sobie porozumienia z

królową.

Współzawodnictwo jednak z księciem Karolem zawsze było groźnym, gdyż biskup miał pieniądze i nie żałował ich teraz. Pomiędzy braćmi z każdym dniem rozterka, niechęć rosły.

Król szwedzki, który nieopatrzny był w mowie i pohamować się nie umiał, powtarzał uwłaczające bratu plotki. Przenosiły się one przez usłużnych, na dwu stołkach siedzących zauszników i pasożytów z Nieporętu do Jabłonny i rozbudzały tam mściwość, a tym upartsze przeciwdziałanie.

Nigdzie w czarniejszych barwach nie malowano Jana Kazimierza niż na pokojach biskupa i

tu po raz pierwszy puszczone tę prawdziwą czy fałszywą plotkę, iż król szwedzki miał się wyrazić głośno, jakoby psa włoskiego więcej cenił nad polskiego szlachcica.

Z drugiej strony wyśmiewano się z księcia Karola, który miał' powiedzieć, że na koń gotów się i na wojnę ciągnąć, do czego tak mało był podobnym, iż obietnica ta wydawała się

szyderstwem.

— Jeżeli Rzeczpospolita innych obrońców mieć nie będzie nad jemu podobnych, to ją

Kozacy zjedzą! — wołali Kazimierzowscy,

Stronnicy księcia Karola nastawali na to, iż nigdy i nigdzie Jan Kazimierz wytrwać nie

umiał, wszystko łatwo sobie obrzydzał i coraz nowego czegoś się chwycił. Wiedzieli oni o przepowiedni świątobliwego Józefa z Kopertynu, który miał wcześniej zawyrokować, iż Jan Kazimierz ani mnichem, ani kardynałem nie będzie długo, a gdyby mu się nawet korona dostała, królem nie umrze, bo i tę porzuci. Płochy ten charakter; zabawianie się rozmowami lekkomyślnymi, towarzystwo najulubieńsze karłów, błaznów, małp itp. wyrzucano przysłemu królowi, gdy książę Karol, sumienny i poważny, obiecywał siłą charakteru, którego dał dowody, wyrobić na sobie, co chciał. Na stateczności jego polegać było można.

Obie strony wywlekały z przeszłości, czego tylko przeciwko sobie jako oręża użyć mogły.

Nazajutrz wiedziano w Nieporęciu, co mówiono wczoraj w Jabłonie i nawzajem, a niechęć braci przeciwko sobie rosła. Nie było to już współzawodnictwo kandydatów do korony, ale nieprzyjaźń ludzi, którzy sobie nigdy wzajemnych uraz przebaczyć nie mogli. Przy takim usposobieniu obu stron wszelkie pokuszenia się o jakieś porozumienie, przedsiębrane przez Ossolińskiego, Radziwiłła i kilku duchownych, do niczego doprowadzić nie mogły. Rozjątrenie z każdym dniem rosło, a rozrzutność księcia Karola, który pomimo oszczędności sypał pieniędzmi, spodziewając się Kazimierza nimi zwyciężyć, była najlepszym dowodem nieprzyjaźni wzmoczonej do najwyższej potęgi.

Książę Karol, który czuł i widział, że poza Janem Kazimierzem stała królowa Maria

Ludwika, na nią też miotał potwarze i zawczasu przepowiadał kazirodce małżeństwo, którym szlachtę mógł oburzyć przeciwko swemu współzawodnikowi.

Stare i nowe przeciwko królowej zarzuty Karolowi zwolennicy wyciągnęli na jaw i

przepowiadali na przyszłość, gdyby Kazimierza obrano, panowanie przewrotnej niewiasty. Z bólem serca senatorowie widzieli to rozjątrzenie wzmagające się i rosnące. Jednym z najczynniejszych pośredników, którzy o pojednaniu nie zwątpili do ostatka, był książę Albrecht Radziwiłł, kanclerz litewski. Działał on na korzyść Kazimierza we spółce z królową, a z nim szedł, choć mniej czynny jawnie, Ossoliński. Spodziewał się on tym sposobem przy dawnym swym wpływie i znaczeniu utrzymać, a nienasycona jego ambicja w panowaniu słabego Kazimierza wiele sobie w istocie obiecywać mogła.

Nadzwyczaj zręczne było postępowanie litewskiego kanclerza, który znał ludzi i posługiwać się umiał nimi. W rękach jego stawali się bezwiednie narzędziami tacy, którym on swe przekonanie narzucał jako ich własne. Nie mogąc sam zbyt często ukazywać się w Jabłonnie, gdzie choć go uprzejmie bardzo przyjmowano, nie łudzono się wiele jego życzliwością, Radziwiłł nasyłał tam biskupów i duchowieństwo, aby odradzało księciu Karolowi najpierw współzawodnictwo

bezsukteczne, a w najszcześniejszym razie koronę, która była ciężarem zbyt wielkim dla pobożnego kapłana, zmuszającym zmienić cały tryb życia i nawyknięcia niemal od kolebki przyjęte. Książę Karol jednak dotąd nie dawał się wzruszyć i zachwiać, trwał uparcie przy swoim i składał się gromadką niewielką, która go popierała. Ślepym się zdawał być na to, iż ona w senacie nie miała prawie żadnego znaczenia, a między szlachtą wpływ wątpliwy bardzo. Pomimo wszystkich tych złudnych obietnic i nadziei, jakimi karmiono księcia Karola, nadto on był rozsądnym i znał ludzi zbyt dobrze, by w końcu nie zwątpić w głębi duszy o powodzeniu swej kandydatury. Olbrzymie wydatki, którym nie było końca, zaczęły go też zniechęcać, lecz nie okazywał tego po sobie, a ile razy wysłańcy kanclerza przybywali, wzdychając i zachęcając do zgody i porozumienia, książę Karol z gwałtownością wielką oświadczał, że za nic nie zrzecze się kandydatury.

Bystre oko Radziwiłła dostrzegło już jednak różnicę wielką w księcia Karola mowie i

postępowaniu od czasu wyjazdu z Warszawy. Pomoc królowej coraz jawniejsza, odebrana

wiadomość pewna o tym, że poseł francuski listy króla swojego, polecające Rzeczypospolitej Jana Kazimierza już otrzymał, że Stolica Apostolska podobne za eks-kardynałem wysłała, przybiły wreszcie biskupa i odjęły mu odwagę. Sama już tylko miłość własna trzymała zniechęconego na stanowisku.

Wysocki, Czyrski i Niszczycki, najczynniejsza owa trójka w gospodzie nad Wisłą, przez

swych wysłańców do Jabłonny usiłowała księciu Karolowi dowieść, iż szlachta mazowiecka, najliczniejsza na elekcyjnym polu, musiała tu przeważną odegrać rolę, a jej okrzyki wezmą górę i inne województwa pociągną za sobą.

Można też powiedzieć, że obaj kandydaci do korony, w ciągłej niemal gorączce, nie mieli wiele

czasu do namysłów. Nie było w Nieporęcie i Jabłonie dnia bez gości z Warszawy, mieniali się oni nieustannie i rozgorączkowanie powiększali jeszcze. W każdej z tych dwu rezydencji przeważali życzliwi i podbudzający do wytrwania, a stronnictwo Jana Kazimierza szczególnie rosło i coraz się okazywało czynniejszym. Z królowej nic na pozór poznać nie było można: nie mówiła chętnie o elekcji, chciała się okazywać obojętną, z Radziwiłłem jednak była otwartą i za jego pośrednictwem szły z jej strony pomoce, rady i skazówki.

Kanclerz zresztą, ilekroć się spotkał z księciem Karolem, otwarcie się przed nim przyznawał do popierania Kazimierza, nakłaniając go, aby pojednał się z nim i Rzeczypospolitej ułatwił elekcję, która była kwestią życia lub śmierci.

Rozdział VI

Gdy się komu wiedzie, powiadali starzy, choćby na ziemię padł, kolanami na skarb trafi, gdy kogo los prześlada, chleb mu się w rękach kamieniem staje. Doświadczył tego Dyzma Strzębosz. Król szwedzki zawsze miał słabość do niego, lecz może by nie pomyślał w tej chwili o nim i nie nastęrczył mu zręczności zasłużenia się, gdyby nie skarga Włoszki, która mu go przypomniła. Szło o to kto z sejmu żywo wiadomości do Nieporętu dostarczać będzie, nie urzędowych, o które było łatwo, bo te i Butler, i młody Tyzenhauz przywozili, i oprócz nich mnóstwo wolontariuszów, przybywających tu co dzień. Jan Kazimierz potrzebował daleko więcej tych zakulisowych plotek, które o usposobieniu szlachty w polu i o przyszłym przebiegu spraw sejmowych wróżyć dozwalały.

Strzębosz miał wejrzenie trafne, gładki był tak, że do niego ludzie łatwo i on do ludzi przystawał i niezbyt go znano, więc żadnego posądzenia nie ściągał. Jemu więc król dał zupełną swobodę obracania się między Nieporętem a Warszawą, naznaczono mu konie i pacholika do

dyspozycji, byle znać dawał, co się tam około szopy i pod szopą dziać będzie. Zupełnie tak samo Niszczycki miał polecenie od księcia Karola informowania go w Jabłonie o obrotach spraw sejmowych.

Królowa na zamku, można powiedzieć, że każdą pulsacją żywota sejmowego natychmiast

odczuwała. Stąd wychodziły po cichu programata dnia, a co tu przewidywano, ziszczało się w sposób cudowny.

Strzęboszowi, który poruszać się swobodnie i z ludźmi rozmaitymi obcować lubił, jego

posłannictwo przypadało jak najlepiej. Gdyby sobie sam wybierał zajęcie do smaku, innego by pewno nie żądał. Prawda, że na polu elekcyjnym, a nawet pod szopą, cóż dopiero po błotnistej drodze do Nieporętu, w te dni jesienne brnąć nie było rzeczą przyjemną, a deszcz ciągle od początku sejmu lał niemal jak z cebra, ale młodość znosi ochoczo podobne niesmaki. Na pedogrę cierpiący mnodzy starszycy z senatu czuli się w te dni wilgotne gorzej, kilku z nich leżało, ale Strzębosz, choć mu za kołnierz ciekło, gwizdał, a do Jana Kazimierza przybywał z tak wesołą twarzą, że i jemu dodawał otuchy. Tu wszystko, począwszy od deszczu i błota, na dobre tłumaczył.

W istocie samej sejm, jeszcze bardzo niepełny, bo wielu było w drodze, a o innych

mówiono, że wcale nawet przybyć nie mieli, stąpał tak, jak człowiek przestrzeżony, że gdzieś w żelazo lub w dół wpaść może. Lękano się dotykać pewnych okoliczności i osób, inni znowu, całą winę na kilku składając, chcieli ich wywlec tu i pod pręgierzem postawić. Rozumniejsi jak tarczą osłaniali się elekcją, wołając o jej przyspieszenie.

Strzębosz, który miał węż doskonały, gdy przewidywał, że w sejmie przyjdzie do ważniejszych rozpraw, dotrzymywał placu pod szopą, innych dni dobiegał do Nieporętu. Przyłączał się to do dworu księcia Albrechta Radziwiłła, to do ludzi marszałka Kazanowskiego, a poza szopą między szlachtą nie potrzebował nikogo. Ponieważ już w samych początkach podział na dwa obozy zaczynał się czuć dawać, Strzębosz pilno unikał deklarowania swej barwy, czynił się sobie, jak podówczas zwano, neutralistą.

Zaraz pierwszego dnia, jak grom zawarczał głos referendarza: „Precz z cudzoziemcami!

Rusinów wiarołomców z wojsk precz wygnać, cudzoziemcom i plebejom dobra przez ich trzymane poodbierać! itd." Impet ten trochę kanclerz litewski pohamował. Przez dni kilka, można powiedzieć, sejm pulsów sobie próbował, aż wreszcie komisarze od wojska nieszczęśliwego przybyli i poczęły się żale a uniewinniania. Wystąpił z męstwem istotnym Adam Kisiel, Rusin, ale mąż prawy, którego jedni zdrajcą zwali, drudzy szacowali, jak zasługiwał.

Strzębosz nie umiał nic innego powiedzieć, tylko że się dopiero preliminaria odegrywały.

Tymczasem duchowieństwo szczególnie z ofiarami śpieszyło; jedni ludzi, drudzy, jak biskup żmudzki, gotowe pieniądze ofiarowali na potrzeby Rzeczypospolitej. Przy tych głosach ozwał się czasem rzewny, głęboki, serdeczny, do łez pobudzający; ale o tych klęskach szeroko rozprawiając dniami całymi, senat o elekcji dotąd milczał.

Każdego dnia król wybiegał na spotkanie Butlera albo Strzębosza: — A cóż? A co? — i odbierał szczegółowe zawiadomienie, że ani o nim, ani o Karolu na sejmie wcale mowy nie było.

Jan Kazimierz się niecierpliwił.

— Najjaśniejszy Panie — mówił mu pocieszająco Dyzma —

o elekcji, prawda, mowy nie ma, ale o niej wszyscy myślą, pójdzie potem gładziuteńko.

W tych dniach pierwszych gorący patriotyzm wyścigał się z ofiarami. Marszałek

Kazanowski swoimi ludźmi gotów był bronić Warszawy, kanclerz dawał ich także, Radziwiłł na początek stu dragonów i sto piechoty obiecywał, przy czym mu się gorzkie słowo wyrwało:

— Zostawili nasi wozy u Kozaków, bo były naładowane z substancji chłopów i dlatego

chłopom się dostały.

Jan Kazimierz niecierpliwił się tymi zwłokami, narzekał na nie, obawiając się, aby Karol z nich nie korzystał. Strzębosz zawsze z dobrą i gęstą miną upewniał, iż nie było się o co troszczyć.

Zwykle słuchał jego egzaminu król we cztery oczy, nie przypuszczając nikogo, z czym i Dyzmie było lepiej, bo swobodnie wodze sobie puszczał, a jednego dnia widząc niepokój króla, ośmielił się wprost powiedzieć:

— Najjaśniejszy Panie, nasza sprawa doskonale stoi; obawiać się nie ma o co, królowa jejmość ma tam swoich i czuwa pilno.

Zarumienił się mocno król, chciał naprzód wyprzeć się tego sprzymierzeńca, lecz pomiarkował, że to by się na nic nie przydało, udał, jakoby puścił to mimo uszu.

— Uczę się cierpliwości — mrucał król, słuchając Strzębosza i Butlera — ale gdy inaczej nie może być...

Starosta Butler dowodził, że inaczej w istocie nie mogło być. Sejm dawał czas braciom do ułożenia się między sobą, ażeby w ostatniej chwili do rozdwojenia i walki nie przyszło. Na tajnych więc naradach i u królowej, i u kanclerzy zwłóczono umyślnie, nastając szczególnie na Karola, aby ustąpił.

Kisiel nawet publicznie się z tym wyrwał, aby sejm posłał do królewiczów i wezwał ich do porozumienia z sobą. Lecz wojewoda braclawski był widocznie nie wtajemniczony i ta jego rada się nie podobała. Sejm urzędownie o kandydaturach nie wiedział nic, a było przeciw godności Rzeczypospolitej napraszać się im z koroną.

Znowu tedy Strzębosz przywoził wiadomości, jak o wyborze hetmanów radzono, o wojsku, a naleganie o elekcją odpierano tym, że Litwa dotąd nie przybyła. Bez niej króla okrzyknąć nie godziło się.

Z innych stron naglono o elekcją, potem wojsko przysłało legatów od siebie, żądano inkwizycji, kto tych klęsk był przyczyną, i tak ciągnęły się te przegrywki wstępne bez końca.

Tymczasem królowa, kanclerze i całe stronnictwo Jana Kazimierza czynnym było, nie

zawsze nawet oznajmując mu o tym, co czyniło. Brano go tak w opiekę, iż mógł siedzieć, słuchać i czekać na ostatek spokojnie. Z jednej strony rad był temu król szwedzki, lecz z drugiej go to upokarzało. Czuł się już teraz, narzędziem w rękach czyichś, a tym kimś, co nim władał, była niewątpliwie zakryta, niewidzialna królowa. Przed jednym Butlerem spowiadał się ze swego upokorzenia Kazimierz.

— Widzisz, Butler, nie mówiłem! Ona już mnie wzięła i spętała ona tu wszystkim, ja bez niej, wyznać to muszę, nawet Karolowi bym nie sprostał. A cóż to dalej będzie?

— Najjaśniejszy Panie— pocieszał starosta — wszakże tu idzie o wybór, niech tylko ona czy sam, z pozwoleniem, diabeł da koronę, cyrografu na siebie nie wydałeś Wasza Królewska Mość; z mniemanej niewoli dobyć się zawsze będzie czas.

Prawie do końca października Strzębosz tak jeździł, przywożąc tylko to jedno stałe świadectwo, iż pod szopą i na polu o księciu Karolu mowy prawie nie było, a wszyscy go przezywali: *turbator chori*, bo przeszkadzać tylko mógł, a uczynić nic by nie potrafił.

Przyszedł wreszcie z dawna oczekiwany dzień, w którym uroczyste poselstwo naprzód od Jana Kazimierza miał sejm przyjąć. Zawczasu się frasował o wystąpienie swej' godności odpowiadające król, ale poszło wszystko z tej niewidzialnej ręki łatwiuteńko i okazale. Znalazło się trzysta wcale pokaźnej jazdy, której pochodzenia nikt nie badał, dla dodania świetności orszakowi, w którym jechali biskup żmudzki, wojewoda bełski i mazowiecki, referendarz litewski, koniuszy, krajczy i chorąży koronni, starosta lwowski, . innych wielu, a z dworu Kazimierza, Tomasz Sapieha i Tyzenhauz, pokojowi jego. Senat i szlachta, ponieważ, pora była znośna, ustawivszy się na polu w półkole, słuchali legacji, w imieniu której przemawiał biskup. Mowa była zręcznie napisana i wypowiedziana dobrze, usposobienie zaś takie, iż ją doskonale przyjęto.

Strzębosz, który miał zlecenie natychmiast dać znać o skutku, nie doczekawszy się odpowiedzi arcybiskupa i sejmowego - dyrektora, w cwał poleciał do Nieporętu. Zbłocony po uszy, pierwszy miał szczęście zniecierpliwionemu królowi donieść o jego poselstwie.

— Najjaśniejszy Panie — zawołał żartobliwie — klnę się na co mam najświętszego, takie jest wszystkich serc ku Waszej Królewskiej Mości usposobienie, że ci, co mowy księdza biskupa żmudzkiego wcale nie słyszeli, a tych pewnie najwięcej było, i oklaskiwali, i okrzykiwali ją najgoręcej.

Tym się nie mógł zaspokoić Kazimierz, potrzebował wiedzieć, jak wyglądało tych trzechset jego jeźdźców, jakie, wrażenie uczyniły postaci jego przyjaciół, czy dosyć poważnie i świetnie w jego imieniu się stawili. Dyżma musiał mu opisywać stroje, rzędy, konie, wspaniałość poselstwa, zapowiadając, że z tego, co już wiadomym było, książę Karol mający też wystąpić, nierównie mniej okazale się przedstawi. Tryumfował więc król szwedzki, a przybywający nazajutrz rano Butler potwierdził w zupełności wiadomość Strzębosza.

Następnych dni przyjmowano posła szwedzkiego, który w imieniu królowej obu zarówno

królewiczów zalecał, i papieskiego de Torres, do którego orszaku przyłączył się kanclerz Radziwiłł.

Ojciec św. także obu również Stanom Rzeczypospolitej zalecał, ale wiadano o tym, iż zlecenie dał, aby eks-kardynała popierać.

Królewicz Karol w tydzień potem dopiero wysłał posły swoje, ale skromnie, a i ci, bo byli zapowiedziani, jak Chodkiewicz, starosta mozyrski, nie stawili się i mowy biskupa kijowskiego, w imieniu Karola przyrzekającego dziesięć tysięcy ludzi na obronę Rzeczypospolitej, nikt nie słyszał, taka się wrzawa i hałas wszczął, bodaj czy nie naumyślnie wzniecone. Bliżej stojący księzca Zaręby, gdy kończąc mowę wyraził się, że biskup Karol gotów sam iść na wojnę i krew swą przelać, głośno śmiać się poczęli. Nawet ci, co radzi by byli sobie na korzyść Karola wytłumaczyć skutek tego niemiłego poselstwa, zaprzeczyć nie mogli, że ono poszło jak najniefortunniej.

Wszystko się tak składało, aby odjąć biskupowi nadzieję.

Jak o tym doniesiono w Jabłonnej, nie wiadomo. W Nieporęcie radość była wielka, zatruta tym tylko, że w całej sprawie Kazimierz czuł ową niewidzialną rękę, która go trwożyła.

— Butler, co ty mówisz? — pytał Kazimierz.

— Winszuję i cieszę się, pieczone gołąbki nam spadają — mówił starosta — nigdy byśmy się sami nie zdobyli na to.

— Lecz — wtrącił nagle król, który usiłował się tym pocieszyć — nie sądz bo znowu, że wszystko jest jej dziełem. Nie, mam za sobą kanclerza litewskiego, a to jest statysta i człowiek ogromnego wpływu. Jego to sprawa.

— Tak — odparł niezręcznie czy umyślnie Butler — jestem tego pewnym, bo wiem, że codziennie naradza się z królową i bez niej nic nie czyni. Ona z kanclerzem, możemy być pewni zwycięstwa!

Tymczasem termin elekcji się przewlekał, dlatego że Radziwiłł, i Ossoliński postanowili, nie wprzód do niej przystąpić, aż księżę Karol się zrzecze. Szło o to, aby go nakłonić. Posyłano różne osoby do Jabłonna, ostrzegano, starano się przekonać biskupa, że w żadnym razie utrzymać się nie potrafi, nie ustępował.

Wysocki, Czyrski, Niszczycki karmili go nadzieją, że szlachta zakrzyczy senatorów i zmusi do obioru biskupa. Rachowano na Mazurów, spodziewano się przez Chodkiewiczów ująć Litwę tę, której panowanie Radziwiłłowskie ciążyło. Biskup nie tłumaczył się, nie wydawał z tym, na czym polegał, ale z uśmiechem tajemniczym przyjmował gości z Warszawy, ugaszcział ich i poił, oświadczając, że chce dotrwać na stanowisku. Upór ten Karola, choć nie był groźnym, do

najwyższego stopnia niecierpliwił Kazimierza. Przybycie Wiśniowieckiego, sprawy wojska na czas jakiś od elekcji odciągnęły uwagę; kanclerz jednak nalegał na nią ciągle. Czynny bardzo, dwa razy zaglądał do Jabłonnej, nic nie mogąc wymóc na biskupie.

Gotowała się tymczasem wszystkim, a szczególnie królowej i Radziwiłłowi niespodzianka.

Król szwedzki bolał nad tym, że sam dla siebie tak mało mógł uczynić i wszystko winien był pomocy Marii Ludwicy, zabiegom litewskiego kanclerza. Postanowił, bądź co bądź, choćby największą ofiarą z Karolem się porozumieć bez niczyjego pośrednictwa. Zdziwił się nieco Strzębosz, gdy jednego wieczoru król zawołał go do siebie. Przyjął go, krzyż trzymając w ręku, wzruszony niezmiernie i drżący.

— Przysiąż mi tu zaraz, że tajemnicy dochowasz.

— Najjaśniejszy Panie — wykrzyknął Dyzma — ale na to nie potrzeba ani krzyża, ani przysięgi.

— Przysiąż! Strzębosz był posłusznym:

Ręką drżącą gotowy już i napisany list wcisnął mu Kazimierz.

— Siadaj na konia, jedź do Jabłonnej, list wręcz osobiście bratu mojemu Karolowi i przywieź mi odpowiedź.

Zdumiony spojrzął w oczy mówiącemu Dyzma, ale nie śmiał się odzywać.

— Żywa dusza nie ma Wiedzieć, dokąd jedziesz, rozumiesz? I tak mu było pilno, że oburącz go popchnął ku drzwiom.

— Jedź!

Dziać się to miało w największej tajemnicy, ale w pół godziny potem, gdy Butler przybył z Warszawy z doniesieniami, Kazimierz przed nim sekretu zachować nie umiał.

— Wiesz — wybuchnął biorąc go na stronę — wiesz, zrobiłem głupstwo albo krok rozumny, naprzykrzyła mi się ta opieka królowej i kanclerza, chciałem sam coś począć.

Butler, znający niezręczność swego pana, ręce załamał. — Napisałem list do Karola.

— Aleście go jeszcze nie wysłali? — trwożliwie spytał starosta.

— *Alea jacta est...* list wyszedł — odparł Kazimierz, przechadzając się po pokoju. — Jeżeli Karol nie przyjmie i tym razem moich wniosków, nic nie będę miał na sumieniu.

Zamilczał Butler. W przekonaniu jego był to krok fałszywy, a co gorzej uczyniony

samowolnie bez wiedzy królowej i kanclerza, mógł oboje ich obrazić. Radziwiłł zasługiwał na to, aby go nie pomijano. Tymczasem król już był tak własną nieudolnością i beczynnością znękany, że

wolał krok fałszywy postawić, niż pozostać W tym odrętwieniu.

Złożyło się tym razem jednak daleko szczęśliwiej i inaczej, niż się spodziewać było można.

List Kazimierza braterski, niemal czuły, przybył w chwili ostatecznego znużenia i upadku na duchu księcia Karola. Tegoż dnia wygadał mu się ksiądz Zaręba, że jego oświadczenie, iż wsiądzie na koń, śmiechem przyjęto. Spokojne dni spędzone nad pobożnymi księgami, w ogródku, wśród

kwiatów, przysły na pamięć biskupowi. Począł pytać sam siebie, na co mu się ta krwią oblana cierniowa korona przydać miała? Zawahał się, ukląkł, zaczął się modlić, zapłakał. Był w nim temperament gwałtowny zawsze, troskliwie tylko hamowany i teraz postanowienie zrzeczenia się kandydatury przyszło jak wybuch. Wolał to uczynić na wezwanie brata niż na natrętne nalegania swoich partyzantów. Strzęboszowi czekać kazano.

Odpowiedź Karola brzmiała krótko i uroczyście. Nie był to już list współzawodnika, ale chrześcijańskiej duszy wykrzyk jakiś bolesny. Biskup nie stawiał nawet żadnych warunków.

Strzębosz odebrawszy odpowiedź pośpieszył z nią do Nieporętu, a tymczasem codzienni

goście napływali do Jabłonnej i znaleźli drzwi zamknięte. Oznajmiono im, że księżę Karol niedyspozyt, nikogo przyjmować nie może. Wysocki, który od świtu czekał na pieniądze, gdyż w gospodzie już beczki i skrzynie stały próżne, odebrał suche polecenie, aby zamknął gospodę i wszystkiemu położył koniec. Na próżno się chciał dobijać do biskupa. Kapelan z jego rozkazu powtórzył mu nieodwołalne dyspozycje.

W Nieporęcie Butler nie ruszając się, niespokojny, wyglądał Strzębosza; a co się przez ten czas oczekiwania działo z Janem Kazimierzem, pojmie tylko, kto podobne jemu badał charakter i temperamenta. Na przemiany klękał na gorącą modlitwę przed obrazem Najświętszej Panny

Czerwieńskiej, to zrywał się, chodził, pędził sługi, pił wodę, wino, chłodził i uczuwszy dreszcze ogrzewał. Z przedpokoju ciągle wołał kogoś, to wypędzał go nazad. Papugi klatkę, która wołała:

„Idźcie precz”, zakryto oponą, karły musiały iść do kąta.

Przybycie Strzębosza, który sam z listem wszedł do sypialni, o mało nie było powodem

mdłości. Król go wziął w ręce, położył na stole i nie zważając na obecność dworzanina, ukląkł na krótką modlitwę. Butlera nie było w pokoju. Wziął potem papier, złamał pieczęć, rzucił nań oczyma i okrzyk radości wyrwał mu się z piersi. Spojrzał na Dyzmę.

— Bóg zapłać — zawołał — idź spocznij.

Wtem starosta się już cisnął i z podziwem ujrzał rozpromienioną twarz pana. Kazimierz

wysoko podnosił w ręku list brata.

— A co — krzyknął — na nic się ja nie zdałem? He? Potrzebuję nianiek? Widzisz, bez ich pomocy, o własnej sile, porozumiałem się z Karolem.

— Tak, winszuję Waszej Królewskiej Mości — odparł Butler — ale co prawda, to prawda.

Krok to był bardzo szczęśliwy, a jednak gdyby nie przygotowały księcia Karola zabiegi kanclerza i królowej...

— Dajże mi pokój, to przecie raz mój własny tryumf — wtrącił król.

— Którym jednak podzielić się trzeba z Radziwiłłem i królową, aby ich nie zrazić.

— Ja się chcę od nich wyzwolić! — przerwał Jan Kazimierz. — Nie dawaj mi nauk.

Zamilkł Butler.

Wybryk samowoli i okaz własnej siły był już nieunikniony. Starosta przewidywał jego

skutki, lecz znał pana swego, któremu w pierwszej chwili takiego rozgorączkowania sprzeciwić się było próżno. Butler wiedział, że trwać nie mogło tak zuchwale rozpoczęte na własną rękę dzieło.

Król o układzie z bratem, jak właściwie należało, nie dał wcale znać ani Radziwiłłowi, ani królowej. Emancypował się całkowicie, choć mógł przewidzieć, że mu to będzie za złe wzięte.

Natomiast wezwał Kazanowskiego, Ossolińskiego, Denhoffa i kilku innych w pomoc dla ostatecznego porozumienia się ó warunki.

W wiligią św. Marcina (10 listopada) kanclerz litewski tak był sejmowymi i własnymi

sprawami zajęty, że się nie widział z królową ani z Kazimierzem i nie przypuszczał nawet, aby bez niego się coś dokonać mogło. Wiedział, że był potrzebnym, a nie przewidywał w królu tej chętki wyzwolenia się.

Maria Ludwika natychmiast była. potajemnie zawiadomioną o porozumieniu się braci i

znając naturę Kazimierza, domyśliła się, iż chciał tym sposobem okazać się samodzielnym. Z uśmiechem przyjęła tę wiadomość i z chłodną krwią wydała stosowne rozkazy.

Tymczasem w Nieporęcie wszystko było naprężone, rozognione, niespokojnie poruszone.

Kazimierz, jak każdy człowiek czujący się słabym, przypadkowo uzyskane zwycięstwo chciał

zużytkować w pełni, uczynić czymś świetnym, stanowczym dowodem niepospolitej energii i

zręczności. Sam więc już nie pytając nikogo, prowadził sprawę dalej. Pobożny książę Albrecht w

dzień świętego Marcina wychodził z kościoła i miał siadać do kolebki, gdy stojący tuż Denhoff zapytał go, czy razem z nimi zaraz lub później przybędzie do Jabłonnej.

— Ja dziś nie mam zamiaru się tam znajdować — odparł kanclerz.

— Jak to? Ależ wy przecie musicie należeć, do naszego poselstwa — zawołał Denhoff.

— Jakiego? Ja o żadnym nie wiem! — rzekł, ramionami ruszając Radziwiłł.

— Możeż to być? — przerwał Denhoff. — Ależ wiecie, że król. szwedzki porozumiał się z bratem, że ksiązę Karol zrzeka się kandydatury, a myśmy uproszeni, aby z nim wstępne warunki ułożyć, po czym król sam się uda do Jabłonnej.

Uderzony tą wiadomością i dotknięty nią niezmiernie kanclerz stał jak skamieniały. Ten

więc, który najwięcej pomagał Kazimierzowi, który wszystko to przygotował, pozyskał królową, ułatwił mu zjednanie stronników, on został umyślnie zapomniany i pominięty! W istocie można było się czuć do żywego obrażonym takim postępowaniem, a kanclerz nadto czuł swą siłę, ażeby się miał trwożyć i napraszać. Po chwili więc obojętnie odpowiedział Denhoffowi, że dnia tego był

nazbyt zajęty i ani do Jabłonnej, ani nawet z miasta nie mógł się oddalić. Nie wiedział jeszcze kanclerz, jak miał postąpić, cofnie się całkiem od Kazimierza było za późno, narzucać mu się nie mógł. Wprost z kościoła pojechał na zamek do królowej, która była pewną, że go zobaczy i oczekiwała na niego. Ona już z zimną krwią obrachowała wszystko i wybryk ten znajdowała dla siebie pomyślnym. Była pewną, że wielki ten szafunek siły król szwedzki przyplaci wprędce trwogą i wahaniem się, z których obiecywała sobie skorzystać. Ksiązę Albrecht nie nawykły do tego, aby go sobie lekceważono, znając swą siłę, jeszcze nie mógł przyjść do siebie, tak go niewdzięczność i obejście się zuchwałe króla mocno obeszło. Malowało się to na jego twarzy, gdy królową witając, sądził, że i ją zawiadomi on pierwszy o postępku króla szwedzkiego.

— Najjaśniejsza Pani — rzekł całując jej rękę — przychodzę dziś z nowiną, której bym nie uwierzył spełna, gdyby, niestety, nie była aż nadto pewną. Król szwedzki...

Maria Ludwika wskazała mu krzesło.

— Wiem ó tym od wczoraj — rzekła — sam się zwrócił do Karola, a że ten był już znużonym, udało mu się go skłonić. Uczynił to, nie pytając was ani mnie, sam.

— Co lepiej — wyrwało się kanclerzowi — wysłał dziś do traktowania o warunki od siebie panów senatorów, ale mnie ani dał znać nawet, ominął i ekskludował.

Maria Ludwika śmiała się wesoło.

— Mój ksiązę — odezwała się — nie mogło być inaczej, król czuł się upokorzonym, żeście

wy wszystko za niego obmyślali i robili. Chciał koniecznie sam coś dokazać, udało mu się i niepomierne rad jest temu. Dajmy się mu zabawić — dodała z pewnym rodzajem lekceważenia.

Radziwiłł słucał, lecz widać było, że nie mógł tak jak królowa przyjąć obojętnie uchybienia jawnego przeciwko sobie. Maria Ludwika mówiła dalej:

— Jestem pewna, że król się wkrótce upamięta i poprawi, ale potrzeba mu dać uczuć

niewłaściwość jego postępowania. Mamy prawo uważać je jakby za zerwanie tych umów, które go z nami wiązały. Wy więc i ja czuję się równie swobodną i nie jestem obowiązana popierać go i posiłkować tak gorliwie. Dałam już stosowne rozkazy. Na pozór wcale się nic nie zmieni, ale, ale ja cofać się muszę.

Kanclerz był gniewny, duma Radziwiłłowska, znaczenie jego na dworze Zygmunta III i

Władysława, narażenie na szyderstwo może, nie dawały mu się uspokoić.

— Co do mnie — rzekł — ja także nie myślę być tak czynnym i gorliwym jak dotąd, gdy

usługi moje są pogardzone i odepchnięte, ale nie mogę tego uczynić, nie oznajmując otwarcie królowi, iż jestem dotknięty, że to czuję.

Spojrzała na niego królowa.

— Postąpcie, jak uznacie właściwym — rzekła — ale pozwólcie, abym ja jawnie nie

okazała się obrażoną. Nie mówiłam z nim nigdy otwarcie, nie jestem do niczego obowiązana.

Dopomagałam mu dotąd, a dziś mogę się wycofać, tym łatwiej, że pomocy potrzebować nie będzie.

Uśmiechnęła się dziwnie.

— Jestem zupełnie swobodną — dodała.

Kanclerz siedział zadumany. Myślał zapewne nad tym, jakiego sobie pana tym wyborem,

dziś już nieuniknionym, gotowali. Postępek króla malował jak najdobitniej charakter jego.

— Co do następstw tego nierozważnego względem was kroku — mówiła dalej królowa —

jestem pewną, że za ledwie się dopuściwszy tej samowoli, król szwedzki już się niepokoi i żałuje.

Gdy napiszecie do niego, pośpieszy z przeproszeniem.

— Być może — odparł Radziwiłł — lecz że mnie to ostudziło i od czynnego nazbyt

zajmowania się elekcją powtrzyma, to pewna.

— Mości książe — zawołała królowa — nie mamy wyboru, musimy tego człowieka takim

wziąć, jakim jest, bo go już nic zmienić nie może, słabym był i pozostanie, ma to swą złą i dobrą stronę, najlepszym ze wszystkiego, że my go znamy.

Westchnęła.

Książę kanclerz długo jeszcze nie mógł przyjść do siebie. Przyznawał się, iż nigdy nie

podobnego przewidywać nie mógł. Królowa pożegnała go z umysłem zupełnie swobodnym. Po

powrocie do siebie pierwszą i najpilniejszą rzeczą dla kanclerza było podyktowanie listu do króla szwedzkiego, w którym wieszował mu układów z bratem, ale zarazem silnie czuć dawał, że użyty do nich, a pominięty na ostatku miał prawo się czuć obrażonym, bo ludzie mogli to sobie tłumaczyć fałszywie. Duma starego, wiernego sługi domu i magnata, którego znaczenie na Litwie i w Koronie nikomu nie było tajnym, tryskała z każdego wiersza tego listu.

Wyprawiono natychmiast do Nieporętu bojara, z tym jednak, ażeby list oddawszy, wcale na odpowiedź nie czekał i natychmiast precz jechał.

Królowa postąpiła sobie inaczej, zręczniejszą może i całkiem po kobiecemu: wydała rozkazy swoim.

Nazajutrz już król szwedzki uczuł, że mu tak nie szło wszystko po myśli, jak przed kilku dniami. Z Warszawy zażądano mnóstwa przyborów posłanych do Nieporętu, które jak się okazało teraz, były własnością królowej, a jej potrzebnymi się stały. Wielu ze sług zamkowych zniknęło i uwolniło się, powracając do Warszawy. Butler potrzebujący pieniędzy więcej niż kiedy, znaleźć ich tam nie mógł, gdzie wprzód je z łatwością pożyczano. Słowem, choć się na pozór nie zmieniło nic, stało się coś takiego, jakby z wozem nie nasmarowanym; skrzypiały koła, posuwał się ciężko.

Butler nie zrozumiał tego zrazu. Strzębosz, który miał oko na wszystko, słysząc go utyskującym, rozśmiał się. Byli sami.

— A jakże pan starosta chce, żeby mu szło gładko, kiedy dotąd nam z zamku pomagano i

popierano, a oto nagle musiały wyjść rozkazy jakieś nowe, bo wszystko nam cofają. Pewnie wiedzą, że król już się pogodził z bratem i posiłków nie potrzebuje.

W - ciągu jednego dnia ta zmiana stała się tak dotkliwą, że się dała uczuć królowi. Na

przyjęcie gości zabrakło nakrycia, kredensów i przyborów. Kazimierz dowiedział się o tym, gdy już komornik królowej, tak jak wprzód niby *proprio inotu* pożyczal, przybył i pozabierał wszystko, gdyż na zamku potrzebowano. Oprócz tego starosta musiał się przyznać, że i z pieniędzmi podobnie zaszyły trudności. Do trosk tych, nagle spadających na tryumfatora, przybył jeszcze list Radziwiłła, na który nie żądano odpowiedzi nawet. Kto inny na miejscu Kazimierza, z większą energią i pewnością siebie, byłby może z wyzwolenia korzystał i stworzył sobie nowe aliance. Król szwedzki uląkł się.

Przestraszyła go perspektywa wytrwałej pracy, do której pomocników nie miał.

Kilku senatorów gotowych było w Izbie sprawę jego popierać, lecz w domowych potrzebach nie było się kim posłużyć oprócz jednego Butlera i kilku bardzo wątpliwych sprzymierzeńców, dotąd nie wypróbowanych. Chociaż się do tego nie przyznawał, zatrwożył się Kazimierz, zwłaszcza gdy po odebraniu listu kanclerza dowiedział się, iż równie jak on wielu senatorów pominiętych czuło się obrażonymi osobiście. O to się kanclerz postarał, aby obrazę swą jawnie głosili. Natychmiast, nie zwlekając, napisał do Radziwiłła, tłumacząc mu się brakiem czasu i składem okoliczności. A że pomiędzy gośćmi w Nieporęcie dnia tego, których nie było czym i na czym równie wystawnie jak wprzód przyjmować, znajdował się Lubomirski, rodzony brat księżnej kanclerzyny Radziwiłłowej, król wziął go przeto na stronę i gorąco prosić zaczął, aby go przed szwagrem tłumaczył i uniewinnił, co Lubomirski przyrzekł i spełnił bez wielkiego skutku. Kanclerz nie pokazał się już w Nieporęcie.

Stosunki z królową, widocznie też zachwiane, naprzód wydały się królowi szwedzkiemu

osiągniętym celem pożądanym. Nie był związanym, został wyswobodzonym, ani żenić się już nie potrzebował, ani ulegać kobiecie, której siły się tak lękał. Rachował może na to, iż ktoś w imieniu wdowy, kanclerz albo ktoś inny nalegać będzie, przypomni słowne umowy z Radziwiłłem. Gotował się więc tłumaczyć, ale nie zjawił się nikt. Stopniowo tylko, nieznacznie, pomoce tajemnicze, które ułatwiły wszystko, równie zagadkowo cofnęły się, jak przyszły.

Brakło mnóstwa środków, pomocniczych sił. Szło oporem, Butler się rozbijał o głuchotę i obojętność tych, którzy mu wprzód najgorliwiej posługiwali. Zaczęto walczyć przeciwko temu zahamowaniu, ale bezskutecznie, a w kilka dni siły króla zostały wyczerpane. Zżymał się, niecierpliwił, wymówki czynił staroście i osłabł całkiem.

Butler, który w części przewidywał cały przebieg rzeczy, na pierwszy wyrzut Kazimierza odpowiedział mu:

— Najjaśniejszy Panie, proszę sobie przypomnieć, że ja to wszystko przepowiadałem. Nie mam co dysymulować. Z królową był rodzaj umowy, za pośrednictwem kanclerza zawartej,

Radziwiłła odprawiliście z kwitkiem, królowa też zrozumiała znaczenie tego kroku. Nie chcecie wy jej, nie czuje się w obowiązku wam pomagać. I kwita.

Król stękał tylko.

— Ale ja nie mogę się zaprzedać w niewolę — wołał rozdąsany. — Sam widzisz, o co to idzie: mnie chcą mieć jako narzędzie, a panować ma nie kto, tylko ona.

Starosta milczał. Dawał się królowi wynarzekać, naskarzyć, wiedząc z góry, iż ulegnie w końcu. Kazimierz trwał jeszcze jakiś dzień w marzeniu o niepodległości swej, próbował sobie stworzyć nową radę, zebrać ludzi nowych, ale się okazało, że oni wszyscy razem jednego kanclerza

litewskiego, wytrawnego statysty zastąpić nie mogli.

Wysłani do Karola senatorowie znaleźli go teraz łatwym na podziw. Kazimierz ofiarował mu ustępstwo księstw Opola i Raciborza i dwa opactwa intratne dla zwrotu poniesionych wydatków. Biskup to przyjmował, nie żądając nic więcej. Znał jednak mściwy i nie przebaczący charakter brata i nalegał na to głównie, aby przyszły król nie mścił się niesłusznie na tych, którzy przeciwko niemu trzymali z Karolem.

Król szwedzki w pierwszych początkach tak był szczęśliwy z korony, którą już miał zapewnioną, iż zaręczał, że nawet imion swych nieprzyjaciół pamiętać nie będzie. Dla przypieczętowania uroczystego układów król sam miał pojechać do Jabłonnej. Tym razem posiał prosić kanclerza litewskiego, aby mu towarzyszył, lecz Radziwiłł z uśmiechem zimnym wymówił się pedogą i odmówił przybycia.

Rozdział VII

— Słuchaj, Butler — zapytał po dniach kilku król szwedzki swojego faworyta — jak ty sądzisz? Co ja tu mam począć? Królowa, ja ci mówiłem, boję się jej, ale co tu strach nada, kiedy my już jej sieciami oplatani?! Siedzimy w saku, a im się człowiek gwałtowniej wydobywać usiłuje, tym mocniej się wikła. Co tu poczynać?

Przyjaciel spuścił głowę.

— Niech Bóg uchowa, abym ja miał co radzić Najjaśniejszemu Panu — rzekł — wszystko by potem spadło na mnie. Owszem, najuroczyściej protestuję i oświadczam, że rady żadnej nie daję. Zżymał się król i z ust mu się wyrwał dosyć uwłaczający dla starosty wykrzyknik, ale ten udał, że go nie słyszał.

— Modliłem się przed obrazem moim o natchnienie Ducha Świętego — mówił dalej

Kazimierz — nie czuję go w sobie. Nikt, nikt mi ręki nie podaje. Radziwiłł jest nieprzebłagany.

— Jam i to przepowiedział — zamruczał Butler. Rozgniewał się Kazimierz.

— A co "mi po twoich prorocत्वach! — zawołał. — Ja potrzebuję skutecznej rady, a nie twych wróżb.

Starosta milczał uparcie.

— Mówiłem ci to — pociął na nowo Kazimierz. — Kobieta przebiegła niesłuchanie, lepiej niż ja przewidziała wszystko. Przyznaję się, chciałem się wyzwolić od niej, obawiałem się ożenienia, ale myślałem później dopiero jawnie z tym wystąpić, tymczasem...

Zadumany król nie dokończył, Butler słuchał, patrząc w okno roztargniony; nie były to dla niego rzeczy nowe.

— Z nią będzie utrapiona wiekuista walka — mówił po chwili Kazimierz — a ja na nią ani czasu, ani środków nie mam. Sprawy Rzeczypospolitej są zawikłane, pomocników mi, a nie adwergarzy potrzeba.

— A królowa jejmość jako antagonista — rzekł Butler — nie jest do pogardzenia, miała czas i sposobność ludzi sobie pozyskać i ma pieniądze.

— Na których mnie zbywa — dodał król — ale ja ich nigdy mieć nie będę.

Westchnął ciężko.

— Butler, kochany mój, bądź ty mi przyjacielem, proszę cię. Dwu ludzi zawsze więcej widzą niż jeden. Coś postanowić potrzeba.

— Tak, a gdy ja z radą wystąpię — zamruczał Butler — wszystkie jej następstwa spadną na mnie!

— Ale jakież złe następstwa wyniknąć z niej mogą? Starosta zamilkł i namyślał się.

— Najjaśniejszy Panie — rzekł — proszę pamiętać, że ja mojej rady własnej nie daję,

przypominam tylko, żeś Wasza Królewska Mość sam wprzód postanowił i przyrzekł z królową wdową się ożenić, że o to do Rzymu posyłano, prosząc dyspensy, która lada chwila nadejść może.

Potem przyszedł nagły rozmysł, gwałtowna chęć wyzwolenia i stąd cała bieda nasza. Cofnęliście się od królowej, ona też się od was odsunęła.

Słuchał Jan Kazimierz. — Więc nie pozostaje nic — westchnął — tylko karku nagiąć, uznać się winnym?

— Ale nie — wtrącił Butler — można to złożyć na nieporozumienie; Radziwiłł jak był pośrednikiem, tak pewnie na nowo się podejmie.

— Nie ma innej rady! Nie ma! — zawołał nieszczęśliwy król, rękami sobie twarz zasłoniwszy. — Okują mnie i poprowadzą.

— Możesz Wasza Królewska Mość tego być pewnym, że Maria Ludwika na wstyd i na srom nie pociągnie. Ambicją ma wielką.

— To niezawodna — szepnął już, pragnąc się pocieszyć, król. — Niepospolitych darów umysłu i serca niewiasta! Dała tego dowody. Przybyła do nas poprzedzona potwarzą. Władysław na nią patrzeć nie chciał, nie miała żywej duszy za sobą, obca, a dziś? Dziś, ona tu panią. Mów sobie, co chcesz, gdyby się jej było podobało Karola prowadzić, ja bym z moją szwedzką, papierową koroną osiadł na piasku.

Kiwnął głową Butler.

— Więc tu się nie ma co namyślać — dodał Kazimierz, sam usiłując się przekonać o konieczności tego kroku. — Jedź do kanclerza, proszę cię, powiedz mu, że usilnie go zapraszam tutaj do Nieporętu na obiad. Niech sobie dzień sam wybierze, ale prędko. Daj mu do zrozumienia, że tu idzie o pakta z królową, że ja gotów jestem zobowiązanie podpisać, najuroczyściej przyrzec, słowem: poddaję się.

Westchnął ciężko. — Nie było i nie ma innego ratunku.

— Ależ na Boga, nie ma też nad czym tak boleć! — zawołał Butler. — Królowa jest piękną jeszcze, niestara, rozumną, majątną, stworzoną do tronu! Zamiast szukać innej i brać na ślepo pierwszą lepszą księżniczkę, z której, Bóg wie, co by urosło, macie kobietę znaną, cenioną, szanowaną.

Król na wszystko przyzwał, chciał być przekonany, uniewinniony i wytłumaczony ze swej słabości.

Wskutek tej rozmowy starosta pojechał do Warszawy i odwiedził księcia kanclerza, który zobaczywszy go, wiedział już, z czym przybywał. Przyjął go uprzejmie, lecz sam nie zagaił rozmowy. Butler musiał, zrzuciwszy pychę z serca, dopraszać się w imieniu pana swego przybycia do Nieporętu, nie tając tego, że ważne i stanowcze gotowały się układy i że Kazimierz broń składał przed królową. Dzień zostałznaczony.

W kilka godzin potem Radziwiłł, zawsze chętnie na zamku przyjmowany, meldował się już do królowej, która bardzo cierpliwie, pewna swego, czekała na skruchę i powrót marnotrawnego syna.

— Jadę zaproszony do Nieporętu — rzekł kanclerz — ale tym razem nie na próżno.

Maria Ludwika zmarszczyła się nieco.

— Mości księżę — odezwała się — jestem niemal obrażona przez króla. Wszyscy mi

powiadają, że tajemnicy z tego nie czyni, rozpowiada, głosi, że się mnie lęka. Nie byłam i nie jestem taką ksantypą, która by postrach obudzała, ta obawa jest dla mnie uwłaczającą. Jeżeli się jej pozbył król, chcę być zapewnioną, iż się ona nie wróci. Układom cichym nie mogę już ufać, należy coś obmyśleć.

Księżę Radziwiłł przerwał z uśmiechem:

— Ale ja go tu przywiozę do stóp Waszej Królewskiej Mości, skruszonego i za grzech

żałującego. To nie ulega wątpliwości. Ja i ksiądz de Fleury możemy być świadkami uroczyste danego słowa, którego król złamać nie może, a oprócz tego prośba o dyspensę do Rzymu, choćby nie była potrzebną, da pewność na piśmie. Więcej wymagać nie można.

Milcząco przyzwoliła królowa, ale westchnienie się z jej piersi wyrwało.

— Mówmy otwarcie — rzekła. — Miałam czas poznać dobrze króla Kazimierza i ocenić

przymioty jego: przede wszystkim wielką i szczerą pobożność, szlachetne popędy, serce dobre, ale zarazem dziecinną płochość, brak męskiego wytrwania, łatwe zarówno rwanie się i zrażanie do wszystkiego. Wiem zatem, jak ciężkiego podejmuję się zadania, stając u jego boku na straży godności i przyszłych losów Rzeczypospolitej.

— Kraj też i my to ocenić potrafimy — rzekł Radziwiłł. — Oddany sam sobie nie podoba

Jan Kazimierz ciężkiej chwili, w jakiej jesteśmy obecnie. Nie mamy kogo innego, jest to krew królów naszych, od Boga przeznaczona.

Z tego uroczystego nastroju rozmowa stoczyła się zaraz na sprawy powszednie, które sejm właśnie zajmowały; wojsko, wybór wodzów, dowództwo, które dać chciano Jeremiemu

Wiśniowieckiemu, obawy i zazdrość, jakie budziła jego więtość i zdobyta już sława. Byli tacy, co nie tylko hetmanom nim grozili, ale znajdowali niebezpiecznym dla króla, iż on sam miał całą sławę zwycięzcy przywłaszczyć sobie. Z drugiej strony nienawiść, zajadłość Chmielą i Kozaków przeciwko Jeremiemu świadczyły najlepiej, że jego imię samo już grozą było dla nich i postrachem.

Możnaż było tak potężne odrzucić narzędzie? W sejmie też rozbijały się zdania. Kisiel, który znał

siły zbuntowanej kozaczyzny i Tatarów najlepiej, wołał o układy naprzód; inni je jako srom uważali i żądali zwycięstwa, które by hańbę piławiecką obmyło.

Pocieszyć się tym było można tylko, iż poczynając od duchowieństwa, wszyscy z chętnymi śpieszyli ofiarami, po kilkuset ludzi, po kilka tysięcy złotych przynosząc Rzeczypospolitej według przemożności. Sam Radziwiłł liczbę dragonii i piechoty obiecaną już powiększył, a oświadczał się

do ostatniej koszuli poświęcić wszystko.

— Gotowym ojczyste moje sprzedać dobra — mówił publicznie. — Zniszczyli mi Ołykę.

Bóg dał, Bóg wziął, ostatnim kęsem chleba trzeba się podzielić z matką.

Tak mówili prawie wszyscy, a bardzo maleńka chyba cząstka bojaźliwie się na prywatę

oglądała. Cieszyła się tym królowa. Na umówiony dzień kanclerz stawił się do Nieporętu, a król przyjęciem serdecznym starał się zatrzeć wrażenie popełnionego błędu. Nikt zresztą mniej uraz nie był pamiętnym nad Radziwiłła, który niejednokrotnie tej powolności dał dowody Władysławowi.

Przyszło do wspomnienia królowej. Król z gorącością wyraził, że życzy sobie nieporozumienia ślady zatrzeć i gotów jest mówić otwarcie, zobowiązać się uroczyście.

— Położenie tego wymaga — rzekł kanclerz — królowa ma prawo żądać ubezpieczenia.

Sama godność kobieca ją zmusza.

Król szwedzki pośpieszył upewnić, że ha wszystko był gotowym i uznawał konieczność

otwartego porozumienia się, Radziwiłł podszeptał, iż podpisanie prośby o dispensę, choć późne, mogło być rękojmią.

I na to się zgodził Kazimierz. Sam on w siebie usiłował wmówić, iż innej drogi nie było, i że powinien być czuć szczęśliwym. Incognito wieczorem, potajemnie, mieli się z kanclerzem w dniu naznaczonym znajdować. Dzień ten tak teraz pragnął przyśpieszyć Kazimierz, jak wprzód go chciał odwlekać.

Z zupełnym spokojem, pewna siebie królowa, wydawszy stosowne rozkazy, oczekiwała

zapowiedzianych gości. Jeden ksiądz Fleury, spowiednik Marii Ludwiki miał być świadkiem tych odwiedzin, które los królowej rozstrzygały i przyszłość jej zabezpieczały.

O ile małżonek mógł dosyć być wstrętliwym dla wykwintnego smaku pani, o tyle położenie, jakie jej zapewniał, pożądanym było. Wrócić do Francji, która się jej stała prawie obcą, nie mogła, ale w Polsce popierać interesa jej pragnęła gorąco.

Z jakim uczuciem wszedł król szwedzki, który usiłował rozradowanym obliczem pokryć

swe zakłopotanie, domyślić się łatwo. Dodawał sobie męstwa, ale królowa nadzwyczaj zręcznym, śmiałym i swobodnym powitaniem, w którym nie było najmniejszej oznaki urazy i żalu,

przyczyniła się do ośmielenia go.

Radziwiłł wziął na siebie takie poprowadzenie rozmowy, aby oświadczenie się króla jak

najmniej go kosztowało, a przyszło jak najskładniej. Z zimną krwią i zupełnym panowaniem nad sobą, ze zręcznością kobiety, która się wychowała na dworze, Maria Ludwika przyjęła

oświadczenie, umiarkowaną wdzięczność i uczucie objawiając przyszłemu małżonkowi, który starał się okazać rozmiłowanym i pełnym galanterii. Niewiele to kosztowało króla, który w istocie dla każdej kobiety miał jakąś sympatią zmysłową i częstokroć najdziwaczniej ją okazywał. Z

uśmiechem ironicznym Maria Ludwika przyjmowała te spóźnione westchnienia i wejrzenia.

Książdz de Fleury miał przygotowaną minutę prośby do Rzymu, którą, nie czytając jej, król podpisał.

Tak wszystko się skończyło pomyślnie, klamka zapadła. Przy podanej wieczerzy po włosku, to jest słodyczach, zimnych przekąskach i winie, gdy kanclerz pił zdrowie obojga królestwa, Jan Kazimierz z kieliszkiem przystąpił do Marii i pocałował ją w czoło. Rozmowa, trochę winem hiszpańskim podbudzona, wpadła w ton lżejszy i przeciągnęła się jeszcze, ale król musiał powracać do Nieporętu i z tego powodu, zostawiając tu kanclerza, siadł do swej kolebki, oczekującej go w podwórzu.

W chwili, gdy już miał zająć w niej miejsce, obejrzał się i zobaczył Strzębosza. Jakim

sposobem wąsik jego i twarzyczka przypomniała mu Bertoni i jej córkę, tego nie potrzeba tłumaczyć, ale co trudno się daje zrozumieć, to że mu fantazja przyszła w towarzystwie Strzębosza zajechać na Stare Miasto do Włoszki. Był w nadzwyczaj doskonałym humorze, ciekawy zobaczyć ową sławną piękną Biankę, o której wdziękach tyle słyszał, przy tym figiel, jaki miał wyrządzić starej wprowadzając z sobą Strzębosza, dosyć mu się uśmiechał.

— Słuchaj, Strzębosz — rzekł, przechylając się ku niemu — co ty myślisz? Ta stara Bertoni czy śpi już, z kurami poszedłszy do łóżka, czy...?

Dyzma nie dał dokończyć.

— Najjaśniejszy Panie, tam czasem do północy śpiewają i grają. Trochę się zawahał

Kazimierz.

— Ale jak ty mi piśniesz, zem ja tam był...

Dyzma już szeptał coś na ucho woźnicy i sam na drążku stanął przy nim; kolebka ruszyła.

W ulicy panowały ciemności, ale droga była znaną, a dalej odjechawszy mogli zapalić pochodnie, których zapas mieli z sobą.

Król, popelniwszy nierozwagę, zaczynał jej żałować i obawiać się, aby go nie poznano;

gotów był już zawrócić, ale wołał na próżno Strzębosza, który tak był' przejęty swym szczęściem, iż ogłuchł na głos pana. Zatrzymała się kolebka, ale król wysiadać nie myślał, wyjrzał z niej na kamienicę naprzód, świeciło się we wszystkich oknach górnego piętra.

— Strzębosz! Słuchaj no — zawołał wychylając się — idź na górę, wywołaj do mnie

Bertoni. Mogą u niej być goście, a nie chcę, żeby mnie tu widziano. Powiedz jej, że kolebka stoi u drzwi.

Dyzmie tego tylko było potrzeba, ażeby go spuszczone z łań- cucha. Drzwi kamienicy nie

były jeszcze zamknięte, a choć na wschodach panowały ciemności, instynktem na nie trafił. Kto wie? Bywał tu już może. Zastukał, ale muzyka pono nie dawała słyszeć dobijania się do drzwi, musiał więc wniknąć, aby królowi nie dać czekać długo. W przedpokoju stała właśnie wystrojona Bertoni, rozmawiając ze służką, gdy w progu ukazał się Strzębosz. Diabeł ani upiór nie uczyniłby na niej straszniejszego wrażenia, zaczęła krzyczeć wniebogłosy, ale Dyźma przyskoczył do niej.

— Król jest ze mną! Król! Na Boga! Cicho, król!

Z pokoju, w którym zabawiano się i śpiewano, biegła spłoszona Bianka z drugą jakąś dziewczeczką, ale Bertoni co żywo im drzwi przed nosem zamknęła. Była tak zmieszana, rozgniewana, zastraszona, iż sama nie wiedziała, co począć.

Strzębosz, jako poseł pana nieustraszony, dalej spełniał, co mu polecono.

— Najjaśniejszy Pan w kolebce tu stoi u drzwi waszych. Kto wie? Może by wam tę cześć wyrządził i zaszedł na chwilę, ale nie chce być ani widzianym, ani poznanym.

Z wolna Bertoni oswajała się z tym, co ją niespodzianie spotykało, i przychodziła do siebie.

Tylko mówić ze Strzęboszem, z tym zuchwalcem, kosztowało ją niezmiernie, ale musiała.

— U mnie krom obcej dziewczyny, która króla pewnie nigdy nie widziała, no i córki, która go tak dawno nie oglądała, że nie pozna, nie ma nikogo, niech wysiądzie!

Bertoni stała uradowana i zła razem. Wolałaby była króla nie mieć, byle Strzębosza tu, u siebie nie widzieć. Była najpewniejszą, że Bianka go zobaczyła, poznała i że mu się przez dziurkę od klucza przygląda.

— Król czeka — dodał Strzębosz — ale na wschodach egipskie ciemności; nie chcecie

przecież, ażeby karku nadkręcił, a do takiego gościa ze świecą laną wyjść się przecie nie godzi każdemu.

Gdyby Strzębosza nie było! A, Bertoni byłaby tak szczęśliwą hałaśliwie, że cały Rynek

Starego Miasta dowiedziałby się o tym! Nie patrzyła już na niego. Wpadła do pokoju, w którym ucichła muzyka. Chwyciła ze stołu lichtarze i zwróciła się do córki.

— Pan wojewoda mazowiecki uczynił mi ten honor, że zejdzie tu na chwilę. Bianco! Żebyś mi nie trzpiotała się, a o tej wizycie nikt wiedzieć nie powinien. Rozumiecie, wojewoda...

Ale zbyt przebiegłemu dziewczęciu widok Strzębosza dał już do myślenia, a uroczyste przyjęcie więcej jeszcze.

— Słuchaj — szepnęła do towarzyszk swej Dzianotówny — przysięgam, że to nie wojewoda, ale... ja wiem kto...

Dziewczęta przejrzały się w zwierciadłach, poprawiły włosy, poobciągały sukienki i stanęły w kątku, nie zapominając o tym, aby kątek był im do twarzy. Tymczasem ciągle mrucząc przekleństwa i wykrzyki jakiegoś, Bertoni zeszła aż na dół do drzwi, a Strzębosz pośpieszył króla dobyć z kolebki.

Jan Kazimierz w przeciągu tego krótkiego czasu, gdy Dyzma na górze negocjował, już się był rozmyślił i niezmiernie żałował popełnionego wybryku, który ani wiekowi, ani dostojności jego nie przystał. Ale przyszło mu na myśl francuskie przysłowie p utoczonym winie, które wypić było potrzeba. Widmo starej Bertoni stało w progu, czekając na niego, musiał wnijsć na górę.

— Nie mam czasu nad pięć minut — szepnął król — ale, ale... pragnienie mnie pali, potrzebowałem się napić wina z wodą... dlatego...

Plątał się, śpiesząc już na wschody, których znaleźć nie umiał. Strzębosz go ujął pod rękę, Włoszka poszła ze światłem przodem. Odwróciła się do króla.

— Biance powiedziałam, że wojewoda mazowiecki — szepnęła.

Strzębosz parsknął, bo między królem a panem wojewodą najmniejszego nie było podobieństwa, a co gorzej, Bianka wojewodę często bardzo widywała, więc się kłamstwo wydać musiało.

Dosyć niespokojny, ale razem mocno ciekawy, bo dziewczęta go niesłuchanie ku sobie pociągały, Kazimierz wszedł do pokoju Włoszki bawialnego, rozglądając się po nim. Pozostałe dwie świece dosyć słabym światłem oblewały dziewcząt dwoje, stojących i chichoczących w kątku.

Król wprost poszedł ku nim.

Piękność Bianki, świeżość i młodość Dzianotówny uczyniły na nim wrażenie takie, jak czasem woń wiosenna kwiatów na tych, co długo świeżego nie kosztowali powietrza. Stanął

zapominając o wszystkim, uśmiechnięty, rozmarzony. Strzębosz z dala od progu strzelał też oczyma ku swej pani. Bertoni, która chciałaby była pozostać na straży, musiała zająć się przyjęciem. Dziewczęta chichotały ciągle, kryjąc się jedna za drugą. Dopiero po chwili kontemplacji tego obrazka, jaki miał przed sobą, król westchnąwszy usunął się kilka kroków i padł na krzesło.

Z drugiego pokoju, z pomocą sługi, Bertoni niosła na przepysznej tacy srebrnej, w złotym dzbanku wino, w szklanym wodę i kubki. Oprócz tego cukier, cytryny i pomarańcze leżały na misie. Wszystko to postawiła przed królem, który tymczasem z oczów Bianki nie spuszczał.

— Nie mam czasu — szepnął jej król — niech mi jedne tylko jaką piosnkę zaśpiewa, głos posłyszę.

— Zaśpiewać i zatańcować by mogła — przerwała Bertoni — ale... czy to pora? Ja się nie przygotowałam. Gdybyście mi byli dali znać!

— Moja Bertoni, pięć minut temu, jam. nie wiedział, że to głupstwo zrobię — zaśmiał się król — ale wszystkiemu winien Strzębosz. Jak zaczął mnie prosić, błagać, modlić, a ja mam słabość do niego.

Włoszce się oczy gniewem zaiskrzyły.

— No, niech Bianka zaśpiewa — naglił król.

— Ale każcie mu odejść do antykamery — przerwała Bertoni.

— Komu?

— A temu zuchwalcowi — poczęła Włoszka — ja na niego patrzeć nie mogę.

— Tak, ale ja bez niego się obejść nie umiem, to moja straż, musi stać w progu.

Bertoni mogła się niecierpliwic i gniewać, gdyż w istocie Strzębosz, nie tracąc czasu, zjadał oczyma dziewczę, które mu strzelistymi, dziecinnie naiwnymi wejrzeniami odpowiadało.

Pieszczona Bianka, śmiała, nie obawiała się ani matki, ani nikogo. Włoszka poszła ją

namawiać do śpiewu, z czym się nie bardzo drożyła, szło tylko o wybór włoskiej piosenki. Sama podała jej cytrę. Bianka ją przebiegła palcami, popatrzyła na Strzębosza, obróciła się ku królowi i zanuciła sopranem słowika.

Piosenka? O czymże włoska może nucić piosenka? Jej osnową ta wiekuista, umierająca i

odradzająca się miłość, na której obraca się życie. Jan Kazimierz zapomniał się, wpatrzywszy w jej

oczy, a Dyzma, który głosu tego nie słyszał nigdy, w zachwyceniu osłupiał. Śpiewała jak słowik.

Bertoni, stojąc tuż nad córką, jak gdyby ją skrzydłami otulić chciała, promieniała dumą, szczęściem, ale razem pałała gniewem. O taką perłę uriańską, jak ona zwała córkę, śmiał się starać jeden taki chłystek, pokój owiec króla wprowadzie, ale mizerny, ubogi szlachetka. Nie byłoż to karygodnym?

Nie wiadomo, jak długo by była potrwała ta scena dziwna, gdyby Kazimierzowi nagle

groźna twarz Marii Ludwiki nie stanęła przed oczyma. Dopił pośpiesznie wina i wstał. Zbliżył się do Bianki, którą poufale pod brodę pogłaskał i zdjawszy pierścień z palca, była to jeszcze więzienia francuskiego w Sisteron pamiątka, pożegnał zarumienioną śpiewaczkę, skłonił się matce, kapelusz na głowę wdział bez ceremonii i do drzwi pośpieszył.

W chwili, gdy Bertoni chwyciła za lichtarze, zręczny dworak wśliznął się poza nią i w

mgnieniu oka rączkę Bianki porwawszy, do ust ją przycisnął, szepcząc coś niezrozumiałego.

Dziewczę niby się cofnęło przed tą napaścią, ale niezbyt przestraszone.

Szli już ku drzwiom bo król gniewny sam na siebie za słabość i nieopatrzność, rad był co prędzej się stąd wyrwać. Odetchnął dopiero swobodniej, gdy znowu się znalazł w kolebce, a posłuszny swej naturze, płochy krok tym zamknął, że się pobożnie przeżegnał i w piersi uderzył.

Pochodnie zapalić miano dopiero na przedmieściu, gdy się na drogę ku Nieporętowi wybiorą.

Nie przewidywał wcale Kazimierz, jakiego kłopotu sobie miał przyczynić, zbacząc do

Bertoni. Starosta Butler, który wiedział, że w towarzystwie jednego woźnicy, Strzębosza i dwu pacholików miał król po nocy wracać do Nieporętu, niespokojnym był o niego. Czas ów elekcyjny napełnił okolice, przedmieścia, miasto napiła szlachtą, ciurami i zaciężnymi żołnierzami, różnych dworów, którzy się niemal co dzień napaści różnych i burd dopuszczali. Lękając się o króla, nagotował się Butler na drodze w kilkanaście koni mu towarzyszyć. Tymczasem zmierzchno, noc nadeszła, a króla jak nie było, tak nie było. Butler zniecierpliwiony zaczął się domyślać, że może król inną pojechał ulicą, chociaż to wcale nie było prawdopodobnym i powysyłał ludzi na zwiady.

Kolebka nadciągnęła, gdy ta eskorta była rozproszona. Zapalono pochodnie i Kazimierz ze swoją małą służbą puścił się dalej. Dopiero dobrze za przedmieściami Butler jakimś instynktem napędził jadących. Król poznał głos jego, wychylił się i za całe tłumaczenie opóźnienia rzucił mu:

— Na zamku mnie wstrzymano.

Byłby temu uwierzył starosta może, gdyby na twarzy Dyzmy przy świetle pochodni nie dojrzał szyderskiego śmiechu.

— Gdzieżście wy byli? — zapytał Butler pochylając się do Strzębosza:

Ten palec położył na ustach.

Staroście aż ciarki poszły po plecach, uląkł się. Znał króla i mógł go posądzić o

najdziwniejszy wybryk. W innej chwili nie miałby on znaczenia, ale teraz, gdy na przyszłego pana wszystkie oczy były zwrócone! Od Strzębosza dowiedzieć się trudno było próbować; musiał więc jechać tak do Nieporętu, a tu przybywszy, król zaraz się ukląkł modlić, po czym do łóżka poszedł.

Nie było zbrodnią wielką płoche to wyswobodzenie się znudzonego kandydata do korony, ale złośliwe języki mogły z tego coś skleić i zaledwie przejednaną królową zniechęcić.

Nazajutrz wstawszy w najokropniejszym humorze, król po mszy świętej odprawionej przez kapelana, po śniadaniu, po rozsądzeniu krwawego zajścia między karłami, wziął Butlera na stronę.

Wyznał mu, że ze wszystkiego, co się stało i odstać nie mogło, był najniezwyklejszym. To, co wczoraj mu się wydawało różowym, teraz widział czarnym okrutnie. Królowa wydała mu się starą i żółtą, a co gorzej, despotyczną. Lecz słowo zostało wyrzeczone przy świadkach, papier podpisany.

— Najjaśniejszy Panie — rzekł Butler — dziś już za późno ubolewać nad tym, co było

bodaj nieuniknionym. Królowa wprawdzie jak każda kobieta zechce panować, ale Wasza

Królewska Mość potrafisz się jej oprzeć.

Na ostatek przyznał się po cichu przyjacielowi król, jak niepotrzebnie wczoraj zboczył na Stary Rynek, lecz starosta się rozśmiał i nie widział w tym nic zdrożnego, a zaręczył, że ludzie pewno tajemnicy nie zdradzą, z której zresztą wytłumaczyć się było łatwo.

Następnych dni Mazurowie się z dysydentami ucierali i do głosowania na wybór króla nie

dopuszczono. Trzy czy cztery razy już klękali wszyscy do zaintonowania *Veni Creator* i zawsze ktoś zaprotestował.

W sejmie wiadomość o pojednaniu się braci i ustąpieniu korony przez Karola bratu nie

zrobiła tego wrażenia, jakiego się spodziewać było można. Niektórzy to za frymark poczytywali i opresją wolności Rzeczypospolitej, ale mało kto słuchał malkontentów. Wybór był już tylko rzeczą formy, bo w istocie od chwili pojednania nie ulegał wątpliwości. Szło tylko o pakta konwenta, to jest o warunki, jakie królowi nałożyć miano. Za wzór wzięto Władysławowskie.

Kazimierza już królem wszyscy mianowali; nie potrzebował siedzieć w ciasnym Nieporęcie, więc się zaraz przeniósł do Warszawy. Tu na zamku po całych dniach jako już przyszedł pan naciskowi gości i wcześniej chcących sobie łaski zaskarbić ledwie się mógł obronić, aby mieć chwilę wypoczynku, a królowa też po kilka razy na dzień domagała się widzenia z nim, na której wezwanie pośpieszać musiał. Dla człowieka, który nigdy myśli długo na najpoważniejszym

przedmiocie zatrzymać nie umiał, którego wysiłek każdy męczył, a nawyknienie do rozrywek czyniło miękkim, obecne położenie było straszliwą męczarnią. Sprawy nadzwyczajnej wagi

przychodziły na stół naglące, tak iż je natychmiast, stanowczo rozwiązywać było potrzeba. W

niepewności na obu kanclerzów spychał je król, wstydząc się razem nieudolności swej. Zdawało się, że i królowa niespokojną być musiała o jego zachowanie się w tym położeniu, obawiała się omyłki, zdradzenia ze słabością. Dlatego powoływała go ciągle pod rozmaitymi pozorami do siebie.

Rozpocząła najtrudniejsze w świecie dzieło: przerobienie człowieka niemłodego, który

miał nałogi zastarzałe i nawykł do ulegania fantazjom. Ufała jednak, iż iskierka rycerstwa, że duma krwi, potrafią z niego stworzyć wodza. Tym ona go tylko mieć chciała. Rzeczpospolita była machiną starą i nadwerężoną, której przerobić ani naprawić nie było łatwo, ale czasu wojny mężny i szczęśliwy wódz stojący na jej czele, mógł się okryć blaskiem i sławą, które by słabości jego, nieudolności w rządzeniu dostrzec nie dawały.

Od królowej słyszał Jan Kazimierz ciągle jedno naleganie.

— Najjaśniejszy Panie! Wszystko się składa jak najszczęśliwiej — mówiła. — Nie oddawaj

hetmaństwa nad wojskami nikomu, sobie zostaw najwyższą władzę, idź sam, prowadź! Dosyć

będzie odgłosu tego: „król na czele”, aby motłoch zadrzał. Okryjesz się sławą, ja to czuję; wojna, wojna... wszystkie siły na nią skupić potrzeba.

Pochlebiało to Kazimierzowi, który królowej myśl chwycił skwapliwie, ale w jego ustach

natychmiast przybrała ona fizjognomią nową.

— Cudowny obraz Najświętszej Panny Czerwieńskiej zabiorę z sobą do obozu — mówił z

zapałem. — Każemy śpiewać starą Bogarodnicę. Msza co dzień i pokuta przed bitwą. Ducha

religijnej gorliwości rozbudzić potrzeba.

Maria Ludwika, pobożna też, nic nie miała przeciwko temu, lecz przede wszystkim

rycerskiego pragnęła obudzić ducha.

Król objawiał zapał największy, oświadczał, że pójdzie przodem, że gotów jest bić się jak prosty żołnierz.

— Resztę spraw bieżących, Najjaśniejszy Panie, wierzajcie mi, możecie zwierzyć

doświadczonym doradcom, jakimi są dwaj kanclerze. Twoją troską powinno być wojsko, zebranie ludzi i wystąpienie na plac boju. Będiesz miał sławę odrodziciela ojczyzny.

Ile razy przychodził do królowej, słyszał to jedno tylko Kazimierz i potrafił się przejąć tym usposobieniem rycerskim. Królowa była tak poruszona, iż gotową się zdawała sama z nim ciągnąć na wojnę. Nie trwożyło ją nic, pewną była zwycięstwa.

Ci, którzy dawniej znali króla, jak Butler, zaraz w dniach pierwszych uczuli potężny wpływ Marii Ludwiki na niego, ale znajdowali go szczęśliwym. Janowi Kazimierzowi to rycerstwo nadawało pewien urok, na którym mu dawniej zbywało.

W Polsce szczególnie król, który zarazem żołnierzem i wodzem nie był, nie mógł pozyskać miłości narodu. Zygmunt III, choć nie miał szczególnego powołania do oręża, musiał

przywdziewać zbroję i ciągnąć w pole, stając mężnie w czasie rokoshu. Jan Kazimierz też przypominał choć mało znaczący swój udział w rosyjskiej wojnie, a Karolowi to najwięcej do korony przeszkadzało, że go na koniu nie widywano.

Maria Ludwika więc nie bez przyczyny chciała przyszłego małżonka uczynić rycerzem, a

on sam zdawał się tę metamorfozę uznawać też za konieczną. Dotąd zbrojownia jego była tak mało znaczącą, że nie wiedziano, gdzie jej szukać, gdy spytał o nią, ale po Władysławie pozostały bardzo wytworne i kosztowne uzbrojenia: hełmy, tarcze, pancerze, które choć do chudszej i nikszej figury króla nie nadawały się, płatnerze na to i kaftany łosiowe poradzić mogły. Jednego ranka Butler otrzymał zlecenie rozpatrzenia się w zbrojeniu. Własnego nie miał prawie nic Jan Kazimierz, gdyż po powrocie z Rzymu nie starał się o to; oprócz kilku szpad, które u boku nosił, nie było uzbrojenia, musiano więc zaczerpnąć w spuściznie bogatej po bracie, aby nie kupować. Potrzeba było też starszych wojskowych wezwać do rady, bo król żadnego nie miał doświadczenia i nie wiedział, co dźwignąć i nosić może. Cały ranek jeden trwały narady, bo Kazimierz chciał

wieczorem zaspokoić królową, iż przybory wojenne miał w gotowości. Próbowano blach, koszul, szyszaków, mieczów, nawet buław, z których jedne w uroczystych chwilach król miał nosić.

Milcząco dawał się odziewać w kaftany i rozbierać, ale znajdował, że całe uzbrojenie dosyć ciężko i ruchy utrudniało.

Dwór króla stary, który go widywał w kardynalskiej purpurze, w czarnej długiej sukni

zakonnej, w niemieckim stroju świeckim, z uśmiechem teraz spoglądał na pana, który miał nagle przemienić się w żelazem okutego bohatera.

Rozdział VIII

Dzień dwudziestego listopada zwiastował się z rana zimny i wietrzny. Śnieg polatywał;

znaczna część starszych senatorów i znużonych sejmowaniem dziennym i nocnym posłów siedziała po domach i gospodach. Spoglądał każdy w okno. Ba! Jednym mniej, jednym więcej! Obejdzie się tam beze mnie.

Z rana więc mała garstka tylko znalazła się pod szopą dla ukończenia roztrząsań paktów

konwentów. Naglono o głosowanie, aby raz temu koniec położyć. Szczęściem też niebo łaskawsze rozjaśniać się zaczęło, szlachta się ściągała. Król, który dla uroczystego wjazdu po spodziewanej dnia tego elekcji czekał ze dworem za miastem, usłyszał wreszcie około południa huk dział, który mu zwiastował, że na polu śpiewano już *Te Deum!* Co chwila też nadbiegali z powinszowaniami co żywiej ci panowie, którzy królowi przy wjeździe towarzyszyć mieli. Pomędzy nimi król mógł się doliczyć aż pięciu sobie wiernych Radziwiłłów.

Wśród okrzyków wesołych siedli na konie wszyscy. Cała droga do miasta i do kościoła nabitą była ciekawymi, witającymi tłumami. Jan Kazimierz jechał rozpromieniony i zwycięski.

Wtem na drodze jeden z tych sławnych ówczesnych jowialistów, których sporo liczono w tym czasie właśnie, gdy najmniej się śmiać było z czego, dawny dworzanin Władysława IV, Zygmunt Skarszewski, tak dzielny żołnierz i dowcipny żartowniś, jak stary, dogorywający już Samuel Łaszc, czapeczka na ucho jedno włożona, nawinął się na oczy królowi. Spostrzegłszy to drwiące wesołe oblicze, Kazimierz żartobliwie odezwał się do niego:

— A co tam słyhać, mości panie? Kto w okopach królem mianowany?

— A! — odparł, strojąc minę smutną, Skarszewski. — Ładu nie ma w Polsce, wszystko stoi

nieporządkiem u nas. Jużci się mnie korona należała, alem się, zagrawszy w kostki, z konkurencją spóźnił. Zaprawdę za mojego panowania Polacy byliby mieli takie zamieszanie i kaszę jak nigdy!

Ale cóż! Przez te kostki Rzeczpospolita straciła, a jam się jeszcze zgrał w dodatku!

Było to pierwsze oznajmienie o dokonanej elekcji, które wszyscy i sam elekt śmiechem wesołym przyjęli. Skarszewski przyłączył się do świetnego orszaku, wśród którego liczni biskupi, nuncjusz, królewicz Karol, senatorowie, dygnitarze pierwsze obok króla miejsca zajmowali.

Kościół Świętego Jana był przystrojony i oświetlony na przyjęcie. W loży zamkowej, za zasłonami stała królowa, która na dzień ten, wzorem królowych francuskich, żałobę czarną na białą zamieniła. Patrzyła i lży jej wzrok mąciły. Teraz, gdy elekcja cudowną jednomyślnością dokonana została, dowiadywano się ze zwierzeń różnych, z narzekań spóźnionych, że Rakoczy

siedmiogrodzki miał znaczną partią za sobą i tylko zręczne zabiegi królowej, onieśmienie spiskowych, pośpiech na ostatek, zapewniły koronę Kazimierzowi. Z dala warcząc odgrazali się ci stronnicy Zygmunta IV, że on może siłą to pozyskać, czego mu z dobrej woli nie dano.

Mało kto w czasie tej uroczystości, przysięgi, mów, powinszowań zwrócił oko na zakrytą

ložę i niewielu może wiedziało, że na wpół firankami przysłoniona, siedząca w niej kobieta poruszała, rządziła, kierowała znaczniejszą częścią tych senatorów, którym się zdawało, że czynili, co sami chcieli. Żałoba nie dozwalała się Marii Ludwice pokazywać nigdzie, znużenie cielesne i na

duchu czyniły ją niemal chorą, ale czuwała z dala. I ona także w niepewności pędziła te dni oczekiwania nie o małżeństwo swe, bo to, niestety, ominąć jej nie mogło, ale o przyszłość małżonka. Potrafi li ona uczynić go wodzem, rycerzem i królem, jakim marzyła? Były dni, gdy Kazimierz wydawał się jej ożywionym, natchnionym, chętnym do pracy, ale częstokroć nazajutrz już był zmieniony, zmęczony i sam powątpiewający o sobie.

O żenieniu urzędownie mowy jeszcze nie było; wymagało ono zgody Stanów, chociaż to było niewątpliwe. Tymczasem naznaczono już pogrzeb Władysława w Krakowie na 15 stycznia, a po nim koronacja i sejm odbyć się miały. Dano nieco spocząć Kazimierzowi, który co dzień widywał królową i względem niej z tym większą był wdzięcznością i afektem, im się jej mocniej obawiał. Powracał od niej na przemiany z uwielbieniem i ze strachem. Butler, któremu potrzebował się zwierzać, na przemiany słuchać musiał niepomiernych pochwał, a potem cichego mrużenia.

— Gdybym ja się mógł od niej uwolnić!

W dni kilka Ossoliński, któremu szło wielce o to, aby się u Jana Kazimierza utrzymał w tej wziętości, jaką miał u nieboszczyka, we wspaniałym pałacu swoim wystąpił z uczcią, która na pozór by *ła*. niespodziewaną, chociaż Maria Ludwika od kilku tygodni o przygotowaniach do niej była zawiadomiona. Król zaproszony pojechał chętnie i zabawiał się bardzo wesoło, szczególnie nadskakując młodym i pięknym paniom, między którymi marszałkowa Kazanowska prym trzymała.

Spostrzegli wszyscy tę dla niej preferencją, ale też dziwić się nie było można, bo piękna pani wyzywała Jego Królewską Mość słowy i oczyma.

Królowa nazajutrz szydersko nieco żartowała sobie z przyszłego małżonka, nie zdając się do tego przywiązywać wagi:

— Strzeż się jednak Wasza Królewska Mość oczu ludzkich, bo wysoko siedząc, narażony jesteś na potwarze; nie trzeba do nich dostarczać wątku. Co księciu było wolno, królowi się nie godzi.

Jan Kazimierz wczorajsze zaloty obrócił w żart i zaparł się ich najuroczyściej, ale wróciwszy do siebie, zawołał do Butlera:

— Na każdym kroku mnie śledzi! Jestem spętany. Ślubu jeszcze nie wziąłem, a w niewoli już jestem. Co to będzie dalej?

Starosta nie odpowiadał.

Nawoływanie do wojny, która królowej zdawała się jedynym środkiem wybawienia,

przycichać zaczęło. Namówiono króla, aby na czasie zyskując listy wysłał do kozactwa, a te na pozór poskutkowały. W istocie zaś Chmiel się potrzebował zorganizować i tłumy motłochu ująć w jakieś karby, pozyskać sobie Tatarów i kto wie jeszcze jakich spodziewanych sprzymierzeńców.

Kozacy wołali głośno, iż pofolgowali Rzeczypospolitej, ulegając prośbie króla.

Można sobie wystawić, jak ta prośba szlachcie smakowała, która obruszała się na motłoch, chociaż nie śpieszyła się przeciwko niemu. Mazurowie szczególnie uspokoić się nie mogli, na gwałt dopominając się indagacji i ukarania zbiegów piławieckich.

Ciężkie warunki, jakie nakładało kozactwo, ze swej strony nie dając żadnej rękojmi pokoju, kazały przewidywać, że krwawo jeszcze będzie rozstrzygać się tak sprawa, w której Chmiel z czernią daleko pewniejsi byli sprzymierzeńców i sojuszników niż osamotniona Rzeczpospolita.

Nikt tu przyszłości nie widział jasno, zaślepiąła świetna przeszłość, pogromcy tylu potęg mieliż się lada zbuntowanych chłopów ulęknąć? Łudzili się wszyscy, a kto, jak Kisiel, widział jaśniej niebezpieczeństwo i radził mu zapobiegać, tego zdrajcą ogłaszano.

W styczniu wreszcie król, dobrej myśli, wybierał się do Krakowa; królowa chora i smutna pozostawała w Warszawie. W ostatnich dniach starała się natchnąć Kazimierza męstwem i

wytrwałość cią, a król czuły i posłuszny obiecywał wszystko, co chciała. Wyrывał się jednak spod jej oczów, rad wyswobodzenia i nie ukrywał się z tym przed starostą. Nawykły do tych

najsprzecznieszych zwierzeń, Butler słuchał ich z jednaka obojętnością, nie przywiązuując wagi do nich, choć się gwałtowniej objawiały. Dzień następny zaraz je ostudzał.

Podróż na Częstochowę odbyła się szczęśliwie, chociaż z mniejszą daleko okazałością niż dawnych panujących. Wszystkie obrzędy spełniły się według form uświęconych, nie pominięto niczego, ale ci, co pamiętali dawniejsze czasy, z boleścią widzieli, iż kraj, miasto, dwór, ludność bez zapachu, chłodno udział w nich brała. Wszystko jakoś zubożało, skurczyło się, zmalało. Owe orszaki panów, strojne pułki, husarze, gwardie cudzoziemskie od aksamitów i lamy, tryumfalne łuki i ognie zdrobniały, nie miały blasku ani przepychu dawnego. Upadek zamożności i ducha zarówno czuć się dawał. Nie było tej ufności w przyszłość, jaka niegdyś ożywiała każdego panowania początki. Król sam niewiele był obiecujący, znano go tylko ze zmiennych wielce kolei fortuny, a jutrzeńka jego panowania nierozproszyła chmury stojącej na horyzoncie jeszcze i głuchym przypominającej się grzmotem.

Wołano: „*Vivat!*”, a pierś wtórowała: „Nie pomszczona piławiecka! Zbiegłe sromotnie wojska, zabrani w niewolę hetmani, kozactwo i chłopstwo na karkach, z groźbami! Kto nas pomści?” Jedyne wódz, którego obawiali się buntownicy, jedyny mąż, który mógł może podówczas zbawić Rzeczpospolitą, Jeremi Wiśniowiecki, którego sława i szczęście we wszystkich zazdrość obudzała, czasu koronacji doznał lekceważenia i zapowiedzi, że buława i naczelne dowództwo ominąć go miało. Gdy w czasie pogrzebu Władysława kruszono drzewce królewskiej chorągwi, a obłamek jej jako godło wodza należał Wiśniowieckiemu, sięgnął też on po niego, ale Jan

Kazimierz, w którym zazdrość obudzono, przestrzeżony, umyślnie pominął go i drzewce oddał pokój owcowi swemu, Strzęboszowi. Mogło się to nazwać omyłką, zapomnieniem, ale było uchybieniem i zniewagą, którą Wiśniowiecki uczuć musiał głęboko.

Zaledwie przebrzmiały okrzyki koronacyjne, a senatorowie zebrali się na radę.

„Piławiecka! indagacja! Ukaranie zbiegów!” — zahuczało znowu.

Król dosyć neutralnie zachowywał się we wszystkim. Na ostatek przyjaciele Marii Ludwiki uznali chwilę właściwą, aby wnieść kwestię królewskiego małżeństwa. Jan Kazimierz, który nigdy zręcznym politykiem nie był i w tej sprawie, tak go blisko obchodzącej, pozostał biernym. W duszy pragnął najmocniej, aby senat, dla bliskiego powinowactwa, sprzeciwił się tym ślubom, lecz stało się inaczej. Królowa silniejszą tu była nad niego, a dyspensa rzymska, za którą nuncjusz ręczył, iż była w drodze, wszystkim zamykała usta. Ci więc nawet, co w początkach sprzeciwiali się małżeństwu, zamilknąć musieli.

Król, choć zgryziony tym, uradowanego udawał, gdyż wyzwolenia się stracił już nadzieję.

Co dzień prawie przybywający posłańcy królowej i listy jej dostarczały wskazówek, jak sobie miał

Jan Kazimierz postępować. Oburzał się na tę niewolę, lecz słuchał, bo toż samo, co listy Marii Ludwiki, przynosili mu Ossoliński i Radziwiłł.

Wyrazem potrzeb najpilniejszych było przemówienie marszałka koronnego. Żądał on

wojska, ofiar i potężnego uzbrojenia zewsząd zagrożonego kraju. Nie jedni Kozacy grozili: Rakoczy z najazdem się odzywał, Szwedzi z Niemcami mogli łatwo korzystać z osłabienia Polski, na ostatek Tatarowie i Turcy obojętnie też nie mogli patrzeć na ten łup, który im wydzierano.

Kanclerz wymownie w imieniu króla odzywał się do sejmujących. Niestety, cały przebieg spraw aż do końca sejmu był niejako odbiciem stanu umysłów ówczesnego, niepokojonych tym, co się stało, tym, co się stać mogło, a na próżno szukających ratunku. Jan Kazimierz wołał o wojsko, ale w cudownych obrazach jeszcze większą niż w nim nadzieję pokładał a miał słuszność, bo cudu potrzeba było, aby z tego chaosu siłę i czyn wyprowadzić.

Wśród narad, co czynić, jak jęk boleści wytryskiwało:

— Grzechy nasze nas biją!

Kanclerz Radziwiłł ucisk chłopów ciągle przypominał, inni zgnuśnienie wyrzucali

rycerstwu; jęczano, wzywano kary a pomsty, a nie wiedziano, co czynić. Jedyne straszne było, aby jako zbawca ojczyzny wszystkim nie odjął sławy. Schodzono się co dzień tak boleć, narzekać i stękać.

Król? Rachował na to, że sam odgłos imienia jego zasieje trwogę. Gotów był stanąć, prowadzić i zgnieść tych zbuntowanych, którzy tymczasem z zuchwalstwem niesłychanym naśmiewali się z dawnych panów. Wśród tych narad bałamutnych dano znać z Warszawy, iż królowa mocno zasłabła. Król już Krakowem znudzony rad był się może stąd wyrwać; rozstawiono konie, przyspieszono obrad zamknięcie.

Pobyt Kazimierza w starej stolicy ciekawym dostarczył treści, skazówek do odgadywania przyszłości. Było to charakterystyczną słabością tej doby właśnie, że się gwałtownie domagano od astrologów, od ludzi świątobliwych, od wróżbitów wszelkiego rodzaju odsłonięcia tajemnic jutra.

Nigdy tyle horoskopów, astronomicznych obrachunków, wierszy zagadkowych, proroctw, świątobliwym przypisywanych, nie obiegało po rękach, jak w tych latach. Każdy się starał wiedzieć, co mu jego narodziny wróżyły, bo nie wątpiono, że w gwiazdach zapisane były wyroki nieuniknionego fatum.

W czasie pobytu króla, w sam dzień koronacji, pożar na zamku nie mógł też pozostać bez tłumaczeń i wykładów. Wieczorem, gdy po biesiadzie wszyscy się już po kwaterach rozeszli, a w mieście jeszcze i przy niektórych pańskich dworach ognie sztuczne wyprawiano na cześć ukoronowanego, tuż podle sypialni, w której on spoczywał, w Kurzej Stopie ogień się zajął.

Król się przebudził, ale w pierwszym momencie służby rozpierzchłej nawet dowołać się było trudno na ratunek, bo i ta ucztowała i szalała. Nadbiegł tylko Ossoliński i wszczęty pożar rychło ugaszono. Kanclerz miał tę przytomność umysłu, iż strwożonemu Kazimierzowi ognia tego jako dobrej wróżby powinszował, lecz spalenie się Kurzej Stopy w mieście za zły omen uważano.

W powrocie do Warszawy na pół drogi potrzeba się było i dla przepręgu, i dla posiłku zatrzymać. Dzień był piękny i pogodny. Kazimierz wyszedł przed plebanią, w której go proboszcz przyjmował. Kilka kroków dzieliło go tylko od małego kościółka wiejskiego, na którego progu ujrzał dziwnie wyglądającego człowieka. Wydał on mu się żebrakiem. Nie powstał jednak na widok króla i tą obojętnością swą ciekawość jego obudził. Mężczyzna był ogromnego wzrostu, silny, z głową włosiem bujnym, siwiejącym okrytą, z oczyma głęboko pod kością czołową i brwiami rozrosłymi ukrytymi. Suknia na kształt mniszej okrywała go, podpasana sznurem, u którego, wisiał prosty, drewniany różaniec. Był to ten sam pątnik Bojanowski, któregośmy widzieli w gospodzie księcia Karola nad Wisłą. Pielgrzymka teraz z Częstochowy i Gidlów prowadziła go do Krakowa.

Trafem zaszedł do kościółka, gdy król właśnie na plebanią zajeżdżał. Ale czym był król dla niego?

Jan Kazimierz zbliżył się ku niemu. Nie ruszył się i teraz Bojanowski. Pierwszy musiał go Jan Kazimierz pozdrowić: „Niech będzie pochwalony”. Żebrak mniemany skłonił głowę i zamruczał odpowiedź, nie powstał jednak i wiele się nie zdawał okazywać ochoty do rozmowy.

Tym mocniej podrażniło to króla; sięgnął naprzód do woreczka po jałmużnę, lecz ruch ten odgadłszy Bojanowski, odezwał się:

— Jam nie żebrak, jałmużny nie potrzebuję.

— Któż jesteś?

— Grzesznik, jak i ty.

Wtem Strzębosz, który z dala stał, starca nie znał, a sądził, iż go powinien przestrzec z kim mówi, podbiegł, schylił mu się do ucha i szepnął:

— To król jest!

— Wiem o tym — rzekł głośno, obojętnie Bojanowski.

Jan Kazimierz, posłyszawszy przestroagę i odpowiedź, uczuł się tym dotkniętym.

— Króla więc sobie za nic ważycie? — odezwał się podchodząc.

— Mamci ja co dzień z Królem królów do czynienia — odparł, nie powstając, starzec —

cóż dla mnie twój ziemski majestat waży? Patrzą na ciebie i boleję nad tobą, bo biedniejszym jesteś z tą koroną twą niż najędzniejszy z poddanych twoich. Kozłem jesteś ofiarnym, który za grzechy tysięcy i swe własne cierpieć będzie, nie za żywota tylko, ale po wsze wieki. Cierniem jesteś ukoronowany, trzcinę ci miasto berła dali w ręce, a purpura twa, krwią zabarwiona, gdy zeschnie, stanie się czarną. Tak, królem chciałeś być i jesteś, ale nim nie umrzesz, królem jesteś godnym tego królestwa zgnilizny i grzechu. Biada tobie i królestwu twojemu!

Jan Kazimierz słuchał bledniejąc. Nawykły szanować ludzi świątobliwych, czuł w tym nie

znany starcu jakąś istotę nie z tego świata, duchem się korzył przed nią, ale majestat jego królewski cierpiał.

— Wiem — odezwał się po namyśle — że w nieszczęśliwą powołany zostałem godzinę, ale

nie w sobie ufam: wierzę w Opatrzność i pomoc bożą, w miłosierdzie Pańskie.

Bojanowski rzucił głowę.

— Bijcie się w piersi — rzekł. — Ty i ten kraj, czyście na nie zasłużyli? Skalanych

grzechami Bóg natchnąć nie może, a nie obmylicie się z grzechów waszych. Modlitwą nie

przebłagacie Boga ani ofiarą rąk nieczystych, serca wasze zepsute są i ostygłe. Dzikie zwierzęta wypuścił na was mściwy Jehowah, które szarpać będą i krew waszą toczyć, aż poprawicie się i pokutować będziecie. Biada tobie i królestwu twojemu!

Król nie śmiał się odezwać, rad był odejść, a siła jakaś trzymała go jak przykutego przed tym starcem, który siedział jako sędzia surowy i ledwie nań chciał patrzeć. Milczenie trwało dosyć długo, na ostatek Kazimierz rzekł głosem niższym:

— Módlcie się za mnie i za wszystkich...

— Modłę się i pokutę czynię za własne i za wasze grzechy — odpowiedział Bojanowski —

ale głuchym jest Bóg, bo grzeszyć nie przestajecie. Upokorzył was, zgniótł, krew się lała strumieniami, niewolnicy wasi stali się panami waszymi, urągają się wam i znęcają, a wy?

Ucztujecie i odgrazacie się i czczymi słowami szermujecie żądając, aby Bóg zastępów za was szedł, i zmiotł nieprzyjaciół, a wam pomstę łatwą dał w ręce! Cierpliwym był Pan, ale przyszła godzina kary bożej. Mieliście proroki, które wam przepowiadały, nie wierzyliście im, mieliście znaki na ziemi i niebie, ślepiście byli na nie; przyszła kara, a zamiast pokuty przekleństwo i narzekanie macie na ustach. Biada tobie, królu, i królestwu twojemu!

Gdy powoli, jakby sam do siebie, na króla nie patrząc prawie, mówił tak Bojanowski, a Jan Kazimierz, ochłonawszy ze strachu, dotknięty nieposzanowaniem majestatu swojego, burzył się już i myślał tylko, jak ma odejść stąd — proboszcz miejscowy, staruszek bojaźliwy, który nadszedł na ostatnie Bojanowskiego słowa i słuchał ich przełękły, począł starcowi zza króla znaki dawać, aby zamilkł..

— Nie zamykaj mi ust — zwrócił się ku niemu stary. — Nie ma dziś, od kogo by on prawdę

posłyszał. Z kazalnicy mu pochlebiać będą, od ołtarza go błogosławić, a grzesznik jest jako my, a gorszy od nas, bo on i grzechy jego na świeczniku są postawione. Bogu wiarę ślubował i strzymał, poprzysiągł ją królestwu temu i nie dotrwa do końca.

Król zwrócił się do proboszcza.

— Szalony jest! — zamruczał. — Chodźmy.

Bojanowski pozostał na progu kościoła i, usłyszawszy odchodzących, podniósł oczy:

— Biada tobie i królestwu twojemu! — zamruczał raz jeszcze. Drzwi kościółka

przymknięte były tylko; starzec wstał, kijem się podpierając, bo chłopaka przy nim nie było, i wsunął się, wlokąc nogami, do wnętrza. Przed wielkim ołtarzem płonęła zwieszona lampa, ale mrok panował tu, wśród którego tylko gdzieniegdzie złocenia jakiego odblask i jaśniejsza chorągiew występowała. Bojanowski zbliżył się aż do stopni, kląkł i padł na twarz jęcząc. Kosztur mu się wysunął z ręki, zaryczał głośnym płaczem d wołaniem do Boga.

Jan Kazimierz, poruszony jeszcze, usłyszawszy ten jęk, zawrócił się. Proboszcz chciał go wstrzymać; na próżno. Stary pątnik pociągał go ku sobie, trwożąc zarazem; ciążyły mu

nielitościwie jego przepowiedni słowa. Doszedł aż do drzwi kościółka, przestąpił próg i w kruchcie mimowolnie padł na kolana, pobożnie złożył ręce, modlił się i słuchał. Od wielkiego ołtarza słychać było urywane wiersze psalmów pokutnych.

W Warszawie czekały na króla wieści nie pocieszające. Maria Ludwika wprawdzie powstała

była z łóżka i czuła się lepiej, ale burza kozacka, mimo powolności posłów wysłanych do Chmielnickiego, zażegnaną nie była. Uzuchwalony Chmiel więźniów wypuścić nie chciał, znęcano się nad posłami słowem i czynem. Kisiel, od obu stron podejrzewany, prawdziwym męczennikiem stał się dla miłości Rzeczypospolitej. Chmiel go zdrajcą' Rusi, Polacy zdrajcą Polski zwali; przecież on nie przestawał pracować i choć zawieszenie broni wymodlił, granicą postanowiwszy — Horyń!

Tymczasem Rakoczy już z Kozakami się porozumiał, wiadano o posłach z Moskwy, a

Chmiel ważył, komu się zda i czy nie najlepiej będzie Turczynowi hołdować, bo ten mu największą mógł dać swobodę.

Jan Kazimierz dwie zaraz, jedna po drugiej pielgrzymki odprawił do cudownego obrazu w

Czerwieńsku, pamiętny groźnych Bojanowskiego przepowiedni, do których Marii Ludwice się przyznał.

Strzębosz, który sam jeden tylko słuchał zuchwałych przepowiedni, nikomu też ani słowa o nich nie pisał.

Mania Ludwika, o ile mogła, nalegała, aby król sam zaraz stanął na czele wojsk; tymczasem inni, po naznaczeniu trzech regentów; Firleja, Lanckorońskiego i Ostroroga, starali się przekonać króla i królową, że na chłopstwo i kozactwo samemu królowi iść — było to niejako majestat pański poniżać.

Lenistwo Kazimierza chętnie przyjmowało argument ten, chociaż królowa powstawała

przeciwko niemu. Na nieszczęście chwilowo zdawał się król mieć słusność i ci, co go od wyciągnięcia w pole wstrzymywali. Nadeszła wiadomość, iż Kozaków wygnano z Zaslavia, że im kasztelan krakowski Bar, zamek i miasteczko odebrał, a ostatecznie kasztelan kamieniecki o znaczną klęskę ich przypisał. Na dowód przywieziono do Warszawy chorągwie, które Kazimierz natychmiast do Czerwieńska odesłał, wszystko przypisując cudownej pomocy Najświętszej Panny, do której w tym obrazie miał szczególne nabożeństwo.

Ważły się tak na zamku warszawskim dwojaki wpływy, na przemiany biorąc górę, ale

Butler przepowiadał, że królowa ostatecznie zwycięży i króla w zbroję przyodziawszy na wojnę wyprawi. Ona sama, choć niezupełnie do zdrowia wróciwszy, ciągle się z tym oświadczała, że towarzyszyć mu będzie. Dyspensa z Rzymu nadeszła nie dozwoliła już zwlekać małżeństwa i na Świętą Trójcę termin został naznaczony.

Zaszła też zmiana chwilowa w królu, który w siebie teraz wmówić się starał, iż był

najszczęśliwszym; czułym się nadzwyczaj okazywał dla Marii Ludwiki i przed Butlerem nawet poprzysięgał, iż małżeństwo to było mu najpożądańszym. Jakoż w końcu maja spełniło się na ostatek przeznaczenie obojga. Nuncjusz, który wiele się przyczynił do otrzymania dyspensy w Rzymie, i najdostojniejsi senatorowie zaproszeni zostali do pałacu na Krakowskim Przedmieściu, gdyż Jan Kazimierz tu chciał wesele swe obchodzić.

Maria Ludwika przybrała na te uroczyste dni pogodniejsze nieco oblicze, zmuszała się do uśmiechu i wesela, lecz spod tej pozłoty chwilami przeglądała tęsknica i jakby zwątpienie. Im bliżej teraz poznawała męża, tym silniej czuła, że więcej na własną siłę i wpływ rachować musiała.

Wyśmienity humor króla, który dwa razy po- szedł w taniec, raz z marszałkową Kazanewską, drugi raz z Lubomirską, ożywienie się jego, rozmowność, Butlera tylko nastraszyły.

— Będziemy za to pokutowali! — mówił Strzęboszowi. — Nigdy się ja króla nie boję

więcej jak wtedy, gdy jest bardzo szczęśliwym; naówczas tylko nie widać, gdy w gniew i rozpacz wpadnie.

Maria Ludwika po kilkodniowych ucztach, mowach i według zwyczaju ofiarowanych jej

darach, które przychodziły w porę na wyczerpany skarb obojga (Gdańsk sam przysłał donatywę na trzy tysiące czerwonych złotych szacowaną), wymogła na królu powołanie senatorów dla narady: czy król sam osobą swoją miał jechać na wojnę i czy pospolite zwołać należało ruszenie. Postarała się o to. wpływem swym królowa, ażeby najwyższe hetmaństwo powierzono królowi i zgodnie go upraszano iść swą osobą na nieprzyjaciela.

Jan Kazimierz ciągle przez nią podbudzany, rycerskim duchem natchniony, nie sprzeciwił

się i dopóki był pod wpływem jej, oświadczał się z gorącym pragnieniem ruszenia na wojnę.

Pospolitemu ruszeniu sprzeciwiało się wielu, nie chcąc nim szerzyć postrachu i jawnie okazywać całej grozy położenia. Łudzono się ciągle, iż chłopstwo strwożone pokonanym zostanie.

Częstkowe na Wołyniu powodzenie niektórych oddziałów do pewnego stopnia tłumaczyło ten opór przeciw pospolitemu ruszeniu. Chorągiewek zdobytych na tych różnych pułkach kozackich nasłano tyle do Warszawy, iż król z królową, nową pielgrzymkę odprawiając do Czerwieńska, pół seciny ich u ołtarza Najświętszej Panny złożyli. Pobożność ta wszakże nie zachwiała postanowienia, aby król osobiście w wojnie czynny wziął udział. Nalegała na to królowa i miała po sobie wszystkich, którzy królowi dobrze życzyli.

Jednym z tych powierników, przed którymi Maria Ludwika wszystkich swych myśli i

pobudek postępowania taić nie potrzebowała, był kanclerz Radziwiłł.

— Książę! — mówiła mu otwarcie. — Powinieneś być mi pomocą i poprzeć wyprawę króla

na wojnę. Przeszłość nieszczęśliwa ciąży na nim: niepowodzenia, niestateczne zmiany,

lekkomyślność, przypadkowa może; sława wojenna jest mu koniecznie potrzebną. Nie

powątpiewam o męstwie jego, a gdy raz w pole wyciągnie, pewną jestem, iż się przejmie duchem rycerskim i całym sercem spełniać będzie swój obowiązek.

— Najjaśniejsza Pani — odparł Radziwiłł — jest to w istocie koniecznością niemal,

ażebyśmy króla podbudzili i zmusili stanąć na czele, ale uchowaj Boże, czego nie przypuszczam, klęski...

— A! Nie, nie! — zakrzyknęła królowa gwałtownie. — Zwycięstwo jest pewnym,

niezawodnym! Nie godzi się ani na chwilę o nim powątpiewać. Sam urok, odgłos, niepodobna, aby na ten motłoch nie podziałał. Król zresztą mieć będzie z sobą do rady najzdolniejszych i znakomitą siłę żołnierza dobranego. Nie godzi się mu odbierać sławy, która jest tak potrzebną, aby obudzić poszanowanie i zaufanie.

Pozyskawszy Radziwiłła, ujęła na swą stronę królowa Ossolińskiego, zjednała innych,

potrafiła nawet przez swój dwór wpłynąć na tych, co otaczali ciągle Kazimierza, nie wyjmując Butlera i zniewolić ich, ażebym króla karmili nadzieją zwycięstw i sławy. Wszystko to się powiodło lepiej, niż spodziewać się było można. Pierwszy raz w życiu Kazimierz trwał dłużej w

postanowieniu. Wszystko dokoła niego przybrało postawę rycerską, szczęk i brzęk oręża dawał się słyszeć nawet w antykamerze. Małe zwycięstwa, o których dochodziły wieści, prawdziwe czy fałszywe, wyraźna opieka niebios, którą czuł nad sobą król, dodawały mu ochoty do łatwego, jak się zdawało, zdobycia laurów. Ukrywano może niektóre szczegóły przed nim, które by rzeczywisty stan walki ze zbuntowanym kozactwem poznać dały.

Gdy się to działo w Warszawie, najdzielniejsze siły Rzeczypospolitej z prawdziwym

bohaterstwem, godnym wiekuistej sławy, opierały się ogromnej potędze motłochu, dziesięćkroć liczniejszego, o głodzie, w niedostatku środków obrony, wśród nieustannej grozy zdrady, która się wciskała wszędzie.

Oblężenie to Zbaraża epopeją jest, której unieśmiertelnieniu żadne pióro nie starczy. Ten heroizm głodny a wesół, ta śmierci pogarda, te codzienne ofiary życia, a jako chór towarzyszący im urągowisko motłochu rozszałatego swą zwierzęcą siłą, pijanego zwycięstwem i gorzalką! Wśród tych okopów Zbaraża stali prawdziwi pokutnicy za grzechy narodu, którzy zasłużyli na palmy męczeńskie. Wiedziano w Warszawie przez tych, którym się z oblężenia wykraść udało, jak zrozpaczone tu było położenie, jak pilno potrzebna pomoc, z królem czy bez króla, lecz naprawdę całej grozy, całej straszliwości, zniekania wojsk pozbawionych nawet chleba, nikt tu nie wyobrażał

sobie.

Królowa tylko, której potrzeba było skłonić męża do wyciągnięcia w pole, wiadomościom

ze Zbaraża dawała całkowitą wiarę, gdy inni starali się je przesadzonymi okazać. Nie wierzono w Tatarów, nie chciano dać wiary półtorakroć sto tysięcy liczącemu kozactwu pod okopami, w których zaledwie dwadzieścia tysięcy bohaterów opierało się im dotąd zwycięsko, aż nareszcie gońce zwiastujący głód bliski, brak prochów i kul i ostateczne znużenie tych ofiar zmusiły przyspieszyć ciągnięcie.

Zapowiedziano, że król do Lublina naprzód ma się udać, gdzie wojsk obiecanych pułki

gromadzić się miały. Jan Kazimierz zdawał się odmłodzonym, wesołym, ufnym i tak ożywionym, a pewnym zwycięstwa jak nigdy.

— Raz temu zawichrzeniu położyć koniec potrzeba — mówił z zapałem — a przy pomocy bożej... Zdaje mi się, że godzina wybiła!

Ktoś podszeptował o Tatarach.

— Jako żywo, ich nie ma i nie będzie! — odpowiadali drudzy.

Rozdział IX

Ze świetnym orszakiem, przeprowadzany przez królową, pobłogosławiony przez

duchowieństwo, pełen otuchy, wyruszył król z Warszawy. Maria Ludwika powróciła uspokojona, dopięła tego, czego pragnęła: uczynić miała rycerzem i zwycięzcą człowieka, który dotąd nosił na sobie tylko nieudolności i niestateczności piętno. Dokazała niemal cudu tym, iż potrafiła umysł

Kazimierza przez dłuższy czas na jednym skupić przedmiocie, nie dając mu się rozczarować i zniechęcić.

Wszystko dokoła niego tchnęło teraz rycerstwem, bojem, bohaterską żądzą przelania krwi

za wiarę i za kraj. Lecz dodać potrzeba też, dla określenia tego zapału tak niespodzianie obudzonego, iż wojna, którą rozpocząć miano, z Warszawy i z Lublina jeszcze wydawała się łatwym pochodem, w którym imię króla unosząc się w powietrzu, jak odgłos trąb mury Jerycho miało rozproszyć wrogów. W Lublinie już wieści nieco groźniejsze przepowiadały nie tak łatwy pogrom i zwycięstwo. Jednego wieczora, właśnie gdy król miał klęknąć na modlitwę, oznajmiono mu posła panów regimentarzów od Zbaraża. Był to dobrze tu wielu znany Stopkowski, lecz najlepsi przyjaciele w odartym, wynędzniałym, schudzonym, bladym, w tym z wymokłymi wargami i

ogniem tylko rozpaczliwym święcącymi oczyma widmie żołnierza poznać nie mogli dzielnego, silnego, wesołego towarzysza. Przynosił on listy od wodzów zamkniętych w okopach, ale oblicze jego było najwymowniejszym pismem, najlepszym świadectwem tego, co wojsko przecierpiało.

Gdy król, bledniejąc, pismo odczytywał, Stopkowskiego zarzucano pytaniami, na które on

niechętnie odpowiadał.

— Co ja wam rozpowiadać mam — mruczał — patrzcie na mnie, tacyśmy tam wszyscy.

Jużeśmy z głodu konie, psy i szczury pozjadali. Nie wiem rychło li nam samym siebie żreć przyjdzie.

Posadzono go za stół, usiłując odżywić i natchnąć nadzieją, lecz biedak nadto cierpiał, a nade wszystko nadto widział, aby wspomnienie krwawe łatwo się zatrzeć mogło.

— Nie pytajcie mnie — mówił głosem drżącym — bo jeśli wnet na pomoc braci utrapionej poskoczyć nie możecie, serce wam pięknie słuchając, co my tam przecierpieliśmy i cierpiemy.

Tylko cu- dom męstwa i nieustannej czujności winniśmy, żeśmy na jatki nie poszli chciwemu krwi motłochowi! Pod Zbaraż śpieszcie !Na Boga! Pod Zbaraż, póki czas, abyście nie przyszli za późno kurhany sypać i trupy oplakiwać.

Listy, które przywiózł Stopkowski, to samo mówiły, król sam poruszył się tak, iż chciał

natychmiast ciągnąć dalej, ale tu poskoczyli senatorowie wołając, że króla nie godzi się narażać, dopóki sił dostatecznych nie zbiorą, bo i trzecie wici były wyszły na pospolite ruszenie, a szlachta się tak opieszale ruszała i ścigała, iż gdzie na tysiące liczono i secin się doliczyć było trudno.

Prawie co dzień przyciągał mały jakiś oddziałek, chorągiew, trochę ludu strwożonego i bez onego ognia w piersi, co zwycięstwo zwiastuje. Starszyzna i król gorzeli, ale nie było z kim iść.

Było to owe sławne pospolite ruszenie, o którym z goryczą potem śpiewał poeta owego czasu (Morsztyn).

Brzemienne góry myszkę urodziły,

Mały deszcz chmury ogromne spuściły...

Ty, co to pragniesz spólnego ruszenia,

Porachuj się sam i spytaj sumienia,

A rzeczesz, widząc serce, rząd i siły:

I te by góry myszkę urodziły...

Parturiunt montes...

Z tą siłą, jaką miał król, musiał posuwać się dalej, a przybycie znękanego posła spod

Zbaraża było dla wodzów potrzebną przestrogą, aby szli z ostrożnością niezmierną jakby w kraju nieprzyjacielskim, gdzie już dla chłopstwa nigdzie nikt bezpiecznym nie był i wrogami czuł się

otoczonym. Wrażliwy król, chociaż długo nigdy w niczym wytrwać nie umiał, tym mocniej w pierwszej chwili odczuwał, co miał przed oczyma. Stopkowskiego opowiadanie przejęło go do szpiku kości i na chwilę zmieniło zupełnie. Heroizm obłożonych, którym śpieszyć na pomoc było potrzeba, własna godność i bezpieczeństwo, uczyniły go innym człowiekiem. Nie dawał dniem i nocą pokoju strażom i czatom, nie kładł się spać, nie rozbierał, hasła wydawał i zmieniał, koni swych rozsiadłać nie dozwalał i ledwie w namiocie przypadłszy na spoczynek, alarmował

natychmiast. Pochodnie kazawszy zapalić, objeżdżał wojsko, puszczał się aż do czatów, aby je widzieć na oczy. Taka nadzwyczajna gorliwość musiała też i w drugich męstwo i czujność

wzbudzić. Zaraz też duch inny wionął na wojsko, choć Stopkowski mu go przynieść z sobą nie mógł, bo ten jeszcze grozą łaźni, z której się wyrwał, był przejęty.

Czego nigdy nikt spodziewać się nie mógł, Sapieha i inni baczniejsi dowódcy króla

powstrzymywać i hamować musieli, ciągle się oglądając na to, azali pospolite ruszenie nie nadciągnie gromadniej. Najgorszym było, że w pośpiechu tym ani miano czas rozpoznać się, ani rozśłuchać, czy na drodze gdzie nie czekał ich nieprzyjaciel, co Stopkowski przepowiadał, trzymając przeciwko wszystkim, że Tatarowie na nich uderzą. Drudzy wbrew przeczyli, opierając się na tym, iż prosty lud nic o Tatarach nie wiedział i nie słyszał, a nie posądzano ludu tego, że milczał umyślnie i zdradzał.

Mnóstwo Rusi, której serce biło do Chmielą, służyło pod chorągwiami panów z królem

ciągnących, a w tych nikt się też zdrajców nie domyślał ani ich nie posądzał. Zbiegali co dzień prawie, powracali nazad, przynosili umyślnie fałszywego języka.

Stopkowski, który już się nasłuchał i napatrzył w Zbarażu wszelkiego rodzaju nikczemnego zdradziectwa, ostrzegał na próżno. Jakże się lękać było można człowieka, który wczoraj szczerze obdarzony pokornie rękę pańską całował, na ziemię padał, miłość poprzysięgał, a tej samej nocy, najlepszego konia uchwyciwszy, biegł szukać Kozaków, aby im służyć!

Ciągle tedy spierając się o Tatarów, o których rozpowiadano, choć ich jeszcze nikt nie

widział, ciągnął król dosyć czujnie od Zamościa pod Zborów, a tu już zgłiszczą po drodze i zbiegli od tatarskich pęt świadczyli, że orda w istocie Kozaków posiłkowała. Aliści ani liczby jej, ani kędy się obracała, nie znał nikt, gdy tatarski chan już Pełkę, chorążego pułku ostrońskiego pochwycił i innych też wziął, a biciem i mękami zmusił, że o wojsku i królu śpiewali, co wiedzieli.

Tuż i wezbrana po deszczach Strypa i Zborów, na lewo dębowym gęstym lasem otoczony, a

gdy w kościele na drugim brzegu za rzeką na nabożeństwo biją w dzwony i król dla uroczystości Wniebowzięcia przeprawia się, aby mszy świętej wysłuchać, harc z Tatarami się poczyna.

Król mimo całej czujności swej wiedział tylko tyle spod Zbaraża, co mu listy

Stopkowskiego przyniosły, a o Tatarach i ich sile tak jak nic, gdy przebiegły Chmiel policzył pułki i

siły, a Tatarom wskazał, gdzie polskiego króla i obozu szukać mieli. On też sam z częścią swoich czatował w odwodzie.

Tu dopiero tym, co dotąd z kozactwem i jego chytrą do czynienia nie mieli, co je sobie wazyli lekko, co śmieli się, gdy w Warszawie rozprowadano, że Chmiel miał swoich i w Wenecji, i w Watykanie, i na cesarskim i na sultana dworze, otworzyły się oczy i poznali, że nieprzyjaciel to był straszniejszy, niż się zdawał, a owo pijaństwo nieustanne i gburowstwo udanym było, owo chłopstwo umyślnie wdziane i noszone.

Nim się też dowiedziano o Tatarach, już Korycki, który w odwodzie był z pułkiem ostrogskim (tym, który w Toporowie Pełkę i Żółkiewskiego utracił), ścierał się z nimi, a choć garść miał tylko przeciw ordzie, zahamował ją nieco. Z drugiej strony Tatarowie na ciągnące wozy napadli, przy których nikogo krom ciurów nie było, a ci uszli i wozami droga się zaparła, a zamieszanie powstało straszne. Szczęściem, że z orszaku króla nie potracili głów wszyscy i męstwo mieli większe niż szczęście. Co prędzej i wozów i mostów na Strypie bronić było trzeba. Skoczył tedy ochotnikiem ze swymi Witowski i postanowili murem stać, ażeby się wojska i króla doczekali.

Do niego przyłączył się Ossoliński, starosta stobnicki i pięć niezbyt odzianych chorągwi województwa ruskiego. Ci nie tylko impet wstrzymali, ale Tatarów odparli. Trwało to wszakże krótko, choć z posiłkiem nadszedł i otuchą Sapieha, z siedmią chorągwiami dobrze okrytymi, i choć na sercu nie zbywało. Orda dziesięćkroć liczniejsza zalewała dookoła, czerniało od niej jak od mrowia i odgłos walki głużył kościelne dzwony.

Złą, zaprawdę, wróżbą było to wciągnięcie do Zborowa, gdy na samym wstępie co najmężniejsi ochotnicy padli, usiłując powstrzymać dzicz, dopóki by król się z wojskiem nie przeprawił i nie rozłożył. Zginął tu pierwszy Witowski, który innych za sobą pociągnął, Załuski, podpułkownik, obok niego, a mężnego Sapiechę, pod którym konia ubito, służba jego na rękach wyniosła.

Żałował król najmocniej Baldwina Ossolińskiego, synowca kanclerza, który znalazł się u boku królewskiego, aby mu pogrzeb sprawił, młodego Tyszkiewicza i wielu a wielu innych z najdzielniejszej szlachty ruskiej. Ani się było można pocieszać tym, że takimi ofiarami okupiono zwycięstwo, gdyż za ledwie obronną ręką wyszedł król, opędziwszy się ćmie tatarskiej, aby się mógł obozem rozłożyć i okopać.

Wojsko tchnąć ani spocząć nie miało czasu, gdyż natychmiast taborem się potrzeba było obwarować, wałem osłonić, a wielka siła ordy, w którą wczoraj nie wierzono, dziś już aż nadto się czuć dawała. Tym jednym mógł tylko pocieszać się król, że do miary niebezpieczeństwa męstwo urosło, bo nie tylko to pierwsze starcie tak krwawe nie strwożyło, ale wznieciło zapal nadzwyczajny.

Wieczorem późnym, gdy do chałupy, w której król się pomieścił tuż przy obozie, weszli:

Ossoliński, który synowca oplakiwał, Stanisław Potocki, Jerzy Lubomirski, okryty pyłem i obryzany krwią, ocalony Sapieha, a z nimi co najprzedniejszego wojsko miało, wszyscy słów nie mieli na wychwalanie tego męstwa, z jakim wojsko się całe potykało i krom ciurów a woźnic, którzy na chwilę od wozów odbiegli, nie było człowieka, co by do ostatka nie wytrwał pod gradem strzał i naciskiem Tatarów.

— Najjaśniejszy Panie — odezwał się młody Sobieski, starosta jaworowski — dzień to

wielkiej sławy dla oręża polskiego, bośmy niespodzianie pochwyceni, przemagającą siłą parci, w najniewygodniejszym stanowisku cudu dowodzący, odpierając nieprzyjaciela. Dosyć nam jednego Kowalskiego, aby dzień ten upamiętnić.

— Jakiego Kowalskiego? — zapytał król.

— Chorążego ziemi lwowskiej — dodał Sobieski. — Tatar mu prawą rękę uciął, którą

chorągiew trzymał: chwycił ją lewą, tuląc do piersi, a gdy i tę mu odrąbano, sam się położył na chorągwi i obronił ją.

— A Rzeczycki, starosta urzędowski — odezwał się kasztelan braclawski Stępkowski — na

którego patrzył, jak się ze trzema chorągwiami między opłotkami wparł, gdzie go ścięto,

— Rzeczyckiego tym więcej żal — dodał Sobieski — że nam tłumaczył braknie, gdy

języka dostaniemy, a on po turecku, arabsku, persku i po tatarsku *expedite* mówił.

— Mnie mojego Czarneckiego przy wozach ubito — westchnął król.

— Nie policzyć strat naszych — dodał kanclerz Ossoliński. — Szliśmy ostrożnie, czaty

wysyłając, starając się o nieprzyjaciela wiedzieć, nie pomogło nic. Lud strwożony z kozactwem trzyma, a nam kłaniając się, kłamie, bo już Chmielą zwycięstwa upoiły jego i wszystkich.

Jan Kazimierz nie chciał jeszcze wierzyć w wielką ordy potęgę, ale co chwila przynoszone wieści ją potwierdzały. Ossoliński i Jerzy Lubomirski, wszyscy zresztą zgodnie największą bacność doradzali.

— Łacno to dostrzec — rzekł kanclerz — iż Chmielnicki nawałę tę tatarską zesłał na nas, aby nam nie dać ciągnąć Zbarażowi na pomoc. Musimy się wyrębać z Tatarów i rozproszyć ich.

Długo stać nie jest w ich obyczaju.

— Daj Boże, abyśmy ich zmusili — odparł Sobieski młody — lecz lękać się trzeba, aby ich tu liczba taka nie znalazła się, przeciw której my z największym męstwem nie podołamy.

Przez całą tę noc nikt w obozie nie zmrużył oka. Szło i o wojsko, i o bezpieczeństwo osoby króla, który męstwo obiecywał *znaczne*, lecz i nieopatrtność i niedoświadczenie zdradzał. Wybrali więc wodzowie sześciu najdzielniejszych z młodzieży, którzy na krok króla nie mieli odstępować.

Z tych później Jan Kazimierz dwu tylko przy sobie zostawił: Jędrzejowskiego i Składkowskiego, czując się wśród wojska bezpiecznym i trzymając w głównym korpusie Huwalda, gdzie była

piechota niemiecka i usarskie chorągwie. Na wszystkie strony porosyła czaty: nigdzie daleko sięgnąć nie mogły. Wkoło leżeli Tatarowie. Pełną ich była dąbina, zarosi i wzgórze.

Królowi dodawano męstwa i otuchy, ale dowódcy między sobą, zebrawszy się później na radę u Ossolińskiego, przyznać się musieli, że tu bodaj drugi Zbaraż się gotował, jeżeli w prędkim czasie Tatarów się przełamać i rozproszyć nie uda.

— Gdyby orda sama była tylko — rzekł Ossoliński — choćby jej dwakroć tyle na nas

natarło, nie lękałbym się tak bardzo, nie z Tatarami jednak do czynienia mamy, ale z Chmielem, którego ręka niewidzialna jest wszędzie. On nas policzył wprzód, niż my sami siebieśmy zregestrowali, on na nas ich nasłał, a sam w odwodzie stoi tak pewno, jakbym go widział.

— Święta prawda, panie kanclerzu — wtrącił młody Sobieski. — Chytróści jego padliśmy

ofiara, nie chcąc wierzyć w niego. Czas w istocie przekonać się, że nie z lada jakim wrogiem do czynienia mamy.

My byśmy też chytróści zażyć powinni — dodał Sobieski — aleśmy do niej mało zdolni, a

zanadto szlachetni. Paść tak, jak Kowalski, dać się rozsiekać w opłotkach, to nasza sprawa, a podejść nieprzyjaciela...

— Zaprawdę — rzekł cicho Ossoliński — jużbyśmy w ostateczności tej i do przebiegłości

uciec się powinni, lecz nie widzę, jak byśmy zażyć jej mogli?

Sobieski dumał chwilę,

— Z Kozakami tą chytrością nic nie wskóramy — rzekł — a z Tatarami, którzy dawniej

Rzeczypospolitej służyli, podatki od niej brali i nie są tak przebiegli jak kozactwo, czemu by nie próbować?

— Żebyśmy choć Rzeczyckiego mieli, który się z Tatarami mógł rozmówić — wtrącił

Ossoliński — ale i tego nam zła dola wyrwała.

— Nie chwaląc się — odparł starosta jaworowski — mógłbym go może zastąpić.

— Wy? — zapytał Ossoliński. Sobieski się pokłonił.

— Pobić ich możemy próbować — odezwał się starosta — a poszczęści li nam Bóg jutro, tym lepiej. Jeżeli ich nie odeprzemy, spróbujmy kupić. Na sprzedaż są.

Podumał chwilę kanclerz.

— Myśl ci to Jest, którą w naszym położeniu pogardzać się nie godzi — rzekł powolnie. —

Zachowajcie ją przy sobie. Któż wie, zbawienną być może.

— Nie zdradzając się z nią — dodał Sobieski — na wszelki wypadek coś przygotować się

godzi. Nie może być, abyśmy rannych lub pochwyconych w zgiełku niewolników tatarskich nie mieli. Wybrałbym z nich jednego dla języka, a wiedziałbym, jak i co mówić z nim. Puścić by go potem, niby z przypadku, aby poniósł między swych, co potrzeba.

Ossoliński miał położenie za tak niebezpieczne i rozpaczliwe, iż mu rada Sobieskiego, na pozór zuchwała i dziwaczna, nie zdawała się ani śmieszna, ani odrzucenia godną.

— Czyńcie, co wam się zda dobrym — rzekł — ale na własną rękę. Próbujcie! Ja sobie

wiele nie obiecuję, lecz wszystkiego dziś zażywać potrzeba, gdzie nie tylko o żywot, ale i o cześć nasze i króla chodzi. Na tośmy przyszli z dopustu Bożego za grzechy nasze! — zamruczał, ręce łamiąc kanclerz.

Młody Sobieski wyszedł z namiotu. Duszą i ciałem żołnierz, znał już wojsko, ludzi

dowódców, rozkład obozu i namiotów, tak że mu noc wiele nie przeszkodziła natychmiast się puścić w okopy. Po drodze tylko pytał, azali nie ma gdzie jeńców tatarskich i czy kto o znaczniejszym z nich nie słyszał? Nastreńczył mu się tu Strzębosz, który i dla własnej ciekawości, i dla króla wszędzie pilno sznurkował i rozwiadywał się.

— Są Tatarowie powiązani — odparł Dyzma — na kupę ich zrzucono pośrodku, aby nie

pozbiegali, bo ta dzicz zębami łyka rozgryza i pełzając, jak robactwo się rozłazi. Ale też ich żywić nie było warto, a na miejscu im łby ścinać.

— Prowadź mnie — rzekł Sobieski.

W obozie jak w biały dzień ruszało się wszystko, rozpytali się łatwo o drogę. Jeńcy nie pod namiotem, ale w kałuży, na ziemi, kupą byli zrzczeni i powiązani tak, że ich pęta razem się wszystkie łączyły. Już z dala smród kozuchów i ciał rozpoznać ich dawał. Przy świetle rozpalonej pochodni Sobieski mógł, przechodząc około tej kupy, przekonać się, że wielu jeńców ciężko rannych już trupami było. Pomimo że krwi koło nich kałużki stały, żadnego jęku i głosu nie słychać było, tylko chrapanie i ciężkie oddechy konających.

Z brzegu postrzegł Sobieski mężczyznę silnej budowy, nieco szlachetniejszego oblicza, na którym też odzież oznaczała, jeżeli nie jakiegoś carzyka, to murze może. Schylił się do niego i coś mu szepnął po tatarsku. Jeniec oczy czarne wytrzeszczył jadu pełne, nie odpowiedział nic i odwrócił się.

Sobieski go kazał odwiązać od kupy i z rąk mu łyk nie zdejmując prowadzić za sobą do

namiotu. Nie opierając się, ale jak bezwładna kłoda dał się Tatarzyna prowadzić. Strzębosz z ciekawością szedł za nimi. Przybywszy do namiotu, starosta jaworowski kazał wody naprzód dać jeńcowi. Patrzył na nią długo, chciwie Tatar, jakby się wahał, czy ją przyjąć ma, ale pragnienie go paliło, chwycił w końcu i cały kubek wychylił do dna. Sobieski mówić coś począł. Strzębosz, który po tatarsku słowa jednego nie rozumiał, oczyma tylko mógł sobie tłumaczyć wrażenie, jakie czynił

młody Polak na Tatarzynie. Bronił on mu się milczeniem dumnym długo, na ostatek coś go

dopiekło, wyrwało się słowo jedno. Sobieski je podchwycił. Tatarowi rozwiązały się usta, oczy mu się zaiskrzyły, posypały się z obu stron pytania i odpowiedzi. Tatarzyn w końcu znużony padł na ziemię i zamilkł znowu. Starosta mówił długo jeszcze, potem przywołał dwóch jeszcze ze swej czeladzi i starszego ze sług, wskazał im na Tatarzyna i kazał go na powrót do innych jeńców odprowadzić.

Dzień zaświtał, gdy już król na koniu ustawiające się oddziały swe objeżdżał, niespokojny.

Znali starzy wojownicy Tatarów, że zawsze dla zręczniejszego z łuków strzelania na lewe skrzydło najprzód wpadali. Postawiono tu Lubomirskiego, który mężnie odeprzeć ich był gotów. Wiatr też, który o wschodzie słońca się zerwał, przychodził w pomoc, bo od królewskich wojsk Tatarom w oczy dał, co siłę ich strzał osłabiało i odnosiło je w stronę. Królowi gorączka, z której od wczora nie wychodził, dodała sił i ochoty bojowej, choć widok tatarskich tłumów, ponad którymi trzy zielone buńczuki Gireja powiewały w powietrzu, pewnośc ta, iż za nimi Kozacy stali czekając hasła, bardzo wątpliwym czyniła zwycięstwo.

Około południa król z orszakiem swym i oddziałem straży objeżdżał jeszcze szeregi. Jak

przewidywano, na lewym skrzydle z Lubomirskim przyszło naprzód do starcia, a tu tak się ścisnęli walczący niemal w jedno ciało, że szeregów jednych od drugich rozeznąć nie było można. Z

małego wzgórza król stojąc patrzył, gdy w oczach mu się zaćmiło. Tatarska dzicz złamała pierwsze szeregi, które, poczęły iść w rozsypkę. Nie wierzył oczom, gdy Puzowski od Lubomirskiego przypadł, wołając o ratunek i posiłki, a wołanie jego wymownym było, bo miał przestreloną wargę, gębę krwi pełną i strzała mu tkwiła jeszcze w ustach. Piechota tedy niemiecka od króla poszła zaraz z Huwaldem naprzeciw uchodzącym, ale i Jan Kazimierz sam się z nią rzucił, zapomniawszy o niebezpieczeństwie. W tej godzinie życia krew rycerska się w nim odezwała.

Wybiegłszy naprzeciw uchodzącym, począł jednych szpadą uderzać, drugich konie za cugle chwytać, wskazując nieprzyjaciela.

Głos i widok rozgniewanego króla zawstydził i powstrzymał, a wtedy i niemiecka piechota sypnęła

gradem kul; Tatarzy nie mogli dotrzymać placu, zmieszali się, poczynając uchodzić. Po odparciu tego pierwszego napadu, gdy się orda nieco rozpiezchła, a do obliczenia strat przyszło, nie okazały się one wielkimi. Wojsko też przerażone szkodliwie nie było, ale wszyscy czuli, że się zwycięstwem też chwalić nie było można i że gdyby Tatarowie całą siłę swą wywarli na wojsko królewskie, pod nawałą tą pewnie by ulec musiało. Myśli tej nikt nie wypowiadał, owszem dodawano sobie otuchy, rozprowadano przygody bojowe, dobywano szczątki połamanych strzał z kaftanów, ale w duchu spokoju nie było. Król i teraz spocząć nie chciał. On, jako wódz, odczuwał

w tej godzinie wszystko, co krąży- ło w myśli tego tłumu, co nim poruszało. Noc zapadła, chmurna, czarna i oparna. Ciury obozowe i pospolity człek, który tylko czuł, że przewagi nie mieli wodzowie, widział ich posępne twarze, a troskliwe opasywanie się strażami przeciw nocy — począł się trwożyć. W takim tłumie dość jednego słowa, aby wzniecić pożar. Głowy były po boju i znoju, może i napoju, oszołomione; najrzał ktoś przechodząc około wozów królewskich, że na nich wczoraj obluźowane sznury przymocowano. Zdało się drugiemu, iż dopatrzył koni, które do wozów wprzęgać miano, przywidziało się innemu, że namioty składano. Dostyc tego było, aby po wojsku poszła wieść jak błyskawica: „Panowie się do ucieczki sposobią. Król uchodzi, a nas na rzeź i jatki Tatarom wydają!” Nikt ani sprawdzał, ani wątpił, że w istocie, jak pod Piławcami, salwować się chcieli co przedniejsi, aby uniknąć niewoli. Więc z szałas do szałas szmer i trwoga, bieganina, nawoływania, krzyki.

Strzębosz, który do królewskiej chałupy wracał, jednego i drugiego ze strwożonych

pochwyciwszy na drodze, choć się im w oczy yozśmiał, parsknął I zgromił, ale zmiarkował, że o tym królowi trzeba dać znać było. Właśnie do drzwi dobiegał, gdy tu natrafił z jednej strony księdza Cieciszowskiego, z drugiej Tyszkiewicza, cześnika litewskiego, którzy przebojem śpieszyli toż samo oznajmić.

Król wieczorne miał odmawiać modlitwy z księdzem Lisieckim, jezuitą, kapelanem swoim, gdy Cieciszowski, Tyszkiewicz i Strzębosz, nie oznajmując się, wtargnęli.

— Najjaśniejszy Panie! — zawołał Tyszkiewicz. — Chwili nie ma do stracenia, zapobiegać

trzeba wielkiemu zamieszaniu, a może sromocie. W obozie szerzą wieści, że dowódcy i sam król uchodzić mają nocą, wszyscy też salwować się chcą. Pod namiotami niewypo- wiedziana trwoga i zamieszanie.

— Cóż mam czynić? — zapytał król.

Mężny kapelan ksiądz Lisiecki, który odwagę swoją miał życiem przypłacić, krzyknął na

Strzębosza:

— Konia dla Najjaśniejszego Pana. Pochodni! Pojedziemy po obozie! Niech widzą oblicze pańskie, niech się przekonają, że tu życie dać wszyscy gotowi, ale salwować się nie myśli nikt.

Jan Kazimierz, który przez cały ten dzień był jak nigdy w życiu usposobiony ofiarnie i rycersko, a miał w kapelanie swym ufność, natychmiast za *ima*. wołać zaczął:

— Konia! Pochodni!

Tyszkiewicz biegł do Lubomirskiego, ksiądz Cieciszowski do kanclerza, aby i oni królowi towarzyszyli. Ale Jan Kazimierz wcale na nich nie myślał oczekiwać. Wdziawszy już czapkę, wyszedł z księdzem Lisieckim na próg.

— Co prędzej konia!

Podprowadzono mu go. Strzębosz, lękając się nocy i rozgorzenia, z jakim król się wybierał pułki objeżdżać, pochwycił za cugle. Pacholik przybiegł z zapaloną pochodnią.

— Koleją po pułkach! Koleją! — począł wołać Jan Kazimierz. Zaledwie w środek obozu

wjechał król, gdy naocznie się mógł przekonać, że mu fałszywie nie doniesiono. Pomiędzy szałasami i namiotami stały gromadki wykrzykujące: „Król i panowie uchodzą!” Pierwszego, który mu się nastręczył, a nie widział nadjeżdżającego, uderzył król szpadą po ramionach.

— Król! — zawołał z największym zapałem. — Otom ja! Król wasz! Patrzajże, iż jako żyć

pragnę, tak uchodzić nie myślę, ginąć z wami gotówem! Co wam się stało? Poszaleliście! Szlachta króla, żołnierze hetmana odbieżeć chcecie! Dziś nas Pan Bóg łaską swą salwował z

niebezpieczeństwa, a jutro się zwycięstwa spodziewamy. W imię Jego! Chyba tchórzowstwo i gnuśność wasza przyprawi nas o stratę tego, cośmy zyskali. Po cóżeście tu szli i poczynali, jeżeli wam do końca serca braknie? Ja tu pozostanę, choćby sam jeden do końca, a przyjdzie głowę położyć, nie wzdygam się.

Tuż za królem ksiądz Lisiecki, zagrzany męstwem, którego dawał dowody co dzień, podchwycił:

— Srom i hańba wiekuista nam i imieniu naszemu, jeśli się tej dziczy ulękniecie!.

Rozstąpili się pomieszani i milczący żołnierze, a niektórzy z nich tłumaczyć się poczęli, ale nie czas ich było słuchać. Król toż samo powtarzając ruszył dalej. Stawał wśród nagromadzonych i wybiegających z namiotów i krzyczał na cały głos: — Otom jest! Otóż stoję i nie uchodzę!

Wśród tego pochodu, który cały obóz na nogi powołał, nadbiegł konno Ossoliński.

— W tej chwili odebrałem posłańca, iż pospolite ruszenie ciągnie z siłami znacznymi, jutro się może połączyć z nami!

Sobieski, który też konia dosiadł, nie wahał się dodać:

— Tatarowie odstąpić radzi Kozaków! Wszystko się nam składa jako najlepiej. Zbarascy obłąnicy zwycięsko się bronią i rzeź wielką uczynili.

Wszystko to razem cudownie powstrzymało już tak rozszerzający się popłoch, że kilku, co na koniach siedzieli i mieli uchodzić, co prędzej zawrócili się kryjąc, aby ich nie dostrzeżono.

Zabrakło coś bojaźliwszych, ale tych zniknięcie na wczorajszą potyczkę złożono. Umysły się uspokoiły. Król zaś nie chciał powrócić do swoich, aż cały obóz do kończyn jego objechał.

Na brzask się miało, gdy z księdzem Lisieckim, który mszę świętą zabierał się odczytać, powrócił do swych dworaków. Czasu już na odpoczynek nie było, ani kto o nim myślał. Animusz okrutny o władnął właśnie tymi, co wczoraj największą okazywali trwogę. Gdy król wyszedł po mszy na próg, znalazł całe podwórko pełne rotmistrzów, dowódców, starszyny, dopominającej się rozkazów. Wszyscy poprzysięgali, że do ostatniej kropli krwi bić się gotowi. Wojsko zatem tak jak wczoraj szykować poczęto. W tyle, za obozem znajdowało się miasteczko, a wały obozowe sięgały pod cerkiew ruską, którą wczoraj jeszcze Kozacy odebrali i obsadzili. Z tej jednak strony nie wazyli się napaść, bo silnie była obsadzona.

Już dobry był dzień, gdy razem Kozacy na lewe, a dwaj carzykowie tatarscy rzucili się na prawe skrzydło, którym dowodził Ossoliński. Srogi i zajadły zawrzał bój, w którym mieszczaństwo też oszalałe, w dzwony bijąc, słomę po drogach paląc, udział brało. Prowadzili oni opłotkami znanymi sobie oddziały Kozaków. Zagrzmiały działa i niemiecka piechota dostała kroku. Nie ustępowali napastnicy, ale też wojsko się złamać nie dawało.

Królowi przyszły na myśl owe obiecane posiłki, które nie nadciągały.

— Strzębosz! — obrócił się do stojącego przy sobie, a kipiącego chęcią wyrwania się do

boju chłopaka. — Chcesz ty mi zasłużyć, próbuj, idź do wozów, ciurów i luźnych ludzi, jest ich gromada, co się z założonymi rękami przypatrują daremnie. Dodaj im serca, zbierz do kupy, niech chwycą broni, co jest, zapaśnej. Lada opłotek od namiotu na żerdzi za chorągiew posłuży. Gdy nową siłę nadciągającą zobaczą, pierzchną może.

Zrozumiał w lot Dyzma przykazanie królewskie, spiął konia i pobiegł ku obozowi. Jednemu Bogu wiadomo, jakich tam zażył argumentów, ale w niespełna pół godziny niejaki Zabuski, stary żołnierz, który się ze Strzęboszem połączył, prowadził już pod płóciennymi chorągiewami z obrusów wojsko z pachółków i ciurów zebrane, które z taką zajadłością do boju szło, jakby panów swych zawstydzić chciało. Zabuski z tą gromadą wpadł do miasteczka na Kozaków i w pierwszym

impecie wysadzili ich precz z niego na pole, ale gdy tu za daleko się zapędzili, kozactwo się opatrzyło, z kim ma do czynienia, i poczęło okrutnie siec i rąbać. Dopiero dragonia Pleśnickiego, starosty opoczyńskiego, na posiłek im przypadłszy, resztę uratowała.

Strzębosz, który razem z Zabuskim prowadził czeladź, nie opatrzył się aż w polu, że ksiądz Lisiecki,

który z krzyżem w ręku między ciurów wpadłszy na koniu, najwięcej ich zagrzewał, najpierw postrzelony nieszkodliwie, a potem nie dając się odprowadzić, drugą i trzecią kulą przeszyty, padł na placu. Skoczył ku niemu Dyzma, aby spod konia ratować, ale gdy się nad nim pochylił, usłyszał tylko z ust skrwawionych dobywające się westchnienie ostatnie:

— Jezus, Maria, Józef.

Ksiądz Lisiecki nie żył.

Pod koniec dnia wszyscy się na stanowiskach swych utrzymali, ale straty były ogromne.

Uszli wprawdzie Tatarowie, pochowali się Kozacy.

Zwycięstwo na oko pozostało przy królu, lecz oczy wodzów widziały już, że po takich kilku Wiktoriach obronić się nawale nie będzie podobna.

Gdy przyszło pod noc do obrachunku, płakał król nie tylko swojego ukochanego kapelana, ale żołnierza najlepszego blisko dwu tysięcy, rotmistrzów i towarzyszków swych chorągwi czterdziestu siedmiu i wielu najdzielniejszych z rycerstwa pospolitego. Wzięto jednego murze tatarskiego i plugawego motłochu dosyć, ale tych nie żywiono.

Noc zapadła, król dziękczynne odprawiał modlitwy; w obozie dosyć ochoczo i rażno, opatrując rany, rozprawiano o dniu skończonym. Była to jedna z tych walk bez rozgłosu, bez widomego skutku, która więcej wysiłku, męstwa, ofiar kosztowała niż niejedno świetne zwycięstwo.

Ossoliński, wszystko zważywszy, wczorajszą myśl Sobieskiego sobie przywłaszczył.

Wszedł do izdebki króla z czołem chmurnym.

— Bogu dziękujmy! — powitał go Jan Kazimierz. — Mam - najlepszą otuchę. Posiłki nadejść muszą.

Zamilczał kanclerz.

— Najjaśniejszy Panie — rzekł — i ja nie tracę nadziei, ale gdy szlachtetnej krwi oszczędzić można, godzi się próbować. Nie możemy się łudzić, trzymać się będziemy, ale zbaraskich naszych bohaterów nie odsieczem, a sami w końcu wycieńczeni, kto wie, czy coraz napływającym nowym posiłkom tatarskim wydołamy.

Król ręce rozkrzyżował.

— W Panu Zastępów nadzieja nasza! — zawołał.

— Myślę — wtrącił Ossoliński — że się jednak godzi przynajmniej spróbować, azali cudem jakim nie oderwiemy im Tatarów. Tych kupić potrzeba.

— Jak? — zapytał król.

— Wyślę jeńca tatarskiego z listem do Islam Gereja. Zapytam go, dlaczego on, sprzymierzeniec Rzeczypospolitej, wierności jej nie dotrzymuje i z wrogami naszymi się łączy.

Mam jakieś przecucie, iż się w ten sposób uratować zdołamy. Na pospolite ruszenie owo, niestety, rachować trudno. Kozactwo samo sobie zostawione Zbarażowi i nam czoła stawić nie będzie mogło. Mam wysłać list? — spytał kanclerz.

— Trzebaż do dna wypić kielich upokorzenia? — odparł król.

— Nie będzie upokarzającym zapytanie, nie prosimy ich o nic. Tatarzy ponieśli klęski, łupu niewiele zdobyli. Damy ich choćby ostatni grosz, abyśmy ich od kozactwa odciągnęli.

Król się zadumał, nie odpowiadał.

— Oręża nie puścim z dłoni — dodał Ossoliński — lecz gdy krew złotem okupić można?...

— Lękam się, aby mi plamą i grzechem to wezwanie Tatarów nie ciążyło — odezwał się powolnie — lecz szczerzyć najdroższej krwi obowiązkiem, a kozactwo złamać dla nas koniecznością, Czyń, co Bóg natchnął!

Westchnął Jan Kazimierz. — Nie chce Bóg pobłogosławić orężowi mojemu — szepnął smutnie. — Stań się wola Jego!

KONIEC TOMU PIERWSZEGO

TOM DRUGI

Rozdział I

Spadł nad ranem deszcz na pobojowisko i obmył je jakby łzami ciepłymi. Król wstał po

krótkim wypoczynku niespokojny. Noc, trochę snu już w nim zapalał wielki, ochotę do boju, nawet ufność w opiekę niebios ugasiła. Wstał z łoża ze zwątpieniem w duszy. Rycerstwo, przeciwnie, dawało teraz dobry przykład męstwa i ofiarności, gdy Jan Kazimierz, który gorączkowo obiegał

obóz, gotując - się przelać krew, na duchu był przybity i strwożony. Miał też do tego smutnego

usposobienia pobudek wiele; zabrakło mu do rannych modlitw i egzercycji pobożnych heroicznego księdza Lisieckiego, innych wielu zostało z nim na poboju. Zamiast tego ukochanego kapłana wszedł, do mszy się sposobiać, ksiądz Cieciszowski. Nie śmiał pytać o tych, których nie widział na zwykłych miejscach, aby nie odebrać odpowiedzi, od wczoraj ciągle powtarzającej się: poległ...

Ze starszyny pierwszy zjawił się ze smutnym, zasepionym obliczem Ossoliński, a król, witając go nieśmiało, zapytał cicho:

— W istocie myślicie listem zwrócić się do Islam Gereja? Rozwazałem to, nie wiem sam...

— Zawahał się, spuścił oczy, nie dokończył.

— List już nawet przez rannego jeńca odprawiłem do niego — rzekł kanclerz.

— Przyda się to na co? — mówił dalej Jan Kazimierz. — Jak się wam zda?

Ossoliński z lekka poruszył ramionami.

— Należało spróbować — odparł — chociaż zbyt zaufać nie można.

Westchnął król, zamilkł. Wszyscy dworacy nawykli do tych zmian w panu swoim,

postrzegli zaraz, że wstał innym i że wczorajszy rycerz przedzierzgnął się w trwożliwego niemal mnicha. Ciągle prawie teraz modlił się i przyklękał. Siadł potem jakby z musu na konia, objechał

obóz prawie ust nie otwierając i do chałupy powrócił z widocznym niepokojem. Tatarowie dnia tego nie napadali całą siłą, kozactwo też nieco się opodał trzymało, ucierano się tylko z mniejszymi oddziałami na skrzydłach. Jan Kazimierz po kilkakroć zwoływał do siebie tych, co mu o ordzie mogli dać dokładniejszą wiadomość, i w końcu rzekł do Ossolińskiego:

— Tatarów jest moc wielka, nam pospolite ruszenie nie dopisało, jeżeli się nie uda ich

ściągnąć, a Kozacy z drugiej strony nacisną, zostaniemy osaczeni jak zbarascy...

Kanclerz nic nie odpowiedział.

Jak owej pamiętnej nocy zapał i męstwo króla natychmiast na wojsko oddziaływały i zagrzały je, tak teraz wyraz twarzy, ruchy, szeptania i narady z Ossolińskim odbiły się na dworze, na starszyźnie i na wojsku. Zwątpienie, jeżeli nie strach, wkrađało się do serca.

Z ciekawością wypatrywano przez dzień ten cały posłów biegających między obozem Islam

Gereja a królewskim. Z twarzy kanclerza trudno cós było wnioskować; zawsze ona dumną i

zadumaną ukazywała się ciekawym, wiedziano tylko, że bardzo był zajęty i że zebrawszy

tłumaczyli i skrybentów, którzy cośkolwiek po turecku i arabsku rozumieli, pracował z nimi.

Pisano coś i przepisywano.

Jowialista Skarszewski wnosił z tego po cichu: „Zaczynają atrament rozlewać. Strach, aby po nim czarnych plam nie zostało!”

Zagadywany kanclerz nie zdradził się nawet przed królem i wieczorem dopiero, gdy się zebrali dowódcy, aby plan dalszego pochodu na odsiecz Zbarażowi obmyśleć, wszedł z majestatyczną swą postawą, niosąc w ręku jako zamię zwycięstwa, list od Islam Gereja, który był odpowiedzią, niestety, na zapytanie w imieniu Stanów Rzeczypospolitej. Pierwszy krok

zmuszonym był uczynić kanclerz, chociaż go to kosztowało wiele. Nadrabiał w liście tonem groźnym i dumą, ale samo wysłanie zapytania do chana dawało uczuć słabość. Przypominano Tatarom przymierze, podarki, które im dawano, a które oni nazywali haraczem. Odpowiedź chana, dosyć łagodna, okazywała skłonność do porozumienia się z Rzeczpospolitą.

W chwili, gdy ten list Islama przyniesiono wraz z tłumaczeniem na język łaciński, wielu z dowódców otaczających króla, którzy dotąd wcale o rozpoczętych krokach dla porozumienia się nie wiedzieli, wybuchnęli głośno z protestacjami. Starzy rotmistrzowie i pułkownicy chcieli iść i bić się, ginąć lub trzymać się odpornie, oczekując na pospolite ruszenie, okopawszy się jak Wiśniowiecki pod Zbarażem, ale wypraszać się u chana i kłaniać Tatarzynowi, wydawało im się sromotą okrutną!

Król przecież zaraz w początku usta im zamknął broniąc Ossolińskiego, wyrażając się otwarcie za tym, aby krwi oszczędzić. Po chwili zdumionego milczenia niemniej przyszło do żywych sporów i ostrych słów. Kanclerz, poparty przez króla, wymowny, zręczny, przy swoim się trzymał.

— W najwyższej mam czci — rzekł w końcu — heroiczne czyny panów regimentarzy we

Zbarażu, ale gdy dla króla jegomości i dla wojska mogą uniknąć alternaty niepewnej w polu, a krwi chrześcijańskiej zaoszczędzić, nie będę się sromał ani z chanem traktować, ani go zapłacić.

Oderwać go od kozactwa, zmusić Chmielą do ukorzenia się i wypuszczenia obleżonych panów regimentarzy, zwrócić go do posłuszeństwa, jeśli nie orężem, to porozumieniem się z nim, nie będę się wahał.

Król milcząco mu potakiwał. Starszyzna jednak burczała i zżymała się.

— Lepiej życie pocziwie dać, niż dziczy tej sromotnie czołem bić. Nam wzorem być

powinni zbarascy, którzy po dziś dzień się heroicznie trzymają, gdy my nie począwszy się cofamy.

Nie słuchano starych; król i Ossoliński odpowiedzialność brali na siebie. Ci, co z rady wychodzili,

burzyli się, inni już w żarty i przycinki obracali swój smutek. Pomijano Jana Kazimierza, na kanclerza plwano i urągano się z jego rozumu.

Świadczą o tym wszyscy współcześni i na kartach ówczesnych diariuszów co krok się

spotykamy z usposobieniem szyderskim, które naówczas panowało. W najcięższych razach

drwiono i dworowano z ludzi i wypadków. Nieubłaganych tych siepaczy, nie przebaczących nikomu ani sobie nawet, zwano łagodnie jowialistami. Do nich należał niedawno przedtem zmarły w Krakowie dzielny żołnierz, ale zarazem szaleniec, dowcipny Samuel Łaszcz, strażnik koronny, który banicjami i dekretami, przeciw sobie ferowanymi, ferezję sobie na kontempt prawa podbijać kazał, a umierając, gdy doń przyszli wierzyciele i upominali się o należności, Cygana skrzypka, którego z sobą wszędzie woził, przywołał i wierzycielom na pociechę na skrzypkach mu kazał

zagrać. Tyle z niego mieli, bo wprędce ducha Bogu oddał. Takim był ów Zygmunt Skarszewski, stary dworak Władysława IV i Stanisław Księski, żołnierz dzielny, ale języka ostrego jak brzytwa.

Tym samym duchem wesołej obojętności przejęty był i Pasek, który sobie ze wszystkiego dworował.

W obozie też króla pod Zborowem na tych jowialistach nie zbywało, znajdowali się właśnie Skarszewski, Księski i siła im podobnych. Ci zaraz sobie z kanclerza i jego zalotów do Tatarów poczęli stroić żarty, ale obok nich gromada się znalazła, która wołała się wykupić i do domu powracać, nie zaznawszy głodu i ucisku. Większość jednak przeciwko Ossolińskiemu była, którego z dawna nie lubiono, zarzucając mu dumę, ubieganie się za tytułami i podbudzanie Władysława IV

do wojny, za którą teraz pokutowano. Nie zabrakło jowialistom treści do żarcików ostrych z Ossolińskiego, z króla, z siebie i do porównań Zbarażan ze Zborowczykami.

Słonność ta do szyderstwa w istocie była jedną z cech wieku jakby rozpaczającego o

przyszłości. Nie była może bez wpływu na wyrobienie tego humoru reformacja i polemika między starym Kościołem a zwolennikami nowinek, ale i inne fermentację tę zrodziły żywioły. Sposób życia, nieustanne ucztowania, po obozach obcowanie mężczyzn samych z sobą bez udziału kobiet, puściły wodze językom. Gdy kto raz, jak pan Samuel Łaszcz albo Pasek, zasłynął z tego

lekceważenia sobie wszystkiego i ośmiewania życia, wynoszono go, porywano, zmuszano niemal do wytrwania w tym szale do końca. Dowcip ten, często tragicznie brzmiący, przebijał się w pismach Wacława Potockiego, w pielonych poematach Morsztyna, w mnogich tego czasu

pozostałościach i w żywotach ludzi naigrawać się zdających z własnego losu. Było w tym coś rycerskiego ducha, ale sceptycyzmu i lekceważenia więcej jeszcze.

Na Ossolińskiego rycerstwo by może gwałtowniej daleko się rzuciło, gdyby nie król, który stał Widocznie przy nim. Poszanowano majestat jeszcze, ale wiele mu blasku odjęło to nagłe Jana Kazimierza ostygnięcie. Uradowano się temu bohaterskiemu rozgorączkowaniu, gdy król wołał, że

gotów życie dać, po obozie dniem i nocą jeździł, z pola nie schodził, ludzi rozsyłał, rozkazywał, rozstawiał. Zdumiano się spostrzegłszy, jak nagle ostygł, spowolniał, zamilkł i zwrócił znowu więcej ku modlitwie. Niektórzy, uniewinniając go, składali wszystko na pospolite ruszenie, które się nie poruszało i nie przychodziło. Drwiono więc z niego okrutnie.

Kanclerz tymczasem, na nic nie zważając, bardzo zręcznie jedne układy prowadził

potajemnie, a drugie urzędownie i jawnie. Tatarowie już się na zjazd i wysłanie od siebie do traktowania komisarzów godzili. Umawiano się już o zakładników, o miejsce i czas. Ossoliński pewnym był zwycięstwa.

Zaledwie się to dokonało, choć skrycie i po cichu, Kozacy natychmiast wiedzieli, co się święci. Skoczyli do Islam Gereja, starając go się utrzymać przy sobie; chan ich grubiańsko odprawił. Cała ta wyprawa dosyć go już kosztowała, a łupów przyniosła mało. Wolał z królem do czynienia mieć niż z Chmielem, który tak samo jako polskich wysłanych do siebie komisarzy zwodził, okłamywał, miotał nimi, tak i Tatarów łudził obietnicami i na swą korzyść wyzyskiwał.

Ossoliński drugiego dnia przyniósł królowi wiadomość, że prawdopodobnie z Tatarami za

pieniądze do porozumienia przyjdzie. Ale chan ciężkie, upokarzające narzucał warunki. Ossoliński rad był ' utaić je, bo wiedział dobrze, iż zgrozę i oburzenie wywołują. Tatarzy wprost haraczu wymagali sromotnego. Nie zmieniło to jego natury, iż go podarkiem nazwać dozwolili, niby jurgieltem dla wojsk, które Rzeczpospolitą posiłkować miały przeciwko jej nieprzyjaciołom.

Chmiel, spróbowawszy na próżno chana odciągnąć od sojuszu z królem, natychmiast zmienił ton i postępowanie. Mistrz niezrównany w kłamstwie, które go gburowstwem, to jakąś niby głupotą, to pijaństwem się okrywało, Chmielnicki, niby strwożony, płakać począł, pożądać przebaczenia i pojednania, garnąc się też do króla, któremu gotów był paść do nóg i poprzysiąć służby wierne.

Ze wszystkiego, co współcześni o tym wodzu Zaporozców podają, cale go nie rozumiejąc,

widać w nim najprzewrotniejszego szalbierza, który oszukuje wszystkich z kolei: króla polskiego, Tatarów, własne wojsko i wszystkich, z którymi ma do czynienia. Jego kameleonowskie oblicze jednego dnia zalane łzami skruchy, drugiego wściekłością się pieni, potem szalem jakimś jak *mgłą* osłania, ale niczemu wierzyć nie można, oszukuje wszystkich i zwodzi. Z nadzwyczajną

zręcznością okazuje się umyślnie szalonym, dzikim, aby mu wszystko było wolno. Gdy mu z tym dogodniej, pijanym się czyni i bezrozumnym, potem, zbiedzonym i pokornym, a nazajutrz wybucha znowu, grozi i okrucieństwem przeraża. W tych wszystkich metamorfozach jedna myśl stale i uparcie go prowadzi: zawładnięcia krajem, uczynienia się panem Rusi, założenie dla siebie osobnego królestwa, które na początek gotów jest powierzyć opiece najmniej niebezpiecznego sąsiada. Wyzyskuje wszystkich i wszystko, nie wiąże się niczym, przysięga i łamie przysięgi z największą łatwością, obiecuje i nazajutrz nie wie i nie pamięta, co przyrzekał. To pijaństwo, o którym często jest mowa, widocznie jest dla niego doskonałym środkiem do urągania się z ludzi.

Widać dziś, że pijanym był zawsze, gdy mu to posłużyć mogło. Pod Zbarażem przekonawszy się, że

rycerstwo' polskie niecałe było można piławiecką miarą szacować, gdy mu się tu Islam Gerej z rąk wyśliznął, obrachował natychmiast, że pozorny, chwilowy sukces Polaków może doskonale na korzyść swoje obrócić. Zaledwie chan począł się umawiać z Ossolińskim o ten haracz, który podarkiem nazywano, Chmiel natychmiast oświadczył, że i on, ulegając namowom Islam Gereja, gotów jest do układów, do zgody, do poddania się i poprzysiężenia wierności królowi jegomości.

Wiedział, że tym uspi nie bardzo chętną do wojny szlachtę, zyszcze czas do lepszego

zorganizowania się, a przez traktaty wcale związanym nie będzie. W obozie polskim nie wiedział

jeszcze nikt o zwycięstwie Radziwiłła, który zadał klęskę wielką kozactwu. Chmiel już był o niej zawiadomiony. Rozumiał też dobrze, iż król na początku swojego panowania, aby się mógł

pochlubić Wiktoria i traktatami, gotów przyjąć najcięższe warunki. Postanowił korzystać z tego i rachuby go nie omyliły.

Zwrot ze strony Chmielą nastąpił tak jakoś nagle, dziwnie, iż król i kanclerz nie wiedząc, czemu go przypisać, winszowali sobie przebiegłości w porozumieniu się z chanem. Ossoliński przypisywał po części tę powolność posłuchom o ciągnącym groźnym pospolitym ruszeniu, król opiece Najświętszej Panny Marii Bełskiej, która po Czerwieńskiej i Częstochowskiej była teraz w największej weneracji.

Jowialiści obozowi z niedowierzaniem i podejrzliwie wieść o układach przyjęli.

— Prostym rozumem chłopskim — mówili — łatwo widzieć, że Tatarowie i Kozacy tak

bardzo się ulękli nagle, coś więc pod spodem tkwić musiało! Skąd by Chmiel skruszonym miał być tak niespodzianie?

Drudzy radzi, że rychło do domu powrócą, cieszyli się i sławili królami kanclerza.

— Abyśmy tylko do domu sromu nie przywieźli — mrużano. Zbarascy bohaterowie

budzili zazdrość. Drwiono po cichu z prze- mądrego kanclerza, który, nie oglądając się na paskwile, układy do końca prowadził. Warunków ich nie wiedział nikt, domyślano się, że zaważą ciężko na pocziwej sławie polskiego rycerstwa.

Król nic nie dawał poznać po sobie, ale twarz mu się wyjaśniała mimo woli. Zapytywany

milczał. Ossoliński odprawiał dwuznacznikami, głosząc tylko że Rzeczpospolita tryumf odniosła przeważny, a król okrył się chwałą. Nie mówił o sobie, lecz domyślać się było łatwo, jaką przypisywał zabiegom swym zasługę.

Wtem Islam Gerej pierwszy powinszował królowi Radziwiłłowskiemu na Litwie zwycięstwa

i wiadomość ta nieco uspokoiła umysły, bo tłumaczyła powolność Kozaków. Raziło tylko, iż do chana słano podarki kosztowne i kiesy złota pełne.

Nareszcie Chmiel, pełen skruchy, do króla przyszedł, na kolana przed nim upadł, majestat chciał przebłagać, wierność przysięgał.

— Czegóż wy więcej chcecie! — wołali wielce z pokoju uradowani. — Zbaraż uwolniony od oblężenia, kozactwo zaciągnięte w służbę naszą.

Jowialiści odpowiadali:

— Czekajcie, aż się medal na drugą stronę obróci.

Wtem ze Zbaraża przyniesiono, iż Kozacy wprawdzie ustąpić się obowiązali, ale szczodry

Ossoliński za to im także podarek przyrzekł. Zamknięci jeszcze w okopach bohaterowie krzyknęli jednym głosem:

— Ginać lepiej! Bodajecie tego nie doczekali, abyśmy my krwią się naszą okupiwszy, pieniędzmi jeszcze chłopstwu wypraszać się mieli! Przyrzekliście im, płacicie sami, nie damy złamanego szeląga!

Wybuchnęli wszyscy na Ossolińskiego i poszła po wojsku sromotna gadka: „W Zbarażu

dziesięciu Tatarów pierzchało przed jednym Polakiem, w Zborowie Polaków dziesięciu uciekało przed jednym Tatarzynem!”

Tryumf polityki Ossolińskiego i króla zaczynał się już w pohańbienie obracać. Król jeszcze się z dobrą myślą trzymał, bo mu jej kanclerz dodawał i tak zwycięsko na pozór, ale z niepokojem w duszy wyruszano pod Gliniany, a z Glinian do Lwowa. Jan Kazimierz dosyć skromnie i cicho wszedł do ruskiej stolicy. W wojsku szemrano i naśmiewano się po trosze.

W parę dni potem biegały po mieście chciwie przepisywane paskwilusze.

„Wesoły nam dziś dzień nastał! Pokój się nam narodził!

Radujcie się narodowie, Polski, Litewski i Ruski. Zwycięstwo okrutne na papierze.

Oświecony Książę Kanclerz ojczyznę uratował, sławne traktaty przypieczętował. Cześć Mu i sława!”

„Punkta traktatu z Tatarami:

Między Islam Gerejem Chanem Tatarskim i następcami Jego a Królem Polskim i

następcami jego, szczery pokój i przyjaźń zachowaną będzie na wieki.

Król Jegomości Polski Chanowi Jegomości co rok haracz płacić ma w Kamieńcu, a Chan,

gdy mu się spodoba świeżego zażyć powietrza, pojedzie do Warszawy komedii na zamku

asystować.

Czambuły, ekskursje, rabunki ludzi i bydła, jeżeliby się jakie przytrafiły, Król Polski na to zważać nie ma ani się nie skarżyć i przyjaźni to wzajemnej psować nie będzie.

Tatarskie wojska od Zbaraża i granic Rzeczypospolitej wyjdą, gdy się im spodoba, a choćby po drodze ekscesa jakie popełniły, Wojska Rzeczypospolitej za to prosekwnować ich nie mają prawa.

Tatarowie krymscy, natajskie, pemruckie, budziackie, petyhorskie, czyrkaskie, wołoskie, multańskie, siedmiogrodzkie, tureckie, rumelskie pułki i ordy i inni narodowie swobodnie w Polsce gospodarzyć i plądrować będą bez przeszkody.

Za supliką Chana Jegomości Wojsko Zaporoskie Królowi Polskiemu urazy swe, pretensje, poniesione krzywdy przebacza i w niepamięć puścić przyrzeka."

Punkta traktatu z Kozakami:

„Wszystkie starodawne wolności Wojska Zaporoskiego król polski na nowo koroboruje i dyplomem stwierdza.

Komput Wojska Zaporoskiego ma być czterdzieści tysięcy, ale w rejestra wnikać i liczby słuchać nikt ich nie ma prawa.

Zaciągi sobie Panowie Kozacy swobodnie czynić mogą z miast, miasteczek, wsiów i slobód, w dobrach królewskich, a w szlacheckich, choćby poddanych buntowali i zaciągi potajemnie robili, przez szpary patrzeć się będzie.

Hybenr, stanowisk, kontrybucji żołnierskich, w miastach i dobrach dla Kozaków ordynowanych, Rzeczpospolita nie będzie się ważyć swojemu wojsku naznaczać.

Godności i urzędy w województwach kijowskim, braclawskim, czernihowskim nikomu innemu oddawane nie będą, krom błachoczestywych ludzi.

Kozactwo, choćby dziesięć i więcej razy zdradziło, bezkarnie się mu to odpuści i karać nie będzie."

Takie i gorsze skrypta co dzień podrzucano Ossolińskiemu, a i król je w swoich pokojach znajdował. Raz nawet do kieszeni w sukni rękę włożywszy, paskwilusz z niej dobył na kanclerza haniebny, który, nie dając po sobie znać, na kominku spalił.

Ale nie zbywało i na pochlebcach, którzy tak Ossolińskiemu, jak Janowi Kazimierzowi za traktaty zborowskie dziękowali, zowiąc je zbawieniem Rzeczypospolitej.

Do chwilowego pozyskania serc u szlachty przyczyniła się i jedna okoliczność błaha, ale może skuteczniej działająca niż najdzielniejsze walki i zwycięstwa. Król od dzieciństwa swojego zawsze po niemiecku, po szwedzku, słowem, europejską modą się nosił, a kontusza i żupana jako żyw nigdy nie wkładał i nie znał. Czy mu kto myśl tę poddał, czy sam on na nią wpadł, potajemnie kazał sobie we Lwowie kilkoro sukni przysposobić, dosyć bogatych i pięknych, aż jednego dnia, przebrawszy się po polsku, do kościoła pojechał. O mało to tumultu w mieście nie wznieciło, bo ci, co widzieli, oczom wierzyć nie chcieli, ci, co rozpowiadali, wyśmiani byli, a ciekawych tłumy biegły tego polskiego króla oglądać, chociaż w gromadach słychać było mruczących:

— Suknię włożyć łatwo, ale ducha wdziac bodaj potrafi!

Nie zbywało i na tych, co się naśmiewali powiadając: „Za serce nas chce wziąć, ale w

dziecinny sposób." Z tym wszystkim w ostatnich dniach pobytu we Lwowie, właśnie gdy spod Zbaraża regimentarze poczęli przybywać, bo Chmielnicki nareszcie odstąpił, gdy się poczęło rozdawanie nagród zasłużonym, zjawił się ten kontusz na królu.

Powracających z okopów zbaraskich siła przynosiła z sobą żal srogi i przeciw pospolitemu ruszeniu i do króla, i do Ossolińskiego, a powiększył się on tym, że nagrody zasłużonym poszły nie wedle miary ich cnoty, ale podług rady dworaków i przyjaciół. Pokrzywdzono w rozdawnictwie najdzielniejszego bohatera Jeremiego, o innych wcale zapomniano. Co dzień prawie na ulicach Lwowa spotykać było można wozy, na których po kilku wynędzniałych, poobwią- zywanych,

zbiedzonych Zbarażan wjeżdżało cicho i bez tryumfalnych Juków, a nikt ich nie witał. Sami oni gorzko się losowi swemu uśmiechali i z doli swej drwili, ale co poczciwsze rycerstwo otaczało się czią wielką. Cisnęli się do nich wszyscy chciwi opowiadań o tej tragedii, o której, jako o wojnie trojańskiej, poemata śpiewać było można.

Strzębosz, który w oddziale Koniecpolskiego i przy osobie jego miał przyjaciela i

powinowatego, onego sławnego jowialistę Stanisława Księskiego, z wielką radością się dowiedział, że wojak ranny mocno acz nie niebezpiecznie właśnie do Lwowa przybył i w starym dworze pod Bernardynami razem z innymi kilku Zbarażanami spoczywał. Zaledwie do niego napisał Staszek (tak go, choć już siwiał, nazywano), gdy Dyzma, wzięwszy pozwolenie od marszałka dworu, pośpieszył do niego.

Domowstwo, w którym się Zbarażanie mieścili, wcale się nie zalecało ani

powierzchnością, ani wewnętrznym urządzeniem wygodnym. Lwów tak naówczas pełen był, iż w rynku i na targach koczowały czeladzie, a panowie nawet niektórzy część dworu musieli mieścić pod namiotami. Ze starego, walącego się, drewnianego budynku, który dawniej gospodą lichą być musiał, wygnano naprzód gospodarzy, nim się parę izb dla rannych opróżnić dało. Księski z innymi zajmował ogromną, od wieków zakopconą dymem izbę z małymi oknami, w której pod ścianą

jedną nasłano siana, okryto je wojłokami i po żołniersku się tu rozgospodarowali biedacy, którym po Zbarażu ten barłóg jeszcze smakował jako najwykwintniejsze pałace. Było ich tu trzech porąbanych:

Staszek Księżki, Maciej Brodowski i Sylwester Gnoiński, ale starczyło miejsca dla wszystkich i na sakwy, siodła, rzędy, a zbroje i oręż, który całe kąty zalegał. Na ogromnym kominie czeladź tuż jedzenie i plastry odgrzewała. Leżącym na ziemi ławy za stoły służyć musiały. Strach było spojrzeć na tych wesołych wojaków, którzy do trupów podobniejsi byli niż do żywych ludzi, tak wymęczeni, znędziali wyszli z tej łaźni. Nie przeszkadzało im to śmiać się i drwić, a izba, od rana ciekawych pełna, śmiechami się rozlegała. Księżki osobliwie dokazywał.

Właśnie gdy wszedł Strzębosz, znalazł w żywą rozmowę ze Staszkiem wplątanego

towarzysza ze Zborowa, z orszaku Ossolińskiego, który oczywiście pana swojego stronę biorąc, bronił czci króla i tych, co pod Zborowem byli. Był to niejaki Zboiński, *sim-plex servus Dei*, ale żołnierz dzielny i człowiek zacny. Zaledwie się ze Strzęboszem przywitawszy, Księżki, który był choć już niemłody, ale siarczystego temperamentu, Dyzmie kazał

usiąść na ławie i dalej się ze Zboińskim na swój sposób ucierał.

— Zbóju mój — wołał cieniuchnym, zachrypiałym głosem — cóż bo ty sobie myślisz, że ja

nasze zasługi we Zbarażu zapieczętowanych i ogłodzonych ciurów wyżej wynoszę niż wasze!

Mylisz się. Co my dokazali? Jedliśmy końskie mięso, szczury, koty, piliśmy wodę śmierdzącą spod trupów, nie spali, głodem marli, aleśmy tyle tylko że honor ocalili, a król z Ossolińskim przyszedł

pod Zborów, wziął w skórę i nazajutrz ogłosił się zwycięzcą, Tatarów zapłaciwszy! Alboż to niedobra sztuka? Każdy ojczyźnie służy, jako może: jeden krew i życie daje, drugi chytrość swą i żydowski rozum!

Zboiński się zżymał.

— Ale ja bo zbaraskim bohaterom nie ujmuję — wołał.

— A my, jak nam Bóg miły — odparł Księżki — my nie pretendujemy od was nic, tylko

żebyście nas przynajmniej na równej stopie z sobą stawić raczyli! Za sobą, com ranny, nie mówię.

Sam winien jestem, bom po nocy wlaźł między Kozaków i kilku ich wyprawilem na tamten świat dowiedzieć się u św. Piotra, czy błahoczestywych do nieba puszczają, a w końcu mnie jeden płątnął

też, za co go Brodowski uśmiercił. Mam za swoje, ale mi żal tych dobrych towarzyszków, co ze Zbaraża już nie powrócą. Takiego Trzebińskiego, porucznika p. Myszkowskiego, który bił się jak lew, a czasu bitwy śpiewał, aż nam duch rosnał słuchając, i takiego Jagielnickiego chorążego p.

Zbrozka, który z Kozakami po rusku rozmawiał się, aż miło słuchać było, takiego przepoczciewego bernacha, kapelana naszego Ząbkowskiego, którego kula działowa przy mszy świętej właśnie po komunii, gdy się ku nam obracał, na tamten świat z czystą duszą wyprawiała, takiego

Sierakowskiego pisarza polnego, Silnickiego, Zbrozka, starostę przasnyskiego, którzy miłość swą dla

Rzeczypospolitej żywotem poświadczyli.

Zmieszany Zboiński chciał protestować, ale Księżki rozgorączkowany nie dał mu mówić.

— Przybywamy do Lwowa, rozbitki nieszczęsne, a tu trąbią sławę kanclerza i króla, że tryumf odnieśli wielki, że ojczyznę zbawili, nam zaś Zbarażanom ledwie dopuszczają się przypomnieć, żeśmy też coś uczynili i czegoś warci.

— Miły panie wuju — przerwał Strzębosz — nie przypisujcież znowu ani królowi, ani nam, cośmy z nim byli, abyśmy sobie za wiele przyznawali. Wyście się bili jak lwy i trzymaliście się dłużej; nikt wam tego nie odejmuje.

— W końcu — rozśmiał się Staszek Księżki — kanclerz nam jeszcze nakazał, abyśmy kochanym Kozakom za to, że nas nie zjedzą, zapłacili! Trzeba było widzieć i słyszeć, jak to u nas w obozie przyjęto, a nie życzyłbym był panu kanclerzowi podczas między nami się znajdować!

Uspokoilo się jakoś po chwili, a Księżki po swojemu żarty sobie stroić zaczął. Dostało się i Strzęboszowi, który się staremu odcinać nie myślał, ale króla obraniał.

— Król! — przerwał mu Księżki. — My starsi go dawno znamy. Choć szablę przypasał, żołnierza z niego ona nie zrobi, a kontusz go Polakiem nie uczyni. Pobożny pan, ani słowa, ale będzie tak szedł, jak go poprowadzą.

Dyzma, Zbaraża ciekawy, rozpytywać począł Księżkiego.

— Cóż ty myślisz — odpowiedział mu jowialista — że o Zbarażu tak w krótkich słowach można uczynić relacją jak o paktach zborowskich? My, cośmy tam byli, gdyby to opisywać

przyszło, na cały żywot mielibyśmy co czynić. Nie było dnia bez jakiegoś sławnego wypadku, nie było nocy, żeby kozactwo nie spróbowało się wkraść lub nas oszukać. Jednym okiem człowiek spał, a rozbierać się nigdy nie myślał. I nie na wiele by się to przydało, bo koszul nie mieliśmy do zmiany, a w odzieży i zbroi tylko co dzień sprzążki i pętlice krócej było trzeba wiązać, bośmy z ciała opadali w oczach. Kule kozackie, szable ich i tatarskie strzały, to wszystko jeszcze niczym było przeciwko urągowisku tego motłochu, który pod same wały nasze wdarłszy się, panom czapkami się kłamał.

— Miłościwi panowie — wołali — czynsze zalegają, czemu nie pośpieszycie ich wybierać!

Nam aż tęskno za wami.

Więc się, bywało, który słowem odetnie tej szui, ale ono nie doleci do nich.

Westchnął Księżki.

— Chmielnicki już wypróbował — mówił dalej — że nas dobrodusznych na lada co

wziąć można, żeśmy wierzyć gotowi we wszystko i słowo każde brać za dobre, tak prostackimi sposobami nas podchodził, iż sromać się musieliśmy, za jakich on nas miał głupców. To listy, to posłowie, to zbiegi jakieś nas nachodziły.

Z całego naszego obozu jeden jedyny człowiek trwogę w nich budził i nienawiść taką, że imię jego do wściekłości ich podniecało: ksiązę Jeremi. Wspomnieć go im było, to bledli.

Wiedzieli, że ich znał na wylot, że im nigdy wiary nie dawał, pokorze ich nie ufał i przebaczyć nie mógł. Jemu jednemu w oczy spojrzeć by nie śmiał Chmiel, bo ten go przenikał do szpiku, gdy inni jak Kisiel, to się z nim bratali, to smarowali, to pochlebiali, to się ponizali przed nim, a nie znali go wcale. Główny by był niemało poświęcił, gdyby Jeremiego mógł dostać, a byłby się pastwił nad nim.

Za Księżkim opowiadał Brodowski, dodawał Gnoiński też, i cały dzień a noc by ich tak

słuchać było można, aniby się wyczerpali, bo tragedia zbaraska obfitą była w takie sceny, których najbujniejsza nie wyroi fantazja.

Znaleźli się tu i dysydenci, którzy czasu procesji katolickiej swoje psalmy na przekór

śpiewać poczęli nie dla Pana Boga, ale aby ludziom się postawić.

— Gadajcie tedy, co chcecie — skonkludował Księżki — a wszystko to marne. Przyszedł

kanclerz Ossoliński, pocałował się z Islam Gerejem, z Kozakami pobratał i jemu wszystko winną będzie ojczyzna. Zbarascy żołnierze nie uczynili nic!

Rozdział II

Przez cały ciąg tej wyprawy, która zaprowadziła Jana Kazimierza pod Zborów i zamknięta

została sławnym owym traktatem, królowa Maria Ludwika z gorączkową ciekawością chwytała nowiny, które jej co dzień niemal przynoszono. Wszyscy ci, co się jej zalecić chcieli, a mało było, co by nie pragnęli mieć u niej łaski, bo wiedziano, że była wszechmocną, polowali na wiadomości, rozstawiali konie, posyłali najsprawniejszych ludzi, aby co najrychlej królowej dostarczyć wieści.

Maria Ludwika czuła to, iż pierwszy krok w pole z wojskiem, na czele rycerstwa o przyszłości króla stanowił, a gdyby raz bohaterem się stał, już by mu łatwo było się nim utrzymać. Drżała więc i modliła się. Ze stołu jej nie schodziła mapa tych krajów, które król z wojskiem zajmował.

Sekretarz Des Noyers wyszukiwał starych ludzi, którzy bywali na kresach, na Rusi i coś do obrazu

ich dostarczyć mogli. Trwoga ogarniała ją szczególnie, gdy zewsząd skargi nadchodzić zaczęły o opieszalym ciągnięciu pospolitego ruszenia, z którego się naśmiewano. Straszono imieniem jego kozactwo, ale po cichu szeptano, iż nic na nie rachować nie było można. Wyprawiała więc królowa listy do Ossolińskiego, do dowódców, do króla, a podczas i ludzi, którzy oddziały wojsk ociągające się popychać mieli i napędzać.

Po kościołach odprawiano nabożeństwa; duchowni przynosili wróżby i przeczucia, dwór sny swoje o królu, astrologowie obrachunki koniunktur na niebie. Des Noyers szczególnie, po uszy w astrologicznych rachubach, dostarczał królowej wróżb jak najpomyślniejsze obiecujących skutki tej wojny, która miała się wiekopomnym zamknąć pokojem.

Królowa wiedziała bardzo dobrze, iż z męża. bohatera nie uczyni, ale napatrzyła się w ciągu życia tylu mężów sławnych, co sławę zawdzięczali przypadkom, iż sztuczne stworzenie jej dla Jana Kazimierza nie wydało się niepodobieństwem.

Długo jednak tym nadziejom i oczekiwaniom Marii Ludwiki nie odpowiadały wypadki, o których się dowiadywała. Opieszale jakoś śpieszono na odsiecz Zbarażowi, a ruszenie się nie poruszało. Siły, z którymi zmuszony był Jan Kazimierz iść pod Zborów nie starczyły do takiego pogromu, jakiego pragnęła i spodziewała się królowa. O pierwszych utarczkach nie dano znać jej, a po nich tak rychło nastąpiło z chanem porozumienie, iż królowa razem odebrała uwiadomienie o gotujących się traktatach i o bitwach, które nawet w najpochlebniejszych występując barwach, budziły jeszcze więcej troski, niż pociechy przynosiły. List, który zwiastował, że chana odciągając Ossoliński potrafił od Kozaków, okrzykiem zwycięstwa powitała królowa.

— *Un coup de maitre!* — zawołała, chlubiąc się nim przed księdzem de Fleury.

Niespokojna, zniecierpliwiona, oczekiwała potem następstw układów, ale wiadomość o nich się spóźniła, a gdy na ostatek nadeszła w wyrazach ogólnych sławiąca kanclerza dzieło, Maria Ludwika zachmurzyła się. Krótko napomknięte warunki dawały jej ocenić ten traktat, który miał

pozór zwycięstwa, ale był w istocie hańbą. Spłakała się potajemnie, nie pozostawało nic teraz nad sławienie układów, wynoszenie ich, aby ludzie się nie dopatrzyli, jak sromotnymi były. Wynoszono więc kanclerza i króla razem, ale w duszy Maria Ludwika bolała nad takim obrotem rzeczy, który skazywał króla na dawną jego rolę człowieka bez charakteru i siły. Postarano się na zamku, ażeby ta noc, w której w istocie Jan Kazimierz dał dowód, że w nim duch jeszcze mieszkał rycerski, choć stłumiony, w opisach i listach wystąpiła z wielkim blaskiem.

Król jeszcze nie doszedł z powrotem do Lwowa, gdy w Warszawie na Ossolińskiego drapieżne pokazały się paskwilusze. Przyniesiono na zamek ową parodią traktatów, która krążyła po Lwowie. Kazano ją zniszczyć. Z Warszawy list zalecił królowi, aby się przebrał w strój polski.

Staraniem Marii Ludwiki gotowano kanclerzowi i królowi świetne przyjęcie, zawczasu podnosząc ich zasługi, ale przeciwko temu prądowi z góry silniejszy daleko z dołu parł, w którym

męczenników zbaraskich sławiono, a zborowskich polityków wysmiewano. Królowa się wkrótce przekonała, że bezpieczniej była daleko nie podnosić do zbytku zasługi, aby nie wywołać zajadłego szyderstwa. Z listów męża przekonywała się, że zaspokojony zupełnie tym, co mu się zdobyć udało, dosyć obojętnie patrzył na laury i tryumfy. Tęsknił już za spokojem, za łowami i za karłami swymi.

Któż wie? Czasem może za królową i za pięknymi paniami, które go zawsze obchodziły żywo.

Potrzeba jakaś pilna zmusiła Jana Kazimierza przodem do Warszawy wysłać Strzębosza,

który z wielką radością podjął się biec do stolicy. Wiózł on listy do królowej, lecz ułożył sobie, iż skorzysta ze zręczności i dobije się do pięknej Bianki. Strzębosz nie był rad z siebie ani z króla i wyprawy. Milczał i bronił pana, ale bolał w duszy, bo wojnę tę wcale sobie wyobrażał inaczej.

Spodziewał w niej wsławić, urosnąć, z dworaka przeistoczyć na rycerza, wszystko to się nie powiodło. Nastręczał się na próżno, ofiarował i nabijał, wysłano go gdzie indziej, tak że i prochu mało powąchał i u króla sobie innej sławy nie pozyskał oprócz sprawnego dworaka. Wracał do Warszawy takim, jakim z niej wyjeżdżał. Wszystkie te myśli czarne jednak rozbiły się i uleciały, gdy dojeżdżając do miasta ujrzał wieżyczki zamkowe, czarne mury kościoła św. Jana, kochaną Wisłę i w oddechu poczuł to powietrze, którego mu wszędzie brakowało.

Zaledwie zsiadł na podwórzu, nie mając się czasu ogarnąć, Strzębosz odebrał rozkaz od

panny Langéron, która go oknem pierwsza zobaczyła i poznała, aby jak stał, do królowej pośpieszył. Musiał więc być posłusznym.

Oczekiwała na niego już pani i listy odebrawszy, poszła do okna natychmiast, aby na nie rzucić okiem. Strzębosz z dala spostrzegł, jak się jej brwi ściągały, usta ścisnęły, jak ręce drżały, gdy przewracała zapisane szerokim króla charakterem kartki. Ścisnęła je potem żywo i podeszła do posłańca. Dyżma źle bardzo mówił po francusku i po kilku słowach dostał grzeczną odprawę.

Zaledwie był za progiem, gdy go dworzanie obiegli i nie dając tchnąć, poprowadzili do

izdebki, w której chciał się przebrać i spocząć. Okazało się to niepodobieństwem. Z własnej ciekawości i wysłani przez królową osaczyli go tak przyjaciele, znajomi, towarzysze, że o spoczynku ani mógł myśleć. Nakarmiono go i napojono, ale za to zarzucano pytań tysiącem.

Dyżma sławił pana i wynosił wszystkich, co mu towarzyszyli, nie zapominając o sobie, lecz poczuł

w zadawanych mu pytaniach, postrzegł w uśmieszkach dwuznacznych, że i tu już na zamku w wielkie czyny i wielką Wiktoria niezupełnie wierzone. Musiał więc powtórzyć to, co już na swe uszy od partyzantów i obrońców kanclerza i króla słyszał (co później sam Ossoliński na sejmie głosił), że zwycięstwo pod Zborowem odniesione daleko było większym i chlubniejszym niż sławiona owa chocimska Wiktoria za Zygmunta III. Wszyscy mu się w oczy rozśmiali. Zarumienił

się i zamilkł. Chciano owo mężne potykanie się pod Zborowem podnieść do wysokości, na której utrzymać się nie mogło, a przesadą umniejszono je tylko.

Kury piały, gdy Dyzma w końcu padł na łóżko i usnął tak dobrze, iż się dopiero nazajutrz około południa obudził. Nie wiodło mu się widocznie, bo zasnął najlepszą godzinę, gdy swoją ukochaną mógł albo w kościele lub z kościoła powracającą napotkać. Musiał więc innego szukać sposobu wtargnięcia do domu Bertoniowej. Wymuskawszy się trochę, nad wieczór dopiero

skierował się na Stare Miasto. Zdało mu się, iż śmiało nadużyć może królewskiego imienia, gdyż Jan Kazimierz w sprawach miłostek dworzan swoich był wielce pobłażającym i wytargawszy za uszy, przebaczał. Wprost więc i śmiało wszedł do domu, w którego oknach na próżno znajomej szukał twarzyczki. Bertoni mu zakazała wprawdzie pokazywać się przed swym obliczem, lecz Strzębosz szedł ze zmyślnym od króla pozdrowieniem, rachował więc, że go wypędzić nie może.

Zuchwale wtargnął do przedpokoju i już miał wejść do bawialni, gdy drzwi się otworzyły i stara, zawsze klejnotami okryta, malowana Włoszka powitała go krzykiem.

— Przybywam wprost z obozu — odezwał się, nie dając jej przemówić, Strzębosz. — Król

jegomość kazał mi pokłonić się waćpani i pannie Biance. Więc choć zakazano mi tu się pokazywać, rozkaz pana więcej waży nad wszystko.

Bertoni stała z usty otwartymi. Wiedziała bardzo dobrze, iż Dyzma kłamał, ale ciekawość ją piekła. Rada by była się coś dowiedzieć, a Strzębosza nienawidziła. Stała więc w niepewności, co pocnie. Wprowadzić go i dać mu widzieć Biankę, nie chciała za nic w świecie.

Dyzma się tymczasem zbliżał, jakby ją chciał zmusić do wprowadzenia go wewnątrz, dalej.

Bertoni drzwi sobą zapierała.

— A to piękna w istocie gościnność — odezwał się Strzębosz — królewskiego posła w antykamerze trzymać i progu mu nie dać przestąpić!

Włoszka się rozgniewała.

— Cóżes mi to przyniósł od króla? — zapytała.

— Pozdrowienie prześliczne — rzekł Dyzma — i to zapewnienie, że z powrotem do

Warszawy król gościńca przywiezie.

Bertoni pokręciła głową.

— A więc poselstwo sprawione — odezwała się. — Ruszaj waszmość, skąd przyszedłeś, kłaniaj się królowi jegomości i bywaj mi zdrów.

Stał nieporuszony Strzębosz. Poza starą Włoszką przez na wpół otwarte drzwi ukazała mu

się uśmiechnięta twarzą. Witła go figlarnym wyrazem.

— Nie będę więc miał szczęścia nawet pozdrowić od króla panny Bianki? — odezwał się dworak. — Król jegomość wyraźnie mi zalecił, abym sam dopełnił poselstwa.

Zza ramion matki Bianka, nie mogąc śmiechu wstrzymać, parsknęła. Bertoni zwróciła się ku niej z gniewem, chcąc zmusić, aby odeszła. Kilka kroków zrobiła idąc za nią, a tymczasem Strzębosz wśliznął się i stał już w środku pokoju.

— Mam od króla dla panny Bianki pozdrowienie — rzekł zbliżając się wesoło, a wcale nie zważając na rozpaczliwe ruchy Włoszki. — Król okryty laurami powraca. Pan Bóg poszczęścił orężowi jego. Tatarzy sami przyszli na kolanach prosić o pokój, a Chmiel nogi jego całował.

Bertoni słuchając mimo woli zapomniała o tym, że Strzębosz gwałtem się tu dostał. Bianka zaś wcale nie zdawała się na gniew matki zważać i śmiało na niego patrzyła, zalotnie mu się uśmiechając.

— Kiedyż nasz król powraca? — zapytało dziewczę.

— Wprędce bardzo — rzekł Dyzma — po trudach potrzebuje odpoczynku.

Rozmowa zdawała się chcieć przedłużać, lecz Włoszkę gniew na nowo wybuchający ogarnął. Nie zwracając się już do gościa, chwyciła córkę za ramiona i popędziła ją śmiejącą się i opierającą po trosze do drugich drzwi, które za nią na klucz zamknęła.

Strzębosz patrzył na to wzdychając. Włoszka powróciła ku niemu wzburzona.

— Widziałeś? — poczęła żywo. — Otóż pamiętaj sobie to, że gdybyś nie wiem jakich podstępów zażywał, wkradał mi się, narzucał, a nawet króla miał za sobą, nigdy ci do mojego dziecka zbliżyć się nie dam. Wysokie progi na twoje nogi. To senatorski kąsek! Rozumiesz!

— Doskonale — odparł Dyzma — ale ja jestem desperat taki że nawet senatorem zostać nie wydaje mi się niepodobieństwem, więc i do panny Bianki się zbliżyć też nie widzę niemożności.

— Czekażże, nim przyjdiesz znowu do mnie, aż senatorem zostaniesz! — zawołała,

zachodząc mu drogę i ku wyjściu go napędzając, Włoszka. — Jeżeli ta stara pomarszczona

Francuzica Langéron wychodzi za kasztelana plockiego, rozumiesz, to za kogóż powinna młoda, piękna, no i nie bez grosza pod poduszką, wyjść Bianka? A cóż ty jesteś przeciw niej? I sądzisz, że ja ci pozwolę się tu kręcić, aby ludzie, Bóg wie co, myśleli?

— Co się tyczy panny Langeron — odparł Strzębosz poważnie — święta prawda, że

pomarszczona i nie pierwszej świeżości, ale królowa jej miejsce matki przy weselu zastąpi i kasztelania płocka rychło się w województwo jakie z dobrym starostwem zamieni. Przez to się i marszczki wygładzą.

— A ty myślisz — zakrzyknęła gwałtownie Bertoni — że ja u mojego króla dla męża

Bianki nie wyrobię też starostwa?

Dyzma wąsa począł kręcić.

— Mówmyż już otwarcie — dodał z uśmiechem: — Król ani krzesel, ani starostw nie

rozdaje. Zbył się kłopotu tego, zdając to na królową jejmość. Mówię, kłopotu, bo gdy wakans najmniejszy się objawi, dziesięciu pretendentów do niego, a dziewięciu potem wrogów, gdy tylko jednemu gęba się zatka. Król więc, choć bardzo pani Bertoni sprzyja, to wiadomo, nie da nic, bo nic do rozdawania nie ma. Na to nie rachujcie. Żeby zaś królowa jejmość miała pannę Biankę

wyposażyć, hm! O tym ja wątpię.

Bertoni obrażona wzięła się w boki, oczy się jej zaogniły.

— No to ja ją wyposażę sama! — zawołała ze złością, tupiąc nogą. — Królowa sobie za starostwa i za krzesła płacić każe, znajdę je za co kupić.

— Tst! — rzekł, palec kładnąc na ustach, Strzębosz. — Może to być, że królowa podarek przyjmie, gdy jej kto zaofiaruje, ale mówić o tym, że starostwa i urzędy są na sprzedaż, nie godzi się.

A nuż by to doszło do uszów królowej ?

Gniewnym wzrokiem zmierzyła Włoszka Strzębosza.

— Dałeś mi waszmość naukę — odparła. — No poselstwo odprawione, a zatem kłaniam uniżenie, kłaniam uniżenie i żebyś mi waszmość już tu więcej nie przychodził. Proszę, proszę!

— Do domu, oczywista rzecz — rzekł spokojnie Dyzma — nie przyjdę, gdy mnie tak

niegościnnie przyjmujecie, ale uprzedzam, bo zdradą nic poczynać nie chcę, że koło domu i gdziekolwiek pannę Biankę będę mógł spotkać, krążyć muszę i nie przestanę. Jestem otwartym.

Ulica wolna dla każdego, nawet dla kominiarzy. Będiesz więc waćpani zmuszoną córkę na klucz zamykać, co dla młodego dziewczęcia nie jest ani zdrowym, ani miłym.

Przywiedziona do ostateczności bezwstydnymi żartami Dyzmy Włoszka porwała się i

oburącz go w plecy uderzywszy, popchnęła ku wyjściu.

— Nie frasuj się ani o mnie, ani o moją córkę — zawołała — a to sobie zapamiętaj, że ona nie dla ciebie.

Strzębosz dał się, nie opierając, wysadzić za próg, tu odwrócił się, pokłonił grzecznie uśmiechnięty i rzekł:

— Nóżki całuję, królowi jegomości nie omieszka donieść o posłuchaniu, jakieś mi pani dać raczyła.

Bertoni, nie odpowiadając, z trzaskiem mu przed nosem drzwi zaparła.

Strzębosz wyszedł z antykamery powolnym krokiem ku wschodom. Obok wyjścia

głównego znajdowały się drugie drzwi pomniejsze, prowadzące do mieszkalnych izb. Znalazł je na wpół otwartymi i dwoje oczek przez nie patrzyło. Poskoczył ku nim.

— Królowo moja! A królowo moja! — zawołał. — Daj choć rączkę pocałować! Choć paluszek jeden. Matuś taka niedobra.

Jeden biały paluszek pokazał się we drzwiach, a usta Dyzmy przyłgnęły do niego, ale

zaręczyć nie było można, czy nie poskoczyły potem wyżej. Śmiech dał się słyszeć, trzaśnięcie drzwiami.

Strzębosz, podśpiewując ulubioną wówczas Morsztyna piosenkę, powoli bardzo schodził ze schodów:

Dobranoc, dziewczę moje!

Już brudnym cieniem okryły się nieba

I zgasły słońca zachodnie podwoje,

Już się na smaczny sen udać potrzeba

I w nim utopić senne niepokoje.

Dobranoc serce moje,

Dobranoc dziewczę moje.

Ale półgłosem nuconej piosenki nikt nie słyszał. Wypocząwszy dzień, poszedł Dyzma do

królowej z zapytaniem, czy mu odpowiedzi wieść nie każe. Tu trzymano go czas jakiś, a w ostatku wyszedł sekretarz z tym, że się Maria Ludwika Najjaśniejszego Pana wprędce spodziewała z

powrotem, więc Dyzmie do woli dawano, albo tu pozostać, lub jechać naprzód bez listów. Nie czując się bardzo potrzebnym królowi, a chcąc sobie wypocząć swobodnie, Dyzma po rozmyśle został na zamku i zajął się tylko tym, aby wszystko na przyjęcie gotowym było.

Na zamku i w mieście co dzień się spotykając z ludźmi różnymi, którzy radzi go słuchali rozpowiadającego o Zborowie, mógł się Strzębosz przekonać, że owa Wiktorja, którą on do chocimskiej porównywał, i owe traktaty sławne bardzo jakoś lekko były szacowane. Wprawdzie część winy składano na pospolite ruszenie gnuśne i skąpe, które się tak wlokło, że połowa jego, nieprzyjaciela nie widząc, do domów powracała, ale ci, co ze Zbaraża tu przyjeżdżali, zaćmiewali tak dalece zborowskich, iż ci się przy nich karłami wydawali.

Bohatera więc tu grać nie mógł Strzębosz, ale ucierał się o to co dzień, że pod Zborowem król i wszyscy obowiązku rycerskiego dopełnili.

— O traktatach ja tam nic nie wiem — dodawał — złe czy dobre są, nie moja rzecz sądzić, ale chwałą się zbarażanie bernardynem zabitym przy mszy świętej, to i my naszego księdza Lisieckiego mamy, który poległ na placu boju, a mamy też wielu chorążych i rotmistrzów, którzy stali pocziwie i żywotem zapłacili dług ojczyźnie.

Posmutniał wszelako Strzębosz po kilku dniach, poczuwszy, że w Warszawie ani kanclerz, ani król nie znajdą takiego przyjęcia, jakie sobie obiecywali. Na Ossolińskiego, który i bez tego nieprzyjaciół sobie siła zrobił dumą i szorstkością, wszyscy bili, że Tatarom haracz, a Kozakom wszystko dał, czego chcieli, tak że zamiast kary za rebelię, byli jeszcze za nią wynagrodzeni.

Spraktykowawszy, mówiono po Warszawie, że bunt się tak dobrze opłaca, czemu by jaśnie panowie Zaporozcy znowu sobie pozwolić nie mogli?

Inni gardło już za to dawali, że Chmielnicki, wcale sobie przysięgi nie ważąc, cokolwiek się nabrawszy, znowu tę samą grę rozpocznie. Chodziła i ta gadka po bruku, że Chmiel głosił, jakoby nieboszczyk król Władysław IV sam go na panów i szlachtę animował. Mazury już odzywały się z tym, iż indagować należało, kto był rebelii kozackiej przyczyną.

Nim tedy król ze Lwowa tu nadciągnął, tryumfy zborowskie bardzo jakoś pobladyły, wyrażano się o nich z przekąsem i o przyjmowaniu uroczystym zwycięzców mowy być nie mogło. Królowa źle ukrywała boleść, jaką jej to sprawiało, ale inaczej o całej wyprawie i jej skutkach nie mówiła, tylko wynosząc ją i sławiąc męstwo króla, rycerskiego ducha jego, a rozum i zręczność kanclerza.

Strzębosz już ubezpieczony, że spoczywać może, wczasu sobie używał z pozostałymi na zamku dworzanami, gdy dnia jednego nagle zawołano go do królowej. Tu w przedpokoju mu już paż Francuzik szepnął, że listy dostanie do "króla.

— Ale Najjaśniejszy Pan już w drodze do Warszawy być musi! — odparł Dyzma.

Nie było na to odpowiedzi.

Królowa wyszła sama z pismami w rękę i ulubioną swą śliczną wychowanką, panną d'Arquien do Strzębosza.

— Jedź natychmiast — rzekła mu. — Być może, iż króla na drodze gdzieś spotkasz. O to mi chodzi tylko, aby listy przed swoim przybyciem do Warszawy otrzymał.

Tak niespodziewanie wcale Dyzma znowu na koń musiał i w drogę. Przed tym jednak

własnego nie zapominając interesu, do Dominikanów rano pobiegł, aby tam lub powracającą pożegnać Biankę, która starą ochmistrzynię miała za sobą, a ta Dyzmie rozmawiać z nią nie przeszkodziła, udając tylko, że nie patrzy i nie widzi. Wprost od Dominikanów dosiadł konia Strzębosz i puścił się w drogę, na której króla się spotkać spodziewał. Jakoż drugiego dnia jeśli nie na Jana Kazimierza, który dosyć powoli, po drodze przyjmowany przez senatorów, ugaszczających go, jechał do stolicy, trafiał na stanowniczych, a ci zapewnili, iż król tegoż wieczora do wsi miał przybyć na nocleg. Radzono mu tu czekać na niego.

Wieś ta, Złotą Wolą zwana, nie miała pańskiego dworu, bo tu dziedzic nie rezydował nigdy, ale probostwo było dostatnie. Plebania przy kościele murowana, a że Jan Kazimierz pobożnym był, najchętniej też zawsze po klasztorach i plebaniach stawał. I tu mu przyjęcie u księdza dziekana gotowano. Pozostał Dyzma na Woli, poszedłszy za radą stanowniczego, a był już wieczór i dziekan się około kościółka krzątał, aby w nim dla króla klęcznik i poduszki przysposobić, gdy Strzębosz idąc za nim w progu spostrzegł siedzącego starca, którego sobie przypomniał, iż raz już w podróży z Krakowa do Warszawy królowi się nastroczył i w bardzo zły humor go wprowadził. Zdawało mu się więc na dobie postarać się o to, aby ów zuchwały pątnik Bojanowski znowu króla swoimi

proroctwy i groźbami nie męczył. Naprzód się więc z tym udał do dziekana, ale ksiądz, który z dawna bogobojnego staruszka znał, wprost pośrednictwa odmówił.

— Jakimże ja prawem mogę zabronić pobożnemu pielgrzymowi — rzekł do Strzębosza —

pozostać tu i bodaj się Najjaśniejszemu Panu stawić, jeżeli go Bóg natchnął ku temu? Mąż jest znany w całej Rzeczypospolitej jako świątobliwy; nie mam mocy nad nim.

Dyzma, nic tu nie wskórawszy, sam poszedł do Bojanowskiego i pozdrowił go po

chrześcijańsku. Starzec, który się modlił, nie odpowiedział mu nic, aż modlitwy dokończył.

— Z orszaku królewskiego jesteście? — zapytał potem.

— Czekam tu na Najjaśniejszego Pana — odparł Dyzma — a wy?

— Ja? — odezwał się stary. — Ja? Na nikogo nie czekam, ale też nie uciekam od nikogo.

— Króla ino nie widać? — rzekł Dyzma oglądając się. Nie otrzymał odpowiedzi.

— Mnie się zdaje — dodał Strzębosz — że ja was raz już widział, gdyśmy z królem z

Krakowa powracali. Mówił z wami Najjaśniejszy Pan, no i bardzo potem długo był nachmurzony i smutny.

I na to Bojanowski nie odpowiedział nic.

— Myślicie znowu może z królem się tu spotkać? — zapytał Strzębosz.

— Nie wiem, co Bóg zdarzy — powoli począł starzec — nie szukam go, ale uciekać przed majestatem nie myślę. Zdarzy Bóg, że król nadjedzie...

. Poruszył ramionami.

— Nasz pan powraca zwycięzcą — dodał Dyzma — nie zaniebajcie go pozdrowić tym.

Milczał Bojanowski.

Spróbował na próżno raz i drugi coś ze starego pątnika wyciągnąć, Strzębosz w końcu, onieśmielony jego pogardliwym niemal milczeniem, precz odejść musiał.

Wtem od wsi na gościńcu zaczęto się poruszać i orszak Jana Kazimierza *zbliżył* się ku probostwu. Dziekan w komży i stule, ze święconą wodą i kropidłem, z relikwiarzem w ręku czekał

na niego w progu. Król wysiadł dosyć wesół i po krótkim przemówieniu, ucałował relikwiarz, wszedł na probostwo, ale zobaczywszy u drzwi stojącego Dyzmę, natychmiast zawołał go do siebie i listy królowej chciwie pochwycił. Nie rozpytywał o nic Strzębosza, tylko o zdrowie królowej.

Zapewnił Dyzma, iż ją widział w najlepszym. Niedługo potem według zwyczaju swego

pobożny król, wyjrawszy oknem i postrzegłszy kościół blisko natychmiast objawił chęć

pomodlenia się przed obrazem Najświętszej Panny. Prowadził go więc dziekan. Bojanowski

siedział na miejscu swoim. Zobaczywszy go i poznawszy, Jan Kazimierz trochę zwolnił kroku.

— Szczególna rzecz — odezwał się do plebana — raz drugi w życiu tego starca spotykam.

— Człek świątobliwy, pokutnik od lat wielu — dodał dziekan. — Dziś tu przybył z rana,

leżał krzyżem przez całą mszę świętą i suplikacje

Szedł dalej król, a Bojanowski, który różaniec odmawiał i w rękach wychudłych paciorki

drewniane przebierał, nie podniósł oczów, zdawał się wcale nie widzieć nadchodzących ani ich też zaczepił. Przeszli tak mimo niego, nie powstał, odetchnął swobodniej król i w kościółku przed Najświętszym Sakramentem ukląkłszy, do bocznego ołtarza Najświętszej Panny podążył. Tu go na modlitwie dziekan musiał pozostawić, bo tego żądał, a sam udał się na probostwo, aby zająć się przyjęciem. Strzębosz w kruchcie też kląkł się pomodlić. Dobre pół godziny trwało to króla nabożeństwo, po czym pokornie ziemię ucałowawszy, wyszedł. Na progu siedział jeszcze

Bojanowski, ale paciorki mu już z rąk wypadły i głowę miał podniesioną. Wahać się zdawał król, czy go zagadnie lub przejdzie milczący, ale zdało mu się lepszym pozdrowić starego pątnika.

— Jeżeli się nie mylę — odezwał się łagodnie — drugi to raz już się spotykamy, ojcze.

— Drugi? — odparł Bojanowski. — O nie, jam was już wielekroć razy w życiu moim długim spotykał i widziałem wyrostkiem, a oto mężem ukoronowanym.

— Podziękujcie Bogu — rzekł król. — Łaska Jego i przyczyna Matki Najświętszej dały mi nad nieprzyjacioły zwycięstwo.

Bojanowski oczy w niego wlepił i patrzył długo.

— Za wszystko, co Bóg dał — rzekł — dziękować mu potrzeba, ale zbytnio się Wiktoria chłubić i zwycięstwem cieszyć słudze bożemu nie przystało. Zwycięzcą się głosicie? Bóg daj! Lecz i siebie też a w sobie grzesznika zwyciężyć musicie i pokornym być.

— Bogu też przypisuję wszystko — odparł król głosem zniżonym.

— Z pobjowisk nową wojną wieje — począł, jakby sam do siebie starzec. — Chmary stoją na kresach. Pogan nie pobiliście, aleście ich kupili. Nieprzyjaciół Krzyża Świętego sojusznikami swymi uczyniwszy, cieszycie się. Bodaj radość wasza w narzekanie się nie zmieniła!

— Bóg łaskaw — zamruczał Jan Kazimierz zmieszany.

— I mściwym też jest dla tych, co w grzechach trwają — mówił dalej Bojanowski. —

Korzcie się i kruszcie, a poprawcie. Przed wami jeszcze wiele znoju i boleści, aż w końcu koronę zrzucicie, Bogu nie dotrzymawszy wiary, narodowi też jej nie dochowacie. Bóg z tobą ! Bóg z tobą!

I jakby chciał już pożegnać króla, ręką w powietrzu znak uczynił, ale ostatnie słowa

przykuły Jana Kazimierza do progu. Przypomniawszy sobie prorocstwo Józefa z Kopertynu i strach go ogarnął.

— Módlcie się na intencją moje — dodał głosem słabym — módlcie się.

— Modlitwa wielką siłę ma — począł starzec — ale uczynki większą jeszcze. Żadna ich

modlitwa nie zastąpi, królu mój. Płaczecie przed obrazami, a one nad wami płaczą, bo godziny żywota twojego nierówne są i mienia ją się białe a czarne, czyste i powalane, a królestwo kapłaństwem jest i na świeczniku stoi pan, plamy z niego na naród padają. Bóg z tobą, Bóg z tobą.

Jan Kazimierz powiódł dokoła oczyma, jakby szukał, czy kto nie słyszał Bojanowskiego,

lecz bliżej nie było nikogo, a i Strzębosz przestraszony uciekł. Król, postawszy chwilę, niepewnym krokiem, milczący, nie rzekłszy już słowa, udał się ku plebanii. Dziekan, który z progu jej patrzył na powracającego, dostrzegł, jak chwiejącymi i nieśmiałymi krokami szedł zadumany z głową spuszczoną.

Starzec nie spojrzął na odchodzącego, przeżegnał się spokojnie i zaczął modlić się znowu.

W kościółku dzwon odezwał się na pacierze wieczorne. Bojanowski kląkł w progu, ręce podniósł do góry, głowę ku niebu i głosem, w którym jęk i łkanie słychać było, gorąco się modlił.

Jan Kazimierz znikł wszedłszy na probostwo, a Strzębosz, który z dala coś pochwycił, z trwogą spoglądając na starca, oddalił się niemal gniewny na niego.

Rozdział III

Cicho, bez tryumfów i rozgłosu powrócił król do Warszawy, przyjęty przez królową tak jakby istotnie przybywał zwycięzcą.

Maria Ludwika знаła doskonale stan sprawy i wartość zawartych układów, ale podnosząc

zasługi męża sądziła, że w nim rozbudzi i utrzyma rycerskiego ducha. Tę powolność i serdeczność Marii Ludwiki Jan Kazimierz, już znużony wielce, opłacił tylko zbliżeniem się do niej czulszym niż przed tym. Była to jakaś jesień na miłość, nietrwała jak owe babie lata słoneczne, ale królowej miła i potrzebna. Ona korzystała z tego rozczulenia, aby moc swą i władzę nad mężem utwierdzić, a wielkich na to wysiłków nie potrzebowała, gdyż król rad się trosk i ciężarów rządzenia pozbywał

składając je na nią i na Ossolińskiego, a zabawiając się po dziecinnemu swoimi karłami, słuchaniem plotek dworskich, myśliwstwem trochę i towarzystwem pań pięknych, w których z kolei na krótko wdzięk jakiś upatrywał. Ile razy miał Butlera przy sobie, a nawet młodszego ulubieńca, pokojowca swego Tyzenhauza, spowiadał się potem przed nimi z tych wrażeń.

— Wiesz, starosto — mówił po powrocie do Butlera — po tej ekspedycji, zażywszy

niewczasów i samotności bez niewiast, teraz mi i jedzenie lepiej smakuje, i wszystkie kobiety piękniejszymi się wydają. Królowa odmłodziła, a co się tyczy marszałkowej, prawdziwy cud,

świeża, śliczna, i nie dziwię się, iż powiadają, jakoby ten nieznośny starosta łomżyński w niej się kochał.

— Starosta łomżyński? — podchwycił Butler. — Alboż to on jeden? Jest ich z gorącymi afektami wielu i liczą pono na to, że marszałek bodaj nie długowieczny.

— Ale prawda — mówił król — znalazłem go bardzo postarzałym i jakby chorym, choć się do tego nie przyznaje. Od śmierci Władysława nie widziałem uśmiechu na jego twarzy, a sam, słyszę, powiada i prorokuje, że wkrótce pójdzie za nim.

— No, tak źle jeszcze z nim nie jest — odezwał się starosta.

— Nazywają to doktorowie fizjognomią hipokratyczną — rzekł król — co ja z jego twarzy widzę. Źle się ma. Sądzicie, że starosta łomżyński? Ja znieść go nie mogę.

— Ja też go nie Kocham — rzekł Butler — i nic o nim nie wiem oprócz tego, że napastliwy jest, uparty, dosyć zręczny a bezwstydnym. Tacy ludzie jak on wiele mogą u kobiet.

— Zaś! — przerwał Jan Kazimierz. — O marszałkowej mam zbyt wysokie wyobrażenie, aby się podżytemu wdowcowi dała usidlić. Uchowaj Boże, w razie Kazanowskiego śmierci pójdzie za mąż niechybnie, bo dzieci nie mają, młodą jest, a podoba się łącno, ale niech ją Bóg broni od łomżyńskiego starosty!

— Niebezpieczny człek! — dokończył Butler.

Starosta łomżyński, o którym była mowa, Hieronim Radziejowski jako dworzanin

Władysława IV dobrze był znanym w Warszawie. Mazowieckiej szlachty, nieznacznego rodu, ojca dopiero miał na krześle w senacie, za Zygmunta III urosłego tym głównie, iż wielce gościnnym był

i faworytom pańskim przypodobać się umiał, Ucztowaniu z nimi i podarkom zawdzięczał to

wojewoda łęczycki, że się na krzesło dostał, a syna mógł przy królewiczu umieścić. Młody Hieronim w czasie gdy jeszcze przy Władysławie i dworze się czepiał, dał się poznać już z tego, że posłem wybrany, gdy go jako uwodziciela dziewczyny zacnego domu precz z izby wyrzucić

chciano, utrzymał się w niej zuchwalstwem i łaską królewską. Mianowano go później krajczym królowej i Marii Ludwice przypochebiając się i donosząc po kryjomu, co gdzie pochwycił, umiał

się przypodobać, chociaż nigdy ona dla niego szacunku nie miała. Ci, co go bliżej znali, nieszczególnie się o nim wyrażali. Intrygant zuchwały a bezwstydnym, zarozumiały i dumny, w wyborze środków, którymi się dla krescytywy posługiwał, wcale niewybredny, nie miał przyjaciół, ale sobie jedną, kogo potrzebował, kaletą i kubkiem. Pocziwych też ludzi nie miał za sobą ani się

do nich garnął. Z tym wszystkim, gdy mu było potrzeba, z kobietami szczególnie umiał starosta łomżyński tak się obchodzić, że go za niebezpiecznego miano. Dwa razy się żeniąc, polował zresztą tylko na posagi, a na resztę nie zważał. Z siebie niemający, bo ojczyste Radziejowice na życie wystawne i szumne nie starczyły, wyrobił już sobie starostwo łomżyńskie, po żonach wziął dobra znaczne i prorokowano mu krescytywę pewną, bo się wciskał, narzucał i zabiegał niezmordowanie.

Około króla Kazimierza zawczasu się starał zyskać sobie przyjaciół, co mu się dotąd nie wiodło. Po powrocie do Warszawy przybył i Radziejowski z powinszowaniem, lecz król przyjął go zimno, choć dla przypodobania mu się towarzyszył w pierwszych dniach października podróży obojga państwu do Częstochowej, a potem i na łowy. Jan Kazimierz rad by się go był pozbył, lecz z natrętem, którego zimne obchodzenie się nie zrażało, nie umiał sobie poradzić.

W miesiącu listopadzie był sejm zwołany, który nie tak się zapowiadał, jakby go sobie

życzono. Od Zbaraża głosy głużyły już i zaćmiewały sławę i blask zborowskich traktatów. Na Ossolińskiego mnożyły się paszkwile, co się na sejmie też nieprzyjemnie odezwać obiecywało.

Zapobieżono temu, wnosząc takie materie mniejszej wagi, które rozmaitych ziem interesa

żywo obchodziły: koekwacje, rachunki, rozdawnictwa urzędów, zapłata wojsk na przemiany

posiedzenia wypełniły, tak że w początku nic drażliwego nie wyszło na stół. Sejm przy tym, jak wszystkie ówczesne, był zarazem dla senatorów i posłów Rzeczypospolitej doskonałym zabawianiem się i wzajemnego ugaszczania pretekstem. Dnia jednego przypadały imieniny, drugiego

celebrowano godność nową, żenili się krewni, godzili nieprzyjaciele, wszystko wywoływało bankiety i ucztowania. Bardzo często król i królowa zapraszani bywali i zaszczycaли swą przytomnością nawet sług ulubionych wesela, chociaż Maria Ludwika czasem nie tylko że sama nie szła, ale i królowi iść zabraniała, bo się w wesołej gromadzie często zapominał zbyt znacznie. Więc gdy sejm najmniej pracował, bywał najmocniej zajęty. Po uczcie nazajutrz brakło na posiedzeniach tych, co wypoczywali, inni nie przychodzili, gotując się wyprawić bankiet, a że wkrótce po rozpoczęciu sejm adwent się rozpoczął, nabożeństwo więc także nie miało czasu zabierać.

Odpoczywano, rozumie się, w każde święto i niedzielę. Kanclerz i inni większego wpływu

dygnitarze mieli też w sejmie swoich w obu izbach posłusznych adherentów, którzy nieprzyjemne przedmioty odwracać, a pożądane wyciągać na stół pomagali bardzo zręcznie. W ogóle czas upływał dosyć wesoło.

Królowa z dala miała wszystko na oku. Sejm już był drugi miesiąc czynnym, chociaż dotąd owocu pracy jego trudno się było dopatrzeć, gdy przybycie ostentacyjne nieco wojewody ruskiego, bohatera, któremu wszyscy zazdrościli i z tego powodu nieprzyjaznymi się okazywali, poruszyło stolicę. Bohater ze Zbaraża przybywał, jak przystało na wodza, z pocztem wielkim i pięknym doborowej konnicy i jak przystało na wielkiego pana z dynastów litewskich ród wiodącego, okazale i świetnie. Wiedział on bardzo dobrze, jakie tu znajdzie dla siebie usposobienie, ale niezłomnego charakteru mąż nie przywiązywał do tego wagi. Dawszy tyle dowodów patriotyzmu i poświęcenia, na ostatek

skłoniwszy się do przedjednania z księciem Dominikiem Zasławskim, Wiśniowiecki czuł

się tak czystym, a tak od wszelkiego zarzutu wolnym, iż śmiało mógł drobnych swych wrogów lekceważyć. Tak też czynił, ale dla senatorów, dla króla samego ta postać surowa, nieugięta, zimna pozornie, której nic zadać nie było podobna, niewygodną i niepożądaną wcale się stała. Sam król widział w tym bohaterze współzawodnika, który go zaćmiewał, gdyż Zborowa bądź co bądź do Zbaraża nikt nie porównywał, a Wiśniowiecki za wszystko, co wycierpiał, za olbrzymie straty poniesione, tak lichy był wynagrodzony, iż niechęć dworu i pana cała się w tym zdradziła, a teraz temu pokrzywdzonemu przez króla a wysoko bardzo cenionemu przez naród mężowi potrzeba było spojrzeć w oczy.

Król, który dotąd w wyśmienitym humorze był i zabawiał się u ojców Societas Jesu,

protektorem ich kongregacji dając się wybierać, razem z księciem Albrechtem Radziwiłłem, który został jej sekretarzem, po przybyciu wojewody ruskiego zasępił się.

A tu i ów stary przyjaciel, kanclerz Radziwiłł, z Janem Kazimierzem się posprzeczał. Szło o rzecz niewielkiej wagi, ale Radziwiłł miał słuszość, a gdy się czuł w prawie, stawał się upartym.

Podobało się królowi dekret w sprawie wojewody wileńskiego podpisać i przypieczętować.

Wojewodą wileńskim był naówczas Krzysztof Chodkiewicz, bo ten sam Radziwiłł ofiarowanego mu województwa nie przyjął. Pomiędzy dwiema rodzinami była waśń zadawniona, przygojona, ale nie ugaszona zupełnie, musiał więc książę kanclerz dekret dobrze rozbierać, aby w nim makuły najmniejszej nie było.

— Najjaśniejszy Panie — odezwał się kanclerz po odczytaniu dekretu — ja go podpisać nie mogę.

— Dlaczego? — porywczo podchwycił król, który na Radziwiłła powolność i przywiązanie do siebie rachował.

— Bo go pisał człowiek prawa litewskiego nieświadomy i są w nim punkta ingrosowane, których ono nie dopuszcza.

Zaczęto się sprzeczać. Jan Kazimierz, który prawa szanować tak dalece nie umiał, zmusić chciał kanclerza do podpisu.

Staremu przymus był nieznośnym. Na koniec król zawołał:

— Nie chcesz podpisać? No, to ja sam go podpiszę. Radziwiłł się uśmiechnął,

— Najjaśniejszy Panie, a któż pieczęć przyciśnie? — zapytał Nadąsany odchodząc, zamruczał król:

— Prawo litewskie! Przecież ja je tak znam, jak i wy.

— Przebaczysz mi Wasza Królewska Mość — rzekł kanclerz zimno — na to się nie godzę.

Wasza Królewska Mość panujesz nam miłościwie od roku, a ja przez trzydzieści dwa lata z prawem mam do czynienia.

Mocno rozjątrzony tą odpowiedzią, ani słowa już nie mówiąc, Jan Kazimierz wyszedł

stukając drzwiami i spotkawszy Butlera skarżyć się począł przed nim na kanclerza, ale starosta nie wtórował mu. Do następnego poranku zmieniło się wszystko. Król ochłódł, dekret kazał przepisać i dawna dobra komitywa z Radziwiłłem powróciła, bo bez Jewłaszewskich łąco się król mógł

obejść, lecz bez Radziwiłłów nie sposób. Ale powaga majestatu na tych pokuszeniach nie zyskiwała.

Tymczasem nalegano z jednej strony, zwlekano z drugiej nieuniknione zdanie sprawy przed sejmem z wyprawy i traktatów zborowskich. Gotowało się na to wielu. Radzono o tym u królowej, u króla, u kanclerza Ossolińskiego, u panów senatorów dworowi sprzyjających i w końcu za wiedzą Marii Ludwiki, bo bez niej się tu nic teraz nie mogło dokonać, kanclerz się przygotował ze swego dzieła zdać rachunek. Dwojaką miał do wyboru drogę Ossoliński *i* albo skromnie bardzo wytłumaczyć się z tego, co Uczynił, koniecznością i składem okoliczności lub nadzwyczaj wysoko podnieść wiktoria zborowską i własny traktat, a że ogólne usposobienie paskwiluszami się zdradzało, kanclerz więc wbrew niemu postanowił niesłuchanie wysoko wynieść ową bitwę i transakcją zborowską. Zmniejszył umyślnie środki, jakimi król rozporządzał, aby to, co nimi wykonał, urosło. Pierwszego dnia, w sobotę, słuchano w sejmie niedokończonej relacji w milczeniu posepnym, nikt nie podniósł głosu. Niedziela przerwała i rozcięła na wpół sprawozdanie

Ossolińskiego, który w poniedziałek ciągnął je dalej i ośmielony milczeniem wyniósł zwycięstwo nad Tatarami pod Zborowem wyżej chocimskiego!

Milczeniem i to przyjęto, ale wejrzenia biegały po sali szyderskie. Wstał tedy prymas

królowi za ocalenie ojczyzny dziękować dziękowano wodzom, chciano i Kisielowi dziękować, który z narażeniem gardła do Chmielą posłował, ale tumult powstał. Zaprotestowano. Skończyło się jednak cicho i pięknie, bo dzięki w ogóle składano wszystkim, a marszałek sejmowy w języku ówczesnym, przesiąkłym łaciną, wojowników, ojczyzny obrońców nazwał „delicjami narodu”.

Prawdziwy tryumf odniósł hetman litewski Radziwiłł, który się do niego przygotował, bo zdobyte chorągwie kazał przynieść za sobą i te pod nogi królowi rzucił.

Rozprawiano potem o potwierdzeniu traktatów, król nieustannie był czynny, ale po

swojemu. Przybywał roztargniony, słuchał, gotową już podyktowaną przyniósłszy odpowiedź, zbywał się co najrychlej spraw poważnych, a zabawiał drobnostkami. Do trosk przybyła mu teraz jedna

jeszcze.

Zajmowała go zawsze wielce piękna marszałkowa Kazanowska, musiał więc i jej losem się

niepokoić. Od kilku tygodni Adam Kazanowski leżał w łóżku paraliżem ruszony, niewyraźnie ledwie bełkocząc, na śmierć nieuchronną skazany. Bezdzienny. Dotąd nie uczynił testamentu, a teraz go już z trudnością mógł uczynić. Dawniej za żywota całe swe mienie przeznaczał żonie, ale rodzina czyhała na zgon i byłaby zabrała ogromną, fortunę, gdyby król nie przyszedł w pomoc.

Kazanowski miał się z każdym dniem gorzej. Być wygnaną z tego rajy, jakim był wspaniały pałac marszałkowstwa, odartą z dóbr lub zostać na łasce rodziny, nie chciała marszałkowa. Dała znać królowi, iż widzieć by go pragnęła. Chociaż łaski, w jakich u Jana Kazimierza była piękna Kazanowska, Marią Ludwikę dla niej źle usposabiały, król jednak nie wahał się na żądanie jejmości stawić się rano w pałacu. Wyszła do niego z dziękczynieniem zapłakana pani.

— A, Najjaśniejszy Panie! — zawołała. — Nie śmiałabym była do łaski jego się uciekać;

ale los mój, cała przyszłość w rękach Waszej Królewskiej Mości. Adam, mąż mój leży na

śmiertelnej pościeli, ocalenia go nie ma nadziei; biedna wdowa pozostaję otoczoną nieprzyjaciółmi.

Testamentu nie miał czasu, nie ma dziś możliwości uczynić.

Załamano ręce i rozplakała się piękna pani. Król mocno się poruszył.

— Zawezwę do rady prawników — rzekł — da się coś zapewne uczynić, bądź pani

spokojną. Sam słyszałem z ust marszałka, iż chciał jej po sobie całą pozostawić spuściznę.

Kazanowska ze łzami niewiele już mówić mogła, tłumaczyła się, że nie chciwość nią

powoduje, ale mieszkanie to było dla niej pełnym pamiątek, a rodzina natychmiast ją z pałacu i z dóbr wygnać się już odgrażała. Szło jej o dowód miłości męża itp.

Wprost od marszałkowej król na zamek powróciwszy, nie wiedząc jak sobie radzić, jak

zwykle gdy potrzebował wytrawnego pomocnika, posłał po Radziwiłła. Ze starym tym

przyjacielem ciągle prawie to się waśnili i sprzeczali, gdy królowi ulec nie chciał, to go sobie król ujmował, bo wielką w nim czuł podporę. Książę kanclerz, znający z dawna humor i temperament pana, śmiało sobie z nim poczynał. Tym razem przyjął go Jan Kazimierz serdecznie i zamknął się z nim na radę. Radziwiłł był tego zdania, iż dwu poważnych mężów świadectwo, urzędownie

spisane, testament zastąpić mogło. Tegoż dnia uproszeni wojewoda i kasztelan w imieniu króla udali się do marszałka, który całą przytomność zachował jeszcze, chociaż życie uchodziło i z trudnością mógł mówić.

Przyjął ich Kazanowski, dziękując Najjaśniejszemu Panu za troskliwość o los żony i na zapytanie, jakby chciał spadkiem po sobie rozporządzić, oświadczył, że wszystko bez najmniejszego wyjątku przekazywał żonie. Wojewoda czernihowski oświadczył mu, że dla waloru ta wola ostatnia musiała być natychmiast spisana, opieczętowaną i przez nich poświadczoną, co też dopełnionym zostało. Kazanowski rzekł jeszcze głosem niewyraźnym, iż teraz umiera spokojny. W ten sposób królowi Janowi Kazimierzowi zawdzięczała pani marszałkowa, iż się przy ogromnej fortunie męża utrzymała, a rodzina ostatniej woli, tak uroczyście objawionej, sprzeciwić się nie mogła.

Znaczniejsza część senatorów i wielu posłów byli na wielkiej uczcie u prymasa Łubieńskiego w sam dzień Bożego Narodzenia, gdy na wety smutną dworzanin arcybiskupa przyniósł wiadomość, że Adam Kazanowski rozstał się z tym światem. Każdy taki zgon znacniejszego urzędnika w państwie wszystkich poruszał. Otwierał się wakans, a za jednym szły całym szeregiem opróżnione krzesła. Do króla mało kto nawet się zwracał w takim wypadku, bo bez Marii Ludwiki nie dawał on nic i niczym nie rozporządzał, a jeżeli się pozwolił namówić i zaskoczyć, pokutował tak potem za swą samowolę, iż się potem wyrzekał tych zachcianek na długo.

Zawakowało marszałkowstwo koronne, pozostawała piękna, młoda, bogata wdowa, było więc o czym rozprawiać czasu godów. Przez trzy dni świąt król i dwór cały prawie całe dni spędzał na nabożeństwie w kościele, ale to nie przeszkadzało bieganiu za wakansami i antykamery księdza de Fleury, pani Des Noyers, nawet panny Langeron, petentów i ich przyjaciół były pełne. Szeptano, obiecywano. Nie dosyć tego. Pod koniec sejmu między kanclerzem Ossolińskim a Wiśniowieckim wszczęła się zwada, która z nieopatrznych słów Ossolińskiego urosła. Począł się w senacie uskarżać na paszkwile sławę jego szarpiące, na potwarze, jakie na niego rzucano, na przycinki, które cierpiał, a tak się rozgorączkował mówiąc, iż nie tylko stronnictwo wojewody ruskiego Wiśniowieckiego, ale niemal jego samego dotknął, wskazując jako sprawcę.

Nazajutrz wystąpił przeciwko temu Wiśniowiecki, przyszło do przemówek ostrych, do kłótni w izbie i hałasu, który król na próżno starał się hamować. Ossoliński się unosił do zbytku i Jana Kazimierza sobie naraził. Dopiero następnego dnia za wdaniem się niektórych posłów zahamowano dalsze wyrzuty i prywatne skargi, co tyle czasu zabrało, że już sejmu z grudniem zamknąć nie było można i odłożono konkluzją na rok przyszły. Ossoliński krwi sobie napsuł, a poważnego wojewodę ruskiego, który się chłodno bronił i spokojnie tłumaczył, podniosła ta zwada w oczach wszystkich, chociaż stał i tak wysoko. Rozdrażnienie kanclerza słusznie niedobrej jego sprawie przypisywano, dla poprawienia której usiłował drugim coś odebrać, a sobie dodać, co mu brakło.

Nadszedł Nowy Rok, nabożeństwa, a co daleko ważniejsze, wakanse, o które się starano,

aby je król zaraz porozdawał. Mówiono po cichu, że królowej sto tysięcy ofiarowano za

marszałkowstwo po Kazanowskim, ale tu Radziwiłłowie stali i Lubomirscy na straży. Brat więc żony księcia Albrechta, Jerzy Lubomirski, starosta generalny krakowski wakans ten otrzymał.

Formalne rozpoczęły się targi i nie bardzo się z nimi tajono. Jan Kazimierz na pozór przynajmniej do nich się nie mieszał. Dawano poręczawiczne królowej jejmości, które czasem setki tysięcy wynosiło.

Zaraz po Nowym Roku Albrechta Radziwiłła wezwwała królowa do siebie. Chciała mu dać starostwo borysowskie, bo jej w zamian

Tuchola była potrzebna, ale kanclerz podziękował. Tegoż dnia biednemu, umęczonemu a

zasłużonemu Kisielowi dano Nowy Targ, a synowcowi Radziwiłła Maria Ludwika ofiarowała

starostwo owo borysowskie, którym stryj pogardził, i dodatku trzydzieści tysięcy podarku, ażeby się jej „postarał o to, by Rzeczpospolita naznaczyła rocznej intraty czterdzieści tysięcy z Korony a dwadzieścia z Litwy. Jak się to nam dziś wydaje, że naówczas można wielce pan, wysoki dygnitarz, wielkiego imienia mąż z królową jejmością mógł tak frymarczyć? Czasy były, niestety, takiego moralnego upadku, takiego można powiedzieć bezwstydu, iż to nikogo nie raziło. Rwał każdy Rzeczpospolitą biedną, która wojska nie miała czym opłacić, bez litości i sumienia. Ten sam kanclerz Radziwiłł, surowej moralności mąż, który w kozackich buntach widział sprawiedliwą karę bożą za ucisk chłopów, w tych szachrajstwach nie czuł nic zdrożnego i najtroskliwiej je na kartach swoich pamiętników zapisał.

A, smutne to są dzieje! Pióro nieraz wstrzymuje się i wzdryga, gdy do ich rozbioru i sądu przychodzi. Sejm kończył się pośpiesznie, czasu zmarnowanego nie stawało na najważniejsze sprawy. Dzień jeden ukradło wesele panny Langeron, faworyty i sługi królowej, wydanej przez nią za kasztelana plockiego, z której zmarszczków się naśmiewano, drugi zajęły przenosiny, a tymczasem posłowie kozaccy ze swym metropolitą mieli czas nową nienawiścią się napić i przypatrzeć się temu społeczeństwu, które wcale zagrożonym się nie czuło i znowu hardo podnosiło głowę.

Na samą wzmiankę o tym, ażeby metropolitę do senatu przyjąć miano, krzyk powstał

okrutny i paktów zborowskich znać już nie chciano, a tak to sobie mało wazono, iż tymczasem na weselu panny Langeron pół sejmu piło i skakało. Nie było tam, niestety, Bojanowskdego, a gdyby się ten był znalazł, pewnie by go za drzwi wypchnięto. Tak ciągle przeciągany z dnia na dzień sejm aż do końca stycznia się przewlókł, wszystkich znużywszy. Jak groźne *memento* przyszli na zamknięcie jego Kozacy ze swym metropolitą i żądania ich po długich targach zaspokoić było potrzeba.

Ogólny obraz tych obrad w chwili niesłychanej wagi boleścią napełnia. Ślepotą zdaje się ogarniać wszystkich, nikt nie widzi, nikt nie przeczuwa, nie rachuje. Wszystkie sprawy wykolejone chwilowo pogromem, które by na nowe, lepsze tory wejść mogły, wpadają na stare drogi wyboiste i, znowu

włoką się nimi. Z kozactwem jakby wszystko było skończone.

W całej potędze swej czasu tego sejmku ukazuje się królowa. Wszyscy wiedzą i mówią, że

ona kieruje królem jak „Murzynek słoniem”. Jan Kazimierz bawi się, nudzi, niecierpliwi, gniewa, ale nigdy życia i panowania nie widzi jasno ani bierze do serca. Najważniejszą sprawą w senacie mniej go obchodzi niż jego karły, małpy, papuga i skandaliczne plotki dworskie, którymi karmić się lubi. Do tego ma kilku pokojowców, co mu wszystkie zamkowe śmiecie po kątach zebrane

przynoszą. Z tych słabości korzystają wszyscy, począwszy od niegdyś zasłużonej Bertoni, aż do najmniejszego pokojowca. Przy ludziach wszyscy się przed majestatem korzą, ale dwór pański, gdy sam na sam z nim jest, obchodzi się z poufałością rażącą. Rozpasanie ledwie starsi wstrzymać mogą, a król swym postępowaniem je utrwała. Wesele panny Langéron dla Bertoni szczególnie było powodem, iż zatęskniła za dawno nie nawiedzonym swym protektorem. Wiedziała o sejmku, bo pełnym go było miasto, nie cisnęła się na zamek, zdało się jej wszakże na Nowy Rok

obowiązkiem siebie i córkę przypomnieć. Ale jak się tu dostać do króla? Strzębosz, gdyby się tylko odezwała, byłby jej pewnie i chwilę znalazł i bocznymi drzwiami wprowadził, jednak za nic w świecie uciec się do niego nie chciała. Trafiło się starej, że koszyk pomarańcz, bardzo pięknych na Starym Mieście kupić mogła niedrogo. Przeznaczyła go na noworoczny podarek dla

Najjaśniejszego Pana. Lecz jak go tu oddać i zanieść? Między starszymi sługami na zamku miała wprowadzić znajomych, lecz że teraz urosła, nie że wszystkimi się bratać chciała.

— Cieszyłam się, gdy królem został,— mówiła sama do siebie Bertoni — myślałam, żerni

co z tego przyjdzie, a tu ani się do niego dobić. To tak pozostać nie może, nie!

Kręcąc się po kurytarzach zamkowych, trafiła na trochę jej z widzenia znanego pokojowca królewskiego, z niemieckim nazwiskiem, ale już w Polsce narodzonego i wychowanego, Richtera.

Zaczęła od tego, że mu ofiarowała jedną pomarańczę i uśmiech swój zawiędy.

— Chciałabym z gościńcem na chwileczkę się dostać do garderoby Najjaśniejszego Pana.

Hę, puście mnie?

— Nie — odparł Richter — ale króla zapytać mogę.

— Powiedz mu, że przyszła Bertoni! Rozumiesz, waćpan, niezawodnie wpuścić każe.

Richter poszedł i przepadł, nie powrócił, pomarańcze z nim. Włoszka gniewać się zaczęła już, bo w kurytarzu stać dumę jej obrażało, gdy ujrzała przed sobą Strzębosza. Chciała już precz iść aby się z nim nie kłócić, ale Dyzma ją zagadnął:

— Najjaśniejszy Pan polecił mi wprowadzić na chwilkę do garderoby — rzekł — proszę

waćpani za mną. Grzeczniejszy jestem niż jejmość we własnym domu. — To mówiąc otworzył drzwi.

W garderobie przed zwierciadłem w srebrnych ramach stał na wpół już ubrany, ale nie po polsku, bo strój ten rychło zarzucił, Jan Kazimierz. Włożył był właśnie perukę, a drugą na rękę trzymał do wyboru chłopak. Usłyszawszy szelest sukni kobiecych, odwrócił się.

Nie na rękę byli świadkowie Włoszce. Postawiła szybko koszyczek z pomarańczami przed królem i poczęła mu wieszować po włosku. Śmiejąc się król życzenia przyjmował. Bertoni skarżyła się, że do króla teraz przystęp był trudny dla niej, gdy ona też mogła się na coś przydać, ostrzec i posłużyć. Nie wytrzymała potem, aby nie wyrzucić niewdzięczności, zaniedbania, niepamięci na jej dziecko. Nawykła do bardzo swobodnego obchodzenia się, Bertoni coraz żywiej i głośniejszy wyrażać się zaczęła.

— Królowa jejmość, jak kogo lubi i proteguje, to mu się z tym dobrze dzieje — wołała, coraz bliżej następując na króla — a Waszej Królewskiej Mości nawet najwierniejsze sługi nic nie mają? Com się to ja spodziewała dla Bianki! Langeron poszła za kasztelana, królowa ją sama mu odwiozła! He?

Śmiał się król.

— Cóż ty chcesz, abym ja ci dla córki senatorów swatał i za družbę służył? Oszalałaś czy co! Mówisz, że do mnie przystępu nie ma, ale to teraz sejm, mam co innego na głowie. Pilno ci z czym. przez Strzębosza możesz nakazać do mnie.

Porwała się strasznie rozsierdzona Bertoni.

— Ten to nicpoń wszystkiego złego dla mnie przyczyną! — zawołała. — Ja go znać nie chcę, noga jego nie postanie u mnie.

Jeden z dworzan króla zbyt głośno krzyczącą Bertoni pociągnął za rękaw i przestrzegł:

„Ciszej!” Zmieszało ją to tak, że płakać zaczęła, co się rzadko trafiało, chyba do ostateczności była rozjątrzona.. Król spojrział na nią.

— E! — zawołał kwaśno. — Deszcz pada, burza ciągnie, trzeba uciekać. Słyszysz, Bertoni!

Czasu nie mam, czego ty chcesz ode mnie?

Włoszka wpadła w większe jeszcze rozdrażnienie.

— Jak to, czego ja chcę? — poczęła — Ale Wasza Królewska Mość przyrzekłeś mi opiekę

dla mnie i dziecka, wszyscy wiedzą, że do niej mam prawo, a i Bianka nie mniejsze. Cóż po tym, drzwi dla mnie zamknięte, król mnie nie chce.

Jan Kazimierz zwykle, gdy do podobnych scen przychodziło, salwował się ucieczką, więc

choćby był może perukę odmienił, pozostał z tą, którą miał na głowie, i skierował się ku drzwiom; lekka Włoszka mu od nich zaskoczyła.

— Najjaśniejszy Panie — zawołała — nie godzi się tak mnie pozbywać!

— Czegóż chcesz?

Właściwie Bertoni w kilku wyrazach życzeń swych wypowiedzieć nie mogła, a długich

wywodów król słuchać nie miał czasu. Przerywał jej kilka razy, dworzanie z tej napaści śmiać się zaczęli i parskać, to podbudziło do śmiechu króla, a Włoszkę do wściekłości. Zapomniała się zupełnie. Szczęściem tylko, że nie wszyscy rozumieli, co po włosku wywoływała.

— Taki z ciebie król malowany! Co jejmość każe, to robisz, co magnaci podyktują, co sobie piękne panie wyproszą! Jam też śmieszna, że na takiego rachowałam. Nikomu z ciebie nic. Głoszą twoje zwycięstwa, a świat się z nich śmieje, powiadają, żeś się z łyk Tatarom wykupił. Dobrze ci tak, dobrze ci tak!

Jan Kazimierz śmiać się przestał, ale się nastroszył i rozgniewał.

— Milcz — krzyknął do Włoszki — bo cię wyprowadzić każę! Masz co do mnie, a

Strzębosz ci nie do smaku, pisz petycję. Ja się z babami ujadać nie mam czasu.

To powiedziawszy szybko zawrócił i wyszedł, a Bertoni spośród szydzących i śmiejących

się z niej dworaków co prędzej uchodzić musiała. Tymczasem koszyczek pomarańcz przeznaczony dla króla padł ofiarą. Jeden z młodszych pokojowców pochwycił pierwszą, za nim drudzy po jednej i po dwie tak żywo zaczęli zabierać, że wkrótce ani jednej nie pozostało, a sam koszyk, aby ślad i pamięć zatrzeć, rzucono do kąta.

Strzębosz miał sobie za obowiązek nieszczęśliwą Bertoni prze=

klinającą króla wyprowadzić na kurytarz, ale jej już nie drażnił i nie odzywał się, aby nie doprowadzić do ostateczności. Towarzyszył tylko aż do wschodów i tu dopiero odezwał się kłaniając:

— Ja zawsze na usługi wasze jestem, gdyby co do króla jegomości było potrzeba, pamiętać o tym proszę, choć waćpani mnie znać nie chcesz, trwam w wiernej przyjaźni dla niej i dla panny Bianki.

Uszy sobie rękami zatuliwszy, Włoszka z przekleństwem na ustach.

Rozdział IV

Rok, który się rozpoczął zamknięciem sejmu i załatwieniem co najpilniejszych spraw,

ciągnął się dalej, niczym nie zapisując się w pamięci oprócz spraw powszednich żywota. Był on cichym przygotowaniem do przyszłości.

Pomiędzy królem a królową związek małżeński wcale niespodzianie ściślej się stał,

gdy Pan Bóg go narodzeniem córki pobłogosławił. Ale dziecię to długo żyć nie miało.

Maria Ludwika troskliwa, o męża, nie zaspokojona wypadkiem ostatecznym zborowskich

zwycięstw i traktatów, marzyła wojnę nową, aby go nowym okryć blaskiem. Można już wówczas przewidzieć było, że Chmielnicki niedługo pozostanie spokojnym i nie dotrzyma, co przyrzekł.

Dochodziły wieści o odgrózkach, a usposobienie kozactwa i chłopstwa, które krwi raz

zakosztowawszy, zemstą się upoiło, nie dozwalało się łudzić.

Usiłowano w Zaporozu stworzyć partią wiernych Rzeczypospolitej i stawić ją przeciwko

Chmielowi, ale z tymi zbratanymi i serdecznymi działo się prawie zawsze tak, że zrazu kłaniali się, wyzyskiwali, płacić sobie kazali, obiecywali, a w ostatku zdradzali. Na kresach trzeba było nieustannej czujności i nieustannej grozy? bo inaczej, jeno strachem, kozactwo się ująć nie dawało.

Żołnierz zaporoski byłby może wreszcie prędzej się dał pociągnąć i przejednać, gdyby na Tatara i Turka go pociągnięto, ale chłopstwo przy- nosiło z sobą nienawiść wiekami wykarmioną, w której może tkwiła i ta etnologiczna tajemnica, iż pobratymcze narody częściej względem siebie stoją jak Able i Kaimy, niż jako krwi jednej dzieci.

Kanclerz Ossoliński, który traktatów zborowskich jeszcze dotąd nie mógł od napaści

obronić i gryzł się narzekaniami na nie, od sejmu, choć na pozór z Wiśniowieckim pogodziwszy się, choć mu publicznie dziękowano, nosił brzemień ich na piersi. Najmniejsza aluzja,

najniewinniejsze słowo, które mogło mieć jakieś zastosowanie, oburzało go i do najwyższego gniewu pobudzało. Czuł bardzo dobrze iż gdyby nie to, że król miał udział w układach i jego oszczędzić chciano, wrzask przeciwko nim byłby daleko większy. Króla zaś znajdował Ossoliński niewdzięcznym i miał słuszność może, bo listem do chana ocalił jeśli nie życie, to sławę Jana Kazimierza i po- złocił pierwszą kartę jego panowania. Z królem zaś jako z człowiekiem wielce niestałym i przerzucającym się łatwo na wsze strony nie można nigdy było być pewnym ani poparcia, ani uznania. Jednego dnia wynosił pod niebiosa, drugiego zamykał drzwi, dąsał się i gniewał bez przyczyny.

Ossoliński, chcąc sobie hetmana polnego pozyskać, który świeżo z niewoli kozackiej

wyszedł, dopraszał się dla niego o starostwo trubowskie. Królowa już je była komu innemu przyrzekła, Jan Kazimierz więc odmówił. Nic nie pomogły nalegania. Kanclerz, który chciał wyrobieniem starostwa pokazać swe znaczenie, otrzymawszy odprawę raz i drugi, uczuł to mocno.

On, któremu się zdało, iż losy Rzeczypospolitej w jego były ręku, a rozum jego niezbędnym w chwili, gdy się do nowego poselstwa do Włoch i Rzymu gotował, zaskoczony tą odmową, nie mógł

jej znieść. Jednego wieczora powrócił od króla niezmiernie podrażniony, powtarzając sobie ciągle, iż starostwa mu odmówiono, burząc się, unosząc i z tym roznamiętnieniem ległszy na łożo, kadukiem porażony (jak naówczas mówiono), nagle życia dokonał.

Można było się spodziewać, że król śmierć tego wiernego doradcy, któremu w istocie wiele był winien, uczuje boleśnie; tymczasem spostrzegli to i zapisali, jako świadectwo chłodnego serca króla współcześni, że Jan Kazimierz wcale żalu nie okazał, wiadomość o zgonie przyjął obojętnie i ledwie nie dowiódł swobodą humoru, iż rad się go pozbył. Był to podczas mentor niewygodny.

Wkrótce potem wyjechał na wielkie łowy jesienne do Białowieży, gdzie mnóstwo zwierza

nabito, a po drodze rozerwać się mógł bo go przyjmowano i ugaszczano tak jak lubił, zabawiając krotoczwilami.

Odnaczył się szczególnie gościnnością tą, idący w ślady ojca, starosta łomżyński

Radziejowski, który w Bielsku Jana Kazimierza zatrzymał, dwór i jego przez kilka dni karmiąc, pojąc i obdarzając. Jan Kazimierz, który go nie lubił, dał się mu przeciw ująć, do czego się i to przyczyniło, iż dwa razy owdowiały Radziejowski, jak przewidywano, zaraz po śmierci marszałka Kazanowskiego otwarcie wdowie nadskakiwać zaczął i jawnie się o nią starał. Osierocona, potrzebująca opieki, zresztą zręcznymi zabiegami przebiegłego a natrętnego niesłuchanie człowieka znużona, skłoną już była, jak mówiono, oddać mu rękę.

Los pani marszałkowej króla, który był jej adoratorem, mocno obchodził. Małżeństwo to

może znalazło u niego z pewnych względów aprobatę. Radziejowski zaś potrzebował żeniąc się przynieść z sobą wdowie tytuł znaczniejszy niż krajczego królowej i łomżyńskiego starosty; chciało mu się i pochlebiał sobie, że z pomocą - Kazanowskiej wyjedna u króla bodaj spadek po

Ossolińskim. Zuchwałe to były nadzieje, ale marszałkowa miała fawor wielki u króla jegomości, a Radziejowski był natrętem niepozbytym. Wszystko on winien był temu niemal bezwstydnemu

dobijaniu się. Tak i z panią Kazanowską w początkach, gdy mu jedne drzwi zamykano,

przekupiwszy sługi drugimi się wciskał, a żadna odprawa nie pomagała. Jednego dnia się go pozbywszy, drugiego na pewno można było się spodziewać, znaleźć go z pogodnym obliczem, jakby nic nie zaszło, na tym samym miejscu i drodze. Nie dawał pokoju marszałkowej, wszystkich, co ją otaczali, starając się sobie pozyskiwać, potem tak samo nie mógł król się go pozbyć, na ostatek w przewidywaniu, że i to się na coś przydać może, począł starosta łomżyński zabiegać około królowej.

I tu potrafił małymi przysługami stać się potrzebnym, szczególnie doniesieniami na wpół żartobliwymi o królu, o jego zabawach, stosunkach, wyrażeniach itp. Maria Ludwika, śledząca każdy krok męża i nieustannie dająca mu admonicje, rada była mieć wiadomości poufne i posługiwała się nimi. Instynktowo też zazdrosną była o marszałkową Kazanowską, dla której Jan Kazimierz nazbyt wiele okazywał afektu i troskliwości.

Po przyjęciu w Bielsku mimo zabiegów starosty łomżyńskiego, pieczęci większej nie dopuściła mu dać królowa, ale mniejszą miał tak jak przyrzeczoną, czemu się Maria Ludwika nie sprzeciwiała, a król, dla pozbycia się utrapionego natręta, gotów ją był konferować.

Wątpliwe jeszcze wyjście za mąż za Radziejowskiego z końcem roku stało się najpierw wielce prawdopodobnym, potem nagle dokonany. Jakim sposobem młodą, piękną, swobodną, wyposażoną ogromnie panią potrafił sobie pozyskać człowiek nie bardzo już miody i mimo ogłady mający wiele odstręczającego — to pozostało tajemnicą. Rodzina Słuszków, szczególnie brat rodzony pani Radziejowskiej przeciwnym był temu związkowi, wahała się marszałkowa długo, ale nieustępny, zuchwały, a zręczny starosta umiał tak usidlić kobietę, iż mu rękę oddała.

Ruszano ramionami na to małżeństwo, nie prorokując mu wielkiego szczęścia, ale dla

Radziejowskiego był to szczebel do przyszłego wzniesienia się bardzo wielki. Ani w Bielsku, ani w Łomży, ani w Radziejowicach już nie powstał pan starosta, wniósł się tryumfalnie do pałacu żony i na krok nie oddalał się z Warszawy. W ten sam sposób jak z wdową, postępował teraz sobie z królową i królem. Trawił dni całe na zamku lub w pałacu na Krakowskim Przedmieściu. Janowi Kazimierzowi, który go już podejrzewał o donoszenie królowej najmniejszych rzeczy, stał się wkrótce nieznośnym.

Dawał mu to król poznać, lecz pan starosta, gdy chciał nie rozumieć, nie słyszeć, nie

widzieć, czynił się nadzwyczaj łatwo niepojętym, ślepym i głuchym. W tym postępowaniu było coś tak zuchwałego, tak niemal obrażającego, że Jan Kazimierz Butlerowi już począł mówić, iż dałby nie wiem co staroście, byle go się pozbyć i tak często na każdym nie spotykać go kroku.

Butler utrzymywał, iż skoro obiecane podkanclerstwo dostanie, pofolguje. To narzucanie się było tylko przypominaniem się o pieczęć. Kazanowska, której o tytuł dla męża chodziło, wstawiła się też do króla, a Jan Kazimierz niczego jej odmówić nie umiał. Mianowanym więc został Radziejowski podkanclerzem.

Z tym nowy sejm się otworzył. Królowa czynną być nie przestawała. Więcej niż

kiedykolwiek król zupełnie się jej poddał. Po śmierci Ossolińskiego ona więcej jeszcze na ogólny obrót spraw krajowych wpływała.

Starano się ubezpieczyć od Wielkiego Księstwa Moskiewskiego, przewidując już nowe

zatargi z Kozakami, którzy także w potrzebie do Wielkiego Księstwa Moskiewskiego się uciec mogli i z tym się nie taili. Pociągała ich tam jedność wiary, chociaż Chmiel Turka by był za sprzymierzeńca wolał, bo ten by go swobodniejszym pozostawił. Oprócz układów z Wielkim

Księstwem Moskiewskim, w domu był niepokój nieustanny od niepłatnego żołnierza, który związki czynił, wodzów sobie dobierał i ciążył samowolą Rzeczypospolitej. Skarb od razu wszystkich zaległości opłacić nie mogąc, musiał z konfederacjami nieustannie się układać i niemal na ich łasce była Rzeczpospolita, gdyby ją nieprzyjaciel zaskoczył, bo wojsko nie myślało się ruszyć, póki by zaległości nie otrzymało. Nie o pieniądź szło w tych związkach dla tych, co głębiej widzieli rzeczy i ich następstwa. Obawiano się rokoszów dawnych, a żołnierskie związki pod innym imieniem i formą niczym nie różniły się od nich. Wojsko stawiało się przeciwko władzy i jak z nieprzyjacielem trzeba się z nim było umawiać. Przychodziło do tego, że z żołnierzem już rozmówić się było trudno i podskarbi musiał zakonników używać, aby się porozumieć i ułożyć ze związkowcami.

Wielkie Księstwo Moskiewskie dopominające się zamków, Kozacy za nim z dala, a na

ostatek żołnierz niepłatny i coraz butniejszy — wszystko to nie dawało spokoju królowi, lecz Jan Kazimierz miał ten temperament szczęśliwy, który mu nie pozwalał niczym długo się męczyć.

Najmniejsze fraszki odrywały go od najważniejszej sprawy, jeżeli ona w pewnej odległości się ukazywała. Troski więc przypadały na królową raczej, a król jegomość rad sobie wszystko różowo malował. Cały ten rok nie ustawały układy z Wielkim Księstwem Moskiewskim i targi z wojskiem, które tym pilniej zakończyć było, że z Zaporozża już dochodzące wiadomości przewidywać nakazywały nieuchronną rozprawę z kozactwem.

Królowej była walka prawie pożądaną dla męża. Roiała ona zawsze ogromne, stanowcze,

świetne zwycięstwo, pogrom, który by Jana Kazimierza postawił na wyżynie i okrył laurami.

Wszystkie starania ku temu były skierowane, aby to wystąpienie uczynić nie jak pod Zborów bezsilnym i wątlým, ale potężnym i zwycięskim. Na czarnej chmurze zwiastującej już nadchodzące gromy i wichry, dziwnie zarysowują się drobne wypadki, które w przyszłości miały urosnąć do historycznego znaczenia.

Jakim sposobem Bertoni potrafiła się wśliznąć do pałacu Kazanowskich niegdyś, a teraz

podkanclerzego Radziejowskiego, odgadnąć trudno. Prawdopodobnie z dawnych czasów miała tam jakieś stosunki, a że król się mocno zajmował losem samej podkanclerzyny, Włoszka zawiązała tu stosunki, aby w ten sposób usługując królowi, łaskę jego sobie pozyskać i wstęp otworzyć.

Małżeństwo zaledwie zawartym, zostało, gdy wieści chodzić zaczęły, iż zachodziły

nieporozumienia. Nikt temu z początku nie chciał dawać wiary, w istocie jednak ani piękna pani Elżbieta, ani despotyczny i natrętny podkanclerzy stworzonymi dla siebie nie byli, ale za późno to spostrzegli. Sama pani za życia powolnego i rozmiłowanego w niej męża nawykła była do

postępowania, jak się jej podobało. Radziejowski chciał ją mieć narzędziem posłusznym dla swych widoków. Drobne okoliczności przyczyniły się do nieustannych nieporozumień.

Pałac Kazanowskich, najwspanialszy gmach w Warszawie, z którym ani zamek królewski, ani pałac króla na Krakowskim Przedmieściu równać się nie mógł, pełen był nieocenionych skarbów, przez długie nagromadzonych lata. Począwszy od kosztownego oręza, broni, zbroi, od sreber, klejnotów aż do obrazów i posągów, wszystko tu ze zbytkiem niesłychanym było urządzone.

Piwnice, skarbcze, spichlerze, stajnie przepełnione zdumiewały naówczas cudzoziemców.

Radziejowski, opanowawszy te dostatki, chciał rozporządzać nimi, żona się temu łagodnie w początkach opierała, na co on zważać nie myślał.

Oprócz tego parni Elżbieta nawykła była przyjmować, kogo chciała, otaczać się osobami,

które jej były miłe, i dom jej był jednym z najgościnniejszych w Warszawie. Radziejowski zapragnął poddać to swej kontroli i rozporządzeniu, słowem, chciał tu być panem i nie odnosząc się do żony, nią i jej mieniem rozporządzać. Nie mogła tego znieść podkanclerzyna, oparła się stanowczo. Drobne te jednak utarczki małżeńskie z początku nikomu nie były wiadome i za mury pałacu nie wychodziły. Radziejowska może podrażniona tylko, dała się tego domyśleć królowi, a podkanclerzy poskarżył się poufnie samej Marii Ludwice, która nie lubiła jego żony. Pomiędzy aktorami tego dramatu, cichego jeszcze, nie postrzeżonymi znalazł się i pokój owiec króla wmieszany, którego Jan Kazimierz zaczynał coraz więcej do poufałości przypuszczać.

Był nim znacznej i możnej rodziny, jak wiele innej młodzieży rozpoczynający na dworze

służbę, Tyzenhauz, należący do tak zwanych pokojowców króla, w istocie dworzanin jego. Z natury temperamentu żywego, gorącego, panicz nawykły do bardzo śmiałego obchodzenia się z ludźmi, młody Tyzenhauz przy Janie Kazimierzu, który dworzan swych i komorników wcale surowo nie trzymał, nabrał jeszcze buty i śmiałości. Król go lubił, słuchał chętnie, dawał mu sobie prawić nie tylko, co gdzie słyszał, ale co o ludziach trzymał i jak ich sądził. Butlera, starego przyjaciela, nie zawsze miewał król przy sobie. Strzębosz dla małych stosunków mało mu mógł posłużyć.

Tyzenhauz, który wszędzie bywał, a spokrewniony był w

Litwie szczególnie z pierwszymi domami, donosił dowcipnie to ubierając królowi, co mu się po świecie widzieć i słyszeć trafiło. Bystrego oka młody pokojowiec często odgadywał szczęśliwie i bawił tym znudzonego Jana Kazimierza.

Ze Słuszkami Tyzenhauz miał czy powinowactwo jakieś, czy dawne stosunki, dosyć że u podkanclerzyny czasu jej wdowieństwa, a potem i po weselu często bywał i ona go lubiła.

Radziejowski od początku znieść go nie mógł, widywał u siebie niechętnie, ale cierpieć musiał.

Parę razy napomknął żonie, ażeby zbyt tego młokosa nie przyswajała, ale ona nie widziała przyczyny, dla czego by przyjazne swe usposobienie zmienić miała.

— Nie mam najmniejszego powodu zamykać mu drzwi ani się okazywać inną, niż byłam — odpowiedziała.

I na tym się skończyło na razie. Tyzenhauz wcale sobie Radziejowskiego nie wając tak dalece, po staremu dworował przy jejmości. W stosunkach tych temperamenta i stanowiska a położenie osób ważnymi były czynnikami. Tyzenhauz miał za sobą króla i protekcji jego był pewnym; to go ośmielało. Radziejowski rachował na królową najwięcej, bo słabość Jana

Kazimierza znał i przewagę, jaką żona nad nim miała. Podkanclerzyna nie chciała się dać zawojować od razu mężowi, aby nie być niewolnicą, gdy wniosła mu tyle, iż on jej więcej, niż ona jemu zawdzięczała. Król protegował wdowę po Kazanowskim nie tylko może dla jej piękności, jak dla uprzejmości, którą mu zawsze okazywała. Jest w naturze człowieka, iż się przywiązuje do tych, którym mogło się coś dobrego uczynić. Podkanclerzyna testament męża i swe wyposażenie winną była królowi i z pewnością Jana Kazimierza to więcej obowiązywało dla niej, niż ją dla niego.

Każdego małżeństwa owe miodowe miesiące są walką o niepodległość i panowanie; u

młodych ozłaca je miłość lub namiętność zmysłowa, u podżytych, żeniących się powtórnie lub jak podkanclerz po trzeci raz, u wdowy po Kazanowskim, szło zaraz w początkach o zaznaczenie przyszłego stanowiska.

Podkanclerzy był nazbyt zuchwałym, przebiegłym, chciwym, ażeby się chciał poddać

kobiecie, której w oczach ludzi i tak już bardzo był winien wiele, próbował więc od razu przybrać rozkazujący ton pana domu i małżonka kierującego wszystkim. Wdowa nie była przywykła do ucisku ze strony nieboszczyka Adama, czuła się też zbyt silną stosunkami, bogactwami, wnioskiem swym, aby ulegać kaprysom i zachciankom małżonka. Ona także w swoim domu chciała być panią.

Nie przyszło do zatargów and do sporów w dniach pierwszych. Radziejowski był nadto ostrożnym, a ona nie sądziła, aby się targnąć ważył przeciw niej, gdy okaże mu swą wolę. Oboje zarówno pewni byli zwycięstwa. Podkanclerzy jednak, który bawił królową opowiadaniem o swych

staraniach, o ożenieniu, o charakterze żony, której ona nie lubiła, szydersko zaczął wyrażać się o niej i lekkomyślnie insynuował, że wiele liczyła na króla protekcją i poparcie.

Maria Ludwika nie była pewnie zazdrosną o miłostki pokątne męża, o których jej także

donoszono, gromiła go tylko, gdy one go śmiesznym czyniły, ale jawne nadszkiepania damom dworu oburzały ją. Posądzała niesłusznie panią Kazanowską, potem podkanclerzynę, że króla zalotnością ku sobie pociąga. Pani Elżbieta była z natury swej niewinnie zalotną, starała się podobać wszystkim, była oprócz tego pieszczoszką potrzebującą hołdów i dworu. Przyjaźń króla jej pochlebiała.

Tyzenhauz ją bawił, tak samo inna młodzież wielce była przyjmowana przez nią, bo ją rozrywała.

Ten tryb życia niezależny, swobodny, którego wdowa zmienić nie myślała, nie podobał się Radziejowskiemu, który jak wszyscy egoiści, był despotą. Opanować ją, zamknąć, kierować, gdyby nie wpływało z jego rachub, wpływałoby z charakteru. Nie był to człowiek, co by się zrażał pierwszymi przegranymi potyczkami, upór bezwstydnym należał do jego wad czy przymiotów. Z początku więc puścił mimo, co go drażniło.

W pierwszych miesiącach po mianowaniu podkanclerzym, gdy nowo naznaczony w podeszłym wieku kanclerz głośno zapowiedział, że w młodszym pracowniku potrzebuje pomocnika, Radziejowski rad temu bardzo, gorliwie się zajął kancelarią i rozpoznawaniem swych przyszłych obowiązków. Całymi więc czasem dniami w domu nie bywał, powracał dopiero wieczorem. Ten trud urzędowy był w większej części pozornym tylko. Podkanclerzy bowiem więcej przesiadywał u królowej, którą pragnął sobie pozyskać, aby miał ją przeciw królowi, (bo tego się czuł niepewnym) i tam, gdzie wesoło ucztowano albo frymarki jakieś omawiano i gotowano.

Dwór intryg był pełen, krzyżowały się one tu, snuły i wszystkie ostatecznie u królowej rozwiązywały.

„Zważyć potrzeba dworu obraz (powiada pisarz współczesny), wszystkie drzwi i podwoje opanowane, obleżone pokoje, wszyscy wiszą przy królu i królowej (rozumie się), wlepiają w pana oczy, zmyślają fantazje do pańskich się akomodując, ze śmiejącym się weselą, z cholerycznym tetrykarni się stają. Nie masz prawdy za szeląg, wszyscy patrzą na ręce ubiegając się, aby ich przekupywano. Tu przysięga bez wiary, nie domacasz się prawdy, przyjaźni szczerzej nie uprosisz, chyba ją kupisz, rozumu i mądrości nikomu nie przyznają, chyba temu, kto więcej zapłaci.

Wystrzegaj się rozmowy z nimi i ofiarowanej uprzejmości; co mówisz, pilnuj się, aby oni ze słów twoich skrytych nie wyczerpali tajemnic”.

„Dwie tu sztuki, u starych Polaków niebywałe, siedzą na warcie: chytróść i zmyślona przyjaźń. Jeden z drugim ściska się, jedzą, piją, sakramentują się, a jeden pod drugim dołki kopie; niemiły mu ten stopień, na którym stoi. Chce mu się wyższego, zazdrości drugiemu wzrostu. Wiek trawia w nadziei, jak woły jeden drugiego popychają. Szczęśliwych nienawidzą, nieszczęśliwymi gardzą, siedzą jak w prasie ściśnięci z jednej strony wzgardą wyniosłych, z drugiej sobie równych zazdrością”.

Wykarmiony był tymi praktykami dworskimi Radziejowski. Długo, długo nie udawało mu

się nic więcej nad ożenienia, które przyniosły fortunę. Starostwo łomżyńskie, tytuł krajczego królowej były dla niego za ledwie zadatkami, sięgał wyżej daleko. Ożenienie z bogatą Kazanowską postawiło go dopiero na drodze do honorów. Wiedział on bardzo dobrze, iż miała u króla łaski, rachował na to, lecz zarazem służył sam królowej, obiecując sobie ze stosunków własnych i żony ciągnąć korzyści.

Tyzenhauz nie przenikał go może tak bardzo, ale instynktowy czuł wstręt do niego, a

wielkim będąc wielbicielem podkanclerzyny, widział w nim jej nieprzyjaciela. Jednego dnia rano, jak bardzo często, Tyzenhauz się znalazł na pokojach podkanclerzyny, która otoczona swymi ptaszkami i kwiatkami, bo i jedne, i drugie lubiła bardzo, w tej chwili była samą. Jakim sposobem rozmowa tak niebezpieczny i poufały zwrot przybrała, iż podkanclerzyna westchnęła i poskarżyła się na despotyczne zachcianki męża? Może w tej chwili świeżo ją one zabolowały. Tyzenhauz się odezwał z oburzeniem:

— Alboż pani podkanclerzyna nie jest u siebie w domu panią i nie rozporządza jak jej wola?

— Waćpan jesteś miody — odparła na pół tęskno, pół żartobliwie pani Radziejowska — w

innych krajach, na przykład we Francji i obyczaj, i prawo daje kobiecie pewną niezależność, u nas przysięga przed ołtarzem na posłuszeństwo nie jest czczym wyrażeniem. Prawo mnie, co jestem panią mojego majątku, nie dopuszcza nim rozporządzać bez zgody męża, on jest głową domu, on panem.

— Zapewne! — zawołał młodzik. — Tam, gdzie małżeństwo zawarte łączy osoby równej fortuny i godności, ale tu...

— I tu tak jest! Wyłamywać się spod władzy męża — rozśmiała się smutnie podkanclerzyna

— u nas się nie godzi!

— Ale u siebie w domu, boś pani przecie u siebie.

— Tak jest — mówiła podkanclerzyna — jestem u siebie, ale drzwi bym mu zamknąć nie mogła a nawet niczym własnym rozporządzić. Biedne my jesteśmy niewolnice!

Oburzył się Tyzenhauz.

— Mało znam pana podkanclerzego — dodał — ale mam go za zbyt dobrze wychowanego i szlachetnego człowieka, aby władzy takiej chciał nie tylko nadużyć, ale nawet jej używać.

Podkanclerzyna obejrzała się na niego, wlepiała oczy i nie odpowiedziała nic. Milczenie było wymowne.

— Często są takie bardzo drobne a niezmiernie przykre okoliczności — poczęła

pomilczawszy — które mogą zatruć życie.

Tyzenhauz słuchał ciekawie.

— Na przykład ja — ciągnęła dalej pani — nawykłam tak do tego mojego domu, do

urządzenia jego, jakim było, że najmniejsza zmiana mnie razi. Hieronim ma pasją przerabiać, przemieniać, poprawiać wszystko nie zawsze szczęśliwie. To mi łązy wyciska, a on się z łez śmieje.

Otarła mężnie oczy.

— Jest to wielkim zuchwalstwem z mej strony — odezwał się Tyzenhauz — gdy ja,

młodziak, ośmielę się pani radzić, ale mnie się zdaje, że nie potrzeba ustępować w najmniejszej rzeczy, pół kroku tylko, a potem już...

— Właśnie i ja to tak rozumiem — dodała podkanclerzyna. — Chodzi o nic nie znaczące fraszki, uparłam się przy nich.

— Nieznośna rzecz — zamruczał Tyzenhauz — lecz cóż za niedelikatność!

Nastąpiło milczenie znowu, po czym młodzian dla rozrywki pani jakąś wesołą opowiedział

historyjkę o Francuzie ze dworu królowej, rozmowa przeniosła się na nią. Podkanclerzyna skarżyła się, że u niej nie ma łaski. Tyzenhauz dowodził, że to było naturalnym skutkiem zazdrości, gdyż król zawsze z wielką się wyrażał admiracją o podkanclerzynie.

— A ten biedny król zawojowany! — rozśmiała się podkanclerzyna. — Nie dosyć, że mu

Kozacy i Tatarowie prawa dyktują, w domu też musi słuchać.

— Czasem się on próbuje buntować — szepnął Tyzenhauz — ale mu się to nie udaje. W

istocie zaś powinien być wdzięcznym Najjaśniejszej Pani, bo ona go koniecznie bohaterem uczynić chce i dokaże tego. Jan Kazimierz, gdyby inaczej był wychowanym i nawykł od młodości do konia, do zbroi, niezawodnie by był dobrym wodzem. Duch się też w nim budzi, ale nie trzeba zapominać, że i mnichem już był i coś mu zakonniczego zostało.

— Czyżby znowu przyjść miało do wojny? — zapytała podkanclerzyna.

— O, ja o tym nic nie wiem — rzekł młody dworak — lecz wnosząc z tych wiadomości,

które od Zaporoża i z Rusi przychodzą, wiele na te traktaty z Tatarami i Chmielem liczyć nie można. Królowa powtarza to, iż Rzeczpospolita potrzebuje wielkiego, głośnego, stanowczego zwycięstwa,

które by to chłopstwo trwogą przejęło. Tymczasem laury zbiera tylko wojewoda Jeremi, a one wszystkie pani nasza rada by włożyć na skronie męża.

Prześmiewano się potem trochę po cichu z panowania królowej, z uległości króla i

Tyzenhauz wyszedł, bo jakieś panie z Litwy oznajmiono.

Król, który o wycieczkach częstych do pałacu Kazanowskich Tyzenhauza był

zawiadomiony, co dzień go prawie badał. Lubił plotki.

— A co? Pewnie byłeś u podkanclerzyny i tego dnia? — zagadnął o to Tyzenhauz.

— A jakże, Najjaśniejszy Panie.

— Cóż tam? Opływają w szczęśliwościach — mówił Jan Kazimierz — ten podkanclerzy to się w czepku rodził. Taka kobieta! Ale że też ona go sobie wybrać mogła?

— Hm — odezwał się młody dworak — kto wie, czy już tego nie żałuje!

Król aż przyskoczył do niego zdjęty wielką ciekawością.

— Co? Co?

Milczał z początku Tyzenhauz, ale w końcu natarczywemu naleganiu uległ.

— Podkanclerzy tyran — rzekł — chce się już tam rządzić, na cudzych śmieciach jak szara gęś. Pani ma słusność, że pragnie swą wolę utrzymać, wszystko to jest jej.

— A pewnie! — zawołał król z zapalem. — On jej nie przyniósł nic ani na zawinięcie palca.

To hołysz! Ale dam ja mu tam despotę grać — Pogroził palcem.

— Najjaśniejszy Panie, najlepiej się w to nie mieszać; małżeństwo się poswarzy i pogodzi

— szepnął Tyzenhauz.

— Trzeba jej było tego podkanclerzego! — podchwycił król. — Zgaga, pozbyć się go nie można. Utrapienie z nim będzie życie miała. Perswadowałem, on jakiegoś inkluza czy czarów zażył.

Toć to synowie z pierwszego małżeństwa dorastają, a to pani świeża jak różyczka.

Tyzenhauz się uśmiechnął. Przerwano rozmowę. Przyszły właśnie wiadomości od kresów,

że Chmiel, choć wierność swą poprzysięga, z Turkiem o poddanie mu całej Ukrainy się układa.

Lecz w Warszawie naówczas nie zawsze i nie wszyscy w groźne znaczenie kozactwa wierzyli.

Większa część lekceważyła je. Wszystko zamykało się w tym wyrazie „chłopstwo”, jak gdyby on słabość, nie siłę znaczył.

Zwano barbarzyńcami Zaporozców i stosunkowo miano słuszość, lecz barbarzyństwo to

dziczy połączone było z instynktem, z przebiegłością, z chytrą, które tylko dzikim narodom służą. Walka z kozactwem podobną była do tych pojedynków między doskonałym szermierzem a silnym nieukiem, w którym walczący wedle wszelkich prawideł pobitym być musiał, bo go przeciw wszelkim regułom napastowano. Wszystkie ruchy były niespodziankami i odeprzeć je dlatego było trudno.

Wieczorem król musiał pójść do żony, która już po niezliczonych audiencjach odpoczywała.

Tu było tysiące zawsze rzeczy do rozstrząsania. Jan Kazimierz oprócz ustnej instrukcji, odbierał

czasem całe rejestra wakansów, które tak a nie inaczej miał rozdawać. Me było prawie dnia, aby o jakiejś śmierci biskupa, kasztelana, wojewody nie przyszła wiadomość, a równocześnie z nią już przybiegało co najmniej trzech kompetytorów z ofiarami wprost do królowej. Maria Ludwika nie czyniła wcale tajemnicy z tego, co jej obiecywano. Miała więc i w tym dniu wiele do przekazania mężowi. Dwie stolice biskupie wakowały, kilka starostw było nie rozdanych. Po przerywanych tych, a czasem nieśmiałą opozycją przyjmowanych instrukcjach, królowa zaczęła mówić o

Radziwiłłach, o Lubomirskich, a od tych przeszła nagle do Kazanowskiej.

— Podkanclerzy — odezwała się — który sobie tyle z ożenienia obiecywał, lękam się, aby nie doznał zawodu. Kazanowska jest samowolna, chce wszystko zagarnąć pod siebie.

— Bo też do niej należy wszystko! — odparł król żywo.

— O, ty jej bronisz zawsze! — kwaśno przerwała Maria Ludwika. — Po cóż szła za męża?

Król zmilczał ostrożnie.

— Lękam się — dodała królowa — aby między małżeństwem nie przyszło rychło do kłótni.

Mógłbyś jako dawny opiekun pięknej Elżuni wyperswadować jej, że mąż ma pewne prawa.

— Ale ja się w to mieszać nie chcę! — zawołał król kwaśno. — Ty ze swej strony mogłabyś Radziejowskiego, który się pewnie skarżył, skłonić do tego, aby się z żoną, tyle jej będąc winnym, łagodnie obchodził!

— Alboż wiesz, że się obchodzi grubiańsko? — zapytała Maria Ludwika.

— Ja... ja nic a nic nie wiem — zaparł się król powstając — ale słyszę od ciebie...

To mówiąc król na dobranoc pocałował ją w rękę, a Maria Ludwika nabrała przekonania, że więcej wiedział, niż się przyznawał.

Rozdział V

Pogłoski o wojnie, a więcej jeszcze o przybyciu Księskiego, który wyleczywszy się z ran we Lwowie, do Warszawy zjechał po drodze i krewniaka do siebie powołał, wyrwały Strzębosza z tego dworskiego zleniwienia i próżniactwa, które mogło go z czasem uczynić do niczego niezdatnym.

Dyzma już sam zaczynał rozmyślać o tym, że go pokojowa służba, choćby u króla, do niczego nie doprowadzi, gdy dnia jednego pacholik Staszka Księskiego z gospody na Długiej ulicy przybiegł i dał mu znać, że wuj go do siebie prosi.

Księski należał do tych popularnych znakomitości wojskowych, o których i hetmanowie wiedzieli, że ich głos w pułkach waży i cały obóz sobie rozpowiadał a powtarzał ich słowa.

Mówiliśmy już o tych jowialistach, których do nas kilku tylko imion doszło, wszyscy oni swojego czasu choć nie dobili się i nie dobijali wysokich w hierarchii szczeblów, pozostawili po sobie pamięć ludzi, których zdanie ważyło wiele, stanowiło niekiedy o opinii ogółu. Żarcik lub sąd o człowieku takiego Skarszewskiego, Księskiego lub Samuela Łaszczą mógł obalić lub podnieść wysoko nawet stojącego dygnitarza.

Nad Księskiego mało było ludzi wziętszych i lepiej kochanych. Z kośćmi dobry był w istocie, ale język miał jak brzytwę, nikomu nie darował. Prawda, że on nic nie miał na sobie, za co by darowania winy mógł prosić. Żołnierz mężny, karny, wytrwały, śmiało drugim zadawał

uchybień, bo sam sobie nic do wyrzucenia nie miał. Znało go, można było powiedzieć, całe koronne wojsko, a i na Litwę zabłąkał się niejeden jego przekaz dobitny. W Warszawie ledwie się ukazał w gospodzie, a ktoś powiedział: „Księski”, co było wojskowych, pobiegło go witać. Oprócz tej popularności dawnej, świeża zbaraska blaskiem go nowym okryła. Tam też głodny siedząc w błocie, niejedno puścił w świat słowo, które pozostało na wieki w pamięci.

Strzębosz, choć pośpieszył do niego, zastał już izbę pełną. Pochwycił go wuj w ramiona i uściskał, a potem na krok popchnąwszy od siebie i wskazując nań ręką, zawołał:

— Panowie a bracia! Proszę, przypatrzcie się temu młodzieńcowi! Choć malować! Piękny, zdrów, silny, a co po nim komu?

Wziął barwę dworską, mówią, że go król jegomość miłuje, ale to próżniak! Powiedz ty mi, cóż z ciebie będzie, hę? Dworskie pomiotło? — Zaczerwienił się Dyzma.

— Przepraszam — rzekł — będzie ze mnie żołnierz, bom właśnie umyślił barwę złożyć, a zbroję wdziąć.

— Naprawdę? — podchwycił Ksiąski. — No to chodźże, abym cię raz jeszcze uściskał, ale już kiedy tak, to ja cię do mojego pułku panów Sobieskich zabiorę.

— Zgoda! — rozśmiał się Strzębosz. — Idzie tylko o konsens króla jegomości.

— Król, król — krzyknął Ksiąski — nie może odmówić, bo sam wkrótce będzie musiał zbroję wdziać! Ja wojnę i krew czuję w powietrzu. Na dworaków starczą niedołęgi i kaleki.

— Ale, ale — wtrącił Rzewuski rotmistrz — właśnie pod ten czas, gdy nami Francuzka rządzi, moda i polityka, samą śmietankę biorą do dworu.

— Z Francuzami — dodał Świecki, drugi towarzysz Ksiąskiego, chorąży Lubomirskich regimentu — z Francuzami my będziemy musieli się w domu rozprawić, bo to jak perz albo pokrzywa się u nas rozrosło, a z nimi, co poprzychodziło? Pludry, pudła te z włosów na głowie, z których nie wiedzieć czy się śmiać, czy od tych strasydeł uciekać i...

— Daj bo pokój — przerwał Ksiąski — tej liczbie francuskich rzeczy, bo dojdiesz do tego, o czym strach nawet wspomnieć.

— No, a tabaka, tabaka — odezwał się Rzewuski — smrodliwe ziele, albo to nie francuska też rzecz?

— Tego spełna nie wiem — rozśmiał się Ksiąski — ale wiem, co o niej Morsztyn napisał.

I począł deklamować.

Smrodliwe ziele, o ziele śmiertelne,

Które w krainy morzami oddzielne

Życzliwe skryło od nas przyrodzenie,

Kto cię na rodu naszego stracenie,

Kto cię na brzeg nasz przywiózł łodzią krzywą

I świat zaraził trucizną smrodliwą?

Nie dosyć było, że i wojny krwawe,

Blade choroby, głody niełaskawe,

I sama starość, i straszne trucizny

Króciły nam wiek, bez tego nie żyzny;

Żeś i ty naszym latom, brzydkie ziele,

Musiąło kresu uszczerbić tak wiele!

Zaczęli się śmiać niektórzy i nie dano dokończyć Księskiemu.

— Cóż u dworu słyhać? — zapytał siostrzeńca gospodarz. — Królowa pani zdrowa? U nas chodzi wieść, że nowa amazonka, ma na koń siaść i u boku króla iść na Kozaków.

— Że mężna, to pewna — rzekł Strzębosz — ano kozactwo dzikie taki popłoch szerzy, szczególnie między kobietami, że się żadna nie waży na nie.

Księski się namarszczył. — Dicz bo jest okrutniejsza — odezwał się ponuro — od zwierzęcia, które zabija, aby pożarło z głodu, a oni, aby się męczarniami napawali, zadają je.

Widzieliśmy na oczy własne tam, gdzie rzeź ich przeszła, ludzi piłowanych na pół, ze skóry odzieranych, dzieci z wnętrzości matek powyrywane, dziewczęta z piersiami obrzezanymi.

Milczeli wszyscy.

— Tak — westchnął Świecki — kto nie widział, nie uwierzy, do czego człowieka, stworzenie boże, doprowadza szal i pijaństwo krwi.

— Radziwiłł kanclerz — wtrącił Strzębosz — powiada, sto razy słyszałem z ust jego, iż to pomsta za ucisk ludu.

— Niech Bóg sędzi — wtrącił Świecki — ale nikt nam nie okaże, aby ucisk, o którym tyle

prawią, doszedł kiedy do takiego okrucieństwa. Żli panowie znaleźć się mogli wszędzie, ale katów i oprawców nie było!

Wszyscy się zasępiłi. Świecki podchwycił: — Kto jak my przeżył te lata od końca

panowania nieboszczyka Władysława po dziś dzień i patrzył na to, cośmy my widzieli, ten sobie rzecz może, iż przeżył krwawy sen jakiś. W cóż się obróciła ta mocna niegdyś, straszna jeszcze za Zygmunta III Rzeczpospolita, której dziś pijany Chmiel, naigrawając się, dyktuje warunki!

Miłosierny Jezu!

— Radziwiłł — przerwał Księski, obracając się do siostrzeńca — uczy nas, że to jest kara boża za

ucisk włości. Dał się z tym pono i król słyszeć. Nie wszyscy są aniołami, między nami też zbójów mogło być dosyć, ale na cały naród za nich tak straszny pogrom paść nie mógł. Karze nas Bóg nie za to, że chłop różgami dostał może niesprawiedliwie, ale za próżniactwo i pijaństwo.

Nie było sposobu inaczej nas wyprowadzić w pole. Patrzajcież i teraz, połowa szlachty już rada by do domów powracać, gdy ledwie z nich wyszła.

Zwrócił się do Dyzmy. — Jam tu niemal dla waszeczki przybył — począł kładąc mu rękę na ramieniu. — Choćby mi przyszło do króla samego o to iść, aby cię od barwy swej zwolnił, pójdę.

Nie chcę, abyś w niej zginął albo usechł. Wiem, że z takich pokojowców Pacowie i inni rosną potem na panów starostów, pisarzów, krajczych i kasztelanów, ale nam, szlachcie biednej, nie przystało tędy chodzić. To pańskie gościńce. W polu ci zdrowiej będzie, dziecko moje — ciągnął

dalej Księski — może zatęsknisz zrazu za legowiskiem wygodnym i kuchnią królewską, za panienkami królowej, ale później to ci się wszystko wyda tym, czym jest — nałogiem niezdrowym.

Strzębosz słuchał, przyjaciele Księskiego, którzy go rzadko widywali tak poważnym, milczeli. Jowialista wydał się im zmienionym. Trwało to jednak zaledwie chwilę. Staszкови Księskiemu twarz się rozśmiała znowu. Świecki począł powtarzać, co w mieście słyszał o różnych poselstwach kozackich.

— Mówią o tym Chmielu — odezwał się — że proste chłopisko jest i opój, a mnie się widzi, że on nas wszystkich oszukuje tym gburowstwem swym, boć dotąd więcej rozumu okazał niż nasi kanclerze i panowie Kisiele, i ile ich tam z nim się jeździło umawiać. Wszystkich on w kamysz zapędził.

— Muszę ja w obronie dworu, królowej i króla stanąć — począł Strzębosz — nie tylko dlatego, że ich chleb jadł przez lat tyle, ale że po sprawiedliwości się to należy. Król, co prawda, zbyt wojennego ducha nie jest; przecieżem ja za nim krok w krok niemal jeździł pod Zborowem i widziałem go, co mogę zaprzysiąc owej pamiętnej nocy, gdy obóz objeżdżał i czasu bitwy tak mężnym i gotowym nawet umierać, iż mu się cześć należała, ale u niego wiatr co dzień inaczej wieje. Za to królowa, wierzcie mi, wie, czego chce i co raz sobie powie, do tego doprowadzi, ona zaś wojny pragnie, aby nią naprawić, co się popsulo pod Zborowem. Chce świetnego zwycięstwa i gdy przyjdzie ciągnąć teraz, jej staraniem, zobaczycie, wojsko stanie i liczne, i piękne.

— Co daj Boże, amen — podchwycił Księski — ale nasza królowa, której wy tak bronicie, zwycięstwa i laurów żąda nie dla

Rzeczypospolitej głównie, tylko dla małżonka, a gdy przyjdzie do tego, żeby dla Wiktorii oddać

naczelne dowództwo Jeremiemu Wiśniowieckiemu, stawię gardło, że będą woleli

zwycięstwa się wyrzec, niż Jeremiemu dać zaćmić króla. Wszyscy wojewodzie ruskiemu

zazdroszczą, przyjaciół ma tylko w nas, cośmy z nim walczyli, przy jego boku byli i męża tego na wskroś przeniknęli. Dla innych on postrachem. Kozacy go się boją jak ognia, lęka się królowa, obawia król, panowie hetmanowie zazdroszczą, a to jeden jest człowiek z hetmanem Radziwiłłem może, który by koniec mógł położyć nieszczęściu naszemu.

— Ale co bo my — podchwycił Świecki — wdaliśmy się w takie głębokie politykowanie!

Rzucić by to, a weselszą piosnkę począć.

— To ją chyba kurtyzan zanuci — odparł na siostrzeńca ukazując Księżki. — Mów co wesołego.

Tłumaczył się Strzębosz, że zapasu nie przyniósł z sobą, weselej jakoś przecie potoczyła się rozmowa, lecz zawracała ciągle na wojnę.

— Jam tu waszmości szpiegował, Dyzmo — odezwał się Księżki. — Powiadano mi, żeś się

w amory wdał z dziewczyną, prawda, piękną bardzo, ale mieszczańką, zrosła na bruku, a to dla nas, wieśniaków, owoc niezdrowy.

Strzębosz się zarumienił. — Któż to wam splótł? — zapytał.

— Nie pytaj, boć nie zdradzę — śmiał się Księżki — ale ci powiadam, że wszystko wiem, i dlatego cię chcę stąd wyrwać na czyste powietrze.

— Kochany wuju — począł gorąco Strzębosz — wierzcie mi, dziewczę uczciwe i niewinne, a choć mieszcza, nic jej zarzucić nie można.

— A matce? — spytał ze zwycięskim uśmiechem Księżki. — Ja na matkę patrzę więcej

niż na wyrostka, który teraz jako lilijka biała wyglądać może, a gdy podrośnie, ozwie się w nim to wszystko, co w matce było.

— Matką się pochwalić nie mogę — rzekł smutnie Strzębosz — ale wierzcie mi, nie zawsze

dziecko naśladuje macierz, gdy aż do odrazy śmieszna jest i nieznośna. Stara Bertoni nawet własnej córce wydawać się musi takim koczkonem, jak nam.

— Zapomnieć by o obu — dodał Księżki. — Nam wojakom nazbyt się garnąć pod podwikę

niezdrowo! — I nagle zwrócił. — A więc prosz króla, niechaj cię zwolni, ja pomogę i do pułku

Sobieskiego zarejestruję. Me zabrakłoby ci i gdzie indziej miejsca, bo wszyscy zaciągają, a masz i postawę, i młodość za sobą, lecz chciałbym cię mieć na oku.

Strzębosz w ramię go pocałował.

Wtem inni dobrzy znajomi jowialisty, odgłosem jego przybycia zwabieni, napływać zaczęli, szczupła izba napełniała się i gwar a śmiechy ledwie się ciszej rozmówić dozwalały. Goście otaczali Księskiego, który się rozchmurzył i baraszkował po swojemu, nie oszczędzając nikogo.

Strzębosz pozostał nasłuchując.

Z urywanych tych opowiadań, szczególnie o Zbarażu, mógł się uczyć rycerskiego życia i serce w nim rosło.

— Naprawdę — mówił Księski — co nam doskonały humor sprawiało w tych okopach pod

Zbarażem, to właśnie, żeśmy się już z nich żywi wynijść nie spodziewali. Wiedzieliśmy, iż na odsiecz wiele rachować nie można, bo i takich łotrów siła było, co by się radzi Wiśniowieckiego pozbyli, tak im solą w oku i kością w gardle stanął. Życia więc nikt nie szacował, głód i pragnienie rodziły jakąś gorączkę szaloną. Suchego chleba kawał był w końcu przysmakiem, a śmierdzące mięso końskie osobliwością. Chciało się wody napić, nie było innej tylko ta, w której trupy gniły.

W dodatku tuż za wałem wieszali się Kozacy na swoich usypach i z naszych wynędzniałych lic drwili, kłaniając się pokornie. Wciskały się ich szpiega z listami, aby wywąchać, kiedy do ostatka osłabniemy. Na ostatek prochu i tego, co go umiał robić, i tych, co działa ustawiali, zabrakło.

Rychtował je ksiądz jezuita, udawało mu się przy pomocy bożej.

— Zbaraż mi przed oczyma stoi jak sen — przerwał Świecki. — Dziś się temu nie chce wierzyć, co się tam przeżyło.

Niemal cały dzień spędziwszy z Księskim, Dyźma powrócił na zamek, ale się zszedł

właśnie z królem, który powracał, dobranoc zaniósłszy Marii Ludwice. Była to chwila, w której on zawsze, spełniwszy ten obowiązek, weselej patrzył. Gdy mu przychodziło na pokoje do pani iść, zasępnął się, dopiero wyswobodzony oddychał.

— Strzębosza — rzekł oglądając się na niego — przez cały dzień nie było. Cóż to tak ferie sobie dał?

— Wuja chodziłem pozdrowić, Księskiego — rzekł Dyźma.

Król pomyślał.

— Wiem — odparł — wiem, ten to jest, co go z języka sławią.

— Najjaśniejszy Panie — przerwał Strzębosz — on szablą lepiej jeszcze włada niż językiem; dość powiedzieć, że w Zbarażu był.

Na wspomnienie Zbaraża Jan Kazimierz się zasepił, nie odpowiedział nic.

Nazajutrz z rana Tyzenhauza kazał do siebie wołać. Nie było nikogo, bo nawet karłów odprawił.

— Idź do podkanclerzyny — cicho szepnął — pozdrów ją ode mnie, i rozumie się, na cztery oczy powiedz, aby nie ustępowała. Radziejowski do zbytku i tak napastliwy i zuchwały; pozwoli kurze grzędy, będzie ona wszędy.

Poselstwo młodemu pokójowcowi wydało się tak przyjemnym, że jak tylko godzina nadeszła, o której się mógł przyzwocicie w pałacu Kazanowskich stawić, pobiegł tam natychmiast.

W samej bramie, traf chciał, zetknął się z podkanclerzym, który na pysznym dzianecie, niegdys wierzchowcu ulubionym śp. Adama, osiodłanym i w rządku kosztowny przybranym, z pałacu

wyjeżdżaj na miasto. Radziejowski postrzegł wchodzącego, zmarszczył się i wykrzywił znacząco, a gdy Tyzenhauz przez grzeczność uchylił przed nim czapeczki, nie odkłoniwszy mu się głową dumnie odwrócił.

— Oho! — rzekł w duchu. — Że łaski u podkanclerzego nie mam, o tym ci wiedziałem dobrze, ale że mi już to chce okazać tak wyraziście, dowiaduję się po raz pierwszy, nos ma dobry.

Radziejowski już w bramie przystanął obróciwszy się, chcąc widzieć, dokąd Tyzenhauz się uda, i mógł się przekonać, że poszedł do pokojów żony.

— Królewski szpieg i poseł — zamruczał — ale ja go tu cierpieć nie myślę. Król się w moje sprawy domowe wdawać nie powinien.

Miał czy nie podkanclerzy wprzódki zamiar wprost iść do królowej, nie wiemy, lecz po spotkaniu się z Tyzenhauzem poszedł do niej. Ponieważ kilka wakansów było do rozdania, a Radziejowski wiozł oferty kandydatów, miał się więc z czym z rannych odwiedzin wytłumaczyć.

Maria Ludwika, choć może niewiele go ceniąc, posługiwała się nim chętnie, bo jej donosił, co słyszał, potakiwał i pochlebiał. Rozmowa o tych senatorach, którzy się następczali, o niemiłych i podejrzanych królowej, o tych, których podkanclerzy chciał uczynić jej niemiłymi, przeciągnęła się dosyć długo i już miała się zakończyć, gdy Radziejowski westchnąwszy szepnął:

— Tyzenhauz mi się nieustannie nawija w domu, a posądzam go, że skargi jejmości do

króla nosi, od niego zaś zapewnienia protekcji, tak że mi ona coraz się ostrzej stawia. Cóż ja w domu znaczyć będę, gdy mi ani nieboszczykowskiemu wierzchowca, ani siodła jak dziś dotknąć nie będzie wolno?

— I uległeś? — zapytała królowa.

— Nie — odezwał się podkanclerzy — nie mogłem, ani myślę się tak akomodować, bobym zeszedł na służbę we własnym domu.

Głowy poruszeniem królowa dała mu znak, że postępowanie jego znajduje właściwym.

Radziejowski poskarżył się, pokłonił i poszedł do króla.

Tyzenhauz tymczasem został przypuszczony do pięknej pani Elżbiety, która właśnie panien swych robotę około wspaniałego ornata rozpatrywała.

Odprawiła dziewczęta smutna pani. Pokojowiec królewski na twarzy jej łatwo mógł rozpoznać ślady jeszcze nieprzewyciężonego gniewu i rozdrażnienia. Z żywością wielką

rozповідаć mu zaczęła, jak jednego wierzchowca nieboszczyka męża, rząd i siedzenie, których on rad używał, chciała pozostawić nietkniętymi, jak o to prosiła męża, ale bez względu na jej żądanie podkanclerzy właśnie tego poranku wierzchowca kawalkatorowi kazawszy przejechać i osiodłać według dawnego obyczaju, na miasto na nim wyruszył.

— Spotkałem go właśnie w bramie — rzekł Tyzenhauz — i nie raczył mi nawet na moje pozdrowienie odpowiedzieć. Szkoda tego ślicznego wierzchowca.

Nie dokończył, szybkim ruchem białej rączki podkanclerzyna otarła Sobie oczy.

— Jeżeli się nie mylę — szepnęła — a nie mylę się pewnie, podkanclerzy tym śmielszy jest przeciwko mnie, iż królową ma za sobą. Nie miałam nigdy do niej szczęścia.

— Nie potrzeba tego brać do siebie — przerwał pokojowiec króla — żadna z pań polskich nie ma u Marii Ludwiki łaski. Serce jej dla Francuzek ledwie starczy.

— Dla ślicznej wychowaniczki szczególnie — dodała uśmiechając się dwuznacznie pani

Radziejowska — panny Marii d'Arquien. Nie jestem tak złośliwą, abym wierzyć miała temu, co rozpowiadają ludzie, ale przywiązanie królowej do tego dziewczęcia jest uderzającym. Czeka ją też pewnie los świetny, bo i piękność wiele obiecująca.

— Nie mogę temu zaprzeczyć — odezwał się Tyzenhauz — lecz dobrze już wie o tym, że jest piękną.

— Dziecko to jeszcze — szepnęła podkanclerzyna.

— O latach jej, naturalnie, nic się dowiedzieć nie można — począł Tyzenhauz — ale wznosząc ze wzrostu i postawy, musi już mieć około piętnastu.

Tu mała nastąpiła pauza, pokojowiec się obejrzał, czy ich kto nie słucha.

— Najjaśniejszy Pan — odezwał się zniżonym głosem — wczoraj mnie bardzo pilno rozpytywał o panią podkanclerzynę. Musiałem mu się przyznać, że tu byłem. Ktoś pewnie, bo ja nie — rzekł z uśmiechem Tyzenhauz — ktoś musiał donieść, że pan podkanclerzy zbyt chętnie się tu chce rządzić. Król mruczał bardzo tym oburzony i dał się z tym słyszeć, że źle by było nadto okazywać powolności. To jego rada, a ja ją powtarzam.

— Rada bardzo dobra — przerwała podkanclerzyna — szkoda tylko, że mi jej posłuchać tak trudno. Nie mogę z nim prowadzić wojny, a widzieliście, jak moich próśb słucha. Wczoraj prosiłam o tego konia i rząd, a dziś właśnie wybrał je sobie na przekorę.

— Gdyby kawalkator wprzód pani podkanclerzyny rozkazy otrzymał — musiałby się do nich zastosować, a pan Radziejowski nie śmiałby też pewnie się sprzeciwić.

Spojrzała na niego podkanclerzyna.

— Nie znasz go — odezwała się — właśnie dlatego, aby okazał swą siłę i wolę, zrobi mi na przekorę, nic go to kosztować nie będzie.

— Pewny jestem — dodał Tyzenhauz — że Jan Kazimierz chętnie by wystąpił w obronie pani, ale...

Radziejowska przerwała żywo.

— Proszę, aby tego nie czynił! A, nie! nie! Już i tak mogą być niepotrzebne plotki o tej króla protekcji dla mnie; podkanclerzy obróci to przeciwko mnie, mam i tak dosyć do przecierpienia.

Radziejowska okazała się tak niespokojną, iż młody gość musiał ją upewnić, że się wcale obawiać nie potrzebuje fałszywego kroku ze strony króla. Zabawiwszy dosyć długo w pałacu Kazanowskich, Tyzenhauz opuścił go wreszcie i na zamek powrócił.

Dni kilka upłynęło. Król był tak niespokojny o panią Kazanowską, sam nie chcąc jej teraz odwiedzać, aby zbyt na swój współludział w jej nieszczęściu nie zwracać oczu ludzi, iż co dzień prawie nasyłał Tyzenhauza, aby mu się dowiadywał o coś i różne prznosił poselstwa.

Dwa razy zetknął się pokój owiec z samym podkanclerzym, który za każdym razem niechęć swą i podrażnienie coraz widoczniej mu starał się okazywać. Oprócz tego jawnym było, iż Radziejowskiemu jego sługi o wszystkim donosiły, szczególnie zaś o tym, co się żony dotyczyło i jej stosunków. Na złe humory podkanclerzego Tyzenhauz nie zważał wcale. Na próżno spotykając go stawał Radziejowski, wlepiął w niego oczy i usta ścigał, młody gość nie chciał tego rozumieć.

Dnia jednego na ostatek, gdy wedle zwyczaju o godzinie rannej Tyzenhauz miał się kazać oznajmić pani podkanclerzynie, w antykamerze ujrzał stojącego i jakby oczekującego na siebie marszałka dworu Radziejowskiego, niejakiego Snarskiego, który w boki się ująwszy, zaparł mu do drzwi dalszych drogę. Tyzenhauz spojrział mu w oczy.

— Pan podkanclerzy — odezwał się Snarski szydersko i zuchwale — rozkazał mi Miłości Waszej oznajmić, iż nie życzy sobie, abyście w domu jego bywali.

Młody pokojowiec skoczył jak oparzony.

— Co?! Co?! — zakrzyknął.

Snarski powoli cedząc wyrazy, po raz wtóry toż samo wypowiedział i nie czekając dalszych rozpraw wyszedł, drzwi za sobą zamykając.

Obelżywą tą odprawą jak piorunem rażony, Tyzenhauz stał długo nie wiedząc, co ma począć. Iść przebojem nie mógł, przyjąć takie zuchwale wyznanie — nie godziło mu się, stracił *na* chwilę głowę i wyszedł z pałacu krokiem powolnym, sam nie wiedząc, co począć ma. Do zwiększenia jego rozdrażnienia przyczynić się i to musiało, że dworactwo i służba podkanclerzego, która musiała być zawiadomioną o tym, co zająć miało, wejrzeniem i śmieszkiem urągłym jak przez różgi przechodzącego przeprowadzała Tyzenhauza, który do bramy się dostawszy wolnym umyślnie krokiem, był już wściekły. W tej pierwszej chwili pewna, że gdyby mu się nawinał

Radziejowski, byłby się, szabli dobywszy, rzucił na niego. Skarżyć się królowi i wciągnąć go w tę sprawę, która musiała być dla niego nieprzyjemną, nie godziło mu się. Nie chciał nawet zaraz na zamek powrócić, dopóki by się nie rozmyślił, nie poradził, ażeby się nie zdradzić i z gniewem, i z obelgą, jaką mu uczyniono. Pobiegł do przyjaciół swych Litwinów, a trafił na rycerskich ludzi, którzy na pierwsze słowo okrutnie to wzięli do serca. Wołłowicz i Sapieha, którym się zwierzył, zakrzyknęli, że obraza taka we krwi tylko zmytą być może.

— Nie pozostaje ci nic — zawołał Sapieha młody — tylko tego zuchwalca, który sądzi, że senatorowi wszystko wolno, wyzwać na rękę i z nim się rozprawić.

Tyzenhauzowi zapalczywemu nie mogło nic być przyjemniejszym nad tę radę. Gotów był nawet natychmiast wysłać przyjaciół do podkanclerzego, dopominając się zadośćuczynienia, ale tu zaszła rzecz dziwna.

Wszyscy ci, którzy znajdowali, że Tyzenhauz powinien być wyzwąć i Radziejowskiego choć on tylko pokojowcem u króla, a ten był podkanclerzym, gdy przyszło iść do niego w imieniu Tyzenhauza, mieli najrozmaitsze przeszkody, które im usłużyć nie dozwalały. Pochwalali nader gorąco jego zamiar, przyklaskiwali mu, ale żaden, niestety, nie mógł mu przyjść w pomoc. Jeden nastęczał drugiego, nikt nie mógł wystąpić przeciwko Radziejowskiemu, bo za nim domyślano się królowej. Tej narazić się nikt nie chciał, bo ona nie przebaczała. O, ile Jan Kazimierz, w pierwszym wybuchu gniewu gwałtowny, łatwo potem ostygł i obojętniał, o tyle Maria Ludwika pamięć najmniejszej obrazy zachowywała długo, nie traciła jej nigdy.

Tyzenhauzowi nie pozostało nic, tylko samemu sobie zostawionemu radzić, jak umiał, a młodość i gorący temperament popchnęły go za daleko. Czatował tylko na to, aby mógł podkanclerzego przybywającego na zamek pochwycić. Niedługo na to czekał. Nazajutrz rano niezmiernie czynny Radziejowski wysiadał z kolebki i miał się udać do królowej, gdy Tyzenhauz, chwyciwszy dwa nabite pistolety już przygotowane, poskoczył przeciwko niemu.

Podkanclerzy zobaczywszy go zabiegającego sobie drogę, rozgnionego, z pistoletami w rękę, zrazu postrzału się musiał ulęknąć i zwrócił się, czy za nim nie szedł kto ze służby. Wtem Tyzenhauz przypadł tuż blisko.

— Panie podkanclerzy, jestem tak dobry szlachcic jak i wy, nie mogę ścierpieć obrazy honoru. Przez sługę mi dom swój wypowiedzieliście, musicie się bić ze mną!

Nim Radziejowski zebrał się na odpowiedź, nadbiegło dwóch jego dworzan, którzy widząc młodego pokojowca z pistoletami godzącego na pana, chcieli się już rzucić na niego, gdy Tyzenhauz, podniósłszy pistolet do góry, krzyknął:

— Odpowiedzcie mi za to — i nie chcąc się wdawać ze służbą, odszedł śpiesznie.

Podkanclerzy potrzebował ochłonać, nim się udał na pokoje królowej. Choć osobiście nie był tchórzem, nie sławił się też nadzwyczajną odwagą, a zaskoczony przez zuchwałego młokosa niespodzianie, na chwilę się strwożył. Mogła też po twarzy jego poznać królowa, po bladeści i wejrzeniu błędnym, iż czymś świeżo został dotknięty i zapytała go troskliwie, czy się nie czuł niezdrowym.

Radziejowski nie chciał taić, co go spotkało.

— Spotkała mnie tu na zamku niesłychana, zuchwała przed chwilą napaść — odezwał się

— po której dotąd przyjść nie mogę do siebie.

— Napaść? Na zamku?!— krzyknęła, marszcząc się groźnie, Maria Ludwika. — Napaść?!

Głos drżał z gniewu Radziejowskiemu.

— Tym dziwniejsza, że ją popełnił pokojowiec króla jegomości Tyzenhauz — mówił

podkanclerzy. — Co dzień prawie nachodził moje żonę i mam silne podejrzenie, że ją przeciwko mnie podburzał. Z tego powodu byłem zmuszony kazać mu mój dom wypowiedzieć, a młokos za to dziś na zamku wybiegł naprzeciw mnie z pistoletami, dopominając się pojedynku!

Słuchała królowa zdumiona, uszom prawie nie wierząc. Pod jej boki takie zuchwałstwo

popełnione na człowieku, któremu ona się okazywała życzliwą, oburzyło ją straszliwie.

— Otóż to owoce tego rozpasania i swobody, jakie król daje młodzieży, co mu służy!

Wiedziała, że się tam dzieją rzeczy nie do wiary, ale tego już nadto i ja nie dopuszczę, aby to płazem przejść miało!

Radziejowski, który nieznośnie się narzucał królowi, dnia tego nie poszedł do niego, wprost od królowej powrócił do pałacu, a tu pierwszym rozkazem, jaki wydał, było, aby portret

nieboszczyka Kazanowskiego, który wdowa zastrzegła sobie, aby nie był z miejsca poruszonym, na strych wyniesiono. W chwilę potem z płaczem i narzekaniem, z gniewem i dumą razem wpadła podkanclerzyna do męża, dopominając się o niego. Radziejowski z zimną krwią na pozór

odpowiedział, że obrażającym jest dla niego to jawne uwielbienie dla nieboszczyka i że postanowił

uczynić wszystko, co jest w jego mocy, aby pamiątki poniszczyć być tu jedynym panem.

— Zawdzięczam pani — dodał — że dziś miał przygodę,, która już po mieście obiegać

musi. Wypowiedziałem wczoraj dom. temu Tyzenhauzikowi, a gołowąs mnie śmiał dziś napaść z pistoletami. i wyzywać na pojedynek, ale to mu płazem nie ujdzie.

Podkanclerzyna pobladła.

— Cóż ci przewinił Tyzenhauz? Wyrzucasz portrety, rozpędzasz moich przyjaciół i

krewnych, czyż tym sposobem chcesz pozyskać serce moje?

— Ja się nawet o to już nie staram, bo widzę, że to było na próżno — zawołał Radziejowski

— ale nie chcę, żeby ludzie śmieli się ze mnie!

Podkanclerzyna, której łzy strumieniem z oczów płynęły, od wróciła się milcząca od niego i wyszła.

Podkanclerzy nie był człowiekiem, który by się dał zmiękczyć lub zastraszyć. Wszystko,

cokolwiek w życiu dokonał, winien był uporowi i narzucaniu się. Pomimo że żona mu się nie poddawała, nie tylko że nie myślał jej folgować, ale tym zażartszą przedsięwziął z nią wojnę, pewien, że słaba niewiasta nie wytrwa w końcu i ulegnie mu. Szło o to, ażeby wszystko zagarnął i wszelkiej woli ją pozbawił. Protekcja króla, który jawnie jej sprzyjał, niemogła być skuteczną, bo przy znanej płochości jego była kompromitującą, więc się jawnie nie mogła objawić. Na to rachował najwięcej. Cały plan zawładnięcia królową, a przez nią słabym Kazimierzem i

Rzeczpospolitą dla ciągnięcia stąd korzyści, już miał osnuty. Na tym stanowisku urzędowym, do jakiego doszedł, będąc stróżem pieczęci, wystawiał sobie osobę swą nietykalną, wpływ nie mogący się zachwiać. Z każdą więc godziną buta w nim rosła. Dnia tego spodziewał się Radziejowski otrzymać z zamku jakąś wiadomość, bo pewnym był, że królowa Tyzenhauzowi zuchwałstwa

popelnionego pod boki majestatu nie przebaczy, a król, choćby chciał, nie będzie go śmiał

bronić, ale nie nadeszło nic. Posłany na zwiady komornik podkanclerzego przynisół tylko, że król z królową mieli żywą rozmowę i że na dworze panowało jakieś między młodzieżą rozdrażnienie i niepokój.

Rozdział VI

Maria Ludwika, która przestrzegała na dworze karności i porządku, o które król często

wcale się nie troszczył, wystąpiła tak gwałtownie przeciwko Tyzenhauzowi, gdy król przyszedł do niej, tak się przeciwko młokosowi burzyła i odgrażała, że Jan Kazimierz ani się za nim przemówić ośmielił, tym bardziej że po części sam był powodem tego zajścia, posyłając młokosa do

podkanclerzyny.

Wina zresztą pokojowca była jawną i wielką, bo na zamku pod boki króla napaść

senatora, w sądach marszałkowskich mogło to być surowo karanym. Nabite pistolety pogorszały sprawę. Jan Kazimierz, faworyta ratując od sądu i kary rozgłosnej, natychmiast oświadczył, że go precz wypędzi i trzymać przy sobie nie będzie. Zgryziony tym, gniewny na Radziejowskiego, nie zabawiwszy u żony król natychmiast poszedł do swych apartamentów i Tyzenhauza wołać kazał. Z

kolei czterech za nim pacholików wyprawił. Stał, czekając na przyjście jego i szarpiąc koronkowe rękawki, gdy z miną niezbyt przestraszoną ani pokorną ukazał się w progu winowajca, śmiało królowi patrząc w oczy.

— Cóżes to zbroił?! — zawołał król przystępując bliżej do niego — Oszalałeś, czy co?! Z

pistoletami na zamku napadać dygnitarza?! To gardłowa sprawa!

— Najjaśniejszy Panie — począł spokojnie Tyzenhauz. — Podkanclerzy mi w sposób

obelżywy, przez służbę, wypowiedział dom swój. Chodziłem do pani podkanclerzyny nie zawsze z własnej woli, byłem posyłany.

Tupiąc nogą król nakazał mu milczenie.

— Nie masz się czym tłumaczyć! — zawołał. — Popełniłeś kryminał! Tak, kryminał!

Królowa jejmość jest tak zagniewana, że gotowa sądzić na gardło. Choć mam litość, nie mogę cię ratować inaczej: Natychmiast mi się wynoś z zamku, nie pokazuj się więcej na oczy i wypędzam cię! Rozumiesz?

Tyzenhauz, nie ulękniiony patrzył mówiącemu w oczy.

— Najjaśniejszy Panie! — począł.

— Milcz! Nic nie pomoże! — przerwał król. — Za godzinę żeby mi cię tu nie było.

To mówiąc Jan Kazimierz obejrzał się niespokojnie dokoła. Szybko przystąpił do

Tyzenhauza i szepnął:

— Postaraj się, aby kto za tobą do królowej instancjonował. Ja nie wiem... Radziwiłł...

albo... musisz przeprosić...

Ręce szeroko rozłożywszy, król pochylił głowę, dając poznać, że on nic więcej uczynić nie może.

Tyzenhauz pomimo to podziękował mu za łaskę, pocałował w rękę i wyniósł się daleko

spokojniejszy, niż się wydawało, gdyż przed towarzyszami musiał rozpaczać. Był pewnym, że król, który go lubił, potrzebował i nawykł do niego, znajdzie sposób poratowania z tej toni.

W istocie Jan Kazimierz poufnie zaraz szepnął kanclerzowi Radziwiłłowi, aby tego

biednego wartogłowa Tyzenhauza tłumaczył przed królową i prosił dla niego o przebaczenie.

Kanclerz też przy pierwszej zręczności wystąpił z tym, ale Maria Ludwika nie dała nawet mówić o nim. Nie o Radziejowskiego jej szło, ale o ład na zamku i rozprzężenie. Po Radziwille wystąpił za Tyzenhauzem Wołłowicz, równie bezskutecznie, potem powrócił książe Albrecht zaręczając, że młodzieniec był skruszony, że postępu swego nierozważnego, popełnionego w pierwszym

impecie, wielce żałował, a rodzina była losem jego boleśnie' dotknięta. A że kanclerz zarazem traktował przy tym z królową o starostwo dla protegowanego, za które trzydzieści tysięcy obiecywał

i Tyzenhauza ciągle do sprawy o tenuty mieszał, zdawało mu się, że Maria Ludwika w końcu nieco złagodniała.

Tyzenhauzowi zaś polecono, aby przyprowadzony na pokoje do królowej przez kanclerza

upadł jej do nóg, upokorzył się i o przebaczenie prosił. Stało się tak. Maria Ludwika uległa naleganiom, tylko król wcale się do tego nie mieszał. Udawał nawet w początku, że dawnego pokój owca znać ani widzieć nie chce, drożył się także z przypuszczeniem go do łaski, swej, ale w końcu, po upływie dni kilkunastu Tyzenhauz znowu począł dawne pełnić obowiązki. Rozumie się, iż nic nie miał pilniejszego nad to, aby się za pierwszą bytnością na zaniku podkanclerzego oczom jego nastęczyć.

Radziejowski uczył to mocno, ale jak nieraz w życiu, gdy go co nieprzyjemnego spotykało, umiał oślepnąć, ogłuchnąć i udać, że o niczym nie wie. Królowej ani wspomniał o tym, ani pytał.

Wygrywał zawsze, iż się królewskiego posła z domu pozbył, który mu żonę buntował, był bowiem pewnym, że Jan Kazimierz ją ośmielał do oporu. Tymczasem nawet złagodniał dla jejmości

unikając tego, co ją drażnić mogło i wyjednał zawieszenie broni. Małżonkowie z niechęcią i nieufnością spoglądali na siebie wzajemnie, w domu dwór się podzielił na dwa obozy, ale do wybuchów i sporów jawnych nie przychodziło.

Ważniejsze daleko sprawy zaprzętały umysły. Kozactwo, złamawszy traktat, podniosło bunt znowu, król razem z królową pracowali nad tym, ażeby przeciwko niemu tak potężną wystawie siłę, która by niewątpliwym czyniła zwycięstwo. Król podbudzony, sam też coraz się zagrzewając do rycerskiego ducha, był pełen zapału i gorliwości. Zmiana nowa doszła w nim na dobre. Z

obojętności i ostygnięcia po zborowskich traktatach wracał do ufności w siebie, w Rzeczpospolitą i pomoc bożą. Po wielu innych cudownych obrazach, u których szukał opieki, szczególne teraz nabożeństwo i ufność obudzała Najświętsza Panna Chełmska, którą miano do obozu sprowadzić.

Gotowało się wszystko przepotężnie na wojnę, królowa nigdy czynniejszą, więcej ożywioną i zajętą nią nie była niż teraz. Wiedziała, że Jan Kazimierz potrzebował był podbudzonym i posiłkowanym. Sama więc i wszyscy, których miała na rozkazy, króla zachęcali do wojny, która nieochybny tryumf sprowadzić miała.

Siły zbierały się wielkie pod wodzą króla, mające się zgromadzić oprócz wojsk

komputowych. Senatorowie, magnaci, biskupi, można szlachta ofiarowała po kilkaset ludzi.

Obietnice rejestrowały się już tak wielkie, jak nigdy, całe pułki, oddziały, po sto, po dwieście kopijników, dragonii, usarii, piechoty, które senatorowie wystawić mieli. Jedni się wysadzali nad drugich już liczbą, już uzbrojeniem i dobozem ludzi.

Króla też to rozgrzewało, iż stanie na czele takiego wojska, jakiego od niepamiętnych

czasów Rzeczpospolita nie miała. Wszyscy go o tym zapewniali. Odżył pod tym, w razie nieco

spoważniał, uczył się człowiekiem nowym i godność swą nosił, surowiej się oglądając na wszystko.

Radziejowskiemu, który równie króla nie cierpiał, jak był przez niego znienawidzonym, a między nim i Marią Ludwiką usiłował siać niezgodę, aby z niej potem korzystać, nie było to na rękę, ale tymczasowo chcąc Jana Kazimierza sobie zjednać i on kilkaset dobornej rajtarii obiecywał wyprowadzić w pole.

Królowi przy tym jego surowszym usposobieniu narażać się teraz nie było bezpiecznie.

Najlepszym dowodem tego byli ulubieni mu Radziwiłłowie i Lubomirscy, którzy nagle niemal wpadli w niełaskę. Jan Kazimierz chciał okazać, że nikomu samowoli nie przebaczy. Brat

kanclerzyny Radziwiłłowej, marszałek koronny Jerzy Lubomirski trzymał żupę solną, o którą z Rzeczpospolitą miał sprawę. Naznaczoną została komisja, w której zasiadał instygator koronny Żydkiewicz. Ten, gdy w ciągu sprawy ostro się przeciwko marszałkowi wyrażać zaczął,

zniecierpliwiony Lubomirski obuszkim go w głowę uderzył. Skarga doszła do króla jako obraza majestatu sądu przez niego naznaczonego. Jan Kazimierz pomimo życzliwości dla Lubomirskich tak mocno uczył tę zniewagę, iż ją porównał do porwania się Piekarskiego na ojca swego, Zygmunta. Gniew króla był tak wielki, że zakazał marszałkowi na oczy się sobie pokazywać na zamku w Warszawie, a później w obozie. Zagrożono nawet, iż król złożenia łaski żądać będzie.

Wielką tę surowość nie czemu innemu przypisywać było można, tylko temu usposobieniu króla, pragnącego majestatu powagę utrzymać, podnieść się i stać godnym bohaterstwa, którego się dobić obiecywał sobie. Lubomirscy i Radziwiłłowie rzucili się naturalnie do królowej o pośrednictwo, a Maria Ludwika rada była zawsze okazać moc swoje, nie odepchnęła więc ich. Do charakterystyki wieku należy, że instygator Żydkiewicz dał się później pieniężnym datkiem zagodzić!

Epizod ten wśród rosnącego wojennego gwaru przeszedł prawie nie postrzeżony.

Chmielnicki już z kozactwem plądrował na Wołyniu, Kalinowski hetman nagliło posiłki, wysyłano wieści i mandaty po województwach, aby się przygotowane pułki co najprędzej ścigały.

Strzębosz też wedle umowy chciał do wuja pod Lublin pośpieszyć. Poprosił u króla o

pozwolenie, ale Jan Kazimierz właśnie dopełniając chorągiew swoje ze czterechset dworzan złożoną, wypuścić go nie chciał. Musiał więc tymczasem pozostać, nimby się później do

Księskiego mógł przesadzić. Spodziewał się tego dokonać w zamian za siebie podstawiając innego, gdyż do królewskiej chorągwi chętnie się cisnęła młodzież.

Ruch w stolicy, na zamku, po całym kraju był ogromny. Przy ówczesnym sposobie

ekwipowania się i wojowania niemałą było rzeczą z niczego stworzyć chorągiew i wyciągnąć z nią w pole. Śmiało powiedzieć można, iż za stu dragonami tyleż co najmniej wozów, czeladzi i ciurów się wlekło. Kopijnicy swych ciężkich i kosztownych kopii nie wieźli inaczej jak na wozach, a

zamożniejszy szlachcic i starszyzna wojskowa jednym się nie obchodziła. Tabory więc niemal czasem bywały liczniejsze niż wojsko same, a owe czeladzie, jak pod Zborowem obrusy i

prześcieradła na żerdziach poczepiawszy zamiast chorągwi, występowały przeciwko

nieprzyjacielowi i biły się mężnie. Największa swoboda w znaczniejszej części tych pułków panowała w uzbrojeniu i stroju, z wyjątkiem tylko tego oręża, który jak u kopijników stanowił

właściwość jego. Sadzono się i tu na okazanie przepychu i dostatku. Stalowe pancerze pozłacano, oręż musiał być co najprzedniejszy, głównia damasceńska, a koni taki dostatek, aby ich w żadnym razie ani pod wozy, ani do wierzchu nie zabrakło. Dostatniejszy pan rotmistrz lub chorąży nie wyruszył z domu bez trzech wozów dobrze naładowanych, bez kilku luźnych koni, pachołków do nich i posługi. Jeden wóz musiał być żywnością dla ludzi i koni napełniony, drugi orężem zapaśnym, siodłami, terlicami, kulmakami i rzędami a dekami dla koni, trzeci szatami pańskimi, barwą świąteczną czeladzi, a i o namiocie nie trzeba zapominać, bo rzadko kto go nie wiozł z sobą.

Wielu też i sreberka, i cyny trochę zabierało. Pośledniejszym od drugich nikt się nie chciał okazać; więc kto by się bez wielu tych rzeczy mógł obejść łącznie, ciągnął je z sobą, aby się pochwalić nimi.

Strzęboszowi, gdy się przyszło do ciągnięcia sposobie jako drudzy, spostrzegł dopiero, że cokolwiek sobie uzbierał i miał, wszystko na to wydać przyjdzie, a na żołąd czekać potem długo. Nie spieszył już więc pomiędzy dworzan, znajomych i towarzyszków do obcych.

Rzadko też kiedy na wojnę się z taką okazałością gotowano jak na tę, chociaż po cichu

przypominali drudzy piławiecką i ogromne dostatki zmarnowane, które się w ręce Kozakom i Tatarom dostały. Nie pomogło to smutne doświadczenie, znaczniejsi panowie ciągnęli tłumnie a dwornie.

Tak wszyscy pewnymi się zdawali zwycięstwa, iż królowa sama nawet chciała towarzyszyć

mężowi, a Radziejowski nie, bez pewnej rachuby podszeptał sam żonie, iż ona także jechać z nim mogła, na co się pani podkanclerzyna w początku z ochotą godziła. W postępowaniu jego, na oko niezrozumiałym, było mnóstwo zasnutych, sieci, pozadzierzganych węzłów, przygotowanych

środków na przypadek wszelki do odegrania roli, która by mu wpływ i zysk zapewniła. Z jednej strony usiłował sobie zyskać królową, z wolna i ostrożnie w oczach jej męża poniżając, a ją podnosząc, z drugiej gotów był przez żonę króla sobie zjednać, posadzając go o wielką słabość dla niej. Wszystkie te pozaczynane intrygi nie bardzo mu się dotąd powodziły. Królowa wprawdzie słuchała, przypuszczała go chętnie, posługiwała się nim, ale nazbyt, rozumną była, aby nie czuć w tym fałszu i nie przeniknąć intrygi. Król mniej znający się na ludziach, pobłażliwy, łatwiej uraz zapominający tolerował podkanclerzego, ale instynktowo cierpieć go nie mógł i zbliżyć się do siebie nie dawał zbytnio, co Radziejowskiego niecierpliwiło, bo znał Jana Kazimierza dla innych pobłażliwym. Im się on bardziej nabijał, tym Jan Kazimierz wstręt mu okazywał dobitniej. Żona znosiła go, a dla spokoju w domu wiele przebaczała, ale znała go już nadto, aby się łączyć, że z nim kiedy szczęśliwą być może. Jawnym było teraz, że godził tak na jej fortunę, jak na te, które po dwóch

pierwszych żonach zagarnął. Przyjaciół, na których by mógł rachować, nie liczył wielu, za to pozyskiwanych kubkiem i papką wesołych towarzyszków znajdował wszędzie i tymi się posługiwał.

Wiosna się powoli już obiecywała.

Strzębosz, mając wyruszyć do chorągwi, chciał się przynajmniej z Bianką pożegnać, ale dostać się do niej było trudno, gdyż matka pilnowała okrutnie. Przez kilka dni chodził do Dominikanów, czatował na drodze, ale spotkać się z nią nie mógł. Około kamienicy stojąc na czatach, w oknie nawet nie spostrzegł nikogo oprócz starej Bertoni, ale nie darmo czasu tyle strawił na dworze pomiędzy swawolną młodzieżą, pod okiem dosyć pobłażającego pana. Z rana więc posługując królowi, gdy się ubierał, przebąknął, że stara Bertoni bardzo się żaliła i bolała, że może by Najjaśniejszy Pan ją jakim dowodem pamięci chciał pocieszyć. Król nie był w usposobieniu łagodnym i zamruczał: — A tobie co do tego?

Nastąpiło milczenie. Strzębosz się już odzywać nie śmiał, ale Jan Kazimierz pomyślał o starej słudze. Nie miał teraz nikogo, co by mu od podkanclerzyny przynosił wiadomości. Włoszki użyć nie było można, ale przez nią kogoś wyszukać, do kogoś z fraucymeru dotrzeć. Król już był całkiem ubrany, gdy się z twarzą nachmurzoną obrócił do Strzębosza:

— Idźże, powiedz tej starej, aby wieczorem się zgłosiła. Dyzmie więcej nie było potrzeba.

Porzuciwszy wszystko pobiegł na Rynek. Tym razem tak mu się powiodło, że właśnie powracającą z kościoła spotkał Blankę. Dziewczę się mocno zdziwiło, iż śmiał ją przeprowadzać na górę po wschodach. Towarzyszka stara odpędzić go próżno usiłowała.

— Ja jestem przez króla tu przysłany — odezwał się Strzębosz — więc idę śmiało.

Po wschodach podróż szła nadzwyczaj powolnie. Dyzma się zatrzymywał co chwila, dziewczę nie bardzo śpieszyło, stara towarzyszka pozostawszy na ostatku wyprzedzić ich ani napędzić nie mogła. Ale wreszcie drzwi się w górze otworzyły, śmieszki na wschodach stały się nieopatrznie zbyt głośnymi, Bertoni wyjrzała w dół i poczęła krzyżeć wniebogłosy.

Strzębosz się jej kłaniał.

— Pięknie pani przyjmuje królewskiego posła! Jestem od samego króla jegomości wysłanym do niej.

— Kłamiesz! — zawołała gniewnie Włoszka.

— Mówię świętą prawdę.

Wszedł tymczasem za Bianką na górę Dyzma, ale stara naprzód się zajęła tym, aby córkę uprzątnąć i zamknąć ją na klucz i dopiero wyszła do niego nadąsana.

— Skaranie boże z tym natrętem — poczęła wchodząc — nie miałby też król kogo innego do mnie wyprawić!

— Z pewnością Najjaśniejszy Pan dziesięciu by miał do wyboru na miejscu moim —

odezwał się Strzębosz — ale widzicie jawnie, że mnie i miłość moje król ma w opiece, dlatego mnie tu zawsze posyła.

Bertoni zagryzła usta.

— Sprawże swoje poselstwo, ja czasu nie mam — rzekła sucho.

— Najjaśniejszy Pan kazał mi powiedzieć, abyś pani dziś wieczorem przyszła ha zamek, ale do nikogo się nie zgłaszała tylko do mnie, a ja ją wprowadzę.

Starej twarz szerniała z gniewu; mruzczała coś, ale tak niewyraźnie, że Strzębosz mógł się tylko dorozumiewać przekleństw. Nie odpowiedziała nic. Czekał.

— Cóż mam odnieść? — zapytał.

Nazzymawszy się długo, Bertoni zwróciła się z miną pogardliwą ku niemu.

— Przyjdę — rzekła — ale waszmość sobie nie pochlebiaj i nie wyobrażaj, żebym ja

kiedykolwiek, choćbyś jaką miał protekcją króla, pozwoliła się zbliżyć do mego dziecka. Sto razy to słyszałeś ode mnie.

— Tak jest — odparł Strzębosz — słyszałem, słucham, słyszę, i nie wierzę.

Chciał mówić dłużej, ale Włoszka do najwyższego stopnia rozdrażniona rzuciła się ku drzwiom i wyszła, zamykając je za sobą. Dyzma po chwili wynosić się musiał.

Wieczorem król sam zagadnął o Włoszkę, wprowadził ją Strzębosz. Jan Kazimierz stał zakłopotany.

— Widzisz — rzekł do niej — gotuję się na wielką wojnę. Raz z tym obrzydłym

chłopstwem skończyć potrzeba, co. przy pomocy bożej teraz się musi dopełnić. Wkrótce

wyciągniemy.

Przeszedł się po izbie parę razy.

— Masz tam kogo znajomego we fraucymerze podkanclerzyny? — zapytał nagle, stając przed starą.

— Ha! Jeszcze to nie wywietrzało! — odparła Bertoni. Król się zmarszczył.

— Nie mów mi o niej lekko — rzekł poważnie — to jest kobieta nieszczęśliwa. Wybrała sobie takiego męża.

— Co jej się bałamucić nie pozwala — rozśmiała się Włoszka, ale Jan Kazimierz nogą uderzył w podłogę i pogniewał się.

— Nie waż mi się mówić tego!

Włoszka ruszyła ramionami, podparła twarz ręką i stała milcząca.

— Masz kogo znajomego we fraucymerze? — zapytał król.

— Pewnie, że mam — poczęła Bertoni. — Sama pani podkanclerzyna była dla mnie łaskawą, kupowała u mnie koronki, jedwabie.

Łagodniejąc przystąpił Jan Kazimierz do niej.

— Zajdź tam, ale nie ode mnie, nie, dowiedz się, co się tam dzieje! Jak oni z sobą są? Ten gbur jej wszystko na przekórczyni. Ona się zalewa łzami. Dowiedz się, przyjdiesz mi donieść, ale o mnie nie ma mowy. Jestem królem i opiekunem, więcej nic, ro- zumiesz, więcej nic. A sprawisz się źle, nie pokazuj mi się więcej na oczy.

Mówił tak poważnie, stanowczo, po królewsku, że Włoszka nawykła się z nim bardzo

poufale obchodzić, tym razem spokorniała. Skorzystała tylko z posłuchania naprzód prosząc, aby jej król Strzębosza nie posyłał nigdy, potem się uskarżając na zaniedbanie i zapomnienie.

— Mam i bez tego dosyć na głowie — odparł król w końcu — nie pora teraz bzdurstwami

się zajmować, a ja o wiernych sługach przecie nie zapominam nigdy. Co się tknie Strzębosza, taki on dobry, jaki i drugi, a ja go lubię.

Wyrzekłszy to król odwrócił się.

— Daj mi Wiadomość — dokończył jeszcze i już na Włoszkę nie zważając, przeszedł do

karłów, którzy się w sąsiednim pokoju swym zwyczajem czubili. Jedna z małą na łańcuszku wmięszała się też do domowej wojny i naśladując karłów po głowie Babę tłukła. W sam czas je rozerwano.

Trzeciego dnia Bertoni była na zamku i usiłowała przez któregoś innego z dworzan dostać się do króla, ale ci uprzedzeni pozbywali się jej poty, aż nadszedł Strzębosz. Z wielką uprzejmością wprowadził ją do garderoby, bo tu król podobne odwiedziny zwykł był przyjmować. Bertoni zaczęła opowiadać z żywością wielką.

— Dostałam się do pani podkanclerzyny, ale gdyby nie koronki i jedwab, pewno by mnie nie dopuścili, taki tam dozór nad wszystkimi, co wchodzą do pałacu. O, nie tak, jak bywało za Kazanowskiego! Naówczas ona tam była panią i królową, a teraz jest niewolnicą. Tak mnie wzięli na spytki, żem myślała, iż się chyba nie dostanę do jejmości. Musiałam się składać koronkami i jedwabiem. Dopiero po wielu ceregielach, z ręki do ręki doszłam do samej pani. A, jak się ona zmieniła! Zmizerniała, zżółkła! Oczy zapłakane, ale sobie rady da, bo w niej czuć panią. Ja bym też na miejscu męża być nie chciała!

Król poruszył ramionami.

— Musiałam być bardzo ostrożną — mówiła dalej Bertoni — bo to po takich domach nie nowina pode drzwiami słuchanie. Więc dopiero dobrą chwilę wypatrzywszy, szepnęłam jej, że może ja tu od siebie nie przyszłam, że wysoka osoba się mocno o los jej niepokoi, ale uchowaj Boże, o Miłości Waszej mowy nie było. Więc się naprzód biedne kobiecisko rozplakało, ale potem kiedy to nie. zaczęło narzekać na ten dzień i godzinę, gdy mu swą rękę dała. No, ja tam nie wiem, ale oni chyba z sobą żyć nie będą. Ona męstwa nie straciła. Powiada mi potem: „Mam dwóch braci do mnie przywiązanych, potrzeba będzie, oni mi w pomoc przyjdą. Ja się tak wywłaszczyć i wyzuć nie dam, jak te dwie ofiary, które on zamęczył i odarł. Nie! Będę dla niego karą bożą za wszystkie grzechy jego! Uczynił mnie nieszczęśliwą, ja mu też nie dam spokoju zażyć bo go niewart!”

Zatrzymała się Włoszka nieco, król słuchał z uwagą wyteżoną, a twarz mu się mieniła litością i oburzeniem.

Bertoni ciągnęła dalej:

— Potem znowu popłakawszy, powiada mi: „Tymczasem mój pan mąż złagodniał trochę, ja też nie wydaję wojny. Znowu niby żyjemy w pokoju, choć on nie potrwa. Był nawet tak uprzejmym, iż mi doradzał, abym mu towarzyszyła na wyprawę, ponieważ królowa jejmość także ma podobno jechać”.

— To niech i ona jedzie! — przerwał król z widoczną radością. — Niech jedzie!

— Ona też nie ma nic przeciwko temu, ale powiada, że to podstęp jest i chytryść, że albo nie wierząc

jej chce ciągnąć za sobą, albo coś zamyśla, czego teraz odgadnąć trudno.

— Obawiać się nie ma czego, znajdzie obrońców — wyrwało się królowi niebacznie. — W podróży, na oczach ludzi nie będzie mógł jej prześladować, folgować musi, sam by się potępił.

Bertoni mówiła jeszcze:

— Biedna pani! A co tam za dostatki i przepych koło niej! Cóż z tego, gdy wszystko oblane łzami!

Król ręce zacierał.

— Moja Bertoni — rzekł — jeżeliś już raz się tam dostać umiała, a koronki ci otwierają drzwi, jak tylko będzie można, dowiedz mi się znowu i przynieś mi wiadomość.

Włoszka głową dała znak, że gotowa jest to uczynić.

— Dobrze, królu mój — odezwała się — ale niechże ja mam co za mój trud, a nie potrzebuję więcej tylko, żebyś mi nie przysyłał tego młokosa swojego dworzanina, bo mi dziecko bałamuci, a ja mu jej nie dam.

Uśmiechnął się król.

— Chłopak uczciwy, przystojny i ja go lubię. Co ty masz przeciw niemu?

— Najpierw, że goły jak turecki święty — zawołała podrażniona Bertoni — po wtóre, że ani domu, ani łomu, nazwisko lichy wie jakie, a ja córki nie wydam, tylko za senatora!

Król szczerze się śmiać począł.

— Aby tak była z nim szczęśliwą, jak podkanclerzyna z tym gburem!

To rzekłszy i nie przedłużając już rozmowy wyszedł, a Włoszka miała tę zgryzotę, że Strzębosz ją wyprowadzał aż na dół po schodach i choć milczała, rozmową zabawiał.

Przygotowania do podróży były powszechnym zawieszeniem broni. Radziejowski, który na wyprawę tę wiele dla siebie rachował, wybierał się w drogę z wielkim dworem i - taborem, a że żona jechała z nim, szły więc najpiękniejsze kolebki, kuchnie, srebra, namioty tureckie, kobierce adziamskie, wszystkie Kazanowskich splendory, na których, niestety, herby tkane nie dozwalały podkanclerzemu ukazywać ich za swoje. Miała wszakże służba nakaz surowy opony, kobierce i wszystek sprzęt z herbami tak stawić i pokrywać, aby owych godeł nie było widać.

Ponieważ wojewodowie i wojskowi naczelnicy każdej ziemi sami osobiście mieli prowadzić

pospolite ruszenia, więc przed samym króla wyjazdem do Lublina około niego oprócz pieczętarzów mało kto pozostał.

Radziejowski, choć miał rajtarią do stawienia, zlecił ją pułkownikowi, sam się nie ruszając od dworu i królowej. Zależało mu na tym bardzo wiele, aby sobie Marię Ludwikę pozyskać.

Chociaż król i królowa teraz wielce byli przykładnym małżeństwem, a Jan Kazimierz pod wpływem wojennego ducha płochości się pozbył na teraz, Radziejowski jednak wiedział, że królowa męża znała i wielkiego afektu dla niego ani zaufania w nim mieć nie mogła. Na to rachował. W rozmowach wychwalał on przed nią króla, lecz w sposób zdradziecki, przypinając mu zawsze jakąś łatkę, co gorzej, czyniąc go śmiesznym w jej oczach, o co nie było trudno. Karły, małpy, zabawki króla, jego powolność dla służby, niestałość umysłu, choć Radziejowski wielbił

serce, szlachetność, dobroć, dostarczały treści do przekąsów, a najmniejsza okoliczność, zrećźnie wyzyskiwana, pozostawiała ślad po sobie.

Podkanclerzy szczególnie nalegał na to, choć nie całkiem się niby odkrywając ze swą myślą, iż całe powodzenie wyprawy zależało od Marii Ludwiki i dowodził, że król powolnością swą mógł popsuć wszystko, iż ciągle bodźca potrzebował i straży, a nikogo oprócz żony nie słuchał.

Pochlebiano to królowej, która wierząc w to, iż Radziejowski im i Rzeczypospolitej życzył dobrze, w istocie gotową była się poświęcić i w podróż się wybierała. Chciał, jak powiadał, wziąć z sobą żonę, aby bytność królowej w obozie nie była tak rażącą, na co królowa się godziła, choć pani podkanclerzyny nie lubiła coraz więcej.

Na pozór więc wszystko się inaczej układało, niż było w istocie, a przebiegły intrygant zacierał ręce, obiecując sobie korzystać z zawikłań i w potrzebie wywołać je, aby potem wystąpić jako pośrednik. Z królową szło mu stosunkowo pomyślnie, ale z królem, który nie umiał udawać i zdradził się, Radziejowski rady sobie dać nie mógł. Wcisnął się do niego, nachodził, przesiadywał, narzucał, służył, nie mogąc w żaden sposób chłodu i wstrętu jawnego przełamać. Król był

zmuszonym go przyjmować i słuchać, ale czynił to z tak wyraźną odrazą, iż podkanclerzy płaszczący się, zabiegający, w końcu zniechęcił go, nie mogąc oszukać. Nie dawał jednak za wygraną.

— Czekać — mówił w duchu — będziesz ty mnie potrzebował, zmuszę cię, że się staniesz słodkim, ale wówczas ja będę drogim i za lada co nie dam się kupić.

Oplatać króla, wprowadzić go w kłopot, przymnożyć mu troski, było całym staraniem podkanclerzego. Poza oczyma nie wahał się wyśmiewać go i każdą jego czynność przedstawiać albo jako śmieszny, albo jako podyktowaną mu przez królowę. Właśnie w tej chwili, która w ciągu całego panowania a może i życia Jana Kazimierza jest najjaśniejszą, gdy on w istocie duchem się umiał

podnieść i dłużej utrzymywać na tej wyżynie niż kiedykolwiek, podkanclerzy go zmniejszał

w oczach ludzi i zaufanie ich mu odejmował. Stosunek ich był wielce osobliwy. Podkanclerzy zwykle, rozmówiwszy się z królową wprzód, szedł na pokoje do Jana Kazimierza, a jako

pieczętarz miał sobie zawsze otwarte podwoje. Król, już słysząc go nadchodzącego, zasępiął się, krzywił i ustawiał tak, aby się albo kim od niego zasłonił, albo jakimś zajęciem uwolnił od rozmowy. Naówczas rozpoczynała się formalna gra między nimi. Z bezwstydnos- cią i

natarczywością cyniczną, jeżeli król zwrócił się na lewo, podkanclerzy przechodził na lewo, gdy król przeszedł w prawo, zabiegał z prawej. Król mówił do kogo innego, na niego nie patrząc, on odpowiadał głośno, głośzył zapytanego i nie dawał się zbyć milczeniem. Niekiedy tak z pokoju do pokoju ścigał swą ofiarę i doprowadzał do najwyższego stopnia zniecierpliwienia. Często, aby się go pozbyć, Jan Kazimierz na żądanie jego przystawał, dawał mu, co chciał. Radziejowskiego razem bawiło to i złościło, że pokonać nie mógł wstrętu i uprzedzenia. Widział na drugich, że król powolny dawał się skłonić im do życzliwego usposobienia, względem niego zaś co dzień był

wyrażniej niechętnym, mścił się dokuczliwością swoją.

W ostatnich czasach on, co nigdy z królem o żonie swej nie mawiał i w rozmowie o niej nie wspominał, umyślnie dla wypróbowania coś o niej napomknął. Jan Kazimierz nie usłyszał.

— Muszę się Waszej Królewskiej Mości pochwalić — rzekł jednego dnia — z moją

miłościwą panią małżonką do zbytku przez nieboszczyka pieszczoną, miałem srogie utarczki i przejścia, ale wszystko się szczęśliwie jakoś ukończyło pożądaną zgodą. Jejmość będzie królowej pani towarzyszyła zapewne w podróży.

Milcząc król spojrzał.

— Trzecią żonę mam — dodał żartobliwie podkanclerzy — *expertus sum* jak z niewiastami postępować potrzeba, pochlebiam też sobie, iż pani podkanclerzyny afekt pozyskam, choć przyznam się, niemało to trudu kosztowało.

Ani słówkiem nie chciał król na to zwierzenie się odpowiedzieć, ale Radziejowski nie zrażony mówił dalej:

— Byłem zmuszony pewne wpływy, których się łatwo było domyśleć i pewne stosunki

pozrywać. Są ludzie, co małżeństwa różnić mają sobie za zabawkę. Moja Elżunia miała przyjaciół i pochlebców do zbytku; z wolna ich poodsuwałem i oddalę. Teraz do niej nikt bez mej wiedzy przystępu nie ma.

Przybycie kanclerza szczęściem przerwało dalsze wynurzenia, które królowi wielką

przykrość czyniły. Radziejowski wobec poważnej osoby duchownej zamilknąć musiał i począł biskupowi dworować.

Tego rodzaju dokuczliwe napaści powtarzały się niemal co dzień, a król nie miał sposobu zamknięcia się przed nimi. Radziejowski często przychodził jako posłany przez królową, a wówczas jeszcze był zuchwalszym, bo się wciskał aż do sypialni. Dworzanie wszyscy doskonale znali ten stosunek i pomagali panu swemu do pozbywania się podkanclerzego, lecz jego

zuchwalstwo przechodziło wszelkie granice. Spróbował Radziejowski na niechęć Najjaśniejszego Pana ku sobie zalić się przed królową, która wspomniała o tym mężowi. Jan Kazimierz, co mu się względem żony rzadko trafiało, zżymał się.

— Ale czegoż ten człowiek chce ode mnie?! — zawołał. — Dałem mu pieczęć, do której godniejszych było siła, ma starostw dosyć, ożenił się bogato, niechże siedzi spokojnie! Że ja jego konwersacji i towarzysztwa nie lubię, tego nie taję.

— Jest to przecie człowiek — wtrąciła królowa — który i wielce pożytecznym być może, i bardzo szkodliwym być potrafi. Lepiej go mieć z sobą niż przeciwko sobie.

— Ja bym wolał — odparł żywo król — ani za, ani przeciw go nie znać, bo mi wstrętliwym jest. Powiadają o naszym protoplascie Jagiełłę, że odoru jabłek znieść nie mógł, otóż ja tak samo odoru tego podkanclerzego nie znoszę.

Uśmiechnęła się królowa.

— Nie zapominajcie, że królem jesteście — rzekła — Wkłada to obowiązki. Wszak my obcować musimy ciągle z ludźmi nieznośnymi.

Król mocno westchnął, ale dla odwrócenia rozmowy począł mówić o obrazie chełmskim, o ślubie uczynionym do Częstochowy, o przepysznym ołtarzu hebanowym ze srebra, który tam fundował Ossoliński, o obrazach cudownych w Bełzie, w Czerwieńsku, w innych miejscach. Chełmski obraz miał być zabranym do obozu i towarzyszyć w ciągu wyprawy.

Królowa milczała, odezwała się potem o swych francuskich zakonnicach, które osiedlała w Warszawie, o księdzu de Fleury, spowiedniku swym, o wyjeździe i wielkiej ochocie towarzyszenia mężowi i tak ten nieszczęśliwy podkanclerzy został zapomnianym.

Nazajutrz król, który dla żony był nadzwyczaj powolnym, starał się podkanclerzemu okazać nieco względniejszym, przemówił kilka słów, dał mu coś sobie opowiedzieć, nie unikał go.

Radziejowski natychmiast się dorozumiał wpływu pani i mocno był tym uradowany, ale względem króla nie zmienił postępowania.

Rozdział VII

W obozie pod Lublinem, gdzie się zrazu wojska ściągały, daleko teraz było więcej życia i ruchu niż w stolicy. Zbierały się komputowe pułki, a każdy ze starszych gotował się do tej wyprawy, już zawczasu obrachowując, ile według prawa trwać może pospolite ruszenie i wojna.

Nie troszczono się o jej skutki i następstwa, ale o koszty i ciężary. Tylko stare rycerstwo cieszyło się wojną. Znajomy nam Księżki, który w Sobieskich pułku służył, teraz w dywizji Lubomirskiego rotmistrzował i tu z sobą przyniósł swój humor zawsze rzeźwy i wesoły, ducha wojaczego i ochotę do walki. Obfitowała też ona w podobnych jemu weteranów posiwiających na usługach

Rzeczypospolitej, dzielnych wojaków, ale ludzi niepospolitej oryginalności, jakiej dziś na wygładzonym świecie i jak szpalery obciętych wielu nie widać. Wówczas jeszcze rośli ludzie jak drzewa w lesie, swobodnie puszczając fantazji swych gałęzie.

Księżki ze swym ostrym językiem a dobrym sercem, choć sływał szeroko, nie był jeszcze

jednym z tych, co ich sobie w wojsku, palcami pokazywano, a o których chodziły legendy takie, że się im wierzyć nie chciało.

Przed wyruszeniem króla z Warszawy, gdy Strzębosz się przekonał, że w chorągwi

królewskiej dla wymaganych od towarzyszków uzbrojeń i wyposażenia wytrwać mu będzie trudno, odprosił się do wuja i pośpieszył do Lublina. Wuj mu listem do wysztyftowania się przy swym boku dopomóc obiecywał, miał u niego zapewniony wikt i opiekę, puścił się więc w imię Boże.

Zdawało mu się, że gdy tu przybędzie, nic łatwiejszego nie będzie miał nad wyszukanie Księżkiego, ale zawóz, jak mówiono, był tak wielki, że choć Staszka znali wszyscy, nikt nie umiał powiedzieć, gdzie go szukać, nie wiedziano nawet, czy pod namiotem był w obozie, czy na mieście. Cały dzień straciwszy na przepytywaniu, dopiero pod wieczór, zmęczony, głodny, wywłóczywszy się po Winiarach, po Tatarach, po uliczkach i rynkach, Strzębosz trafił na gospodę Księżkiego.

Powitanie było bardzo serdeczne. Zdał zaraz egzamen Dyzma z tego, co miał i z tego, czego mu brakło. U Księżkiego, jak zwykle, izba pełna była przyjaciół, ale tu obejrzawszy się po nich Strzębosz, dopiero sobie mógł stworzyć jakieś pojęcie starego rycerstwa. Dwu twarzy nie było do siebie podobnych, a żadnej takiej, na którą by patrząc człowiek nie musiał myśleć i zgadywać, co to za jeden może być. Poodziwiani byli na teraz najdziwaczniej, jedni z czerkieska, drudzy z tatarska, po włosku, od fantazji, czapka u każdego inna, odzienie krótkie do zbytku, to długie bez miary, a twarze? Pokiereszowane, porąbane, niektóre prawie do kości, ta bez oka, inna z policzkiem wklęsłym od kuli. Ale sroga przy tym buta u każdego, a humory tak rozmaite, jak oblicza.

Niektórzy, jak siedli na ławie i podparli się na stole rękami, siedzieli godzinę słowa nie mówiąc,

innym się gęba nie zamykała, nucili niektórzy. Wzięto zaraz młokosa na spytki.

— Kiedy król z Warszawy rusza? Czy prosto do Lublina ciągnie? Czy prawda, że królowa z fraucymerem za nim dąży?

— Niechżeby o skrzypkach nie zapomnieli — mówił Księski — nim tatarskiego zatańczym, warto by gawota też pójść.

— Aleć to śmiechu warto — wtrącił jeden stary — mało i tak wozów i ciurów mamy, żeby jeszcze babami tabor powiększać? Przyjdzie do starcia z kozactwem, trzeba będzie dywizją na straży około podwik postawić.

— Mnie się zdaje — przerwał Strzębosz — że królowa tylko męża przeprowadzi, ale gdy o nieprzyjacielu zasłyszemy, do Warszawy powróci. Mówią wprawdzie o matce jej, że prawą amazonką była i bardzo wojowniczego ducha, ale nie sądzę, aby na koń się chciała.

— Co się króla tknie — mówił dalej Strzębosz — nikt nigdy go tak podbudzonym do rycerskiego rzemiosła nie widział jako teraz. Nim żyje, o nim myśli, budzi się dopytując o wojska, po całych dniach się nim zajmuje. Daj tylko Boże, aby ruszenie dopisało! Drugie wici już poszły, a trzecie pewnie stąd wyprawione będą.

Przez bardzo długi czas trwały rozmowy u Księskiego, ale o mroku, ponieważ po mieście trudno było się nocą dostać do gospód, wszyscy się rozchodzić zaczęli.

Strzębosz jako tako ludzi i konie pomieściwszy, został przy wuju.

— A, ojciec mój! — zawołał Dyzma, gdy się porozchodzili i zostali sami. — Jak mi Bóg miły, żyjąc już na świecie trochę czasu i ludzi widziałem gromadkę, ale takich, jakich tu dziś spotkałem, wcalem nie spotkał.

Księski się rozśmiał.

— Cóż ty tam w nich widzisz tak osobliwszego? — Wszystko — mówił Strzębosz — począwszy od twarzy aż do butów, nie wyłączając mowy i obyczaju.

— Boć to nie są mieszcuchy — mówił Księski — wychowane w klatkach, ale prawe stare rycerstwo, zrosłe i posiwiałe w polu, ludzie, co życie ciągle stawić zmuszeni, używają go też po swojemu. Widziałeś na ławie ogromnego tego w opończy niepoczesnej, z twarzą chudą, głową

spiczastą, policzkami wciągniętymi, oczyma przeszywającymi, niemłodego już pana brata, który dłonią ciągle stół tarł, tak ręka z bezczynności świerzbiała? U nas to sławny człęk — mówił

Księski. — Teraz to się na mało co nam przyda, ale niechby no na Wołoszczyznę, na zajęte przez nieprzyjaciela ziemie przyszło iść, bez tego człowieka z głodu by wszyscy pomarli. Dano mu też w Inflanciech pono przezwisko „Wielki Picownik Koronny”, bo gdy paszy dla koni, a dla ludzi chleba było potrzeba, gdzie już dziesięciu przeszło i nie znalazło nic, nasz Węgorzewski nie wiadomo w jaki sposób i chleb, i obroki zdobywał. Wyprawiano go, jechał flegmatycznie rozglądając się, milcząc, postępując, a nigdy z próżnymi nie powrócił rękami. Ci, co widywali go, jak operował, nie mogli się nachwalić jego przenikliwości. Jak psy tropią zwierza, tak on umiał wysledzić i schowki, i niedostępne kryjówki. Na tym nie dosyć: Znalazł ludzi i budynki, ale i tu wszystko pochowane, grabże się i macaj, a czas trać! Węgorzewski miał taki tryb postępowania z ludźmi, że mu się zdradzali sami. Dopieroż następowało wybieranie, ale za kwitami; Uchowaj Boże, nigdy nie przywłaszczył sobie nic bez skryptu.

— Niech się biedaki choć tym kawałkiem papieru cieszą — mówił. — Czy im zapłacą za to, nie moja rzecz, ja podskarbin nie jestem, a z głodu ludziom i koniom zdychać nie mogę dać.

Na lamenta zaś Węgorzewski, ręce składając, odpowiadał: — Żal mi was, biedne, ludziska, ale wojna ma swoje prawa. Odmawiajcie supllkację od powietrza, głodu, ognia i wojny, ja na to nie mogę nic.

W wojsku to wiadoma rzecz — mówił dalej Księski wyprawiać kogo za chlebem i paszą, a zechce mu się kto okupić po cichu, da talarów kilkanaście i zepchnie na sąsiada. Z Węgorzewskim tego sposobu zażyć nikt nie mógł, bo pieniędzy nie brał od nikogo, ale też nie oszczędził, chyba wdowę i sieroty. Zresztą choć go do rany przyłożyć. Ten, co za stołem siedział albo raczej leżał na ławie, duży człęk, z nosem ogromnym, kościstym, milczący, nie wiem, czyś go baczył?

— Ale ba! — przerwał Strzębosz. — Jam ich wszystkich zarejestrował, wydał mi się ciężkim i niedźwiedziowatym.

Księski się rozśmiał.

— Toż to szermierz sławny, a imię mu Przeclaw Gorzyński. Co ten człęk ludzi naścinał,

tego nie zliczyć, a zawsze w jeden sposób. Prawda, że i konia ma ułożonego po temu. W starciu on zawsze staje w pierwszym rzędzie, a z kraju. Na koniu, że ma nogi długie a korpus krótki, nie widać go tak bardzo silnym. Heca z nim zawsze jedna. Wyjeżdża niby na harc, nieśmiało, z wolna; pomknie się kto do niego, złoży się z nim raz, drugi i poczyną uchodzić. Goni go, naturalnie, nieprzyjaciel, zwalnia kroku oddaliwszy się nieco, dopuści go sobie niemal na kark, a potem jak się nie odwróci, jak nie chlaśnie koncerzem, albo łeb rozplata, albo zetnie. Za czym otarłszy miecz wolnym krokiem do szeregu, w ściśniętym rzędzie ciasno mu, nieswój bije się, ale nie tak ochoczo, dopiero gdy może wywabić w pole, tam już jak w domu.

Z tatarskiej raz wyprawy powróciwszy do domu, powiadają, w trokach przywiózł worek u siodła. Jejmość tedy uściskałszy małżonka, nuż jego węzółki rozpatrywać. Trafiła na worek. — A to co? — Pan Przeclaw się skrzywił. — E! To... jechaliśmy jodłowym lasem, rydzów sobie uzbierałem, ale bodaj już świeże nie będą.

Jejmość nuż węzółki rozplątywać, kiedy spojrzy wewnątrz, krzyknęła i mało nie padła.

Worek był pełen poobcinanych uszów tatarskich. Chcieli zaraz precz cisnąć, ale kazał policzyć wprzód. — Już tam nie wiem, ile ich było — zaklinał się tylko, że więcej niż po jednym uchu od głowy nie brał.

— Czekaj ino, chłopcze — dodał, śmiejąc się, Księski — tylko się po wojsku rozpatrzysz.

Nie królewskie to pokoje, gdzie wymuskani paniczycy jak woskowe lalki stoją, jedne do drugich podobne; tu każdy takim jest, jakim go Pan Bóg stworzył.

Nazajutrz poszli z Księskim po starszyźnie i do obozu, po znajomych i przyjaciółach

Staszka. Strzębosz, który nigdy między takimi ludźmi nie bywał, uczuł, jakby się w świeżej skąpał wodzie. Lecz pocieszyć się, ale i zafrasować czym było, bo natrafili pod namiotami na waśnie, na guzy, na takie zajścia, że ich żadna siła ha- mować i uspokoić nie mogła. Sądy wojskowe, postawione przez króla, z trudnością wszystkiemu zaradzić mogły, bo oprócz towarzystwa i pocztowych, siła ciurów i czeladzi kręciło się i dokazywało sądząc, iż przez to, że do obozu należeli, wszystko im już było wolno. Szły więc nieustające skargi, bo po przedmieściach napadano na dworki i ekscesa się działy okrutne, a wpadli potem rozpasani w tłum, to ich tam ani wyszukać było, ani poznać, a swój swego nie zdradził. Tymczasem jednak bardzo tu było wesoło. Z miasta przekupniów mnóstwo pod szałasami szynkowali, sprzedawali żywność, rozmaite przybory, a i podejrzanych andaraczków snuło się mnóstwo, które podówczas zwano, nie wiem skąd,

„fracymyrem św. Marka”? W niektórych namiotach panów rotmistrzów i pułkowników, u dowódców oddziałów stoły jak na wsi dla gości nakryte i zastawione po całych dniach trzymać musiano. Gdzie kopijnicy szli, z dala ich było można poznać, bo albo lasem stały powbijane w ziemię kopie z długimi do ziemi proporcami, albo na wozach ogromnymi leżały kupami. Każdy też oddział miał zapaśne, bo to się w pierwszym starciu kruszyło łącno bardzo. Obozowisko z dala niejednakowo wyglądało, bo było tam wszystkiego pełno: i wozów, i szałasów kleconych z tarcic i takich paradnych, że jak kaplice wyglądały, i płóciennych namiotów obok. Na chorągwiach też nie zbywało.

Nauczył się tu Strzębosz, że chorążego tytuł nie był próżnym, a do pospolitego ruszenia, gdzie trzeba było bronić czci swej ziemi, dobierano zwykle na chorążych silnych, dzielnych, takich, co by nie lada się komu dali obalić. Już samo dźwiganie drzewca z proporcem niełatwe było, a w bitwie, gdy chorągiew szła przodem, nieprzyjaciel zwykle na nią impetem uderzał; bronić jej musiał

chorąży, jak to było pod Zborowem, pokrywszy ciałem własnym, gdy obie ręce postradał. Na tych

panów chorążych było co popatrzeć, rzadko bardzo który z nich postradał, co niósł, i to chyba z żywotem.

Zaledwie obszedł kawał obozu tylko, zakręciło się w głowie Strzęboszowi, taką tu znalazł różnaitość uzbrojenia i ludzi. Pułki się jeszcze ciągle powoli zbierały, ustawiały i skupiały wedle dowódców, pod którymi miały służyć. Pułkownika też swojego, Nadolskiego, któremu chciał siostrzeńca przedstawić i polecić, nie mógł łatwo odszukać Księski. Każdemu innemu jeszcze by to trudniej przyszło, ale Staszek był znany wszystkim i miał przyjaciół nawet w tych, których sam osobiście nie znał. Chętnie więc go informo- wano. Nadolskiego pomimo to niełatwo było odszukać, choć jako pułkownik powinien był gromadnie i wystawnie się okazać. Lecz należał do tych wyjątkowych oryginałów swojego czasu, którzy nie szli owczym pędem za innymi.

Nadolski był, jak mówiono, skąpy i takim się mógł wydawać, chociaż w istocie i właściwiej nazwać go było potrzeba rygorzystą. Gdy inni pułkownicy występowali gościnnie do zbytku, tym łatwiej popularności dorabiając, ów wcale stołów nie nakrywał, a co najwięcej jeśli kogo kieliszkiem wódki i zakąską poczęstował.

— Ichmościom, co do mnie przychodzą, łyżka krupniku lub zraz pieczeni u mnie nie są tak bardzo potrzebne, a gdy ja pięćdziesięciu ich nakarmię i napoję, zrobi mi to dziurę w kieszeni.

Wolę ubogiemu dać.

Więc ani namiotu wielkiego nie miał, ani tylu wozów co inni, ni służby i ciurów.

Wystawności też około siebie nie cierpiał.

Gdy obóz po kilkakroć przebrnąwszy znaleźli się wreszcie w kącie, w którym wojsłokowy

prosty namiot Nadolskiego był rozbity, znaleźli go samego jednego z pisarzem pułkowym nad rejestrem. Człowiek był już niemłody, zawiędły, suchy, z wąsem podstrzyżonym, z głową

wygoloną czysto, odziany tak, że się w nim dowódcy trudno było domyśleć. W namiocie też dostatku wielkiego nie było można dopatrzeć, ale to, co w nim leżało, odznaczało się trwałością i utrzymaniem. Broń lśniła się i błyszczała poczyszczona, siodła aż do sprzężek były powycierane z kurzu i opatrzone. Sam Nadolski w ciemnej opończy na żupan buraczkowy wdzianej, w butach czarnych wyglądał na hreczkosieja więcej niż na żołnierza, choć życie całe spędził w wojsku. Lecz był to żołnierz swojego rodzaju, którego się szeregowi więcej obawiali, niż okrzykiwali. Żadnemu z nich nie pofolgował, ale też nikomu ze swoich nie dał czynić krzywdy i opiekował się nimi jak dziećmi. Wadziło mu i to w oczach towarzyszków broni, że do związków krzykliwych, do

burzliwych kół i konfederacji należeć nie chciał, gdy go drudzy pociągali, odpowiadał:

— Każdy ma swój rozum; czyńcie waszmość, jak się im spodoba, ale mnie dajcie pokój. Ja

się o żołd upomnę, ino dla niego nieładu i rozterki a daremnego gardłowania nie chcę.

Oratorem też Nadolski nie był i retorów nie cierpiał,, gdy przy nim się który do długiej oracji zabierał, nakładał kołpak na głowę i szedł precz.

— Wodę warzą! — mówił machając ręką.

W codziennym obejściu się człowiek był zimny, ani poznać w nim kto mógł tego, jakim się on stawał, gdy przyszło wyjść w pole naprzeciw nieprzyjaciela. Śmiało mu się lice naówczas i powoli rozpalał się tak, że w końcu zwykle porąbany, potłuczony, jak bezprzytomny schodził z pobojuwiska. Dwa razy był w tatarskiej niewoli, a salwował się z niej małym okupem przez to, że Tatarzy z odzieży i pozoru ludzi szacowali, więc ów niepozorny Nadolski za ubogiego szlachcica miany, lada czym się im mógł opłacić. Przez czas pobytu swego na Budziaku i w Krymie, nie mając nic do czynienia krom, że wodę nosił i pono w żarnach im tam proso otłukał, i wyuczył się języka mówionego, co mu się potem często przydawało, ale pisma arabskiego i tureckiego nie znał.

Chciał go pan Otwinowski uczyć, podziękował mówiąc: „Za stary jestem, a tłumaczem już nie pretenduję zostać”.

Człowiek był poczciwości rzadkiej i pobożny, ale z nabożeństwem, gdy drudzy się chwalili, on się prawie ukrywał. Z tego, co czynił, zresztą nierad się komu tłumaczył. Nie potrzeba nawet mówić o tym, iż jak drudzy chętni chlebobdawcy, co marnowali grosz łatwo, Nadolski popularnym w wojsku nie był, ale go szanowano.

Gdy wszedłszy do namiotu, Księżki mu siostrzeńca okazywał i polecał, Nadolski pilno mu się przyglądał, od stóp do głów go mustrując.

Dowiedziawszy się że ze dworu wprost tu przybywał, trochę się skrzywił.

— Nowicjat jeszcze waszmość u mnie odbywać musisz — rzekł — bo my tu po prostu żołnierze, a przybywasz stamtąd, gdzie się ludzie rozpieszczają.

— Właśnie też — przerwał Księżki — chciałem go tu mieć, aby mi nie zbabiał na dworze.

Chłop zdrow, a ochotę ma, niech się zahartuje, będzie z niego żołnierz.

— Co daj Boże — dodał Nadolski i spytał Strzębosza:

— Rychło li król, pan nasz miłościwy przybędzie?

— Sądzę, że wprędce — rzekł Dyzma — bo on sam niecierpliwym był, zwłaszcza, gdy od

hetmana Kalinowskiego nadeszły wieści, ale wybór ze dworem niełatwy, a i królową jejmość przeprowadza.

— Słyszałem o tym i wierzyć mi się nie chciało — odparł Nadolski — ale my tu komedii

grać nie będziemy, na które by patrzeć zabawką było. Jejmościom, choćby i królowej pani tu nie miejsce.

— Oprócz królowej innych też pono wybiera się za nią wiele — szepnął Strzębosz.

— Tego nam brakło — zamruczał Nadolski — Kozacy się chyba tym uradują, bo kobiety bez klejnotów i fraszek nie pojedą, a to łup dla nich pożądany.

Splunął pułkownik, zajrzał potem w registr pisarza, który z piórem zawieszonym nad papierem siedział oczekując na dyktowanie — i rzekł do Księskiego:

— Weźże waszmość nowicjusza w swe ręce, a na początek mu nie folguj, chceszli mieć z niego żołnierza.

Na ucho zaś rzekł Księskiemu:

— Papinkowato mi coś wygląda.

I na tym się posłuchanie skończyło, bo Nadolski do rejestru powrócił, a to znaczyło, że mu przeszkadzać dłużej się nie godziło.

Powracali już we dwu, przeciskając się pomiędzy namiotami i szałasami, wśród wozów i

koni, gdzie częstokroć trudno było jednemu się prześliznąć, gdy wielka wrzawa, okrzyki, wiwaty, śmiechy z dala się im słyszeć dały od wielkiego namiotu, otoczonego kilku mniejszymi. Oprócz nich stały w tym samym obrębie wozami opasanym szałas, budki i dwie w ziemi wykopane

kuchnie buchały obłokiem dymu.

Księski się zatrzymał chcąc, gdyby można, uniknąć tego zbiegowiska, które pod namiotem

wielkim widać było uczujące. Ściany i opłotki były popodnoszone. Około stołów, na beczkach, ze drzwi powyrywanych po szopach i stodołach, ustawionych, liczne, wesołe bardzo zabawiało się towarzystwo.

— Jak nas tu pochwyca — odezwał się Księski — niełatwo wyrwać się im będzie. U

Nadolskiego nie było na czym się i gdzie się w kilku obrócić, ale u pana strażnika polnego Mariana Jaskulskiego, jak widzisz, od rana do nocy, w świątki czy piątki zawsze tłumno. Co temu człowiekowi zjedzą i wypiją, starczyłoby na utrzymanie siła żołnierzy, ale Jaskulski ma już taką naturę: gotów koszulę zdjąć, aby go nie posądzono o oszczędność i sobkowstwo. Pewnie też dzieciom nic krom długów nie zostawi. Człowiek z kośćmi poczciwy, żołnierz dobry, rzecz swoją

zna, ale worek dziurawy. Co pocznie, gdy nam przyjdzie wyciągać stąd, nie wiem, bo że się już wszystkim winiarzom i sklepom korzennym zadłużył, to pewna.

Księżki szukał na próżno przejścia, które by mu wyminąć Jaskulskiego dozwalało, ale na

prawo urwana była ziemia i stok tak stromy iż tędy ująć nie było sposobu, a w lewo namioty stały gęsto spojone między sobą wozami, przez które by chyba przełazić przyszło, co było

niepodobieństwem, bo naładowane wysoko, niedostępne były. Nie pozostawało więc nic, tylko się bokiem przesuwając, gdyby można, nie postrzeżonym, co dla Księżkiego ulubionego i znanego wszystkim było całkiem niemożliwym. Toteż zaledwie się przybliżyli ku namiotom, Kłodziński, rotmistrz stary z potężnym kubkiem stojący z kraju biesiadujących, krzyknął:

— Staszek! Stój! Hasło! Nie ujdiesz! Wziąć go! Nie wie hasła!

A tu już gromadą spod namiotu rzucili się towarzysze wołając: „Księżki! Księżki!” i Jaskulski sam wypadł naprzeciwko niemu krzycząc:

— Gdzie?. Gdzie? A dawajcie go tu, dawajcie!

Uchodzić już nie było sposobu. Przed nimi stał pan strażnik polny i uśmiechniętą twarzą witał Księżkiego jako pożądanego gościa, choć pod namiotem miał już ich więcej pół setka, dobrze podochoconych. Średnich lat, ale młodo bardzo wyglądający, świeży, rumiany, pięknej twarzy, rycerskiego wyrazu pan pisarz polny miał w sobie coś tak pociągającego, że się jego uprzejmości oprzeć było trudno. Przyjacielski, usłużny, dobry, zawsze gotów do wypitej i do wybitej, do godzenia spraw i łagodzenia waśni, był jednym z ulubieńców obozu i znanym niemało wszystkim.

Ze stroju dosyć kuso obciętego nową modą, świeżego i starannie uszytego, choć już potarganego i przy stołach przed czasem poplamionego, widać było, iż Jaskulski ubierać się lubił i chciał

wyglądać pięknie. Znano go też i z tego, że do kobiet lgnął, a one za nim przepadały. Wąsik do góry podkrecony, włosy w puklach, oczy czarne pełne ognia, usta rumiane uśmiechające się, policzki różowe, cera świeża daleko go młodszym czyniły, niż był.

— Księżki — wołał — a nie czyżże ty mi tego dyshonoru, abyś mój namiot pominął ust nie umoczywszy, chleba nie przełamawszy.

— Strażniku kochany — wołał Księżki — czasu nie mam, prowadzę nowo zaciężnego siostrzeńca, którego trzeba od stóp do głów oporzadzić, a czasu mamy skąpo.

Wskazał na Strzębosza.

— Ano to właśnie nowo zaciężnego trzeba oblać! — krzyknął Jaskulski. — Musi być przecie ochrzczonym!

— Strażniku mój — przerwał Staszek. — Ten z Warszawy wprost ze dworu jedzie, a tam niechrzczonych nie żywią.

Porwano tymczasem już się nie opierającego Księskiego, prowadząc pod namiot, a

Strzębosz musiał iść za nim. Stół, do którego ich napędzono, był już do zdobytego miasta podobny.

Nie zbywało na nim na pełnych jeszcze misach i dzbanach, ale opróżnionych z zastygłymi saporami było więcej jeszcze, a pokruszonego chleba, powywracanych szklanek i kubków walało się

mnóstwo. Na ziemi też potłuczone szkło pod nogami dźwięczało. Niektórzy z biesiadników

siedzieli jeszcze kupkami przy dzbanach, kilku na rękach złożwszy głowy spało

niewywczasowanych, najwięcej około stołu wędrowało potrącając się, łącząc, rozchodząc i głośno zawodząc rozmowy. Chmiel, Tatarzy, król, pospolite ruszenie, pułki panów przyobiecane stanowiły treść wszystkich gawęd.

— Tym razem — mówił jeden z olbrzymimi wąsami, rozrosły i obcisło odziany szlachcic,

na którym odzież zdawała się pękać, tak ciasno na nim leżała, co budowę jego ciała ogromną, silną i kształtną doskonale uwydatniało — tym razem, mości tego, pospolite ruszenie zawodu nie uczyni, zewsząd są wiadomości najlepsze. Sami wojewodowie prowadzą, ksiązę Dominik też idzie!

Rozśmiał się pogardliwie rzucając ramionami.

— To tylko enigma, jak długo szlachta wytrwa z nami w polu, bo ona za domem zatęskni, a jak jej się krupniku jejmościego zechce, żadna siła nie strzyma!

— Ja dłużej jak sześć tygodni nie ręczę — wtrącił drugi.

— A gdy wojna się tak prędko nie skończy, to co? — spytał wąsaty olbrzym.

— To nam ona spadnie na ramiona — zawołał inny — ani chybi i będziemy musieli sami reszty dokonać.

— A ja sędzę — rzekł inny — iż chyba Bóg niełaskaw, nawet czterech tygodni cała sprawa nie potrwa. Takiego wojska, jak oto nasze będzie, ani Tatarowie, ani Kozacy nie widzieli jeszcze.

Gdy potężną nawałą padniemy na nich, zgnieciemy na miazgę.

Stojący obok niedowierzająco się rozśmiał.

— Tymczasem, mówią — zawołał ktoś z boku — Chmiel, chana zapraszając i namawiając

go do zerwania traktatu, zapewnił, iż tylko teraz iść ma po łupy, a będzie z tego ula podkurzonego miód brał garściami, pszczoł się nie mając co obawiać.

— Chan też się dał namówić — rzekł inny. — Wlecze się z ordą ogromną, słyszę, i dewastacje czyni straszne.

— Pomścimy je — wtrącił nadchodzący Jaskulski. — Wiem z pewnością, że król mając wyciągnąć, radził się astrologów; gwiazdy okazują zwycięstwo wielkie.

— Ja gwiazdom nie wierzę! Szalbierze są — zamruczał inny.

Księżki i Strzębosz podziękowawszy za jedzenie, musieli przecie z gospodarzem po kubku wychylić, a Dyzmę jako przybywającego z Warszawy zaraz wzięto na spytki, co się tam działo.

Musiał rozpowiadać, że się gotowano iść i jechać bardzo rychło.

— Słyszę — rzekł Jaskulski — iż do Lublina nuncjusz przybywa do króla; zamówiono mu już kwaterę. Lubomirski też, marszałek, który króla sobie naraził, jedzie podobno go tu przebłagać.

— Wątpię, aby tego dokazał — odezwał się Strzębosz — gdyż pan zagniewany na niego mocno. Prawdę rzekłszy, jest za co, choć się to w żywości trafiło, a marszałkowi zdało się, iż jemu to ujdzie. Czym pan Żytkiewicz czy Żydkiewicz przy Lubomirskim.

— Bądź waszmość zdrów — rozśmiał się Księżki — nie wiem, jak stare jest szlachectwo pana instygatora i czy się od Żyda czy 'żyta wywodzi, ale o tym wie cała Rzeczpospolita, że gdyby nie sól, Lubomirscy by też niewiele więcej znaczyli od Żydkiewiczów. Z soli oni urosli.

— A oto sól im teraz biedy tej narobiła — rozśmiał się Jaskulski.

— Przesolili — rzekł Księżki.

Wszyscy się śmiać poczęli, choć nie było w tym wiele dowcipu, ale znano Księżkiego z jego żartobliwosci, więc ci nawet, co niesłyszeli konceptu, jak tylko usta otworzył, na kredyt się już uśmiechali.

— Ja się o Lubomirskich nie boję — zawołał któryś ze szlachty nad stołem. — Mają za sobą królową albo ją mieć będą, pomogą im Radziwiłłowie i duchowieństwo; a nasz pan, daj mu Boże panowanie, mściwym do zbytku nie jest.

— Mówią jednak, że napaść na łysinę pana instygatora król porównywał do Piekarskiego kryminału, bo Żydkiewicz majestat w sądzie reprezentował.

— Żydkiwicz będzie miał rozum — wtrącił Księżki — guz na czole już dawno znikł. Nie

wiem, czy nawet siniec po nim pozostał. Za prędkość swą Lubomirski zapłaci i król go do łaski przypuści.

— Wszystko to być może — odezwał się Jaskulski — ale z drugiej strony król, pan nasz, podczas jest surowszym, niż bywał. Ani go poznać teraz, jak powiadają, na wyprawę idąc, czuje potrzebę rygoru.

Obrócono się do Strzębosza.

— Co waszmość na to? — spytał jeden. — Wszak ze dworu wprost jedziesz?

— W samej istocie — rzekł Dyzma — Najjaśniejszy Pan surowszym jest nieco przed tą wojną, lecz na to też rachować trzeba, że królowa wiele może, a ona Lubomirskiemu będzie posiłkowała.

— Ale bo szkoda by marszałka postradać dla Żydkiwicza — rzekł Jaskulski.

Rozmowa się tak potoczyła i ode dworu przeszła na wojsko. Poczęto wyliczać, co który z panów prowadził.

— Dwaj bracia Piaseccy, niezamozna tak dalece szlachta, swoim sumptem pułk stawia — rzekł ktoś.

— Cóż więc dziwnego, że Radziejowski z rajtarią wystąpi, którą z cekhauzu Kazanowskich uzbroi?

— Radziwiłłowie sami albo pięć lub więcej pułków prowadzą — dodał ktoś inny.

— Fredro, szlachic, sto koni!

— Denhoff kilkuset ma także.

— Książę Dominik kilka chorągwi — odzywali się z kolei goście.

— Na księcia Dominika tego mało, kiedy Piaseccy pułk dają — przerwał Księżki — zmierzwszy siły więcej waży stu pana Fredry, niż tysiąc pana Zamoyskiego.

— Zamoyski więcej postawi! — stanął w obronie inny.

W ogóle wszyscy bezpiecznie się na przyszłość zapatrywali. Pomimo dochodzących wieści

o splądrowaniu przez Kozaków kilku miast, które otwarte stały, nie tracono ducha, bo zarazem gdziekolwiek obronny był grodek i jakikolwiek wał a palisady, tam się załogi broniły zwycięsko.

Popłoch, jaki panował po piławieckiej, dawno już przeszedł, chociaż sprawcom sromoty dotąd nie przebaczone.

Nasłuchać się też było można wprzód poważniejszych rozmów i bardzo płochych, a

nieświeżych historyjek, którymi się częstowano, pobudzając śmiech niewybrednymi środkami. Tu i ówdzie dawały się słyszeć piosenki, które tylko w męskim towarzystwie nucone być mogły. Inni targowali się o konie i mieniali je z sobą, co natychmiast wszystkich poruszało spod namiotu, bo je podprowadzać kazano. Wybiegali oglądać, opatrywać, a nawet przejeżdżać ochotnicy. Sprzeczano się, dobijano targów. Koń w tej chwili, przed wyprawą był dla szlachcica droższym nad wszystko, dobry życie ratował, złego można nim było przypłacić, każdy się też starał o to, aby jak najpewniejszego pozyskać, choć za drogie pieniądze. Byli też tacy, co na frymark wierzchowcami rachując umyślnie je tu z sobą prowadzili, jakby na potrzebę własną, i niechętnie się ich pozbywali.

Lecz sztuka niedługo służyła, za drugą, trzecią zamianą wystrzegano się transakcyj potajemnych, było też i jawnych dosyć, bo i Żydzi, i Tatarowde tabunami przypędzali konie dla wojska, które ich zawsze potrzebowało. Ten, co się najlepiej wybrał z domu, nieraz po drodze tracił, co miał

najdroższego i starać się musiał czymś zastąpić.

Przed namiotem więc też było na co patrzeć, bo i czeladź, i panowie na koniach harcowali, uganiali się, wyścigali, a że miejsca było niewiele, musieli zręcznie się z nimi wywijać.

Nierychło udało się Księżkiemu, dawszy znak Strzęboszowi, powoli się od stołu, z namiotu i taboru tego wydobyć dalej, starannie omijając inne podobnie gościnne szałas, w których śpiewano, muzyka i śmiechy się rozlegały.

— Wszystko się tak wesoło rozpoczyna — rzekł Księżki — choć często kończy bardzo

smutnie. Daj Boże, abyśmy z tym humorem na hiberny powrócili. Nie wątpię ja o sukcesie, lecz się lękam, gdy człowiek sobie zrazu zbyt wiele obiecuje.

Pierwszy raz zbiorowisko takie wojska widząc, Strzębosz, jak rozmarzony i upojony

powracał do gospody. Inne się tu wcale zapowiadało życie, do którego nie nawykł. Czuł, że istotnie, według wyrażenia Nadolskiego, nowicjat mu odbywać przyjdzie.

— Rachuj i na to — dodał Księżki — że nigdy on się bez guza nie obejdzie. Choćbyś nie

chciał, wyzwą cię na rękę dla najbliższego powodu, aby spróbować, jak szablą robisz.

— Nie obawiam się tego — rozśmiał się Dyżma — bo mi się zdaje, że sobie z nią nieźle począć potrafię.

Rozdział VIII

Zdawało się, że wszystko, co żyło, ciągnęło teraz, do Lublina z królem lub za królem, chociaż nic się tu rozstrzygać nie miało i pospolite ruszenie na Konstantynów było naznaczone.

Lecz mówiono, że Jan Kazimierz, pobożny wielce, chciał na wyprawę być pobłogosławiony drzewem Krzyża Świętego, którego, jak wiadomo, obłamek bardzo znaczny przechowywał się w kościele ks. ks. Dominikanów. Zapowiadano też błogosławieństwo, które tu nuncjusz papieski miał przywieźć z Rzymu. Wszystko to sprowadzało i tych, co potrzebowali się tu znajdować, i takich, których prosta ściągnęła ciekawość, a na ostatek tych także, co w mętnej wodzie ryby łowią lub przynajmniej wodę mącą.

Do tych ostatnich mógł się zaliczyć swego czasu najślynniejszy gardłacz i warchoł, nie ustępujący żadnemu z tych, co za Batorego na sejmach rozpoczęli wojowanie z majestatem dla okazania potęgi szlacheckiej, pan podczaszy sandomirski Maciej Dębicki. Należał on do liczby tych, co zamiast dworowi się kłaniać i przypochlebiać, wojną i groźbami starali się wymóc na nim, czego pożąдали, a wreszcie lubowali się w tym, że ich szlachta jako obrońców złotej wolności znała i wynosiła. Przyjaciel serdeczny p. Radziejowskiego, gotował się pan podczaszy, jakby tylko wybiła godzina uderzenia na króla, stanąć u boku i pod chorągwią podkanclerzego. Nie majątny ani ubogi, niewielkiej prozapii ani znaczenia na swoich śmieciskach, podczaszy zabierał się w sprawach Rzeczypospolitej występować tak, aby się z nim liczyć musiano. Niewiele więcej na to było potrzeba nad ogromne zuchwalstwo, a tym równie jak przyjaciel Radziejowski, był Dębicki sowicie obdarzonym. Postawę miał nadającą się na takiego sejmikowego trybuna, niczym się zbytnio nie odznaczającą, a przyzwoicie pokazną. Dostyc otyły, ramion szerokich, na grubym karku miał osadzoną głowę o policzkach rumianych, kilku brodawkami przyozdobioną, usta szeroko rozcięte z wargami wydatnymi, wąs rudawy, szorstki i twardy i włosiem takimże okrytą głowę jak gałka okrągłą. Słyszał jako orator, ale to była wymowa łatwa owych czasów, *vox, vox praetere'aque nihil* — słowa ogromne, sążniowe, głosem doniosłym wywoływane, a niekiedy dosadnym wykrzykiem przypieczętowane. Dębicki znał wagę tych kilku wielkich argumentów ulubionych szlachcie, którymi się naówczas posługiwano i nimi wojował. Wiedział, co było źrenicą wolności, a co stanowiło palladium swobód rycerstwa, jakimi środkami dobijano się *absolutum dominium*, co był kontempt prawa i że to prawo stało wyżej nad wolę pańską itp. Dla niego każdy krok i czynność króla była podejrzana, we wszystkim widział dworskie praktyki. Nikt lepiej nad niego nie znał

skandalicznej kroniki głów panujących, która rodziła się na prowincji i na niej rosła do *absurdum*.

Opozycja przeciwko królowi ciągnęła za sobą nienawiść tych, co najbliżej niego stali i względy pozyskać sobie umieli. Za Władysława IV tacy jak on wywołali tytuły cudzoziemskie i zakon Orderu Niepokalanego Poczęcia w pieluchach udusili dla równości szlacheckiej, a za Kazimierza, gdy ten włościan byt pragnął polepszyć, zakrzyknęli przeciwko niemu jako

gwałcielowi przywilejów szlach-

Dębicki z powołania był warchoł. Gdziekolwiek się na narady cokolwiek liczniej zbierano, powołany czy nie, śpieszył tam, aby wrzawy narobić i zgody nie dopuścić. A nie szło mu nigdy o samo jądro i treść rzeczy, ale tylko o dobrą zręczność do popisu: „Otom jest, ja, stróż pilny i na stanowisku czuwam”. Wojsko się ściągało do Lublina; mieli tu przybyć królestwo oboje z panami kanclerzami i podkanclerzami, jakżeby miało Dębickiego zabraknąć? W potrzebie, choć niezbyt zamożny, pan podczaszy podejmował nawet sam szlachtę u siebie, chociaż wołał razem z nią na cudzym chlebie krzyżeć. W ostatecznym razie otwierał i on szeroko gospodę u siebie, a szlachecka równość służyła mu za wymówkę, iż prostą gorzałką, piwem, cienkim węgrynką poił, a

chlebem razowym, kiełbasą wędzoną, serem i bigosem, we właściwej porze ogórkami kwaszonymi zbywał panów braci. Przy czym przeciwko zbytkom, naturalnie, cudzoziemskim obyczajom i

kondymentom zagranicznym wykrzykiwał. Nie przeszkadzało mu to u możniejszych zajadać

pastetów i pulpetów najwykwintniejszych, a wina hiszpańskiego wysoko cenić. Doma jejmość musiała sobie dawać rady z dziećmi i gospodarstwem. Podczaszy cały należał do kraju i dla niego pracował tak, że w domu rzadkim bywał gościem, a często ledwie przenocowawszy, ruszał dalej na zjazdy i sejmiki. Znano na nich podczaszego, a on też ludzi znał tysiące, szczególnie tych, co mu się prowadzić dawali. Dotąd jednak gardłowanie go nie doprowadziło jeszcze do niczego, dopiero poznanie się i serdeczne poprzyjażnienie się z Radziejowskim miało go, jak się spodziewał, wyżej podźwignąć.

Podkanclerzemu właśnie do tego, co zamierzał, potrzeba było takiego jak Dębicki

człowieka, a podczaszemu takiego jak on wodza. Na zawołanie mógł Dębicki wywołać burdę i choćby rokosz, aby podkanclerzy miał co uśmierzać i tym sposobem rosnąć w potęgę. Obaj oni ani miłości Rzeczypospolitej, ani sumienia nie znali, a celem dla nich było wynieść się i zbogacić w jakikolwiek sposób. Doskonałym narzędziem był dla Radziejowskiego podczaszy.

Wcześniej spodziewając się go tu zastać, Dębicki ściągnął do Lublina i dowiedział się tu dopiero, że Radziejowski razem z królem i żoną przyjedzie. Nie tracąc więc czasu, między wojskowych się puścił, mając wpośród nich znajomych. Wprawdzie tu warcholenie tak łatwym i swobodnym nie było, bo pewna karność powstrzymywała od niego, ale i niespokojnych duchów dosyć było, a posiać ziarno, z którego zawiązek mógł urosnąć, uśmiechało się.

Nie było oddziału ani pułku, któremu by żołd nie zalegał, więc pocisnąwszy tę sprężynę, zawsze się coś poruszyło. Drugiego dnia po przybyciu już pan podczaszy ucztował na obozowisku, gdzie przeciwko okrutnej opresji wojska narzekał i marnowaniu poborów na fantazje, gdy żołnierz Rzeczypospolitej marł bezpłatny z głodu. Wielu mu potakiwało i przyklaskiwało.

Trafiło się tak, że Księżki ze Strzęboszem nie u Jaskulskiego już, ale u pana Gabriela

Stępkowskiego spotkali się z podczaszym Dębickim, który puściwszy językowi wodze, po kilku kubkach począł się z króla naśmiewać i różne na niego rzeczy wymyślać. Zgadało się właśnie, iż

królowa a z nią i inne panie za Janem Kazimierzem ciągnęły do Lublina.

— Nasz bo Miłościwy Pan — odezwał się podczaszy — białe mięso lubi. Oho! Między innymi — dodał — cały to świat wie, iż z dawna mu terażniejsza pani podkanclerzyna

Radziejowska jeszcze za życia pierwszego męża była bardzo miłą, ale z panem Hieronimem nie to co z Adamem, on i królowi potrafi powiedzieć: „A zasię!”

Strzębosz, który tuż stał, a jako dworzanin królewski bronić go czuł się w obowiązku, nie czekając długo krzyknął:

— Jako dworzanin króla, dobrze jego spraw świadom, zadaję tej potwarzy kłam! Nieprawdą jest, aby król kiedykolwiek czym innym był dla podkanclerzyny krom jej opiekunem.

Drżącym a namiętym głosem rzucone to zaprzeczenie jak piorunem raziło Dębickiego.

Odwrócił się groźny.

— A waszmość kto jesteś, abyś mi to śmiał mówić?

— Dyzma Strzębosz, dworzanin króla jegomości, do usług — zawołał młody prostując się

— a com rzekł, to gotowym poprzeć na wszelki sposób.

I po szabelce się uderzył.

Nie pozostawało już nic tylko z pochew dobywać, ale Dębicki do tego tak skorym nie był.

Wolał językiem szermować.

— Miło mi waszmość pana poznać — odparł tonem pogardliwym — ale ja też z palca nie

wyssałem, co mówię, i nie potrzebuję taić, że przyjaźnią się szczególną pana podkanclerzego zaszczycając, mówię to, co gruntuję na własnych męża zwierzeniach. Gdyby pan Radziejowski temu nie położył tamy...

— Pan podkanclerzy — burknął Strzębosz — z żoną, choć niedawno zaślubioną, nie żyje dobrze, co za dziw, że na nią wymyśla?! Ale zły to ptak...

Wtem nie dając mu kończyć z okrutną gorącością porwał się podczaszy do szabli w rapciach zaplątanej, pewny, że mu jej tu dobyć nie dopuszczą i posunął się na Strzębosza. Temu się aż oczy śmiały, a ręka drżała, gdy za rękojeść chwycił. Ale Dębicki wiedział dobrze, iż do rąbaniny nie przyjdzie. Poskoczył Księski.

— Bój się ty Boga! — zawołał — ledwie trzeci tu dzień jak jesteś, a oto już burda.

— Jam jej nie poczynał V— odparł Dyzma — a że na króla jegomości lada jakiej potwarzy

wieszać nie dopuszczę, tego mi nikt pewnie za złe nie poczyta. Wolno panu podkanclerzemu swoich przyjaciół okłamywać, ale Najjaśniejszego Pana szarpać nie godzi się.

Dębicki rwał się ciągle.

— Tu ciasno — rzekł Strzębosz — wyjdźmy za namiot, ja dalibóg placu panu podczaszemu dotrzymam.

Przypadł gospodarz mitygując do Strzębosza.

— A nie zakrwawiajcież mi chwili dobrej myśli — zakrzyknął — bić się nie ma o co.

Podczaszy sam się tłumaczy, że *relata*

refert, nie winien temu. Chodziły o tym pogłoski, a źle by się królowi przysłużył, kto by je za tak ważne poczytywał, żeby aż oręża przeciw nim dobywać mu było potrzeba.

Pierwszy się dał poskromić Dębicki. Strzębosz zaś, powiedziawszy sobie: co się odwlecze, to nie uciecze, okiem tylko rzucił pogardliwym na warchoła i odstąpił milczący.

Księski go pod rękę ujął.

— Chodźmy stąd — rzekł — nierad bym, ażebyś z nim zadzierał.

— Miałem pana mojego krzywdę i potwarz na niego rzuconą puścić płazem? — odparł

Strzębosz. — Godziłoż się to?

Wychodzili spod namiotu.

— Ześ stanął w obronie króla, to ci się chwali — dodał Księski. — Wiedziałem, że to uczynisz. Obowiązek był, ano kiedy się bez krzesania ognia obeszło, daj mu pokój. To warchoł jest, nie do szabli, bobyś go wypłazował łącno, ale mściwa i złośliwa bestia, a ludzi swych wszędzie ma.

Obchodzić go i nie tykać gnoju!

Dyzma westchnął, bardzo mu się żal zrobiło, że go okazyjka tnięła okazania i odwagi, i zręczności; ledwie go Księski pocieszyć tym mógł, że zwycięstwo nad niezgrabnym kłocem sławy by mu nie przyniosło, a szkodę uczyniłoby łatwo.

— Przyjacielem mi przez to się nie stanie, zem go wypuścił całym — rzekł Strzębosz.

— A przyjaźni też ty jego nie potrzebujesz — dodał wuj — ale, że o tym wszystkim będzie wołał milczeć, za to ręczę.

— Ba! — zamruczał Dyzma — gdy mi się jednak nawinie, a postawi...

Księżki ruszył ramionami.

— O gorąca krwi! — zawołał. — Jakby ci jej upuścić potrzeba! Czekał ma! Za jednego

Dębickiego byłeś znajomości trochę w obozie napytał, będziesz miał okazji dosyć do rąbania się.

Siła to takich, co na waszmościów nowo przybywających czatują i czekają, a nie przepuszczą.

Schowajże się na to, co nieuchronne, bo że nieuchronne, ja ci mówię.

Na tym się z panem Dębickim skończyło i było cicho. Nie miał on ochoty wznawiać sporu i nikogo od siebie nie przysłał, a Strzębosz też miał do czynienia wiele. Zaraz tegoż dnia dwu dawniejszych dworzan króla, z którymi razem służył przed paru latami, spotkał. Byli to bracia Łąccy, towarzysze pancernernej chorągwi, chłopcy wesołe, myślący tylko jak czas spędzić jak najprzyjemniej i szukający sobie dobrych ku temu pomocników. Pochwycili więc Strzębosza, nie chcąc go puścić od siebie. Stali obaj w mieście i w domu u nich na małą skalę toż samo się po całych dniach działo co u Jaskulskiego. Jadł i pił, kto chciał i przychodził, a w dodatku braterstwo panowało wiecznie. Grano w kości i w karty, do czego Strzębosz wstręt miał, a i pieniędzy szczerdzić musiał. Nie mieszając się więc do gry, musiał z nimi siedzieć i zabawiać się. Pierwszy dzień zszedł spokojnie, drugiego się rąbano w podwórku kamienicy, ale Strzębosz tyle tylko, że pokaleczonego Łąckiego obwiązał i położył.

Na trzeci dzień przy śniadaniu sam Dyzma nie wiedział, jak się ze starym wąsałem

Rokosowskim przemówił. Oczywistym było, że ten szukał zaczepki i chciał się na młokosie popisać. Nie dokończyli jeść, gdy w tejże izbie Rokosowski stanął, wywołując Dyzmę obelżywie smarkaczem i szablą wywijając. Strzębosz skoczył jak oparzony, prawdą a Bogiem, jednak mrowie po nim poszło, bo chłop był silny i szermierz doskonały. Szczęściem tylko dla Dyzmy drugie już śniadanie jadł i piwo z winem i gorzałką pomieszane w głowie mu szumiało. Skoczył na Strzębosza obcesowo, a nieoględnie tak, że ten go od razu po uchu płałnął. Krew się polała, ale Rokosowski jej nie czuł i krzycząc: „Ja cię tu nauczę, młokosie!”, parł go do kąta, gdy Dyzma, odbiwszy mu pałasz, w prawą rękę chlasnął tak, iż wytrącił broń. Przypadli Łąccy, porwano rozwścieczonego starego, ale o rąbaniu się mowy być nie mogło, bo się zaraz rozchorował z przejedzenia. Zgodę więc uczyniono i zapito, a Rokosowski tymczasem obwiązany na tarczanie zasnął.

Tak się tedy odbył pierwszy występ dworzanina Jego Królewskiej Mości w najszcześniejszy

sposób, bo i szwanku nie poniósł żadnego i znanego jako doskonałego rębacza Rokosowskiego pokonał. Gdy się z tego przyszedł spowiadać wieczorem Księżkiemu, śmiał się wuj i ścisnął go ciesząc się wielce.

— Tyś się w czepcu rodził! — wołał. — Fama pójdzie, żeś Rokosowskiego obciął, to cię

już nikt nie zaczepi, a i to dobre, bo nieustannie się ścinać — karczemna rzecz.

Mógł więc potem już swobodnie po obozie krążyć Strzębosz, zabawiać się z młodzieżą, koni próbować, z łuku strzelać, przypa- trywać się ludziom i broni, nie obawiając się zaczepki.

Uchodził za wypróbowanego. Ci, co słyszeli z tego, iż się doskonale bili, wprawdzie mieli ochotę się z nim zmierzyć, ale Dyzma był łagodny i rozbrajał się tym, że sam nigdy do zajścia powodu nie dał.

Dla niego zaś w istocie było się tu czemu przypatrzeć, bo różnej broni i z nią obejścia się w każdym oddziale dosyć było różnaitości.

Wielu tylko dla stroju łuki i sahadaki ozdobne nosiło jeszcze, choć się nimi nie posługiwali, drudzy jednak strzelali i tym się chwalili, nie pogardzając łukami. Słyszał między innymi Pogorzelski stary, który ze sobą nie łuk, ale kuszę woził i zapas bełtów, a nimi dokazywał tak, że i kulą nie można było lepiej, ale to tylko za osobliwość służyło, bo do boju w polu kusza się na nic nie zdała dla ciężaru i czasu, którego wymagało naciąganie.

Na występ i do stroju wdziewali wojskowi i tarcze, a niektórzy, co już z Tatarami do

czynienia mieli, bawili się rzucaniem arabskich dzerydów, oszczepów, którymi orda cudów dokazywała. Pistolety i muskiety były też w użyciu stare i nowe, coraz doskonalsze, które zza granicy sprowadzano, ale z tych wiele raczej jako cacka i zabawki okazywano, a w bitwie trudno ich użyć było. Kopii nawet przeciwko Tatarom i Kozakom, którzy szeregami do bitwy nie szli, używać nie zawsze było można, i jak pod Zborowem na wozach je pozostawiano. Dobra szabla, obuch a koncerz były dla żołnierza głównymi, i o to się przede wszystkim starano; gdy kto się do swojej nazwy czaił, za żadne skarby świata by jej nie oddał. Nie szło o oprawę i pochwy, bo te najczęściej niepozorne były, ale głównie o hart. Z taką szablą naówczas szlachcic chodził, jeździł i niemal sypiał, bo ją kładł albo przy sobie, albo pod poduszkę.

W kilka dni po przybyciu Dębickiego do Lublina, choć człowiek był nieznaczny na pozór,

już go tu czuć było. Rozprawiano o takich ewentualnościach, o których wprzód nikt ani myślał; zapłata wojsku zalegająca, trwanie pospolitego ruszenia, na ostatek główne dowództwo nad armią całą zaprzętały umysły.

Znaczniejsza większość trzymała z Jeremim Wiśniowieckim, który nadzwyczajnie miał

szczęście, ale też hetmanem był surowym i rozumnym. Nikt lepiej kozactwa, ich sztuki, sposobu wojowania i postępowania nie znał nad niego. Chmiel drżał, imię jego słysząc, i krwi się jego domagał. Żołnierze, mając go nad sobą, bezpieczni szli, bo wiedzieli, że dniem i nocą czuwa. Lecz im więcej się szerzył odgłos tego imienia, im ono częściej się na ustach wszystkich spotykało, tym między współzawodnikami, hetmanami i starszyzną budziła się zazdrość większa i niechęć

przeciwko niemu. Samego króla już zawczasu przestrzeżono i tak usposobiono, że gdyby

Jeremiemu buławę dał, on sławę jego zaćmi i całe zwycięstwo jemu będzie przyznawane. W obozie już teraz jedni trzymali za nim i sławili go, drudzy się obawiali i odstręczali, a wszyscy dworacy, którzy wiedzieli, jak Jan Kazimierz sławy był żądny, Jeremiego mu strzec się radzili. Król też

przestrzegany, uprzedzony, jak go przy koronacji zaraz zimno zbywał, tak i teraz się sposobił nie dopuszczać do znaczniejszego dowództwa. Wszyscy księcia Dominika Zasławskiego obrońcy i zauszniccy podszczuwali na niego i jątrzyli. Można już było przewidzieć zawczasu, że się tu wznowi przy lada zręczności kwestia jeżeli nie buławy, to czynnego nad znaczniejszymi oddziałami dowództwa. Nawet najznacniejsi i najdzielniejsi ze starszyny, ciągle tak słysząc wynoszących i sławiących Jeremiego jako jedyne go człowieka, który się kozactwu pożyć nie dawał, krzywili się i dąsali, przeciwiąc temu, żeby on miał być taki, który równego sobie mieć nie mógł.

Ci zaś, co niechętni byli królowi, jak podczaszy sandomirski, wynosili Jeremiego, sławili Kalinowskiego, wielbili starca już Potockiego, aby Jana Kazimierza tym niezdolniejszym uczynić.

— Gdzież on kiedy wojował i sztuki się tej uczył? — mówiono. — Za młodu na pierwszy

początek postradał cały swój tabor i sam ledwie życie uniósł, potem w sutannie chodził i w chórze śpiewał, zabawiał się i kłócił, ale w polu nie bywał. Takiemu hetmanowi całe wojsko

Rzeczypospolitej zdać, choćby mu i radę do boku przystawiono — niech Bóg uchowa. Na zgubę poprowadzić może. Choćby się swojego Przyjemskiego radził, nic nie poradzi.

Strzębosz mało nie co dzień słysząc te rozprawy, jako już począł, tak stawał ciągle w

obronie Jana Kazimierza, opisując co sam na swe oczy widział, jak król troskliwym był o wojsko, jak pracował a zagrzewał, aby się ono zebrało liczne i doborowe, jak na sercu miał naprawę sławy rycerskiej, która pod Piławcami szwank poniosła.

Złośliwi wszystko przedrwiwali, królowej w tym widząc natchnienie i starania. — Nie stanie jej — mówili — zaraz mu ta wielka ochota do wojowania odpadnie.

Słowem, nim się jeszcze siły zebrały, nim w pole wyszły, już spierano się o to, czego

jeszcze przewidzieć nie było można. Po wojsku noszono się z powieściami, które i

najstateczniejszych źle usposabiałały. Podobała się bardzo historia towarzysza Baranowicza, który, gdy przed rozpuszczeniem na hiberny wywoływano z regestrów każdego, wyjechał też z

pistoletami i pstryknął z jednego: „To za żołd, cośmy go nie otrzymali”, a z drugiego huknął i strzelił: „A to za gotowe pieniądze”. Rozpowiadano na zniechęcenie, że za asygnacjami do województwa, ziem i powiatów wojsko dotąd nic nie otrzymało i papierkami się musiało

kontentować.

Od Chmielnickiego i hetmana co dzień prawie inne tu przynoszono wieści, ale wszystkie

one w jednym się godziły, że spieszo na pomoc iść było potrzeba Winnicy i Kamieńcowi, na który się Kozacy gotowali, spodziewając się go ubiec. Kalinowski tam, jak mówiono, bardzo dzielnie się bronił i zabiegał, lecz przeciwko nierównie większym siłom stawać zmuszony, długo się trzymać nie

mógł. Kamieńca wprawdzie samo położenie broniło, lecz oblężenia, gdyby się przeciągnąć miało, głód by był nie dał wytrzymać, a i zdrady zewsząd obawiano się. U Kalinowskiego też w wojsku nieład i burdy powstawały, gdzie pod Winnicą do rabunku wozów własnych przez

niesfornych przyszło, a starszyzna w nocy z rozhukanymi ludźmi poradzić sobie nie umiała. Ciszej szeptano, że w wojsku na Ukrainie i Podolu popłoch był taki, iż nie widząc nieprzyjaciela gromadami ludzie uchodzili. Kalinowskiemu więc co najspieszniej na pomoc dążyć należało.

Król i dwór, choć pośpieszano w istocie, nie mógł się wybrać, jak by przy takim

niebezpieczeństwie nagłym potrzeba było. Nie o Kalinowskiego szło ani o Kamieniec, w którego moc wierzono, ale o nadanie pochodowi temu króla uroczystości wielkiej i rozgłosu. Stała o to królowa wielce, a przez nią natchniony król niemal jak na krucjatę się wybierał, z obrazem cudownym, z błogosławieństwem Stolicy Apostolskiej i mieczem poświęconym. Wszystko to i ducha natchnąć miało w wojsku, i wroga przerazić.

Do Lublina ściągali się ci, co królowi towarzyszyć i co go tu żegnać mieli. Strzębosz co dzień nowe spotykał twarze znajomych, którzy dwór poprzedzali. Nadjechał też i marszałek Lubomirski, chociaż król mu się zakazał pokazywać na oczy. Wnoszono więc, że tu znajdzie przyjaciół i pośredników, którzy zgodę i przebaczenie wyjednają.

Po pierwszych od Kalinowskiego doszłych wiadomościach o wzięciu Jampola, o przejściu

pod Winnicę i zamknięciu się w Kamieńcu, nadbiegły późniejsze, iż Chmiel siły swoje na trzy części rozdzieliwszy, sam szedł wprost przeciwko królowi, drugich pod Konstantynów wyprawił, a ostatek pod Kamieniec.

Z każdym tedy dniem w obozie się ruch powiększał i przysposobienia do gotowości

dopełniały, a z niecierpliwością wielką wyglądano przybycia królestwa obojga, ó których jednego dnia głośno, że się do niej sposobili dopiero.

Strzębosz miał dobry czas do nowego dla siebie życia nawyknać, do czego mu wuj pomagał, umyślnie, go narażając na posługi różne, aby się przed pochodem do nich wdrożył.

Rozdział IX

Po długim oczekiwaniu, w ostatku poprzedzający króla stanowiczowie, wozy, służba i

przybory do Lublina przybyły, a dosyć pięknego dnia wczesnej wiosny Jan Kazimierz też sam, chociaż w niezbyt świetnym i licznym orszaku, ale we zbroi i szyszaku, z uroczystością wielką odprawił wjazd do miasta. Za nim królowa jejmość w kolebce sześciu woźnikami białymi

ciągnionej, fraucymer też w innych, niemniej ozdobnych powozach wprost do kościoła zjechał.

Przybyłych nuncjusz papieski de Torres wraz z liczny duchowieństwem oczekiwał.

Dnia tego jednak oprócz krótkiej modlitwy żadnej ceremonii nie było i dopiero ją na trzeci dzień zapowiedziano, przy czym ogłoszono, że Ojciec Święty na tę wojnę błogosławiąc króla, poświęcony miecz i szyszak wraz z listem przysłał, królowej zaś, według obyczaju, różę złotą, jaką i matka Jana Kazimierza niegdyś z Rzymu otrzymała.

W orszaku królowej oprócz jej Francuzek znajdowała się też niemal sama jedna z pań

polskich, podkanclerzyna Radziejowska, która chociaż z mężem jechała, wzięto z tego asumpt do wznowienia potwarzy, jakoby nie dla Marii Ludwicy, ale dla króla podróż tę przedsięwzięła.

Trzeciego dnia, na który po nabożeństwie oddawanie miecza i szyszaka zapowiadano, do

kościółki taki natłok się ludu zgromadził od rana, iż strażę u drzwi postawić musiano. Z wojska prawie wszystka starszyzna także zbiegła się, aby się ceremonii przypatrzeć. Nie widział Lublin od niepamiętnych czasów takiej frekwencji ani tak świątecznych orszaków, jak dnia tego. Z podziwieniem też niektórzy dostrzegli, że oprócz innych Lubomirski, od oblicza królewskiego odsądzony, także się znajdował w kościele, gdzie go duchowieństwo, szczególnie nuncjusz i gromadka biskupów osłaniało.

Chociaż starano się to w tajemnicy utrzymać przed królem, że za Lubomirskim silne

wstawienie się do niego publicznie zarządzonym być miało, tak iż odmowa stawała się prawie niepodobieństwem, Radziejowski, który rad wszystko psuł, a do Lubomirskiego szczególnego nabożeństwa nie miał, dawszy królowej słowo, że nie zdradzi, umyślnie o tym Jana Kazimierza uprzedził. Może gdyby to kto inny uczynił, zapobiegłby zagniewany a chcący surowość okazać wielką; Kazimierz go do siebie przypuścił, lecz sprawę zbył milczeniem i uczynił, jakby o niczym nie wiedział.

Oddawanie miecza przy przemówieniu i odczytaniu listu papieskiego, potem wręczenie róży poświęconej Marii Ludwice trwało bardzo długo, bo i odpowiadać, a dziękować w imieniu

obdarzonych musieli naznaczeni oratorowie, na ostatek nuncjusz wraz z tymi, co go otaczali, poprowadziwszy winowajcę Lubomirskiego, który przed królem przyklęknął, poczęli go

suplikować i prosić, aby mu przebaczyć raczył winę.

Wszystkie oczy zwróciły się na króla, który poblądł, postawę przybrał wielce

poważną i surową, a zrazu cofnąwszy się, odrzucił prośbę okazując, że przeciwko prawu i majestatowi trybunału wykroczenia darować nie może. Za czym ponownie z usilnością wielką nuncjusz, kanclerz Leszczyński i co tylko było senatorów, otoczyli króla, obiegli, a królowa też przystąpiła, łącząc swoje pośrednictwo, tak że Jan Kazimierz przed ołtarzem i krzyżem stojąc, na Chrystusa, który przebaczył oprawcom swoim, zaklęty, dłużej opierać się nie mógł. Zamruczał

tylko, iż pewne warunki przebaczenia nałożyć musi, i tak to przygotowane staraniem Radziwiłła kanclerza szczególniejsze przejednanie (który u duchowieństwa miał dla pobożności swej zachowanie wielkie), przyszło do skutku. Niemniej za porywczosć swą i nieposzanowanie sądu Lubomirski drogą

zapłacić musiał, bo nie licząc tego, co instygatorowi Dawidowi Żydkiwiczowi wyliczył, w sprawie samej folgować musiał i w łasce u króla niepowetowaną poniósł szkodę.

Strzębosz, tego dnia z łatwością się zwolniwszy ze swych obozowych obowiązków,

natychmiast pobiegł do przyjaciół i znajomych, do dworu i do chorągwi królewskiej, w której wielu z towarzyszków jego zapisanych było, aby upragnionego dostać języka, czyli co nowego nie zaszło.

Tyzenhauz, który na służbie swej przy osobie króla pozostał, a był z nim dobrze, najlepiej mógł go objaśnić, jako też chętnie się dał zaprosić i co zaszło od wyjazdu z Warszawy,

opowiedział. Miał on na oku szczególnie podkanclerzego i o nim wiedział najwięcej, ale też główny interes skupiał się około niego, bo on zawczasu snuł to, co całej wyprawie, wojnie i zwycięstwu koniec położyć miało. Wiedział też Tyzenhauz, na dworze Radziejowskiego mając życzliwą młodzież, iż zaledwie do Lublina przybywszy, podkanclerzy natychmiast się na długą i wielce ożywioną naradę zamknął z podczaszym Dębickim.

Zgoda pozorna Radziejowskiego z żoną, jak Tyzenhauz utrzymywał, była podstępem i

zdradą, a namówienie jej na podróż miało też cel jakiś tajemny, którego, chociaż nie odgadywał, istnienia się jego domyślał. W czasie całej podróży do Lublina zachowanie się Radziejowskiego uderzającym było, bo on sam głównie Marii Ludwici się trzymał, przy niej ciągle jechał, jej służył, królowi tylko wówczas się uprzykrzając, gdy wiedział, że mu najnieznośniejszym będzie.

Podkanclerzyna zaś, której zwykle tak zazdrośnie doglądał, wszystkim do niej broniąc i utrudniając przystępu, jechała teraz zostawiona sama sobie, tak że i król mógł swobodnie się zbliżyć do niej i ci, co by między nim a nią pośredniczyć chcieli. Unikała jednak widocznie podkanclerzyna wszystkiego, co by na nią i na króla podejrzenie jakiegoś ściągnąć mogło. A król wcale się do niej zbliżać nie usiłował i ledwie że nie unikał, już to dla królowej, już dla dworu, na ostatek i z powodu Radziejowskiego, którego postępowanie było dla niego niezrozumiałym i podejrzanym.

Ze wszystkich tu przybyłych i przybywających osób Maria Ludwika była pewnie

najszczęśliwszą i po niej poznać było można, iż dopięła, czego pragnęła, a o przyszłość była spokojną. Mogła sobie powiedzieć, że podbiła Polskę i panowała nad nią. Król rozkazów jej i skinień słuchał, bardzo rzadko próbując się wyzwolić, a nigdy nie mogąc tego dokazać. Z wielkim taktem Maria Ludwika, gdy wybuchał zbyt gwałtownie, dawała przejść pierwszemu impetowi, czekała, łagodziła, a że prędko się nużył, nawracała go potem według swej woli. Znali to już i wiedzieli o tym wszyscy. Wojna, która króla sławą okryć miała, była w większej części jej dziełem, a tak ją obchodziła, że gotowa była nawet towarzyszyć królowi będąc pewną, że żadne nie mogło zagrozić jej ani jemu niebezpieczeństwo.

Jan Kazimierz nie sprzeciwiał się dotąd tej fantazji, chociaż wydawała mu się ona dziwną.

Senatorowie i hetmanowie nie taili się z tym, że podróż królowej podobać się im nie mogła. W ich przekonaniu niewiasty, chociażby królowe, tam gdzie się krew przelewać miała., bez obrazy

niewieścięgo uczucia znajdować się nie mogły, a wcale niezbędnymi nie były, bo raczej zmiękczyć niż serca dodać umiały. Szemrano na tę fantazję, niemal powadze wyprawy ujmującą. Królowi nie śmiano mówić o tym, lecz kanclerze, biskupi i przybywający senatorowie, wszyscy zgodnie postanowili dalszą podróż odradzać i królową namówić do powrotu do ' Warszawy, gdzie by z prymasem sprawami bieżącymi mogła się zajmować. Król jak w niczym, tak i w tym nie chciał się żonie sprzeciwić.

Po uroczystości oddania miecza i szyszaka poświęconego w kościele i przebaczeniu

Lubomirskiemu danym król natychmiast i z niezwykłą sobie zwawością zajął się przeglądaniem wojsk, które tu znalazł. Po rannym nabożeństwie, chociaż dni nie zawsze bywały piękne, a słoty i zimno przeciągały, po całych dniach czasami stał na koniu, lustrując przeciągające regimenty i rozpytując o nie. Otaczał się też samymi prawie wojskowymi, o niczym więcej nie mówił jeno o sprawach wojennych.

Stąd już na wszystkie strony, co było ludzi do tego zdatnych, wyprawiano na zwiady, po

języka aż ku Konstantynowu, Winnicy, Kamieńcowi i ciągle też któryś z panów odbierał mniej więcej pewne wiadomości, a te natychmiast przynoszono królowi, który je na radzie roztrząsał, i sprawdzał.

Królowa tymczasem zabawiała się objeżdżając kościoły, słuchając nabożeństwa lub u siebie przyjmując napływających' gości. Na tych jej nie zbywało nigdy, gdyż i czasu wojny ludzie umierali, wakanse się otwierały, a nimi ona rozporządzała.

Wszyscy jednak odwiedzający królową, jakby się na to zmówili, o dalszej podróży mówiąc, zgodnie ją prawie za niemożliwą, wielce utrudzającą i niebezpieczną ukazywali. Szczególniej kozactwa napaści niespodziane; które w dalszym pochodzie dnia i nocy spoczynku nie dopuszczały, wystawiano jako groźne, a dla kobiet równie jak dla wojskowego dworu króla utrudniające i niebezpieczne. Maria Ludwika na to nie odpowiadała, albo w śmiech obracała postrachy. W jej pojęciu pospolite ruszenie takie przy wojsku komputowym i cudzoziemskich zaciągach powinno było być tryumfalnym pochodem. Pamiętała ona obyczaje Francji, gdzie bardzo często królowe na wyprawę monarchom towarzyszyły, ale na to odpowiadali znający oba kraje, iż w Polsce, szczególnie na kresach, nawet czasu pokoju podróże łatwe ani przyjemne nie były, cóż dopiero czasu wojny!

Sama ona podróż swoją pierwszą po koronacji z Władysławem IV odbyłą przypominając,

łatwo mogła uwierzyć przestrogom, lecz zarazem nadto ponęt miała ta świetna wyprawa, aby się łatwo od niej odwieść dała. Marszczyła się słuchając tych groźnych opowiadań, a najczęściej je przerywała, inaczej zwracając rozmowę. W końcu jednak musiała powtarzającym się ze wszech stron głosom dać mimo woli ucha.

Radziejowski grał w tym jakąś niejasno oznaczoną rolę. Nie sprzeciwiał się królowej, nie namawiał jej też, nie zniechęcał, zdawał się więcej badać, niż stanowczą myślą kierować. W

jednym tylko stale trwał, to w sposobie wyrażania się o królu, gdy sam na sam był z Marią Ludwiką. Nie wydawał się ze swą niechęcią ku niemu ani z tym, że żał mógł mieć jakiś do niego, lecz nieustannie krytykował czynności, okazywał niezręczne postępowanie i dawał to czuć, że gdy nie stanie opieki i rozumu żony, Jan Kazimierz da się lada komu zawładnąć i cała ta wielkich nadziei wyprawa na niczym spełznąć musi.

Nadto pochlebiało to Marii Ludwice, aby mogła stawać w obronie męża, którego zresztą

najlepiej znała i wiedziała, jak mu było trudno na jednej wysokości utrzymać się długo. Teraz jednakże w istocie ją nawet król zadziwiał, tak brał do serca swe obowiązki i gorliwie je pełnił, nie okazując najmniejszego znużenia i wyczerpania.

Podkanclerzy, całe dni na dworze to przy królu spędzając, to u królowej, na pozór im

oddany, wieczorami się schodził z Dębickim, który podobnych sobie sprowadzał i późno w noc układano plany, jak by z tego wszystkiego skorzystać, wodę tę zamącić i ster opanować. Wydawało się to tym łatwiejszym, iż król w istocie nikogo nie miał przy sobie, który by mu mógł być radą zdrową i sumienną. Poróżnienie się z Lubomirskim, na wpół tylko złagodzone, odpychało od niego kanclerza Radziwiłła, nie miał Ossolińskiego jak przedtem, z duchownych żaden wyższością umysłu nie mógł zapanować nad nim.

Właśnie taką rolę przeważną, jaką odegrywał długo kanclerz Ossoliński, marzył dla siebie Radziejowski. Król mu się wydawał słabym, a królową usiłował natchnąć dla siebie zaufaniem i stać się jej niezbędnym. Na wieczornych tych przy winie obradach z Dębickim i kilku zausznikami mającymi im na dworze i w woj- sku służyć za narzędzia, Radziejowski otwarcie i z lekceważeniem mówił o przyszłości, jakby ją już miał w ręku.

— Wierzcie mi, ja na niego co dzień patrzę — mówił Radziejowski — król czym był od

początku, tym po dziś dzień pozostał, człowiekiem małej głowy a żadnego charakteru. Zapał w nim sztucznie wzniecony przez żonę nie potrwa, bo w nim nie trwa nic nigdy długo. Ona, choć przebiegła niewiasta, ale kobietą jest i powodować się daje. Nie ma nikogo, co by w

Rzeczypospolitej to stanowisko zajął, jak swojego czasu na przykład Zamoyski. Otwarcie

powiadam, ono się, mnie należy i ja je zdobyć muszę.

— Powinieneś — wołał Dębicki — to jest twój obowiązek względem tej Rzeczypospolitej.

Pół drogi już zrobiłeś.

— Więcej niż połowę — przerwał Radziejowski — sędzę, że ta wyprawa mi da cel

osiągnąć. Ja wszystko z góry przewidziałem, króla z królową poróżnić potrzeba, wojsko a szczególnie pospolite ruszenie do niego zniechęcić.

— Nie lubi mnie, ja to wiem — śmiał się podkanclerzy — ale znosić będzie musiał, bo się nie

obejdzie. Naówczas ja moje warunki mu podyktuję, z królową zawładnę wszystkim, a zostawię go z małpami.

Zausznicy zwykle dokładali, że król w ogóle miłości i popularności nie miał. Malowali sobie ci spiskujący wszystko w jak najświetniejszych barwach dla siebie.

Podkanclerzyna, która królowej, jak się to nazywało, towarzyszyła i zajmowała pewne miejsce w jej orszaku, w istocie żyła dosyć osamotnioną. Królowa do niej nie zbliżała się wcale, była zazdrosną od dawna; inne panie znajdowały ją dumną, a posądzając też, że Janowi

Kazimierzowi miłą była, z niechęcią patrzyły na nią, przypisując jej, że dawniej bardzo dla pięknych twarzyczek nadskakujący i pełen galanterii król, teraz się okazywał całkiem obojętnym.

Nie miała więc czasem podkanclerzyna długimi godzinami przemówić do kogo i znudzona

powracała do domu. Tu męża zastawała rzadko, a gdy przychodził, to tylko aby się prześmiewał z niej dopytując, czy z króla była kontenta, czy miała sposobność widzieć się z nim na osobności.

Otoczoną była przez niego takim niewidzialnym tłumem szpiegów, że o każdym kroku jej donosili.

Przychodziło więc do zwawych sprzeczek co wieczora, a podkanclerzyna była żywą i niecierpliwą, więc niekiedy gwałtownymi się one kończyły wyrzutami. Nigdy jednak Radziejowski nie dopuścił do ostateczności i nazajutrz, jakby zapomniał waśni, witał żonę pół grzecznie, na pół szydersko.

W obojgu to pożycie coraz większy wstręt budziło, podkanclerzyna płakała i mówiła sobie, że z mężem tym nie wytrwa, że ostatecznie musi go porzucić i rozdzielić się. Postanowienie to powzięła już czasu podróży, ale się z nim nikomu nie zwierzała. Doprowadzenie do skutku, nawet przy największej energii i przy czynnej pomocy rodziny, związane było z tysiącem trudności.

Chcąc się rozstać z podkanclerzym, jejmość musiała porzucić ten wspaniały pałac swój, pełen skarbów i na łup go mu zostawić, mógł też zawładnąć dobrami. Była w jego mocy.

Rozmyślała nad tym nieszczęśliwa Radziejowska, gdy dnia jednego królowa, ona, wszystkie damy, wyżsi urzędnicy, dwór, zostali zaproszeni na *colazione*, którą nuncjusz wydawał w refektarzu księży dominikanów, *ad hoc* przystrojonym. Cały wielki świat miał się tam znajdować, musiała więc i ona. Z rana tegoż dnia jednak oświadczył jej mąż, ażeby którąkolwiek z pań zaprosiła do towarzystwa i z nią razem pojechała, gdyż on niepewnym jest, czy się tam będzie znajdować lub później chyba nadjedzie. Ułożywszy się więc z księżną Sapieżyną, która po nią przybyć miała, piękna Elżbieta cała klejnotami okryta i pomimo bladości i zmęczenia dnia tego uroczą jaśniejąca pięknnością udała się na *colazione*.

Znajdowała się na niej królowa z całym dworem, wszystkie panie i żony senatorów, które się podówczas w Lublinie znajdowały, wielu duchownych i król też w towarzystwie kilku

świeckich senatorów. Pomyślne wiadomości, jakie z prowincji nadchodziły o gotującym się pospolitym ruszeniu, Jana Kazimierza wprawiły w tak wesołe usposobienie, w jakim na wielkich zgromadzeniach rzadko go widywano. Śmielszym też był dla kobiet i bardziej nadskakującym.

Królowa, którą zabawiał nuncjusz i liczne grono otaczało, nie miała możliwości śledzenia kroków jego, co może do swobodnego poruszania się przyczyniało. Obchodząc wkoło panie, król w końcu zbliżył się do podkanclerzyny.

— Dziś pani jesteś — rzekł witając ją — w całym blasku. Cieszę się tym, bo to znakiem, iż podróż jej się nie uprzykrzyła.

Piękna Elżbieta oczy na niego podniosła.

— A, jak to mylny sąd, Najjaśniejszy Panie! — rzekła. — My kobiety' zmuszone jesteśmy często się najweselej uśmiechać, gdy nas najwięcej serce boli.

Zatrzymał się król obejrawszy dokoła. Przy Radziejowskiej siedziała tylko Sapieżyna, dla której ona tajemnic nie miała.

— Rad bym się coś dowiedział — szepnął, pochylając się, król — ale...

— A i ja bym też rada była wielce poskarżyć się i poradzić. Potrzebuję tego pilno.

Król dał znak ręką, podszedł kroków kilka, obejrzał się dokoła szepnął coś Tyzenhauzowi stojącemu u drzwi i powrócił do podkanclerzyny.

— Mów pani śmiało — rzekł — druga się może zrzeczność nie nadarzy, potrzeba z tej korzystać.

Radziejowska rzuciła oczyma bojaźliwie dokoła, lecz wkrótce nabrała męstwa.

— Życie moje — poczęła — staje się niewysłowioną męczarnią. Sądziłam w początkach, iż ją znieść potrafię lub zmiękczę mojego prześladowcę, ale męka przewyższa siły, a człowiek, który ją zadaje, nie ma litości i zmienić się nie może. Mam niezmiennie postanowienie rozstać się z nim, inaczej by mi z życiem chyba się; pożegnać przyszło. Niech mi Bóg przebaczy, jeżeli go

niesłusznie posądzam, lecz nieledwie by można wnosić z jego postępków, iż tak jak się od dwu pierwszych uwolnił, chce i ode mnie oswobodzić się, życie mi skracając.

— Na Boga! — przerwał król. — Cóż się stało nowego?

— Nowego — podchwyciła podkanclerzyna — nie ma nic; życie się wlecze jak szło, coraz tylko nieznośniej się stając. Każdego dnia muszę cierpieć urągowiska, wymówki, pogróżki,

lekceważenia, chociaż najmniejszego do nich nie daję powodu. Łzy wypłakałam, cierpliwość się wyczerpała, gniew i oburzenie biorą górę. Nie, nie! Ja z nim żyć nie mogę, nie będę.

Król dał znak nagłący, aby mówiła ciszej, zasepił się mocno.

— Niewymowna to boleść dla mnie słyszeć o tym pani postanowieniu i to właśnie w chwili, gdy ja jej pomocą być nie mogę. Lecz zaklinam, zastanów się, czas i pora wiele znaczą. Wprawdzie będzie on zmuszonym mi towarzyszyć, ale pod wszystkimi względami rzecz trudna do wykonania.

Mogą być straty nieobliczone.

— Straty! — przerwała Radziejowska — Ale ja je za nic wa- żę! Życie i cześć moje ratuję.

Niewolnicą być nie mogę. Mam braci...

— Nawet przy ich pomocy — rzecz do wykonania trudna — odezwał się Jan Kazimierz —

ale tu dłuższej o tym rozmowy prowadzić niepodobna. Jutro... u księżny — wskazał Sapieżynę —

gdybym powracając z obozu ją zastał...

Podkanclerzyna z wdzięcznością pokłoniła się bardzo nisko, a król, na którego przedłużoną nieco rozmowę już zwracano oczy, natychmiast posunął się dalej i z panią wojewodzina lubelską począł wesołą pogadankę.

Szczęściem w czasie tego epizodu podkanclerzego jeszcze nie było w klasztorze, ale

jejmość pewną była, że mu doniesionym będzie, iż król z nią dłużej nieco rozmawiał. Radziejowski późno się tu zjawił. Około nuncjusza i królowej naprzód zabawiwszy nieco, poszedł witać innych znajomych, a gdy na ostatek przyszedł do żony, szepnął jej szydersko do ucha, że winszuje łaski królewskiej. Z oburzeniem ruszywszy ramionami, podkanclerzyna nic nie odpowiedziała. W domu Radziejowski wznowił o tym rozmowę i zyskał tylko odprawę pogardliwą. Rozeszli się jak zwykle podrażnieni.

O naznaczonej godzinie podkanclerzyna czekała już na przybycie króla u Sapieżyny, od

wczora jeszcze rozgorączkowana, płacząca, na przemiany to odgrządzając się na męża, to biadając na los swój nieszczęśliwy.

— Mój Adam mnie rozpieścił — mówiła — i ja, którą on na ręku nosił, com była panią i

królową, której słuchano skinienia, dziś, dziś mam być w mocy takiego człowieka bez serca, bez sumienia, bez czucia! Możeż być los okropniejszy!

Księżna próżno starała się ją utulić i pocieszyć, podkanclerzyna egzaltowała się swym

nieszczęściem do tego stopnia, iż nic jej ułagodzić nie mogło. Dlatego tak obie wyglądały i

oczekiwały przyrzeczonego przybycia króla, który nierychło sam jeden ze dwoma tylko dworzanami z pułku swojego nadjechał konno.

Gospodyni wraz z podkanclerzyna wyszły na spotkanie przeciwko niemu. Jan Kazimierz

wracał ze zwykłej lustracji w dosyć wesołym humorze, ale widocznie zakłopotany tym, iż tu wstępował, bo każdy krok jego rejestrowano. Mieszkanie Sapieżyny było na Grodzkiej ulicy, ludnej i na widoku, nie mogło się więc utaić, że się tu znajdował, ani jak długo miał zabawić.

Zaledwie na próg wstąpiwszy, Jan Kazimierz zwrócił się do Radziejowskiej:

— Mówmy, pani moja, o was, bo ja na nieszczęście czasu nie mam, a tylko co nie widać,

jak mnie kto i tu napędzi. Cóż się to dzieje? Podkanclerzy przecież zdawał się rozumniejszym i powolniejszym. Sam na tę podróż namawiał. Nie widzę powodu, dla którego by z niej miał być niekontent. Co go tak podrażniło?

Radziejowska rączki złożyła i załamała.

— Najjaśniejszy Panie — rzekła z wielkim ogniem — któż może powiedzieć, że pana

Radziejowskiego rozumiał? Jest łagodnym i uśmiechającym się, gdy mu to potrzebne, gniewa się na zimno, jeżeli przez to chce komu dokuczyć lub nastraszyć. Wszystko u niego obrachowane, zdradliwe, niegodziwe. Człowiek ten budzi we mnie obrzydzenie, ohydę, ja żyć z nim nie mogę, ja uwolnić się muszę.

— Ale w jakież sposób się to stać może? — odezwał się król łagodnie — Mówmy...

Księżna Sapieżyna widząc, że rozmowy i narady tej poufnej może być niewygodnym

świadkiem, z wolna, niepostrzeżenie cofnęła się do drugiego pokoju, zostawując podkanclerzynę samą na sam z królem. Drzwi pozostały otwarte. Usiadł Jan Kazimierz i wskazał obok siebie krzesło Radziejowskiej, która je zajęła.

— Myślałem już o tym od wczoraj — mówił król, biorąc za rękę podkanclerzynę i

wpatrując się w nią ze współczuciem wielkim. — Ja też jestem tego przekonania, że z nim żyć nie możecie, bo by to było nie życie, ale nieustanna tortura. Lecz chcecie się uwolnić od niego, niemała rzecz i niełatwa. Radziejowski ani was, ani mienia waszego łatwo z rąk nie wypuści. Prawo mu daje pewną siłę, u was jest jak u siebie w domu, drzwi mu zamknąć nie możecie. Zechcecie ujść od niego, musicie mu na łup wszystko zostawić, a to jest rzecz niemała. On zmarnuje i rozproszy wszystko, co nieboszczyk Adam przez całe życie zbierał i co wy lubicie i cenicie jako pamiątkę po nim. Może też wam swoją rajtarią i ludźmi z Kryłowa i Radziej owić pozajeżdzać folwarki.

Wypowiedzieć mu wojnę, pani moja, to się potrzeba na wszystko przygotować co godziwe i

niegodziwe, bo on *per fas et per nefas* prześladować i mścić się będzie, a na złe rozum ma!

Król mówił żywo, z wlepionymi w niego oczyma słuchała podkanclerzyna, a chwilami łzy jej się wmykały spod powiek.

— Pani moja — odezwał się Jan Kazimierz — zrywać z nim teraz nie radzę, nie można;

cierpcie jeszcze! Gdy, da Bóg, powrócimy z tej wyprawy do domu, potrzeba będzie obmyśleć i przygotować środki, wybrać godzinę, abyście strat i przykrości mieli jak najmniej. Ja z mej strony przyrzekam wam jak najsilniejsze poparcie. Co się tyczy królowej — dodał spuszczać oczy i zniżając głos — co się tyczy królowej, lękam się, ażeby nie wzięła strony podkanclerzego, gdyż on bardzo jej nadskakuje... a ja, ja — przebaknął zmieszany nieco — ja, mnie... trudno będzie do

'królowej za wami przemówić, bo wiem, że mnie posądza. Wszystko to tymczasem rzeczy są

oddalone, dziś świętej cierpliwości zażyć musicie, to moja rada i nie zrywać ani nawet dać mu się domyślać, że to nastąpić może.

Podkanclerzyna wysłuchiwała drżąc rad, które król z widocznym dla niej współczuciem

wypowiadał, ale w końcu wybuchnęła płaczem, który dotychczas powstrzymywała.

— Każdy dzień, każda godzina z tym człowiekiem niewysłowioną jest dla mnie męczarnią.

Zdaje mi się, że naumyślnie sili się na to i obmyśla środki, aby jak najsrożej mnie utrafił. To, o czym wie, że mnie dotknie, obrazi, umęczy — wybiera, litości nie ma, wstydu nie ma. Nieraz się przed domownikami własnymi rumienić muszę. Posądzania, wymówki, życie moje przeszłe, moje szczęście ma nieustannie na ustach. Wasza Królewska Mość słyszeliście o konterfekcie

nieboszczyka, który z mego pokoju na strych wyrzucie kazał, ale toż samo się dzieje z

najdroższymi pamiątkami. Dochodzi to do obrzydliwej swawoli. Chłopcy jego zabijają mi z jego rozkazu najulubieńsze ptactwo moje, po pokojach z łuków strzelając. Nie mam szkatułki i schowki, w której bym coś ukryć mogła. Odbija mi zamki, zabiera papiery. Do braci listów wysłać nie mogę, bo i te są podejrzone. We własnym domu być na łasce sług przekupionych!

Radziejowska we łzy się rozpląnęła, Jan Kazimierz mocno przejęty starał się ją pocieszyć i dodać męstwa.

— Nie może ta męczarnia trwać długo — dodał. — Pani podkanclerzyno, powracaj do

Warszawy, a ja go zatrzymam przy sobie. Wystawił mi pułk rajtarii, który chce prezentować, a oprócz tego nie zdaje mi się, aby obóz opuścił. Z obowiązku przy nas być musi. Masz więc pani czas wypocząć, namyśleć się, a nawet sprowadzić braci ku pomocy. Królowa — dodał nieco głos zniżając — nie wiem z pewnością, jak długo towarzyszyć mi będzie. Życzyłaby sobie być ze mną i ma męstwo po temu, ale panowie senatorowie słusznie są przeciwni i ona więc do Warszawy

powróci, waćpani albo z nią lub sama powinnaś też wracać. — Dotąd — wtrąciła Radziejowska —

nastawał na to i upierał się, abym jechała. Jaki w tym cel miał i ma, nie wiem. Trudno go zrozumieć. Być może, iż się i odjazdowi mojemu sprzeciwi, jeżeli mu to przeciw jego myśli.

— Cóż w takim razie? — zapytał troskliwie Jan Kazimierz.

Dumnie podniosła piękną główkę pani podkanclerzyna.

— Mam jeszcze garstkę ludzi własnych, mnie wiernych i posłusznych — rzekła — i gdy wydam rozkazy do wyjazdu, posłuchają mnie, nie jego. Zresztą ułożę tak w potrzebie odjazd, ażeby nie wiedział o nim lub się dowiedział za późno.

Rozśmiał się król niedowierzająco.

— Moja pani podkanclerzyno — odparł — nie pochlebiajcie sobie, ażebyście wy go mogli w czym ubiec. Wie on, zdaje mi się, nie tylko każde słowo wasze, ale niemal myśl każdą.

Postępujcie ostrożnie, a nade wszystko przed czasem mu się nie dawajcie domyślać tego, iż macie postanowienie się z nim rozstać. Gdy do tego nareszcie przyjdzie, będziecie musieli do klasztoru się udać, dopóki w Rzymie nie wyrobimy rozvodu. Sprawa ta, pociągnąć się może, a tymczasem i dobra zabezpieczyć potrzeba od napaści i zmarnowania.

Wzdychała ciężko Radziejowska.

— Dysymulujcie — mówił król dalej — chociaż ja to najlepiej wiem, jak trudno

dysymulować, gdy się ma wstręt i pogardę dla człowieka. W takim i ja jestem położeniu względem niego, bo z dawna mi jest wstrętliwym, a narzuca mi się i nabija tak, iż go się niczym pozbyć nie mogę. Wie bardzo dobrze, jakie mam dla niego sentymta, ale właśnie, aby mi się naprzykrzać i dojeść mi, nie odstępuje na krok. Próżno się odwracam, uchodzę, nie słucham i nie odpowiadam; zabiera głos, zachodzi ze wszech stron, na ostatek, gdy sam już nie może, od królowej zleceń się do mnie podejmuje, aby mnie nimi i sobą męczył. Widzicie, kochana podkanclerzyno, że go znam, bo się tak ze mną, jak z wami obchodzi. Jedyna rada moja, dysymulujcie, a ja też do czasu znosić go muszę.

W ciągu tej narady poufnej Sapieżyna była w drugim pokoju, gdzie z siostrzenicą swą

rozmawiała i ani ona, ani król, ani wielce rozdrażniona pani Radziejowska nie uważali i nie słyszeli, że pan podkanclerzy, zawiadomiony pewnie o umówionym spotkaniu u Sapieżyny, cicho podjechał

konno w podwórze, wierzchowego oddał towarzyszącemu hajdukowi, na palcach niemal podkładał się pode drzwi, a potem nagle je otwierając, z hałasem zwycięzcy wpadł do komnaty, w której król siedział z panią podkanclerzyną.

Twarz jego szydersko, złośliwie się śmiała, oczki przymrużał i krokiem od niechcenia

powolnym podszedł do króla, który czerwienił się, bladł i do najwyższego stopnia rozgniewany, upokorzony, dumną też i pańską przybrał postawę.

Radziejowska na widok męża jak trup zbladła, wiedziała, co ją czekało za to pochwycenie na rozmowie, która nawet świadka nie miała, bo Sapieżyna w chwilę potem dopiero, głos obcy posłyszawszy, ukazała się na progu z siostrzenicą.

Podkanclerzy, nie zwracając się do żony, podszedł z ukłonem do Jana Kazimierza.

— Szukałem wszędzie Waszej Królewskiej Mości — rzekł — bo pilne sprawy z kanclerzem czekają, królowa też dopytywała się. Nie wiem, jakim szczęśliwym trafem myśl mi przyszła tu zajrzeć.

— Ale ja wprost z monstry jadę — odparł król kwaśno — a nie ma minut kilku, jakem tu przybył, chcąc panią Sapieżynę odwiedzić. Mogliście się łatwo dowiedzieć o 'mnie, bo tajemnicy z moich przejażdżek nie czynię.

Radziejowski śmiał się.

— Należała Waszej Królewskiej Mości — począł ciągle sarkastycznie, a oczyma na żonę rzucając — należała choć chwila spoczynku po tylu fatygach od rana około lustracji pułków.

Król nic nie odpowiadał.

— To się wie — mówił żywo podkanclerzy — co żywiej rozsyłać potrzeba, nie ma chwili do stracenia. Kozactwo Kalinowskiego napiera, a Chmiel pośpiesznie na nas ciągnie, aby zebranie się pospolitego ruszenia uprzedził i pobił nas, nim ono nadejdzie. Województwa zaś, wiadoma rzecz, nie bardzo rade terminu pilnować i wymówki mieć będą dosyć. Pospolite ruszenie na piąty czerwca — dodał Radziejowski — daj Boże, aby pod Konstantynów nadażyło, a tymczasem co z nami będzie?

Zagadywanie to *de publicis*, jak gdyby tylko sprawę Rze- czypospolitej miał na sercu Radziejowski, w takiej było sprzeczności z jego twarzą i ruchami, iż zwiększało króla rozdrażnienie.

Nie odpowiadając Radziejowskiemu podniósł się król gniewny, zwrócił do gospodyni

domu, która się właśnie ukazała na progu, i pożegnawszy ją, równie swobodnie kilku słowami cicho wyrzeczonymi pożegnał podkanclerzynę, która nie zważając na złośliwe męża wejrzenia, odprowadziła do progu odchodzącego.

Podkanclerzy, który jak sam mówił, za królem gonił i szukał go tu dla spraw pilnych, zamiast mu teraz towarzyszyć, co się zdawało obowiązkowym, zawrócił się, odprowadziwszy do konia, nazad do mieszkania Sapieżyny. Twarz mu promieniała zwycięstwem, zemstą jakąś podkarmionym, wiedział dobrze, że i Sapieżynie, i żonie może dokuczyć, a to właśnie najpożądańszym mu było. Najpierw więc do Sapieżyny się obrócił, dziękując szydersko, iż była tak łaskawą żonie jego miłe spotkanie z królem jegomością ułatwić.

Jejmość charakteru niełagodnego, opryskliwa a śmiała, napadła na niego z góry.

— Wstydzilibyś się asindziej, panie podkanclerzy — zawołała — mnie posądzać, a żonie dojadać! Cóż to się tak straszego stało, iż król u mnie ją zastał? Albo to dziwna, iż Elżusia ma dla niego wenerację i wdzięczność, gdy to i waćpanu wiadomo, że gdyby nie król, nie miałyby po pierwszym mężu nic, a i waszmość byś się też nie obłowił!

Radziejowski śmiałą tą odpowiedzią zrazu trochę się uczuł zmieszanym i byłby może wybuchnął nie szczędząc gospodyni, lecz coś go powstrzymało.

— Cóżem to ja tak złego powiedział? — zaczął śmiejąc się — dziękowałem, nic więcej, bo wiem, że mojej żonie widzenie się i rozmowa z królem miłszą jest nad inne, nawet niż ze mną!

Stara to przyjaźń, a my poddani Jego Królewskiej Mości powinniśmy szczęśliwymi się czuć, gdy którego z nas czy żonka, czy córka wpadnie w oczy majestatowi. Przez to się wszystkiego dobrego dla domu spodziewać można.

Oburzona podkanclerzyna płakała, na co mąż bynajmniej nie zważał, tym weselszym się okazując. Sapieżyna, nie zważając na gościa, odwróciła się od Radziejowskiego, ujęła pod rękę podkanclerzynę i nie żegnając go, wyszła z nią do drugiego pokoju, drzwi zamykając za sobą.

Podkanclerzy natychmiast kapelusz włożył na głowę i w boki się ująwszy, hałaśliwie wyszedł na ganek, rozkazując sobie podać konia, który czekał na niego wraz ze służbą.

Długiego czasu potrzeba było, wody i larendogry, nim podkanclerzyna wzruszona przyszła do siebie.

— Nie masz co tak bardzo zważać na niego — pocieszała ją Sapieżyna — niech sobie plecie, co chce, nie wyrzuca ci sumienie nic, króla sobie tym naraził, bo go szpiegował, zresztą nic się nie stało.

Radziejowska nierychło potem do domu odjechała.

Podkanclerzy wprost stąd udał się do królowej, ale tu zastał tak liczne towarzystwo, że przystąpić do niej nie mógł. Nieznane panie, które tu z mężami przybyły, przychodziły z kolei pokłonić się pani swej, aby mieć potem wspomnienie, że ją widziały, choć niewiele z nich rozmówić się z nią mogło, bo nauka języka francuskiego nie była jeszcze rozpowszechnioną z wyjątkiem najarystokratyczniejszych domów, a między starszymi paniami łatwiej można było znaleźć taką, co po łacinie się rozmówić umiała niż po francusku. Królowa zaś, choć po polsku rozumiała trochę, mówiła tym językiem źle i niechętnie. Dostyc było niektórym z pań być

przypuszczonymi do ucałowania ręki i do widzenia oblicza. Ichmościów też duchownych,

świeckich i wojskowych na pokojach Marii Ludwiki nie zbywało nigdy, cisnęli się wszyscy jako do dystrybutorki łask i istotnie królowej. Wiedzano, że przez nią i do króla trafić było najbezpieczniej a najłatwiej.

Na przyjęcie też w mieście i przez ziemian skarżyć się nie mogła Maria Ludwika. Miasto po naradach i zasięgniętych wiadomościach wystąpiło z podarkiem przystojnym. Nie mogło

wprawdzie jak Gdańsk ofiarować kilka tysięcy pięknych, umyślnie odbitych monet, ale naczynia srebrne, pozłociste przydały się też skarbcowi królowej jejmości. Co dzień prawie zabawiano ją ogniami sztucznymi, które z Warszawy sprowadzony kunsztmistrz wyprawiał. Czas schodził dosyc przyjemnie.

Podkanclerzy pod pozorem spraw jakichś pozostał na pokojach, aż się wszyscy oddalili.

Szło mu o to, ażeby królową zawiadomił o szczęśliwych swych łowach. Wiedział, że bądź co bądź, zawsze ją to cokolwiek zniechęci i odstręczy od króla. Obrócił w żartobliwy sposób swoje oskarżenie.

— Goniłem dziś za królem jegomością w pole — odezwał się — lustrował pułki, alem się przypóźnił, a król pośpieszył na inną lustrację.

Rozśmiał się, Maria Ludwika ciekawie się zwróciła ku niemu,

— Pojechał zawczasu swe dawne znajomości odwiedzać — ciągnął dalej Radziejowski.—

Znalazłem go jakimś instynktem u Sapieżyny, ale on tam nie jej szukał.

Zatrzymał się nieco. Królowa słuchała ciekawie.

— Znajdowała się tam żona moja — mówił dalej Radziejowski. — Wczoraj razem były u

Waszej Królewskiej Mości, gdzie król się z żoną moją zmówić musiał, gdzie się spotkać mogą bezpieczniej na poufałą rozmowę, to jest na to, aby się ona przeciwko mojej tyranii skarżyła. Jakoż przydybałem ich oboje, samych, bo Sapieżyna nie chciała snadź czułym zwierzeniom przeszkadzać.

Począł śmiać się podkanclerzy, chociaż widział, jak surowo zmarszczyła się królowa i usta zacięła.

Nie wdała się jednak ani w rozpytywania, ani w dłuższą o tym rozmowę, zwróciła się ku czemu innemu.

Podkanclerzyna przez cały ten dzień pozostała u siebie, sposobiąc się do tego, co ją od męża czekało wieczorem. Tymczasem Radziejowski, który z Dębickim miał do czynienia wiele, powrócił

tak późno w noc, iż żona go już nie widziała. Następnego zaś dnia rano przywitał ją, wcale już ani napomykając o spotkaniu u Sapieżyny i nie czyniąc wymówek, ani szydząc i doskwierając, czego się spodziewała. Czy to wypłynęło z rachuby, czy z lekceważenia, poznać nie mogła

podkanclerzyna, lecz była mężowi nieledwie wdzięczną, że ją w pokoju pozostawił. Wypadek ten zamiast pogorszyć stosunki pomiędzy małżeństwem, prawie przeciwnie, uczynił je znośniejszymi.

Podkanclerzyna oddychała swobodniej, Radziejowski zaś tak się zdawał jakimś ważnymi

sprawami ciągle zajęтым niezmiernie, iż na pozór żonę zanieczywał. Wszystko to u niego tak było umiejętnie ułożone, że chodów jego trudno się było dobadać. Mniej nawet w Lublinie królowi samemu prezencją swą się naprzykrzał, gdyż w towarzystwie Dębickiego obchodził różne kółka wojskowe i ziemian, siejąc tam potrzebne na przyszłość ziarna, które później wschodzące pielęgnować miano.

KONIEC TOMU DRUGIEGO

TOM TRZECI

Rozdział I

Codziennie prawie przynoszono języka, a wiadomości te, których król był żądnym,

niecierpliwiły go coraz mocniej. Rad chciał już ciągnąć dalej ku Konstantynowu, ale pułki powoli się jeszcze ściągały, a skargi dochodzące zewsząd przekonywały, że żołnierz swawolny po drodze się łupiestwem zabawiał, wcale nie śpiesząc do obozu.

Niekiedy od kozactwa zalatywało coś takiego, co zabołec musiało, na przykład, gdy

chanowi tatarskiemu kładziono w usta te słowa, że mu więcej szło o przyjaźń jednego prostego Kozaka spod Chmielą niż o zgodę z królem polskim. Przyprawiono tu pochwytych jeńców z luźnego kozactwa i z Tatarów, co się zapędziwszy za daleko, w ręce oddziałów polskich powpadali.

Ci prawie prawie zgodnie powtarzali, że Chmiel siły swe podzielił, że szedł przeciwko królowi i że orda z ogromnymi tłumami ciągnęła za nim znowu.

Tymczasem wojska powolniej daleko ściągały się, niżby król życzył, który z każdym dniem więcej był tym podrażniony. Pobyt też w Lublinie, w tym towarzystwie królowej i pań, które się do niej i koło niej skupiały, wcale mu nie smakował. Nie śmiał się z tym oświadczyć, lecz ze wszystkiego się to okazywało. Królowa zaś, choć ją kozactwem zastraszone, które się przybliżało i zuchwale wtargnąć mogło aż nad brzegi Bugu, nie miała ochoty powracać do Warszawy, chętnie by była

towarzyszyła mężowi, czując mu się w chwilach stanowczych potrzebną, widząc już intrygi, jakie się około niego zasnuwać zaczynały.

Radziejowski dotąd grał przy niej rolę przyjaciela, który bolał nad tym, iż nieudolny król sam miał pozostać. Królowej, która w początkach przeciwko insynuacjom tym o mężu nie

protestowała, z trudnością teraz przychodziło go bronić. Milczała, lecz przyszłe losy wyprawy podjętej z takim wysiłkiem przejmowały ją trwogą. Przeciwnie, Jan Kazimierz był najlepszej myśli i nadziei. Pobożny i wierzący w opiekę niebios, cieszył się cudownym obrazem Najświętszej Panny Chełmskiej, którą wojsko miało za opiekunkę pozyskać. W Lublinie Janowi Kazimierzowi coraz jakoś robiło się duszniej, zdawało mu się, że gdy wyruszy sam z głównymi siłami, które się już tu zgromadziły, opóźnione też oddziały pośpieszą ku niemu. Nalegając co dzień na wyruszenie z Lublina, w końcu król z dowódcami dzień naznaczył, a że od kozactwa coraz świeższe nalatywały wiadomości, iż się zbliżało, zdawało się, iż Maria Ludwika wyrzeczce się dalszej podróży. Królowa, dotąd milcząca, oświadczyła w ostatniej chwili, że dopóki tylko będzie można, towarzyszyć chce mężowi i trudy jego podzielać. Jan Kazimierz, jakkolwiek mu to może niezbyt dogadzało, musiał dziękować.

Radziejowski, który i tu, i tam podsłuchiwał i podszeptował, uśmiechał się. Oświadczył

zarazem żonie, iż bezpiecznie mogła też z nim pozostać. To „z nim” dwuznaczne wyrażało zarazem i króla. Podkanclerzyna, pozorem zgody ukołysana, nie sprzeciwiała się.

Uroczyste było, ale niepokoju pełne ruszenie z Lublina, pożegnania, błogosławieństwa. Gdy wiele osób stąd powracało lub też się zatrzymywało, inne, przykładem królowej zachęczone, w ostatniej godzinie przeprowadzać się decydowały.

Radziejowską mąż zabierał tym pewniej z sobą, iż prawdopodobnie ku Sokalowi i Bugowi ciągnąć miano, a w pobliżu nad Bugiem był jego Kryłów, miejscina po pierwszej żonie

odziedziczona. Mogła więc, jak zapowiadał podkanclerzy, jejmość spocząć w starym dworze w Kryłowie, jeśliby w Sokalu i przy obozie niedogodnie jej było.

Wojsko z królem, który inaczej jak konno na czele swych chorągwi jechać nie chciał,

ciągnęło dosyć powolnie na Uchanie ku Krasnemustawowi. W pochodzie wszyscy się przekonać mogli, jak te tabory ogromne, którymi wojsko było przeciążone, niesłychanie ruchy jego utrudniały.

Wozy, kolebki, ludzie i konie króla i panów daleko więcej miejsca zabierały niż sam żołnierz, a ten musiał przed nimi ustępować. Niezliczona ćma ciurów, czeladzi, sług wszelkiego rodzaju jechała, szła, wlokła się, otaczała te tabory. Wśród natłoku nie było prawie godziny, w której by nie powstała waśń, nie przychodziło do pięści, kijów i szabel. Za sługami ujmowali się panowie, starszyzna musiała biec rozrywać i godzić. Niekiedy dochodziło to aż do króla, który i sądy wojenne i nadzór musiał postanowić surowy, co niewiele pomogło.

Królowa ze swym fraucymerem dosyć licznym, z przestraszonymi kobietami, które ciągle

Kozakami i Tatarami na żarty prześladowano, choć sama nieulekniona dotąd, zaledwie mogła w służbie utrzymać ład jakikolwiek. Przybiegano do niej ciągle z popłochem, a ten się jeszcze powiększył, gdy śmielsi przodownicy poczęli do króla jeńców chwytywać przyprawiać.

Widok tych twarzy dzikich, z wyrazem zwierzęcym kobiety wprawiał w niewypowiedzianą trwogę. Wybiegały się im przypatrywać, powracały blade i drżące.

Z powodu kolebek i wozów Marii Ludwiki, czasem dla jej ciekawości i fantazji

zatrzymywać się musiano i zmuszano też króla zwracać się, czekać, podjeżdżać do kolebki żony, co go niecierpliwiło. Nie mówił jeszcze nic, lecz jawnym się stawało, że dalej, dalej, pochód podobny był niemożliwym i niebezpiecznym. W Uchaniu wieczorem Jan Kazimierz, sam na sam się

znalazłszy z żoną, miał na ostatek odwagę wnieść, że jej — dla własnego bezpieczeństwa, koniecznie powracać należało.

Maria Ludwika obawą by się do tego skłonić nie dała pewnie, ale król dodawał, że na

prymasa zdane były sprawy wszystkie i że ona mu w pomoc radą i bliższą znajomością rzeczy przyjść była powinna. Trafiało to do jej przekonania. Uśmiechało się zarówno spragnionej zajęcia i czynnego życia zastępowanie króla w stolicy, jak towarzyszenie mu w obozie. Wybór z dwojga był

trudnym. Właśnie W tej chwili wahania się i zwątpienia zjawił się czuwający, a raczej czyhający na nie Radziejowski. Wszystko to on przewidywał zawczasu i chciał z tego korzystać. Dotąd podróży królowej nie był przeciwnym, dalej ona mu krzyżowała jego plany przewrotne. Szło mu o to, aby ją z mężem rozdzielić i poróżnić — zając potem stanowisko pośrednika, bez którego by się oboje obejść nie mogli.

Maria Ludwika, dotąd nie podejrzewająca tak głęboko sięgającej intrygi, chociaż niezmierną ambicją Radziejowskiego znała, naradzała się z nim poufnie.

— Jestże w istocie jakie dla nas niebezpieczeństwo — zapytała go. — Albo w ten sposób grożąc nim, pozbyć się nas tylko chcecie?

Podkanclerzy nastroił powagę wielką.

— W tym momencie — odparł — niebezpieczeństwa nie ma jeszcze, ale że ono nagle i

niespodzianie zjawić się może, to niestety, pewna. Kozactwo jest zuchwałe, jego sposób wojowania na takich napadach zuchwałych zależy, których przewidzieć niepodobna, a gotowym być na nie zawsze potrzeba. Z pewnością Najjaśniejszej Pani spokojniej i lepiej byłoby w Warszawie, dokąd ją i czuwanie nad sprawami Rzeczypospolitej powołuje.

— Tak bym chciała towarzyszyć mężowi — westchnęła królowa.

— I to nie ulega wątpliwości — począł Radziejowski — że przytomność Waszej

Królewskiej Mości tutaj wielce jest pożądaną. Król sam sobie zostawiony ulec może wpływom różnym, słuchać rad nie zawsze najlepszych. Boleśnie to powiedzieć, ale Najjaśniejszy Pan w sobie nie znajdzie siły do pokierowania wyprawą, a gdy co dzień kto inny ucho jego pozyszcze, wynikną stąd sprzeczności, targania, które wszystko zepsuć mogą. Mnie król z pewnością słuchać nie zechce, a inni...

Podkanclerzy poruszył ramionami i zamilkł.

— Widzicie więc — dodała królowa — że wybór dla mnie trudny. Pozostać czy wracać — ma równe niedogodności.

— Wasza Królewska Mość, gdyby powrót się stał koniecznym, co nastąpić musi — wtrącił

Radziejowski — zechcesz wrazić to w umysł króla, że ja jestem najwierniejszym sługą jego, że mam dosyć odwagi i wytrwałości, aby co potrzeba i z dowódcami, i ze szlachtą doprowadzić do końca, ale król się powinien pozbyć tego wstrętu i nieufności, jaki ma ku mnie, a które, zdaje mi się, winien wpływowi żony mojej. Staram się już kwoli publicznej sprawie pojednać z nią...

jesteśmy dosyć dobrze... na wiele rzeczy zamykam oczy...

Królowa przechadzała się zamyślona.

— Sądzicie więc, że dalej towarzyszyć królowi... — spytała.

— Będzie niepodobieństwem — dokończył Radziejowski. — Z tą myślą się zawczasu

oswoić należy, ale ja pozostaję. Wasza Królewska Mość mieć będziesz najwierniejsze, codzienne sprawozdanie z tego, co się tu u nas dzieć będzie.

— Zaczekam jeszcze, aż mnie konieczność zmusi obóz opuścić — westchnęła. — Widzę to,

że i w Warszawie byłabym potrzebną, a tu się tak obawiam.

— Ja pozostaję na straży — żywo począł podkanclerzy — będę donosił i przestrzegał o

wszystkim. W potrzebie potrafię powstrzymać krok, który by się groźnym wydawał, król nie słucha mnie, ale ja znajdę środki wymożenia na nim zwłoki przynajmniej. Wasza Królewska Mość listami swymi będziesz mnie posiłkowała.

Tego wieczora więc już Maria Ludwika na wpół była przekonaną, że odjechać powinna.

Zapytała od niechcienia podkanclerzego, co z żoną myśli uczynić.

— Posunąwszy się ku Sokalowi nad Bug, gdzie leży mój Kryłów — rzekł podkanclerzy —

bardzo mi będzie łatwo ją odwieźć tam, pozostawić, a z Kryłowa zarządzić podróż do Warszawy.

Waszej Królewskiej Mości nie chcę obciążać jej towarzystwem i powiększać i tak już dosyć gromadnego taboru.

Królowa nic nie zdawała się mieć przeciwko urzędzeniu takiemu, bo nie lubiąc podkanclerzyny, wolała nie mieć jej z sobą.

Radziejowski w ten sposób z jednej strony przygotowawszy Marią Ludwikę, wsunął się do króla, aby u niego tym się pochwalić. Wiedział, że wiadomość będzie dobrze przyjętą.

Chociaż król, jak zwykle, nie miał ochoty do rozmowy z nim, podkanclerzy się narzucił.

— Najjaśniejszy Panie — szepnął tajemniczo — starałem się skłonić królową, aby powracała do Warszawy. Im dalej się posuwamy, tym przytomność jej w obozie ruchy nam utrudnia.

Jan Kazimierz odwrócił się ku niemu, ale nie przemówił jeszcze.

— Zdaje się, że Najjaśniejsza Pani sama zaczyna to widzieć, iż się narażać nie powinna.

Zamruczał coś król.

— Wasza Królewska Mość nalegaj tylko otwarcie. Idzie o bezpieczeństwo osoby, o niewczasy i niewygody, na które się narażać w tym stanie zdrowia nie powinna. Nawet doktor być może na świadectwo pozwany. Królowa się waha przez troskliwość o osobę Waszej Królewskiej Mości, lecz sędzę, że się da skłonić.

Nie odebrawszy odpowiedzi Radziejowski dorzucił po chwili:

— Ja z moją żoną muszę pozostać najmniej do Sokala. Niedaleko ma mój Kryłów, gdzie się zawsze schronić będzie mogła. Dwór wprawdzie stary i opuszczony, ale kazałem go oczyścić, a i to wiosna się zbliża, nie potrzeba więcej nad dach i ściany.

Słuchał król, na pozór nie okazując, aby go to wielce obchodzić mogło, ale w duszy dziwił się po trosze temu, iż podkanclerzy żonę chciał dłużej zatrzymać, odprawiając królową. Było to dla niego niezrozumiałym.

Wśród tych rozmyślań i napastliwych podkanclerzego rad i uwag, którymi króla zarzucał, oznajmiono, że przybyli dwaj na wy- cieczkę dalszą z oddziałem wyprawieni ichmość panowie

Joachim Łącki i Kurowski, którym się powiodło pod Kopczycami z orlą się ucierając pochwyć Neczaj murzę tatarskiego.

Na tego czarnego olbrzyma, gdyż murza był nadzwyczajnego wzrostu, co u Tatarów rzecz rzadka, wpadłszy naprzód Łącki, szczęśliwie mu z rąk szablę wytrącił i chciał go z konia ściągnąć, ale murza silniejszy, towarzysza pochwyćwszy, z nim razem, sobą go cisnąc, padł w błoto. Kto wie, jak by się była walka ta skończyła, gdyby nie przypadł Kurowski, który ratując Łąckiego, murze obuchem w łeb uderzył raz i drugi poprawiając, tak że w końcu Tatarzyn okrwawiony przytomność stracił, a nasi go związali i w niewolę wzięwszy uprowadzili. Zwadzili się potem o pancerz bardzo misterny i kosztowny, który murza miał na sobie i razem z jeńcem przybyli do króla na sąd. Ponieważ ciemno już było, gdy z nim przyszli, a Jan Kazimierz widzieć chciał tego olbrzyma, bo mu go opisywano już jako dziką bestią osobliwą, zapalono pochodnie przed dworem i zbiegło się mnóstwo ludzi na oglądanie murzy.

Przywleczono go na łykach, opierającego się i tarzającego, mimo że głowę miał pobitą i pociętą straszliwie, a krew na niej ledwie pozasychała. Wszedł zaraz król, ogromne koło się zgromadziło, a Łącki z Kurowskim opowiadać zaczęli, jak go zmogli. Przy czym sprawę swoje wytoczyli o ów pancerz złożony i wielce kunsztowny, który też przyniesiono. Nim Jan Kazimierz o nim zawyrokował, ktoś z tłumu zawołał:

— Co się tam o łupinę tę wadzić macie? A nie przystałoby jej jako pierwszy łup złożyć u stóp Jego Królewskiej Mości?

Oczywista rzecz, że Łącki i Kurowski nie mieli słowa do powiedzenia przeciwko temu, ale się król okrutnie zachnął:

— Ale dajcież mi pokój! Ja go nie chcę i nie przyjmuję. Kurowskiemu go przysądzam, bo bez jego pomocy Łącki by nie tylko pancerza nie widział, ale czarna ta bestia byłaby go zadławiła.

Łąckiemu zaś moja rzecz nagrodzić jego męstwo i o nim ja nie zapomnę, nie straci na tym.

Łącki się tedy schylił do kolan królowi, a Kurowski zaraz pancerz ściągnął, który wszyscy biegle oglądali, gdzie znajdujący się wypadkiem Otwinowski dostrzegł przy świetle pochodni, iż na kółkach jego były arabskie napisy, które miał później odczytać.

Murza ten, którego jak niedźwiedzia w łożysku pochwyconego oglądano ciekawie, istotnie był niezwykłej urody, a pewnie i siły. Skóra na nim niemal tak czarna, jak na Murzynie, spalona, jeszcze połysk jego oczów i zębów, którymi podczas zgrzytał, straszniejszymi czyniła.

Potrzebnie czy nie, dano znać o tym potworze królowej. Dowiedział się fraucymer, więc co żyło, biegło. Dodawszy noc, pochodnie, całe to zbiegowisko z murzą związanym pośrodku taki obraz stanowiło, że chyba drugiego mu podobnego niełatwo było ujrzyć. Królowa ukazała się na ganku przy mężu i przypatrywała się mężnie dosyć, nie okazując, aby ją ta bestia czarna nastraszyła, ale spytała

wszakże w pobliżu stojącego Kłobukowskiego, czyby w istocie Tatarowie wszyscy tacy byli.

Tedy Radziejowski przystąpił, przypominając Najjaśniejszej Pani, że w jego pałacu, dawniej Kazanowskiego, kilkadziesiąt jeńców tatarskich nieraz widywała. Lud był statury nie tak rozrosłej, choć krzepki, barczysty i silny.

— Murza ten — dodał Kłobukowski — na oko tylko straszny, a wielu małych nogajców gorsi byli może nad niego w boju.

Gdy się tak tu monstra przeciągała, murza, który stał na postronkach trzymany, nie zważając na nikogo na ziemię padł i położył się, aż go potem zrywać z niej i do odejścia musiano gwałtem napędzić.

Król musiał rad być Łąckiego zdobyczy, bo murza niewiasty obozowe przejął trwogą, a może i samej królowej dał do myślenia, że inne były te wojny we Francji, na które się do obozów narażały panie, a z dziczą taką, na pół ze zwierzęty narażać się nie przystało niewiastom. Wszelki żołdak, gdy się w walce upoi krwią i ową gorączką pobojuwiska, dzikim się stać może i szalonym, cóż dopiero takie stworzenie, które prawdziwego Boga nie zna? Na młyn to więc Radziejowskiego woda płynęła, a i król wreszcie był rad.

Jednakże z Uchania się zawrócić nie chciała królowa i dalej jechała razem z mężem do

Krasnegostawu. Tu nowego języka dostał Jan Kazimierz, który dozwalał bardzo rychło spotkania z kozactwem i ordą się spodziewać. Trochę to nawet popłochu zbudziło z tego powodu, iż wszystkie się siły nie ściągnęły jeszcze. Zatem i królowa oświadczyła, że gotową jest zawrócić stąd do stolicy, ażeby nie być królowi na zawadzie w ruchach, jakie będzie musiał obmyśleć.

W sam czas przychodziła ta rezolucja Marii Ludwiki, gdyż w Krasnymstawie godziny prawie nie było bez nowego języka.

Nie wszystkie one na wiarę zasługiwały, gdyż ludzką mowę zawsze trzeba ważyć ustami, z których ona wychodzi, jak wodę źródłem, z jakiego płynie. I tu też wieści były najsprzeczniesze, bo jedne nieprzyjaciela bliżej, inne dalej wskazywały, ale o tyle godziły się wszystkie, że z bliska się znajdował, a wcale pospolitym ruszeniem strwożonym nie był.

Księżki, naówczas słuchając, co powiadano, jakby Chmiel miał chanowi prawić, śmiejąc się mruczał:

— Ten zdrajca Kozak lepiej nas pono zna niż my sami siebie, bo nam prorokuje, czego ja, niestety, nieraz doświadczyłem. Nie boi się pospolitego ruszenia, wiedząc dobrze, liż ono długo nie postoi, rzuci się mężnie, zetrze ochoczo, ale jak mu w polu na słońcu przyjdzie cierpliwie dwie niedziele trwać, rokosz podniesie.

Protestowali przeciwko temu inni, bo chwila była uroczysta a stanowcza, w której

przychodziło do ostatecznej rozprawy z rebelią, nad wszelką miarę rozzuchwaloną. Księżki milczał, ale wąsa zakęsywał.

— Zobaczymy!

Po małym spoczynku w Krasnymstawie nazajutrz już król dalej ku Sokalowi, a królowa z powrotem do Warszawy udać się miała. Ranek był majowy, dosyć pogodny, choć niezbyt ciepły.

Mimo woli może się jakoś wielce uroczyście to rozstanie zgotowało. Cały orszak Marii Ludwiki, panie i panny, zawczasu już płaczące, rozzalone wystąpiły. Mało która też tam nie miała albo miłego sercu lub brata, męża, powinowatego, który szedł na bój zapowiadający się krwawo. Przed zamkiem i po sieniach stały parami serca, którym rozstanie przychodziło boleściwie. Mężczyźni wesołymi się starali okazać, ale niewiasty męstwa nie udawały, krom królowej może, która je do końca zachowała.

Dla króla stał na ten dzień jego najlepszy i najulubieńszy wierzchowiec tarantowaty, przygotowany z siodłem i kapą paradną. Dla innych też gdyby w dzień popisu konie były

najpokaźniejsze i rzędy najkosztowniejsze zgotowane. Służba cała w barwach nowych, chorągwie z pokrowców wydobyte w powietrzu powiewały. Kopijnicy na pół dnia przynajmniej pobrali swe proporce do rąk, które im nad głowami szumiały jako las. Na przedzie stojąca królewska chorągiew usarska, przy której Jan Kazimierz jechać miał, nad wszystkimi celowała, bo to był dobór ludzi, koni i uzbrojenia ze skrzydły, z szyszakami złożonymi, z koncerzami sadzonymi w klejnoty, z tarczami złożonymi i malowanymi, który oczy porywał, aż żal brał myśląc, że się ten kwiat rycerstwa miał z lada jakim chłopstwem opitym potykać i przeciwko niemu ważyć życie. Ale patrząc na nich, nie mógł nikt ani na chwilę powątpiewać, że gdzie taki oddział rzuci się całą siłą, tam tysiące przed nim pierzchać będą musiały.

Wyszli tedy księża z błogosławieństwem, relikwiami, święconą wodą, wyszedł król we zbroi, szyszak tylko dawszy paziowi do niesienia i królowa w podróжных szatach. Pożegnanie było krótkie, ale serdeczne. Król zaraz skinął, aby mu szyszak podano i dosiadł taranta, ale w orszaku Marii Ludwiki taki się płacz rozległ i szlochanie, że niejednemu niepotrzebnie to serce zmiękczyło.

Poczęto wołać zaraz:

— Na koń! Na koń! — A król, przed chorągwią stanąwszy, do pochodu znak dał, skłonił się raz jeszcze żonie, która białą chustką powiewała i przy dźwięku muzyki wyruszył przodem. Siadły też panie do kolebek przygotowanych, czeladź na konie i zamek krasnostawski zaroił się już tylko ostatkiem obozu, szarym jego ogonem.

Gdy się to działo, pani podkanclerzyna też na zamku była przytomną dla pożegnania

królowej, która ją bardzo krótko i zimno przyjąwszy, odprawiła. Radziejowski zaś konno jeszcze za miasto Marię Ludwikę w kilka koni odprowadził.

Wielu się może z kobietami rozstawało smutnie — to pewna, ale dla wielu starszych ciężar spadł z nimi z ramion, bo dwór królowej w pochodzie był niemałym brzemieniem. Sam Jan

Kazimierz czuł to najlepiej.

U drzwiczek kolebki królowej jadąc, podkanclerzy miał sposobność ją zapewnić, że

pozostaje tu na straży jako jej wierny sługa i woli wykonawca. Wzdychał przewidując, że obowiązek ten pewnie łatwym do spełnienia nie będzie, lecz ręczył za swą gorliwość.

Kolebka też pani podkanclerzyny, która wytwornością swą i zaprzęgiem nie ustępowała tej, jaką jechała królowa, ruszyła razem z wozami króla i dworu w dalszą ku Sokalowi drogę. Była ona jedyną pozostałością z liczego niewieściego orszaku. Radziejowska jechała sama ze sługą tylko, pogrążona w myślach, bo nie wiedziała, czy się miała cieszyć, czy niepokoić powolnością mężowską i projektem towarzyszenia mu do Kryłowa. Zdawało się, jakby na ostatek pozbył się swej zazdrości, podejrzeń i wracał do lepszych dla niej sentymentów, ale mogła rachować na niego, znając już przewrotność i obłudę?

Wojsko posuwało się dalej powolnym bardzo chodem, a los tak chciał, że pierwszy ten

dzień nie miał przejść bez tragicznego wypadku. Chorągiew właśnie lasem ciągnęła, gdy bystre oko króla dostrzegło z dala siedzącego nad drogą niby żebraka, człowieka dziwacznie odzianego, odartego, po części w łosim kolecie niemieckiego kroju, mocno zszarzanym. Przy królu oprócz innych jechał przywołany przez niego wypadkiem od swej chorągwi Strzębosz, bo go Jan

Kazimierz rozpytać chciał o nią. Król wskazał na niego.

— Dałbym gardło — odezwał się — że to jest szpieg, patrzy spode łba, a z postawy i z

odzienia na tubylca nie wygląda. Podejrzana to figura.

Strzębosz nawet się zaofiarował po niego, bo król przystanął, a tuż i Jaskulski nadbiegł i kilku innych, którzy dosłyszeli słowa króla. Skoczyli więc ku żebrakowi, który postrzegłszy, że się do niego mają, zrazu umykać chciał, ale wnet się rozmyślił, bo uciec nie było sposobu. Strzębosz pierwszy dobiegł wołając:

— Stój! Ktoś ty? Co za jeden?

Dopiero teraz mu się mogli przypatrzeć, a twarz, w której wszystkie mięśnie drgały,

opalona, pomarszczona, wejrzenie lisie już go więcej niż podejrzanym czyniły. Otoczyli go wojskowi.

— Żołnierz jestem — wybąknął — co ma być, żołnierz z regimentu niemieckiego, co tu stoi w pobliżu.

— Cóż tu robisz?

— Wyszedłem na słońce, bo mnie trzęsie febra.

Jaskulski tedy popatrzywszy nań, gdy się zmieszał, batożkiem go po plecach i krzyknął:

— Łzesz...

Wtem król począł dawać znaki, aby mu go przyprowadzono. Pędzono więc, gdzie stał na

koni� oczekując Jan Kazimierz, ale nim doszedł, zupełnie się strwożył i rękami począł chwycić powietrze, jakby padał. Postawili go przed królem. Znowu tedy pytania. Nie śmiał już kłamać, że z regimentu żołnierzem jest, ale bąkał, że żebrak, ubogi, że tu w sąsiedztwie przytułek miał, że człowiek niewinny. I jak stał, tak na kolana padł przed królem, ręce złożył i miłosierdzia prosić zaczął.

Wszystkich to uderzało, że gdyby istotnie żebrakiem był, do niczego się nie czuł, toć by strachu takiego nie miał. Przy tym fizis okrutnie podła podejrzenie budziła. Król, ręką bijąc po siodle, do Jaskulskiego począł wołać:

— To szpieg jest, ja to czuję, każ go waszmość wziąć na spytki, zobaczycie.

Ledwo to król rzekł, a tu go już pod ręce pochwycili, pod las z nim się niosąc, pachółkowie pisarza. Nieznajomy krzyczał wniebogłosy.

— Czego wy chcecie ode mnie? Człowiek niewinny jestem! Król, na koniu stojąc, czekał,

aż z dala rozległo się wołanie i krzyk i nie trwało dłużej nad dwa pacierze, aż przywleczono go nazad przed króla jegomości. Jaskulski jechał przodem i wołały

— Przyznał się, że szpiegiem jest od Chmielą wysłanym.

— Dawaj go tu! — rzekł król.

Przywlekli go, bo już iść albo nie mógł, albo nie chciał, tak skruszonego, że w nim ledwie się dusza kołatała. Mówił dosyć niewyraźnie i plątał się, ale ci, co bliżej szli, królowi to podnosili.

Okazało się najpierw, że zbiegiem był od wojska zaciężnego, ale że jeszcze za króla Władysława IV uciekł i tułał się, a może i rozbijał.

— Kto cię posłał? — pytał król.

— Kozacki hetman mnie posłał — począł pochwycony — i obiecał mi nagrodę za to tylko, abym na oczy króla widział i doniósł jemu, że on sam przy wojsku się znajduje.

— Aha! Widzicie — rzekł król tryumfując — otóż go macie! Zdradził mi się tym łosiowym koletem, który ze sobą z wojska wyniósł, boby mi inaczej nie wpadł w oczy.

Kazał król pytać o kozactwo, gdzie on je porzucił, ile ich było i czy orda z nim szła, a jaką liczbą, ale niewiele się z niego dowiedzieć mogli dla trwogi, bo mu się język plątał. Wiedział, co go czekało, bo oprawca z pachołkami już stał i postronki gotowe były, aby go zaraz na najbliższej sośnie obwiesić.

Król próśb ani chciał słuchać.

— Czas wojenny — rzekł — szpiega wypuścić, znaczy same- mu na siebie bicz ukręcić, a wlec go za sobą w pętach, to ciężar próżny.

Tyle tylko, że mu król kapelana posłał, aby go wypowiadał. Wojsko się tymczasem ruszyło dalej i chorągiew królewska niedaleko odeszła, gdy łotr już na gałęzi dyndał. Więc wszyscy to za bardzo dobry omen brali, szczególnie się dziwując temu trafnemu wejrzeniu króla, boć go widziało pułków i ludzi wielu przeciągając, a nikt nie pomyślał, ażeby szpiegiem mógł być.

Przypominali drudzy, czemu dawniej wierzyć nikt nie chciał, a co się prawdą okazywało co dzień większą, iż ów Kozaczysko prosty, Chmiel, politykiem był lepszym od wielu

najzawołanszych statystów, a informacje zewsząd miał tak dokładne, że co na pokojach

królewskich się mówiło, co w radzie wojennej, co w tajemnym gabinecie króla, on o tym

wszystkim był najdokładniej uwiadomiony. Po części się to tym tłumaczyć dawało, że w służbie panów niemal wszystkich Rusinów z Kozakami blisko spowinowaconych i wiarą, i językiem było bardzo wielu, a niektórzy z nich, cierpiąc upokorzenia i obejście się panów surowe, radzi się mścili i służyli bodaj Chmielowi. Z tej garści Kozaków, co wierna pozostała przy księciu Jeremim i innych, niemal codziennie kogoś zbrakło; znikał jak kamfora, a innych pilnować musiano, nie ufając już im, choć się poprzysięgali, że wiernymi zostaną.

Do Sokala tedy ciągnął wprost Jan Kazimierz, przykładem swoim budując starych nawet

żołnierzy, tak czujnym był, niezmordowanym, zapobiegającym, aby wszystko w porządku się odbywało, aby nikt ekscesu żadnego po drodze nie popełnił, za co otrąbiono po pułkach, iż doraźnym sądem król karać każe. Przy tym pobożność wielka zachowaną była; msze z rana pod namiotami odsłoniętymi, tak że ich dokoła stojący słuchać mogli, w ciągnięciu zaś zwykle od Bogarodzicy poczynano, a potem różne pieśni pobożne księża intonowali, których przy wojsku nigdy tylu, co teraz nie było. A przykładem księdza Lisieckiego, który pod Zborowem zginął, później też duchowieństwo, gdy szło o spełnianie obowiązków, ani kuł ani strzał się tatarskich nie obawiało i szło na nie mężnie.

Króla ci, co jak Strzębosz dawniej go znali i widywali, naprawdę teraz poznać nie mogli.

Dyzma przed wujem, gdy o tym mówił, co bywało, a co jest, śmiał się po swojemu Księski.

— Ja to też admiruję, mój kochany — odpowiadał — ale sztuka wytrwać do końca. Bo że

ludzie dworskiej edukacji wszystko z siebie uczynić mogą, co zechcą, to wiadoma rzecz, ale co nie

płynie z serca, a jest tylko pańszczyzną z musu, niewiele warto.

Już temu się było można dziwować, że król z sobą dla rozrywki nikogo z tych nie wziął,

którymi się zwykł był otaczać. Zabawy i wesołości nie szukał, a pracował nie spoczywając.

Można miarkować łatwo, jak to wielce wychwalane postępowanie królewskie

podkanclerzemu się nie podobało, lecz nie było mu co zarzucić. Śmiał się więc Radziejowski z samej tej surowości, znajdując, że król z wojskiem jak bakalarz ze studentami obchodził się, nie jak wódz z rycerstwem. Każde jego słowo wyszydzał, króla zaś na próżno namawiał, aby sobie i drugim folgował.

O panią podkanclerzynę, chociaż król wiedział, iż jechała, wcale się nie dowiadywał ani starał się ją widzieć. Radziejowski napomykał mu, nie odpowiadał. Dopiero drugiego dnia się tak trafiło, że Jan Kazimierz zatrzymał się około wsi, przez którą wojsko przeciągało, a z kolei kolebka też podkanclerzyny się ukazała, w której ona z ochmistrzynią, kobietą niemłodą, jechała.

Król, z konia zsiadłszy, u samej bramy prawie z kilku swoimi rozmawiał, ale

Radziejowskiego w bliskości nie było. Nie wahał się, ujrawszy podkanclerzynę, przystąpić do kolebki i przywitać.

— Nie zlekliście się widzę ani Tatarów, którymi nas straszą, ani niewygód podróży —

odezwał się — zostaliście z nami wiernie. Ale — szepnął ciszej — cóż mąż na to?

— Sam życzył sobie, abym mu do Sokala i Kryłowa towarzyszyła — rzekła Radziejowska

— zastosowałam się do woli jego.

Spuściła oczy i bardzo cicho szepnęła:

— Jak się to skończy? Zaprawdę nie wiem.

— Chociaż miło mi was tu widzieć — rzekł król — ale naprawdę wolałbym być dla spokoju

waszego powrót do Warszawy.

To mówiąc dał znak głową i pożegnał nim Radziejowska, która jechała dalej. Podkanclerzy chociaż dalej stał, ale kolebki żony z oka nie spuszczał i zarumienił się widząc, że król się do niej zbliżył, ale pozostał w swym miejscu. Nie przepuścił jednak królowi i tegoż dnia przyciął mu, że

,go widział rozmawiającego z jejmością. Słowa były grzeczne, ale uśmiech i wyraz twarzy szyderski i cyniczny. Jan Kazimierz mu na to odparł, iż w istocie wymawiał pod- kanclerzynie, że mężowi towarzyszyła, gdy lepiej dla niej było do Warszawy powrócić.

— Mówiła mi, żeś waćpan tego sobie *życzył* sam, czemu się dziwuję.

To rzekłszy król się odwrócił od niego i poszedł rozmawiać z kapelanem.

Radziejowski stał potem czekając, bo chciał coś jeszcze dodać, ale król się tak zręcznie mu wyslizgał i innymi zasłaniał, że już dostąpić do niego nie mógł. Pomścił się za to w gospodzie, powróciwszy do żony, ale ta mu długo też nie dała mówić i porzuciwszy go, wyszła do sypialni.

Był to dopiero tej podróży początek.

Rozdział II

Król ze swymi tysiącami posuwał się dalej ku Sokalowi, gdzie równocześnie z nim stawić

się miał stary hetman Potocki na czele siedmiu tysięcy. Tamże inne pułki panów senatorów, królowi na wyprawę ofiarowane, nadciągając miały. Dotychczas wszystko szło obiecująco jak najpomyślniej. Król był dobrej myśli i nieznużony na koniu ciągle z wojskowymi w rozmowie poufałej. Z innymi też duchownymi i świeckimi, towarzyszącymi mu, nadzwyczaj uprzejmy,

surowszym się stawał tylko, gdy szło o utrzymanie w wojsku porządku i o najmniejszych zaszłych dnia każdego wypadkach donosić sobie kazał. Postrzegano też, że nawet, gdy najweselszym i najrozmowniejszym był, zobaczywszy zbliżającego się podkanclerzego, zasępił się, odwracał, unikał z nim spotkania, a przymuszony natręctwem jego, zbywał go niecierpliwie.

Było to tak uderzającym, że nie tylko inni, ale i sam Radziejowski poznać się na tym musiał, chociaż udawał, że nie rozumie. Nie mając na kim, mścił się za to na żonie, przed którą na króla wymyślał, wiedząc że ona bronić go będzie, z czego co dzień rosły nieznośne poswarki między nimi.

Najczęściej zapłakana i zagniewana podkanclerzyna odchodziła i zamykała się od męża, ale ten ją ścigał i odprawić się nie dawał. Oprócz tego co dzień listy wyprawiając razem z królewskimi kresami do Warszawy, podkanclerzy coraz ostrzej przeciwko królowi się w nich rozpisywał w ten sposób, aby Marią Ludwikę zniechęcić i pogńiewać. W pierwszych zaraz powtarzał jakoby

powszechnie w obozie znane wyrażenie króla, który po rozstaniu się w Krasnymstawie miał

publicznie się odzywać, że chwała Bogu, pozbywszy się jejmości, teraz dopiero swobodniej będzie się obracać itp. Oprócz tego donosił Radziejowski, że wszystko to, co doradzała królowa, było teraz zaniebane i wyśmiane, że wcale jej w rozmowach swych Jan Kazimierz nie oszczędzał, narzekał

na jej natrętne rady i chęć mieszania się do spraw, których nie rozumiała. Raz na drogę tych zwierzeń wszedłszy, podkanclerzy coraz gwałtowniej nastawał, dodając, że król w prowadzeniu wojska dawał dowody swej nieudolności i nieznamości rzeczy, że zniechęcał rycerstwo, że się to nazbyt okrutnym okazywał, to do zbytku pobłażającym. Zwrotką tych wszystkich listów było pochlebne dla królowej ubolewanie nad tym, że się oddaliła, a król zdrowych jej rad pozbawiony mógł łatwo na największe Rzeczpospolitą narazić niebezpieczeństwo. Nie było najmniejszej czynności i rozporządzenia króla, których by Radziejowski nie wyzyskał w tych doniesieniach, począwszy od obwieszonego szpiega, aż do ustanowionych sądów i zaprowadzonej większej w wojsku karności. Listy te codziennie

oddawał podkanclerzy do kancelarii królewskiej, a ta je wraz z innymi do Warszawy kresami odprawiała, gdyż i król każdego wieczora dla królowej doniesienia dyktował, a niekiedy własnoręcznie w nich przypiski dokładał. Nie mając nikogo oprócz żony, przed kim by te swoje żale mógł wylewać, Radziejowski męczył nimi żonę, resztę w listach do królowej mieszcząc.

W pochodzie z każdym dniem król się od niego więcej odstręczał i odsuwał, im on napastliwiej się narzucał, i stosunek, który nigdy przyjaznym nie był, pogorszył się znacznie.

Jan Kazimierz tak był natrętnością podkanclerzego znużony i rozdrażniony, iż się w końcu z nią nie ukrywał przed dworem i komornicy nawet a pokój owcy wiedzieli, że gdy mogli

Radziejowskiemu do króla drogę zaprzec, był im za to wdzięcznym.

Uroczyście i wspaniale odbyło się połączenie pod Sokalem dwóch wojsk pod wodzą króla i sędziwego hetmana Potockiego. Wiedziano już o przybywaniu Jana Kazimierza i regimenta

Potockiego w szeregach, w świątecznych strojach, w najwspanialszych rzędach z kołami i trąbami oczekiwały na pana. Królewskie pułki, na których czele on sam we zbroi i szyszaku od papieża przysłanym jechał, występowały też paradnie. Ogromną przestrzeń nad brzegiem Bugu zajęły te dwa oddziały, a widok ich był serca zagrzewający. Dopieroż gdy stary, trudami i niewolą złamany hetman zbliżył się do króla, a ten go ze łzami witać począł, gdy chorągwie się pochyliły przed panem, muzyki odezwały, a z piersi tych tysięcy wyrwały się okrzyki, wszyscy byli tak

wzruszeni, iż o nieprzyjacielu i grożących niebezpieczeństwach zapomniano. Król z wielką radością na twarzy, mając u boku swego Potockiego, natychmiast pojechał do chorągwi,

zatrzymując się przed każdą, chwaląc, zagrzewając, rozmawiając z dowódcami. Cały ten dzień zszedł niemal na lustracjach, a potem na przyjęciu u Potockiego i na wojennych naradach. Nigdy króla tak ożywionym i wesołym nie widywano, jak teraz.

Prawda, że połączone siły te, chociaż liczbą nie były znaczne, doborem, pięknnością,

porządkiem się odznaczały, a składały się w znaczniejszej części ze starego, wytrawnego żołnierza, dla którego walka była chlebem powszednim i pożądanym trudem. Obóz ten, w którym istotnie nie liczyło się nawet czternastu tysięcy ludzi, na pierwszy rzut oka nierównie znaczniejszą liczbę obiecywał, gdyż tabory dowódców, towarzyszków, starszyny drugie tyle miejsca co wojsko samo zajmowały. Gdy się to wszystko rozłożyło i pozajmowało powytykane sobie miejsca, jak okiem zajrzeć widać tylko było namioty, chorągwie, szalasy, wozy i tabory. Legło to pod miasteczkiem, w którym królowi w klasztorze mieszkanie opatrzone.

Podkanclerzy też postarał się o to, aby w niewielkim oddaleniu od niego mógł się z żoną pomieścić. On także spodziewał się królowi miłą uczynić niespodziankę, na którą rachował i czekał

na rajtarią swoją, mając ją tu ofiarować Jego Królewskiej Mości. Niewiele ona go kosztowała oprócz ludzi, bo cekhausz bardzo zapaśny po Kazanowskim oręza doskonałego i wszelkich

przyborów dostarczył. Z królem bardzo na zimno ciągle, rozdrażniony przeciwko niemu

Radziejowski, co gorzej, na próżno sobie szukał sprzymierzeńców i sojuszników. Dębickiego tu nie było, kilku innych warchołów sejmikowych brakło, a panowie senatorowie tu znajdujący się, widząc jak król od niego unikał, także się usuwali od poufalszych stosunków. Nie pozostawało podkanclerzemu nic nad szukanie towarzystwa pomiędzy wojskowymi, których zapraszał, karmił, poił i ostrożnie ich starał się przeciw królowi nastrajać.

Najsmutniejsze było życie podkanclerzyny, która żałować zaczynała, że się dała mężowi

pociągnąć w tę podróż, nie rozumiejąc jej celu. Po całych dniach zmuszona była siedzieć sama ze swą ochmistrzynią i sługami w gospodzie albo modlić się w kościele, lub oknem się przypatrywać w rynek ciągle ukazującym różnej broni i chorągwi wojskowym z obozu i do obozu

przeciągającym.

Radziejowski rzadko z rana przychodził i nie jadał w domu z żoną. Gości swych

przyjmował naprzeciwno, a późno w noc rozstając się z nimi, najczęściej do mieszkania wracał, gdy już żona od dawna się udała na spoczynek. Jeżeli przyszedł czasem wieczorem, to jakby naumyślnie, aby podkanclerzynę dręczyć, wyśmiewając króla i naigrawając się z jej obrony.

Zawsze prawie przychodziło w końcu do scen takich, iż biednej ofierze nie pozostawało nic, tylko płacząc, uchodzić i zamykać się. Nie zawsze jednak dawała się tak łatwo zwyciężyć Radziejowska.

Wybuchała niekiedy tak ostro i z tak dotkliwymi wyrzutami, że on w pasję wpadał. Życie to było męczeńskie. Dwa, trzy dni nie widywali się czasem wcale, potem rozmyśliwszy się, podkanclerzy przychodził, rozpoczynając na nowo swoje wyśmiewanie się z króla itd.

Listy wyprawiał coraz ostrzejsze co dzień, a na nie całą swą wysilał przewrotność, starając się króla wystawić jak najnieudolniejszym, a wiarę w jego przywiązanie do królowej zachwiać i małżeństwo poróżnić. Skutek był tak widoczny, że król w listach żony poczuł zaraz wpływ jakichś doniesień nieprzyjaznych. Lecz tyle było co dzień do czynienia, iż Jan Kazimierz musiał

tłumaczenie się na później odłożyć.

Zaraz drugiego dnia po przybyciu do Sokala nadeszły wiadomości, że Chmielnicki z siłami głównymi szedł na Dubno i Ołykę. Spodziewano się, że warowne dosyć dwa zameczki te, choć załogi miały niewiele, obronić się potrafią. Radzono, jak iść dalej i gdzie Kozaków szukać lub czekać na nich. Tymczasem co dzień prawie jeńców im zabranych przyprowadzano królowi, a co najmilszym mu było, że kilku ich przystawił Kozak Zabuski, który się przerzucił do wojsk wiernych i teraz skutecznie bardzo napadał Chmielą.

Wkrótce potem książę Dymitr Wiśniowiecki chorągiew przyprowadził, Lanckoroński pułk

cały, przy czym Jan Kazimierz znowu obóz objeżdżał, lustrował i sprawy wojskowe sam załatwiał, bo na nich nigdy nie zbywało.

Wzorem Zabuskiego, zjawił się potem niejaki Bohdaszko Kozak, przyrzekając że pułków

kilka od Chmielą oderwie i królowi przyprowadzi. Przyjęto go mile, lecz później się okazał zdrajcą, który tylko wypatrzeć chciał, co się w obozie działo i Zabuskiego próbować.

Hetman Kalinowski także w tym czasie spod Kamieńca z wojskiem przyszedł się z królem

połączyć, ale liczbę przyprowadził mniejszą, bo chorągwie przez poniesione straty były znacznie uszczuplone. Przez cały ten czas król był nieustannie czynny, oglądając przybywające ciągle pułki nowe, stanowiąc sądy, zajmując się najdrobniejszymi szczegółami, w czym mu teraz oba hetmanowie ciągle byli pomocą.

Chorągwie nowe nieustannie nadchodziły. Ośmnaście ich przyprowadzili Lubomirscy, pułk

rajtarów kanclerz Radziwiłł, trzy cho-
rągwie kozackie Wiśniowiecki, szlachta nawet mniej zamożna, a w końcu i elektor brandenburski sto koni.

Radziejowski musiał także ze swoją obiecaną z dawna rajtarią pośpieszyć i sam ją z wielką pompą przed króla przyprowadził, która, że istotnie bardzo doborną i doskonale uzbrojoną była, Jan Kazimierz, chociaż go znieść nie mógł, czując w nim wroga, okazywał mu twarz wdzięczną i w słowach bardzo pochlebnych za gorliwość w usłudze Rzeczypospolitej podziękował. Nie

zaspokoilo to. wcale pyszałka, któremu wszystkiego tego było za mało, ani go skłoniło ku królowi i listy do Marii Ludwiki płynęły tak pełne zaskarżeń jak wprzód. Najwięcej zaś w nich na to nalegał

Radziejowski, iż król niewdzięcznością się żonie wypłacał, lekceważąco wyrażając się o niej, z rad jej się wysmiewając itp.

Musiało to w końcu oddziaływać tak silnie w Warszawie, że kresy stąd przychodzące, listy od Marii Ludwiki całkiem przynosić przestały. W początkach jednak król, tyle mając zajęcia na głowie, nie postrzegł ich braku.

Ciągle prawie przyprowadzano jeńców pochwytych i słuchano ich doniesień o ruchach

Chmielnickiego, o których w końcu przysłała wiadomość, że Zborów minawszy, ku Sokalowi

ciągnął. Przestrzegał też mołdawski posłaniec od hospodara, żeby się od Tatarów na baczności miano. Siłę Chmielą zbiegli od niego liczyli na tysiący czterdzieści, a drugie tyle chłopstwa gwałtem spędzonego, za którym jeszcze pułków kilka w odwodzie pilnowało, aby się nie

rozbiegało. W końcu już dzień w dzień tyle kozactwa połapanego przyprowadzano, iż wątpić nie było można, że rychło się z Chmielem spotkać przyjdzie. Król rozkazał obwołać i otrąbić, aby wszystko było w gotowości do wymarszu.

Lecz nim się jeszcze z Sokala wybrano, zaszły wypadki, które położenie podkanclerzego

zmieniły i króla zraziły do niego na zawsze. Codziennie przychodziły, jak mówiliśmy, listy z Warszawy do obozu i stąd szły do królowej. Ostatnie Marii Ludwiki już nie listami były, ale suchymi notatkami, w ostatku kresy zaczęły przywozić tylko pisma prymasa, wiadomości

urzędowe. Królowa całkowicie pisać zaprzestała. Po kilku dniach tego niepojętego milczenia Jan Kazimierz począł najpierw być niespokojnym o jej zdrowie, a gdy się dowiedział z innych korespondencji, że wcale chorą nie była, wpadł na myśl, że coś Marią Ludwikę musiało zniechęcić i zrazić.

Trudno było dośledzić, co to być mogło. Wtem wysłany wpierw z listami Tyzenhauz wrócił z Warszawy. Król go we cztery oczy pytać zaczął.

— Cóż się tam dzieje, nie mam żadnego listu od królowej? Nie słyszałeś, nie wiesz co?

— Boję się powtarzać — odparł Tyzenhauz — bo plotki być mogą.

— Ale mów! — naglił król. — Mów śmiało, włos ci z głowy nie spadnie.

— To wszystko sprawa podkanclerzego — począł Tyzenhauz — on codziennie raporta

posyła o tym, co się tu dzieje, i umyślnie zniechęca Najjaśniejszą Panią. Przynajmniej Francuzi o tych listach i diariuszu wiele między sobą rozmawiają.

Jan Kazimierz zamilkł. Przywołano jednego z pisarzy od kancelarii. Ten spytany zeznał, że Radziejowski co dzień regularnie listy grube wyprawiał albo do królowej wprost, lub do sekretarza jej Des Noyers adresowane. Oczekiwany list królowej nie doszedł i dnia tego, natomiast od Des Noyers był duży pakiet do Radziejowskiego. Nazajutrz rano kazał sobie król podkanclerzego listy do Warszawy pokazać. Był dnia tego jeden tylko, ale pod adresem królowej. Gniewny, zresztą czasu wojny nie bardzo zważający na zachowanie tajemnicy pieczęci, król zaniósł go do sypialni i otworzył. Czytając osłupiał z podziwu i oburzenia. Radziejowski stopniami doszedł był do tego, że wprost się z króla naigrawał, przedstawiał go przed Marią Ludwiką jako zupełnie nieudolnego, przepowiadał klęskę, krytykował plany, słowem, poniżał Jana Kazimierza, a w dodatku uczucia jego względem królowej malował w najgorszym świetle, wyrzucając mu płochość, skarżąc się, że i teraz żonie jego pokoju nie dawał zalotami, co fałszem było. Pismo to starczyło, aby wytłumaczyć milczenie i gniew Marii Ludwiki. Odczytawszy je raz i drugi — król zawołał:

— A nikczemna zmija!

Chodził potem po sypialni namyślając się, kazał prosić kanclerza do siebie. Gdy przybył

ksiądz Leszczyński, król zrazu nie mógł się zdobyć na skargę i zwierzenie się, wreszcie wy dobył list, szepnął coś kanclerzowi na ucho i dodał: „Czytaj”.

W twarzy biskupa można było widzieć przerażenie, jakim go przejęło pismo, którego

charakter był mu znany. Nie mógł dokończyć i spojrzął na króla, który stał z rękami na piersiach złożonymi.

— Wiecie teraz, dlaczego królowa do mnie pisać przestała — rzekł król — a ja tu tego

człowieka w obozie przy sobie trzymać jestem zmuszony! I na każdą radę ma przystęp z urzędu, tajemnic dla niego nie ma!

Biskup myślał długo, trzymał list w ręku, nie wiedział, co radzić, czytał go, odczytywał, chciałby był coś znaleźć na obronę.

— Scierpieć tego nie mogę — odezwał się król — uczyńcie mu wymówki, ale nie

potrzebujecie listu pokazywać, chyba w ostateczności. Czuję go nieprzyjacielem, alem nie posądzam o tak nikczemną zdradę. Teraz, gdy wszystko odkryte, niech wie i niech mi się nie narzuca.

Z wielką boleścią król się skarżyć począł, a uprzedzając podejrzenia dodał, zwracając się do Leszczyńskiego:

— Posądzam mnie o zaloty do żony, co nikczemną jest potwarzą. Biednej kobiety los mnie

obchodzi, bo byłem i jestem jej opiekunem. Więc to chyba zemsta za te imaginacyjne miłości, o których wcale nie myślę.

Biskup powrócił; mając przy sobie list podkanclerzego, najpierw do kancelarii, a stąd zaraz do klasztoru, gdzie stał, będąc pewnym, że Radziejowski wedle zwyczaju zaraz go odwiedzi, bo rad był pod pozorem wyręczenia Leszczyńskiego wszędzie się wśliznąć i wszystko ogarnąć. Jakoż nie upłynęła godzina, wpadł nader wesołego humoru, śmiejący się, ożywiony i aż nadto względem starca i duchownego poufały podkanclerzy.

— No, cóż tam, ojczy, dziś nowego? Jakże król jegomość wstał usposobiony? Zabija czy

łaskami obsypuje? Z nim nigdy zgadnąć nie można, co człowieka czeka.

Biskup pomyślał trochę.

— Król jegomość — rzekł — frasobliwy bardzo; nie odbiera już od kilku dni żadnego listu ani słowa od królowej. Domyśla się, że tam ktoś mu ją zniechęca jakimś fałszywymi

doniesieniami.

Spojrzał w oczy Radziejowskiemu, który z największym bezwstydem zawołał:

— Ale cóż znowu? Królowa może w listach króla coś znalazła, co dało powód do

nieukontentowania.

— Ja czytuję listy te — odparł kanclerz — nigdy w nich nic nie było, co by nie dowodziło przywiązania i poszanowania.

Radziejowski uśmiechnął się.

— Ludzi stąd — rzekł — wysyłają tylu, ktoś może co splótł. Królowa zazdrosna o żonę moje.

— No — dodał — może i nie bez słuszności, bo król od dawna jej słodkie oczy robi.

Zmarszczył się kanclerz.

— Jak możesz mówić coś podobnego? — odezwał się surowo, — To są żarty...

Leszczyński po chwili, nie obwijając już dłużej, odezwał się:

— Z Warszawy królowi donoszą, że to waćpana listy do Najjaśniejszej Pani są wszystkiego przyczyną. Król był dotąd na was: łaskaw, nie godzi się...

— Ja żadnych listów nie piszę! — wykrzyknął zuchwale Radziejowski.

— Żadnych listów? — powtórzył Leszczyński i przeszedł się po pokoju.

— Nadzwyczaj mi to bolesne — odezwał się — lecz polecenie króla spełnić muszę.

Zobaczcież, co to jest i odczytajcie! Z tonu i treści łatwo wnieść, że to nie pierwsze pismo i że poprzedzające nie lepsze były.

Na widok listu, który kanclerz dobył i rozłożony pokazał Radziejowskiemu, zmieniła się

twarz jego, zbladł, zamilkł. Oczy wlepił w papier i stał nie mówiąc słowa, ale to chwilowe przybicie i upokorzenie złapanego na kłamstwie i zdradzie, wprędce się w gniew tłumiony, złość i pragnienie zemsty zmieniło.

— Cóż wy na to, panie podkanclerzy? — zapytał Leszczyński,

— Ja? Nic — rzekł Radziejowski. — Winy w tym nie widzę, piszę, co sędzę, piszę tak, bo tak myślę, królowa ma zaufanie we mnie, a król...

Ręką rzucił.

Książd Leszczyński nie miał zlecenia od króla ani wymówek czynić, ani grózb, list na powrót złożony schował i zamilkł.

Radziejowski, choć starał się okazać obojętnym, mocno był pomieszany, usiadł i głęboko

się zadumał.

— Mam nieprzyjaciół — począł mruzczyć — ich to są sprawy.

— W tym razie — rzekł Leszczyński — największym wrogiem wy jesteście sobie.

Uniewinnić się niepodobna, starajcie się, aby wam król zapomniał, żeście przeciwko niemu przewinili.

Nie odpowiadając Radziejowski powstał.

— Ja moje obowiązki pełnię gorliwie — rzekł — a że cenzurze poddaję czynności

monarchy, zbrodnią to nie jest. Słuchać mnie nie chce, muszę się skarżyć gdzie indziej.

Leszczyński przerwał mu ręki skinieniem, jakby chciał się wyrazić, że wszelkie tłumaczenie próżne. Pomyślawszy nieco podkanclerzy, uklonił się, pożegnał i odjechał. Nie udał się jednak, dnia tego do króla, ale konia zmienił i jechał swoją rajtarią oglądać do obozu. Tu znalazłszy towarzystwo, które mu do humoru przypadło, zabawił do wieczora.

Tymczasem Tyzenhauz, wypatrzywszy moment, gdy podkanclerzego w domu nie było,

podkradł się do fraucymeru samej pani i ochmistrzyni wręczył papier, szepnąwszy tylko, ażeby go po przeczytaniu podkanclerzyna zwróciła natychmiast.

Był to *corpus delicti*, ów list pana Radziejowskiego do królowej, gdzie piękna pani Elżbieta i o sobie mogła coś znaleźć wcale niepochlebnego.

Co się tam działo przy czytaniu, jaki gniew i wściekłość ogarnęły podkanclerzynę, która jęcząc i łkając na łóżko się rzuciła, tego opisać niepodobna. Ocucono ją, otrzeźwiono, a list natychmiast Tyzenhauz odniósł na powrót królowi, który nie okazując po sobie tego, co doznał, z hetmanami cały dzień spędził na rozporządzaniu wojskami.

Radziejowski wahał się w początku, czy mu tegoż samego dnia jeszcze się należało,

brawując gniew, pokazać się przed Janem Kazimierzem. Zabrakło mu na to odwagi i król od nieznosnego dla siebie oblicza był wolnym. Nie tęsknił też po nim.

Wróciwszy do gospody pan Hieronim dowiedział się o chorobie żony, ale nie zważając na

nią, wszedł do sypialni. Sposób, jakim go przyjęła, kazał mu się domyślać, że odkryta

korrespondencja i tu już tajemnicą nie była. Radziejowski dla spoczynku wniósł podróż do Kryłowa, ale podkanclerzyna wręcz mu odpowiedziała, że powrócić zamierza do Warszawy.

— Królowi jegomości jeszcze większą waćpani tym uczynisz przykrość niż mnie, mężowi *in partibus*, który nim tylko dla ludzi jestem — rzekł szydersko mąż.

— Zdaje się — zawołała podkanclerzyna — iż tyle razy mi waćpan królem przymawiałeś, iż powinien byś co nowego znaleźć dla dokuczania mi!

Kadziejowski gwałtownie zmienił ton.

— Ja sobie nie życzę, aby waćpani jechała do Warszawy — rzekł. — W Kryłowie będzie bezpiecznie, możesz się tam zatrzymać.

Podkanclerzyna wzgardziła sprzeczką i odpowiedzią; zawołała na sługę, aby jej wody podano i dumnie odprawiła męża żegnając go, a że on przy sługach kłótni wszczynać nie chciał, wyszedł gniewny.

Nazajutrz po ucztach z wojskowymi na mieście, która się bardzo długo w noc przeciągnęła, podkanclerzy wstawszy, gdy spytał o żonę, odpowiedziano mu, iż przed kilku godzinami wyjechała.

Na zapytanie — dokąd? — nikt mu nie umiał odpowiedzieć. Listu nie zostawiła żadnego, sługom nie mówiła, dokąd jedzie.

To samowolne wyzwolenie się niespodziewane Radziejowski w obawie zbyt głośnego rozgłosu pokrył milczeniem na pozór obojętnym, choć przewidywał w nim oznakę zupełnego zerwania stosunków. Jakiś czas łudził się słabą nadzieją, że podkanclerzyna mogła się udać do Kryłowa, ale odebrane stamtąd listy nic o niej nie mówiły. Nie było więc wątpliwości, iż pojechała do Warszawy.

Odjazd ten i wypadek, który króla od niego odstręczył, położenie uczyniły nader trudnym.

Był nadto dumny, aby się starać przebłagać; zdawało mu się, że podkanclerstwo i stosunki, jakie I miał, dozwalały stanąć opornie i wrogo przeciwko słabemu panu. Po namyśle więc postanowił nie schodzić z placu, walczyć. Cały plan miał już w głowie osnuty. Wojsko złożone z żywiołów najróżnorodniejszych zawierało sporo warchołów i już w związkach wypróbowanych krzykaczy.

Podburzyć ich upatrzawszy chwilę, Janowi Kazimierzowi utrudnić każdy krok, uczynić się potrzebnym jako rozjemca, zdawało się prostym i łatwym.

Tymczasem zaś podkanclerzy postanowił na objawy niechęci i wstrętu nie zważać i miejsce swe utrzymać na przekór królowi. Następnego dnia zaraz stawiał się na pokoje, król ani spojrzał na niego, spróbował przemówić, nie odpowiedział. Nie skrócił przez to swego pobytu przy o sobie króla, towarzyszył mu, gdy przyprowadzono jeńców, przy indagacji Kozaków wtrącał się ciągle i głos zabierał. Leszczyński nie mógł się wydziwić zuchwalstwu.

Nadszedł dzień Bożego Ciała, a że razem przysłany z Rzymu jubileusz ogłosić miano, uroczystość tę król obchodził z nadzwyczajną wystawą i wspaniałością. Przyczyniali się do tego wszyscy. Cztery ołtarze wystawili: jeden — podkanclerzy litewski, drugi — biskup kijowski, trzeci — koniuszy koronny, ostatni — kasztelan krakowski. Koberce, opony, a przy tym zieloność i kwiaty, sprzęt srebrny, którego w obozie było pod dostatkiem, dozwoliły poubrać ołtarze z wytwornością wielką. Każdy miał prawie jakiś obraz z sobą, więc i tych nie zabrakło. Na ostatek kopie, chorągwie, proporce, tarcze przystrajały świetnie cztery ołtarze. Kapłanów i duchowieństwa w obozie liczone do czterechset. Wyniósł z namiotu króla Przenajświętszy Sakrament Leszczyński kanclerz. Nad nim baldachim nieśli czterej senatorowie, a tuż szedł pobożnie ze świecą w rękę król, otoczony ministrantami, dygnitarzami, urzędnikami i rycerstwem. Pułki ustawione po drodze do nóg niosącego monstrancją chorągwie na ziemię pochylały, dawano ognia z dział i ręcznej broni, muzyki grały i uroczystość ta razem z ogłoszonym jubileuszem ducha podniosła. Ci nawet, co dotąd szydersko i lekkomyślnie poczynali sobie, uczyli potęgę jakąś w tych szeregach mających walczyć za wiarę, spokój, w obronie kościołów i rodzin, świętości swych i skarbów. Przewidywali też wszyscy nadchodzącą już bliską chwilę, która rozstrzygnąć miała.

Rozumie się, iż podkanclerzego nie brakło też w orszaku pobożnym, chociaż obojętnym sercem brał udział w uroczystości. Stojem tylko wytwornym, dumną miną, obliczem starał się okazać, że mimo języków ludzkich nic mu się nie stało. Król o całej sprawie nakazał milczenie i nikt też rozgłaszać jej nie myślał, ale sam Radziejowski w obawie, aby na niekorzyść jego nie tłumaczono pogłosek, postarał się oczernić żonę i króla, na nich składając wszystko. Udawał mocno dotkniętego, pokrzywdzonego, ofiarę potwarzy i przewrotności niewieściej. Byli tacy łatwowierni, którzy się nad nim litowali.

Strzębosz od przybycia króla do wojska nie mógł się oprzeć pokusie zabiegania to do chorągwi dworzan królewskich, w której miał przyjaciół, to na sam dwór, a i król, nawykły dawniej do usług jego, bałamucił go. Służba więc pod chorągwią nie była zbyt gorliwą i Księżki co dzień go strofował,

— Z dworaka chceś zrobić żołnierza — mówił — to tak, jak z wosku nóż. Bić to ty się będziesz, bo się odezwie krew szlachecka w tobie, ale żebyś się ty w rycerstwie rozmiłował, wątpię.

Prowadził go wuj z sobą po namiotach, gdzie starzy rębacze się skupiali, opowiadając o swych wyprawach i walkach. Strzębosz słuchał z wielkim zajęciem, ale gdy potem zbiegł na dwór i poczęli mu dawni towarzysze sypać plotki, szeptać, co się tam działo, daleko więcej się intrygami roznamiętniał i więcej czuł do nich powołania. Król go też bałamucił, kilka razy go spotykając zagadywał.

— A mnie ciebie brak! Co ty tam. wielkiego dokazesz w regimencie? Bić się potrafi każdy, ale rozumnie sobie począc i sprawić się z delikatnym poselstwem, nie lada kto umie.

Pochlebiali to Strzęboszowi. Wracali do wuja i chwalił się. Księżki mruczał.

— Cóż ty chcesz na kursora królewskiego wyjść? A potem co? Pilnuj chorągwi i nie myśl o bzdurstwach.

Po wyjeździe podkanclerzyny, po długim milczeniu królowej, gdy się potrzeba okazała zaufanego człowieka do Warszawy ślać, ktoś podszeptał Strzębosza. Kazano go do króla wołać.

Jan Kazimierz mu rękę położył na ramieniu dobrotliwie i szepnął:

— Gdybyś ty mi do Warszawy pojechał?

— Najjaśniejszy Panie — odparł Strzębosz — jestem pod regimentem i władzą wuja mego, Księżkiego, ten już i tak mi zadaje, że nie dosyć mam rycerskiego ducha.

— Gdzie wasza chorągiew stoi w obozie? — spytał król.

Dyzma o ile mógł, dokładnie miejsce, oznaczył. Nazajutrz król podjechał ją lustrować. Stał

Księżki na przodzie, a znał go Jan Kazimierz jako jednego z tych, co szablą równie jak językiem ostro siekli. — Mój Księżki — odezwał się — jak się wani zdaje, czy Rzeczypospolitej służyć inaczej nie można poczcwie tylko w karacenie i szyszaku?

— Najjaśniejszy Panie! — zawołał Księżki. I owszem, sądzę, że nawet w siermiędze.

— No, a w dworskiej barwie? — zamruczał król, spoglądając wkoło i oczyma szukając Strzębosza.

— Kto się do czego urodził, Miłościwy Panie i królu — rzekł Księżki — Wasza Królewska Mość mi przebaczysz, ale ja przenoszę rycerza nad pajuka.

— A z pajuków i dworzan przecie rosną pisarze i kanclerze — dodał król.

— Tylko, że na stu przypadłych, jeden się ledwie uda! — zakończył Księżki.

Dał król znak, aby się do niego przybliżył.

— Pożycz mi waszmość siostrzeńca — szepnął — mam potrzebę wielką zaufanego posłańca...

Księżki się pokłonił. — Król rozkazuje — rzekł — a my z ochotą słuchamy. Boję się tylko, Najjaśniejszy Panie, aby pojechawszy tam nie ugrzązł, bo pokusy są, a on młody.

— I ja nawet jedną znam, ładna dziewczyna — dodał Jan Kazimierz wesoło — ale nie ma niebezpieczeństwa, choćby tam ugrzązł, bo posag będzie miała znaczny, a ja też w pomoc przyjdę.

W ten sposób zaledwie rozpoznawszy swą służbę rycerską, Dyzma znowu, z szeregów urlopowany wprawdzie tylko, musiał na koń siąść i jako posłaniec króla z innymi do Warszawy podążyć. Trzeba mu jednak oddać sprawiedliwość, że gdy przyszło chorągiew opuszczać, wojsko rzucać, i to w chwili, gdy się walka zbliżała, serce mu się ścisnęło. Wolałby był pozostać, choć go czarne oczy ciągnęły. Po części mu też wstyd było, bo towarzysze żartowali sobie z niego, a Ksiąski po prostu szydził i chłostał.

— Żebyś był choć poczekał i choć jeden osełdec kozacki królowej jejmości zawiózł na dowód Wiktorii!

Prawie w tej samej chwili, gdy wojsko ku Beresteczku na Łobaczówkę wyruszało, musiał Dyzma w przeciwną stronę dniem i nocą pędzić z listami do Warszawy.

Rozdział III

Z dawien dawna służba i dwór Radziejowskiego do przyjmowania gości hojnego była wdrożoną. Ojciec jego szumiał i obdarzał w Radziejowicach Zygmunta III, sam podkanclerzy zdumiewał poselstwo pani de Guébriant przepychem i rozrzutnością, w Bielsku nareszcie, jako starosta łomżyński, jeszcze przymilał się, pojąc i karmiąc a obsypując podarkami Jana Kazimierza i dwór jego. Radziejowscy trzymali się tej zasady, że chlebem i winem serca się najłatwiej jednają.

Podkanclerzym zostawszy, a za żonami nazbierawszy majątności, pan Hieronim nie zmieniał obyczaju. W obozie też miał z sobą czym gościć, karmić i poić, i grosza na to nie żałował. Doświadczył, że mu się opłacała gościnność.

Teraz zaś, gdy się zanosilo na walkę z królem jegomością, którą on miał tylko podpalać, ażeby ją potem gasić pomagał, skupianie około siebie gorętszych żywiołów, krzykaczy i rokoszan obozowych było najważniejszym podkanclerzego zadaniem. Jego rajtaria i z szeregów jej wojskowi służyli mu, zręcznie użyci jako wabiki i przynęta. Z ich pomocą ściągał rozpatrzonych ludzi, co swadę mieli łatwą i obfitą, a temperament żółciowy. Poszlakowanym w tym spisku nie obawiał się być podkanclerzy, bo pijatyki i ucztowania obozowe, przy których się swobodnym słowem po winie to i owo wywoływało, nie mogły razić nikogo. Były to rzeczy powszednie. Tylko gdy gdzie indziej wychwalano króla i wynoszono panów hetmanów, a wiele sobie obiecywano po tej wyprawie, która poruszyła wszystkie ziemie, pod namiotem i w gospodzie Radziejowskiego odzywały się głosy przeciwne. Tu za podszeptem Radziejowskiego i jego przybocznych ciągle się kwaśno i groźno wyrażano o wszystkim, cokolwiek po obozie głośzono, otrąbiano i co w wojsku

postanawiano. Surowsza niż kiedy karność, na którą król nastawał, szczególnie mu była za złe braną. Radziejowski tych mów słuchał, ostrożnie podlewał oliwy do ognia, ale głośno się nie odzywał, lękając się, ażeby słów tych nie doniesiono zbyt wcześnie królowi. Miał się kim wyręczyć. W rajtarii swej między rotmistrzami liczył dwu, doskonałych gardłaczy: Kazimirskiego i Proszkę; z innych zaś pułków, co było takich retorów wojskowych i warchołów znanych, tu się gromadziło.

O Kazimirskich powiedzieć było można: rodem kury czubate, bo oni wszyscy, ilu ich znano, na zjazdach, sejmach i sejmikach stawali zawsze przeciw majestatowi, a za złotą wolnością. Pan Jan, który rotmestrował u podkanclerzego, miał tę łatwą swadę odziedziczoną po ojcu i dziadku, która za serca chwyta wielkimi i jaskrawymi wyrazami, głos donośny, gestykulacją żywą i był

znany ze swej nienawiści wszystkiego, co się ponad równość szlachecką podnieść chciało. Od tych wysiłków retorycznych przy winie, które pić musiał, aby w gardle nie zasychało, twarz miał

zawsze czerwoną, niekiedy prawie siną, zresztą przystojną i olbrzymim wąsem aż za ucho

sięgającym przyozdobioną. Temperament i nawyknienie Kazimirskiego czyniły go zawsze i

wszędzie oponentem. Poczynał nigdy inaczej jak od zaprzeczenia: „Nie!” Umysł jego szukał zaraz w każdej rzeczy czegoś podejrzanego, jeżeli namacać nie mógł, to ostrzegał, że coś tkwi i później się okaże. Zresztą nie odznaczał się Kazimirski niczym oprócz zuchwalstwa.

Proszka, drugi rotmistrz od rajtarów, mówcą nie był, ale nie lepszym przez to. Szeptał cicho, trącał łokciem, podzegał na ucho, a na pozór milczący i zasepiony, grał rolę bierną. Niekiedy tylko, gdy go co mocno ubodło, wybuchał w sposób gwałtowny i grubiański. Chudy, słuszny Proszka nieustannie się poruszał, coś około siebie poprawiał, rękami chwytał, co napadł, i zdradzał tym niepokój wewnętrzny. Była to podpałka doskonała.

Przy tych dwu stałych gościach podkanclerzego skupiały się szumowiny z całego komputu i z nowozaciężnych regimentów, z wyjątkiem tylko piechoty cudzoziemskiej, którą że dosyć

postponowano, więc się osobno trzymała na uboczu. Odznaczali się w codziennym kółku

podkanclerzego jeszcze Snarski, rotmistrz Zamoyskiego, Bąkowski z oddziału chorążego

Konieczpolskiego i Morawiec z pułków Lubomirskich. O innych, których liczbę każdy dzień

zwiększał, trudno się rozpisywać. Mało co się od siebie różnili.

Snarski był w polu i bitwie zajadłym na oko i słynął z rozpaczliwego męstwa szalonego, ale rzecz szczególna, krzyczał czasu bitwy najgłośniej, drugich pędzał, sam zawsze obronną ręką wychodził. Dopiero po wojnie, pod namiotem, na poboju, gdy wszystko było skończone, on relacje układał najlepiej, a choć często tego, co rozpowiadał, nikt poświadczyć nie mógł, jego powieść szła w świat.

i

Niechżeby mu kto, uchowaj Boże, śmiało zaprzeczyć! Snarski naówczas oburzony zrywał się

i kląć a przysięgać poczynał:

— Bodajem się z miejsca nie ruszył, bodaj mnie ziemia pożarła, niech piorun pierwszy nie minie!

Tych przysięg miał zapas wielki i nimi przypieczętowawszy opowiadanie, w końcu zamykał

wszystkim usta. Według Snarskiego wojsko zawsze i wszędzie było pokrzywdzone, a wszelkie jego wybryki uniewinniać należało.

— My krew nasze, żywot i gardła dajemy — krzyczał, a nam chleba krając domierzają tak,

abyśmy tylko z głodu nie marli. *Panis hene merentium*, a któż to go je? He! Matadory, panowie! Na nas biedaków nie spadnie ani prószyna. Patrzyć musimy na uczujących bogaczy i oblizywać się jak łazarze.

Snarski, po całym obozie mając, znajomych, tego ducha oporu i kwasu roznosił. Nie było

praktyki, aby mu się co podobało, we wszystkim widział równie jak Proszka chytróść, przewrotność i nikczemność.

Bąkowski był przede wszystkim wesołym towarzyszem i do dzbana jedynym. Gdy się

śmiał, rozlegało się daleko, że go po tym śmiechu poznawano. Był" to przyboczny wszystkich warchołów, do roznoszenia, co się gdzie narodziło, jedyny. Otyły, barczysty, silny, dzień i noc gotów był ucztować, pić, pół godziny się przespał siedząc i *de noviter repertis* rozpoczynał. Do tego pić było można zawsze „w nieochybne ręce” — nie odmówił nigdy.

Na ostatek Morawiec, który już w wielu pułkach służywał i z jednych do drugich

przechodził, a miał się bardzo dostatnio i ze wszystkich ich najzamożniejszy był, człowiek w sobie zamknięty, ostrożny, na spiskowca się rodził. Miano go za chciwego i skąpca, nigdy bowiem nikomu kubka wina nie dał u siebie. Dlaczego czepiał się niespokojnych ludzi i z nimi trzymał, na oko to nie było jasne. Ale gdzie krzyczano i burzono się, znalazł się zawsze i potakiwał.

Radziejowski szczególnie na Kazimirskiego swojego i na Snarskiego liczył. Ci, dwaj byli u niego codziennymi gośćmi. Kazimirski nawet, gdy podkariclerzy czasu nie miał, za niego

gospodarzył i przyjmował, rozporządzał służbą i rządził się jak w domu.

Nie było dnia, ażeby z tych przywódców który gościa nowego nie wprowadził, wprzód go

za puls potzymawszy, że on tak samo bije, jak ich wszystkich. Ci nowi prozelici mimo woli pociągali innych i u podkanclerzego nigdy wieczorem pusto nie było. On sam się tu zjawiał zawsze i przesiadywał czasem długo, a nie ukrywał się z tym, co myślał. Wyśmiewał króla głównie i wróżył mu najgorzej.

— Gdyby choć słuchać chciał — mówił — ale nie! Bab, królowej gotów posłuchać, a

szczerých doradców nigdy.

Od Lublina już i Krasnegostawu coraz to podżeganie przeciwko Janowi Kazimierzowi się wzmagalo, a po odkryciu listów i wyjeździe podkanclerzyny doszło do otwartego naigrawania się.

Cokolwiek król na radzie z hetmanami postanowił, było najgłupsze i najgorsze. Obwieszenie owego szpiega w początku nazywano niepotrzebnym okrucieństwem, a tuż gdy nieustanne od ziemian skargi na różne wybryki wojskowych zaczęły nadchodzić i okazało się, że dwu rotmistrzów Pawłowskich dwór pod Switażowem napadli i złupili, dopuszczając się tam gwałtów, król rozkazał ich przed sąd wojskowy stawić i najsurowiej wyrokować. Nie było wątpliwości, że na gardła skazani zostaną.

Właśnie sąd się miał zebrać i wyrzec, a że Pawłowscy przyjaciół mieli, więc sarkano i niepokojono się. Dnia tego pod namiotem podkanclerzego Pawłowskich też sprawa była na stole.

Wśród najgorętszych rozpraw wszedł podkanclerzy, którego Kazimirski od progu zagadnął:

— A cóż te biedaki Pawłowscy? Radziejowski ręką machnął.

— Co? Mówcie *zawczasu requiem aeternam!* — zawołał i pokazał na gardło. — Nie mogą ich według artykułów hetmańskich inaczej sądzić jak na gardło.

— Ale król może ułaskawić! — krzyknął Snarski. — Przecie pisarza swojej piechoty

węgierskiej, który szlachcica związanego do obozu przywłókł, na śmierć osądzonego, podkanclerzy litewski wyprosił, zapłaciwszy za niego czterysta złotych. Śmiać się zaczął Radziejowski.

— A ja gdybym dał ośmset za każdego z Pawłowskich, tylko bym się na śmiech i urąganie

naraził. Król z każdym dniem okrutniejszym się staje, głowę traci. Zdaje mu się, iż im surowszy będzie, tym się większym wodzem okaże!

Snarski począł krzyczeć zza stoła..

— Zabójstwa żadnego nie było! Jako żywo, parobków pokrwawili, a dziewczętom co się tak

wielkiego stało? Przecie od tego nie poumieraly. Dwór, powiadają, szlachecki, czasu wojny, gdzie tam kwerendy poczynać, gdy człowiek głodny! Co na placu, nieprzyjaciel. Pawłowski zaklina się, że jejmość kazała do nich czeladzi z hakownic dawać ognia! Rozsierzdzili się, a gdy raz drzwi wyłamali i wpadli, oczywista rzecz, że nie oszczędzili nikogo! Czasu wojny, choćby we własnym kraju, nie nowina, że żołnierz sobie pozwoli.

— A to właśnie pora — zawołał podnosząc ręce Kazimirski — to pora się tak okrutnie z

mężnymi ludźmi, z rotmistrzami obchodzić, gdy nieprzyjaciel pod nosem! Co by sobie miał serca pozyskiwać, to od siebie wszystkich odstraszy.

— Słowo w słowo — odezwał się podkanclerzy cicho, rzuciwszy okiem po zgromadzeniu

— mówił mu to Leszczyński, mówiłem ja, a próbowali drudzy, że królowi łaską przystało serca i umysły jednać, a nie grozą je zniechęcać, ale na to on głuchy. Nie tylko, że Pawłowski padną ofiarą, ale bodaj ich publicznie i ostentacyjnie ścinać każe, aby się na to patrzyli wszyscy.

Snarski aż krzyknął:

— To mi wódz! Ja znałem dobrze Pawłowskich. Prawda, że gdy sobie podchmielili, nie

było na nich hamulca, ale za to obaj w bitwie, w. polu jak się bili, trzeba było patrzeć. Starszy cały porąbany.

— Nastają na to — zawołał Kazimirski — że porabowali sepety, poobijali skrzynie,

klejnoty tam jakiejś jejmościne, łańcuchy i gotowizny paręset złotych zabrali. A cóż to jest?

Głupstwo! I za to im życie brać?

— Nie! — krzyknął Bąkowski — nie chce się wierzyć temu, aby król ich nie ułaskawił.

Chmiel na karku nam siedzi, Ołykę oblega, tylko co go nie widać, a to piękna zachęta dla żołnierza

— szu- bienica i kąty!

— Nigdy by w świecie do tej ostateczności nie przyszło — szeptał, siadając poufale za stół, Radziejowski — gdyby nie król. To wiem z najlepszego źródła, że i stary Potocki, i Kalinowski prosili za nimi — postawić ich na pierwszy ogień, gdy przyjdzie do starcia. Niech Pan Bóg sędzi.

Ale król nastał na to, że koniecz- nie przykładu trzeba i że nie dosyć obu ściąć, ale w pośrodku obozu przy zwołaniu świadków i otrąbieniu dekretu.

— Do jutra — odezwał się cicho Morawiec — jeszcze się może król namyśli.

— Kto? Król! — rozśmiał się Radziejowski. — A to go dobrze znasz! Właśnie dlatego, iż proszą za nimi, uprze się i na swym postawi, chcąc ukazać, że się nikomu powodować nie daje.

Zwykła słabych natura, im więcej nalegają, tym oni twardziej przy swym stoją. Ho! ho!

— Ci, co go tam dawniej widywali i obcowali z nim, gdy jeszcze królewiczem był — począł

Proszka — powiadali zawsze o niestateczności, ale teraz zmienił się bardzo.

— Poczekajcie do końca — wtrącił Radziejowski — zmieni się on jeszcze niejedyn raz.

Kameleon ten, sam nie wie nigdy, czego chce. Na radzie wojennej raz napiera iść naprzeciw kozactwa, to znowu stać, obrawszy dobrą pozycję i czekać. Otrąbiają, aby się mieć w gotowości, my się na wozy ładujemy, troki wiążem, tymczasem i tydzień upływa, a my w miejscu stoimy.

— To prawda — rzekł Morawiec — ale trzeba i to przypomnieć, że Kozacy, których dzień w dzień przyprowadzają, coraz inaczej śpiewają.

— Albo to im wierzyć — przerwał Radziejowski. — Świeży przykład na tym Bohdaszce, co go tu tak przyjmowali jako zbawcę w obozie, a chełpił się, iż pułki przyprowadzi już zmówione od Chmiela. Król mu kazał na to pieniądze wyliczyć, a teraz przechera się chlubi, że durnych Lachów oszukał.

— Już to prawda święta, że im żadnemu wiary dawać nie można — wołał Kazimirski.

— A Zabuski? — podchwycił Snarski.

— Do czasu! — odparł Kazimirski. — Dopóki nie może zdradzić, będzie służył, a jak mu swoi zapachną, pójdzie do nich, choć tam przysięgał.

Radziejowski nie dał się rozmowie obłąkać i przejść na Kozaków, powrócił do króla.

— Nie mam ja nic przeciwko nabożeństwu — rzekł — boć bez Boga nic się nie wie, ale u nas już i księży, i modlitwy- więcej niż mustry i ćwiczenia. Żołnierz nie mnich, a Pan Bóg od niego nie wymaga różańca, ale tatarskiego tańca.

Morawiec to głową potwierdził. Śmiać się poczęto.

— Zrzucił mniszy habit — mówił Radziejowski — ożenił się, ale zawsze w nim klechę czuć i takim będzie do końca.

Cały ten wieczór upłynął na ubolewaniu nad losem Pawłowskich, jakby ofiar niewinnych, i wszyscy, co stąd wyszli, wynieśli do obozu narzekanie a naganę nie tyle sądu, który musiał wedle artykułów skazywać, jak króla, który prawa łaski zażyć nie chciał. Cieszył się podkanclerzy, zwłaszcza gdy jego przepowiednia się ziściła. W istocie Pawłowscy obaj z wielką ostentacją wpośród obozu przy otrąbieniu wyroku straceni zostali.

Poszedł popłoch po wojsku, ale i niechęć do króla wielka. Nie było czasu rozprawiać, gdyż zaraz nazajutrz przybył Koniecpolski, chorąży koronny, który pułki swoje pod Beresteczkiem zostawiwszy, z niewielkim poczem nadbiegł oznajmiając, iż Kozacy i Tatarowie nadciągają, a i Zabuski też niewolnika z ordy wziętego przyprowadził. Tym razem więc otrąbiono, aby wozy pozostawiając, wszyscy się nazajutrz rano ruszyli. Tu tedy znowu o wozy te powstały lamenta, tak się z nimi niektórym ciężko rozstawać było. Nie słuchano już i do dnia pułki wyciągnęły, a król wybrał się się

przodem, z czego podkanclerzy przedrwiewał, że to dla popisu, nie z ochoty czynił.

O półtorej mili przyszło most przebywać, który jeden tylko był. Tu się tedy ścisk stał, tumult, nieład okrutny, a Jan Kazimierz, gdy mu dano znać, sam się zwrócił do mostu i póty stał, porządek utrzymując, dopóki wojsko nie przeszło.

Radziejowski też z innymi się przy nim znalazł i parę razy próbował przemawiać,

odradzając na próżno fatygę, ale król tylko ramionami ruszył i ani mu odpowiedział. Ponieważ się to działo publicznie, a lekceważenie było bardzo jawne, podkanclerzy rozsierdził się jeszcze więcej, odjechał na bok i z króla się wyśmiewać począł, że prostym stróżem hetmanowi być nie przystało.

Z powodu mostu tego nie uszedłszy więcej nad mil parę, wojsko na spoczynek stanęło,

gdzie pomyślna wiadomość przyszła, że Ołykę obroniono od Kozaków. Król się tym bardzo uradował.

— Najjaśniejszy Panie — wtrącił zaraz podkanclerzy — Tatarowie i kozactwo do brania twierdz nie nadają się, to nie ich rzecz, w polu oni nawałą swą są straszni.

Nie omieszkał tedy przybyłemu księciu Dominikowi Zasławskiemu, który tu z kilku pułkami nadszedł, stawić się podkanclerzy,

Trochę rachował na niego w przyszłości. Księżę go też przyjął, choć dumno i chłodno, ale uprzejmie.

Następnego dnia dociągnęło wojsko do Łobaczówki, w niewielkiej już odległości od

Beresteczka, gdzie od Koniecpolskiego przysłany Kozak, zbiegły od Chmielą, przyniósł

wiadomość, iż się chan tatarski połączył z Kozakami. Dalej więc ponad Styrem ciągle szli ku Beresteczku, a Koniecpolski tymczasem wybiegłszy przeciw Kozakom, szczęśliwie się starł z nimi.

Napadł właśnie tych, których od Ołyki odpędzono, i jak powiadano, z tysiąc ich na polu

położywszy, czterysta wozów zapasów i żywności przyprowadził z dobytku. Cieszono się z tego w wojsku, lecz razem było czym trapić, bo wozy zabrane łup zawierały ze spustoszonego okrutnie Polesia Wołyńskiego, gdzie wsi i miasteczek ze dwadzieścia w kupę popiołów obrócono.

Starano się ukryć inną, gorszą daleko wiadomość w obozie, którą królowi, wołając o

ratunek, przyniesiono. Zdrajca jakiś, Chmiela naśladowując, a pewnie i z naprawy jego, na Podgórzu bunt wszczywał. Ogień więc zażegnęty na kresach w Ukrainie, na drugi kraniec Rzeczypospolitej się przerzucał, a mógł ją jak wyschłe pole objąć całą.

W mgnieniu oka zwołano radę wojenną, strzegąc, aby popłochu nie wzniecić, a rada i głos musiał być jeden i zgodny: póki pożar mały, gasić go i dusić, zalać choćby krwią, aby potem rozbijałego nie trzeba było rzekami zatapiać. Na jedno tylko oglądać się było trzeba, aby odrywając wojsku część sił w tej stanowczej godzinie, gdy już do boju przyjść miało, ducha 'w nim nie osłabić. Pomiędzy szlachtą i tak dzięki podszeptom i zażegnaniom zuchwałe się głosy słyszeć dawały, które Radziejowski podrzucał.

Pierwszy raz ujrzano na twarzy króla wyraz znużenia i wahania się, lecz trwało to bardzo krótko, wróciła rezolucja i męstwo. Miał nadzieję w Bogu, że podoła wszystkiemu, byleby mu naród wiernie stał u boku.

Długo się wahano z wyborem tych, co na Podgórzu wysłani być mieli, aż miecznik koronny

Zebrzydowski i dwaj Lubomirscy, Aleksander i Krzysztof, oświadczyli się z gotowością i nadzieją, że na tych opryszków wielkich sił nie będzie potrzeba. Wyprawiano więc ich, a chorąży

Konieczpolski chciał jeszcze do Brodów zbiec po działa, ale coraz gęściej przybiegano z wieściami o Tatarach, tak że ledwie myśleć było można uwinąć się z tym, nim nadejdą. Starano się wysyłkę Zebrzydowskiego i Lubomirskich na Podgórze tak pokryć, aby wojsko o niej nie wiedziało i o tym nowym buncie, który groził z drugiej strony, lecz w obozie, gdzie się ludzie jeden o drugiego nieustannie ocierają, lada słówko się rozrasta i ani go powstrzymać.

Radziejowskiemu, choć na radzie wojennej nie znajdował się, rzecz była nietajna, a co tylko królowi troski przysporzyć mogło, temu się on radował. Miał jednak to pomiarkowanie, że bębnić o Podgórzu nie chciał i na chwilę potrzebną sobie zachował tę wiadomość. Tymczasem wieczorem Kazimirski wpadł do zwykłego towarzystwa z wielce nastrzępioną czupryną i czerwieńszą jeszcze niż zwykle twarzą.

— Hej! Hej! — zawołał od progu. — Coś się święci! Między królem a panami hetmanami

nie ma zgody. Oni by radzi tu stać i czekać gdzieś na nieprzyjaciela, a król, zasłyszawszy o Chmielu pod Dubnem i Ołyką, chce iść, skończyć i zgnieść go. Oczywista rzecz, że Potocki ustąpi, choć doświadczeńszy, bo król uparty. Ano coś zaszło, czego zbadać trudno, bo miecznik koronny i dwaj młodzi Lubomirscy pono jutro gdzieś w bok odciągają. Gdzie? Po co? — tajemnica. Nam tu do kupy się trzeba gromadzić — dodał Kazimirski — a w samą porę jedne z najlepszych pułków odchodzą!

Podkanclerzy, który za stołem" siedział, dał znak, że on coś wie, ale palce położył na ustach.

— Gadają o chłopskim buncie na Podgórzu — zamruczał — a mnie się widzi, że to bajka puszczona przez Kozaków, aby nam siły rozerwać.

Zamyślił się Kazimirski, inni milczeli.

— Bunt na Podgórzu — powtórzył — i to taki, żeby na niego pułki całe wysyłać było potrzeba!

— Nieład we wszystkim — podchwycił Snarski — łatwowierność, głowy nie ma nikt.

Tymczasem co? Szlachta już burczy dopominając się, że darmo czas traci, a król ją trzyma, aż się do ostatka zje. Chcą związek uczynić i z królem się rozmówić.

— Gdzież to słyszał? — spytał podkanclerzy.

— Gdzie? Dosyć do pierwszego lepszego namiotu zajść, a ucha nastawić — mówił Snarski.

— Grawamina spisują. Najbardziej im to solą w oku, że król niemiecki pułki i Niemców ma w szczególnej obserwacji. Jak na harc, na podjazd, gdzie życie stawić trzeba, to nas wysyłają, a do strawy i jurgieltu, i do łaski Niemcy pierwsze.

— Oho! — począł Radziejowski. — Nie nowina to, że nam Niemcy śmierdzą, wzięło się za

Zygmunta jeszcze, gdy ich naprowadzono, Władysław też głaskał, a kochał się w nich, Jan Kazimierz także preferuje ich pludry. Nie zbędziemy się ich. Huwaldy będą zawsze w łaskach. Z

nimi król czuje się jak ryba w wodzie, a z nami niedogodnie mu.

— Szlachta — ciągnął dalej Snarski — tych różnych grawaminów przeciwko królowi ma

dosyć, a umysły już są tak podbudzone, że wybuchną. Ja się tylko boję, ażeby właśnie pod ten czas, gdy kozactwo będziemy mieli na karku, nie wystąpili do króla z ultimatum i nie zażądali, czego on im dać nie może.

— He? — mruknął milczący Morawiec. — Cóż myślicie? Ci, co szlachtę prowadzą, tak się

obrachują, że właśnie do króla skoczą, gdy on będzie w opałach, bo łącniej co wytargują! Oho!

Mają oni nosy.

Siedział za stołem przyprowadzony po raz pierwszy do podkanclerzego średnich lat chorąży Mazewski i milczał. Mało go kto tu znał krom Bąkowskiego, z którym przyszedł. Dotąd słuchał

milczący i rozglądał się, a po twarzy mu chodziły jakieś dziwne to blaski, to chmury. Na ostatek wytrzymać nie mógł.

— A to mi dopiero piękna szlachta i ziemianie! — zawołał. — Mieli tu po co iść, aby spiski knować i nam, co krew przelewać mamy, być zawadą. Niechby pioruny takie pospolite ruszenie!

Wszyscy na niego zwrócili oczy.

— Toć zdrajcę i łotry! — zawołał. — Nam Kozacy i Tatarzy grożą, a te bestie myślą o

sobie, jakby za swą skórę więcej wziąć, choć jej jeszcze nie dali.

— Zmiłuj się, chorąży! — przerwał Kazimirski. — Co bo się tak oburzasz. Szlachta przy prawie stoi.

— A niech ją z jej prawem siarczyste pioruny! Czas tu myśleć o prawie! Tu innego dziś nie ma, tylko wojenne. A kto go nie słucha...

Siadł Mazewski zburzony nie kończąc. Wszyscy się spojrzeli po sobie, jakby mówili:

— Nie nasz to człowiek...

— Uspokójcie bo się — rozśmiał się Bąkowski — szlachta swój obowiązek spełni, ale że się upomina...

— Dosyć czasu będzie po wojnie — począł gorąco Mazewski. — Tu dziś jedno jest do czynienia: bunt zdusić, rebelizantów upokorzyć, Tatarów przepędzić. Ja innego nic nie znam.

Zdrajca, kto dziś o innym myśli!

— Właśnie dlatego — przerwał podkanclerzy — troszczą się ludzie o czynności króla, bo fałszywy krok nas może zgubić.

— Ano, radę ma — rzekł Mazewski.

— I słuchać jej nie chce, tylko swoich Niemców — wtrącił Proszka — nie, nie, Niemców trzeba wykurzyć!

— Ale do stu katów! — zawołał Mazewski — Piechota niemiecka doskonała, przy artylerii puszkarze, bez których my się nie obejdziemy!

Podkanclerzy ostrożny rozpytywać począł, kto tego chorążego wprowadził, wziął Bąkowskiego na stronę i począł mu to wyrzucać.

— Ale to żołnierz dzielny i weredyk — bronił się Bąkowski — wpływ ma wielki, a że trochę inaczej widzi niż my...

— Trochę! — zaśmiał się podkanclerzy.

Tymczasem spór trwał, zwykli jednak goście Radziejowskiego pomiarkowali, że rozzarzać

go nie było warto i jeden po drugim milkli, a Mazewski, zrozumiawszy to, iż ani mu tu radzi byli, ani był potrzebnym wśród nich, za czapkę wzięwszy poszedł precz.

— Ostrożnym bo być powinienes — rzekł Radziejowski. — Po co nam kurtyzanie i

pasożyty hetmanów? Nam wolnych ludzi około siebie skupiać potrzeba.

Po wyjściu Mazewskiego, gdy się uspokoiło, Kazimirski począł wyklądać, co zrobił i co się gotowało. Spisek wojskowy przeciwko królowi się gotował. Powstał on z niczego. Podkanclerzy nie mieszał się do niego i tylko dobrą radą go wspierał, ale gorąco się nim zaprzętał. Kazimirski nosił jego rozkazy, dając je za swoje, zaciągał coraz nowych krzykaczy, starał się po wszystkich ziemiach rozsiać ziarna, z których przeciwko królowi związek miał powstać. Mówiono już o zwołaniu w ostateczności koła, które było w obozie tym, czym rokosz czasu pokoju. Koło

wojskowe i hetmanów, i wodzów pozywać przed się rościło sobie prawa. Brakło tylko

podkanclerzemu jeszcze jego prawej ręki, Dębickiego, który mu w ostatku przybycie swe

zwiastował. Wszystko to odbywało się pod bokiem króla i hetmanów, a dokonywało właśnie w momencie, gdy największa karność była potrzebną. Radziejowski cieszył się tym jako

najdoskonalszym środkiem uzyskania stanowiska przeważnego.

— Beze mnie oni im rady nie dadzą, ja jeden potrafię załagodzić, uśmierzyć i zamknąć

gęby. Król się mnie prosić będzie musiał.

Niebezpieczeństwa tego Jan Kazimierz wcale ani nawet nie przeczuwał.

Postanowiono po radzie wojennej, aby się na drugą stronę Styru przeprawić, gdzie równiny suche, doskonały plac do wygodnego rozwinięcia obozu i rozłożenia siły dawały. Ale przeprawa przez rzekę bystrą, dosyć szeroką, której brzeg jeden był stromy, niemałą trudność stanowiła. Most jeden, i to niezbyt krzepki, trzeba było poprawić, a wojska w porządku i bez zbytniego nacisku prowadzić. W tym wszystkim znowu król z wielką gorącością sam był czynnym. Hetmani i

starszyzna hamować go tylko musieli i prosić o cierpliwość.

Otrąbiono wieczorem, aby pułki niemieckie królewskie pierwsze się przeprawiały. Znowu

tedy mruczenie i sarkanie, że o Niemców królowi najwięcej szło, aby sobie nóg nie zamoczyli. Ale głośno jeszcze nikt się odezwać nie śmiał. Drugiego dnia naprzód piechota, potem pułki, których porządek był wyznaczony, most przebywały i na przeciwnym brzegu na zielonej równinie

wytknięte zajmowały stanowiska. Król po mszy świętej na koniu u mostu znowu stał, aby tumultu nie dopuścić. Nie było przy nim pod ten czas nikogo oprócz komorników i pisarzy, a Radziejowski, korzystając z tego, zbliżył się. Jan Kazimierz odwrócił się wprawdzie, lecz unikać go nie mógł.

— Najjaśniejszy Panie — odezwał się, zbliżywszy tuż, podkanclerzy — chociaż mi o

łaskawe ucho Waszej Królewskiej Mości trudno, ja mój obowiązek spełniam. Muszę przestrzec, iż w

wojsku fermentacja jest i zniechęcenie wielkie. Lękam się, aby w godzinie najgorszej nie wybuchnęło nieposłuszeństwo.

Król milczał długo.

— A nikt o tym nie wie krom was, panie podkanclerzy? — zapytał.

— I mnie to doszło wypadkiem — odparł Radziejowski.

— Nie wierzę, aby szlachta tak mało dbała o Rzeczpospolitą i o cześć swoje, aby tu teraz warcholstwem się chciała kazić.

— Najjaśniejszy Panie, szlachtę trzeba znać — z pogardą rzekł podkanclerzy — tłum to nieoświecony, a przywilejami swymi w dumę wbity. Lada co ją może pociągnąć.

Król, który słuchał z coraz wzrastającą niecierpliwością, umyślnie począł dawać rozkazy dworzanom i posyłać ich, aby przerwać nieznośną rozmowę.

Podkanclerzy, rachujący może na przestrach i na zbliżenie się, widząc, że Jan Kazimierz doniesienie jego lekceważy, gniewny ustąpił. Wszystkie jego rachuby chybiały.

— Potrzeba więc do ostateczności się posunąć — mówił w duchu — pcha mnie do rokoszu.

Król w istocie przez wstręt dla człowieka samą radą pogardził. Posądzał go o używanie tego środka dla pojednania, dla uzyskania przebaczenia, a darować mu nie mógł intrygi, która królową odstręczyła. Właśnie pracował nad tym, aby o swojej niewinności przekonać Marią Ludwikę i sam widok tego człowieka drażnił go przypomnieniem.

Wojsko w przeciągu trzech dni całe się rozłożyło na równinie i wojewoda krakowski, który je królowi ukazywał, mógł się pochwalić widokiem, jaki ono przedstawiało. Przynajmniej na pozór świetne było i ład w nim panował pożądany. Hetmani wszyscy, sądząc po odebranych i ciągle nadchodzących wieściach o Chmielu i ordzie, tu na nieprzyjaciela czekać chcieli. Król niecierpliwy naprzeciwko niemu chciał ciągnąć. Z uporem nie do przełamania żądał tego, gdy starzy z pokorą, ale stanowczo prosili przynajmniej o zwłokę. Dla boju miejsce to właśnie wydawało się im i najdogodniejszym, i najlepiej obwarowanym. Lasy i rzeka je osłaniały. Z tym wszystkim Jana Kazimierza niecierpliwości wielkiej pohamować było trudno, niepodobna prawie.

Ostatniego dnia po mszy świętej przyszedł Potocki i jak litości błagał zwłoki dnia jednego tylko.

Król się zrywał.

— Na zwłokach już straciliśmy wiele — wołał ręce łamiąc — spójrzcie na zgromadzone

siły. Dopóki je mamy, póki się nie rozproszą i nie staną niesfornymi, korzystajmy. Nieprzyjaciel nie oprze się takiemu wojsku, jak nasze.

— Ale nas może w przechodzie napaść w położeniu niekorzystnym — mówił Potocki —

tam on będzie wybierał, my przyjąć musimy bój, gdzie nas zaskoczy, a tu...

Złamany prośbami, król się na zwłokę dnia jednego zgodził. Upłynął ten dzień jednak w niepokoju, w jakimś gorączkowym oczekiwaniu. Starzy żołnierze mający osobliwe poczucie mówili wszyscy, iż im bitwa pachnie, chociaż nic jej nie zapowiadało.

Nazajutrz rano król zerwał się do dnia i wnet rozkazy wydał, aby część wojska natychmiast ku Dubnu ciągnęła. Ruszyły pierwsze chorągwie, ale zaledwie je z oczów stracono, gdy podjazd silny przybiegł dając znać, że Bohun we trzydzieści tysięcy i ćma Tatarów tuż przybywa. Ledwie hetman miał czas pchnąć, aby wojsko, które ruszyło już, natychmiast wracało, a rozproszeni spod chorągwi żołnierze skupiali się do nich.

W mgnieniu oka całe to spokojne mrowisko zaruszało się, zakipiało i życie w nie wstąpiło nowe.

Rozdział IV

Rozstać się z obozem i życiem obozowym było Dyzmie w początku przykro. Żegnał się i powracał do Księżkiego, który węża pokręcał i mruczał:

— Ano jedź, masz jechać! Jaka z ciebie baba! Jedź, a powracaj.

Gdy poza nim obozowego życia gwar, trąbki, rzenie koni i skrzyp wozów z wolna cisza pól i lasów pożarła, Strzębosz uczuł najpierw znużenie wielkie, drzemał na siodle jadąc i parę razy, gdy mu się koń zachnął, bo miał płochliwego pod sobą, o mało się nie zsunął z niego, potem oczy przetarłszy poświstywać zaczął, rozpatrywać się w wiośnie wiejskiej, której dawno nie widział, nareszcie przyleciały naprzeciw niego wspomnienia Warszawy: Bianka, zamek, towarzysze, życie na antykamerze, wycieczki na miasto. Z nicości zaczęły się jedna po drugiej przed nim jawić twarze znane, stawały widma i przyciągały ku sobie.

To, co go ku obozowi jeszcze w tył zwracało, znikło. Nowa siła jakaś rwała mimo woli

naprzód do Warszawy. I serce mu w piersi skakać poczęło do tej przeszłości. Król mu zalecał

pośpiech. Potrzeba było nie marudzić, a tu i serce już konia popędzało. Pierwszy popas, gdy wierzchowce były wypoczęte, nie potrzebował długiego czasu, na nocleg przyjechał późno, zerwał

się do dnia. Szczególna rzecz! Im teraz śpieszył więcej, tym się mocniej niecierpliwił, czas mu się wydawał niezmiernie długim, dnie bez końca, a kłus konia leniwym. Do obozu na powrót, choć czasem o nim pomyślał, nic go już nie odciągało. Jednego Księżkiego żal mu było. Ten za niczym w obozie nie tęsknił, jakby się w nim urodził. Strzębosz w końcu tak się zwijał, że choć pani podkancjerzyna go dobrze z wyjazdem wyprzedziła, przed Warszawą ją napędził i na ostatnim noclegu, dowiedziawszy się że ją ma tuż przed sobą, pośpieszył, aby się z jej dworem połączyć.

Nie było w tym nic dziwnego, że ją napędził. Pani Radziejowska jechała bardzo po pańsku, ze stanowniczym przodem, długa, wysiadując na popasach, a późno ruszając się z noclegów. Nie miała się tak dalece śpieszyć do czego, kolebka ciężka, sześciu woźnikami zaprzęzona, po drogach niekiedy wąskich, wybojów pełnych wlokła się, a czeladź musiała ją podpierać, aby się nie wywróciła.

Wozy, które szły za nią, były przeładowane. Służba nie miała ochoty zbyt śpieszyć, bo w podróży więcej jej dawano swobody.

Na następnym popasie Dyzma, który niejedyn raz był przez króla posyłanym do

podkanclerzyny i którego ona знаła dobrze, zameldował się jej przez ochmistrzynią. Miał list przecie. Wpuszczono go natychmiast. W szatach podróżnych, ale nawet w drodze wytwornie i smakownie ubrana, Radziejowska siedziała zamyślona na stołku karczemnym, poduszką tylko zasłanym. Piękna jej twarz nosiła na sobie ślady widoczne przebytych męczarni, wypłakanych łez i troski, która ją uciskała.

— Skądżeś to waszmość się tu wziął? — zapytała głosem łagodnym.

— Król mnie wysłał do Warszawy z rozmaitymi poufnymi zleceniami — odezwał się

Dyzma dobywając papiery. — Mam i do pani podkanclerzyny pisemko.

To mówiąc podał zapieczętowany sygnetem prywatnym króla list, który, nieco

zarumieniona, żywo pochwyciła Radziejowska, ale się rozmyśliwszy, nie czytając położyła na stole przy sobie. Spytała go niespokojnie, kiedy wyjechał z obozu i co tam słychać było.

Strzębosz opowiadał, po trosze się wstrzymując od tego, co miał na języku o

podkanclerzym, chociaż jejmość wyraziście, z niechęcią badała, co on tam poczynił.

— Nieprzyjaciela jeszcześmy nie widzieli — rzekł — ale jeńców co dzień do obozu

przyciągają i pewna rzecz, że cała ta tłuszcza około Dubna i Ołyki pustoszy, a może i bliżej. Król chce iść naprzeciw i bardzo niecierpliw jest. Potocki i Kalinowski wstrzymują, bo pod

Beresteczkiem pole doskonałe i na obóz, i do rozprawy, a drugiego takiego znaleźć będzie trudno.

Wszystko by dobrze było, bo i sił jeszcze coraz więcej nadciąga — dokończył Strzębosz — gdyby nie szemranie i rodzące się już w pospolitym ruszeniu warcholstwa.

— O, to łatwo przewidzieć było — odparła żywo, usta zaciskając, Radziejowska. — Są

tacy, którzy niezgodę sięją zawsze, nie omieszkają jej i tu pielęgnować, a na łatwych do podburzania nie zbywa. Biedny król!

— Dotąd — dodał Strzębosz — dzielnie się trzymał i trzyma, a tak czynny, jak go nikt

nigdy nie widział. Nawet pod Zborowem, choć i tam nie zasypiał, nie był tak nieznużonym, tak surowym, ale co to pomoże!

Dyzma nie dokończył.

— Tak — ożywiając się, mimo woli zawołała podkanclerzyna — co to pomoże, gdy pod nim dołki kopać będą!

I zadumała się ponuro.

— Zabawisz waszmość długo w Warszawie? — zapytała.

— Nie wiem, bo główna rzecz, jak mnie królowa przyjmie i odprawić zechce.

— Nie zapomnijże zajść do mnie, bo odpowiedź dać muszę — szepnęła podkanclerzyna — a do Warszawy czy nas wyprzedzisz?

Strzębosz odrzekł:

— Jeżeliby było potrzeba, łatwo bym o jakie pół dnia mógł pośpieszyć.

Potrząsnęła głową Radziejowska. Nie pytała już więcej, a gdy list króla wzięła w ręce,

Strzębosz zrozumiał, że mu się należało oddalić. Skłonił się więc i odszedł, a z rozkazu podkanclerzyny jej marszałek wziął go zaraz naprzeciw do izby dla ugoszczenia.

Reszta podróży bardzo zeszła wesoło, bo Strzębosz dla zmęczonych koni nie mógł

pośpieszyć; towarzyszył więc dworowi podkanclerzyny i miał się dobrze. Ona sama kilka razy jeszcze powoływała go do siebie, rozpytując o różne drobnostki, i od niego się dowiedziała, że od przejęcia listu swego podkanclerzy do Warszawy przez królewskie kresy nie pisywał, ale z Kryłowa bojarów sprowadził, którzy się mieniali na posyłki. Strzębosz przynajmniej wiedział o dwu czy trzech takich wyprawionych z obozu, pewno nie bez listów i doniesień do Warszawy. Dawało to jej do myślenia. Nie mogła bowiem wątpić, że przeciwko niej mąż knować musiał.

Strzębosz z ostatniego popasu, już nie mogąc powstrzymać młodzieńczej swej

niecierpliwości, pożegnał podkanclerzynę i puścił się przodem do Warszawy. Serce mu biło, zapomniał o wszystkim prawie, co za sobą pozostawił. Zdawało mu się, że przed nim skrzydłami wiosennego motyla niesiona ulatywała figlarnie uśmiechnięta twarzyczka Bianki. Młodość jest samolubną. O wszystkich cudzych zapominał frasunkach — on, on miał być za chwilę

szczęśliwym. Sprawy króla, podkanclerzyny, wojna, nic go już nie obchodziło. Wstydił się sam siebie, ale prąd go jakiś potężny unosił, oprzeć mu się nie umiał. Koń już ledwie starczył

pośpiechowi, z jakim biegi, a biegł, aby stanąć na miejscu, a gdy wieżycy Panny Marii i mury kościołów a zamku ukazały się w oddali, Dyzma mimo woli czapeczkę podrzucił do góry witając miasto.

Na zamku przybycie jego, jak każdego posłańca od obozu, sprawiło radość. Dano znać królowej.

Zarzucono go pytaniami: „Gdzie był król? Czy się nieprzyjaciel pokazał? Nie było bitwy?”

Ledwie miał czas suknie zapyłone zrzucić i przeodziać się, gdy już dwu paziów, jeden po drugim, do królowej przybiegło napędzać, bo listów nikomu zwierzyć nie chciał. Zastał Marią Ludwikę samą i przechadzającą się po swym pokoju z oznakami niecierpliwości. Pochwyciła listy, pytając:

— Skąd?

— Spod Beresteczka...

Na stole rozłożona leżała wielka mapa, królowa pobiegła i pochyliła się nad nią.

— Król? — zapytała.

— Zdrow, Bogu dzięki i czynny bardzo — począł Strzębosz — a gdyby mu ludzie tak służyli, jak on o nich się troszczy i pracuje...

Spojrzała królowa ciekawie na niego i krótkimi pytaniami zasypała go. Z nich widać było, jak doskonale ją o wszystkim uwiadamiano. Wiedziała już o buncie na Podgórzu i spytała, czy kogo wysłano, aby jego szerzeniu się zapobiec. Słyszała o Chmielnickim pod Ołyką i o ordzie.

Strzębosz ledwie mógł wydażyć z odpowiedziami. Zarazem rozerwawszy pieczęci rzuciła

oczyma na listy i zadawała pytania, nie słuchając potem roztargniona odpowiedzi. Na ostatek zagadnęła o podkanclerzego, a Dyzma, który się na to gotował wcześniej, bez ogródki opowiadać zaczął, jak dokuczał i naprzykrzał się królowi i z kim w obozie przestawał. Nie taił, że się szlachta zbierała warcholić, dając do zrozumienia, kto ją podbudza. Maria Ludwika usta ścisnęła, nie mówiąc nic. Słówkiem musnęła podkanclerzykę.

— Gdzież ta wasza piękna pani?

— Z obozu dawno wyjechała — rzekł Strzębosz — i prawie dziś lub jutro będzie w Warszawie.

Oczy królowej zabłyśły gniewem, zamruczała coś niewyraźnie.

— Rozstali się więc! — dodała jakby sama do siebie.

Strzębosz stał ciągle u progu, bo pytania nie ustawały jeszcze. Sam on z własnego

natchnienia począł mówić o tym, jak Najjaśniejszy Pan cierpiał, iż listów długo nie miał z Warszawy, które gdzieś ginęły w drodze i że dlatego właśnie jego wyprawił, aby się naocznie przekonał o zdrowiu królowej, a przywiózł pewną wiadomość.

Wszystko to Maria Ludwika zbywała milczeniem, nie bardzo nawet słuchając pilno i raz jeszcze wtrąciła:

— Dziś ma powrócić do Warszawy?

Dyzma nie zrozumiał pytania i dopiero po namyśle potwierdził, że podkanclerzyna musiała nadjechać, bo ją napotkał w drodze.

Znowu więc o wojsko, obóz, o hetmanów, o nadciągające pułki, o usposobienie między

szlachtą badać poczęła. Dyzma się musiał dziwić pamięci i doskonałej wiadomości wszystkiego, co się działo w obozie. Widocznym było, iż królowej ze swej strony donoszono o tym, bo niektóre plotki nacechowane były niechęcią dla króla i nieufnością. Strzębosz go ciągle bronił, a czynił to z wielką gorącością i nie szczędząc dowodów, iż fałsze dochodziły do stolicy.

Królowa, na to nie odpowiadając, wejrzeniem tylko go przeszywała. Trwało tak długo to wypytywanie, iż w końcu Marii Ludwice znać dano o wieczery, a Dyzma na ostatek odszedł uwolniony, ale mu się nazajutrz stawić kazano.

Ledwie z tych spytków wyswobodzony wpadł w ręce dworzan, którzy na niego w

antykamerze czatowali i pociągnęli z sobą. Z ich pytań jeszcze się dowodniej mógł przekonać, jakie tu rozsiewano plotki. Zagadywano go o jakieś niespodziane króla z podkanclerzyna najście przez męża i wynikłe z tego srogie z Radziejowskim zatargi.

— Ależ to są haniebnne baśnie! — krzyknął oburzony Strzębosz. — Ja przy królu jestem

ciągle! Nigdy nic podobnego się nie wydarzyło. Królowi ani ona, ani żadna inna teraz w głowie, ma o czym myśleć i nie dosypia nocy, tak pracuje, a tu mu obmową niegodziwą za to płacą! Gdybym pochwyił łotra, co tu przynosi takie podłe plotki, język bym mu obrzezał!

Śmiano się z tego oburzenia.

— Darmo się nie zmagaj — wołali komornicy królowej — u nas tu powszechnie wiadomo,

że podkanclerzyna dla króla z Krasnegostawu pojechała dalej, że męża odprawiano, a ona wieczory spędzała z panem.

Wściekły rzucał się Strzębosz.

— Kłamstwo podłe, niegodziwe, nikczemne! Król ani jednego razu się do podkanclerzyny nie zbliżył, nie mówił z nią. Mąż ją włókł za sobą.

Nie chciano Dyzmie wierzyć.

— Tu ją dobre przyjęcie czeka w Warszawie — szeptali dworacy — bo począwszy od królowej, której się ani na oczy nie będzie mogła pokazać, żadna z pań jej nie przyjmie.

— Ale niewinność musi się w końcu okazać, bo to są czernidła niezasłużone i rozsiewane umyślnie — mówił Strzębosz.

Na próżno się jednak silił. Nie było sposobu przekonać, opowiadano zmyślone przygody i niektórzy szeptali, że królowa miała o tym w listach pewne wiadomości. Jawnym było źródło dla Dyzmy. Wszystko to pochodziło od samego podkanclerzego, który usiłował królową z mężem rozdzielić, aby z tego skorzystać.

W końcu Dyzma, klnąc, porzucił towarzyszków, zły, że ich przekonać nie mógł. Żał mu było podkanclerzyny. Chętnie by jej był wczesnym ostrzeżeniem oszczędził przykrości, ale z drugiej strony nie wiedział ani jak tego dokonać, ani czy przystało mu mieszać się w tak drażliwe zajścia.

Nazajutrz ledwie mógł dotrzeć powołania do królowej. Tu po przeczytaniu listów znowu

pytań się posypało mnóstwo, na które Dyzma, jak mógł i umiał, dawał odpowiedzi. Potwarze w samym tym badaniu wychodziły na jaw. Ukaranie Pawłowskich, sądy wojskowe, wszystko było królowej wiadomym. Miała osobne doniesienia o pochodzie Bohuna, o ordzie, o owej obietnicy Chmielą uczynionej chanowi, że łup będzie zagarniał z Polski bez trudu i bez straty. Królowa trzymała z hetmanami, iż pod Beresteczkiem stać było potrzeba i czekać, a w ogóle znajdowała mnóstwo uchybień w postępowaniu męża. Szczęściem już tym razem ani o podkanclerzym, ani o żonie jego wzmianki nie było.

Wyrwawszy się stąd jak z łaźni, Dyzma się nie dał wstrzymać i wyskoczył na miasto,

wprost do domu Bertoniowej. Mógł się tu złożyć poselstwem króla, a zresztą nie dbał o to, że stara się na niego pogniewa i wyźwierzy. Pędem jednym wbiegł na wschody i drzwi otworzył nie

oznajmując się, sądząc, że Biankę może zastanie samą. Nie poszcześciło mu się, bo zamiast jej zastał starą matkę z niemłodym mężczyzną, wystrojonym z cudzoziemską, w peruce, chociaż świeżo zgolony wąs i jasna po nim, nie opalona jeszcze skóra świadczyły, że się przebrał niedawno.

Bertoni zimno go i bez gniewu przyjęła, a gdy się oznajmił od obozu i króla, poczęła wraz ze swym

gościem ciekawie rozpytywać o wiadomości obozowe.

Złożyło się przy tym, że niemłodego jegomości nazwała po imieniu i nazwisku, a był to książę Massalski, stolnik. Mało by on obchodził Strzębosza, gdyby go coś nie tknęło, że mógł być do Bianki prowadzonym przez matkę. Postanowił go tu przeczekać, aby się domacać prawdy. Ów pan Massalski dosiadywał też dosyć długo, ale w końcu ustąpić musiał, a Bertoni i Dyzmę z nim odprawić chciała, ale się nie dał zbyć i powrócił do bawialni.

Włoszka parę pytań o królu zadała, na które Dyzma odpowiedział, lecz język mu już-świerzbiał pytaniem, co znaczył ów Massalski.

— Mogłeś się przecie waszmość domyśleć — odparła z przekąsem stara — że on tu dla

mnie nie przychodzi, ale dla Bianki. Zakochany w niej, a choć mu familia nie daje się zenić z mieszczanką, pewnie jej słuchać nie będzie.

Rzucił się aż Strzębosz.

— Piękne pani szczęście z tym starym grzybem córce gotujesz! — zawołał. — Życzę tylko

bez wiadomości króla nic nie poczynać, bo się łącno na gniew jego narazić można.

— Nauk nie potrzebuję — odparła dumnie Włoszka.

— A zmuszać Biankę — dodał Dyzma.

— Ja jej wcale nie potrzebuję zmuszać — odezwała się Włoszka — dziewczyna ma rozum,

król też jej szczęściu na zawadzie nie stanie. Idzie tylko o rodzinę, ale ja u Rzeczypospolitej Weneckiej szlachectwo stare wyrobię dla Bertoni i na swoim postawię.

Jak oszalały z bólu i smutku słuchał tego Strzębosz, ociągał się jeszcze, sądząc, że Biankę będzie mógł widzieć i przekonać się o tym, jak przyjmowała konkurenta, ale mu stara oświadczyła, iż córki w domu nie ma.

— Próżno byś się też, kochanku, trudził później — dodała — dla ciebie jej nigdy w domu

nie będzie, wybij ją sobie z głowy.

— Zobaczmy! — rzekł ze złością, wychodząc Dyzma. Zeszedłszy na dół, stał pod

kamienicą długo na pół skamieniały, z sercem rozdartym, sądząc, że może powracającą do domu schwyci dziewczynę, lecz na próżno pół godziny pod murem wystawszy na czatach, wściekły na zamek powrócił.

„Miałem czego się śpieszyć!” — wołał sam do siebie.

Najpilniejszą było teraz rzeczą o tego Massalskiego się rozpytać, ale kilku towarzyszków i dworzan królowej na próżno badał. Żaden mu o stolniku Massalskim nic powiedzieć nie umiał.

Dopiero stary komornik króla, który pozostał przy pokojach jako dozorca karłów, małp i papugi, uderzywszy się palcem w czoło począł prawić:

— Wiem! Wiem! Znali go dawniej. Słaby jest na umyśle, wariatem go nazwać nie można,

bo nie dowodzi nic, furii nie wyprawia, ale niespełna rozumu. Pilnuje go rodzina, bo już raz z chłopką się chciał żenić, a potem z Żydówką. Znają go tu, znają!

Jeszcze się straszniej oburzył Strzębosz, dowiedziawszy się, kto był ów Massalski.

Świadczył stary komornik, iż nigdy ten biedny człek nikomu nic złego nie uczynił, uprzejmym był i słodkim, a miał tylko pasją szczególną podarkami wszystkich obsypywać, na które się rujnował.

Zaledwie kogo poznał albo parę razy widział, natychmiast mu coś na pamiątkę przynosił. Pilnowali go krewni, ale zapobiec temu nie mogli. Co miał, Massalski wszystko tak rozpraszał: klejnoty, broń, pamiątki stare. Gdy mu zabrakło co dawać, brał u kupców na kredyt. Spotykało to zarówno mężczyzn i kobiety, gdyż serce miał bardzo czułe i kochał się, a oświadczał nieustannie.

Dla Włoszki tytuł jego był ponętą, a miał też kniaź resztki fortuny na Białej Rusi, która choć mocno zadłużona, oczyszczoną być mogła. Starej Bertoni wcale się nie dziwował Strzębosz, ale swej Biance, dziewczęciu w której serce wierzył! Nie pojmował tego, że taż sama krew płynęła w żyłach matki i córki i że płocze dziewczętko uśmiechało mu się wdzięcznie, przyjmowało go mile, ale zarówno zalotnie i innych. Stary Massalski, który się dla niej przebrał po europejsku, i włożył

perukę, śmieszył ją, lecz książęcy jego tytuł może ją kusił, a wpływ matki codzienny nie mógł ' być bezowocnym.

Strapiony Dyzma wybrał się raz i drugi z zamku, krążąc około domu na Starym Mieście,

zasadzając się pod ratuszem, w ulicach, ale dziewczęcia strzeżonego nie spotkał. Miał tylko przyjemność widzieć starego księcia przybywającego co dzień ze szkatuleczkami i zwitkami, którego byłby ubił, gdyby mógł. Stolnik zaś doskonale pamiętający twarz każdą uśmiechał mu się jako znajomemu, gdy go spotkał i wielce uprzejmie pozdrawiał. Myślał z początku Strzębosz z nim się rozprawić, lecz byłby się na śmiech naraził, bo stolnika, za pół obłąkanego miano. Przez kilka dni tak pobłądziwszy z rozpaczą w duszy, sam już nie wiedząc, jak sobie radzić, poszedł powtórnie do Bertoni.

Przyjęła go, mruczając, kwaśno i spytała w progu:

— Czegóż jeszcze chcesz? Czego? Darmo się nie włócz, nic nie wskórasz.

— Ale na Boga miłego! — krzyknął Dyzma zrozpaczony — Toż macierzyńskich dla

dziecka, nie masz wnętrzości, żeby je na łup szalonemu dawać! Cały świat wie o nim, że rozumu nie

ma.

— A ja wam tylko go tyle życzę, co jemu pozostało — odparła równie gwałtownie

Włoszka.

— Król jest opiekunem panny Bianki — mówił dalej Dyzma — myślicie, że mu miłym będzie, gdy się o tym dowie? Wyrzeczcie się i was, i jej, za to ja wam ręczyć mogę.

Bertoni śmiechem szydefskim przyjęła tę pogroźkę.

— To nasza sprawa — burknęła — nie opiekujcie wy się tylko moją dziewczyną. Z królem ja będę wiedziała, jak poczynać. Nie taki on straszny, jak się wam wydaje.

Dyzma umyślnie głos podnosił, sądząc, że może nim z kryjówki wywabi dziewczę i choć zobaczyć ją będzie mógł; lecz jej w domu nie było, czy się pokazywać nie chciała, nie wyszła.

Doczekał tylko, przybycia stolnika, który zobaczywszy go, niespokojnie po kiesze niach szukać począł czegoś i dobył nareszcie spinkę turkusową.

— Ponieważ miałem honor poznać waćpana dobrodzieja — rzekł z ukłonem — niechże mi wolno będzie zapisać się w pamięci jego tą miłą pamiąteczką.

Strzębosz, odtrąciwszy datek, wybiegł jak szalony. Obawiał się, aby królową, nie pośpieszyła z listami i odprawą, nim się będzie mógł z Bianką zobaczyć. Wprawiało go to w rozpacz taką, że po całych dniach stał na czatach i zapomniawszy nawet się dowiedzieć o

podkanclerzynie. Gdy mu to na myśl przyszło, wreszcie wprost do pałacu jej pośpieszył. Tu zastał wszystko w jakimś ruchu gorączkowym, jak gdyby sama pani znowu się w podróż wybierała.

Biegali ludzie, krzyżowała się służba, wnoszono skrzynie, i ledwie mógł z niemałym kłopotem oznajmić się Radziejowskiej, a potem długo oczekiwać musiał, nim go do niej wpuszczono. Znalazł

ją strasznie zmienioną, rozdrażnioną, z widocznymi śladami łez na oczach. Wstrzymywała się jednak widocznie, aby przed mało znanym nie zdradzić się z cierpieniem. W pokojach uderzyły go już, gdy przechodził, przygotowania jakieś do wyjazdu.

To, co dawniej stanowiło ozdobę tego wspaniale wystrojonego pałacu albo już znikło, albo stało przygotowane do zabrania. Kosztowne szkatuły, obrazy, zwierciadła, nawet posągi niektóre leżały i nagromadzone były pod ścianami.

Radziejowska chodziła gniewna, wzburzona, nie mogąc nawet mówić, tak ją myśli własne

oblegały. Zapominała, że Strzębosz stał, i poruszała się mechanicznie, chwytając, co było pod ręką, zrzucając na kupki różne fraszki, chowając je i na powrót wydobywając.

Dyzma nie śmiał jej spytać, czy się w podróż wybiera. Wtem oznajmiono brata i podkanclerzyna wybiegła naprzeciw niemu, prosząc tylko Dyzmę, aby wyjeżdżając wziął listy.

— Jeżeli do podkanclerzego — szepnął Strzębosz — przykro mi to oświadczyć, ale się ich nie będę mógł podjąć.

Z dzikim śmiechem pani Radziejowska uczyniła mu tylko pytanie :

— Do podkanclerzego? Ode mnie?

Z tym musiał wyjść Dyzma to tylko zrozumiał, iż między małżeństwem znowu waśń się zajątrzyła, ale że to już nieraz się wprzód trafiało, nie sądził, ażeby do jakiejś ostateczności przyjść miało.

Do królowej parę razy się zgłosiwszy nadaremnie, Strzębosz nie miał już nic do czynienia i po dawnych znajomych, którzy w Warszawie pozostali, błąkać się zaczął. Pomiedzy tymi wielu było mających rozgałęzione w świecie stosunki; wszędzie, gdy tylko o podkanclerzynie napomknął, kuso i krzywo na niego spoglądano.

Z pań przy królowej będących dosyć dawniej mając życzliwą faworytę jej, pannę de

Beaulieu, która młodego, przystojnego chłopca bez złej myśli protegowała, Strzębosz się ośmielił

pójść do niej. Przyjęła go wesoło dosyć. Ciekawa była rozpytać go i słuchała chętnie, nauczywszy się tyle po polsku, iż 'zrozumieć mogła ten język. Dyzma umyślnie wspominał biedną

podkanclerzynę.

— Biedna? — podchwyciła panna de Beaulieu. — Nie lituj się waćpan nad nią, ma to, na co zasłużyła. Wolno jej było nie poszanować siebie, ale króla w oczach świata kompromitować, ale go różnić z żoną, ale się bezwstydnie czepiać obozu, aż nareszcie mąż gwałtem się jej pozbyć musiał.

Strzębosz krzyknął oburzony, poczynając tłumaczyć ją i uniewinniać, ale Beaulieu ani go chciała słuchać i wyśmiewała.

— Podkanclerzyna — dodała Beaulieu — znalazła w Warszawie wszystkie drzwi

zamknięte, nikt jej przyjmować, nikt znać nie chce. Królowa była pierwszą, która wręcz

oświadczyła, że na zaniku nie dopuści się jej pokazywać. Za przykładem pani poszli wszyscy i zdaje mi się, że oprócz rodziny, to jest dwóch braci i może najlepszych jakich kilku przyjaciółek, wcale z

nią żyć nikt nie będzie. Chciała poróżnić naszych państwa i postępowała bezwstydnie.

Strzębosz nie mógł już wytrzymać, załamał ręce. — Na miłość Boga! Posłuchaj mnie, pani, to są najniepocziwsze intrygi i potwarze, których ofiarą padnie kobieta niewinna. Pozwól mi opowiedzieć wszystko.

Z niedowierzaniem zgodziła się panna Beaulieu na cierpliwe przesłuchanie powieści

Strzębosza, a uderzyć ją nareszcie musiała historia listów przejętych do królowej. Dyzma zresztą z taką ścisłością i dokładnością wszystko określał, że o prawdomówności jego powątpiewać nie było podobna. Francuzka ostygła nieco, ale zgadzając się na to, że Radziejowski mścił się, utrzymywała zawsze, iż miał do tego powody, bo podkanclerzyna króla starała się przywiązać do siebie itp.

Dyzma tak długo siedział, tak silnie przemawiał, tak prosił, że panna Beaulieu obiecała mu królowej powtórzyć, co od niego słyszała, szczególnie na obronę króla.

— Najjaśniejsza Pani — dokończył Strzębosz — zanadto zaufała człowiekowi

niegodziwemu, a podkanclerzy korzystał z tego i osnuł sobie owładnąć wszystkim; przyjdzie jednak czas...

— Najjaśniejsza Pani — przerwała Beaulieu — wcale nie tak ślepo ufa Radziejowskiemu, jak waćpan sądzisz.

Na tym przedłużona skończyła się rozmowa, która tegoż dnia się odbiła w sypialni

królowej. Strzębosz miał tę pociechę, że podróż jego nie była daremną. Poszedł raz jeszcze do pałacu, który dotąd nosił nazwę Kazanowskich i znalazł tu jeszcze wybitniejsze oznaki

przygotowań jakichś, które zrozumieć było trudno, a ludzie pytani tłumaczyć mu nie chcieli.

Podkanclerzyna ubrana prawie żałobnie, cała w czerni, z policzkami, które gorączkowy

kraśli rumieniec, przyjęła go siedząc u stoliczka, na którym leżały stosy porozrzucanych papierów.

Zapytała go, kiedy odjeżdża, i niecierpliwiła się tym, iż na to odpowiedzieć nie umiał, oddawała mu pismo jakieś i cofała niepewna. W toku rozmowy wspomniawszy królową, zapytała go, czy ją widział. Dyzma potwierdził to, ale o Marii Ludwice nie mówił nic.

— Królowa względem mnie jest niesprawiedliwą — rzekła. — Wiem, za Najjaśniejszy Pan

ująć się nawet za mnie nie może. Nie mam nikogo; jedyna moja opieka, dwaj bracia. Ci mi dopomóc muszą. Z podkanclerzym się rozstać nieodzowna rzecz, bobym umarła.

Dyzma ośmielił się zapytać, czy myślała o przeniesieniu się gdzie indziej, co wnosił z

przygotowań, ale na to obojętną, dwuznaczną otrzymał odpowiedź.

Podkanclerzyna na ostatek wręczyła mu list do króla.

— Nie potrzebuję waćpanu zalecać — dodała — że list ten tylko do rąk własnych i na

cztery oczy masz Jego Królewskiej Mości doręczyć. Dosyć by było wiadomości o nim, aby mnie o miłości znowu obwinie, a zarazem i króla. Jest on moim opiekunem, jemu winnam wszystko, ale na tej wdzięczności ogranicza się nasz stosunek. Ludzie są źli i niepoczczeni.

Z bólem w sercu odszedł Dyźma. Królowa ciągle mu jeszcze oczekiwać kazała, a z

Bertoniową i jej córką nie mógł dojść do końca. Na ostatek bardzo rano jednego dnia udało mu się dziewczę do kościoła idące ze starą ochmistrzynią pochwycić na drodze.

Bianka śmiała mu się wdzięcznie i wesoło jak dawniej.

— Zlituj się, uspokój mnie — począł przypadłszy do niej. — Matka chce cię poświęcić i oddać szaleńcowi, powinnaś się oprzeć temu. Ja króla zawiadomię.

— A! a! Proszę się nie wtrącać do tego — podchwyciło dziewczę zmieszane — ja muszę być posłuszną matce. Stary książę wcale szalonym nie jest, ale bardzo dobrym człowiekiem.

Ubóstwia mnie, pada przede mną.

Strzębosz wybuchnął.

— A z nami co będzie? — zapytał. — Nasza miłość i przysięgi twoje?

Bianka spuściła oczy.

— Ale ja waćpana kocham zawsze — szepnęła — tylko matki słuchać przecież muszę.

Dyźma wpadł w rozpaczliwy zapał. Włoszka słuchała go, uśmiechając się z naiwnością

dziecięcia. Zdawała się nie móc pojąć tego, że miłość dla pięknego chłopca nie dawała się pogodzić z wyjściem za mąż za starego księcia. Na próżno przemawiał Strzębosz. Uśmiechała się, uspokajała go, ale tak jak on do serca nie brała ani swych przyrzeczeń, ani miłostek.

— Ja przecież dla was nie mogę prowadzić wojny z matką — zakończyła — to by mi życie zatrało, a ja go chcę używać. Starego wcale nie kocham, to wam wystarczyć powinno.

Nie mogąc nic więcej na niej wymóc, Dyźma starał się przynajmniej dostać od niej słowo i przyrzeczenie uroczyste, że nie wyjdzie za mąż, dopóki król z wyprawy nie powróci.

Bianka się pogniewała.

— Ale ja terminu przecie naznaczać nie będę, mów waćpan z mamą. — To mówiąc i prawie

bez pożegnania śpiesznie tak poczęła uchodzić, że Strzębosz za ledwie ją mógł napędzić, aby przebłągać i pożegnać. Już u progu prawie raczyła się do niego odwrócić, przebaczyć mu, uśmiechnąć się znowu i pierzchnęła potem zostawiając go osłupiałym.

Dyzma był uparty. Nazajutrz dobijał się do drzwi Bertoni, musiała mu otworzyć.

— Powracam do obozu — rzekł wchodząc. — Bez żartu król mi się kazał o was

dowiedzieć. Po zasięgnięciu wiadomości o stolniku, ja waćpani w imieniu króla objawiam, że jeśli, nim my tu powrócimy, wydasz Biankę samowolnie za tego starego, ja w tym, na oczy się już ani wy, ani córka królowi pokazywać nie będziecie mogli. Z opieki Najjaśniejszego Pana i obietnic, daję waćpani słowo, kwita na wieki.

— Myślisz, że się grózb tych złękne? — przerwała Bertoni. — Ja króla znam lepiej i

dawniej niż wy, a z dzieckiem wiem, co mam robić, rady niczyjej nie potrzebuję.

I drzwi mu zatrzasnęła przed nosem.

Rozdział V

Pełną tajemnic jest ta ludzka natura, której nikt nie zbadał. W człowieku odzywa się

niekiedy uśpione zwierzę, czasem uwięziony duch anioła. Jedno nic, powiew wiatru, woń jakaś, dźwięk przeistacza spokojną istotę w rozszalałe stworzenie. Pieśń pobożna pokoju bucha pożarnym chórem zniszczenia. Tak owego pamiętnego poranka w obozie pod Beresteczkiem, we mgnieniu oka tabory, jakby uśpione, zbudził jeden okrzyk: „Do koni! Do broni!” Po ogromnej przestrzeni zajętej taborami przebiegło jakby konwulsyjne drgnienie, wiatr poruszył proporce, zaszeleściały chorągwie, zarżały konie, powybiegali ludzie, zaszczekały szable. Rycerstwo, ciury obozowe, co żyło, dźwignęło się. Rozkazy z ust do ust podawane krzyżowały się, po pułkach trąbiono w mundsztuki, starszyzna w łośiowych koletach wybiegła z namiotów, czeladź wdrapywała się na wozy chcąc zobaczyć, czy już nie nadciąga nieprzyjaciel.

— Orda! Do koni! Nieprzyjaciel idzie! — wołano zewsząd.

Wszczęło się zrazu zamieszanie, ale potężne głosy nawołujących dowódców ład

natychmiast wprowadziły. Nie czekał już nikt dalszych rozkazów. Wiedziano co poczynać. Służba biegała, siodła niosąc na ramionach, a konie, poczuwszy już pochód, niecierpliwiły się, rwały i rżały. Kilku konnych od króla rozbiegło się po regimentach, co chwila z innej strony grała trąba na zbór. Ci, co się z rana porozlazili ku borom, aby wiosny powąchać, biegiem do szałasów powracali.

Opowiadano, że czeladzie z końmi na pastwiska wyciągnąwszy dalej w lasy, natrafiły na

opuszczone świeżo koczowiska Tatarów, na porozbijane drogi, kopytami końskimi potratowane łąki, pogubione strzały, wojłoki i obławki noclegów. Nikt nie pojmował, jak mimo czujnych podjazdów mogli się Tatarowie podkraść tak blisko i cicho.

Z dala na wzgórzu widać było stojącego króla otoczonego starszyzną wojskową. Od niego

ciągle biegli posłance i powracali. Prowadzono mu pochwytych ludzi, języki. Ciche obozowisko szumiało teraz jak morze wiatrem rozkołysane, a w szumie tym było coś uroczystego, bojowego i niemal wesołego. Mnóstwo tych pomieszanych głosów zlewało się w jeden chór gorący, ponad którym hu- czało: „Do koni! Do broni!” — Szlachta, która wczoraj się naradzała, jak przeciw królowi stanąć z grawaminami, zawstydziała się a krew też w niej zagrała.

— A już wolę raz bić się i skończyć, niż tu na zielonej paszy czekać zmiłowania bożego, gdy tam w domu nie ma komu owsa posiać i tataraki — wołano.

Wszyscy teraz do wozów po najlepszą broń sięgali, a szable krzyżem świętym znaczyli.

Niektórzy jakimś starodawnym obyczajem stroili się do boju, w co mieli najlepszego.

— Boć to święto dla żołnierza — mówili.

Nawet w ciury duch wstąpił, bo i te latały jak oparzone, nie wiadomo, przestraszone czy rade.

Pułki, którym najłatwiej się było wybrać i ustawić już na placu, stawały z chorągwiemi, które wiatr z lekka unosił. Gdzieniedzie troskliwi o siebie jeszcze popuściwszy pasów i rzemieni, zajadali, zapijali na zapas, bo nie wiadomo było, kiedy znów się do misy dobiorą. Zapijano na pohybel rebelizantom. Tu i ówdzie wyrwał się okrzyk głośniejszy i milknął.

Król był w ciągłym ruchu, dojeżdżał do regimentów, przemawiał do nich, powracał. Dziwili się teraz wszyscy, jako się nie domyślili ordy albo zaspali te łuny, które nocą na wszystkie strony widać było. Czeladź teraz świadczyła, że już drugą noc na niebie się coś paliło z daleka. Na pierwszy odgłos z rana Wiśniowiecki i Lubomirski wysłali podjazdy, pierwszy Kozaka swego, wiernego Zaradę ze czterema starymi i doświadczonymi Kozakami, drugi jakiegoś pułkownika, który sływał z tego, że z podjazdu nigdy z próżnymi nie wracał rękami. Przyprawdzili oni czterech ujętych Tatarów. Orda stutysięczna o mil dwie nocowała.

Król przed obrazem Najświętszej Panny Chełmskiej poszedł się pomodlić.

Gdy się to w obozie działo, nie opodał na wzgórzu czeladzie spokojniuteńko trawę dla koni kosiły, nie spodziewając się, aby im kto przeszkodził, gdy tuż z zarośli poczęły się wrywać krzyki i pokazali luźni Tatarowie. Z początku było ich kilku rozpierzchłych, potem coraz więcej. Stawali i wyzywali. Pomieszane między nimi kozactwo wołało:

— Do tańca prosim! A co? Nóżki bolą! Strach! Chodźcie do tańca!

Ciury i nie ciury ruszyły, by się bić, ale Zamoyski, strażnik koronny, z rozkazu króla surowo zabronił, aby się nikt wrywać samopas nie śmiał. Trwało to krótko, bo gorącej krwi młodzież w miejscu stać

zmuszona rwała się, widząc podjeżdżających tuż i naigrawających się pohańców.

Jeden szczególniej Tatarzyn na srokatym koniu, z arabskim dzerydem, którym nad głową wykrzykując wywijał, wszystkim dokuczył. Zaczęli się Zamoyskiego prosić, aby kto lepszego konia miał, a ufał sobie, mógł naprzeciw pojedynczym zwijającym się po polu wybieżeć. Zezwolił król. Nuż z szeregów zaczęli się ochotnicy wrywać ku pohańcom i utarczki pojedyncze wszystkich oczy zwróciły.

Wtem stojący przy królu stary rotmistrz Kłodziński powiada: — Baczyć trzeba na omen, bo Tatarowie w to mocno wierzą, gdy pierwszy z nich padnie w bitwie, na którą stronę twarzą się pochyli, ta pewno przegra. To im serca albo dodaje, albo ujmuje.

Ledwie wyrazów tych domawiał, gdy ów na srokatym koniu z dzerydem ścierać się począł z ogromnego wzrostu wojakiem już niemłodym, który na niego gwałtownie się puścił z gołą szablą tylko i szczęśliwie go impetem na ziemię obalił tak, że głową ku Tatarom się przewrócił.

Wśród dziczy krzyk i wisk się dał słyszeć okrutny i ze wszystkich stron z zarośli poczęli się wymykać na pomszczenie zabitego jezdni, jak z uzbrojenia widać było, znaczniejsi murzowie i dowódcy. Ale i tym się nie szczęściło, bo ich kilku pochwycono, kilku raniono i zabito. Coraz większe wrzaski od strony tatarskiej się wszczęły i już nie pojedynczo, ale szeregami wysunęli się na wojsko wprost i to na lewe zaraz skrzydło według zwyczaju dlatego, że im z łuków wygodniej strzelać z tej strony.

Wojsko stało jeszcze, jak rozkazano, murem, tylko wiatr zerwawszy się chorągwiami nad nimi szeleścił. Serca biły, ręce drżały do boju. Spoglądano na króla, który stał zadumany, jakby godziny od Boga natchnionej czekał. Aż przyskoczył Koniecpolski, którego serce rycerskie dłużej wytrzymać nie mogło.

— Najjaśniejszy Panie, do nóg waszych z prośbą się skłaniam, na zasługi nieboszczyka ojca mojego, pozwólcie mi pierwszemu wystąpić na nich, pozwólcie! Dnia dosyć upłynęło, a ta dzicz się urąga.

— W imię Boże, mości chorąży — odparł Jan Kazimierz i ręką znak krzyża świętego uczynił w powietrzu. Tuż stojący Lubomirski pośpieszył z tym, aby mu powinowatego było wolno posiłkować. Ledwie się to rozstrzygnęło, gdy trąbki zagrały i pułki Koniecpolskiego z Lubomirskim puściły się na Tatarów, których już nie kupka, ale tłum, ćma, nieprzeliczona moc ściśnięta parła na nie. Ale jak o mur się dzicz rozbiła, raz i drugi, tyle tylko że nawałą coraz większą ciężyla i parła.

Koniecpolski z Lubomirskim ani ruszyli z miejsca, na którym się z nimi spotkali: Gąszcz taka zbiła się w jedną bryłę tam, gdzie walczone, że tylko po chorągwiach chwiejących się w powietrzu rozeznac było można, gdzie się dzicz znajdowała, a gdzie pułki.

Nie wyzywali pomocy mężnie się ścierający, ale ich tak samych na długi bój uparty ważyć się nie godziło, gdy podstatkiem było posiłków.

Nawet pospolite ruszenie, które na odwodzie postawiono, poczęło się rwać i wołać, aby im tatarskiej krwi skosztować dano. Rzucił się więc na sukurs pierwszy hetman polny i padł na skrzydło ordy mocą taką, że ją skrusił, choć nie ustąpiło z placu jeszcze, za nim Jeremi Wiśniowiecki puścił się z Kozakami swoimi i zwykłym szczęściem, a że się ustąpieniem pułków odkryły pospolite ruszenia, krakowska, sandomrska, łęczycka i ruska szlachta poparła też za przewodcami. — Albośmy to gorsi! — Zmusili prawie wojewodów swych i popędzili.

Król patrzył. Nie było ci w tych ziemiach i powiatach ani szyku, ani ładu jak w wojsku

ćwiczonym, ale za to gorącość wielka i szło to jak wicher i burza, z wołaniem, ze wrzawą i impetem, drudzy Tatarowie. Więc było patrzeć na co teraz, bo Tatarowie, co się tak zrazu ochoczo stawili, a wyzywali i wiskiem a śmiechem wołali ku sobie, gdy ich nabito kupę, że się trupem wałem położyły, zgięli się naprzód, połamali, az i pierzchać zaczęli. Z dala widać było, jak końskie ogony, które nad nimi miasto chorągwi powiewały, ku lasom się zawracać poczęły; toż i owa tłuszczą pierzchnęła. Wsiadł dopiero Koniecpolski na nich i ciąć począł, a napędziwszy w nizinę i błoto, gdzie z grzęzawicy się dobyć było trudno i ucieczką salwować, nasieknął ich moc wielką.

Poczytało się zmierzchać, gdy na równinie przed królem Tatarów i zmieszanych z nimi

Kozaków nie stało, tylko pstro się na polu z dala wylęgały trupy, między którymi też i mężnych ze strony polskiej dosyć było, ale Tatarów dziesięć razy tyle. Można się było tym cieszyć, bo pierwsze spotkanie dla wojska wiele znaczy, i król też Bogu dziękował a swoim dowódcom.

— Niczym to jest jeszcze — rzekł chłodno powracający właśnie Jeremi Wiśniowiecki —

początek i próba. Teraz dopiero, gdy przyjdzie do walki, stanowcza ona być może. Kozacy tak prawie jak nie występowali, choć patrzeli i podbudzali. Jutro lub pojutrze stanowić będzie, ani spać, ani się zbytnio zwycięstwem cieszyć nie pora. Czujności trzeba!

Rada to była zdrowa i dobrze przyjęta, ale jak umysły wszystkie przeciw Jeremiemu i

bohaterstwu jego zazdrośnie się stawiały, tak i to jego wystąpienie drudzy strofowali po cichu, że nauk jego nie potrzebowano. Król przecież, choć może toż samo czuł, żadnej po sobie nie okazał urazy.

W obozie czaty rozstawiwszy, ledwie tej nocy spoczynku kto zażył, a większa część ani

myśląc się rozbierać i kłaść do snu, przesiedziała oną krótką noc pod namiotami przy kubkach na rozmowie. Około Księskiego też przyjaciół się zebrało dosyć; ale ten, co zawsze wesołej myśli bywał i nawet na placu już dowcipkował a żarty stroił, był dziwnie ponury i milczący.

— Staszek — wołał na niego stary Węgorzewski — ja, jak Boga kocham, nie poznaję cię.

Co ci to jest?

— Co mi ma być? — odparł Księski. — Nic, tylko pomyślałem sobie, że my żołnierze

nieopatrzeni jesteście, a to mi z tego przyszło, że z rana dziś jeszcze z Jordanem Ligęzą swawolił, a oto nam go nie stało. To nic, ale słyszę, majątność zostawił taką, że się o nią za łby drzeć będzie rodzina, a palestra się nią więcej pożywi niż ona. Każdy z nas za pazuchą testament nosić powinien, a ja go nie sporządził.

Aż się za boki wziął Węgorzewski.

— Cóż bo tobie na myśli! — zawołał. — Małośmy się to nawojowali razem, a nikomu z nas testament ani przez głowę nie przeszedł. Pluńże...

Księżki ręką powiódł po czole.

— Głupia rzecz, przed bitwą o testamencie prawić — rzekł — ale co ty chcesz? Nie człowiek myślą rządzi, ale ona człowiekiem. Albo ja wiem, skąd mi ona przyszła? A uwija się, burczy we mnie jak mucha natrętna w upały.

Ręką zamachnął.

— Zapijmy tę sprawę. — I tręcili się kubkami z Węgorzewskim.

Przychodzili co chwila inni, bo mało się komu spać chciało. Przyniósł jeden wiadomość, że Wojciechowi Męczyńskiemu Tatarzyn czaszkę obciął tak, że prawie mózg obnażył, ale mimo to doktor królewski Baur obiecywał, że go przy życiu utrzyma, a król się oświadczył choćby złotą mu sprawić misiurkę.

Nade dniem już Kozak zbiegł do obozu od Bohuna z nową powieścią, którą wprost z

królewskiego namiotu przyniósł tu Zahajski. Powiedział on, że po porażce zaraz, gdy się Tatarowie cofnęli, kazał chan po Chmielnickiego posłać, pod straż go wziąć i gdy do namiotu jego przyszedł, napadł na niego bardzo gwałtownie.

— A toś mnie zwiódł i oszukał! Ale gardłem to przyplacisz. Prawieś mi, że Polacy sił nie mają, że mało co pułków ściągnęli, a pospolite ruszenie nie przyszło. Było dziś popatrzeć na równinę i obóz ich. Toć ćma ich ogromna, my im nie podołamy, nabili nam ludzi. Najlepszych murzów potraciłem.

Chmiel miał na to mu odpowiedzieć:

— Wszystko to nic. Czekaj. Rozpierzchnie się ten tłum i porozłazi, bo oni długo wytrwać nie umieją. Dopóki w obozie jeść i pić mają podostatkiem, póty ich buty; przyjdzie głód i niedostatek skłóca się z sobą i króla porzucą. Chyba nie wiesz o tym, że trzy dni temu z królem się już kilka pułków, zwaśniło i precz odeszło od niego. Będzie to i z innymi. My ich lepiej znamy.

— O, o! — zawołał Księżki. — To dopiero Chmiel nas zna! Nie darmo drudzy powiadają, że w nim kawał szlachcica polskiego siedzi i że się dla Kozaków czyni chłopem, choć nim nie jest.

Patrzajmyż, abyśmy mu nie dali odgadnąć się, a tak nie uczynili, jak prorokuje.

— Zasię! — odparł Węgorzewski. — Nie może to być. Krwi powąchaliśmy, a ona upaja i krzepi. Spory na potem odłożymy, gdy się na sejm zbierzemy.

— A ja za nic nie ręczę — przerwał jeden ze Stadnickich, który się rozmowie przysłuchiwał. — Już oto dziś przeciwko Jeremiemu Wiśniowieckiemu drudzy sarkają, radzi by go od wszystkiego odsunąć, aby jeszcze większej sławy nie nabył, a króla z niej nie odarł.

— Boże miłosierny — zawołał Księżki — jakby nam tu o sła- wę chodziło, gdy

Rzeczpospolitą ratować trzeba, która dla niezgod naszych zginąć może!

Tak samo, jak pod tymi namiotami starszyny, całą też noc u króla deliberowano, to języka nowego dostając, to przyszłe układając plany.

Radziejowski też nie pozostał beczynnym, ale do rady wojennej go nie potrzebowano i do niej się też nie przydał ani miał prawa. Jego to sprawą owe trzy pułki poszły do domów, a teraz z zawiścią patrząc, jak się wszyscy około króla kupili i nawet stary Potocki i Wiśniowiecki słuchać go byli gotowi, nosił się od jednej gromadki do drugiej, pstrykając ciągle tym, iż król nadto sobie ufał, żadnego doświadczenia w rzemiośle wojennym nie mając, a uporem swoim mogąc narazić Rzeczpospolitą na zgubę. Zręczny człek na razie tym się podpierał, że gdyby nie hetman Potocki, który króla w kaplicy pochwywszy, uprosił i zaklął, ażeby się z miejsca nie ruszać, wojsko by było tego dnia wyciągnęło i właśnie na grzędawicach i moczarach przyszłoby mu z Kozakami i Tatarami się ścierać.

— To łaska boża — powtarzał chodząc po szlachcie — iż go stary wódz wstrzymał, a że mu to niełacno przyszło, jam świadkiem, bo go niemal po rękach całować musiał.

Tak prawie noc całą, przechadzając się, u siebie przyjmując, strawił gniewem i zemstą rozzarty podkanclerzy, na króla wszystkich jątrząc.

Dzień się poczynał robić dosyć pogodny i jasny, a właśnie przypadała uroczystość śś. Piotra i Pawła, gdy u króla jeszcze na nowo rada się zebrała, na którą i Radziejowski się wcisnął, nie żeby jej co przyniósł, lecz żeby co stąd wykradł a spożytkował.

Jeremi Wiśniowiecki, który naturę Tatarów znał, powiadał, że dopóki uciekać nie poczęli, a stali, póty się zawsze od nich wielkiego a gwałtownego impetu i napaści spodziewać było można.

— Mnie się zda — rzekł król — iż wczoraj dosyć nieszczęśliwie się z nami spróbowawszy,

dziś chyba całych swych sił nie wyprowadzą w pole, a na małych poprzestaną napaściach, aby nas niepokoić. Jeślić prawda, co Kozak przyniósł o Chmielu, posłuchają go i będą leżeli, a czekali aż...

Nie dokończył — tylko wetschnieniem. Wtem Kalinowski dodał:

— Najjaśniejszy Panie, Tatarom leżeć cierpliwie w miejscu czy to wojsko, czy zamek

oblegając, rzecz nieznośna. W miejscu długo trwać nie umieją ani mogą. Przechodzą jako burza niszcząca, a odparci tak samo znikają, że ich napędzić trudno. Zda mi się, że i dziś siła ich na nas się zwali.

Król stał przy swoim.

— Zobaczycie!

Wszelako pułkom w pogotowiu być kazano.

— Do stanowczej rozprawy nie przyjdzie może dziś — dodał Kalinowski — bo na

Kozaków jeszcze w pomoc ciągnących czekają, a ci dziś chyba wieczorem tu staną.

Więc radzili wszyscy, aby lewe szczególnie skrzydło gotowym było odeprzeć napaść niechybną. Jeszcze o tym u króla rozprawiano, a duchowni jeden po drugim msze święte odprawiali, gdy o Tatarach dano znać: „Ciągną!”

Widok był jakiego może w żadnym na świecie wojsku nikt nie baczył podobnego. Tu już

trąby i kotły wołały do szeregów i na plac, a na pagórku roіło się od pobożnych, którzy w pełnych zbrojach, szyszaki tylko zdjąwszy, z rękami złożonymi do komunii przystępowali; inni szli do spowiedzi, a i takich się znalazło dosyć, co na ziemi krzyżem rozciągnięci leżeli. Kapłanów dosyć ledwo mogło nastarczyć tym, co się do nich cisnęli. Więć jak kto stał i mógł, spowiadał się i spowiedź przyjmował. Niektórzy z księży przysiąść mogli; inni stojąc pochyleni penitentów odprawiali, których całe szeregi czekały na komunię świętą. Uderzywszy się w piersi, a sumieniu ulżywszy, odchodzili potem każdy z wesołą twarzą, jakby ciężaru z ramion pozbył się, z męstwem podwojonym, z ufnością wielką.

A choć tatarska dzicz już na skrzydło hetmana polnego uderzyła i bój się zacięty poczynał, na wzgórzu msze święte wychodziły jedne po drugich i nabożeństwo a pieśni nie ustawały. Król już był na koniu.

Pierwszy, u Tatarów zawsze najsilniejszy napad, któremu wiski i wrzawa z chmurą strzał

gęstą towarzyszyły, hetman polny tak wytrzymał, że się ani ugięły szeregi. Tuż stał pułk Szczawińskiego, Brochockiego, brzesko-kujawskiej szlachty, która też mężnie wytrzymała, aż Lanekoroński w sukurs jej pośpieszył.

Z góry patrzący tam, gdzie walczone, rozeznać już nic nie mogli, tak się zwarto. Tatarowie by może odpierani pierzchnęli swym obyczajem, ale chan i Kozacy z tyłu ich cisnęli, odwrót zatamowawszy

umyślnie, tak że bić się musieli radzi nieradzi, a gąszcz na pobojuwisku była taka, że jeden drugiego cisnął i szablą nawet robić było trudno. Nawąła na lewe skrzydło była nieprzeparta, bój zajadły, tak że Lanckorońskiemu wkrótce na pomoc i hetman polny z resztą swych pułków i księżę Jeremi, i husarze królewscy z kopiami, i hetmański najlepszy pułk Potockiego, i pułki Sobieskich pójść musiały. Tu się, oczywiście, losy ważyły, bo gdyby złamali Tatarowie szeregi, całą swą niezliczoną ciałą byliby na obóz się rzucili.

Król z dala wytrwać nie mogąc, choć go wstrzymywano, konia wspiał i puścił się na lewe skrzydło.

Cztery godziny trwał krwawy bój, a nie tylko że Tatarzy nie ustępowali, ale cisnęli tak przemożnie, iż pułk hetmański Potockiego na wpół uszczuplony zeszedł z placu, a nawet chorągiew stracił, którą Brzostowskiemu chorążemu z rąk wydarto.

Król, który jej z oczów nie stracił, krzyknął z bólu wielkiego i choć go dodani dla

bezpieczeństwa stróże nadbiegli z Kłodzińskim pochwycić i wstrzymać usiłowali, nie dał się ująć, aż do placu boju docierając. W sam też czas się to stało, bo część szeregowych przełamana cofać się poczęła, gdy wśród siebie króla postrzegła.

Król wołał podnosząc ręce:

— Naprzód! Naprzód! Na Boga i na Ojczyznę zaklinam was! Co życie warte ze sromem,

obróćcie się ku nieprzyjaciołom! Posiłki idą. Przełamać trzeba, choćby przyszło ginąć! Jam też życie dać gotów.

I głos ten królewski i wysiłek nowy na ostatek szalę na stronę walczących chorągwi naszych przechylił. Poczęli się mieszać Tatarowie i pierwsi naprzód z kraju piechrzeli. W pośrodku wielkiego ścisku, dopóki ich szable nie przerzedziły, jeszcze się opierali, ale i tu już zamieszanie się wzięło, ucieczka poczynąła. Dopieroż i walczącym serce urosło. Stali trochę Kozacy podpierając chańską ordę, lecz gdy się ta rozsypywać zaczęła i oni tył podali.

Pułki polskie hamować już było potrzeba, bo znany to jest tatarski wojenny podstęp, iż gdy nie zmożą nieprzyjaciela, symulują ucieczkę, a wywiódłszy w pole rozpiechrzłego, dopiero się nazad zwracają impetem nowym, a że pagórek ucieczkę ordy zasłaniał, za którym tabory kozackie stały, puszczać się więc daleko nie mogły ani reszty hetmańskiego pułku, ani husarze królewscy, którzy mężnie się bili, ani Lanckoroński i Szczawiński. Trąbiono, aby w miejscu pozostali, choć za straconą chorągwią Brzostowskiego, o której nie wiadano, że odzyskaną została, gotowi byli iść choć w paszczę tej dziczy.

Z tą zaś chorągwią jaka była przygoda, tego później nikt ani opowiedzieć, ani zrozumieć nie mógł. Brzostowski, który ją niósł, silnym był, a odwagi znacznej, ale mu się w tym tumultcie, gdzie się obrócić było trudno, z rąk wysliznęło drzewce. Pochylił się, aby upaść jej nie dać, gdy go w kark Tatarzyn ciał i porzecz z drzewcem razem nie do rąk jego, ale na ziemię się dostał, gdzie go nawet

końskimi kopytami tak stratowano, że się stał do łachmana podobnym. Brzostowski, choć cały krwią oblany, z miejsca się nie dał ściąć, aby nie stracić proporca, bo potem na pobojowisku odszukać by go było niepodobna. Padł więc dobrowolnie, a w tym i krwi utraciwszy wiele, przytomność stracił, że go zaś nie stratowano i nie zgnieciono, osobliwszy w tym cud był.

Już tedy i jego, i chorągwi stratę opłakiwano okrutnie, gdy na pobojowisko z Tatarów

oswobodzone pobiegły ciury, jak to ich obyczaj, trupa odzierać. Tu sługa Brzostowskiego pana swojego, nie po twarzy, ani ze statury, ale po ostrogach osobliwych poznał i litując mu się, że jeszcze w nim ducha trochę zostało, wziął go na nosze z innymi do namiotu. A ściągając go z ziemi, o chorągwi nie myśleli, bo ją za straconą miano. Przyniesiono tak chorążego do namiotu i na łożu rozciągnięto, a król Baura mu przysłał, żali życia uratować nie potrafi. Gdy go ze zbroi, porozcinawszy rzemień, z kaftana i odzieży oswobodzono, okazało się, że w rękach zgrabiały coś cisnął, a była to chorągiew owa stracona, którą on nieprzytomny na ziemi snadź poczuwszy, jakimś cudem przygarnął pod siebie i już jej nie puścił. Całą potem krwią jego zbroszoną, błotem zmazaną, poszarpaną postawiono przed namiotem, której reszta pułku, bo go dużo wyginęło, niezmiernie się cieszyła.

I tej też nocy pomimo znużenia wielkiego, nie było w obozie spoczynku. Król, wszyscy

hetmanowie i co było starszego żołnierza na radę powołani, utrzymywali, że nazajutrz do walnej bitwy przyjść musiało. Zgodni byli wszyscy, o to tylko Pana Boga prosząc, aby nieprzyjaciel porażony serca nie stracił i nie uszedł. Wy- słane szpiegi przyniosły już późno w noc, że Kozacy się okopywali za wzgórzem, a orda rozłożona taborem spoczywała.

Król tego dnia kilka razy tak się z rąk straży swej wyrywał niecierpliwie i w sam bój z niebezpieczeństwem życia rzucał, że tu zgodnie też wszyscy postanowili prosić go, aby jako naczelny wódz siebie oszczędzał. Ale widziano go ciągle tak rozognionym, iż sobie o tym mówić nie dawał, zwłaszcza gdy po przełamaniu Lanckorońskiego udało mu się już pierzchających zawrócić. Chciano, aby Jeremi Wiśniowiecki z tym do króla wystąpił w imieniu innych, ale stary wódz odmówił, bo się obawiał, aby fałszywie kroku tego zawiści nie przypisywano. Ani Potocki, ani Kalinowski, ani chorąży Koniecpolski, który u Jana Kazimierza zachowania miał dosyć, nie podejmowali się go hamować. Postanowiono więc duchownego uprosić, kanclerza Leszczyńskiego, który musiał po radzie z prośbą do króla przyjść w imieniu wszystkich.

— Najjaśniejszy Panie — rzekł — wszyscy my jako wodza i głowy całość twą najwyżej

szacując, błagamy cię, abyś w boju nie stawał jak dziś. Wodzom się to nie godzi, bo ich rzeczą nie ręką, ale głową wojować, a głowa ich za tysiące rąk starczy. Duchowny jestem, kapłańską radę daję, ale mnie też wojskowi poprą. A i przykładem poprzedników mogę poprzeć prośbę nasze.

Wiadomym to, iż pod Grunwaldem Jagiełło, przodek Waszej Królewskiej Mości, na wzgórzu stał, a choć się do boju napierał, nie puszczono go, ani błogosławionej pamięci ojciec Waszej Królewskiej Mości w bitwie z rokoszany sam udziału nie miał.

Król był od dwóch dni w takiej ciągle gorącości ducha, że się niemal za tę radę na

Leszczyńskiego obraził i bardzo szorstkim głosem mu odpowiedział:

— Mój ojczy, kapłanem jesteś, sam rzekłeś, nie wdawajże się w rycerską sprawę. Wiem ci

ja, co wodzowi przystało, bo są momenta, gdy musi hetmanem być, ale przychodzą i takie, kiedy żołnierzem być serce każe. I ja też żyć z żyjącym rycerstwem moim, umierać z umierającymi pragnę. Niech żołnierz widzi przed sobą wodza i króla, to najlepszy zakład zwycięstwa. On jeden może podźwignąć ducha i wlać męstwo. Kula znajdzie wszędzie winnego z dopustu bożego i tak mnie z dala stojącego dosięgnąć może, jak w tłumie oszczędzić. W tym ja niczyjej radzie posłusznym być nie mogę.

Zatem się nikt już odzywać nie śmiał. A to pewna, iż ci co cały bieg życia Jana Kazimierza znali i najbliżej niego stali, drugiej takiej chwali, jak owa była, nie pamiętali. Wszystko męstwo swe i rycerskiego ducha w tej godzinie wyczerpał. Hetmanom czuwającym nad bezpieczeństwem osoby jego nie pozostawało nic, tylko mu dać do boku ludzi i straż taką, na której by nieustraszoną odwagę i przytomność spuszczać się mogli, sami czuwać nad nim nie mając czasu. Więc do osoby samej wyznaczono Kłodzińskiego rotmistrza, Głogowskiego, podstolego nowogrodzkiego i

Samuela Nadolskiego, starostę krzewskiego, bo więcej ich przy sobie mieć nie chciał. Chorągwie zaś, co przy królu stać miały, pościągano z samego wyboru ludzi z pułków różnych, a cisnęli się do tych elierów radzi wszyscy; ale surowy zarządzone wybór, aby mąż w męża byli godni tego zaszczytu. Komendę też nad tą chorągwią powierzono zaufanym. Wszyscy już tej nocy na dzień następujący na pewno rozprawy się spodziewali.

Onemu jowialście Księżkiemu wieczora tego humor i rażność a wesołość wróciły, ale się

chlubił tym, że testament napisał, opieczętował i świadków sobie do niego dobrał. Śmiano się z niego. Tęsknił też za siostrzanem, mając mu za złe, że do Warszawy pojechał i przepadł tam jak kamień w wodzie.

Tej nocy kto by obóz obchodził, a przypatrzył mu się, nauczyłby się z niego, jako żołnierz swoje dołę przeczuwa i naprzód ją widzi. Nie było bowiem człowieka, co by bitwy nie przewidywał

i nie gotował się do niej, choć każdy umysłem innym. Modlili się jedni i pamięcią do domów biegli, do żon i dzieci, inni śpiewali, pili i stare opowiadali dzieje. Wszyscy jednak zarówno pragnęli tej godziny stanowczej, a szczególniej pospolite ruszenie, któremu, choć na męstwie nie zbywało, ale wytrwałości brakło. Tu też najwięcej siano niechęci przeciwko królowi i hetmanom i najlepiej się podkanclerzemu siejba wiodła.

Miał już pomoc tego, którym się najlepiej posługiwać lubił, nieocenionego Marcina

Dębickiego, podczaszego sandomierskiego, który tym tylko żył, aby wszystkim na przekorę i na mękę gardłował, a im kto wyżej stał, tym podczaszemu milej było do niego sięgać kamieniem.

Człowieka tego nic rozbroić nie mogło: ani poświęcenie, ani ofiarność, ani zasługi. Obrońca swobód widział wszędzie czyhających na nie i już bytność jego czuć się dawała w obozie.

Pospolite ruszenie, jeszcze prawie nie ruszywszy się, wołało, że chce iść z powrotem do domów, że dłużej nad dwa miesiące król go w polu trzymać nie miał prawa. Mogła sobie ginąć Rzeczpospolita, ale szlachcica z jego zapiecka, od ciepłego piwa z grzankami wyciągać się nie godziło. Byli Niemcy zaciężni, kochał ich król, otaczał się nimi, niechajby oni bronili jego i kraju.

Takie to głosy niepocziwe w przededniu boju sieli Radziejowski i Dębicki po obozie, na województwach i one im do przekonania trafiały. Raz już o mało nie wybuchnęły przy przeprawie u Styru. Ledwie je zażegnano, teraz warczały coraz głośniej i przewidzieć było można, że wkrótce jako płomień stłumione buchną i wszystkie ziemie ogarną.

Mówiono już o tym wojewodzie ruskiemu Jeremiemu. Stał, a słuchał zdrętwiały.

— Bogdaj by tego sromu i hańby nie widziały oczy moje! — rzekł. — Jeżeli się to stać ma, aby opuścili króla i nas, lepiej zginąć, aby tego nie doczekać.

Rozdział VI

W stał ten dzień walki stanowczej, zrazu jasny i pogodny. Wiatr z tyłu niósł spod kopyt końskich, pył wzbity ku stronie, od której miał się nieprzyjaciel ukazać.

Na szerokiej równinie przyparty do małej miejsciny Leszczyńskich, Beresteczka, obóz się rozkładał pomiędzy rzeką z jednej a moczarami i zaroślami z drugiej strony. Z miasteczkiem przez rzeczułkę oblewającą je łączyły dwa umyślnie wzniesione mosty.

Na pobojowisku, jeszcze niespełna oczyszczonym z trupów po walkach dwudniowych,

ziemia kopytami końskimi poryta była jakby świeżo pooraną rolą. Trzecią to noc wojsko nie spoczywało prawie. Z prostego żołnierza usnął może który na jaką godzinę, snem znużony, ale z dowódców nikt oka nie zmrużał.

Mówiono, że król trzecią noc żelaznej koszuli trójnitowanej nie zrzucał. Konie mu

zmieniano ciągle, bo wydołać nie mogły — on wytrzymywał. Była to chwila w żywocie jego, która mogła o przyszłości rozstrzygnąć, gdyby fatalność, nie — wola boża nie postawiła słupów i nie rzekła: — Nie pójdziesz dalej! — O świcie król do spowiedzi i komunii przystępował i tego dnia za jego przykładem do Stołu Pańskiego cisnęły się tłumy.

Tymczasem pułki się szykowały do boju wedle postanowionego w nocy na radzie planu.

Król i wódz zajmować miał środek między dwoma potężnymi skrzydłami. Około niego i za nim skupiały się doborowe chorągwie pod dowództwem Kazimierza Tyszkiewicza, cześnika

litewskiego, Jakuba Michałowskiego, Janusza Wessla. Chorągwie nieśli Michałowski i

Jędrzejowski. Tu stały działa, które prowadził Przyjemski i pułki niemieckie Huwalda, Borgemana, Fromholda, Wolfa, Weyera, Radziwiłła, Denhoffa i innych. Za nimi stały szczupłe posiłki księcia

pruskiego: dragonia, kilkaset ludzi, Grudzińskich i Leszczyńskich regimienta, a na ostatek szlachta województwa sieradzkiego, łęczycka i brzesko-kujawska oraz ludzie księcia Karola, biskupa wrocławskiego.

Prawym skrzydłem dowodził stary hetman Potocki, pod którym, byli Stefan Czarniecki i

Adam Kazanowski. Tu stały pułki Lubomirskich, Lanckorońskich, Sapieżyńskie, Sobieskich i chorążego Koniecpolskiego. Na lewym skrzydle dowodził Kalinowski, a z nim stali książę Dominik Zasławski, Ostrogscy, Wiśniowiecki, Zamoyski

Wreszcie w odwodzie były ostrogskie ordynackie chorągwie i szlachta ruska i lubelska.

Wszędzie pospolitego ruszenia oszczędzając, stawiano je w dalszych rzędach, na co

niektórzy szemrali, a drudzy znów mówili: „Kwarciani płatni są, niech na pierwszy ogień idą!"

Ze szlachty wszystkiej celowała duchem i postawą sandomierska, choć i innym

województwom nie było można zarzucić nic, gdyby w nich rebelia się nie wykluwała.

Husaria zażyła fortelu wychodząc z obozu, bo spróbowałszy kopii, że na Tatarów z nimi

ić nie przystało, gdyż w boju z motłochem broń taka niedogodna, a za ciężka, utkwili rzędami wszystkie w ziemię tak, że z dala gdy wiatr porporcami gęstymi powiewać zaczął, można było je wziąć za stojące wojska szeregi.

A musiało wojsko mieć wielką i groźną postawę, gdyż chan na wzgórze wyjechawszy, jak

później jeńcy świadczyli, a rzuciwszy okiem na równinę całą szyszakami i zbrojami połyskującą, za głowę się pochwycił i z największym gniewem do Chmielą się rzucił, zadając mu oszukaństwo a zgubę swą. Przypomniał mu słowa jego, którymi go wywabił z ordy, że Kozacy Polaków jako pszczoły w ulu podkurzyć mieli, a Tatarom ino było miód podbierać.

A i kozactwo też, które sobie pospolite ruszenie od Zborowa za nic miało, postrzegło, że na ten raz niełacno było siłą zebraną pożyć. Na chwilę Chmiel i Bohun strwożyli się szczególnie tym, że Tatarzy nie chcieli ruszać.

Tymczasem ze strony polskiej gotowano się do rozegranej. Otwinowski, który królowi jako tłumacz towarzyszył, ukazał mu znak chana, trzy zielone ogony końskie, które oni zowią

buńczukami. Pobiegł z rozkazem pocztowy do Przyjemskiego, aby z działa na to miejsce, gdzie stały, ognia dawał, a poszczęściło się tak za pierwszym ogniem, że kula padła niedaleko chana samego, buńczuczego chańskiego zabiła, buńczuk zielony obaliła, i chan przestraszony zbiegł w tył, a stanął z dala.

Ażeby dodać wojsku serca, zarazem we wszystkie trąby, kotły, surmy uderzono, z dział

ogień poszedł po całej linii i pieśń bojowa się rozległa. Z przeciwnej strony oprócz wisku nie słyhać nie było, a i ten nie mógł zagłuszyć wrzawy i huku ze strony króla się rozlegającego.

Mało się co zawahawszy, Galga i Nuredyn, pułkownicy tatarscy tym razem nie na lewe, ale na prawe się skrzydło puścili, pewnie z porady Kozaków, którzy je słabszym sądzili dlatego, iż Polacy obyczaj tatarski znali i tu się ich nie spodziewali. A że ordzie jakoś serca brakło, Kozacy się z nią zmieszali, taborem idąc i wozy za sobą mając łańcuchami powiązane.

Drudzy zaś naprzeciwko lewego skrzydła do boju się gotowali, a tu Jeremi Wiśniowiecki z Denhoffem, starostą sokolskim stojący, do króla posłali, prosząc o ordynans, aby się im pierwszym z kozactwem potykać było wolno.

Na Jeremiego też wszystkie oczy obrócone były, bo w całym tym wojsku potężnym nie było

drugiego, który by się jak on sławy dorobił zwycięstw nad rebelizantami. A było w jego postawie, twarzy, wejrzeniu takiego coś, co przyciągało wzrok, budząc poszanowanie i trwogę. Twarzy nie miał pięknej, płeć ciemną, opaloną i niewczasami zarumienioną, wejrzenie przenikające, postawą też nie odznaczał się olbrzymią, ale pańskiego i hetmańskiego coś miał, że i milcząc rozkazywać się zdawał. I przeto go ludzie nie lubili, a zazdrościli mu, gdyż nikt oprócz się nie miał siły. Nigdy też namiętności nie okazywał, chyba w boju, gdy jako żołnierz z szablą padał na nieprzyjaciela, w powszednim życiu spokojny, acz żelaznej woli. Ten zwyczaj miał, że do bitwy zbroi nie kładł, lecz jechał w pospolitej sukni i łosiowym kaftanie, co także raziło tych, co się żelazem obciążali od stóp do głów.

Zaledwie ordynans przywieziono Jeremiu, gdy szablę dobywszy, a na pułki swe

skinąwszy, puścił się prowadzić je na Kozaków. Denhoff za nim, aż się ziemia zatrzęsła od kopyt końskich.

Król na swoim tarantowatym koniu, osłonięty nieco płaszczem na wzgórzu stał, do

przeciągających pułków błagalnym niemal głosem przemawiając:

— W imię Boże, za ogniska wasze, za wiarę świętą, za kościoły — idźcie, a walczcie, sławę mężnych ojców waszych odżywiając, którzy tę Rzeczpospolitą wielką i głośną, a straszną uczynili!

Dajmy życie dla czci naszej!

A gdy on tak wołał głosem znużonym powtarzając ciągle — Gińmy dla wiary i czci naszej

— ksiądz biskup Leszczyński obok stojący z krzyżem świętym i relikwiami zegnał wojsko i błogosławił ciągle: *Benedicat vos Deus* .

Chorągwie się pochylały, trąby grały, huczały działa, a zza mgły, która po jasnym poranku spadła była na dolinę, słońce się znowu wydobywało jasne.

Na placu boju już się nieco mieszało, bo Nuradyn na brzesko--kujawskie i oboźnego

koronnego pułki padłszy z góry, impetem złamał je i wnet na lewo się przerzucił, zastępując drugie pułkom pieszym, które przeciwko Kozakom ciągnęły.

Co się dalej działo, nawet ci, co walczyli, z tego sobie potem sprawy zdać nie mogli.

Złamały Wiśniowieckiego pułki kozactwo, nadbiegli Tatarowie, ale i tych coraz świeże nadciągające pułki gniotły i odpychały.

Tymczasem król prawie odkryty stał, bo o sobie zapomniał, kula z pagórka królewski też

buńczuk zgruchotała tuż przy nim, druga i trzecia obok padły, jednak pod koniem Jana Kazimierza lecąc, wprowadzie nogi nie obraziła, ale kontuzją i ból w niej pozostawiła po sobie. Dopiero go gwałtem z tego miejsca wzięto i od- prowadzono.

W tej chwili, już późnym wieczorem stanowczo poszła orda w szaloną rozsypkę, rzucając

co miała za sobą, a żadna już siła utrzymać jej nie zdołała. Kozacy tylko, których siła nasieczono po grzędawiskach, zawczasu się okopywać zacząwszy, zamknęli się w usypanych szańcach.

Kozacy i orda piechrnęli już dawno, gdy na pobojujowisku jeszcze, lękając się zdrady i

nowej napaści, czuwali wszyscy, nikt z pola nie schodził. Króla tylko, któremu ból w nodze poruszać się nie dawał o swej sile, zsadzono z siodła, ale klął zaraz i razem z otaczającymi senatorami *Te Deum* zaśpiewano, które po całym szerokim polu rozległo się jednym wielkim chórem. Noc nadchodziła, ludzie trzydniowym czuwaniem i trudem znużeni padali jak muchy, gdzie kto stał, i zasypiali snem kamiennym, ani poczuł niejeden, że się na trupie położył. Dopiero się rozpatrywać i liczyć poczęto, kogo brakło i kto już nie miał powrócić, dopiero opowiadać, co się działo czasu tej krwawej rozprawy, z której każdy to tylko wyniósł, czego sam dokazał lub na co patrzył.

Pułki, co się za uciekającymi puściły, nie zapędzając się zbyt daleko, powoli wracały,

włokąc za sobą jeńców rannych, to wozy tatarskie, na których miasto innego łupu kozuchy tylko, opończe, łachmany i przygotowane na wiązanie polskiego jasyru łyka znajdowano.

Kozaków oddział pod Dziedziałą mężnie się wyrębując, ponad rzeczulką Pleśniową do błot

i grzędawic dopadł i już się tam na gwałt okopywać zaczynał, jak donoszono. Dalej ścigać nie miał

siły ani żołnierz, ani szlachta, z której Krakowianie i Sandomierzanie szczególniejszą walką byli znużeni.

Króla do namiotu i spoczynku na próżno chciano namówić. Nie dał się, tylko Baurowi

doktorowi swemu nogę pozwolił opatrzeć i posmarować, uparłszy się w polu razem z innymi noc spędzić. Namiocik więc od wiatru i rosy rozbito, bo deszcz, który pod koniec bitwy spadł rześisty, a pobojujowisko niemal naraz w kałużę krwawą był zamienił, ustał przecie.

Nie bardzo i posilić się czym było, bo o tym nikt nie myślał, tak że królowi miszkę jakiejś wołoskiej potrawy przyniesiono wystygłą i tą musiał głód zaspokoić. Inni kawałkiem chleba suchego i gorzałką siły wyczerpane krzepili. Nie ustawała też bieganina na pobojuwisku za tymi, których nie stawało, aby jeżeli który żyw leżał, jeszcze ratować.

Ciemno już całkiem się zrobiło, bo i na niebie chmury wiatr pędził, gdy przy blasku

poходni, które czeladź pozapalała, król przed sobą ujrzał w podróźnej opończy obmokłego i zabłoconego Strzębosza.

Zeszło się tak, iż od rana pośpieszając, a huku dział nasłuchując, teraz dopiero mógł

nadażyć, bo w ciągu dnia wymijać musiał błakające się oddziały włóczęgów kozackich i tatarskich i ledwie z życiem a pismami teraz pod Beresteczko się mógł dostać.

Król, poznawszy go, rękę wyciągnął i ucieszył się bardzo.

— Pisma dawaj! Zdrowa królowa jejmość? Dawno z Warszawy? Co przywozisz?

Pytał Jan Kazimierz i odpowiedzi nie czekając latarnią podać kazał, aby co rychlej listy czytać, przerywając coraz pytaniami nowymi, na które Dyzma, jak mógł i umiał, odpowiadał.

— Widzisz — odezwał się do niego król w końcu — Pan Bóg miłosierny dał nam,

zwycięstwo wielkie. Nieprzyjaciel w rozsypce, Kozacy popłoszeni i rozbici, choć im wierzyć nie trzeba: padali już na twarze i przysięgali.

Rozpytawszy o królową, o wszystko, co na zamku go mogło obchodzić aż do sług swych i

ulubionych stworzeń, król się obejrzał trwożliwie, chciał snadź jeszcze o kogo badać, ale się dosyć ludzi kręciło i słuchało, zamilkł więc i Strzębosza odprawił.

Ten nic pilniejszego nad to nie miał, jak Księskiego szukać, ale się pułki ruszyły tego dnia z miejsc, na których obozowały, a po bitwie padły, gdzie który stał. Regimentu więc dopytać się łatwo nie było, a i nie miał się Strzębosz z kim rozmówić, bo wojsko całe niemal krom ciężko rannych snem już zdjęte, leżało jak kłody. Gdy się tak między szeregami przedzierał Strzębosz, postrzegł chłopaka z latarnią, a za nim łatwego do poznania Węgorzewskiego, do którego

pośpieszył.

— Na miłego Boga, wy mnie pewnie objaśnicie, gdzie ja wuja Staszka znaleźć będę mógł?

Tylkom co już po bitwie powrócił.

Węgorzewski smutne podniósł wejrzenie.

— Ja właśnie za nim się oto włóczę — rzekł — i ani go znaleźć, ani nawet dopytać się bogę.

Wśród bitwy, wiem, że go podchorąży Ślązki na czas wyreczył, bo się Księżkiemu bić zachciało.

Wpadł w gąszcz siekąc zgłodniały, ale potem go już nie widział nikt. Mniej więcej miejsce mi oznaczono, gdzie się on zawieruszył. Wlokę się więc, chodź za mną, ano po drodze na każdego naszego trupa patrzeć potrzeba. Dużo naszych też leży, Boże mój, złotych ludzi, dla tej hołoty bezecnej zasakryfikowanych!

Westchnął głęboko.

Zapytał Dyzma, jak był Księżki do bitwy odziany i uzbrojony. Ale stary sobie dobrze tego przypomnieć nie umiał. Wiedział tylko, że na misiurce piórka czaple sterczały.

Straszna to była nocna wędrówka na pobojuwisku błotnistym od deszczu z krwią

pomieszanego, w którego kałużkach światło latareńki się odbijało czerwono i czarniawe. Trupy na wpół poodzierane i nagie, jedne twarzami do ziemi, z rękami rozpostartymi, drugie pokrzywione i pogięte, pojedynczo i kupkami nagromadzone leżały. Gdziekolwiek gorętsza walka się stoczyła, tam i poucinanych rąk i porąbanych członków nie brakło w błocie, a stosy ciał zwarły się tak potratowane przez konie, że jak jedna bryła mięsa sterczały. Konie i ludzie pospołu wszystko zmieszane legło. Gdziekolwiek jeszcze zwierzę dyszało lub człek konający jęczał. Drgały członki, płynęła żywo krew i zastygała, a krzepnąc okrywała się żółtym kozuchem.

Strzębosz, który nigdy w życiu nie był na pobojuwisku, prawie omdlewał ze wzruszenia, to się zapalał zemstą, gdy Węgorzewski kroczył tak spokojny, jakby po piaseczkiem wysypanej drożynie ogrodu. Szedł z oczyma wlepionymi w ziemię, niekiedy się pochylając, latarkę zniżając, to odprostowując i krocząc znów dalej, pomału. Szli tak długo dosyć, aż stary zatrzymawszy się spojrzął dokoła i mruknął:

— Już dalej chyba się nie zapędził, bo gąszcz była wielka. Tu szukać go potrzeba.

Trupa leżało gęsto na stoku pagórka, ale najwięcej Tatarów; wszędzie oczy otwarte,

zaszklone i usta wpół tylko ściśnięte, spod których białe zęby świeciły. Strach było patrzeć. Każda z tych twarzy zachowała wyraz, z jakim ją konanie pochwytyło, niektóre zdawały się śmiać i urągać, inne kąsać. Szli tak długo, aż Strzębosz krzyknął i padł na ziemię. Tuż przed nim leżał Księżki porąbany, stężały już i zimny, z obłamkiem szabli w prawej ręce, a obuszka rękojeścią w lewej. Nie można się było omylić. Węgorzewski stanął, przeżegnał się i „Anioł Pański” odmawiać zaczął.

Dyzma pochylony nad ciałem, jak dziecko się rozpłakał. Przez długi czas płacz jego i

modlitwy starego słyhać tylko było, wtem Węgorzewski na pachółka zawołał:

— Nosze mi zróbcie, ano żywo, abyśmy tu nie nocowali, siekierki za pasem macie, a

chrustu nie brak tuż. Nie damy mu przecie w kurhanie wspólnym z pospolitym trupem w nie poświęconej ziemi leżeć, na lepszy grób i pamięć zasłużył.

Nie ruszyli już stąd, aż nosze dla ciała gotowe było, co wiele czasu nie wymagało. Gdy

nieboszczyka z ziemi podjęto, lepiej się jeszcze okazało, przeciwko wielu on tu walczyć i jakiej nawale ulec musiał, bo i strzałami był poprzeshywany na wskroś i porąbany haniebnie.

A nie jego jednego stratę opłakiwać przychodziło, bo na poboju spotykali ciągle tych, co swoich albo się doszukać nie mogli, albo ciała ich tylko doszli. Padło tego dnia i pułkowników wielu: Adam Kazanowski, kasztelan halicki, Ossoliński, starosta lubelski, Zygmunt Lanckoroński, Ligęza, Rzeczycki od kwarcianych. Sam Lubomirski stracił dwudziestu towarzysztwa, licząc w to Księskiego. Zabrakło Adama Stadnickiego, Stana, Matiasza Bala, a z Krakowian Brzetysława Pieniążka. Z jednej chorągwi husarskiej Marcina Dębińskiego dwudziestu czterech towarzyszy padło. Opowiadano o Karolu ze Słupowa Szembeku, który zaręczwszy się, na tę wojnę poszedł i z samopału przez obie oczy przestrzelony, choć później życie uratował, na zawsze ociemniałym pozostał. Rannych było nie policzyć, a kto lżejsze poniósł na ciele obrażenie, ten o nim i nie wspominał.

Pozostał dzień ten w długiej potem pamięci u ludzi, bo i wielkimi ofiarami był okupiony i niepoczciwi dali im pójść prawie na marne. Wołało rycerstwo doświadczone: „A gonić, a bić, a siec i ze zwycięstwa korzystać!”, ale spoza nich odzywały się głosy:

— Dosyć nauki tej! Myśmy znużeni, w polu czasu wiele spędziliśmy, do domów pilno.

Mają Tatarowie za swoje, a i Kozakom nauka nie pójdzie w las.

Król tylko i Wiśniowiecki Jeremi wołali ciągle: „Iść na nich, co prędzej i dokonać, co się poczęło, albo się na nic nie zda rozlana krew nasza!”

Stanął przecie na tym w nocy jeszcze, aby jak świt za ordą wysłać Tatarów litewskich z Czelebim murzą, który by chana umykającego ku Wiśniowcowi ścigał i urywał. Ten później po drodze pochwytywał znacznych jeńców, Murtazego i Solimana agę przyprowadził królowi.

Niezapomniana to była noc owa, noc na poboju żałobna i radosna razem, a dla

wodzów troskami brzemienna, bo tylko niedoświadczony żołnierz tym zwycięstwem się mógł zaspokoić.

Tatarzyn odpędzony wprawdzie umykał, ale kozactwo nie tylko się uparcie okopywało, lecz pomnożenia go spodziewać się było można. Ci, co ich znali jak stary Jeremi, wiedzieli, co trzymać, choćby znowu z poddaniem się i pokorą przyszli, która ich nic nie kosztowała, aby na czasie zyskali, nigdy traktatów i przysięg nie dotrzymując.

Ranny brzask gdy oczom Strzębosza widowisko straszne odsłonił, zadrżał chłopak i

zasromał się, iż w tej godzinie właśnie podzielać nie mógł niebezpieczeństwa ze swymi i los go na to skazał, aby przed walką jechał, a dopiero po niej wrócił. Żal mu jeszcze większy serce ścisnął po wuju, gdy rozdiewając go, na piersiach plik papierów znaleźli, a między nimi ów opieczętowany

testament, którym, co miał, siostrzeńcowi Dyzmie przekazywał. Zajął się zaraz pogrzebem Strzębosz, na cmentarzu w Beresteczku zwłoki składając tymczasowo, dopóki by ich nie mógł do Księżej Woli, gdzie rodzice leżeli, przeprowadzić. Siła też dnia tego grobów tak kopano i murowano dla poległych, ale żywi ich opłakiwać czasu nie mieli.

Czuł to Jan Kazimierz z tego ducha, jaki od wojska, a szczególnie pospolitego ruszenia zawiewał, że byle zapałowi wojennemu dał nieco ostygnąć, już go potem rozdmuchać na nowo będzie trudno. Żywo więc trzeba było natychmiast dalej prowadzić walkę a szczególnie przeciwko tej gromadce kozactwa, które się w błotach przez noc na gwałt okopało, działka ustawiło i do rozpaczliwej gotowało obrony. Wybrali na to miejsce właśnie najnieprzystępniejsze pomiędzy Pleśniawą i rzeczułką a Styrem tak, że one ich z dwu stron broniły, a z przeciwnej strony mosty naprędcy na Pleśni pobudowali dla swobodnego zapasów dostarczania.

Dziedziała zaś od wczorajszego wieczora tak swoich ludzi zażywał dobrze, przez całą noc im odetchnąć nie dając, że o dniu wały wysokie bardzo gotowe były.

Dzień ten cały zszedł na naradach, a więcej na wysyłkach przeciwko okopanym, których król koniecznie zdobywać kazał. Za czym Przyjemski choć po rozgrzężonym błocie i niewygodnych spadzistościach działa prowadzić musiał.

Kozackiemu też fortelowi z początku się dziwowano, jak dzień bowiem w okopach

ogromna wrzawa wesola słyszeć się dała, rzekłby kto, gody chłopskie, okrzyki, liry, surmy, szalamaje śpiewy, bicia w bębni, pokrzykiwania, jakby im tam najszczęśliwszego się coś zdarzyło, z czego się tak niepomiernie cieszyli.

Ci, co chytróści kozackiej nie znali, nieledwie się strwożyli sądząc, że albo im znaczne posiłki nadeszły, lub się czegoś pomyślnego spodziewają. Dopiero stary ów wódz Jeremi, co na kozackich wojnach zęby zjadł, wytłumaczył to, że naumyślnie się radowali, aby nie okazać, jak im tam ciasno było i trwożno. Znał bowiem to do nich, że albo pokorą się wkupują w łaski lub zuchwalstwem ustraszyć próbują. Tymczasem zaś w okopach tych jak najmocniej się osadzić starali, ale i to fortem się okazało, aby zyskać na czasie.

Przy wielkim szczęściu, jakiego król dnia ubiegłego doznał, nie mała też troska szła razem.

Rada" prawie przy królu nie ustawała, ale już nawet w tej godzinie, gdy wszyscy jedno trzymać byli powinni, aby nieprzyjaciela przemóc, zdań różność objawiać się począła nie z powodu, przekonania

współzawodnikowi nie dać wyprzedzić. Z wodzów niemal wszyscy Jeremiemu jego szczęścia

zazdrościli, za nic go mając w nienawiści. Król, którego też przeciwko niemu usiłowano z dawna zniechęcić, wystawując jako ambitnego, który zagarnąć chciał i sławę całą, i władzę, przecie jaśniej się w tym rozpatrywać począł i zbliżać ku niemu, ale na to drudzy baczność mieli.

Tego dnia, choć do walki żadnej nie przyszło, niepokojono się wzajemnie. W obozie nikt się rozbroić ani konia rozsiodłać nie śmiał, popuszczano poprzęgi, a od zbroi zwalniano rzemyki, ale szabli odpasać nie było wolno.

Dwa czy trzy razy Kozacy symulowali, jakby na obóz z boku uderzyć chcieli, znajdowali

jednak zawsze gotową gromadkę, która wnet wypadła ku nim i ścigała aż do okopów, do których z działek ognia dawano.

Od Tatarów tylko wolnym był król, bo ci raz się rozprószywszy, już powracać nie myśleli, choć ich Chmielnicki wabił.

Nazajutrz pochwycony przez nich na czatach jeden z czeladzi przyszedł do króla z listem od chana. Sądzone, że po tatarsku pisany był, więc po Otwinowskiego posłano, ale się okazało, że złą polszczyzną skomponowany, pieczęcią nie opatrzony, niedowierzenie tylko mógł obudzać. Harde to pismo sam pono niepocziwy Chmiel na zgryzotę i utrapienie króla podyktował. Odzywał się w nim niby chan, że Polacy zwycięstwo swe zdradzie(?) byli winni, wyzywając ich do nowej

rozprawy pod Konstantynów dla odwetu.

Otwinowski raz i drugi odczytawszy tę kartę, rzucił ją, jako lichą kozacką zaczepkę, która żadnego nie miała znaczenia, o chanie zaś wiedziano, że o Konstantynowie nie myślał wcale, a strat swych na Kozakach się raczej chciał upominać.

Gdy tak jedni się ucierali i wybiegali ku okopom kozackim, od których, kiedy niekiedy huk dział dochodził, drudzy spoczywali, a Dębicki ze swymi Sandomierzanami i inną szlachtą powoli zniechęcał przeciw królowi.

Nie pomogło zwycięstwo ani ten trud, na który patrzyli wszyscy, ani niebezpieczeństwo, na jakie się Jan Kazimierz narażał. Zadawano mu, nie mogąc czego innego, ową miłość i preferencją Niemców, o postponowanie szlachty upominać się chciano.

Wprawdzie pierwszych dni po wielkiej rozprawie nie wiodło się warchołom, bo było wiele

innych do rozmowy przedmiotów, które żywiej obchodziły, ale ci, co jak Dębicki mieli na celu rokosz, nie zaniedbywali wszędzie wcisnąć jadu po trosze.

Radziejowski tylko, zdawszy już sprawę na przyjaciela, sam począł tymczasowo inną przy

królu odegrywać rolę. Zdziwił się niepomału Strzębosz, gdy po pogrzebie Księskiego do króla się stawiać, znalazł przy nim z innymi i pana podkanclerzego, który bardzo głośno rozprawiał z królem i jak przedtem się narzucał, nie odstępując go.

Jan Kazimierz zaś tak podówczas z wiktorii odniesionej był szczęśliwym, tak rad był

zgodzie i pojednaniu wszelkiemu, że nawet podkanclerzemu przystęp dawał do siebie i nie ukazywał mu tej co przedtem niechęci. Trudno mu się wprawdzie zdobyć było na poufałość i uprzejmość, lecz

znosił go, a i to już miało znaczenie. Radziejowski zaś, korzystając z tego, coraz natrętniejszym się stawał. Chociaż Strzębosz list od pani podkanclerzyny do króla przyniósł, w którym się zapewne na dołę swą i na niesprawiedliwość ludzką uskarżać musiała, nie było w nim wiadomości szczegółowych o Warszawie i wieczorem w chwili, gdy sam był, kazał król Strzębosza przywołać, zapytał go, co się działo z podkanclerzyną.

— Najjaśniejszy Panie — odparł Dyzma — widziałem ją dwa razy, nieszczęśliwa jest

bardzo. Nie wiem, co zamierza, bom się dopytywać nie śmiał, aleni widział w pałacu

przygotowania do podróży albo raczej do przenosin, bo co było kosztowniejszego, nawet do przyozdobienia ścian służącego, wszystko już pościągano i pakowano. Jeżeli się nie mylę, bracia też podkanclerzyny albo przynajmniej jeden się przy niej znajdować musiał. Król słuchał tylko.

— Wiem *i* o tym — dodał Strzębosz — iż królowa jejmość, zapewne nie z własnego

usposobienia, ale listami pana Radziejowskiego pobudzona, niechętną się dla pani podkanclerzyny okazywała, co i inne panie musiało również odstręczać.

Wysłuchawszy tej powieści, król znowu o Marią Ludwikę za gadnął i o zamku sobie a

dworze jej mówić kazał, tak że Dyzma się ośmielił w końcu i o Bertoni wspomnieć. Poskarżył się na nią, że córkę zmuszała do starego Massalskiego, którego nazwisko usłyszawszy, król ramionami rzucił i gdyby był mógł naówczas, roz- śmiałby się, ale nadto smutków mu na duszy ciążyło.

Mruknął tylko, że baba szaloną była równie jak stary gach, który już ostatkami życia i mienia gonił.

— Nie będzie z tych ślubowin nic — dodał król — bo rodzinę znam, nie dopuści ona, aby

się kniaziewstwo ich skaziło mieszczańskim związkiem, bo ono ich całe bogactwo stanowi.

Byłby może rad król po staremu rozerwał się płochą z dawnym dworzaniem rozmową, lecz

mu nie dano jej długo przeciągnąć.

Przychodzili nie ustający z językami towarzysze, którzy wiedzieli, że król hojnie płacił za każdą wieść i ciągle jeńców mu przyprowadzali. Ale z tych sprzecznych zeznań nie bardzo kto mógł być mędrszym, bo pochwytni albo mało co sami wiedzieli lub ze strachu pletli, co ślina do ust przyniosła, albo się wykupić usiłowali zmyślając. Wedle jednych więc Kozaków było

trzydzieści tysięcy; drudzy ich podawali na sześćdziesiąt; inni o nadciągających wiedzieli, niektórzy powiadali o niezgodzie a niechęci pospólstwa ku dowódcom Dziedziale i Bohunowi. Chmielą też jedni przy wojsku, drudzy przy chanie widzieli, a każdy na klęczkach gotów był przysięgać, iż prawdę świętą mówił, a z tego wszystkiego nic pewnego wyciągnąć nie było można.

Król jedno wraz ze starym Jeremim powtarzał: — Trzeba dokonać, co się szczęśliwie

poczęło, a nie zasypiać, bo zwycięstwo, acz wielkie, wcale kozackiej rebelii zamknąć i przełamać nie mogło.

Wiśniowiecki przepowiadał zawczasu, że gdy ściśnięci się uczują Kozacy, znowu się z pokorą o przebaczenie udadzą do króla, raz spróbowawszy iż klemencją jego łatwo pozyskać było, ale ostrzegał, aby król pobłażliwym się nie okazał znowu, a surowsze postawił warunki.

Chciał zaraz Jan Kazimierz do królowej słać z doniesieniem o Wiktorii tegoż samego

Strzębosza, ale dla pogrzebu Księżkiego się wstrzymał i dwu innych posłów natychmiast wyprawił.

Wiadomość i bez tego dojsć prędko musiała, bo ją, można było rzec, wiatr niósł z sobą, a rannych wielu do domów uwolniono, którzy się na wszystkie rozpierzchli strony.

Pospolite ruszenie nawet owo zwycięstwo większym czyniło, niż było w istocie, aby co

rychlej do domów na kosowicę i zniwa mogło powracać, a Dębicki podbudzał je, bo wiedział, iż królowi niczym więcej dokuczyć nie mógł jak groźbą, iż szlachta go opuści, gdy korzystać było potrzeba z popłochu. Radziejowski zaś ufał sobie, że co Dębicki umyślnie zawichrzy, to on wymową swą i wpływem naprawi i uspokoi, aby u króla tym zaufanie i wpływ pozyskać. Tak na nie oschłym jeszcze pobojuwisku, gdy co lepszego było, rwało się do wojny, niepoczciwe umysły już gotowały zamęt, aby z niego mogły korzystać.

Niemal codziennie straszono powrotem Tatarów z nową siłą Chmielnickiego, lecz się to nie sprawdzało. Tymczasem co się miano naprzód posuwać, obóz leżał wciąż nieporuszony w miejscu.

Rozdział VII

Wściekle bronili się w swych okopach Kozacy, niemal co dzień nawet to w pierwospy, to nocą, to rankami napadając na nieopatrnych, a bliżej obozujących kwarcianych i pułki polskie.

Udało się im tą czujnością kilkakroć srodze dać we znaki królewskim, a zuchwalstwo tej garści niektórym ducha odbierało.

Jeremi i Lanckoroński chcieli od pierwszego dnia całą siłą na to osie gniazdo uderzyć,

obejść je i Kozaków wytepić do nogi, bo się im spomiędzy błot nad Pleśnią i Styrem ratować ucieczką było trudno, ale wojsko znużone wołało: — Weźmiemy ich głodem, po co ludzkie żywoty ważyć?

Od szlachty, którą warchoły już obalamuciły, szło zniechęcenie do boju i wołanie, aby tej wojnie koniec położyć. Po obozie snuli się narzekający głośno na króla i hetmanów, że równo z kozactwem chcą szlachtę wygubić, morząc ją głodem w polu.

Na próżno król zaklinał, ukazując, że nie uczyniono nic, dopóki się kozactwa nie zmusiło do

zupełnego zdania się na łaskę, że Chmiel z Tatarami, jak był, tak jest groźny. Próżno Jeremi wołał, aby następować nie dając czasu chłopstwu znowu się zwołać i zarejestrować. Szlachta z Dębickim krzyczała, aby koło zwołać, króla do koła stawić i pospolite ruszenie rozpuścić.

Dębicki z Radziejowskim puścili między krzykaczy, że prawo nie dozwalało szlachtę nad dwa miesiące trzymać zwołanej, albo ją król powinien był płacić lub rozpuścić. Coraz hałaśliwiej i wrzaskliwiej powtarzano:

— Do domów! Niech król ze swymi Niemcami wojuje! Są piechoty, są kwarciani i komputowi i bez nas tym chłopom rady dadzą.

Z początku ciche te głosy coraz teraz śmielej i huczniej się podnosiły. Z małych kupek tych malkontentów rosły gromady. Objeżdżającemu wojska królowi podstępowały prawie pod ręce, wywołując swe grawamina. Król, słuchając, bladł, na swoich towarzyszków spoglądał, w niebo oczy podnosił.

Wszyscy starzy żołnierze widzieli jak na dłoni, że wszelka korzyść krwawego zwycięstwa straconą będzie, jeżeli się wnet za rozpędzonym kozactwem nie pogoni i nie dokona, co się poczęło. Naprzód trzeba było iść całą siłą, a raz na zawsze rebelii byłby koniec.

Ano szlachcie było już tego dosyć.

Do domów! — powtarzali jak hasło. — Król nie ma prawa nas trzymać, koło zwołać! Niech posłucha, a my mu powiemy i pokażemy, co szlachta znaczy! Myśmy nie żołdacy płatni, nami rzucać nie może według woli.

Kazimirski z jednej, Snarski z drugiej strony po obozie się nosili z podżeganiem, a Dębicki zwoływał co dzień na sandomirski bigos do siebie. Kto mu go dostarczał i tych beczek, które tam wypróżniano hałasując, było niezrozumiałym dla wielu, bo podczaszego nie stać było na takie traktamenta, a tu co dzień stoły zastawiano i kubki nalewano.

Tymczasem pułki panów, regimenta królewskie, co było żołnierza kwarcianego, do tych okopów się co dzień dobijało, w których Dziedziała i Bohun, jakby na posiłki czekając, bronili się zacięciem. Dosięgały ich tam działa, udawało się czasem wycieczkę pochwycić, przywlekały się zbiegi, ale kozactwa większość do upadłego się ostrzeliwała i odcinała. Głodem wziąć ich było trudno, bo mieli wyjście i z okolicy, wypadając, do okopów żywność ściągali, Dzień i noc wrzało tam ciągle. Nie przestawano też naciskać ich, choć dotąd bez skutku. Dopiero po kilku dniach poczęli wołać, aby posłów ich do króla puszczo.

Jan Kazimierz kazał ich przyprowadzić. Bili czołem przed nim, śpiewając też samą co

niegdyś piosenkę, winę składając na Polaków. Chcieli też do zborowskich wrócić traktatów; odpowiedziano posłom, że za późno przychodzili z pokorą. Zażądał król wydania Chmiela i dowódców buntu, a poddania się zupełnego Rzeczypospolitej. Jeremi, który ich znał, rzekł zrazu, że tylko na czasie zyskać chcieli, skłaniając się do umowy, bo pewnie posiłków oczekiwali.

— Spisywać z nimi umów nie zdało się na nic. Zmóc trzeba aż przyjmą to, co będą musieli, nie my ich, oni nas słuchać powinni.

Tymczasem Lanckoroński po naradzie z Jeremim, przeprawiwszy się przez rzekę, z tyłu okopy szedł zajmować, ale Bohun czuwał. Byłby nawet może uszedł nie postrzeżony, gdyby

Mazury, w pole wyszedłszy do obliczenia się, nie postrzegł już uchodzącego kozactwa i nie dali wojsku znać. Dopieroż zatrąbiono i rzucili się wszyscy razem na wyciągających z okopów, tak że ich w błota i grzędzawiska wpędziwszy z wozami, poczęli tępić i siec okrutnie. Zdało się, że ich tam noga nie ujdzie, chociaż główne pułki Bohun przodem wysadziwszy, uciekał z nimi. Reszta pospólstwa zostawionego w okopach, straszny popłochem zdjęta, jak stała, nie mając już czasu nic zabrać ze sobą, wybiegła, rozłaząc się na zarośla i błota, tak że w obozie żywej nie pozostało duszy.

Nie śmiało jednak wojsko zająć go, aż się przekonało, że zasadzki nie było. Dopiero

wtargnęli Polacy do opuszczonego gniazda, którego widok grozą przejmował. Wszystko tu tak zastali, jak przed chwilą jeszcze kozactwo rozgospodarowało. U okopów samych naprzód leżeli jęcząc nie podobijani Polacy, z rękami i nogami poobcinanymi, ze skóry poobdzierani, jak bydlęta połupieni i porąbani. Niektórym wnętrzości powydzierano, innym oczy wydarto. Więc ból srogi przejął żołnierzy tak, że nikomu też życia nie dali, kogo po zakątkach znaleźli, wycinali w pień.

W szałasach i budach jeszcze stało wszystko, jak chłopstwo odbiegło. Dymiły nie pogasłe ogniska, a przy nich w garnkach barszcze, kisiele, sałamachy i wszelkie ich jadła ulubione. Z łupu zresztą niewielka była pociecha, bo na wozach rzemień, siermięgi, wory, opończe, kozuchy z czarnych bierek, koszule, płachty i zapaski, więcej nic. Broni tylko wszelakiej moc się znalazła, samych dział sześćdziesiąt, półkartanów ośmnacie, siła kobylic i haków, a co najdroższa, Chmielnickiego klejnoty, chorągwie przez królów Władysława i Kazimierza posłane, miecz od patriarchy z Konstantynopola, buńczuki, pieczęcie i szkatuła z papierami różnymi. W pośrodku natrafiono też trupa starszego ich kapłana w stroju biskupim, z pastorałem i infułą, którego król pochować kazał w cerkwi pobliskiej.

Część wojska puściła się dalej w pogoń za uchodzącym Bohunem, a królowi łupy

przyniesiono i wiadomość o tym nowym zwycięstwie, za które wszyscy z nim padłszy na kolana, Bogu dzięki czynili. Radość Jana Kazimierza aż niemal do łez go poruszyła, ale stary żołnierz wołał, że teraz więcej niż kiedy trzeba było następować i z pogromu a trwogi korzystać.

Gdy pisarze królewscy z Otwinowskim, ową szkatułę hetmańską odbiwszy, do papierów

kozackich się dobrali przy kanclerzu Leszczyńskim, zdumienie wszystkich ogarnęło Wielkie. Listy królewskie, przywileje, tureckie fermany, tatarskie karty, moskiewskie pisma, cesarskie, niczym były

obok tych doniesień i raportów, jakie się tu znalazły. Miał Chmielnicki swoich wszędzie, którzy mu nie tylko, co się na dworze króla i na pokojach mówiło, przesyłali, ale miał takie same doniesienia ze wszystkich stron, z Wiednia, nawet i Rzymu.

Poznali, co wierzyć temu dotąd nie chcieli, iż on prostaka udający człek, który pijanym się czynił, nie rozumiejącym, a chłopstwem się przyodziewał jak maską, chytrzejszym daleko był

niż ci, co z nim mieli do czynienia.

— Polityką go zażywać — rzekł biskup — nie pora, bo on w niej bystrzejszym jest, niż my może. Orężem trzeba pokonać, inaczej nigdy z nim końca nie będzie.

Opiewano zwycięstwo, a złym ono było najmilsze, bo je zaraz tegoż wieczoru spożytkowali.

Roiło się pod namiotami Dębickiego, u Kazimirskiego i innych naczelników szlacheckiej znowy, a jedno hasło brzmiało wszędzie:

— *Finis laborum!* Do domów! Do domów! Niech hetmani, kiedy chcą, z komputowymi ich ścigają, my nie pójdziemy.

— Nie pójdziemy! — powtarzała szlachta. — Mamy dosyć! Kozactwo pobite. Nauka nie pójdzie w las, a myśmy się dosyć wycieńczyli dla Rzeczypospolitej. Do domów!

Królowi z początku nie donoszono o tym, aby mu radości dnia tego nie psować, ale

nazajutrz pierwszy podkanclerzy się zjawił po mszy w królewskim namiocie. Zasłyszawszy iż Jan Kazimierz ciągnąć chciał co najspieszniej za uchodzącymi, wtrącił z kompasją niby dla króla:

— Najjaśniejszy Panie, próżno to o tym mówić na razie, dopóki się szlachty nie uspokoi. Od wczora już tam między nią wre na gwałt do domów powracać.

Król się zachnął oburzony.

— Jako?! — zawołał. — I mnie, wodza a króla mieliby porzucić i odbieżyć? Nie wierzę, aby polska szlachta do tego zdolną była.

Westchnął z kondolencją Radziejowski.

— Nie mówię — rzekł — aby to mieli uczynić, bo z nimi trzeba umieć poczynać, to się ich poprowadzi, gdzie się zażąda, ale , dziś takie hasło: „Do domów!” Jadę z obozu od pospolitego ruszenia sandomirskiego; po drodze nie słyszałem tylko wołanie: „Do domów!”

Poczęli się schodzić inni senatorowie, wszedł biskup Leszczyński, Jan Kazimierz się do nich zwrócił.

— Posłuchajcie, co pan podkanclerzy przynosi — rzekł — wierzyć bym nierad, aby mnie w sztychu porzucić miano.

Książę Dominik Zasławski, który tylko co wszedł do namiotu, odezwał się ponuro:

— Dziś wszystkiemu złemu wierzyć można. Słyszałem i ja, na co się zanosi, albo się to da odeprzeć, albo...

Poruszył ramionami nie kończąc.

— Więc wniwecz nasze zwycięstwo tak drogo opłacone! — zawołał król.

Milczeli wszyscy, wtem Radziejowski począł:

— Nie pochlebiam ja sobie, ale siła szlachty znam, która mi. wierzy i słucha mnie.

Gotówem służyć według możliwości, umysły się może dadzą nawrócić.

— Czyżże to, panie podkanclerzy — wtrącił biskup Leszczyński — toć powinność wasza, a nie ociągaj się, bo złe zaraźliwe jest.

Wszedł do namiotu Lubomirski, szepcząc na ucho Kalinowskiemu hetmanowi też samą nowinę, że się szlachta zwoływała.

— Nie ma już tajemnicy w tym — odparł Kalinowski — dawno się na to zbierało, a źli ludzie, nie wiem w jakim celu, wcześniej szlachcie opór poddmuchiwali.

Zasepiły się czoła wszystkim. Stał- król zadumany, o stół się oparłszy, a po chwili podniósł głowę.

— Nie daję wiary! — zawołał. — U nas tak bywało zawsze i bodaj na wieki pozostanie, że się znajdzie opór przeciwko każdej sprawie, a *veto* musi ktoś zawołać, ale go przecie zagłuszymy i poczciwi nie dadzą tryumfować warchołom.

— Tak by być powinno — przerwał Leszczyński — ale nie zawsze się tak dzieje, bo najgorsze gęby najgłośniej krzyczą, a kto się bije najlepiej i kraj najmocniej kocha, ten milczy.

Radziejowski kręcił się niecierpliwie.

— Jeżeli publicznie z tym wystąpią, będziemy się starali też wołać głośno i przekrzyczeć ich.

— Jeżeli wystąpią — przerwał Lanckoroński — ależ posłuchajcie, iż się już ważą o kole

mówić i króla chcą przed nim stawić, a wybierają śmielszych, co z tym przyjść mają do majestatu i domagać się.

Wszyscy przytomni, dla których owo koło w pospolitym ruszeniu równało się rokoszowi, niemal przerażeni milcząc spoglądali po sobie. Król jeden najmniej się tą wiadomością okazał poruszonym.

— Koło? — rzekł. — A choćby i koło zwołać chcieli? Jeżeli mnie o zezwolenie pytać będą, nie wzbronię pewnie. Bóg z nimi, nie uczyniłem nic, za co bym przed Bogiem, sumieniem i narodem obawiał się odpowiadać. Niech sądzą w kole!

— Najjaśniejszy Panie — rzekł kanclerz — nikt z nas nie myśli inaczej: a przecież temu

kołu przeciwnym bym był nie dla obawy, ale dla czci majestatu, której ono uwłacza. Są przecie osoby i mężowie, których ani posądzać, ni sądzić tłumowi nie wolno. Przed Bogiem oni, ale nie przed kołem odpowiadają.

— Poszanowanie majestatu — cicho odparł król — dawno się u nas zwiodło i już pono nie odrodzi. Niech zwołują koło, kiedy chcą.

W tej niepewności, gdy drudzy milczeli i szeptali, Radziejowski się odezwał znowu:

— Nie idzie tu o żadne inne grawamina, bo to wszystko daremne i tylko dla oczyszczenia się podnoszone głosy. Szlachta do domów chce, więcej nic, to jej z głowy wybić potrzeba.

— Nie bawiąc więc, kto może i czuje się na siłach — rzekł Leszczyński — powinien tę usługę oddać Rzeczypospolitej i królowi. Nie będziemy się mogli pochłubić Wiktoria, gdy ją na wpół ledwie poczętą porzucimy, aby zmarniała.

— Szlachta woła — rzekł Lanckoroński — iż kozactwo już głowy nie podniesie.

Jeremi Wiśniowiecki, który stał i cierpliwie niekiedy tylko w górę oczy podnosząc, nie mógł już snadź strzymać się dłużej. Pierś mu wezbrała. Westchnął ciężko.

— Niechże nas popytają — rzekł z powagą — nas, cośmy z tym nieprzyjacielem od

młodych lat walczyli, z tym narodem, który i wrogiem, i sługą znamy. Nie jest to Tatarzyn, który zwierzęcą kupą i jakby trzoda wilków napada, a odegnany pierzcha beładnie. Jest to lud wytrwały, chytry, przebiegły, mściwy, a swobodę swą kochający tak, jak my naszą szlachecką miłujemy.

Chcemy ich pożyć, złamać musimy, a ta kupka porażona niczym jest. Dziesięćkroć tyle jutro stanie

pod bronią, gdy im tylko tchnąć damy, i pójdą wieszać, ścinać, na pal wbijać, wnętrzności wydzierać dawnym panom, bo Chmiel im swobodę i panowanie obiecał. Poddadzą się

moskiewskiemu, zaprzedadzą Turkowi, zwiążą z Tatarem, duszę zapiszą szatanowi, byle nas pognać mogli. Kijowa się domagają, jutro będą Rusi całej, a pokażą jej granice w samym sercu Rzeczypospolitej. Chłopstwem ich zwiecie, spójrzcież w te pisma, które z całego świata do Chmiela słano i ślą, jako to chłop nad statystów naszych, bo i do Szwecji umiał trafić, i gdzie tylko nieprzyjaciela na nas mógł zbudzić. Szwed, Rakoczy, Moskwa, Turek — wszystko im dobre

przeciwko nam, a w tej godzinie, gdy największe grozi niebezpieczeństwo, szlachta do domów się wybiera spoczywać!

Westchnął.

— Bóg ją zaślepił.

Radziejowski, słuchając, węża pokręcał. Rada króla otaczająca milczała, wszystkich twarze posmutniały. Jan Kazimierz stał milczący długo.

— Do ostatka — rzekł w końcu — spełnię powinność moje, a jeśli mi Bóg nie da dzieła

dokonać, wina niech spadnie na tych, co oręż mi z rąk wyrwą. Potomstwo ich może za winę przodków pokutować będzie.

— *Quod Deus avertat!* — szepnął biskup Leszczyński.

Król powolnym krokiem, podniósłszy ściankę, wyszedł do drugiej części namiotu, gdzie zwykł był się modlić.

Podkanclerzy, korzystając z tego, przysunął się do obradujących, poza których kołem się dotąd trzymał, bo nikt się z nim rad nie kumał, już dlatego, iż o króla niechęci wiedziano, już że on sam nikomu nie był miłym.

— Prawdą jest — począł — że szlachta się zrywa, że koło zwołuje, ale niczym to wszystko.

Jak ją kilku ludzi powiodło, tak ją też odprowadzić można i skruszyć.

— Zapominasz — wtrącił Leszczyński z powagą i surowością — że do domów i spoczynku

łatwiej człowieka prowadzić niż do ofiary i trudu. Pochlebiasz sobie, że u szlachty masz miłość i wiarę?

— Tak jest — zawołał śmiało Radziejowski — tak jest i w istocie pochlebiam sobie, iż to potrafię zmienić!

— Nie ociągajcież się — dodał sucho Jeremi Wiśniowiecki — my byśmy już wychodzić

powinni. Każdą godzinę opóźnienia przypłacimy.

Radziejowski rzucił oczyma dumnymi z wyrazem szyderskim po przytomnych i wyszedł z namiotu.

O kilkadziesiąt kroków dalej czekał na niego Dębicki z twarzą rozognioną i oczyma błyszczącymi.

— Koło zwołują! — rzekł radośnie. — Posłyszycie na nim król prawdę gorzką i szczerą, go nie będą. Szlachta mu teraz Niemcami wypiekać będzie.

Podkanclerzy się pochylił ku niemu.

— Nie idźcież tylko za daleko — szepnął — bo mnie na tym wiele zależy, abym ją nawrócił i królowi się zasłużył. Niech gardłują, ale do odwrotu drogę trzeba zostawić.

Dębicki potarł czoło i ramiona poruszył.

— To wasza rzecz — rzekł — ale trudno miarę zachować. Poszeptali między sobą i natychmiast obaj na konie siedli, podczaszy w jedne, podkanclerzy w drugą się udając stronę.

Obóz wrzał, już teraz powstrzymać poruszenia nie mógł nikt. — Do domów! — wołano. —

Król ma swą piechotę, Huwaldów i innych Niemców, ma kwarcianych, starczy mu ich, nam już dosyć tej poniewierki.

Zwoływano się ziemiami i województwy. Prąd raz pchnięty rwał coraz silniej, pociągając za sobą. Ze starszyny już ten i ów się wahał. Przy królu nikt odzywać się nie śmiał, ale między senatorami też tęsknota za domem rosnać poczyniała. Szemrano.

— Król się zapalił. Niechby na hetmanów zdał, to nie jego rzecz. Gotów nas w polu trzymać, aż Kozaków nie stanie.

— Przekonać go trudno — szeptali drudzy.

Tegoż dnia wieczorem król oznajmił, że chce do Brodów, do Koniecpolskiego jechać, aby twierdzę przez ojca jego wzniesioną oglądać.

— Nie ustaje więc wojować — wzdychali pokój miłujący.

W umysłach zamęt powstał wielki, wahanie się. Coraz więcej głosów odzywało się za tym,

aby na hetmanów zdać wszystko, króla do Warszawy dla spoczynku wyprawić, pospolite ruszenie puścić. Na uchodzących kogóż wysłać było, jeżeli nie Jeremiego Wiśniowieckiego? Jednym głosem wszyscy go wskazywali.

Wieczorem Krakowian gromada się zebrała u księcia Dominika Zasławskiego. I tu o

Jeremim ktoś wspomniał, jakoby słyszał, że gotowym był ścigać Kozaków sam, byle mu połowę wojska swego król oddał pod komendę.

— Połowę wojska! — zawołał gospodarz. — To nic, ale z tą połową on królowi całą sławę, całą zasługę Wiktorii odniesionej od- bierze. Kto miłuje króla i sprawiedliwość, na to pozwolić nie może. Mało jeszcze sławy ma Wiśniowiecki, choć na nią więcej szczęściem niż rozumem zasłużył.

Chce mu się jednemu być, u szczytu stanąć, wszystkich zaćmić!

Poczęto potakiwać.

— Królowi by się sroga krzywda stała — wołano. Księżę Dominik obstawał gorąco za królem.

— Tego tylko potrzeba, aby on komendę wziął, a na osłabionych poszedł! — wołał. — Król pozostanie ze słabym oddziałem i nic począć nie będzie mógł — a on pewnie zwycięży, bo kozactwo ucieka. Na to nie można pozwolić.

— Jest Potocki i Kalinowski — dodał pułkownik Oblęski — oni też coś warci — niechże im się co dostanie, wycierpieli w niewoli dosyć, a Jeremi wszędzie miał szczęście.

Nadeszła noc. Przed obrazem Najświętszej Panny Chełmskiej klęczał król i modlił się

długo. Bohaterstwo mu ciążyło już na barkach znużonych. Jeszcze dziś pragnął iść dalej, jeszcze mu biło serce, gotów był, ale znużenie wielkie czuć mu się już dawało. Gdyby wszyscy dzielnie iść z nim chcieli! Przez cały dzień przynoszono mu tylko: „Szlachta się opiera, wszyscy do domu wołają”. Wstawszy zachwiał się nieco, bo noga jeszcze dolegała. Sparł się na lasce; w pierwszej namiotu dzielnicy stał Strzębosz.

— Co słyhać? — zapytał król. — Tyś po obozie chodził?

— Umyślnie, dla języka — westchnął Dyzma.

— Nawrócił ich Radziejowski? — szydersko odezwał się Jan Kazimierz. Strzębosz się uśmiechnął.

— Mówią, alem tam nie był, że w istocie gardłował, ale pono z takim skutkiem, że go zakrzyczano, zahukano i wściekły się musiał wynosić.

— Kochanek on szlachty, co go to ona na rękach nosić miała! — rzekł król szydersko. — Cóż się stało? Dopóki jej potakiwał, dobrym był, a teraz „precz z nim!”

— Sądzę, że nie da za wygraną — począł Strzębosz — boć przecie się obiecywał nadto i chwalił, ale o skutku wątpię.

I pomilczawszy nieco, dorzucił Dyzma:

— Niepojęte bo są szlaki i drogi, którymi chodzi pan podkanclerzy. Druh od serca Dębickiego, a ten gardłuje za szlachtą, gdy podkanclerzy przeciw...

Wstrząsnął się król jakby z obrzydzenia.

— Dość o tym człowieku, zakałą jest, ohydą!

Zwrócił się znowu do szlachty, dopytując Strzębosza, czego chciała za to, gdyby pozostała przy nim i wojsku.

— Najjaśniejszy Panie — rzekł Dyzma — mnie się zdaje, jak dziś stoją te warcholenia, że już za żadną cenę ich kupić nie można, bo i o cześć swoje nie dbają.

Zachmurzyło się oblicze króla i padł na tureckie posłania z poduszek, którymi namiot był wewnątrz otoczony.

— Pójdę sam, bez nich — rzekł w duchu — srom ich ogarnie. Myśl ta utkwiła w nim.

— Tak jest — powtarzał sobie — to jeszcze środek ostatni: zawstydzą się, nie opuszczą mnie. Rozprawiać z nimi słowy — próżna strata czasu. Pójdę, pójdę!

Wstał z siedzenia i Jaskulskiego, który był pod ręką, zawołać kazał.

— Masz wiedzieć — rzekł nakazująco wchodzącemu — i masz mówić, jeżeli się pytać

będą, że jeśli nie chce szlachta, niech idzie, gdzie ją oczy niosą. Pójdę z wojskiem sam! Rozumiesz to, pójdę sam!

I z naciskiem powtórzył kilkakroć: — Rozumiesz to, pójdę sam Wieczora tego w obozie

można się było sądzić nie wśród wojsk i rycerstwa, ale jakby na burzliwych sejmikach. Gdyby lada

jakie kozactwo napadło naówczas, zaatakowanych i rozgorączkowanych by brało gołą ręką, taki szal panował między szlachtą, a od niej i do wojska przechodził.

Kozacy, wojna, ojczyzna, niebezpieczeństwo— wszystko było zapomniane. Burzono się

przeciwko królowi, jakby on był winien tylko. I ciągle powtarzało się jedno, czego nauczyli przywódcy:

— Niech król idzie ze swymi Niemcami, szlachta darmo służyć nad dwa miesiące nie jest winna. Myśmy swoje zrobili. Koło zwołać, sądzić! Dosyć-eśmy się najedli nędzy, do domów!

Jedno z najburzliwszych takich kół z Krakowianów i Sandomierzan złożone, do których co

było gardłaczków, opojów i warcholów się zbiegło, położyło się pomiędzy namiotami z takim wrzaskiem i miotaniem się, jakby miało tuż za szablę porwawszy, na królewskie się rzucić. Mówca jeden po drugim występował na starą okiennicę, gdzieś w miasteczku wydartą, którą próżną beczkę od piwa okryto. Dźwigano go, podnosząc pod pachę, stawiono na wyżynie i poczynął krzyczeć.

Jeden w drugiego toż samo powtarzał ochryłym głosem, a szlachta wszystkich akklamowała.

Z boku stał Dębicki i słuchał, ale poza nim opończą okryty czekał Radziejowski. Miano mu tu uroczyste wniście przygotować i przyjęcie. Poił i karmił dość szlachty, więc pewien był, że gdy mu się ta do kolan wówczas kłaniała, gdy się jego mięsiwem dławiała zajadając, to i teraz na skinienie go posłucha. Nie wiedział o tym, że ta sama szlachta kupą idąc, rozpoiwszy się złotą wolnością swą, nie zna chlebowców i nikomu się nie kłania. Z pogardą patrzył na ten tłum Radziejowski, sposobił się sam przeciw niemu stawić czoło.

— Nie bardzo radzę — rzekł Dębicki.

— Co ty ich tak sądzisz! — mruknął Radziejowski. — Szuja jest, trzeba jej z góry zaimponować, pójdą jak zmocy.

Komedia się tedy przygotowywała. Wpadł, rozpychając szlachtę i krzycząc: „Cyt, cyt!...

Słuchajcie!”, naprzód Snarski.

— Podkanclerzy do nas idzie! Cicho się zrobiło, aż ktoś z kąta:

— No, to co? Wielka rzecz. Podkanclerzy! Jechał go sęk i po wszystkim!

Śmieli się inni, aż nadbiegł za Snarskim Kazimirski.

— Panowie bracia! Jedzie do naszego koła Radziejowski, ten nam rozumną radę da.

Pochlebcą nie był i nie jest.

Wtem z drugiej kupy ktoś zachęcony pierwszym wystąpieniem zawołał:

— Niech radzi, a nie zdradzi, będziemy mu radzi!

Poczęli drudzy klaskać. Czekali, milcząc trochę i oglądając się, aż któryś krzyknął:

— Nim podkanclerzy raczy, my dalej swoje. Szmer się dał słyszeć: — Jedzie, jedzie!

Poprzedzał go pacholik z pochodnią.

Podkanclerzy z twarzą jechał wielce dobroduszną do panów braci, pokorny, ale się przystroił, aby też uznali w nim dygnitarza. Zaraz w początku poczuł, że tu nie za stołem u śniadania było. Szlachta mu nie ustępowała, musiał się cisnąć z pomocą Kazimirskiego i

Snarskiego do środka. Tu wszedłszy, choć dosyć słusznego wzrostu był, pośród tłumu utonął.

Spojrzał dokoła, nie było nic, jeno beczka próżna z okiennicą. Poszeptał z akolitami i podejmując kołpaka, wlaź na chwiejącą się okiennicę. Z góry, po gromadzie gdy rzucił okiem, jakoś mu się mdło zrobiło. Zewsząd na niego skierowane były wejrzenia ostre, badające i jakby go tu nikt nie znał. Pokłonił się wkoło.

— Miłościwi panowie a bracia! Zasłyszawszy, iż tu sprawa się ważna toczy, która nas wszystkich obchodzi, ja też jako wierny syn tej ojczyzny przychodzę do was, złym czy dobrym się podzielić.

Nastało milczenie jakiegoś złowrogie.

— Hej! — przystąpił łysy, chudy, wzrostu ogromnego drab w wyszarzanej opończy. —

Dobrze, żeście przyszli. Posłuchajcie grawaminów, zanieście je królowi. Macie u niego ucho.

— Do domów chcemy! — poczęli wołać z gromady.

Wtem Obzolski, Sandomierzanin, ręka za pasem, czapka na uchu, wystąpił tuż przeciw. Dał drugą ręką znać, aby się uciszyli i począł:

— Już nam w gardłach pozasychało od daremnego wołania. Stanęło na tym: dalej nie

pójdziemy. Król ma wojsko. Myśmy powinność odbyli, teraz płatnego żołdaka rzecz tych, których my przepłoszyliśmy, po chrustach i błotach dobijać. Chce król tych łowów dalej zażywać, niech idzie, my *non plus ultra* Nie pójdzie-my!

Skłonił się, aplauz mu dano i huknęli zewsząd, podnosząc ręce;

— Ani kroku dalej! Stał chwilę podkanclerzy.

— Proszę o głos, ucha mi dajcie!

— Mów, mów...

— Ciężką ofiarę dla ojczyzny ponieśliście, to prawda — począł — ale gdy się co w połowie uczyniło, nie trzeba sobie dać sławy odbierać lada kwarciąnym. Powiedzą, że szlachta z pola uszła, a ojczyznę płatny żołdak ocalił. Tu o cześć nasze idzie. Daleko ciągnąć nie potrzeba, aby nieprzyjaciela pogromić, dosyć pokazać ochotę.

— Oho! oho! — wymykały się głosy. — Toć go król przysłał!

— Ja z wami, panowie bracia — ciągnął dalej podkanclerzy — kość z kości waszych, ale dla czci naszej trzeba ofiary! Króla nie opuście wy samego.

— Wojsko ma, Niemców ma!

Radziejowski, nie zważając, puścił się w oratorskie nawoływania, krzyczał, miotał się, rzucał, a choć mu już nie przerywano gdy w końcu ustał, poczuł, iż go połowa nawet nie słuchała.

Gwarzono coraz głośniejsze, wysunął się Obzolski, któremu w głowie młode piwo szumiało:

— Porzuć wasze to kazanie — krzyknął — myśmy nie żaki! Słyszeliśmy to wszystko. Co się rzekło — święte. Nie pójdzie-my!

Drugi zaczerwieniony mocno poparł go, kułak ogromny podnosząc Radziejowskiemu niemal do piersi.

— Coś ty? Podkanclerzy? A my prosta szlachta, ale my naszego rozumu domorosłego na

twój zagraniczny nie pomieniamy. Pieniądzy na wojnę niech szlachta daje, pobory, taksy, podatki łupią z niej, na ostatku jeszcze i krew. Zawołali — poszliśmy, ano, temu raz koniec musi być!

Wrzask taki się rozległ, a ręką tyle wyciągnęło, iż podkanclerzy, choć głos podniósł i

krzyczał sobie, już go wcale słyhać nie było. Okiennica się pod nim trząść zaczęła. Stał jeszcze, ale go już Snarski ciągnął. Mówić nie było sposobu.

— Panowie bracia! — Zahuczano go. — Złaż, panie bracie! Z boku grubszymi słowy rzucano na niego.

— Znamy dworskich pieczeniary. Na wymowie wam nie zbywa, ale swada — zdrada!

Musiał, postawszy chwilę, znijsć Radziejowski tak rozjątrzony i zły, że mówić nie mógł do

Kazimirskiego, który go pocieszać się starał.

— Zburzone to fale — szeptał Kazimirski — z nimi teraz do ładu nie przyszedłby nikt. Ani Demostenesa, ni Cicerona by nie posłuchali.

Jeszcze stał tak pomieszany podkanclerzy, gdy całkiem nieznaną mężczyznę,

wyróżniający się wśród tego tłumu, z twarzą zasepioną przystąpił do niego.

— Oto macie owoce własnych waszych zasiewów — rzekł z powagą — daliście groblę zerwać, poszły wody, patrzcie, aby i was nie zatopiły.

Zmarszczył się podkanclerzy, bo nie znał tego, który się do niego odzywał.

— Dlaczegoż mnie obwiniacie? — odparł z urazą i dumą.

— W piersi się uderzcie! — rzekł nieznaną i odwróciwszy się, zniknął w tłumie.

Rozdział VIII

Gotowano się więc w dalszy pochód za Kozakami, jak był rozkaz królewski, choć szlachta, burząc się, nic o tym wiedzieć nie chciała. Jan Kazimierz też tak czynił, jakby o niej nic nie wiedział.

Ukrywano przed nim, co się działo od kilku dni, coraz wzmagając, wśród ziem i województw, nie chcąc mu odbierać wiary, że szlachta go nie opuści. Ufał w to, że gdy się na czele wojsk poruszy, pospolite ruszenie nie pozostanie w obozie ani się rozplynie. Mało król wierzył

obietnicom Radziejowskiego; przecież ta pewność, z jaką on przełamać opór szlachty przyrzekał, wchodziła w rachunek.

Ale podkanclerzy, popróbawwszy sam i z pomocą swoich tu i ówdzie przywieść do

upamiętania panów braci, przekonał się w końcu, że wpływ, jaki sobie przypisywał, jeżeli kiedy go miał, w rozgorączkowaniu tym wcale się już czuć nie dawał. Dębickiego słuchano, bo szedł z nimi, Radziejowskiego znać nie chciano i okrzykiwano go zdrajcą. Podkanclerzy, zamiast sam na siebie za fałszywą gniewać się rachubę i na szlachtę, która szalała, słuchać go nie chcąc, wszystko teraz składał na króla. Ani Kazimirski, ani Snarski, ani zręczny Proszka, na których rachował, pomoc mu do odzyskania wpływu nie mogli. Radziejowski poczwarną baśń wymyślił, aby siebie uniewinnić, a zburzonym się zalecić na nowo.

— Trzeba było zaraz, w pierwszej chwili, nazajutrz rano gonić uchodzących Kozaków —

począł wołać pomiędzy swymi. — Tymczasem kilka dni na poboju przespano, król rozkazów nie wydawał. Chytność to była. Przysłali potem Kozacy posłów, po cichu z nimi król sam traktował.

Pewna rzecz, że oni mu się wykupili. Mówią o trzystu tysiącach czerwonych złotych, które potajemnie przywieźli. Co za dziw? Królowie z Kozakami zawsze we znowach byli na zagładę

wolności naszych szlacheckich. Spiskował z nimi Władysław, idzie w ślady jego Kazimierz. A teraz, kiedy Kozacy w polu i na nowo się skupiają, pospolite ruszenie woła król, aby szlachtę wygubił.

Piorunem się to rozeszło do wieczora po obozie, że król od Kozaków pieniądze wziął.

Powtarzano owe trzysta tysięcy. Najpoczwarniejsza potwarz taka z tłumu znajdzie wiarę, zwłaszcza gdy mu posługuje.

Tegoż dnia doszło to do uszów Potockiego i Kalinowskiego. Koniecpolski, któremu

doniesiono, że Radziejowski to powtarzał i roznosił, nierozważnie poleciał wprost do króla, gdy inni chcieli przed nim utaić. W szlachetnym panu chorążym kipiało wszystko na samą myśl, iżby wysoko położony, do osoby panującego zbliżony dygnitarz śmiał i mógł być tak niegodziwym potwarcą. W gniewie się nie mogąc pohamować, wpadł do namiotu Koniecpolski. Król już i tak chodził przybity, czekając rychło li obóz zwiną i ruszyć się będzie mógł. Twarzy zmienionej gościa uląkł się Jan Kazimierz i podszedł z zapytaniem:

— Cóż znowu się stało? Klęska jaka?

Z załamanyh rękami chorąży począł swe oskarżenie w najgwałtowniejszych wyrazach.

Zbladł król słuchając i zadrżał, lecz wnet odzyskał pozorny chłód i rezygnacją.

— Wiem, że podkanclerzy do wszystkiego jest zdolnym — rzekł — lecz sądziłem go

rozsądniejszym, bo taką baśń ukuć może tylko człowiek, co nigdy na dworze nie bywał, ludzi nie widział. Ona się zbija swoją niedorzecznością.

— Niestety! — przerwał chorąży. — Znał ten, co ją wymyślił, głupotę tłumu, między który puścił tę potwarz. Najjaśniejszy Panie, podkanclerzy...

Król ręką rzucił.

— Znam człowieka — odparł — znosić go potrzeba, bo go nic nie nawróci ani naprawi.

Wyprze się własnych słów, wyprzysięże. Ja stoję przy swoim — dodał — każcie się wojsku

sposobić. Szlachta chceli, niech obraduje w kole, leży, ciągnie, czyni, co się jej podoba, moja cierpliwość doszła do kresu. Chcę widzieć waszą twierdzę w Brodach, wojsko niech ciągnie pod Krzemieniec, tam się nasze losy rozstrzygną.

Pomiędzy wojskiem i królem z jednej a pospolitym ruszeniem z drugiej strony dnia tego

rozbrat się stał widocznym. Wczorajsze narady, spisywanie punktów, obelżywe zarzuty przeciw królowi doszły do największego rozpasania. Działo się to jawnie, wyzywająco. Niemieckich pułków ani starszyzna, ani żołnierze około obozu pospolitego ruszenia pokazywać się nie mogli, obchodzono się z nimi prawie jak z nieprzyjaciółmi. Król przez cały dzień był czynnym;

przysposabiano się ciągnąć dalej.

Szlachta posyłała swoich niespokojna, aby dostać języka. Po- twierdzało się, że król szedł z wojskiem dalej na Krzemieniec, któż wie, w jakim kierunku potem i dokąd?

— Myśli nas na rzeź prowadzić? — wołała szlachta. — Ale i myśmy nie głupi! Chce obrońców wolności wygubić, aby samą wolność zatracić. Niedoczekanie jego! Do domów!

Wśród tej wrzawy Radziejowski, który wiedział, że królowi doniesiono o tym, co roznosił, nie pokazywał się nawet Janowi Kazimierzowi. Siedział w swoim namiocie mruczając, namyślając się, zwołując do siebie Dębickiego i całą czeredę krzykaczy.

— Nie chcą mnie jako rozjemcy — wołał rozjątrzony — nie pozostaje mi tylko stać w rzędzie nieprzyjaciół. Mój urząd mi daje prawo być przy królu; precz odegnąć mnie nie może. Stanę mu kością w gardle, na każdym kroku mnie znajdzie przy sobie.

Nad wieczór nie wytrzymawszy, kilka razy się porwał Radziejowski iść i cofać, na ostatek do namiotu kanclerza Leszczyńskiego pobiegł, dowiedziawszy się, że biskup na pacierze się tu schronił. Nie dawszy się kapelanowi odprawić, gwałtem prawie wtargnął przed oblicze poważnego kapłana.

— Oskarżono mnie pono przed Jego Królewską Mością, że ja zmyśliłem wieść o przekupstwie. Jawna rzecz, że król rad temu wierzy. Tak jest! Powtarzałem tę plotkę, bo ona chodzi po obozie z ust do ust. Wina jej spadnie na mnie. Nasz pan nie może znieść mnie z przyczyny żony, ja to wiem. Wszelako nie myślę ustępować i będę mój obowiązek pełnił.

Leszczyński słuchał tego wyznania gorączkowego z politowaniem niemal.

— Panie podkanclerzy — rzekł sucho — nie potrzebujecie się tłumaczyć przede mną. Mnie obce są te wszystkie dworskie intrygi. Sługa boży nie zna dróg waszych.

Radziejowski drżał cały.

— Król więc postanowił szlachtę do ostateczności rozjątrzyć, ciągnie pod Krzemieniec.

— Wierząc w to, że go wierna szlachta choćby dla czci swej nie opuści — rzekł kanclerz.

Rozśmiał się podkanclerzy.

— Byłaby może to uczyniła zaraz nazajutrz po bitwie, ale dziś — za późno. Król się powinien z nią porozumieć i ułożyć.

Leszczyński bystro mówiącemu w oczy spojrział, brewiarz roz- łożony na stoliczku ujął w

ręce, jakby chciał koniec uczynić rozmowie, i rzekł zimno: — Wszakżeście wy się uroczyście zobowiązali waszym wpływem ukołysać umysły. Nie dowiedzieliście tego, więc król już nadzieję stracił.

— Nie dowiedziałem tego — krzyknął gniewnie Radziejowski — bo za późno król mi to powierzył. Przystępu do niego nie mam, zaufania nie mam, więc i uczynić nic nie mogę. Gdyby się był całkiem zdał na mnie, dziś stałyby *rzeczy* inaczej.

— A, a! — westchnął Leszczyński i oczy spuścił na brewiarz. Podkanclerzy wiedział, że już tu nie ma co robić dłużej i wyszedł z namiotu.

Ci nawet, którzy nigdy szczególnej miłości dla króla nie mieli musieli się teraz nad nim litować. Ostatki energii, woli, męstwa wyczerpał w tej wojnie, widziano go niezmordowanym, narażającym życie, po kilka nocy w stalowej koszuli ledwie drzemającym chwilę, objeżdżającym strażę, stojącym wśród kul, nie szczędzącym siebie, gotowym na największe ofiary. Wszystko to kończyło się rzuconą mu w oczy najniedorzeczniejszą potwarzą i odstępstwem. W godzinie tej gorzkiego rozczarowania Jan Kazimierz ostatek jeszcze dobrej woli kładł na szalę, choć już się nie spodziewał prawie zwycięstwa. Wszystko mu się z rąk wyślizgało. Jeremiego, jedynego zbawcy, kazano mu się obawiać jako zazdrosnego współzawodnika, niemal jak wroga. Szlachta czyniła go winnym spisku na swą zagładę. Posłuszeństwo i karność z każdym dniem słabły. Stał osamotniony, a na domiar boleści miał u boku człowieka złego, zuchwałego, mściwego, którego pozbyć się nie mógł z oczów i drzwi mu zamknąć. Nie dziw też, że znękany po całych dniach klęczał przed obrazem, modlił się, albo dziecięciawszy prawie, ze służbą swą zabawiał się nie jak królowi przystało.

Przez całą noc znowu szlachta się tłumnie gromadziła na placach między swymi wozami i taborami, pod namiotami i szałasami, tak że dopiero nade dniem się porozchodzili i pokładli.

Ledwie posnęli, gdy ich ranna trąb pobudka zbudziła trwogą. Jak kto stał, w koszulach, w opończach, półnago, pozywali się z pościeli sądząc, że nieprzyjaciel może na obóz napadł.

Przekonano się wkrótce o tym, czemu wierzyć nie chciano, że wojsko i król wychodzili pod Krzemieniec, pozostawiając pospolite ruszenie własnym jego siłom i rozumowi.

Kwarciani, piechota zaciężna, tak zwane pułki niemieckie, Przyjemski z działami, wierne królowi chorągwie panów i senatorów z kolei bijąc w bębny, przy odgłosie trąb, z rozwiniętymi chorągiewkami wyciągały, a szlachta przecierając oczy, klęcząc, z trochę wstydu a złością wielką patrzyła osłupiona. Dopieroż jeden do drugiego z namiotu do namiotu poczęli wołać:

— A co? Król nas Kozakom na zakąskę porzucił! Ciągnie. Jak Boga kocham! Wojsko całe z nim.

Ponuro spoglądali niektórzy i we mgnieniu oka odziewać się zaczęto. Chciano do króla posłów wyprawić, ale dano znać, że on, rano bardzo wyjechawszy, już o parę mil być musiał. Z

panów senatorów mało kto pozostał. Ci, co spóźnili się, zwijali namioty i siadali na konie. Jeden tylko podkanclerzy za królem nie jechał.

Kupami się poczęli gromadzić ci, co wczoraj najgłośniejszymi wykrzykiwali, ale z twarzami powarżonymi. Inni sobie dodawali otuchy powtarzając:

— *Cóż wielkiego? Tośmy uczynili, czegośmy chcieli. Nie pójdziemy, lecz pociągniemy do domów, król nami wzgardził, słowa nam dobrego nie powiedział, nie myślimy się przed nim płaszczyć.*

Nie wszyscy jednak tak trzymali. Z województwa krakowskiego i sandomirskiego

Myszkowski i ksiązę Dominik, którzy jeszcze pozostali z ziemianami, zwołali swoich, co stateczniejszych, na radę.

— Ja tam nikomu się nie zalecam ani też kogo boję — odezwał się poufale do Krakowian

ksiązę Dominik — ano, co prawda, że my tu w sromotnym sztychu pozostaliśmy. Króla tak odbiec bez jakiegoś porozumienia, brzydka by była rzecz.

— I ja tak trzymam — dodał Myszkowski. — Nasze dwa województwa na poboju dały dowody, że nie z tchórzostwa odmawiają iść dalej.

Zaczęto po wczorajszemu na króla wywodzić zaskarżenia, ale Myszkowski usta zamknął krzykaczom.

— Puste słowa są, trzeba myśleć, jak ze czią z tego wyniść. Ksiązę Dominik przerwał:

— Posłów należy do króla wyprawić. Nie chce wszystka szlachta ciągnąć z wojskiem czy nie może, ale wybrać z między siebie pułków kilka, na to nas stało.

Przyjęto milczeniem zrazu ten wniosek. Oglądali się po sobie ci, co gardłowali: „Nie pójdziemy.”

— Król królem — odezwał się Myszkowski — a majestatu gdy my nie poszanujemy, nas też inne narody w wielkiej estymie nie będą miały. Rzeczpospolita bez głowy nie może być.

Mruczano już ciszej coraz, ale szlachta się ściągała i z innych ziem i województw. Wszyscy byli markotni. Nie przypuszczał nikt, ażeby Jan Kazimierz tak sobie śmiało postąpił. Pozwolił koło zwołać, zdawało się więc wszystkim, że z nim uczynią, co zechcą. Cały dzień zeszedł na mitręgach próżnych i wzajemnych wymówek, poczynano się waśnić. Radziejowski się nie pokazywał.

Mówiono, że i on sposobi się do odjazdu, że powraca do Warszawy.

Z wieczora buty dużo ubyło. Sam widok tego opustoszałego obozowiska, gdzie stały

najpiękniejsze chorągwie w porządku i karności trzymane, osamotnienie szlachty, która się czuła sama sobie postawioną i niespokojną, potrzeba czuwania, aby kozactwo; korzystając z tego, nie napadło, znacznie ujęły zuchwałości. Godzili się już wszyscy, iż potrzeba było króla przebłagać czymś; ofiarowano się na dwanaście tysięcy ludzi zdobyć. Reszta zniechęcona napierała się do domów. Niektórzy też z panów wojewodów, czasu wyprawy zmóglszy się na traktamenta i otwarte stoły, radzi byli koniec położyć temu.

Trzeciego dnia posłów wybierać miano do króla, który po obejrzeniu twierdzy w Brodach,

powinien był się znajdować w Krzemieńcu. Stanęło na tym, aby jechali starosta libuski Władysław Rej i starosta horodelski Czaplic. Obaj, ludzie głady, mieli naprawić to, co szorstkie z królem obejście się nadwerężyło. Na dwanaście tysięcy już się województwa godziły.

Gdy obóz opuszczali panowie posłowie, wcale on wyglądał inaczej niż przed kilku dniami.

Smutno w nim było i pusto. Pospolite ruszenie samo, nie rozpuszczone przez króla, rozejść się bez nadwerężania prawa nie mogło. Nuż król by się miał uprzeć ciągnąć je ze sobą? Więc rokosz? A tu Kozacy na karkach i widma ich chodzące po świeżo zdobytych okopach, w których jeszcze nimi śmierdziało, bo trupów dosyć nie pogrzebionych leżało. Nie domyślał się nikt, w jakim

usposobieniu króla znajdą posłowie. Znano go zmiennym.

Z resztą męstwa i wiary wyruszył król ku Brodom. Miał odrobinę nadziei jakiejś, że szlachta dla czci swej pójdzie za nim. Na- stępnych dni, gdy mu znać dano, że województwa pod

Beresteczkiem jeszcze leżąc, nie wiedziały same, jak węzeł ten rozplatać, Jan Kazimierz rzekł

Konieczpolskiemu:

— Nie uratuje nikt narodu, który sam się ratować nie chce. Czyniłem, na co mnie stało, nad siły to moje. Niech Bóg się ulituje przyszłości; mnie odpadło męstwo i ochota. Gwałtem

opierających się nie wezmę, otwartego rokoshu nie chcę ściągać, Bóg z nimi. Ja tu już nie mam co czynić. Na hetmanów zdam wszystko, na hetmanów. Na ciele znużony jestem, lecz to by niczym było, dusza moja chora.

Z tym król do Krzemieńca przybył i w istocie odpoczywać musiał, bo doktor Baur o

zdrowie był niespokojny.

Rej z Czaplicem przybyli. Wiadomość o tym mało co poruszyła króla. Z twarzą zastygłą,

wcale inną od tej, którą widywano czasu wojny, wyszedł naprzeciw posłanym, uprzejmie ich

witając, ale zimno. Innego w nim znaleźli człowieka. Wysłuchał poselstwa cierpliwie i łagodnie.

— Bierzecie na sumienie wasze przyszłość? — rzekł. — Dźwigajcież odpowiedzialność za nią. Chciałem inaczej skończyć raz wojnę, zgasić pożar, któremuśmy się rozpostrzeć dali.

Westchnął ciężko.

— Niech pospolite ruszenie do domów ciągnie — rzekł — a bodaj one bezpiecznymi były od nieprzyjaciela. Hetmanowie pójdą dalej, jam tu już nieprzydatny.

Odprawieni tak łagodnie, ale obojętnie, posłowie, choć dopięli tego, po co przybyli, nieradzi powracali. Król się z nimi rozstał jak z obcymi, nie dawszy dobrego słowa.

Nazajutrz rozeszła się wieść, że na hetmanów zdał Jan Kazimierz wszystko, a sam do stolicy powracał. Dość było spojrzeć nań, aby zniechęcenie i znużenie wyczytać na twarzy. Do smutku przyłączyła się choroba i król cierpiący mocno przyjechał do Lwowa.

Po kraju chodziły radosne tylko wiadomości o zwycięstwach odniesionych pod

Beresteczkiem, o rozproszeniu Tatarów i kozactwa. Lwów chciał zwycięzcę bramami tryumfalnymi i uroczystością powitać wielką, ale król przodem wysłał, aby tego nie czyniono. Gorycz, którą był

przejęty, te tryumfy w szyderstwo by zmieniła. Bez rozgłosu, cicho, smutnie wjechał do stolicy Rusi i nazajutrz w łóżku leżeć musiał.

Wyprawiony stąd poseł do królowej oznajmić jej miał o chorobie, potrzebie odpoczynku i

bliskim do Warszawy powrocie. Z listów wiało zniechęcenie, które Marią Ludwikę dotknęło mocno. Pracowała właśnie nad tym, aby beresteckie zwycięstwo uczynić głośnym i wielkim.

Zagraniczne pisma sławiły je i wystawiały króla jako rycerza i bohatera. Wizerunki jego z laurem na skroni rozrzucano po świecie.

We Lwowie Jan Kazimierz z tego ożywionego wielkim duchem pogromcy pogan i rebelii z

wolna powrócił do znużonego i życiem zmęczonego dawnego swego stanu. Strzębosz, który

powrócił był na służbę, patrzył zdziwiony. O całej wyprawie tej niechętnie mówił, o swoim udziale w niej milczał.

— Wszystko to rzucone w błoto, daremne. Porażą hetmanowie kozactwo, ale go nie złamią.

Ognia takiego nie zgasić, po trosze go tłumiąc. Niech kraj o sobie myśli.

Znowu tedy lada o czym począł Jan Kazimierz prawić, żartować i swawolę dworzan

wywoływać. Poważny mąż przechodził w dziecienniałego, skwaszonego, niemal przedwczesnego starca. We Lwowie mimo woli zatrzymywała go choroba, którą upały zrodziły. Podniósł się z niej wycieńczony i musiał sił nabierać, nim dalej do Lublina mógł się puścić.

Baur w Lublinie spoczywać kazał. Tu przyszła wieść, że mała królewna, której narodzinami się tak cieszą, umarła. Jan Kazimierz nie okazał wielkiego smutku. Spodziewano się wkrótce nowego przybysza. Marii Ludwiki listy żałobne były i smutne.

W Lublinie dowiedział się król też o podkanclerzynie, która po dwakroć prosiła Marii

Ludwiki o posłuchanie, chcąc się przed nią oczyścić z potwarzy. Królowa pod wrażeniem tego, co Radziejowski jej donosił, po dwakroć odmówiła przyjęcia. Była to chwila, w której dzięki zabiegom męża potwarzami okryta Radziejowska wszystkie drzwi znajdowała zamknięte przed sobą. Zrozpaczona., chciała przynajmniej w oczach królowej być czystą. Po dwakroć odepchnięta, dumą i uczuciem niewinności swej wsparta, podkanclerzyna poczęła się do opuszczenia pałacu przygotowywać.

Naówczas królowa wreszcie, zdjęta więcej ciekawością niż współczuciem, kazała dać znać podkanclerzynie, że przyjętą być może.

Radziejowska odmówiła dumnie.

— Stukałam pokornie po dwakroć do drzwi Jej Królewskiej

Mości — odpowiedziała — zamknięto je przede mną, nie przestąpię więcej tego progu.

Królową to zabolalo.

Przybyli na radę obaj bracia podkanclerzyny, która się powrotu męża obawiała. Po naradzie z nimi wszystko, co drogocenne miał dawny pałac Kazanowskich, kazano zbierać, pakować na wozy i w części do klasztoru Klarysek, dokąd się podkanclerzyna schronić zamierzała, w części u braci, w bezpiecznych miejscach złożono. W ten sposób Radziejowska zapewniła się od męża, którego chciwość była jej znaną. Głośno mówiła o rozwodzie.

Wkrótce owo pięścidełko, które cudzoziemcy z podziwieniem oglądali, owo

Kazanowskiego królewskie gniazdo opustoszało. Pozostały w nim nagie ściany i to tylko, co się od nich oderwać nie dało. Kosztowne nawet jedwabne flamandzkie i skórzane hiszpańskie obicia wyłacane ze ścian zdarto. W skarbcu, w cekhauzie, w piwnicach nigdzie nic nie pozostawiono oprócz połamanych szczątków.

Radziejowska sama przeniosła się do klasztoru Klarysek, które hojnie obdarowawszy,

zjednała sobie. Była to zapowiedź rozłączenia się z mężem i rozwodu. Radziejowska mówiła głośno: — Życ z nim nie mogę, raczej umrę, niż do niego powrócę.

Król o tym wszystkim dowiedział się dopiero w Lublinie, choć z tego, co przywiózł

Strzębosz, domyślać się mógł, na co się zanosilo. Stawilo go to w dosyć przykrym polozeniu.

Zmuszonym byl opiekowac sie podkanclerzyna i broniec jej, a wystapienie jego musiało być przeciw Radziejowskiej i niemu tłumaczonym. Przyspieszyło to może powrót króla do Warszawy, bo chciał podkanclerzego. uprzedzić.

Radziejowski spod Beresteczka wprost nie jechał do Warszawy, zatrzymał się w Kryłowie, próbował dowiadywać się do dóbr po Kazanowskim spadłych na żonę, którymi czuł się w prawie zawiadywać, ale tu wszędzie już znalazł panów Słuszków, ich rządców i komisarzy umocowanych, przeciwko którym chyba siły zażywać by musiał. Wszystko to zwiastowało wojnę właśnie w momencie., gdy on ją królowi też zmuszonym był wypowiedzieć. Opieki Marii Ludwiki nie był pewien, stosunki z nią od niejakiego czasu ostygły. Skargi króla na Radziejowskiego, poparte doniesieniami innych, królowej wiernych, odsłoniły przed nią bezecne zabiegi podkanclerze- go.

Owa potwarz ostatnia, obwinienie o przekupstwo oburzyło Marią Ludwikę.

Dosyć uroczyście wjechał król do stolicy, chociaż inaczej może spodziewał się do niej powracać. Wprost najpierw z całym dworem zajechał przed kościół Świętego Jana, gdzie na niego duchowieństwo, senatorowie; królowa i mnóstwo zgromadzonego ludu oczekiwało. Po odśpiewaniu pieśni dziękczynnych razem z Marią Ludwiką udał się król na pokoje, gdzie znowu powinszowania, życzenia, pochlebstwa posypały się do stóp zwycięzcy, który je przyjmował tak zasepiony, jakby się nie czuł ich godnym.

Królowa pierwsza dostrzegła w mężu to zniechęcenie, które rosło, gdy wielkie czyny,

bohaterstwo i sławę jego wynoszono. Ani na chwilę lice mu się nie rozjaśniło, a kilka słów swobodniejszych, które się z ust wyrwały, tyczyły się rzeczy drobnych i wypadków nic nie znaczących. Po tym przyjęciu urzędowym królestwo oboje znaleźli się sam na sam. Jan Kazimierz odetchnął. Pierwsze jego wyrazy były wybuchem długo tłumionego żalu. Począł się boleśnie uskarżać przed żoną na niewdzięczność ludzi, na zniewieściałość szlachty, która umiała krzyczeć, ale bić się nie chciała.

— Powracam nie jako tryumfator, choć na pozór zwyciężyliśmy, ale jako nie wierzący już w nic i powątpiewający o przyszłości.

Maria Ludwika, która słuchała, nie okazując wcale zdziwienia, zamknęła mu wkrótce usta.

— Wszystko to ja wiem i czuję tak dobrze, jak i ty — rzekła — ale ani ja, ani ty nie

powinniśmy okazywać, że się za upokorzonych i pogwałconych uznajemy. Walczyć musimy do końca.

Król wybuchnął znowu.

— Ten łotr Radziejowski, ten zajadły wróg mój, wiesz, co rozpuścił za wieści?

— Radziejowski niegodziwym jest człowiekiem — przerwała królowa — ale ta nieszczęsna żona, którą się ty opiekujesz, daje mu moc nad tobą.

Jan Kazimierz cisnął ramionami.

— I wy wierzycie temu! — zawołał.

— Mówię, co słyszę i widzę — sucho ciągnęła dalej królowa. — Radziejowskiego potrzeba czymś ugłaskać, jest to zuchwalec nieulekniomy. Daliście mu pieczęć i prawo nieodstępowania was, nie ustąpi też i doje do żywego.

— A! Zobaczymy — odezwał się król posępnie.

— Sejm się zbliża — mówiła dalej Maria Ludwika — od niego zależy dalsze prowadzenie wojny, obrona kraju, wszystko. Radziejowski poruszy kraj, ściągnie posłów warcholów, zaburzy, nic zrobić nie da. Od niego można się wszystkiego spodziewać.

— Ty masz nad nim przewagę — dodał król — użyjesz jej i swego wpływu.

— Jeżeli nie będzie za późno — szepnęła królowa zadumana. Właśnie prawie gdy się to działo na zamku, podkanclerzy, już w Radziejowicach uwiadomiony o opustoszeniu pałacu, biegł do Warszawy wściekły, z odgrózkami na ustach. Wszystkich ludzi, dwór, czeladzie, jakie tylko mógł zebrać, prowadził z sobą zbrojne. Wjazd jego na te puste dziedzińce, do murów poodzieranych ze wszystkiego, gdzie ani usiąść nie było na czym, ani spocząć, wprawił go w szal i wściekłość. Obie ręce ściśnięte przykładął sobie do czoła, jakby z nimi się chciał rzucić na żonę, i krzyczał:

— Wojna więc, otwarta wojna! Ale nierówne siły. Radziejowski pokaże, co może, mościa pani! Nie jest on ani sam, ani bez broni!

Co chwila na pytania rzucane odpowiadano mu tym, że zabrano wszystko. W kuchni nie było w czym jeść zgotować, w stajniach stały żłoby puste, cekhauz był cały wypróżniony.

Jak obłąkany latał po izbach i stawiał, znajdując tylko ślady po sprzętach, nigdzie nic. Nawet wytworna kapliczka domowa podkanclerzyny, ze swymi relikwiami i posążkami, rozebrana była i zabrana. Trzeba było naprędce zapożyczać się u mieszczan, a na całą noc słać do Radziejowic, aby stamtąd rzeczy pierwszej potrzeby pościągać.

Gdy mu mówiono, że pałac był odarty, wyobrażał sobie, iż tylko najkosztowniejsze zabrano sprzęty i precjoza, nie znalazł nic. Człowiek tego co on temperamentu musiał do

najgwałtowniejszych uciec się środków. Nie chciał przypuścić ani tego, aby mu żonę miał rozwód odebrać, ani by on przez nią był pokonany, upokorzony w oczach ludzi. Nazajutrz rano z wrzawą i gorączką podkanclerzy zuchwale wpadł do króla, domagając się sprawiedliwości.

Zimno odpowiedział mu Jan Kazimierz, że sprawy nie zna i że do niej mieszać się nie chce.

Tu zresztą nie cywilne, ale duchowne władze rozstrzygały.

Radziejowski tym razem stanął przeciw królowi z nigdy jeszcze nie objawionym tak

gwałtownie zuchwalstwem. Groził, a gdy król począł go zbywać milczeniem, wybiegł bez

pożegnania oszalały. Wprost od króla udał się do nuncjusza. Włoch być musiał przygotowany na jego przyjęcie. Wielka powaga posłannika Stolicy Apostolskiej, jego moc zmuszały

Radziejowskiego do pokory. Włoch łagodny i słodki, pełen dobrotliwego współczucia, przyjmował go z największą uprzejmością.

Podkanclerzy począł od zażaleń na całe postępowanie żony, a nie śmiąc wyraźnie obwinie

króla, dał się domyślać jego winy. Nuncjusz wcale tego rozumieć nie chciał.

— Żona powinna powrócić do mnie. Wasza Eminencja rozkażcie klasztorowi, aby mi ją

wydał. Nie ma żadnego powodu do rozłączenia się, a ja go nie chcę i nie dopuszczę.

Nuncjusz dał mu się wypowiedzieć, wyskarżyć, ile chciał, słuchał z bezprzykładną

cierpliwością. Wśród najgorętszego rozwodzenia się nad gorszącym postępkiem kobiety Włoch dał

znak z najzimniejszą krwią, aby podano czekoladę. Chciał nawet napić nią podkanclerzego, który szorstko odmówił, co nie przeszkodziło nuncjuszowi z wielką gracją, białą rączką przyozdobioną przepyszny pierścieniem ze szmaragdem, maczać biszkopty w wonnym napoju i pożywać ich z błogim zadowoleniem.

Skończył na ostatek podkanclerzy, nuncjusz filiżankę postawił, usta otarł i począł z

uśmiechem:

— Ubolewam sercem całym nad nieszczęściem, jakie was, dostojny panie, dotyka, rad bym

z duszy zaradzić temu, ale Kościół w takich razach zmuszony jest postępować z nadzwyczajną oględnością. Klasztor i Kościół tych, którzy pod jego skrzydłami szukają ochrony i opieki, nie mogą odpychać ani odtrącać. Pani podkanclerzyna pozostanie u Klarysek przynajmniej, dopóki w procesie rozwodowym się nie rozpatrzymy.

— Ale ja rozwodu nie dopuszczę! — zawołał Radziejowski. Nuncjusz zmilczał. Tu jak z

królem odgrażać się nie było podobna, a zuchwałstwo mogło zniechęcić księżęcia Kościoła.

Po godzinnych próżnych naleganiach i przekonywaniach Radziejowski musiał z niczym

ustąpić. Rozszalały, nie powściągający się, gdy go gniew opanował, tegoż dnia wydał się z tym, że furty klasztornej szanować nie myśli i ma dosyć ludzi, ażeby ją wyłamać, a żonę odzyskać. Ruch pomiędzy jego służbą zwrócił oczy, miano też baczną na każdy ruch jego i słowo.

Pani podkanclerzyna dowiedziała się o tym w klasztorze i strwożona dała znać na zamek.

Król bez namysłu kazał ludziom ze swej gwardii osadzić natychmiast furte klasztorną. Sądzone jednak, że tego starczy, aby Radziejowskiemu odebrać ochotę napaści.

Tymczasem czy nie wiedział, że gwardia w klasztorze stała, czy sobie to lekceważył,

podkanclerzy nazajutrz z gromadą zbrojnych ludzi zjawił się u bramy. Zuchwale dopominał się wydania żony. Odpowiedziano mu, że podkanclerzyna postanowiła tu pozostać i nie wyjdzie.

Naówczas Radziejowski, krzyknąwszy na ludzi, rzucił się na bramę, ale w tejże chwili gwardia królewska z muszkietami stanęła naprzeciw, zagradzając mu drogę, a dowódca jej krzyknął wcale niegrzecznie, iż ma rozkaz siłą odeprzeć wszelkie targnięcie się na spójność i klauzurę klasztorną.

Radziejowski, klnąc i pieniąc się, dał znak ludziom do odwrotu. Tłumy, ściągnięte

ciekawością, śmiechem szyderczym odciągającego podkanclerzego ścigały. Powrócił do pustego pałacu, gdzie na niego przyjaciel Dębicki oczekiwał. Wchodząc do sali, w której znajdował się podczaszy, Radziejowski drżał i mówić nie mógł. Stał w końcu przed Dębickim i palec na palec złożywszy do przysięgi, podniósł ręce w górę.

— Słuchaj i bądź świadkiem — zagrzmiał głosem ogromnym — przysięgam zemstę jej i

królowi. Znajdzie mnie teraz Niemiec ten na każdym kroku nieodstępnym, przypiję się do niego jak kleszcz, ssać go będę jak pijawka. Przysięgał niegdyś Zebrzydowski, że Zygmunta królestwa pozbawi. Ja mu zedrę koronę z głowy, życie mu zatruję... Ząb za ząb...

Dyszając padł na ławę.

— Zbliża się sejm. Dębicki, na tobie polegam. Spędzim mu posłów, którzy go ścigać i

prześladować Będą, wyrwiemy mu z rąk władzę. Zapłaci mi za wszystko. Radziejowski małym mu się wydaje. Pokażę, iż ma więcej siły w tym królestwie niż on... Drogo będzie musiał opłacić te amory...

Głos mu drżał. — Wiesz — rzekł — co czynić mamy, a ja pójdę go jeść. Będzie mnie miał każdej chwili jak groźbę nieustanną na oczach. Nie dam się odpędzić, nie dam się przejednać. — Podniósł pięść do góry. — Pozna, co to wojna ze mną!

Rozdział IX

Podkanclerzyna pozostała w klasztorze, a wojna między królem a Kadziejowskim poczęła się tak nieubłagana, jak zapowiadał.

Miała ona szczególny, odrębny, wyjątkowy charakter i znamię, które jej nadawał zajadły, ale obrachowany Radziejowski. Prześladowanie Jana Kazimierza zależało całe na tym, iż podkanclerzy go nie odstępował po całych dniach. Wciskał się, wchodził gwałtem i stał na oczach. Niekiedy tylko słowo jak, zjadliwe ukąszenie wyrывało się z ust jego. Przynosił z sobą zwykle, co tylko króla dotknąć mogło i zmartwić, zabierał głos przy obcych w ten sposób, aby mu okazać lekceważenie.

Potrzeba było cierpliwości nadzwyczajnej i poczucia godności swej, aby milczeniem zbywać zaczepki i wzgardą je odpłacać. Lecz męczarnie trwały czasem niemal po całych dniach godzinami. Stawało się to zabójczym dla Jana Kazimierza, który wytrzymałym nie był w niczym i lękał się, aby w chwili rozdrażnienia nie dopuścił do otwartego wybuchu.

Urząd podkanclerski, chociaż król unikał posługiwania się małą pieczęcią i zamiast niej prywatną swoją listy pomniejsze i urzędowe nawet akta koroborować kazał, dawał prawo

Radziejowskiemu do tego natręctwa złośliwego.

Odpychany widocznie, stawał się tylko jeszcze bardziej naprzykrzonym. Słowem, była to walka, która uwłaczała godności monarchy. Z jednej strony niemal bezsilność, z drugiej zuchwalstwo bez granic. Oprócz tego podkanclerzy, wychodząc z zamku, wynosił z sobą

szyderstwo i najzłośliwsze tłumaczenia każdego króla postępków. Ani publiczne czynności, ani życie prywatne nie uchodziło jego oka. Król wiedział, że na prowincjach Radziejowski z pomocą Dębickiego, Zamoyskiego jednego i kilku swych przyjaciół gotował na przyszłym sejmie najstraszniejszą królowi opozycją.

Maria Ludwika, dla której podkanclerzy zachował pewien rodzaj poszanowania, udając

politowanie nad jej losem, próbowała na próżno swoim wpływem go poskromić. Zaciętość przeciw królowi nie miała granic. Jan Kazimierz, zrozpaczony niemal, wołał czasem, że dałby, co by kto zażądał, byle go od podkanclerzego uwolniono.

W tym czasie zmarł właśnie stary, sędziwy, zasłużony hetman Potocki. Pozostawały po nim do rozdania: buława wielka, kasztelania krakowska i starostwo lubelskie.

Ni mniej, ni więcej Radziejowski począł wołać i głosić, że mu się buława należała, do której ani zdolności, ani zasług, ani najmniejszego sobie rościć nie mógł prawa. Było to oburzającym.

Przy tej władzy, jaką zapewniała buława wielka koronna, oddanie jej nieprzyjacielowi

znaczyło zdanie się na jego łaskę lub niełaskę, zaprzędanie się w niewolę. Radziejowski tak rachował na to, iż króla nastraszył, że mu się stał groźnym, iż śmiał na hetmańską buławę tu rachować.

Król na samą wzmiankę rzucił się i krzyknął:

— Gdybym życiem miał to przyplacić, nigdy w świecie! Wszyscy też bliżej Jana

Kazimierza stojący, królowa wreszcie, której wpływ zawsze był stanowczym, oburzali się na to wymaganie, zowiąc je szalonym.

Jednakże potrzeba było zapewnić się, że sejm nie będzie burzliwym i bezpłodnym i że

Radziejowski przestanie ścigać króla.

Jan Kazimierz powtarzał, że żąda tylko nie mieć go zawsze na oczach, za sobą i przy sobie.

Maria Ludwika więc wniosła, ażeby wykupując się, dać wrogowi jedno z największych dostojęństw w Rzeczypospolitej: kasztelanią krakowską i starostwo lubelskie. Ofiara to była istotnie olbrzymia, którą w innych razach największymi zasługami zdobywać było potrzeba. Dać takiemu warchołowi kasztelanią, było niemal uznać się zwyciężonym.

— Dam mu kasztelanią — odparł król — byłem go na oczach nie miał, byłem go nie

widział, niech bierze starostwo lubelskie. Nie uczynił nic, aby na nie zarobić, zmusił mnie jak Cerber do zatkania sobie paszczy, niech precz idzie tylko!

Stała się rzecz nie do wiary. Kanclerz Leszczyński miał sobie poleconym oznajmić to

Radziejowskiemu. Podkanclerzy, który powinien był przyjąć łaskę królewską z wdzięcznością, zapewne wnosząc, iż groźnym był tak, że wszystkiego, co chciał, mógł wymagać, odparł

lekceważąco:

— Zdało mi się, że na buławę zasłużył i ona mi nalepy, kasztelanii ani pragnę, ani

przyjmę;

Leszczyński, który wcale pyszałka szalonego nie szczędził, mimo woli się przeżegnał.

— Nie chce mi się własnym uszom wierzyć — rzekł. — Jakież to zasługi panu

podkanclerzemu do buławy dają prawa? Byłoby to z pokrzywdzeniem innych. Król nigdy tego uczynić nie może, boby sądzono, że się waćpana nastraszył.

Podkanclerzy odparł zuchwale:

— Wolno sądzić, jak się komu podoba, ale chcieli król, aby mógł i o sejm, i o wojsko, i o pobory spokojnym być, niech mi da buławę, inaczej... inaczej ja nie ręczę, czy kto wzburzoną szlachtę poskromić potrafi.

Kanclerz nie chciał się w rozprawy wdawać, spytał tylko:

— Rozważyłeś to, panie podkanclerzy? Mam tę odpowiedź królowi jegomości dać w jego imieniu?

— Nie cofam jej i nie cofnę — zawołał dumnie Radziejowski — albo buława lub nic.

Zdumienie było wielkie, król osłupiał; Maria Ludwika posłała sekretarza Des Noyers, aby do niej prosił Radziejowskiego. Nadzwyczajna pobłażliwość i dobroć króla, zamiast opamiętać szaleńca, uczyniły go stokroć śmielszym. Śmiał się i szydził, a Dębickiemu zaręczał, że buławę dostanie. Gdy się to rozeszło pomiędzy obecnymi w Warszawie senatorami, wierzyć nie chciano zrazu, aby podkanclerzy takiego szaleństwa się dopuścił. Miano za złe Janowi Kazimierzowi powolność, a co gorzej przypisywano ją łasce zbytycznej dla pięknej podkanclerzyny. Król zamiast sobie tym poradzić, szemranie obudził. Buława wielka w rękach Radziejowskiego po prostu śmiech wzbudzała.

Na zawołanie królowej z południa stawił się podkanclerzy do niej, ale wszystko to razem czyniło go coraz zuchwalszym tylko. Obawiano go się, to było jawnym, zatem trwogę powinien był

wyzyskać. Królowa zdobyła się na uprzejme dawnego kraj czego swego przyjęcie, który z butą wielką się stawił i jakby rozgorączkowany. Poczęła łagodnie od oznajmienia mu o kasztelanii krakowskiej i starostwie lubelskim.

Wystąpić jawnie z żądaniem buławy nie wypadało Radziejowskiemu, miał już przygotowane tłumaczenie.

— Bardzo jestem wdzięczny Jej Królewskiej Mości — rzekł z ukłonem szyderskim — ale

czując, że nie mam łaski, że to jest tylko środek pozbycia się nieznośnego natręta, nie chcę być winien godności tej wstrętowi do mnie. Król jegoś powinien by na- reszcie przekonać się, że w terażniejszych okolicznościach nie obej dzie się beze mnie.

Maria Ludwika poczęła go łagodnie namawiać na przyjęcie najpierw krzesła w senacie Rzeczypospolitej. Podkanclerzy dziękował.

— Najjaśniejsza Pani — rzekł — nie przyjmę go, to pewna, nie mogę i nie przyjmę.

Dosyć długo na różny sposób usiłowała go zmiękczyć królowa, na próżno; wszystko się rozbiło o twardy upór i zapewnienie, że kasztelami nie chce i nie weźmie.

Nikt nie śmiał o tym poczwarnym wzgardzeniu łaską króla donieść mu. Jan Kazimierz

wierzył w to, że Radziejowski weźmie krzesło to ze starostwem i na ostatek uwolni go od przebywania na dworze. Królowa nawet wahała się wyznać przed mężem, że i ona prosiła na próżno. Próbowwała jeszcze przez rozmaite wpływy działać na podkanclerzego, lecz im więcej na niego nalegano, tym jemu zdawało się, że był niezbędniejszym i groźniejszym.

Na wszystkie odpowiadał dumnie:

— Nie darni buławy, nie chcę nic! Rozprawimy się na sejmie! Na zapytanie króla Maria

Ludwika musiała wreszcie oznajmić mu, że podkanclerzy pogardził kasztelanią krakowską i przyjąć jej nie chciał. Zdawało się to tak nieprawdopodobnym, iż Jan Kazimierz nie rozumiał odmowy w początku. Królowa musiała mu, nic nie tając, opowiedzieć swą rozmowę z Radziejowskim, swe starania i pogardliwą odprawę, jakiej doznała. Zbladł król z tłumionego gniewu.

— Otóż — rzekł — czym jest w Polsce panujący i jaka moc jego!

Rozpostarł ręce i zamilkł.

Wlokło się tak przez dni kilka, w ciągu których Radziejowski wpadał na pokoje z butą ogromną, stawał przed królem, w oczy mu prawił groźby nie w swym dmieniu, ale jako przepowiednie sejmowe i nie dawał spoczynku Janowi Kazimierzowi.

Najłagodniejszy charakter, najbardziej znużony i osłabły człowiek ustępuje przeciw do pewnej granicy tylko. Podkanclerzy nie zrozumiał tego, że przebrał miarę.

Dębicki ośmielał się z cicha mu podszeptywać:

— Możecie się pochwalić tym, co nierychło drugi raz w tej

Rzeczypospolitej komu się przygodzi, postponować kasztelanią krakowską!

— Wszystko lub nic! — odparł zuchwale podkanclerzy — albo teraz lub nigdy. Wiem co i dla czego czynię. Złamię go, nie ustąpię!

Tymczasem ze strony króla i oferty ustały, i wszelkie do przejedwania kroki. Radziejowski cisnął się na pokoje; Jan Kazimierz nie patrzył na niego, a wakanse po hetmanie zostały rozdane.

Podkanclerzy szalał niemal.

— Zobaczymy — powtarzał, naradzając się z Dębickim — nadchodzi sejm, rozprawimy się z królem jegomością, rozprawimy.

Wszystko wróciło do dawnego trybu. Król nie patrzył na podkanclerzego, a Radziejowski zajadle mu doskwierał.

Sprawa z podkanclerzyną ciągnęła się bez nadziei rozwiązania rychłego. Radziejowski tymczasem w zajęтым pałacu po Kazanowskim rozgospodarowywał się jak w domu. Sprowadził kilka działek, posadził małą załogę, jakby przeczuwał, że go stąd wyprzeć zechcą, ściągał sprzęty z Radziejowic. Wszystko to czyniło się umyślnie, ostentacyjnie, jawnie, aby tym drażnić podkanclerzynę, której donoszono o każdym meża kroku.

Życie jej w klasztorze mimo całej rezygnacji stawało się w końcu nieznośnym, do innego była nawykła. Tu nikt jej nie odwiedzał, nie miała innego towarzystwa nad litościwe, ale wcale świata nie rozumiejące zakonnice. Dnie stawały się długimi, nabożeństwo ich całych zająć nie mogło. Podkanclerzyną zalewała się łzami. Nie było jednak ratunku, bo o zgodzie z mężem słuchać nie chciała. Radziejowski zaś przeciwko żonie tym zacięcej powstawał, że próba zagarnięcia jej majątności nie powiodła się.

Bracia podkanclerzyny, szczególnie Bogusław, starszy, czuwali nad siostrą i gotowi byli przyjść jej w pomoc. Bogusław, który może zbyt wiele na króla i jego protekcją rachował, oznajmywał przybycie swe na sejm, dodając w listach do siostry, że gromadkę Litwinów z sobą przyprowadzi.

Odgróźki Radziejowskiego z jednej strony, z drugiej Słuszków przechwałkami się równoważyły. Rozdrażnienie rosło. Podkanclerzy miał jakieś przecucie, że mu pałac, który zagarnął, Słuszkowie odebrać zechcą, ale mając w nim parę działek i trochę ludzi, nie przypuszczał, aby siły użyć miano tuż pod zamkiem i pod bokiem królewskim. Zwlokło się tak do początku następnego roku, i Bogusław Słuszką przybył do Warszawy z bratem Zygmuntem. Spotkanie z siostrą, która cała we łzach wyszła ich do furty powitać, obu młodych paniczów do najwyższego poruszyło stopnia. Zdało

im się, że gdy król gwardią swoją z klasztoru siostry ich nie dał zabrać mężowi, inne też kroki dla wyswobodzenia jej i mienia nie zostaną im naganione. Z niewieścią nieopatrnością, również na króla rachując zbyt, podkanclerzyna znajdowała naturalnym i sprawiedliwym, aby bracia pałac podkanclerzemu odebrali choćby siłą.

O przygotowaniach do tego zuchwałego kroku nikt nie wiedział, bo Litwa pewna, iż

słuszność miała za sobą, nikogo się nie radziła. Pierwszy lepszy byłby objaśnił Bogusława Słuszkę, iż w stolicy, pod zamkiem, siłą chce wtargnąć do domu i ściągnąć walkę, było zbrodnią główną.

Ponieważ wkoło zamku zawsze wiele było ruchu i wrzawy, nie spostrzeżono prawie zrazu,

gdy obaj bracia z całą gromadą zbrojnej Litwy rzucili się pod wieczór dnia jednego na pałac Kazanowskich. Ludzie Radziejowskiego nie byli wcale przygotowani do boju, ale tym się

odznaczał cały dwór jego, że go sobie dobierał z zapamiętałych i rozpalonych. W podwórcach więc rozpoczął się zacięty bój, strzelanie, szturmy, odpieranie ich, zdobywanie niemal każdego budynku i nieledwie izby, tak że dopiero po sześciu godzinach upartej walki Słuszkowie zdołali wyprzeć Radziejowskiego, załogę i pałac odzyskać.

Podkanclerzy był w Radziejowicach, ale gdy mu konnym posłańcem dano znać o zdobyciu

pałacu, rzucił się jak wściekły, zaklinając się, że gdyby przyszło gardłem nałożyć, odzyszcze go i Słuszków rozumu nauczy. Co" tylko miał we dworze ludzi zbrojnych, czeladzi, która uzbrojoną być mogła, a w dodatku co z okolicy drobną szlachtą zasiedlonej wyciągnąć się dało ochotników, natychmiast zgromadził, obiecując nagrodę sowitą, pojąc i umawiając, i z tą kupą dosyć liczebnie znaczną puścił się do Warszawy z takim pośpiechem, że tegoż dnia po północy z wrzawą i strzelbą rzucił się na Słuszków załogę.

Bramy powyłamywano łatwo, ale w pałacu znalazł opór dzielny. Co się tu działo przez całą niemal noc, o tym tylko nazajutrz leżące w podwórcach, po kurytarzach, pod murami, w salach trupy i ranni świadczyli. Z obu stron walka była wściekła, zajadła, rozpaczliwa. Radziejowski sam osobiście nie brał w niej udziału, stał tylko w pogotowiu, aby po wymordowaniu Litwinów, pałac zająć we władanie. Tymczasem Litwini Słuszków z własnych podkanclerzego działek strzelając i broniąc się zawzięcie, pijanej ruchawki jego dosyć nabiwszy, utrzymali się w zdobytym pałacu, a napastnicy uchodzić musieli.

Pierwszy napad Słuszków, chociaż trwał godzin kilka, przeszedł jakoś tak cicho i

nieznacznie, że go w mieście prawie nie postrzeżono i ledwie się o nim nazajutrz dowiedziano. Nie przypisywano mu też wielkiego znaczenia, widząc w nim tylko wprost odzyskanie własności zagrabionej, śmiałe, ale usprawiedliwione.

Radziejowskiego napad, przeciwnie, poruszył całe miasto. Strzelaniem działek, z

muszkietów, wrzawa, krzyki pośród ciszy nocnej napełniły trwogą stolicę. Miejskie straże, dwory panów senatorów, wszystko się uzbrajało, jakby nieprzyjaciel nadchodził. Nikt oka nie zmrużył

przez noc całą; pospólstwo gromadami ciągnęło pod zamek, pod Bernardynów, pod pałac i stało oczekując końca, który dopiero nad ranem objawił się tłumną ucieczką szlachty i czeladzi podkanclerzego. On sam, przestraszony i gniewny, musiał szukać schronienia u protegowanych przez się dominikanów przy ojcowskim grobie.

Ledwie się dzień zrobił, kanclerz Leszczyński, Radziwiłł, senatorowie, urzędnicy

pośpieszyli na zamek do króla, gdzie też przez całą noc nikt nie zasnął. Jan Kazimierz podrażniony zuchwalstwem Radziejowskiego, niespokojny, posyłał się dowiadywać co chwila i nie odetchnął, aż mu dano znać, że podkanclerzego precz odegnano.

Burda ta pod boki króla z lekceważeniem prawa, nieposzanowaniem majestatu

dopełniała miary, domagała się przykładowego skarcenia.

Na to się zgadzali wszyscy, chociaż sądząc podkanclerzego, należało pociągnąć Słuszków i podkanclerzynę, których wina równą była. Tych jednak wszyscy i Jan Kazimierz chciał oszczędzić.

Król, który nigdy mściwym nie był, a po wybuchach straszego gniewu stawał się wkrótce apatycznym, tym razem nawet królowej nie dał się ułagodzić. Chciał się pozbyć wroga.

— Bezkarne puścić się nie godzi takiego bezprawia — rzekł Marii Ludwice — raz muszę się od niego uwolnić, bądź co bądź.

Radziejowski nie zrobił w początku najmniejszego kroku, aby się bronić, niemal pewien

będąc, że się go złęknie król i puści płazem gorszący ten wybryk, rachował też na to, że ratując Słuszków i jego muszą oszczędzić.

Tymczasem nad głową jego groźna zbierała się burza. Bez względu na wysoką godność,

pieczętarską, którą piastował, po naradach między senatorami i u króla postanowiono sprawę zdać na sądy marszałkowskie. Mogła być sądzoną tylko przez króla samego lub przez nie. Przeważyło zdanie biskupa Leszczyńskiego, który nie chciał dopuścić, aby król był sędzią i ściągnął na siebie złośliwe języki. Radziejowski zniknął.

Zaledwie się wieść o przekazaniu sprawy sądowi marszałkowskiemu rozeszła, gdy

Lubomirski, marszałek wielki koronny, rozumiejąc to dobrze, iż idzie o gardło, a Radziejowskiego na śmierć lub banicją i infamią wyrokować będzie potrzeba, wyjechał co rychlej z Warszawy; przyjacielem jego nie był, ale się jeszcze obawiano podkanclerzego i oszczędzać go chciano.

Opaliński, który go zastępować musiał, wymawiać się nie mógł i nie chciał. Pozwy wydano za Radziejowskim, żoną jego i Słuszkami.

Mimo całego zuchwalstwa podkanclerzy uczuł, że mu się ziemia pod stopami zachwiała, na przebaczenie króla nie mógł rachować ani na protekcję królowej. Zniknął więc, ukrył się naprzód w klasztorze Księży Dominikanów, potem na wsi u przyjaciół przesiadując, zemstę jeszcze gotował bezsilną, potajemnie burząc szlachtę.

Głos powszechny był przeciwko niemu i jemu winę całego zajścia przypisywano.

Słuszkowie też prawie równie surowego wyroku przeciwko sobie się spodziewać mogli, ale tu wpływ króla, starania księcia Albrechta Radziwiłła wpływały wielce na złagodzenie dekretu śmierci.

Na Radziejowskiego wypadł on, jak przewidywano: odsądzony od urzędu, ogłoszony infamisem i banitą. Słuszka i siostra grzywnami tylko i ciężkim więzieniem ukarani zostali.

Zdawało się, że na to już nie ma ratunku. Podkanclerzy jednak znalazł jeszcze środek przeciągnięcia sprawy. Udał się do trybunału w Piotrkowie, który wyrok sądów marszałkowskich unieważnił, ale się to w żaden sposób utrzymać nie mogło.

Król natychmiast, wszelką nadzieję ulaskawienia odbierając

Radziejowskiemu, podkanclerstwo i wszelkie po nim wakanse porozdawał. Strącony z tej

wyżyny, na której sobie poczynał z tak bezprzykładnym zuchwalstwem, banita, zmuszony życie ratować, bo teraz na łasce był pierwszego lepszego nieprzyjaciela, musiał z kraju uchodzić.

Zbiegł naprzód do Wiednia, szukając tam pośrednictwa, czy przytułku, ale go przyjęto

zimno, i zgubiwszy tu pieczęć, którą był zabrał (znaleziono ją potem u Żyda), puścił się dalej ku Szwecji. Mściwy, nie złamany jeszcze wichrzyciel, który dokoła swojego wizerunku pisać kazał, iż napastowanym był, ale nietkniętym, jechał do Szwecji, knując już zdradę. Z jego naprawy zażegnęta została wojna, która całą Rzeczpospolitą niemal na skraj przepaści zawiodła. Rzucimy zasłonę na życie nikczemnika.

Była to nieszczęsna godzina gniewu Bożego, gdy rokosze i warchoły mnożyły się

nieustannie, gdy wojska wiązały się przeciwko hetmanom, hetmanowie przeciw królowi, a ów niezapomniany Siciński, poseł upicki, jednym głosem sejm zrywając, uchodził pomsty zasłużonej.

Z tych małych pożarów zajął się ogień wielki, który o mało nie pochłonał państwa i nie zachwiał dalszym jego bytem. Władza i powaga królewska nie ważyła nic na szali.

W czasie, gdy się ten straszliwy dramat odegrywał który później w złośliwą przechodząc

legendę, na pamięci podkanclerzyny zaciężył, zmarła naprzód królewska córeczka, a narodził się synek, ale i tym krótko się rodzice cieszyli.

Maria Ludwika wśród najboleśniejszych przejść zahartowana, nieznużona, sama jedna

niezlomna, zachowała do końca całą energią swego, charakteru. Widzieliśmy ją do końca życia nie ustającą krzątać się, zabiegać, starać, aby z Polski uczynić hołdownicę i sprzymierzeńca Francji, politycznie jej poddanego.

Obok niej Jan Kazimierz od wyprawy zwycięskiej spod Beresteczka stoi uwieńczony

laurem wprędce uwiędłym, bezsilny, nie wierzący w siebie, zdzieciniał. Nie jest on już tym rycerzem, jakim go uczyniła Maria Ludwika. Apatyczny, znudzony, bawi się i szuka rozrywek, zapomnienia, roztargnienia. Cięży mu korona. Szereg klęsk długi wyczerpuje go do ostatka.

Przy królu pozostawszy na usługach, rażny ów, ochoczy, żwawy Strzębosz, który rycersko

służyć i mógł się odznaczyć, bo mu na niczym nie zbywało, czego człowiekowi potrzeba, aby się dorobił sławy, a na starość kawałka chleba, z latami tej dworskiej służby zmarniał, utył; ociężał i już sam sobie nawet nic nie obiecywał. Wzdychając niekiedy, przypominał sobie przepowiednie nieboszczyka Księskiego, ale za późno. Prawda, że panu swojemu wiernie i pocziwie nie żałując trudu, często życie narażając, posługiwał we wszystkim i czasu pokoju, którego mało kto w Polsce zażył lat następnych, a czasu wojny, gdy z miejsca na miejsce uchodzić i błąkać się było potrzeba.

Król też bez niego obejść się nie mógł, ale to była służba, z którą się nawet chwalić było trudno, bo mało co więcej miał do roboty nad ulubione karły.

Król, znudzony, najczęściej go do poufalej rozmowy używał, pozwalając bezkarnie prawić, czego by nikt inny nie śmiał. Choć się czasem pogniewał, bo Dyzma mu gorzką prawdę mówił

niekiedy i ostro przycinał, ale połajawszy, potem w godzinę datkiem go łagodził, a znowu z niego ciągnął, co ludzie pletli, co on myślał, co się gdzie po kątach działo.

Wszystkim było tak dobrze znanym, iż Strzęboszowi wolno prawić, co się zamarzy, a słowo jego ma wagę, iż czasem nawet królowa go używała, polecając, aby pana namawiał na coś lub mu coś odradzał. Skutkowało to prawie zawsze.

Obejście się Jana Kazimierza z tym faworytem osobliwe, bo przy ludziach, aby pokryć swą słabość dla niego, król ostro i szorstko z nim poczynał, gromił go, narzekał, a na cztery oczy głaskał i przepraszał.

— Ty wiesz, że masz łaskę u mnie — powtarzał — ale ludzie o tym nie powinni wiedzieć..

Zaraz po powrocie do Warszawy Strzębosz pobiegł do Włoszki, bo zawsze miał jeszcze w sercu czarne oczki jej córki. Lękał się, ażeby jej matka za starego nie wydała. Nie znalazł

wprawdzie już Massalskiego; bo rodzina go odciągnęła i wywiozła; dowodząc że Bertoni była czarownicą i jemu, filtr zadano, ale natomiast już był jakiś starosta, dość na pozór zamożny wdowiec. Ten po zaręczynach już być miał z Bianką, a dziewczę śmiało się, ruszało ramionami i żadnej do tego wagi nie przywiązywało.

Powtarzała stojąc przed zwierciadłem: — Pani starościna! Pani starościna!

Dyzma przestraszony padł do nóg królowi, ofiarując mu się służyć do śmierci, byle pomógł do Włoszki. Jan Kazimierz nie był od tego. Kazał zaraz matkę przywołać.

Bertoni przysła nadąsana, gdyż królowi zapomnienia o sobie przebaczyć nie mogła.

Nawykła do poufałości i nieposzanowania, ząb w ząb poczęła się z królem ujadać, którego to bawiło. Tupał nogą, groził, ale śmiał się. Służba, tuż pod drzwiami słuchając, za boki się trzymała.

Z pół godziny trwał ten spór, w końcu którego rozdrażniona Bertoni oświadczyła, że póki żywa, córki za pokój owca nie wyda.

— Idźże precz i ani mi się pokazuj na oczy! — krzyknął król wychodząc.

W progu Włoszka spotkała Strzębosza i mszcząc się na nim, mało mu oczu nie wydarła, on też jej nie oszczędzał, i tak wszystko się zdawało bezpowrotnie straconym.

Dyzma chodził jak struty, choć go i król, i towarzysze starali się tym pocieszyć, że sobie łatwo inną znaleźć może. Trwało to blisko roku, w ciągu którego próbował się na Stare Miasto przekradać, ale tak pilnowano dziewczęcia, że ani jej mógł zobaczyć. Zaklął się potem, że chce i musi o niej zapomnieć.

Gdy później z królem razem powrócił do Warszawy Dyzma, jednego wieczora z wielkim zdziwieniem swym ujrzał wchodzącą Bertoni, która przywitała się z nim bez gniewu, wcale uprzejmie. Strzębosz języka w gębie zapomniał. Zapytała go o króla, poszedł więc oznajmić o niej, a król wpuścić ją kazał.

Dyzma, chociaż wyjść musiał, ucho do drzwi przyłożył i słuchał, jak Bertoni żałośliwie na los swój się uskarżała, a w końcu oświadczyła wzdychając, że gotową już była spełnić wolę króla i córkę dać choćby Strzęboszowi. Osłupiał, nie mogąc pojąć, co się stało.

Zmiany tej przyczyną było, jak się później okazało, że Włoszka panu staroście na

oczyszczenie jego majątności znaczne dała pieniądze, nie zabezpieczywszy ich żadnym skryptem, a tego na polowaniu niedźwiedź tak poszarpał, iż do domu z łowów nie dowieziono żywego. Rodzina zaś o płaceniu długu ani słuchać nie chciała. Bertoni zapozwała i przegrała w trybunale. To ją zubożyło. Musiała więc losu szukać dla córki, której na gachach nie zbywało, ale wszyscy byli jak święci tureccy.

Dyzma poleciał zrazu na Stare Miasto, jakby mu bramę raję otwarto. Wszystek czas, jaki mu od służby zostawał, tu spędzał, Bianka była bardzo grzeczna, ale ile razy tu przyszedł, zastawał zawsze przy niej co najmniej jednego, czasem po kilku ichmościów, których zdawała się równie mile przyjmować.

Strzębosz markotny od tego poczał, że z dwoma się przemówiwszy obciął ich, a jednego wyplazował tak, że się potem parę tygodni smarować musiał. Bianka zaś, co by mu za tę miłość wdzięczną być miała, zaczęła krzywo spoglądać i ostro mu przycinać. Przyszło do zwady i Strzębosz, raz powróciwszy na zamek zły, zaklął się:

— Nie pójdę więcej! Milsze jej gachy nade mnie, z Panem Bogiem!

W parę dni stara Bertoni przyszła ze skargą do króla, który już wiedział o wszystkim, utrzymując, że Strzębosz jej córkę zbałamucił, a potem zdradzał i zawiódł.

Przywołano winowajcę.

— Jako żywo. nie zdradziłem nikogo — rzekł śmiało — ale panna gachów lubi, dużo ich ma na usługach, a ja żonkę chcę mieć dla siebie.

Król śmiał się, bawiło go to jak wszelkie miłostki i plotki. Włoszka rozplakała się naprzód, rozniewała potem, nakrzyczała, nałajała, a Strzębosz nie dał się poruszyć. Król występował, jako rozjemca, godził, ofiarował się i na wyprawę dać do żup kwit, i wesele sprawić. Dyzma, rękę ucałowawszy, podziękował, nie chciał. Czas też był niewesoły, bo razem z królem uchodzić przyszło. Dyzma mu towarzyszył wszędzie.

Gdy po Szwedach powrócili do Warszawy, znalazłszy tu ruinę tak straszną, że siłę krwawymi ł *zami* płakać nad nią chciało, bo nieprzyjaciel ani kościołów, ani pałaców nie poszanował, z dachów miedź, a z posadzek marmur wydzierał, Strzęboszowi już dziewczyna nie była w głowie.

Nierychło tknęło go coś dowiedzieć się o niej. Starej sekutnicy Bertoni na świecie już nie było, Bianka chodziła w żałobie po mężu! Wydała ją była matka za Niemca, wojskowego, który się około dział znał i dobrze mu płacono, aż kula szwedzka głowę mu urwała.

Wielka litość wzięła go nad niebogą, która przy odłużonym domu sama jedna bez opieki pozostała. Piękna była jeszcze, ale dawna jej zalotność zmieniła się na wielką pobożność, tak że o klasztorze mówiła.

Dyzma po starej znajomości odwiedzać ją poczał, rozmyślając, czyby nie ożenić się z

wdową. Zwierzył się z tego królowi, bo pan i sługa nawzajem sobie wszystkie myśli odkrywali.

Król nie bardzo na małżeństwo namawiał, obawiając się, aby Dyzma potem więcej żony niż jego nie chciał pilnować.

— Po co tobie ta żona! — mówił. — Ciężar tylko u szyi uwieszysz. Jużes i postarzał, a ona owdowiała.

Dyzma na przekór zapragnął skosztować małżeństwa i ożenił się mimo króla. Pani

Strzęboszowej dano na zamku dozór bielizny królewskiej i żeńskiej służby, aby przy mężu zamieszkać mogła. Król widywał ją często, a że rezolutną była i nie obawiała się go, wkrótce taką nad nim wzięła przewagę jak mąż. We dwoje czynili z królem, co chcieli.

Gdy nareszcie Jan Kazimierz, nie dając się ubłagać, koronę złożył dla tego Francuza, który jej nie miał otrzymać, wyjeżdżając spoczywać do Francji, zabrał z sobą oboje.

W Krakowie jeszcze po drodze król tak wesół był, że się dał do tańca wciągnąć i bardzo

okazywał się szczęśliwym, że się zbył ciężaru. Po drodze szlachta to drwiła z pana Snopkowskiego, to go przeklinała, nie mogli mu darować, że Francuzowi rzucał koronę. Strzęboszowstwu też wędrówka do Francji nie smakowała, ale król nie mógł się obejść bez Dyzmy, nie miałby być z kim baraszkować. Znikli tak z horyzontu i co się później stało z nimi, nikt nie wiedział, a mało się o to troszczył.

Smutną mową proroczą przy złożeniu cierniowej korony skończyła się epoka straszna, o

której powiedziec można, że na niej jak na ciele szarańczy stało wypisane tajemniczymi głoskami znamię gniewu Bożego.

Document Outline

- [Spis treści](#)
- [TOM PIERWSZY](#)
- [Rozdział I](#)
- [Rozdział II](#)
- [Rozdział III](#)
- [Rozdział IV](#)
- [Rozdział V](#)
- [Rozdział VI](#)
- [Rozdział VII](#)
- [Rozdział VIII](#)
- [Rozdział IX](#)
- [TOM DRUGI](#)
- [Rozdział I](#)
- [Rozdział II](#)
- [Rozdział III](#)
- [Rozdział IV](#)
- [Rozdział V](#)
- [Rozdział VI](#)
- [Rozdział VII](#)
- [Rozdział VIII](#)
- [Rozdział IX](#)
- [TOM TRZECI](#)
- [Rozdział I](#)
- [Rozdział II](#)
- [Rozdział III](#)
- [Rozdział IV](#)
- [Rozdział V](#)
- [Rozdział VI](#)
- [Rozdział VII](#)
- [Rozdział VIII](#)
- [Rozdział IX](#)